BIBLIA DIABŁA

LESZEK HERMAN

LESZEK HERMAN

BIBLIA DIABŁA

MUZA
Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*
Redakcja: *Elżbieta Meissner*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Ewa Rudnicka*

Wydawnictwo dziękuje panu Jerzemu Dubielowi, prowadzącemu stronę http://zamkilubuskie.pl/za możliwość wykorzystania w książce rycin herbów pochodzących z jego zbiorów.

Obraz wykorzystany na okładce
© Kapitel/commons.wikimedia.org

© by Leszek Herman
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2018

Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autora.
Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone
i całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-287-0808-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Wydanie I
Warszawa 2018

Czasami myślę, że Bóg, tworząc człowieka,
przecenił nieco swoje możliwości.

Oscar Wilde

PROLOG

Wczesną wiosna roku Pańskiego 1693
Wzgórze Wisielców nieopodal Wrzosowa

Marzec tego roku był chłodny. Opatulone w wilgotne mgły poranki przechodziły w krótkie dnie, nad którymi wisiały zmiętolone kołdry płynących posępnie z jednego krańca nieba na drugi brudnych chmur. Potem podkradały się podstępne mroźne wieczory, poprzetykane wilgocią, która paraliżującym zimnem dostawała się pod każdy, najcieplejszy nawet kaftan. I wreszcie nadchodziły długie noce, gdy bywało, że mróz ściskał gałęzie wypatrujących wiosny drzew i malował na szybach domów lodowe esy-floresy.

Trudno było uwierzyć, że wiosna w ogóle nadejdzie.

Od gościńca z Kamienia wiodła wysadzana wierzbami droga. Prowadziła do Dziwnówka, mijając jeszcze Wrzosowo, małą wieś, od dawien dawna należącą do starego pomorskiego rodu Puttkammerów. Od tej drogi zaś, poprzez gęsty sosnowo-dębowy las, wiódł mroczny, ponury dukt, na którego końcu znajdowało się wzniesienie, nazywane Wzgórzem Wisielców lub Długą Górą[1]. Według miejscowych legend w zamierzchłych pogańskich czasach, kiedy Pomorzem nie władali jeszcze Gryfici, to tutaj właśnie odbywały się pierwsze plemienne sądy.

Któregoś z tych pochmurnych marcowych dni, zaraz po tym, jak dzwony wybiły południe, owym duktem jechał niewielki orszak trzech zaprzęgów. Otwierał go wóz z grupą dziesięciu uzbrojonych w widły mężczyzn, a zamykał zadaszony powóz wiozący sędziów i duchownych kamieńskiej katedry. Na środkowym, drabiniastym, była klatka, obok której stał potężnej postury drab, ubrany w czerwony kaftan. W klatce, na snopku słomy, ze związanymi na karku i przywiązanymi do stalowych prętów rękami, siedziała kobieta, po której już na pierwszy rzut oka widać było, że młodość dawno ma

za sobą. Ubrana była w długą poszarpaną suknię i tak poplamiony rdzawymi zaciekami i brudem kaftan, że trudno było nawet domyślić się jego koloru. Siwe, opadające brudnymi strąkami na twarz włosy sprawiały, że wyglądała na znacznie starszą, niż wynikało to z jej metryki.

Nazywała się Małgorzata i do niedawna mieszkała w niewielkiej wsi Radawka, leżącej nieopodal, zaraz za Wrzosowem Puttkammerów. Całe życie spędziła w starym pomorskim domu, którego białe ściany i czarne rygle ledwie prześwitywały pomiędzy wiciokrzewem, słonecznikami, malwami i rozrośniętymi krzewami bzu. Na równo wytyczonych rabatach pyszniły się lubczyk i rumianek, babka i piołun, a jaskółcze ziele wylewało się na wąską ścieżkę pomiędzy grzędami, pokrywając się wiosną płaszczykiem żółtych kwiatków.

Znała się na ziołach. Wszystkiego nauczyła ją niegdyś matka. Jak przygotowywać napary z rumianku albo ze świetlika, żeby przynieść ulgę bolącym, czerwonym oczom. Co pić, by pomogło na wzdęcia czy zaparcia. Co ma pomóc na trudno gojące się rany, na kaszel. Potrafiła rozmaitymi naparami i maściami łagodzić bóle głowy, pleców, a i te kobiece, przy bolesnych miesiączkach. Przez dwadzieścia lat, od kiedy zaczęła sama zbierać zioła, sadzić je w swoim ogrodzie, pod okiem matki przygotowywać napary i lecznicze maści, pomogła przyjść na świat trzem pokoleniom dzieciaków. W Radawce i okolicznych wsiach żyło wielu gospodarzy, którzy tylko dzięki niej przyszli na ten świat, a towarzyszyła także i narodzinom ich dzieci. Ludzie ją szanowali. Dzięki swojej wiedzy cieszyła się poważaniem, a wielu mieszkańców okolicznych siół okazywało jej wdzięczność za pomoc w rozmaitych chorobach. Była pewna, że jej mądrość i wiedza przekazywane z pokolenia na pokolenie przez kobiety z jej rodziny, wzbudzają podziw u ludzi.

Ale i strach.

Wiedziała, że plotkują na jej temat. Że niektóre znudzone codzienną monotonią sąsiadki opowiadają sobie o niej bajdy – jeśli jest w stanie tak łatwo uśmierzyć każdy ból, to pewnie równie dobrze może go wywołać. A skoro pomóc przy porodzie potrafi to i uśmiercić z pomocą tajemnych wywarów i zaklęć jest w stanie.

A czasy dobre nie były. Wprawdzie od zakończenia wojny minęło już

czterdzieści lat, ale w pomorskich wsiach wciąż bieda była aż piszczało. Co i rusz wybuchały pomory, ludzi chowało się po cmentarzach dziesiątkami, a bywało, że i zwierzęta w tajemniczy sposób marły po chlewach i oborach. No i dużo było procesów o czary.

Któregoś dnia wezwano ją do córki Hansa Heglera z Wrzosowa. To nie był jej termin, blisko dwa miesiące za wcześnie. Niemowlę urodziło się martwe. Nic nie można było zrobić. Ale ludzie i tak zaczęli gadać. Że uśmierciła dziecko, żeby ofiarę diabłu na Łysej Górze złożyć. Stugębna plotka zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Ktoś widział, jak leciała na miotle na Piaszczyste Wzgórze koło Żółcina, gdzie rzekomo miały się odbywać sabaty czarownic. Ktoś inny zaklinał się, że widział, jak z komina jej domu dym w kolorze krwi się unosił.

I przyszli po nią któregoś dnia. Sołtys Radawki wraz z pastorem Krebsem i kilkoma chłopami z okolicznych domów. Zakutą w kajdany, odwieźli do karceru Kapituły Katedralnej w Kamieniu.

Pierwszy wóz minął rozłożystą wierzbę i wtoczył się na wzgórze, otoczone koronami ogromnych dębów i sosen. Wzniesienie nazywano Długą Górą z uwagi na kształt fasoli, rozszerzającej się ku północy i zakończonej owalnym rondlem, wokół którego w tamtych czasach rosły pojedyncze stare drzewa. Ze szczytu wzgórza rozciągał się widok na pola i łąki, zamknięte ścianami gęstych lasów. Na końcu wzgórza stał drewniany podest, a przy nim szubienica. Tak jak i w zamierzchłych czasach, tak i dziś odbywały się tu procesy rozmaitych lokalnych rzezimieszków, morderców i złodziei. Zawsze przyciągało to rzesze pospólstwa, które chciało nacieszyć oczy widokiem śmierci.

Z pierwszego wozu zeskoczyła grupa strażników i dzierżąc wysoko uniesione widły, żeby trzymać z daleka chętnych do samosądów chojraków, ustawiła się wokół zakratowanego zaprzęgu, który zatrzymał się w pobliżu szubienicy. Kat z naciągniętym na głowę kapturem zeskoczył na ziemię i otworzył klatkę.

W drodze z Kamienia, oparta o pręty i wpatrzona w mijane, tak dobrze znane od dzieciństwa pola i lasy kobieta, zdołała zapomnieć o bólu. Teraz, gdy dźwignęła się z kolan, uderzył w nią z podwójną mocą. Ledwie mogła utrzymać się na nogach. Miała połamane i zmiażdżone palce obu stóp, ramię

wyłamane ze stawu. Przez kilka dni, w czasie których trzymano ją w lochu przy kamieńskiej katedrze, kat wielokrotnie wyłamywał jej ramiona i na powrót je nastawiał. Strąki brudnych włosów opadały na posiniaczone policzki i poparzone piersi, na które kilkakrotnie wylewali jej gorącą smołę. Gdyby kazano jej coś powiedzieć, nie byłaby w stanie wydobyć słowa przez wyrwane przednie zęby i wielką ranę, która paliła jej gardło. Jakoś dotarła do krańca wozu, ale wysiadając, nie zdołała utrzymać równowagi i wypadła wprost na mokrą ubitą ziemię, wzbudzając śmiech zgromadzonego wokół szubienicy tłumu. Kat szarpnął ją za kaftan i powlókł w kierunku opartej o podest drabiny. Jeszcze zdołała jednym pozostałym okiem rozejrzeć się wokół siebie. Z wszystkich rodzajów bólu, jaki jej zadano, tego od miażdżenia palców, tego od wyrywania zębów, wykłucia oka, poparzeń od gorącej smoły, najgorszy był jednak ten, który palił ją od wewnątrz. Gorycz. Znała prawie wszystkich tych ludzi, którzy, zgromadzeni wokół, pokazywali ją sobie palcami, drwiąco się śmiali lub rzucali w nią kamieniami.

– Czarownica! – wrzasnęła żona Hansa Ruthena z Wrzosowa, której dwa lata temu pomagała przy porodzie.

– Dzieciobójczyni! – krzyknął ktoś za jej plecami.

– Żałuj za grzechy! – Pastor Krebs z Radawki wyciągnął w jej kierunku drewniany krzyżyk, wokół którego opleciony był różaniec. – Nie wyjdziesz z piekła!

Znał ją od dzieciństwa. Wiedział, że zawsze była dobrą chrześcijanką, że nigdy nie opuściła niedzielnej mszy. Jemu też nieraz pomogła swoimi naparami z różnych ziół, gdy po obżarstwie cierpiał na przeciągające się bóle żołądka. A mimo to nie wstawił się za nią.

Nikt się za nią wstawił.

Kat pchnął ją na drabinę. Upadła przed nią na kolana, a drab chwycił ją za kaftan i wciągnął na drewniane szczeble. Grubym sznurem zaczął przywiązywać jej nogi i ramiona do drewnianych desek.

– Zdechniesz, wiedźmo! – wrzasnął z tłumu podskakujący z emocji może dziesięcioletni chłopiec. – Szatan cię nie uratuje!

Dźwignięta przez kata i jednego z jego pomocników drabina wyprostowała się. Tuż obok płonął już stos. Czerwonozłote jęzory lizały ustawione pionowo konary i wielką górę usypanych wokół nich gałęzi.

Czarny duszący dym unosił się do góry i płynął po niebie, plącząc się pomiędzy bezlistnymi konarami stojących nieopodal dębów.

Paradoksalnie, przywiązanie do pala, pod którym usypywano stos drewna, było łaską, którą sądy okazywały tylko niektórym kobietom. Drewno zazwyczaj było świeże, dopiero co ścięte, wypełnione jeszcze żywicą, często mokre, gdy w powietrzu było sporo wilgoci. Po zapaleniu zatem długo się tliło, wydzielając opary czarnego trującego dymu, w którym nieszczęśnica dusiła się w kilka minut, zanim jeszcze dosięgnął ją ogień.

Małgorzata nie dostąpiła takiej łaski.

Zgromadzony wokół tłum ryczał coraz głośniej. Gdy ogień zaczął pożerać wielki stos gałęzi, dobrał się do grubych beli drewna i wystrzelił złotymi pióropuszami w niebo, kat pchnął drabinę wraz z szamoczącą się na jej szczycie niczym szmaciana lalka i wyjącą nieludzko kobietą, prosto w środek piekła.

Współcześnie, 8 marca, Międzynarodowy Dzień Kobiet
plac Solidarności, Szczecin

Ciągnąca się ostatnimi tygodniami szaruga, deszcze żłobiące głębokie rany w wyleniałych trawnikach, wciąż jeszcze niemogących dojść do siebie po dwóch miesiącach zalegania pod brudnym śniegiem, ustąpiły tego dnia całkiem znośnej pogodzie. Temperatura wprawdzie nie było zbyt wysoka, ale za to spomiędzy chmur prześwitywało czasem słońce. Na wielkim pochyłym placu przed Filharmonią imienia Mieczysława Karłowicza w Szczecinie zebrał się już wielki tłum ludzi, a od strony Śródmieścia napływały wciąż mniejsze i większe grupy mieszkańców miasta. Na trawniku rozdzielającym dwa pasy ruchu przed wjazdem na Trasę Zamkową, wokół zachowanych fundamentów po stojącym tu niegdyś maszcie ze statku s/s „Kapitan K. Maciejewicz", który został zdemontowany pod pretekstem remontu i zniknął stąd na zawsze, zbierały się grupki młodych ludzi. Nieco dalej, wsparty na drewnianych podporach, stał samotnie staruszek platan, według legend pamiętający jeszcze czasy, gdy w tym miejscu rozciągały się renesansowe ogrody książęce. Nad głowami niektórych grupek zaczęły pojawiać się transparenty z rozmaitymi hasłami, nabazgranymi flamastrem lub spreparowanymi metodą kolażu. Podobne transparenty zaczęły powoli wyrastać nad głowami uczestników zasadniczej manifestacji kłębiącej się na placu Solidarności.

Plac, w istocie dach gmachu muzeum Centrum Dialogu „Przełomy", wznosił się w kierunku neogotyckiego budynku Komendy Wojewódzkiej Policji, by na rogu ulic Małopolskiej i Tadeusza Mazowieckiego osiągnąć wysokość kilku metrów. Tam, na poziomie ulicy, mieściło się główne wejście do wnętrza, ulokowanego pod płytą placu. Od strony Trasy Zamkowej, przy wejściu na pochyłość placu, stał jedenastometrowy pomnik Anioła Wolności, upamiętniający protesty robotnicze z grudnia siedemdziesiątego roku, a od strony ulicy Małopolskiej plac zamykał masyw „Lodowego Pałacu", wspomnianej już szczecińskiej filharmonii. Miejsce to od kilku lat stało się prawdziwym architektonicznym poligonem doświadczalnym, wzbudzającym kontrowersje i niekończące się spory na

forach internetowych i na łamach gazet. Czy nowoczesna biała bryła filharmonii pasuje do ceglanego neogotyckiego gmachu komendy? Czy dach muzeum powinien być udostępniony dla deskorolkarzy, którzy profanują przecież miejsce pamięci? Czy nie można było zamiast muzeum odbudować po prostu dawnego kwartału zabudowy, odtwarzając tym samym przestrzeń historycznego placu, na którym przed wojną stał teatr? Do tego dochodziły wciąż niemilknące pytania o losy masztu z „Maciejewicza" i krytyczne głosy pod adresem Anioła Wolności. Internetowe awantury uspokoiły w końcu liczne międzynarodowe nagrody architektoniczne, które zdobyły budynki filharmonii i muzeum, zamieniając natychmiast oba w coś w rodzaju miejskich ikon.

Znakomitą większość uczestników manifestacji stanowiły kobiety. Były ubrane głównie na czarno albo przynajmniej wyposażone w jakąś spektakularną czarną część garderoby, na przykład skórzaną nabijaną ćwiekami kurtkę, płaszcz czy chociaż czapkę lub kapelusz. Wiele kobiet trzymało w rękach kartony, na których groźne, opatrzone wykrzyknikami lub symbolami hasła głosiły: „Nie będziemy waszymi inkubatorami!", „Rząd, który nienawidzi kobiet!", „Martwa dziecka nie urodzę!". Rozwinięte nad głowami transparenty przekazywały konkretniejsze żądania – edukacji seksualnej, dostępu do nowoczesnej antykoncepcji i zmiany faszystowsko-seksistowskiej retoryki pod adresem kobiet. W epicentrum wydarzeń, w najwyższym punkcie placu, stało kilka liderek i organizatorek protestu, które przez megafony głośno skandowały hasła i podrzucały pozostałym chwytliwe okrzyki. Od strony chodników przed placem Solidarności i z pasa zieleni między jezdniami dochodziły nawoływania i okrzyki przeciwników manifestacji, nad głowami których powiewały hasła: „Stop aborcji!", „Życie jest święte od poczęcia", „Chłopak i dziewczyna – normalna rodzina". Grupa młodych ludzi z biało-czerwonymi chorągiewkami, ubranych w kurtki z orłami, husarskimi skrzydłami na plecach i szablami w dłoni, rozwinęła wielki transparent z napisem „Tradycyjne wartości – nowoczesny patriotyzm".

Od strony centrum miasta wciąż nadchodziły grupy ludzi. Policja, która do tej pory w szeregu stała z boku, zaczęła wprawnie rozdzielać biorących udział w manifestacji od niewielkich grup coraz śmielej skandujących wyzwiska i groźby pod adresem uczestniczek protestu.

U stóp placu, pod wznoszącym się wraz z pochyłością muzeum tłumem, stały dwie młode kobiety: szczupła blondynka w szarym płaszczyku i jasnej czapce, spod której wystawały jasne kosmyki, i szatynka w długiej czarnej kurtce, z włosami związanymi szeroką czarną wstążką.

– Spójrz! – Blondynka trąciła koleżankę zamkniętą parasolką. – Tamto jest niezłe.

Szatynka obróciła się i podążyła za wzrokiem koleżanki.

Stojący nieopodal dwaj brodaci chłopcy trzymali czarny transparent, który czerwonymi, imitującymi ociekającą krew literami głosił: „Aborterki mordują dzieci nienarodzone!”.

Obok mężczyzn stała grupka kobiet, które trzymały w rękach różańce i wielkie, czerwone znaki z wymalowanymi żądaniami – „Stop gender!”, „Stop dewiantom!”, „Stop aborcji!”. Nad ich głowami powiewała biała płachta z napisem „Krucjata różańcowa za ojczyznę”.

Szatynka sięgnęła do kieszeni, wyjęła telefon i zrobiła zdjęcie.

– Nie wiem, co ja tutaj robię. – Blondynka westchnęła, rozglądając się wokół siebie.

– Ty, Baśka, chyba żartujesz? – Paulina popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– To nie znaczy, że nie popieram czy coś. – Blondynka pokręciła głową. – Tylko że mam do napisania na piątek dwa teksty, a tymczasem marnuję tutaj czas. Nie wiem, po co Paweł mnie z tobą wysłał.

– Pewnie chce mieć dwa spojrzenia na ten protest albo coś w tym stylu. – Paulina wzruszyła ramionami. – Jak go znam, wymóżdżył, że moja relacja będzie zbyt jednostronna.

– Nie obraź się, ale pewnie ma rację.

Paulina spojrzała na koleżankę z irytacją.

– Rozumiem, że ty napiszesz coś w kontekście obrony ojczyzny przed dewiantami.

– Albo obrony ojczyzny przed kiepską sztuką. – Baśka wskazała głową na wznoszący się nieopodal pomnik anioła.

– To taka poza, że się niby dystansujesz od tej manifestacji?

– Wprost przeciwnie. – Baśka wzruszyła ramionami. – Pamiętasz, jakie były kulisy powstania tego pomnika?

– Jak mogę pamiętać? Miałam wtedy może dziesięć lat.

Baśka, która sama przekroczyła już czterdziestkę, obrzuciła koleżankę zazdrosnym spojrzeniem.

– Zwyciężyła instalacja przedstawiająca setkę manifestantów. Miała stanąć na tym trawniku przed platanem. – Machnęła ręką w kierunku zbiegowiska, nad którym powiewały transparenty wyrażające sprzeciw wobec dewiantów. – Komitet budowy z Jurczykiem na czele odrzucił projekt, podając jako powód, że brak w nim symbolu krzyża[2].

– Brońcie krzyża! – podchwycił nagle stojący niedaleko Pauliny starszy pan. Grupa młodych mężczyzn w brunatnych kurtkach zaczęła wymachiwać zielonymi flagami.

Paulina podniosła telefon i włączyła kamerę.

– Chodźmy dalej, bo wezmą nas za krucjatę różańcową. – Baśka skinęła ręką w stronę tłumu wypełniającego szczelnie plac Solidarności.

– Czarownica! – wrzasnęła nagle jakaś starsza kobieta, energicznie potrząsając znakiem z napisem „Stop gender!”. Momentalnie przyłączyły się do niej koleżanki.

Paulina spojrzała ze zdziwieniem na niewielki tłumek, który najwyraźniej skandował w jej kierunku. Dopiero po chwili spostrzegła, że stoi praktycznie pod samym transparentem, na którym widniał napis „Zabierz różaniec od mojej macicy!”.

– Pozwolił ci ktoś mnie filmować, szmato? – Ubrany w zieloną kurtkę, ogolony na zero chłopak buńczucznie skinął głową w jej kierunku.

Stojący obok niego młody mężczyzna spojrzał na nią wrogo.

Paulina dostrzegła, że pod kurtką ma koloratkę.

– Te głupie baby z piekła nie wyjdą! – rzucił głośno do swojego kolegi.

Młody chłopak zrobił kilka kroków w jej kierunku i zanim zdążyła zareagować, szarpnął ją za ramię.

– Mówiłem, żebyś mnie nie filmowała, lewacka kurwo!

Paulina straciła równowagę i poleciała do tyłu, wprost pod nogi stojących

za nią ludzi. Telefon wypadł jej z ręki i spadł na chodnik.

W tym samym momencie dwóch policjantów dopadło chłopaka, wykręciło mu ręce i położyło go na ziemi. Od strony grupek na obrzeżach manifestacji dobiegły głośne gwizdy.

– Dzieciobójczynie! – wrzeszczała starsza kobieta, machając znakiem STOP.

Od strony czoła manifestacji rozległo się głośne skandowanie i po chwili, niczym czarna, rozlewająca się fala, nad głowami protestujących zaczęły się otwierać setki parasoli.

Rozdział 1

Środa, 8 marca, trochę później

Zapadał zmierzch. Na bulwarach zapaliły się latarnie, pokrywając nabrzeże złotym blaskiem, który jasnymi refleksami wylewał się na spokojne wody Odry. Niebo nad Starym Miastem zrobiło się granatowe, a światła Trasy Zamkowej przecięły rzekę niebieskim odbiciem. Na przeciwległym brzegu, na Łasztowni, rząd okien na pierwszym piętrze biurowca niedaleko mostu Długiego, jarzył się jasnym światłem.

W dużej sali, wypełnionej regularnymi geometrycznymi kształtami jasnych biurek, których blaty zawalone były stosami papierów, folderów i katalogów, odbywała się nerwowa narada. Ciemnografitowe drukarki i monitory mruczały cicho swoim dyskretnym elektronicznym pomrukiem. W głębi sali, niedaleko szeroko otwartych szklanych drzwi do sąsiedniego aneksu, stały trzy osoby. Pozostała grupa kilkunastu pracowników zebrała się przed najbliższym stołem, co chwila patrząc ciekawie na jeden z monitorów i starając się jednocześnie nie stracić ani słowa z burzliwej dyskusji, której temperatura wciąż rosła.

– Na pewno nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

– Paweł, nie zmieniaj tematu. – Paulina odruchowo obciągnęła ciemną spódnicę, zakrywając udo, na którym rozwijał się właśnie spory siniak we wszystkich odcieniach fioletu.

– Poważnie pytam. Ten siniak nie wygląda dobrze. Poza tym masz też otarcie na ramieniu.

– Wszystko jest pod kontrolą. – Paulina pochyliła się nad stołem i przestawiła laptopa ekranem w stronę stojącego przed nią Pawła. – Nie martw się, nie popuszczę temu draniowi. Jestem umówiona na jutro na obdukcję. Zadałam ci pytanie.

Paweł przewrócił oczami i spojrzał z tęsknotą w kierunku swojego

wydzielonego szklaną szybą biura.

– Nie pokazałaś tego filmu policji…

– Gdybym oddała im komórkę, to za kilka dni okazałoby się, że zaginęła w magazynie.

– Nie przesadzaj.

– Jutro idę z Martą na policję, to zaniosę im to nagranie. Mogłam przecież dopiero po fakcie stwierdzić, że cała sytuacja się nagrała.

– Z jaką Martą? – Paweł starał się zyskać na czasie.

– Moją znajomą prawniczką. – Paulina westchnęła. – Wspominałam o tym ze dwa razy.

– Paweł! – Stojąca obok z założonymi na piersiach rękami Baśka straciła cierpliwość. – Czas leci! Kilka portali już zamieściło relacje z manifestacji, a „Wyborcza” napisała nawet, że była jakaś bijatyka. Za chwilę to będzie musztarda po obiedzie.

Paweł westchnął ciężko i oparł się pięściami o blat biurka.

Gdy pół godziny wcześniej obie stanęły w drzwiach, pierwsze, co pomyślał, to że będą mieć świetny materiał. Paulina wyglądała, jakby wracała z ulicznych zamieszek, a nie pokojowej bądź co bądź manifestacji w obronie praw kobiet. Podarty płaszcz, siniaki i malująca się na twarzy zawziętość. Gdy jednak dopadła do swojego komputera i włączyła film, który nagrała, a potem streściła przebieg wydarzeń, stwierdził, że to wróży same kłopoty. Nie chodziło nawet o jego poglądy polityczne, po prostu nie lubił telefonów od swoich szefów i tłumaczenia się z czegokolwiek.

– Chcecie opublikować nagranie, na którym wyraźnie widać twarze tych ludzi. Od razu będą protesty. Oskarżą nas o naruszenie wizerunku…

– Jakiego, kurwa, wizerunku?

Paweł spojrzał z irytacją na Baśkę, która tym razem, jak rzadko kiedy, twardo trzymała stronę Pauliny. Cholerna solidarność jajników.

– Udział w tym proteście był dobrowolny. Każdy, kto tam poszedł, musiał się liczyć z tym, że pojawi się w mediach.

– Zwłaszcza że trzymał nad głową transparent z napisem „Śmierć wrogom ojczyzny” – warknęła Paulina, patrząc na niego nieżyczliwie.

Odtwarzacz na laptopie Pauliny wyświetlał kilkuminutowy film w pętli. Po raz któryś z kolei widać było, jak ogolony chłopak w zielonej kurtce mówi coś do stojącego obok towarzysza, a następnie rzuca wrogie spojrzenie w kierunku obiektywu. Kamera obróciła się, pokazała transparent nad głowami niewielkiej grupki pokrzykujących gromko młodych mężczyzn, a zaraz potem wznoszące się w kierunku szczytu placu morze głów. Po chwili na ekranie ponownie pojawił się ogolony chłopak i stojący obok niego mężczyzna w czarnej kurtce. Chłopak znowu spojrzał niecierpliwie w stronę kamery, coś głośno krzyknął i w końcu ruszył w kierunku obiektywu. Obraz wypełniła zielona tkanina jego kurtki, a następnie wszystko zawirowało i zamieniło się w nieskładną gmatwaninę pikseli, by w końcu znieruchomieć.

– Czy chodzi o tego księdza? – Paulina ruchem głowy wskazała ekran laptopa.

– Przecież nie ma pewności, czy on akurat nie stał tylko przypadkiem w pobliżu tej grupy.

– Sprawdziłam go – wtrąciła Baśka. – To kapelan tak zwanych środowisk patriotycznych.

– Przypadkiem rozmawiał z bandziorem, który na mnie napadł? – Paulina z wściekłością spojrzała na Pawła.

– A jaką masz pewność, że ten chłopak w ogóle jest z tego środowiska? Może akurat tylko tam stał? Poniosły go nerwy, bo go filmowałaś.

– Zaraz mnie szlag trafi…

– Ty stałaś pod transparentem „Zabierz różaniec od mojej macicy!”.

– I generalnie zgadzam się z jego treścią. – Paulina szarpnęła laptopa i odłączyła od niego swój telefon.

– Dobra! Dostaniesz grzeczną relację, w końcu byłam tam służbowo. – Wrzuciła komórkę do torby i zatrzasnęła pokrywę laptopa. – Ale komórka jest moja. Prywatna.

– Paulina…

– Nagranie bardzo chętnie pokaże każdy niezależny portal, a pewnie i „Wyborcza” ochoczo go puści. I to jeszcze dziś.

Paweł zmarszczył brwi i przez moment patrzył, jak Paulina wrzuca do torby wszystkie swoje manele. Po chwili ich spojrzenia się skrzyżowały.

W ciągu ostatniego roku zrobiła się strasznie harda. Prawdziwa wiedźma. Wolał ją chyba, kiedy pracowała u niego na umowę o dzieło i pisała teksty na zamówienie.

– Do mnie! – Wskazał ręką swój aneks. – Porozmawiamy spokojnie.

– O czym jeszcze chcesz rozmawiać?

– Paweł! Musimy podjąć decyzję w sprawie tego filmu – wtrąciła Baśka.

– Do mnie, powiedziałem! – Paweł odwrócił się i stanął w progu szklanej ściany oddzielającej jego prywatną zagrodę od otwartej przestrzeni redakcji. – Ty też! – Spojrzał na Baśkę.

Obie kobiety popatrzyły na siebie, przez krótką chwilę zdezorientowane. W końcu Baśka wzruszyła ramionami i weszła za Pawłem do jego aneksu.

Paulina z zaciśniętymi ustami przez moment wpatrywała się w blat biurka, po czym rzuciła torbę na krzesło i poszła za koleżanką.

*

Granatowa toyota land cruiser skręciła z drogi krajowej numer trzy, pokonała niestrzeżony przejazd kolejowy i wtoczyła się na wyasfaltowany niknący w głębi lasu dukt. Kilkadziesiąt metrów dalej odbijała w bok wąska przecinka, a w jej perspektywie, prosto jak strzelił, majaczyła fasada budynku. Drogi, która niegdyś była głównym dojazdem do posiadłości, od dawna nie użytkowano. Z otaczającego ją lasu zdążyły się już wysunąć rozczapierzone gałęzie sosen i młodych dębczaków i zawiesić się nad szutrową nawierzchnią niczym wyciągnięte szpony, usiłujące ponownie zagarnąć wyrwaną sobie własność. Toyota minęła dwa wielkie filary bramy, ukryte w gąszczu bezlistnych gałęzi, i potoczyła się dawną aleją wjazdową prosto w kierunku dworu.

Budynek był parterowy, pokryty wysokim dwuspadowym dachem, w którym równym szeregiem stały zabite dechami lukarny. Dokładnie pośrodku frontowej elewacji znajdował się podcieniowy ganek, wsparty na czterech kolumnach, na który wspinała się kaskada schodów. Do wnętrza prowadziły wysokie dwuskrzydłowe drzwi, zza których, spomiędzy połamanych ościeży, wyglądał na zewnątrz mrok.

Samochód minął szpaler kolumnowych żywotników i zatrzymał się na

podjeździe, tuż obok ogromnej czarnej panamery. Po chwili silnik toyoty umilkł i z auta wysiadł wysoki brunet. Przeciągnął się, po czym otworzył tylne drzwi i wydobył szarą pikowaną kurtkę. Naciągnął na głowę czarną czapkę i dopiero wtedy obszedł samochód dokoła i stanął przed maską błyszczącego brylantowym blaskiem porsche.

Igor Fleming przyjechał tu w sprawach zawodowych. Stary myśliwski dwór, pod którego zrujnowanymi pozostałościami dawnej świetności właśnie się znajdował, prawdopodobnie czekał na remont. Posiadłość niedawno ponownie zmieniła właściciela, a obecny miał wobec niej wielkie plany. To o nich chciał dzisiaj z Igorem porozmawiać. Godzina drogi ze Szczecina, biorąc pod uwagę intratny kontrakt, bardzo się opłacała. Zwłaszcza że nabywcą majątku był wieloletni inwestor Igora Rafał Borola, szczeciński przedsiębiorca i właściciel bliżej nieokreślonej liczby nieruchomości w Szczecinie i w tej części kraju. W mieście byli i tacy, którzy twierdzili, że w rękach Boroli znajduje się już połowa stolicy Pomorza.

Igor rozejrzał się dokoła. Borola mógł pójść na spacer po rozległym parku albo i dalej po lesie, wokół jeziora. Miał tu przecież przyjechać z rodziną. Pewnie nie chciało im się czekać pod dworem.

Sięgnął do kieszeni po telefon, żeby się zameldować, gdy zza rogu budynku dobiegł go tubalny głos udzielający komuś drobiazgowych instrukcji i po chwili na ścieżce ukazał się mężczyzna w eleganckiej czarnej kurtce, trzymający pod pachą grubą kartonową teczkę.

Gdy zobaczył Igora, pomachał do niego radośnie, rzucił jeszcze kilka słów do telefonu, schował go do kieszeni i ruszył w kierunku szerokich schodów przed głównym wejściem.

– I jak ci się podoba nowy nabytek?

Igor, który wciąż wpatrywał się w nieskazitelny lakier niemieckiego krążownika, pokiwał głową.

– Prześliczny.

– No, nie wiem. – Borola skrzywił się i zrobił kilka kroków do tyłu. – Jakiś taki prosty bardzo.

– Prosty? Jest ostentacyjnie paradny.

Borola się skrzywił i spojrzał na Igora.

– Ja przecież dwór mam na myśli.

Igor przestał przyglądać się masce samochodu i podążył za wzrokiem swojego inwestora.

– Może da się coś z tym zrobić? – Borola podniósł dłoń i narysował w powietrzu jakiś kształt. – Jakiś fronton dorobić albo kolumny?

Igor westchnął.

– Jest wpisany do rejestru zabytków. Możemy tylko przywrócić mu wygląd pierwotny.

– Wygląda jak barak – jęknął Borola. – Właściwie to kupiłem go ze względu na to miejsce i tych siedem hektarów parku nad jeziorem, i sąsiedztwo lasu. No i lokalizację przy głównej drodze Szczecin–Świnoujście, oczywiście. Ale dwór jest straszny. Myślałem, że może uda się go jakoś upiększyć.

Igor ponownie westchnął. Dwór rzeczywiście mógł wzbudzać mieszane uczucia. Wydłużona bryła, kryta prostym dwuspadowym dachem z rzędem zgeometryzowanych lukarn, laikowi mogła się wydawać brzydka. Do tego dochodziły lata zaniedbań oraz wcześniejsze przebudowy i zmiany, które wprowadzili użytkownicy dworu w latach powojennych. Wprawne oko mogło jednak łatwo dostrzec w architekturze budynku ślady zbrutalizowanego klasycyzmu, który zaczął dominować w Niemczech od początku lat trzydziestych za sprawą Alberta Speera, nadwornego twórcy Adolfa Hitlera. Tajemnicą było jedynie, jak to się stało, że ten totalitarny styl architektoniczny, zarezerwowany dla budynków użyteczności publicznej i obiektów wojskowych, spodobał się Richardowi von Flemmingowi, przedstawicielowi jednego z najstarszych i najzamożniejszych rodów pomorskich. W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku postawił tu dwór, przed którym właśnie stali.

– Słuchasz mnie?

Igor, wyrwany z zamyślenia, drgnął i lekko zdezorientowanym wzrokiem spojrzał na Borolę.

– Pytałem, czy nie można by chociaż jakichś dekoracji dodać. Profili, opasek wokół okien albo jakichś pilastrów? Może jakąś płaskorzeźbę?

Igor skrzywił się z niesmakiem.

– Poczekaj, aż zrobię wizualizację. Jak się przywróci stolarkę okienną, okiennice i zmieni ten podjazd, to budynek od razu nabierze wyglądu.

Borola bez przekonania przytaknął.

– Wejdźmy do środka. Powiem ci, jak planuję urządzić restaurację. Wszystko już sobie obmyśliłem.

Igor powlókł się za Borolą, pomny, że za chwilę pomysły jego inwestora zaczną się kolejno roztrzaskiwać o rafy przepisów budowlanych. Dobrze przynajmniej, że to nie jest starożytny Rzym, bo musiałby dać za to głowę.

Po chwili stali w hallu. Po jego lewej stronie łukową kaskadą wznosiły się na piętro schody zabiegowe, a raczej ich marne pozostałości. Na wprost rozciągała się wielka przestrzeń dawnej reprezentacyjnej sali, z której wychodziło się do ogrodu zimowego, a dalej na ogromny trawnik, który łagodnym spadkiem spływał na sam brzeg jeziora. Sala była otwarta do sąsiedniego salonu, w którym znajdowały się resztki zrujnowanego kominka z zachowanym herbem Flemmingów – wilkiem trzymającym w łapach klejnot. Wszędzie walały się resztki dawnego wystroju, pokruszone kafle ceramiczne, tynk, połamane fragmenty drewnianych dekoracji.

Igor, słuchając jednym uchem Boroli, który roztaczał przed nim swoje wizje wskrzeszenia dworu i uruchomienia eleganckiej restauracji, myślał jednocześnie o całkiem niedawnej historii pałacyku. Była tak samo tajemnicza jak nazistowskie gusta jego dawnego właściciela.

Po wojnie mieściło się tutaj, jak w prawie wszystkich dawnych majątkach na terenie kraju, państwowe gospodarstwo rolne. Niedługo potem urządzono we dworze harcerski ośrodek kolonijno-wypoczynkowy, aż wreszcie, w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia, posiadłość przeszła w prywatne ręce. Nowy właściciel urządził w niej hotel z dość popularną w tamtych czasach restauracją, a nieopodal dworu postawił nowy stylizowany budynek hotelowy. I zdawać by się mogło, że wszystko zaczęło się układać znakomicie, gdy któregoś dnia ośrodek został zamknięty. Z dnia na dzień dwór opustoszał, a właściciel wyjechał i wszelki ślad po nim zaginął. Opuszczone budynki bardzo szybko rozszabrowano. Włamywacze porozbijali okna i ukradli wszystko, co dało się wynieść, nie wyłączając fragmentów wystroju i dekoracji rzeźbiarskich. I wreszcie, kilka lat temu, wybuchł pożar, który strawił reprezentacyjne sale parteru. Z dawnego,

pięknie odrestaurowanego zabytku została smętna ruina.

– Czy ty mnie słuchasz?

Igor podniósł głowę i z roztargnieniem spojrzał na Borolę.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Mówiłem o tym, że to jest idealne miejsce na wesela. Kamień Pomorski, Wolin, Świnoujście. Pewnie ludzie będą rezerwować tutaj miejsce z rocznym wyprzedzeniem.

Igor pokiwał głową.

– Popatrz tylko na ten trawnik. – Borola stanął przy drzwiach tarasowych i wskazał ręką na ciągnącą się ku brzegowi jeziora zarośniętą płaszczyznę. Po obu jej stronach wielkie stare dęby pochylały rozłożyste, rozczapierzone konary.

– Na końcu postawi się baldachim, namioty. Białe obrusy, jakieś lodowe rzeźby. Śluby będą wyglądały jak z amerykańskiego filmu. Ludzie będą się zapożyczać, żeby tu wydać za mąż swoją córeczkę.

Igor, upewniwszy się, że jego towarzysz tego nie widzi, wzniósł oczy do nieba.

Borola szarpnął częściowo zabite dechami drzwi. Rozległ się zgrzyt pokiereszowanych kafli podłogowych i wyjście na ogród stanęło otworem. Do środka wpłynęło mroźne, orzeźwiające powietrze. Niebo nad taflą jeziora powoli ciemniało.

– Idziemy na brzeg. Opowiem ci jeszcze o czymś. – Borola zgrabnie ominął kawałki szkła i wyszedł.

Igor, rad nierad, naciągnął mocniej czapkę na uszy i ruszył za nim.

*

Paweł usiadł za swoim biurkiem, położył łokcie na blacie, oparł brodę na zaciśniętych pięściach i podniósł wzrok.

– Czy wam już kompletnie odbiło w tym lewacko-feministycznym zacietrzewieniu?

Paulina otworzyła usta, ale Paweł uciszył ją wściekłym machnięciem ręki.

– Dobra osobiste człowieka – wysyczał – a w szczególności zdrowie, wolność, ble ble ble, wizerunek, pozostają pod ochroną. „Ten, czyje dobro osobiste zostaje zagrożone cudzym działaniem, może żądać zaniechania tego działania”. Artykuły dwudziesty trzeci i dwudziesty czwarty Kodeksu cywilnego! Powinnyście znać je już na pamięć! Nawet policja nie publikuje wizerunków przestępców bez zgody sądu.

Paulina i Baśka spojrzały na siebie. Paulina sięgnęła po torebkę, wyjęła z niej plik kserokopii formatu A4 i rzuciła Pawłowi na biurko.

– Czy tobie w tym prawacko-faszystowskim otumanieniu nie przyszło do głowy, że to pierwsza rzecz, o jaką zapytałam Martę?

Zacisnęła usta i patrzyła, jak Paweł pochyla się nad kartkami.

– „Nie wymaga zezwolenia rozpowszechnianie wizerunku osoby stanowiącej jedynie szczegół całości, takiej jak zgromadzenia, krajobraz czy publiczna impreza”. Artykuł osiemdziesiąty pierwszy ustawy o prawie autorskim.

Pochyliła się nad biurkiem i wskazała palcem zakreślony czerwonym mazakiem ustęp.

– I dodatkowo… – uśmiechnęła się zjadliwie – „Kto używa przemocy lub groźby bezprawnej w celu zmuszenia dziennikarza do opublikowania lub zaniechania opublikowania materiału prasowego albo do podjęcia lub zaniechania interwencji prasowej, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech”. Artykuł czterdziesty trzeci prawa prasowego.

Przez chwilę panowała cisza. Paweł przez moment szeleścił kartkami, po czym podniósł oczy i spojrzał na Paulinę złym wzrokiem.

– To jest prawniczy bełkot. Myślisz, że nasze szefostwo będzie zainteresowane użeraniem się z prawnikami i procesem sądowym?

– A kto ma nas podać do sądu? – Paulina postukała się palcem w czoło. – Ten bandzior? A może ten klecha?

– Jesteśmy dziennikiem. – Paweł odwołał się do ostatecznych argumentów. – Nie tabloidem. Dostarczamy informacji, a nie sensacyjnych filmików, jak jakiś brukowiec. Musimy respektować pewne wartości.

– Jak masz zamiar tak bredzić, to ja od razu idę z tym do „Wyborczej”. – Paulina podniosła się z fotela i chwyciła swoją torebkę.

– Przestań mnie szantażować tym gównem! To nie ty potem musisz wysłuchiwać wrzasków i gróźb! Wiesz, kto od razu zacznie wydzwaniać do szefów z pretensjami?

Paulina podniosła do góry spódnicę i odsłoniła wielki fioletowy siniak, który powiększał się coraz bardziej na jej udzie.

– Facet szarpnął mnie i uderzył – powiedziała cicho. – Popchnął mnie tak, że wywróciłam się na ten cholerny beton przełomów pod tym pieprzonym aniołem wolności, a ty stajesz po jego stronie?

– Nie staję po żadnej stronie!

– Puścimy bez komentarza – odezwała się nagle Baśka.

– Co takiego? – Paweł spojrzał na nią zdezorientowany.

– Puścimy bez komentarza. Jedynie z informacją, że w proteście brali udział dziennikarze „Dziennika Szczecińskiego”. Resztę zrobią za nas ludzie na forum.

W pomieszczeniu znowu na moment zapanowała cisza.

– Świetny pomysł. – Paulina pokiwała głową. – Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że ferujemy wyroki czy oskarżamy kogoś, a na forum pewnie i tak po kilku minutach wywloką wszystko na ich temat.

Paweł przez dłuższą chwilę milczał. Z sali obok dochodziły strzępy rozmów.

– Dobra! – westchnął głośno. – Dobra, do diabła! Puszczamy! Ale jak dobiorą się nam do tyłków, to do końca roku będziecie pisały nekrologi.

– Nie zamieszczamy nekrologów. – Paulina uśmiechnęła się po raz pierwszy od początku rozmowy i podniosła się z fotela.

– Czekaj! – Paweł sięgnął do szuflady i wyjął notes. – To nie wszystko.

Baśka spojrzała na Paulinę i zmarszczyła czoło. Wstała z fotela i uśmiechając się triumfalnie, wyszła do głównej sali.

– Miałem to dać tej nowej, ale w takim razie za karę zrobisz to ty.

Paulina westchnęła. Miała złe przeczucia.

– Góra wymyśliła, że w kontekście tych wydarzeń i tych waszych protestów…

– Naszych?

– Nie zaczynaj! – Paweł podniósł wzrok. – Stwierdzili, że w kontekście tych feministycznych manif to będzie się dobrze komponowało. Napiszesz krótki cykl. Dwa, trzy artykuły na temat pomorskich czarownic.

Przez kolejną chwilę w gabinecie Pawła panowało milczenie.

– Chyba żartujesz? – Paulina uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Nie. – Paweł pokręcił głową z satysfakcją. – I zrobisz to szybko, tak żeby poszło w kolejnych odcinkach jeszcze w marcu. Dopóki gazety nadal o tym wszystkim piszą.

– Myślisz, że na tym proteście się skończy? Że przestaną pisać? Dopóki rząd nie zmieni tej swojej absurdalnej, zakłamanej, podyktowanej hipokryzją i obskurantyzmem retoryki pod adresem kobiet i nie wycofa tych absurdalnych projektów na temat…

– Paulina!

– Co Paulina?

– To ma pójść w marcu! Najpóźniej do świąt! Trzy, cztery artykuły. Co tydzień. A wy możecie sobie protestować do Gwiazdki nawet.

*

Park dworski, mimo że sam dwór został wybudowany na początku dwudziestego wieku, miał kompozycję czysto barokową. Całość rozpięta była na linii prostej osi kompozycyjnej, która zaczynała się na bramie wjazdowej, a kończyła nad brzegiem jeziora. Znajdował się tu taras ziemny, podtrzymywany przez kamienny mur oporowy, po którego obu stronach spływały nad samą wodę schody z granitowych bloków. Obejrzawszy się do tyłu, można było podziwiać długą, okoloną koronami starych drzew fasadę pałacyku. U stóp muru rozbijały się teraz o brzeg cicho szemrzące fale, a nad lasem powoli zapadał zmrok.

Choć w ciągu dnia marcowe słońce dość mocno przygrzewało, wieczorem zrobiło się przeraźliwie zimno.

Igor podniósł kołnierz kurtki i wsadził ręce do kieszeni.

– Popatrz tam! – Borola wyciągnął palec w kierunku wystających

drewnianych kikutów, ledwie widocznych nad lustrem wody. – Tam był kiedyś pomost. I to jeszcze za Niemców. W latach osiemdziesiątych go tylko wyremontowali. Teraz zdziczała swołocz z okolicy wszystko wyrwała.

– Pomost to akurat najprościej odbudować.

– A tam – Borola machnął ręką w kierunku masywu drzew po zachodniej stronie polany – za tymi dębami, blisko wsi, jest taki nieduży dom. To była kiedyś rządcówka. Zastanawiam się, czy nie skłonić jakoś właścicieli do jej sprzedania. Przydałby się taki budynek na uboczu, w którym mógłbym zakwaterować pracowników albo szefostwo.

Igor przez moment zastanawiał się, czy określenie „skłonić do sprzedania" nie zabrzmiało jakoś złowrogo, ale doszedł do wniosku, że jeśli tak, to tym bardziej lepiej nie kontynuować tego tematu.

– A co w końcu z tym zrujnowanym dworem Raminów za Tanowem? Miałeś tam sobie urządzić dom, a ja miałem dostać zlecenie na jego remont. I co?

Borola wykrzywił twarz ze złością.

– Lepiej o tym nie mów – warknął. – Prawie pół roku negocjowaliśmy z Parsov Park, żeby to kupić, a jak już wszystko było zapięte, to, kurwa, właściciel umarł.

– Heinrich von Parsov nie żyje? – Igor otworzył oczy ze zdumieniem.

– No, on miał prawie dziewięćdziesiątkę. – Borola wzruszył ramionami. – Nic dziwnego w zasadzie. A co cię to tak zainteresowało? Znałeś go?

– Nie, no skąd. – Igor wciągnął powietrze nosem i zasłonił twarz ręką.

Borola, czekając, aż Igor wytrze nos i schowa opakowanie chusteczek higienicznych do kieszeni, patrzył na niego podejrzliwie.

– No przecież opowiadałeś mi o nim, a poza tym prasa pisała. – Igor wzruszył ramionami. – Czyli co? Z kupna tamtych ruin nic nie wyszło?

Borola pokręcił głową.

– Spadkobiercy Parsova nie chcieli pozbywać się tej nieruchomości, więc, póki co, nadal jestem praktycznie bezdomny.

Igor parsknął pod nosem. Pomyślał, że jeśli definicja bezdomności to gigantyczna willa z basenem na Osowie, to nie miałby nic przeciwko temu,

żeby także być bezdomnym.

Okłamał Borolę. Znal Parsova. Niecałe dwa lata temu, na skutek śledztwa dziennikarskiego jednej takiej, wpadli na ślad zaginionego majątku szczecińskiej loży masońskiej. W szczecińskich podziemiach. Wplątali się wówczas w poważne kłopoty, a Parsov i jego banda wynajętych zbirów, którym, jak się okazało, stanęli na drodze, chcieli się ich pozbyć.

Westchnął. Następstwa tamtych wydarzeń wciąż się za nimi ciągnęły.

– Chcę przeszukać jezioro. Wystąpiłem już o wszystkie pozwolenia. Mam też sprzęt i nurków. Oficjalnie będziemy prowadzić badania czystości dna i wody po latach wylewania tutaj gnojówki z obór we wsi.

Igor, wciąż pogrążony we wspomnieniach niedawnych wydarzeń ze Szczecina, nie od razu zarejestrował, co do niego powiedział Borola, ale słowo „oficjalnie” w końcu zadźwięczało w jego głowie jak alarm.

– Oficjalnie? Dlaczego oficjalnie? A co nieoficjalnie chcesz tutaj robić?

– Nie domyślasz się? – Borola uśmiechnął się ironicznie z tajemniczą miną.

Igor wydął usta. Przez dłuższą chwilę patrzył na Borolę, a potem spojrzał na ciemniejące wody jeziora. I nagle się domyślił.

– Żartujesz? – Spojrzał wstrząśnięty na swojego uśmiechającego się radośnie inwestora.

– Nikt nigdy tego nie zrobił. Wyobrażasz sobie? To znaczy, tutejsi mieszkańcy coś tam próbowali. – Borola skrzywił się lekceważąco. – Nurkowali z rurkami albo zarzucali jakieś sieci, ale nikt nigdy niczego nie znalazł.

– Ale skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

– Kupić ten dwór, nad tym jeziorem, i tego nie zrobić? To tak jakby kupić zamek Urquhart nad Loch Ness i nie szukać Nessie. Poza tym, nawet jak niczego nie znajdziemy, to zrobimy z tego w mediach kampanię reklamową dla przyszłego zajazdu.

Borola uśmiechnął się radośnie.

Igor, który zorientował się, że od dłuższej chwili nie wierzy własnym uszom, głośno przełknął ślinę. Pomyślał, że to już pewne, iż ciąży nad nim

jakieś fatum. Dopiero co wspominał dramatyczne wydarzenia sprzed dwóch lat i tropienie depozytu szczecińskiej loży, a teraz właśnie Rafał Borola poinformował go beztrosko, że zamierza prowadzić poszukiwania…

– Wyobrażasz sobie? Nie dość, że miejsce jest fantastyczne na restaurację, to jeszcze nagłośnimy jej powstanie, wypuszczając do prasy przecieki o poszukiwaniach w jeziorze zaginionego skarbu katedry kamieńskiej…

*

U samego wylotu Dąbskiego Nurtu na Regalicę, przy brzegu Sadlińskiej Łąki, nazywanej potocznie Wyspą Robiena[3], kołysała się niewielka łódź kabinowa. Na brzegu, na wąskim pasie utwardzonego gruntu, stały dwa znaki żeglugowe, nakazujące zachowanie szczególnej ostrożności podczas wpływania na Regalicę – główną drogę wodną. Nad wodą powoli zapadał zmierzch. Niebo na wschodzie i północy zrobiło się ciemne, a nad miastem pojawiła się łuna tysięcy zapalających się świateł. Wąska wydeptana ścieżka prowadziła od brzegu do miejsca, w którym niegdyś stała leśniczówka Paula Robiena, słynnego przed wojną „rewolucjonisty przyrody”. Na niewielkiej polance znajdowały się oczyszczone z samosiewów fundamenty budynku, a na zachowanych schodach wznosiła się kamienna tablica pamiątkowa. Miejsce to od dawna było popularnym celem wycieczek szczecińskich wodniaków, przypływających na wyspę, żeby złożyć kwiaty.

Niewielka grupka, która zawitała tutaj kilkanaście minut temu, właśnie szykowała się do powrotu. Mężczyzna, ubrany w grubą czarną bluzę od dresu i sztormiak, odwiązywał zaplątaną wokół obalonego konara linę, a szczupła blondynka usiłowała okiełznać dwóch ganiających po pokładzie chłopców.

– Trochę za późno się tu wybraliśmy. Zaraz będzie ciemno – rzuciła do wchodzącego na pokład łódki męża.

– I co z tego? – odburknął. – Do przystani jest pięć minut.

– Dwadzieścia konkretnie.

– Nawet jakby było ciemno jak w d…

– Jacek!

– …to i tak nie ma najmniejszej nawet szansy, żebyśmy się zgubili. – Mężczyzna dokończył wśród śmiechów synów. Odepchnął łódź od brzegu

bosakiem i stał przez moment, patrząc, jak zielonoszare nabrzeże powoli oddala się od burty.

Łódka odpłynęła może na dwa metry. Mężczyzna właśnie się odwrócił, żeby uruchomić silnik, gdy rozległo się głuche uderzenie, a krypa łagodnie odwróciła się rufą w stronę brzegu.

– Zaczepiliśmy o jakiegoś gałęziora! – wrzasnął jeden z chłopców i dopadł do prawej burty. Brat natychmiast znalazł się obok niego.

– Odsuńcie się! – Ojciec chłopców wziął do ręki bosak i wbił go w dno obok łódki. Przez chwilę mocował się, usiłując odepchnąć łódź od brzegu.

– To przy rufie – mruknął. Odwrócił się i wyjrzał. Pod silnikiem widać było ciemny kształt, a wokół niego poszarpany sznur, który zaplątał się o ster.

Mężczyzna wsunął bosak do wody i zaczął rozplątywać linę.

– Co za cholerstwo. Ludzie wyrzucają do wody nie wiadomo jakie rzeczy. Powinno się to karać więzieniem.

– Zobaczmy, co to jest! – Jeden z chłopców oparł ręce na ławeczce przy burcie, wyglądając ciekawie na zewnątrz.

– Może to skarb tego Robiena? – Brat klęknął obok niego i oparł głowę o reling.

Z kabiny wyjrzała ich matka i z niepokojem obserwowała poczynania synów.

– Odsuńcie się, bo któryś z was wypadnie.

– Oj, mamo…

– Odsuńcie się! – z irytacją rzucił mężczyzna. – Słuchać, co matka mówi!

– Nie mów przy nich o mnie „matka”!

– Cholera jasna! Nie mów mi, co mam mówić! – Mężczyzna szarpnął bosakiem i zaczął ciągnąć ciemny kształt na powierzchnię. Po chwili na wodzie ukazał się brezentowy worek z zawiązanym na końcu sznurem. Szarpnięcie musiało poluzować węzły, a może rozwiązały się one już wcześniej, poruszane przez prąd.

Mężczyzna skrzywił się i silniej pociągnął bosakiem. Worek rozwiązał się jeszcze bardziej i wtedy kobieta, która właśnie stanęła nad głowami synów,

krzyknęła na cały głos, podnosząc dłonie do twarzy. Jej głos, zwielokrotniony przez echo, poniósł się po wodzie.

– Natychmiast do kabiny! – Blady jak ściana ojciec krzyknął do chłopców, którzy w całkowitym milczeniu, jak zahipnotyzowani, wpatrywali się w unoszący się na wodzie kształt. – Do środka, powiedziałem! Dzwoń na policję! – rzucił do żony, która stała oniemiała i wpatrywała się w wodę za rufą.

Z oplątanego liną worka wystawała ręka.

Trupio blada, miejscami sina i pozbawiona dłoni.

Rozdział 2

Gdy Paulina dojechała do domu, zrobiło się już całkiem ciemno. Wąska spokojna uliczka, ocieniona starymi lipami, była pogrążona w ciszy, a w oknach domów paliły się światła. Wieczór był zimny, ale w powietrzu wyczuwało się już ten nadchodzący moment, gdy drzewa i rozrośnięte wylewające się z ogrodów krzewy wybuchną świeżutką zielenią, ukrywając w niej zabudowę dzielnicy.

Pierwszym, co zrobiła po wejściu do domu i poczochraniu obskakującego ją z entuzjazmem wielkiego długowłosego owczarka niemieckiego, było zadarcie spódnicy przed lustrem w łazience i dokładne zlustrowanie strat. Po kilku godzinach siniak zdążył się już rozlać w wielką fioletową plamę. Wyglądało na to, że z basenu w najbliższym czasie raczej nic nie będzie. Z seksu także. Westchnęła, zgasiła światło i weszła do kuchni, żeby pomyśleć o jakiejś kolacji.

Na żaden seks się zresztą nie zanosiło. Po zeszłorocznych wrześniowych wakacjach, gdy o niczym wcześniej nie mówiąc, jej chłopak przyjął ofertę kontraktu w Wielkiej Brytanii, poważnie się pokłócili. To Mateusz zaproponował, żeby podczas jego dwutygodniowego pobytu w Londynie nad wszystkim się zastanowili i przemyśleli, co ich łączy, ale to ona spakowała wówczas wszystkie swoje rzeczy i wyniosła się z jego mieszkania na Podzamczu. Mimo że w gniewie zarzekała się, że ma go już dość i czas najwyższy, żeby zniknął z jej życia, w praktyce okazało się to jednak trudniejsze, niż myślała. Byli ze sobą w końcu już sześć lat. Z przerwami wprawdzie, ale to jednak szmat czasu, który nie tak łatwo wymazać z pamięci.

Westchnęła i wyciągnęła z szafki czerwony pękaty kubek.

No i Igor…

Problem w tym, że nie była gotowa na nowy związek, a już na pewno nie na nowy burzliwy związek. Relacje z Mateuszem miała pogmatwane. Niby

się rozstali, a niby nie rozstali. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że związek z Igorem – przy założeniu, że on w ogóle byłby zainteresowany, co też nie było znowu takie pewne – oznaczałby nie tyle wpadnięcie z deszczu pod rynnę, co z deszczu w sam środek burzy z piorunami. Z jednej strony potrafił ją błyskawicznie zirytować swoją pewnością siebie i arogancją, ale z drugiej czekała na każde spotkanie z nim. A spotykali się dość często, bo od kilku miesięcy łączyło ich coś na kształt interesów. Po wakacjach w Darłowie, chociaż to określenie było raczej mało adekwatne do zeszłorocznych wrześniowych wydarzeń, wraz z przyjaciółmi z Londynu zawiązali pewne stowarzyszenie, a właściwie spółkę, której szumna nazwa Sedinum Exploration spędzała obecnie sen z powiek wielu wysoko postawionym osobom w Kopenhadze i Szczecinie. Za pośrednictwem prawników usiłowali właśnie wymóc zgodę władz na prowadzenie poszukiwań pewnych artefaktów, na których ślad natknęli się na dnie morza w duńskiej strefie ekonomicznej i w podziemiach Szczecina. Biorąc jednak pod uwagę bezwład administracyjny urzędów obu miast, nie zanosiło się na to w najbliższej przyszłości.

Paulina wyłączyła gwiżdżący głośno czajnik. Zalała wrzątkiem herbatę, wsypała łyżeczkę cukru i usiadła przy kuchennym stole, wpatrując się w okno.

Po tych cholernych wakacjach myślała nawet, głupia, że coś między nimi może zacząć iskrzyć. Tylko że on albo był chłodno zdystansowany, albo robił sobie żarty z Mateusza. Sama nie wiedziała, co gorsze. No dobra, cały czas opowiadała mu o Mateuszu, w kółko go zanudzała swoimi zwierzeniami pełnymi żółci, że Mateusz jest niereformowalny, że to pracoholik, że jest taki, że jest owaki… A Igor pokpiwał sobie z korporacyjnej lojalności Mateusza i czasem ją rozśmieszał, a czasem irytował. W pewnym momencie jego atakowanie Mateusza zaczęło ją drażnić. Pokłócili się raz czy dwa, w dodatku w necie, pisząc do siebie. Oczywiście wiedziała, że w internecie nigdy nie należy poruszać istotnych kwestii, bo prawie zawsze i prawie z każdym prowadzi to do kłótni. Taka rozmowa była pozbawiona podstawowych elementów komunikacji – tonu głosu, mimiki, uśmiechu – i przez to szybko stawała się walką o przekonanie do swoich racji. A często połowa tego, co się pisało w zdenerwowaniu, umykała, nie było czasu na poprawne formułowanie zdań, pojawiało się mnóstwo niedopowiedzeń.

Tylko co innego wiedzieć, a co innego zrobić. Po którejś z kolei kłótni Igor zarzucił jej, że jest od Mateusza uzależniona. Że jest tego typu kobietą, która, nawet jak partner zacznie ją źle traktować lub co więcej bić, usprawiedliwia go i atakuje wszystkich starających się otworzyć jej oczy. Zabolało ją to oczywiście i oczywiście rozwścieczyło. Bo kto to mówił? Były mąż swojej cholernej żony!

Nie odzywali się później do siebie przez miesiąc. Cały styczeń. Najgorszy miesiąc w roku, w którym statystycznie jest najwięcej samobójstw.

Czy to możliwe, że sama go do siebie zraziła? Chociaż, gdyby rzeczywiście był jakoś bardziej zainteresowany, to chyba powinien mieć więcej cierpliwości. Sam przecież wie najlepiej, jak ciężko jest wyleczyć się z kilku lat wspólnego życia, wspólnych wyjazdów, żartów, miejsc, w których się bywało. Że ciągle daje się sobie kolejne szanse, mimo że za każdym razem kończy się to coraz gorzej.

Potrząsnęła głową ze złością. Może to i lepiej. Nie chciała o tym wszystkim myśleć.

Sięgnęła po torbę i wyjęła z niej teczkę z krótkim planem artykułów, wymyślonym przez szefostwo jej gazety. Miała nadzieję, że Paweł poprze jej pomysł na demaskatorski, ilustrowany przypadkowym nagraniem artykuł na temat stowarzyszeń pro-life i tym podobnych, a on zamiast tego wcisnął jej konspekt na cykl tekstów o pomorskich czarownicach.

Niechętnie otworzyła teczkę, rzuciła okiem na pierwszą stronę, po czym westchnęła i sięgnęła po kubek z herbatą.

W tym kontekście gorszy byłby chyba jedynie cykl artykułów o kołach gospodyń wiejskich.

*

Restauracja mieściła się w niepozornym budynku, a właściwie w pawilonie przypominającym barak, którego okres świetności przypadał na lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku. Na zarośniętym wewnętrznym dziedzińcu zachowały się nawet obite deskami pulpity imitujące dachy i siermiężna, charakterystyczna dla tamtych lat, metaloplastyka. Wnętrze było natomiast z innego świata – na siłę wtłoczono do niego sosnowo-

dworkową przytulność, którą miały tworzyć drewniane ławy i obite barwną tkaniną fotele. Z okien widać było szeroko rozlewającą się Dziwnę i wielki pusty parking, oświetlony stylizowanymi latarniami. W ich mlecznej poświacie prószyły wymieszane z deszczem płatki śniegu. Zimno robiło się na sam widok.

Igor wzdrygnął się i oderwał wzrok od ciemnego okna. Wnętrze oświetlone kiczowatymi żyrandolami, ogrzane kominkiem oraz wielkim paleniskiem grilla, na którym skwierczały już szaszłyki i pieczone kartofle, emanowało ciepłem.

Rafał Borola zżymał się wprawdzie, że zatrzymują się u konkurencji, a kilkanaście kilometrów dalej w stronę Szczecina mogli przecież zjeść w należącej do niego przydrożnej gospodzie, ale Beata Borola była nieugięta. Synowie mieli ochotę na pizzę, a w ich karczmie jej nie podawali.

Igor patrzył z mieszanymi uczuciami na talerze na sąsiednich stołach. Jedzenie serwowano tutaj doskonałe, ale w żaden kreatywny sposób nie można było nazwać go zdrowym czy dietetycznym. Noworoczne postanowienia o zrzuceniu kilku kilogramów z okolic paska oczywiście już dawno przestały być aktualne. Czas oszukiwania się w tej kwestii mijał zazwyczaj wraz z końcem stycznia. Ale teraz był już marzec i pojawiła się kolejna motywacja – nadchodzący sezon plażowy. Pieczone ziemniaki z chrupiącą skórką oraz szaszłyki z przepysznymi plastrami słoniny były jednak jak walec, rozjeżdżający fantazje o płaskim brzuchu na cieniutki placek.

– A na tej plaży, przy tych pomostach, postawi się takie łodzie wikingów. – Borola od dobrych piętnastu minut roztaczał przed Igorem swoje wizje planowanej przebudowy dworu. – A wzdłuż trawnika będą płonące pochodnie. Wieczorami to będzie wyglądało po prostu zajebiście. We wnętrzu też można by zrobić jakieś takie akcenty z czasów wikingów.

Igor, rozkoszując się kolejnym kęsem pieczonego ziemniaka, w roztargnieniu pokiwał głową, zanim dotarło do niego, co właśnie usłyszał.

– Jakie akcenty z czasów wikingów? – parsknął. – Nazistowski neoklasycyzm z międzywojnia. Zachowały się nawet niektóre elementy wystroju, a ty chcesz to obić jakimiś deskami?

– No zaraz deskami. Przecież można jakoś pomyśleć, żeby połączyć jedno

z drugim. Co to szkodzi? Wolin z tym całym festiwalem i wioską wikingów jest o rzut kamieniem. Trzeba wykorzystać ten potencjał.

– I jeszcze do tego zaginiony skarb z katedry kamieńskiej.

– Właśnie! – przytaknął Borola z entuzjazmem.

Igor westchnął. Ironiczny komentarz przeszedł niezauważony.

– Dogadałem się już z nurkami ze Szczecina. Poszukiwania planuję uruchomić zaraz, jak tylko zaczniemy wstępne prace porządkowe.

– Po omacku? – Igor spojrzał na Borolę z niedowierzaniem. Na załatwienie zgody na prace porządkowe w obiekcie wpisanym do rejestru zabytków potrzeba było z miesiąc. „Już zaraz” zabrzmiało mocno optymistycznie.

– No, mam pewne ekspertyzy. – Borola zmarszczył brwi. – Wiadomo, że nie ma potrzeby szukania w północnej części jeziora, bo to mało prawdopodobne, że Niemcy tam zatargali skrzynie.

– Czyli chcesz po prostu pogrzebać przy brzegu koło dworu?

– Jeśli skrzynie ze skarbami utopiono w jeziorze, to tylko z łodzi, które zabrano z pomostów przy dworze. W rachubę wchodzi zatem południowy i zachodni brzeg oraz środek jeziora.

– A wschodni brzeg?

– Od wschodu leży wieś. – Borola wzruszył ramionami. – Hasso von Flemming nie ryzykowałby raczej topienia skrzyń ze skarbami pod samym nosem wieśniaków.

Igor wpakował do ust kolejny kęs szaszłyka. Przeszło mu przez myśl, że jeżeli poszukiwanie skarbu katedry kamieńskiej, przy całej beznadziei tego pomysłu, jest jedynie szytą grubymi nićmi akcją promocyjną dla nowego hotelu i restauracji, to może rzeczywiście nie jest to najgłupsza koncepcja. Prace zaczną się na wiosnę. Jak znał Borolę, część robót zostanie wykonana, jeszcze zanim dostaną pozwolenie na budowę. Jak wszystko pójdzie dobrze, to na jesieni otworzą lokal, w końcu dwór nie jest taką kompletną ruiną. Dachy stoją, stropy są nienaruszone. A poszukiwanie skarbu w sezonie ogórkowo-wakacyjnym będzie rzeczywiście doskonałą reklamą.

– Skoro już rozmawiamy o tym skarbie, to muszę ci coś zdradzić. – Borola ściszył głos i pochylił się nad stołem.

Żona rzuciła mu ironiczne spojrzenie i zagadnęła o coś synów.

Borola przez chwilę milczał, wpatrując się intensywnie w swojego rozmówcę.

Igor wsadził do ust kawałek pieczonego ziemniaka i tylko uniósł brew. Projekt projektem, ale nie miał najmniejszego zamiaru zdradzać się z jakimkolwiek zainteresowaniem tymi bzdurami.

– Słyszałeś o Sedinum Exploration?

Igor w tym momencie się zakrztusił.

*

Paulina z niechęcią patrzyła na leżącą przed nią ofertówkę z wpiętymi dwiema stroniczkami formatu A4. Tak zwany pomysł na artykuł, który ktoś ważny wymyślił na naradzie na samej górze. Z reguły tego nie robiono. Dziennikarze najbardziej na świecie nienawidzą pisania na podsuwane im tematy, najczęściej od początku mające tezę, którą trzeba tylko udowodnić. Tutaj taka teza oczywiście też była, choć mocno zawoalowana. Ze spisanych krótkich haseł, które pewnie rzucali mędrcy z sali konferencyjnej w ramach burzy mózgów, jawiła się śmiała hipoteza, jak dobrze jest dzisiaj kobietom, jak wiele mają ułatwień i jak bardzo ich życie różni się od życia ich prababek. Wszystko to w kontekście strasznego losu nieszczęśnic spalonych na stosie. Na przykładach regionalnych procesów. Nikt się nawet nie pokwapił, żeby to jakoś zredagować. Paulina, czytając konspekt po raz trzeci, dotarła do kilku złotych rad i oczywiście po raz trzeci poczuła irytację. „Bez zbytecznego epatowania okrucieństwami i fizjologią”, „bez nieudokumentowanych zarzutów pod adresem Kościoła”, „z dystansem”. Na koniec ktoś dorzucił jeszcze jeden postulat, którego jednak sam do końca nie był pewny, bo hasło było wyposażone w pytajnik – „Może w nieprzesadnie poważnym tonie?”.

Westchnęła i sięgnęła po kubek z herbatą. Chciałaby się dowiedzieć, który z lokalnych dyrektorów lub członków zarządu wymyślił ten ostatni punkt. Nieprzesadnie poważnie, czyli jak? Jakiś żartobliwy akcent w kontekście tortur? Może coś śmiesznego o miażdżeniu stóp albo łamaniu kołem? I o jakie epatowanie fizjologią chodzi, do cholery?

„Dziennik Szczeciński” był wydawany przez niewielką grupę wydawniczą działającą głównie na terenie Pomorza. Miał oddziały we wszystkich większych miastach regionu i centralę ulokowaną w Warszawie. Nigdy wcześniej nie mieli żadnych problemów z utrzymaniem niezależności opinii czy swobody pisania tekstów, chociaż wiadomo, że tarcia z redaktorami naczelnymi zawsze się zdarzały, i tylko czasami ktoś wpadał na pomysł kreatywnego nawiązywania do aktualnych wydarzeń. Nie dałaby zresztą głowy, czy części punktów nie dopisał Paweł. Na wiele spraw mieli kompletnie różne poglądy, ale na szczęście jego skończony koniunkturalizm zawsze wygrywał z prawomyślnością, dzięki czemu, jak do tej pory, jakoś udawało im się pokonywać rafy politycznych i społecznych natręctw, nakręcanych przez kolejne watahy rozmaitych degeneratów.

Paulina dolała sobie herbaty z czajniczka, zabrała kubek, a po krótkim namyśle także talerzyk z ciasteczkami korzennymi i, objuczona jeszcze teczką z prawdami objawionymi w najwyższej sali konferencyjnej, ruszyła do gabinetu ojca. Pod jego nieobecność zawsze najchętniej tam pracowała.

*

Igor wytarł usta serwetką i dopiero wtedy spojrzał na Borolę, który świdrował go wzrokiem. Ostrożnie pokręcił głową.

– Krótko mówiąc – Borola pochylił się jeszcze bardziej nad stołem i ściszył głos – pewna zachodnia firma Sedinum Exploration prowadzi utajnione rozmowy z władzami województwa w sprawie zgody na rozpoczęcie jakichś poszukiwań.

Przez chwilę panowało milczenie. Słychać było tylko harmider, który dochodził od sąsiednich stolików, i głosy siedzących po drugiej stronie długiego stołu synów Boroli.

– Skąd ty o tym wiesz? – zdecydował się w końcu zapytać Igor.

Miał mętlik w głowie. Jak te informacje mogły się wydostać na zewnątrz? Rozmowy, które prawnicy Johanna i jego przyjaciół prowadzili z prezydentem, obłożone były klauzulą absolutnej poufności. Jak Borola się o tym dowiedział? Gdy pół roku temu wraz z przyjacielem z Londynu oraz grupą wspólnych znajomych założyli spółkę w celu prawnego usankcjonowania poszukiwań w szczecińskich podziemiach i na wodach

Danii, głównym warunkiem jego i Pauliny było utrzymanie w tajemnicy ich udziału w tym przedsięwzięciu. Pomijając fakt, że tajemnica w ogóle była wskazana ze względu na to, żeby do podziemi nie ruszyła nagle cała sfora poszukiwaczy szczecińskiego złotego pociągu.

Jak Borola się o tym dowiedział?

Wszystko zaczęło się od dziennikarskiego śledztwa Pauliny Weber, która, co należało jej przyznać, miała wyjątkowego nosa do odkrywania rozmaitych zamierzchłych afer. Poznali się dwa lata temu podczas poszukiwań majątku loży masońskiej, w które najpierw dał się wciągnąć on, a zaraz później Johann Carley, potomek jednego z członków owej loży. W rok później spotkali się już z własnej woli. W Darłowie, dokąd Johann z przyjaciółmi przypłynęli jachtem. I znowu artykuł Pauliny i jej uporczywe śledztwo wciągnęło ich w kryminalną awanturę, tym razem związaną z wrakami okrętów na Bałtyku.

– Mam swoje źródła. – Borola uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Zbliżone do prezydenta? – Igor miał nadzieję, że jego pytanie zabrzmiało zupełnie niewinnie.

– Powiedzmy. Po prostu jedni ludzie rozmawiają z innymi, a ci inni z jeszcze innymi.

– Czyli, po prostu, to są zwykłe plotki?

– Zaraz plotki. Zastanów się. Co to znaczy, jeśli jakaś firma zajmująca się poszukiwaniem skarbów nagle zaczyna prowadzić rozmowy z prezydentem i wojewodą?

– Wojewodą? – Igor szeroko otworzył oczy. Z tego, co wiedział, reprezentująca ich interesy angielska kancelaria Carmondeley & Chatfield Ltd. nie prowadziła żadnych rozmów z wojewodą.

– Wiem, że prezydent wielokrotnie naradzał się z wojewodą. Jeździł także ostatnio na Wolin kilka razy…

– W sprawach współpracy drogowej.

– E tam… – Borola ze zniecierpliwieniem pokręcił głową. – W tych sprawach to jeżdżą jego zastępcy. Zrobiliśmy małe rozeznanie i wiesz, co się okazało?

Igor siedział bez ruchu i wpatrywał się w uśmiechającego się triumfalnie

Borolę.

– Jeden z założycieli tej firmy poszukiwawczej nazywa się Flemming!

Przez chwilę panowała cisza, a Igor miał nadzieję, że wyraz jego twarzy zasłużył na określenie kamiennego.

– Ja też nazywam się Fleming – zaryzykował w końcu żart i uśmiechnął się ostrożnie. – O czym to ma niby świadczyć?

– Ale ty jesteś jakiś polski Fleming. – Borola lekceważąco wzruszył ramionami. – Pomyśl, jeśli potomek Flemmingów z Europy Zachodniej najwyraźniej usiłuje załatwić zgodę na prowadzenie poszukiwań, o czym to świadczy?

– O czym?

– O tym, że pewnie negocjują z naszymi władzami warunki ujawnienia miejsca ukrycia skarbu z katedry kamieńskiej. To oczywiste.

Igor wpatrywał się w Borolę w osłupieniu. Odetchnął po tym, co usłyszał, ale i tak poczuł na czole kropelki potu. Przed chwilą wydawało mu się, że cała ich ukrywana tak skrzętnie tajemnica za moment wyjdzie na jaw. Skoro wyciekło tyle, to za chwilę może się okazać, że wszyscy w Szczecinie będą wiedzieć o podziemiach i odkrytym przez nich tajnym spisku loży masońskiej. Wszelkie negocjacje z miastem staną się wówczas znacznie trudniejsze. Już widział te nagłówki – „Tajne negocjacje władz miasta z nazistami i zakamuflowaną opcją niemiecką ze Szczecina”. W zasadzie można było się spodziewać, że tak właśnie skończą się rozmowy z prezydentem. Szlag!

– I tylko dlatego, że domniemany udziałowiec tej spółki Sedinum coś tam nazywa się Fleming, wyciągnąłeś tak daleko idące wnioski?

Borola przez chwilę milczał, jakby się zastanawiał, czy coś powiedzieć.

– Nie tylko dlatego – mruknął w końcu, rozglądając się na boki. – Jest jeszcze parę innych kwestii, ale opowiem ci o nich kiedy indziej. W innym miejscu. Tu nie jest bezpiecznie.

Igor pomyślał, że chyba za szybko odetchnął z ulgą.

*

Początek zawsze jest najważniejszy. To sukces każdego dłuższego artykułu. Przesądza o tym, czy ktoś zechce przeczytać kilka szpalt, czy odłoży tekst po paru linijkach. Zwłaszcza dzisiaj, gdy ogromna rzesza ludzi czyta wyłącznie nagłówki lub tytuły na Facebooku, nawet bez otwierania linku. Paulina od dłuższej chwili siedziała i wpatrywała się w monitor. Oczywiście temat pomorskich czarownic od razu uruchamiał wszystkie wielokrotnie opisywane hasła – inkwizycję, prześladowania, niekończące się spory o to, czy ofiar było kilka milionów, czy kilka tysięcy. Jakoś pewnie należało do tego nawiązać, nie było rady, nawet uwzględniając sugestie półgłówków z zarządu. Ale jak to zrobić w nietuzinkowy sposób? W sieci była gigantyczna liczba materiałów na ten temat, okazało się nawet, że o pomorskich czarownicach pisało już kilka gazet. Historia Sydonii von Borck, najsłynniejszej pomorskiej czarownicy, która przeklęła ród Gryfitów i tym samym doprowadziła do upadku księstwa, była siłą rzeczy najlepiej znana, ale było także sporo innych tekstów. Jedna z gazet jakiś czas temu wypuściła nawet krótki cykl artykułów na temat procesów o czary na Pomorzu. Paulina przejrzała jeszcze kilka linków, zajrzała na parę blogów oraz portali i, zmęczona, spojrzała w okno. Wyciągnęła się na wysokim oparciu skórzanego fotela i zamyśliła się. Zanim dojdzie do tych pomorskich czarownic, musi jednak napisać, jak to wszystko się zaczęło.

Za początek inkwizycji uważa się niekiedy bullę *Ad ebolendam haeresim*[4], którą papież Lucjusz III wydał na synodzie w Weronie w 1184 roku. Bulla była w rzeczywistości owocem studiów nad kodeksami cesarzy rzymskich Teodozjusza III i Justyniana I Wielkiego, wówczas już nieco zapomnianymi i odkrytymi ponownie w wyniku nasilającej się ekspansji herezji w Europie. Kodeksy uznawały herezję za zbrodnię obrazy majestatu i nakazywały karanie jej śmiercią. Herezja na początku drugiego tysiąclecia stała się bowiem niebezpiecznym ruchem, który, odrzucając doktryny Kościoła, podważał w istocie także podstawy ówczesnego porządku społecznego, a więc system feudalny, na którego utrzymaniu zależało Kościołowi, oraz hierarchiczną strukturę monarchii papieskiej. W 1244 roku papież Grzegorz IX zdecydował o ostatecznym rozwiązaniu kwestii katarskiej, ruchu, który rozprzestrzenił się na południu Francji i poważnie zagrażał pozycji Kościoła na tych terenach. Powodem jednak głównym,

a może tylko pretekstem, stało się zamordowanie przez katarów papieskich inkwizytorów, wysłanych na miejsce z misją ewangelizacyjną.

Dopiero gdy inkwizycja okrzepła, dostojnicy Kościoła zdali sobie sprawę, jak potężnym narzędziem dysponują, by utrzymać pospólstwo w posłuszeństwie. Procesy skazanych za herezję stały się ściągającymi tłumy widowiskami, które miały odgrywać rolę zastraszającą. Ofiary prowadzono w uroczystym orszaku, w towarzystwie księży i ze śpiewem pokutnych pieśni na ustach. W Hiszpanii i we Włoszech skazańcowi golono głowę i nakładano mu strój hańby, czyli kaftan z jego imieniem oraz wymalowanymi diabłami i ogniem piekielnym. Do ust wpychano mu zaś knebel, żeby na stosie nie przeklął swoich oprawców. Tak na przykład 17 sierpnia 1600 roku spłonął na placu Campo de'Fiori w Rzymie włoski filozof Giordano Bruno.

Czary i czarownicy nie interesowali Kościoła do początków XIV wieku. Na mocy wydanej jeszcze w 906 roku przez papieża Sergiusza III instrukcji *Episcopi* wszelkie przemiany w dzikie bestie, spółkowanie z szatanem, lewitacja, nocne sabaty czy wróżbiarstwo traktowane były jedynie jako iluzja. Uparcie w niej tkwiących Kościół kazał tylko pouczać, w najgorszym wypadku wypędzać z gmin lub ekskomunikować. Tę sytuację zmieniła dopiero wydana w 1344 roku przez papieża Jana XXII bulla *Super illius specula*[5], która wszelkie czarownictwo zaliczyła do herezji, dając jednocześnie inkwizytorom nowe pole do działania.

Sto lat później, 5 grudnia 1484 roku, papież Innocenty VIII wydał bullę *Summis desiderantes affectibus*[6], która potępiała szerzącą się rzekomo w dolinie Renu plagę czarów oraz herezji i nadawała szczególne uprawnienia na terenie Niemiec dwóm inkwizytorom: Heinrichowi Kramerowi i Jakobowi Sprengerowi, autorom wydanego w 1487 roku traktatu *Malleus Maleficarum*, czyli *Młot na czarownice*, przerażającego, okrytego najczarniejszą niesławą podręcznika z instrukcjami dla morderców i psychopatów.

*

Igor z irytacją patrzył na Borolę, pochylonego nad talerzem żurku. Wiadomo przecież, jak bardzo irytujące jest wspomnienie o czymś w trakcie rozmowy, a następnie dodanie słów w rodzaju „ale o tym wolę nie mówić" lub coś w tym stylu. Jako że rozmowa przed chwilą zahaczyła o sprawy, co

do których Igor był święcie przekonany, że nie wyjdą na jaw, tym bardziej ciekawiło go, co Borola miał na myśli, przebąkując coś o „innych kwestiach, o których opowie kiedy indziej”.

– Jakie inne kwestie? – nie wytrzymał w końcu i zapytał.

Borola podniósł wzrok znad talerza i skrzywił się.

– Naprawdę lepiej o tym wszystkim porozmawiać spokojnie kiedy indziej.

– Czy to dotyczy tej zachodniej firmy poszukiwawczej?

– Jezu! Aleś się uparł.

– No bo zaczynasz coś mówić i nie kończysz.

– Dobra. – Borola odsunął pusty talerz i sięgnął po serwetkę. – Powiem ci tylko ogólnie.

Igor pochylił się i oparł łokcie na stole. Spojrzał w bok na żonę Boroli, która, nauczona pewnie wieloletnim doświadczeniem trzymania się z dala od spraw męża, siedziała w sporej odległości i prowadziła ożywioną rozmowę z synami.

– Kojarzysz taką sprawę sprzed lat? W przedwojennej willi w Szczecinie policja znalazła ukrytą w bunkrze kolekcję bezcennych dzieł sztuki.

Igor pokiwał głową. Pamiętał. Pisała o tym cała prasa ogólnopolska.

W dwa tysiące czwartym roku w jednym z ilustrowanych tygodników ukazał się sensacyjny artykuł pod tytułem „Gdzie jest Rafael?”. Tekst dotyczył nieznanych losów dzieł sztuki, które, zrabowane z muzeów, wiejskich rezydencji i kościołów, czasem pojawiały się na rynku, wydobywane ze skrytek i strychów w całym kraju. Autor wspomniał o pokutujących od lat w środowisku kolekcjonerów plotkach, jakoby jeden ze szczecińskich zbieraczy posiadał w swojej kolekcji autentyczne obrazy Rafaela. O sensacji, opublikowanej zresztą w sezonie ogórkowym, zapomniano by pewnie szybko, gdyby nie to, że siedem lat później życie dopisało do tej historii ciąg dalszy. W lipcu dwa tysiące jedenastego roku na komisariat policji w Szczecinie zgłosiła się kobieta, informując o kradzieży dzieł sztuki ze swojego domu. Miała ze sobą nagraną płytę. Zdumionym policjantom ukazała się kolekcja obrazów i rzeźb kościelnych, z których

część miała sygnatury muzealne. Zgodnie z procedurami, natychmiast powiadomiono o tym Krajowy Zespół ds. Zabytków Komendy Głównej Policji. W kilka dni później Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które prowadzi rejestr strat wojennych, powiadomiło Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Szczecinie, że jeden z obrazów najprawdopodobniej został skradziony z muzeum w Katowicach. Poinformowana o tym prokuratura wydała nakaz zabezpieczenia całej kolekcji. I w ten sposób, kilka dni później, wstrząśnięci inspektorzy Muzeum Narodowego oraz służb konserwatorskich zobaczyli na własne oczy zbudowany na tyłach przedwojennej willi dwukondygnacyjny betonowy bunkier, w którym, w licznych skrytkach, za przesuwanymi ścianami, zdeponowany był zbiór prawie trzystu obrazów z okresu od wczesnego renesansu po niemiecki barok, świeczników liturgicznych i rzeźb sakralnych. Postępowanie prokuratury, mimo że brały w nich udział Interpol oraz międzynarodowe specjalistyczne agencje zajmujące się zaginionymi dziełami sztuki, nie dowiodło, że pochodzą one z kradzieży. Tak więc, rok później, cała kolekcja, jedynie z wyjątkiem grafiki Józefa Czajkowskiego, która wróciła do muzeum w Katowicach, ponownie znalazła się w rękach właścicieli.

– A wiesz, co było potem? – Na twarzy Boroli zagościł tajemniczy uśmieszek, który oczywiście z miejsca zirytował Igora.

– Nic potem nie było. – Wzruszył ramionami. – Z tego, co słyszałem, cztery płótna Rafaela okazały się całkiem dobrymi kopiami. Z dziewiętnastego wieku.

– Posiadacz kolekcji, emerytowany murarz, właściciel zakładu budowlanego ze złotego okresu PRL, a według rodziny wybitny kolekcjoner amator, z ogromną wiedzą na temat sztuki, w którymś momencie dostał wylewu. Wkrótce oczywiście rozpoczęła się batalia pomiędzy spadkobiercami, a staruszek w dodatku miał dwie żony…

– To przecież wiadomo. O tym także pisała prasa.

– Według świadków część kolekcji zniknęła jeszcze przed jej odkryciem przez policję. Nie było na przykład wielkiego zbioru Nikiforów, które właściciel ponoć kupił jeszcze w latach sześćdziesiątych, a także kolekcji

biżuterii. Żona również cały czas utrzymywała, że część zbiorów została skradziona.

– A co to w ogóle ma wspólnego z tym wszystkim, o czym mówiliśmy? – Igor nagle przypomniał sobie temat przewodni rozmowy.

– Właśnie do tego zmierzam…

– W głowie mi się nie mieści, jak zdołałeś połączyć tę kolekcję obrazów z bunkra za domem w Szczecinie z jakąś zachodnią ekipą eksploratorów i ze skarbem z katedry kamieńskiej. Powinieneś napisać książkę w stylu Dana Browna.

Borola popatrzył na Igora ze zniecierpliwieniem.

– Jak pozwolisz mi dokończyć, to może do tego dojdziemy.

Igor ugodowo pokiwał głową i ponownie oparł łokcie na blacie stołu.

– Pół roku temu w znanym warszawskim domu aukcyjnym miała się odbyć aukcja kilkudziesięciu obrazów z okresu od szesnastego do osiemnastego wieku. Dosłownie kilka minut przed rozpoczęciem aukcji do budynku wkroczyła policja i zaanektowała całość kolekcji. Potem się okazało, że miało to związek z doniesieniem spadkobierczyń kolekcji z bunkra właśnie, które pośród wystawionych dzieł dopatrzyły się obrazów skradzionych ze zbiorów ich ojca.

Igor się zasępił. O tym nic nie słyszał. Nie śledził dalszych losów tych zbiorów. Zresztą po zdementowaniu plotek o obrazach Rafaela przestała się nimi interesować także prasa.

Nagle coś go tknęło.

– Zaraz, zaraz. Pół roku temu? – Spojrzał na Borolę podejrzliwie. – To ty już wtedy interesowałeś się tymi sprawami? Myślałem, że dopiero, gdy kupiłeś ten dwór, czyli niecały miesiąc temu.

– W dalszym ciągu uważam, że akcja promocyjna to doskonały pomysł. – Borola uśmiechnął się pod nosem. – To żaden kant. Ale temat zainteresował mnie dokładnie dwudziestego drugiego września zeszłego roku. Zaraz po tej nieudanej aukcji, gdy wszystkich nas grzecznie wyproszono na zewnątrz.

Igor spojrzał na niego zdumiony.

– To ty tam byłeś?

Borola pokiwał głową.

– Chciałem kupić jeden taki obraz. Kobieta z gołębiem na tle Florencji chyba. Włoski malarz Simone Pignoni. Tylko że na miejscu okazało się, że na to płótno zasadziło się tam więcej takich jak ja. Mieli je zacząć licytować jakoś od dwudziestu tysięcy. Kupa ludzi skrzętnie przeliczała banknoty, a tu tymczasem taka okropna afera.

– Ale coś się wyjaśniło z tymi obrazami? Rzeczywiście były kradzione?

– Oczywiście, że nic się nie wyjaśniło. Dom aukcyjny grozi pozwem, prokuratura twierdzi, że wszystkie procedury były prawidłowe, a tymczasem wszystko to śmierdzi na kilometr. Nawet widziałem, że wśród kupujących kręcił się jeden taki polityk z naszego regionu.

Igor patrzył na Borolę z niedowierzaniem. Nie dlatego oczywiście, że nigdy nie podejrzewałby swojego najlepszego inwestora o udział w takich imprezach. Wprost przeciwnie, domyślał się raczej, że jest on zdolny nie do takich awantur. Ale fakt, że to wszystko według niego teoretycznie miało wiązać się ze skarbem z katedry kamieńskiej, czyniło z tej sprawy jakąś groteskową historię z pierwszych stron najgorszych brukowców. Taką, do których zazwyczaj dokleja się zdjęcia jakichś indywiduów z czarnymi paskami na oczach.

Patrzył na Borolę zamyślony, tak że dopiero po chwili dotarły do niego jego ostatnie słowa.

– Polityk z Pomorza? Który?

– A taka tam kanalia.

Ta krótka charakterystyka odpowiadała tak wielu wybitnym indywidualnościom regionu, że Igor oczywiście nadal nie miał zielonego pojęcia, o kogo może chodzić. Po namyśle stwierdził, że to akurat najmniej interesujące.

– Ale co z tą katedrą, na miłość boską?

– Jaką katedrą? – Borola spojrzał na niego.

– No z tym skarbem, co to go zamierzasz szukać w jeziorze. Od godziny gadasz o jakichś obrazach, a nadal nie powiedziałeś, co jedno z drugim ma wspólnego.

– Rafał, absolutnie musimy już jechać – dyskretnie, ale stanowczo,

odezwała się nagle małżonka Boroli. – Chłopcy jutro idą do szkoły, a mamy jeszcze z godzinę drogi.

– Pół godziny. Góra czterdzieści minut, a nie żadną godzinę – burknął Borola i odwrócił się w kierunku barku.

– Już zapłaciłam.

– Spotkamy się jutro, to opowiem ci więcej. – Borola dźwignął się od stołu i sięgnął po płaszcz. – Pomyśl nad terminami i wyceną projektu.

Igor westchnął z rezygnacją i także wstał. Zdjął z wieszaka kurtkę i skierował się do wyjścia, w którym właśnie, przepychając się i śmiejąc, znikali synowie Boroli.

Dał się wmanewrować w tę rozmowę, ale musiał przyznać, że temat nawet go zaciekawił. Historia niesamowitej szczecińskiej kolekcji, a zwłaszcza jej finał, zawsze budziła w nim raczej niesmak niż zainteresowanie, ale jej ciąg dalszy w warszawskiej galerii był dość niespodziewany. Równocześnie zastanawiał się, czy przypadkiem Borola, w ten podstępny sposób, nie dokonuje właśnie inauguracji swojej kampanii reklamowej. Jego kosztem.

Wsiadł do samochodu. Silnik zamruczał i toyota powoli wytoczyła się z rzęsiście oświetlonego parkingu, a po chwili wjechała na główny trakt i przez pusty o tej porze most nad Dziwną ruszyła w kierunku drogi krajowej do Szczecina.

*

Paulina przetarła oczy. Pomyślała, że czytanie o wymyślnych torturach i technikach przesłuchań w średniowieczu nie jest raczej najlepszą lekturą na wieczór. Przesunęła myszkę i pozamykała kilka okien przeglądarki, otwartych w trakcie szukania informacji. Prawie na samym spodzie była strona z linkami na temat czarów i czarownic, którą otworzyła jako pierwszą. Już chciała ją zamknąć, gdy jej uwagę przykuł jeden z podanych adresów. Jakaś księgarnia internetowa oferowała do sprzedaży książkę pod tytułem *Czary i czarownictwo na Pomorzu*, materiały z konferencji naukowej w 2007 roku w Marianowie pod redakcją Arlety Majewskiej. Otworzyła link i zobaczyła zieloną okładkę z reprodukcją jakiegoś upiornego obrazu. Kilka pozycji dalej w ofercie wydawnictwa była kolejna książka – *Czarownice*

z Pomorza i Kujaw autorstwa Anny Koprowskiej-Głowackiej. Nie znała tych pozycji, ale przyszło jej do głowy, że mogą się znajdować w bibliotece ojca. Kupował wszystko, co wydawano na temat Szczecina i Pomorza. Podniosła się i podeszła do regału pod przeciwległą ścianą pokoju. Ojciec miał wszystko poukładane według działów. Na trzech półkach były pozycje dotyczące historii, niżej albumy i przewodniki, a na trzech kolejnych półkach różnorodne książki na temat regionu. Sąsiedni regał w całości wypełniały pozycje dotyczące II wojny światowej. Paulina kucnęła i zaczęła wertować książki na niższych półkach. Zielona okładka z drukowanymi białymi literami na grzbiecie od razu rzuciła jej się w oczy. Jest!

Wyciągnęła cienką broszurę i otworzyła na przypadkowej stronie. Czarno-biała grafika przedstawiała starą kobietę w podartej sukni, przykutą łańcuchem do kamiennej ściany i leżącą na posadzce celi. W tle widać było drewniane, wzmocnione pasowymi okuciami drzwi.

Westchnęła. Super. Pomyślała, że jeśli chodzi o lekturę na wieczór, to wpadła akurat z deszczu pod rynnę. Przejrzała resztę półek, ale drugiej książki z księgarni internetowej nie znalazła. Podniosła się i wróciła do biurka. Po chwili namysłu wpisała szybko swoje dane oraz adres i kliknęła okienko „do koszyka”. Witryna obiecała, że książka powinna być za dwa dni.

Paulina przeciągnęła się i dopiero teraz poczuła, że jest zmęczona. W dodatku stłuczenie na udzie i biodrze rzeczywiście zaczęło ją boleć. Zgarnęła z biurka kubek z resztką zimnej herbaty, wzięła pod pachę broszurę o czarownicach i myśląc o tym, że w apteczce ma chyba jeszcze resztkę ketonalu, zaczęła się wspinać po schodach na piętro.

*

Dąbski Nurt to wąski przesmyk łączący Regalicę z jeziorem Dąbie. Oddziela on dwie niezamieszkane wyspy – Radlińskie Łąki oraz Czapli Ostrów, będące siedliskami ptactwa i rezerwatami przyrody. Od strony Szczecina, pomiędzy innymi wielkimi wyspami Międzyodrza – Ostrowem Grabowskim i Wyspą Pucką – dopływa tutaj Parnica. Dalej na północ rozlewa się jezioro Dąbie z kolejnymi wyspami – Dębiną, Czarnołęką, Radolinem i najdalej wysuniętą Wyspą Mewią. Na południe zaś, za częściowo użytkowanymi rolniczo terenami Wyspy Puckiej, rozciąga się

ogromny archipelag wysp i kanałów, nazywany Kurowskimi Błotami oraz, w dalszej części, Parkiem Krajobrazowym Dolnej Odry. To głównie dzięki tej wielkiej zielonej przestrzeni, która od czerwca pokrywa się nieskończonymi dywanami kwitnących nenufarów, Szczecin zyskał niemiłosiernie wykpiwaną przez mieszkańców medialną nazwę „Pływających ogrodów[7]". W maju jednak, gdy ruszają wypożyczalnie kajaków, wystarczy pół godziny, by z samego centrum miasta przenieść się w krajobraz przypominający dorzecze Amazonki i zabłądzić pomiędzy kanałami, których przebieg i kształt nieustannie się zmienia na skutek rozrastającej się w niekontrolowany sposób zieleni. Zupełnie inaczej wygląda jednak to miejsce w nocy, gdy kompletne ciemności spowijają porośnięte szuwarami brzegi, a ze wszystkich stron dobiegają głosy ptaków i rozmaitych nadwodnych stworzeń. Miasto wydaje się wówczas bardzo odległe.

Przy brzegu pogrążonej w mroku Wyspy Robiena kołysały się na wodzie trzy policyjne motorówki z włączonymi szperaczami, oświetlającymi nabrzeże i szeroki pas wody wzdłuż szuwarów. W ich świetle grupa policjantów w granatowych kurtkach i żółtych sztormiakach, wychylając się przez burty, przeczesywała dno przesmyku. Na brzegu kilku policjantów robiło to samo, wbijając w dno długie bosaki i przeszukując przybrzeżną roślinność. Trochę dalej, na polance przy ścieżce do ruin leśniczówki, na zwalonym pniu siedziało przerażone małżeństwo. Ich łódka została przed chwilą zaanektowana na potrzeby dochodzenia. Pomiędzy nimi tkwili dwaj zaaferowani chłopcy, którzy szeroko otwartymi oczami obserwowali wszystko dokoła, starając się niczego nie przegapić. Przy samym brzegu, trochę na obrzeżu epicentrum wydarzeń, stali dwaj mężczyźni, jeden ubrany w policyjny mundur referatu wodnego komisariatu Szczecin-Międzyodrze, drugi w cywilnej kurtce, z nasuniętą głęboko na kark czarną wełnianą czapką.

– Koszmar. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. – Cywil pokręcił głową i spojrzał na przykryty czarną płachtą niewielki pagórek na środku polanki. – Kurczę, myślałem, że to będzie zwykły topielec.

– Przyjrzałeś się w ogóle? Możesz coś stwierdzić?

– Zwłoki są w takim stanie, że nic nie da się na razie powiedzieć. Potrzebna jest sekcja. To robota dla patologa. Jak przywiozą tych

z kryminałki, to niech się tym zajmą.

– Powinni zaraz być. Czekali na dyżurnego prokuratora, żeby go przywieźć. Szybciej dopłynąć tutaj motorówką, niż przebić się samochodem przez centrum do przystani. – Policjant głośno wciągnął powietrze. – Korpus bez głowy i rąk. Pewnie żeby nie można było zidentyfikować.

– Myślisz, że to jakieś mafijne porachunki?

– A czyje? Na sto procent. – Mężczyzna wzruszył ramionami i spojrzał w kierunku zwłok. – Ale czemu akurat tutaj? Mogli je utopić w jakimiś mniej uczęszczanym miejscu.

– Nie wybebeszyli trupa. – Lekarz westchnął. – Gazy gnilne w jamie brzusznej nieco odciążyły ładunek i pewnie zniósł go tutaj prąd.

Policjant pokręcił głową z niesmakiem.

– Chyba jednak nie chciałem tego wiedzieć.

Rozdział 3

Gdzieś na początku czwartego wieku, kiedy miało to miejsce, dokładnie nie wiadomo, od brzegów Kornwalii odbiła ogromna flota rzymskich galer. Na pokładzie jednej z nich, a mogła to być zwrotna, poruszana mięśniami stu kilkudziesięciu wioślarzy oraz wielkim kolorowym żaglem trirema[8], wyruszyła w swoją ostatnią podróż rzymsko-brytyjska księżniczka Urszula. Jej ojciec – król Brytów Donaut – wydał ją za mąż za legendarnego królewicza Conana Meriadoca z Bretanii i to do niego właśnie zmierzała. Księżniczce towarzyszyło dziesięć najbliższych, zaufanych dwórek oraz orszak dziesięciu tysięcy dziewic służebnych. W połowie drogi, na środku przeprawy wiele lat później nazwanej kanałem La Manche, rozpętał się potężny sztorm, który zniósł całą flotę daleko na wschód, do galijskiego portu u ujścia Renu. Księżniczka Urszula wraz z całą swoją dziewiczą świtą wpadła tam w łapy niemogących pewnie uwierzyć w swoje szczęście Hunów, którzy, przez opanowane przez barbarzyńców prowincje, uprowadzili ją do Kolonii. Według innych źródeł Urszula postawiła przyszłemu mężowi warunek, że zanim do niego przyjedzie, uda się wraz z całym swoim orszakiem na pielgrzymkę do Rzymu i dopiero w czasie powrotu została pojmana przez Hunów i wywieziona na północ.

Legenda głosi, że odrzuciła tam zaloty Attyli, na skutek czego wraz ze wszystkimi swoimi towarzyszkami została zamordowana. Historię tę rozpowszechniły średniowieczne podania, według których na przedmieściach ówczesnej Kolonii odnaleziono ogromną liczbę kobiecych szczątków. W miejscu tym, ku czci zmarłej męczeńską śmiercią księżniczki, wybudowano kościół pod wezwaniem świętej Urszuli. W przylegającej do niego kaplicy, nazywanej Złotą Komnatą, do dzisiaj spoczywają relikwie zamordowanych kobiet.

I to tutaj dopiero zaczyna się zupełnie inna historia.

Według któregoś z późnych żywotów świętych,

przypisywanego arcybiskupowi Kolonii z dziesiątego wieku Geronowi, jedną z owych dziesięciu najbliższych dwórek księżniczki Urszuli była Kordula. Jako jedynej udało jej się uciec katom Attyli i ukryć na którymś z okrętów. Dręczona wyrzutami sumienia, na drugi dzień sama oddała się w ręce Hunów i tym samym podzieliła los swoich towarzyszek. Wiele lat później jej szczątki zostały złożone w kościele Świętego Jana w Kolonii, a następnie jako relikwie trafiły do wielu kościołów w Europie. Jedna z relikwii, a konkretnie górna część czaszki świętej, trafiła do niewielkiego księstwa nad Bałtykiem. Do ogromnej ceglanej katedry nad brzegiem Zatoki Kamieńskiej.

I pozostała tam do końca drugiej wojny światowej.

*

Toyota przemknęła przez oświetlony wysokimi latarniami odcinek wylotowy z węzła drogowego nad Dziwną i wjechała w mrok drogi w kierunku Troszyna. Tylne światła panamery Boroli migotały czerwono jakieś trzydzieści metrów dalej.

Pomysły Boroli oczywiście irytowały Igora. To całe szukanie skarbu w jeziorze, zamiana starej pomorskiej tajemnicy w komercyjną awanturkę dla hotelowych gości. Ale zdawał sobie sprawę, że jedynie komercja jest w stanie przyciągnąć ludzi do zagadek z przeszłości, a tym samym do historii Pomorza. Może więc nie był to taki zły pomysł? Zawsze to jakaś promocja regionu, nawet jeśli za pomocą takich głupawych happeningów.

Westchnął i poprawił się na siedzeniu. Czekała go godzina za kierownicą. W radiu leciał właśnie jakiś modny kawałek, który słyszał już dzisiaj z pięć razy.

Pomyślał, że znowu daje się wkręcić w jakąś dziwaczną inwestycję. Projekt renowacji dworu to oczywiście sama przyjemność, ale fakt, że będzie musiał jakoś pogodzić nietuzinkowe pomysły swojego inwestora z charakterem zabytkowego domostwa Flemmingów, napełniał go niepokojem. Znowu będą niezbędne jakieś kompromisy, do których w dodatku, występując jako adwokat diabła, będzie musiał także przekonać służbę konserwatorską. Westchnął i odsuwając od siebie myśli o pracy, zaczął sobie przypominać rozmowę, którą przed chwilą odbył z Borolą. Kryminalna afera ze szczecińską kolekcją obrazów w tle, a do tego zaginiony

skarb z katedry kamieńskiej, w mediach nazywany często skarbem świętej Korduli. W jaki sposób Borola zdołał połączyć jedno z drugim? Czego on się mógł dowiedzieć w tej Warszawie? No chyba że wyciągnął takie same pośpieszne wnioski jak z odkrycia, że skoro za Sedinum Exploration kryje się jakiś Fleming, to od razu akurat musi chodzić o tę historię. Uśmiechnął się pod nosem.

Na horyzoncie pojawił się masyw lasu wokół Troszyna. Rozciągały się tam w okolicach podmokłe tereny, bagniska, a wśród nich leżały dwa spore jeziora. Poczuł, jak w jego pamięci odżywają czytane wiele razy opisy tamtych wydarzeń.

*

Do katedry kamieńskiej od północnej strony przylega jedyny taki w Polsce zachowany wirydarz. Powstał on na początku czternastego wieku jako miejsce kontemplacji oraz pochówku biskupów i kanoników. Okolony gotyckimi krużgankami, porośnięty ogromnymi kilkusetletnimi drzewami, prawdziwy tajemniczy ogród, a raczej średniowieczne symboliczne wyobrażenie rajskiego ogrodu. Krótko po powstaniu wirydarza nad jego wschodnim skrzydłem zbudowano pomieszczenia dla kanoników – cztery połączone amfiladowo sale, nakryte krzyżowo-żebrowymi sklepieniami i oświetlone wysokimi ostrołukowymi oknami, przez które światło wpadało do wnętrza długimi, jasnymi ostrzami przypominającymi miecze średniowiecznych rycerzy. Jeszcze w wiekach średnich, chociaż nie wiadomo dokładnie kiedy, kanonicy przenieśli się do innego budynku, a cztery gotyckie komnaty przeznaczono na skarbiec, w którym godne miejsce znalazły, gromadzone już wówczas od stuleci, bezcenne zbiory kamieńskiej katedry. Najcenniejszym z nich była szkatuła zdobiona okuciami w postaci smoków ze złoconego brązu. Zbudowano ją z misternie rzeźbionych tafli, wykonanych – w zależności od źródła opisu – z poroża łosia, kości słoniowej lub kłów morsów. Od średniowiecza służyła jako relikwiarz i to w niej właśnie złożono szczątki świętej Korduli. Szkatuła powstała w dziesiątym wieku w warsztacie skandynawskim, w stylu charakterystycznym dla sztuki wikingów, prawdopodobnie jako szkatuła na biżuterię. Jedna z legend głosi, że wykonano ją na zlecenie Swena Widłobrodego, władcy Danii, Norwegii i Anglii, który miał ją podarować swojej żonie Świętosławie, córce Mieszka

I, nazywanej przez wikingów Storradą.

Według najstarszych zachowanych spisów inwentaryzacyjnych z połowy piętnastego wieku, przez kilkaset lat zgromadzono w skarbcu katedralnym ponad tysiąc niezwykłych eksponatów, bezcennych dzieł sztuki, kielichów i szat liturgicznych, a także rzeźb sakralnych i obrazów z warsztatów całej Europy i Bizancjum. O zawartości skarbca krążyły legendy. Pośród innych bezcennych artefaktów rzekomo miały się tutaj znajdować bicz, którym Jezus przepędził kupców ze świątyni jerozolimskiej, trąba, na której Izraelici grali przed przejściem przez Morze Czerwone czy koszula i trzewik Marii Panny. Część z tych skarbów rozproszyła się po wprowadzeniu na Pomorzu reformacji, część trafiła do zbiorów Gryfitów w ich zamkach, część do innych świątyń. O tym, jak gigantyczne bogactwo wciąż mogło się w nim jednak znajdować, świadczy pośrednio decyzja Wielkiego Elektora Brandenburskiego Wilhelma Fryderyka, który w 1682 roku kazał przewieźć najcenniejsze arcydzieła do Berlina. A przecież to, co pozostało, wciąż było najwspanialszą kolekcją dzieł sztuki średniowiecznej w północnej Europie. Do końca wojny znajdowało się tutaj sześćdziesiąt przedmiotów o niemożliwej do oszacowania wartości materialnej i kulturowej, po wielokroć przewyższające pod względem wartości słynną bursztynową komnatę, w której cieniu zaginiony pod koniec wojny skarb kamieński pozostał jednak na zawsze.

*

Gdy Igor mijał malutką osadę zaraz za Wolinem, znów zaczął padać śnieg. Wielkie białe płatki sypały na szosę, migocząc w przednich światłach reflektorów toyoty. Igor w zamyśleniu patrzył na pracujące rytmicznie wycieraczki. Po chwili po obu stronach drogi pojawił się gęsty las. Za masywem dębów i sosen, po lewej stronie szosy, leżało polodowcowe jezioro. To tam stał dwór, po którego wnętrzach przechadzał się niecałe dwie godziny temu. Na wysokości przejazdu przez tory Igor zwolnił. Zobaczył, jak tylne światła panamery Boroli szybko się oddalają i znikają w mroku.

O tym, jak zbiory katedralne przepadły, czytał już niejeden raz. Było wiele różnych teorii, często wykluczających się wzajemnie. Sprzeczne relacje przedstawili nawet bezpośredni uczestnicy tamtych wydarzeń.

Rekonstruowanie tego, co stało się całe lata temu, oczywiście nie mogło być precyzyjne. Pamięć ludzka jest zawodna.

Jeszcze w czasie wojny, zaraz po pierwszych nalotach na niemieckie miasta, ówczesne władze zadecydowały o ukryciu wszelkich skarbów kultury w małych wiejskich kościołach i zamkach. W maju czterdziestego drugiego roku skarbiec kamieński, zapakowany w skrzynie, trafił do majątku hrabiego Hasso von Flemminga w Benicach. Trzy skrzynie ze zbiorami katedralnymi złożono w pałacu, a bezcenne zabytkowe wyposażenie katedry, między innymi ołtarz z XV wieku oraz kilkanaście renesansowych portretów, w dwóch wielkich kufrach, trafiło do benickiego kościoła. Cały ten majątek przeleżał tam prawie trzy lata. Do momentu, gdy u granic Pomorza stanęła Amia Czerwona.

Droga rozszerzyła się i zamieniła w wielki węzeł komunikacyjny, oświetlony wysokimi latarniami, w świetle których widać było prószące płatki śniegu. Igor zwolnił. W prawo odbiegał zjazd, którym można było zawrócić i starą drogą wzdłuż lasu znowu jechać szosą na Wolin. Kierowany impulsem wrzucił kierunkowskaz i toyota potoczyła się łagodnym łukiem, wspinając się na estakadę nad trasą krajową na Szczecin.

*

W kompletnych ciemnościach, w nocy piątego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, z podjazdu przed starym pałacem w niewielkiej wsi nieopodal Kamienia Pomorskiego wyruszyła kawalkada wozów, wyładowanych po brzegi dobytkiem.

Jeden z nich, ciągnięty przez dwa ciężkie perszerony, nakryty rozpiętą na stalowym rusztowaniu plandeką, wyglądał jak wóz amerykańskich osadników z Dzikiego Zachodu.

Pozostałe zaprzęgi, przy których strzygły uszami, gniade, kare i białe pociągowe chabety, ciągnęły wozy drabiniaste, na których wznosiły się góry pozawijanego w prześcieradła majątku. Gdzieś na boku stał wielki traktor lanz bulldog, nad którym z pękatego komina unosił się kłąb dymu. Kilku mężczyzn jechało konno, a wśród nich Hasso von Flemming, właściciel pałacu, z którego przed samym wyjazdem wyniesiono i ukryto pomiędzy walizkami i tobołami na wozach kilka wielkich kufrów. Ostatni kufer

załadowano do wnętrza ciągniętego przez dwa wałachy, zadaszonego plandeką wozu, którym jechało kilka kobiet z małymi dziećmi.

Hasso von Flemming ściągnął wodze i zatrzymał się. Na końcu alei wjazdowej do pałacu majaczyły światła palące się w pomieszczeniach parteru. W majątku został zarządca z kilkoma pomocnikami oraz spora grupa polskich pracowników, którzy na początku wojny trafili tu ze Wschodu. Hasso rzucił ostatnie spojrzenie na pogrążony w ciemności park. Nie wiedział, kiedy tu wróci. Czy będzie do czego wracać. Armia Czerwona na swojej drodze pozostawiała zgliszcza. Rosjanie wdarli się na Pomorze już miesiąc temu, gdy doszło do przełamania frontu na Wale Pomorskim w okolicach Wałcza. Od tego momentu nieprzerwanie parli do przodu, zdobywając kolejne miasta i wsie. Tej nocy 2 Front Białoruski pod wodzą Konstantego Rokossowskiego dotarł już do oddalonego zaledwie o dziesięć kilometrów Golczewa.

Hasso popuścił wodze wałacha i ruszył kłusem za kawalkadą wozów. Od wielu dni usiłował wymóc na lokalnych władzach NSDAP zgodę na ewakuację wsi, ale odpowiedź była wciąż ta sama – należy bronić ojczyzny! Uciekinierom, którzy pozostawiali gospodarstwa i bez zgody gauleitera uciekali na Zachód, groziło oskarżenie o zdradę i kara śmierci. W dodatku większość mężczyzn ze wsi po drodze od razu mogła zostać wcielona do Volkssturmu[9]. Zgoda na wyjazd przyszła prawie w ostatniej chwili, kiedy Rosjanie byli dosłownie tuż za progiem. Wiadomość dostał późnym wieczorem, a o godzinie trzeciej w nocy wyruszyli. Wybrali dłuższą drogę przez Rzewnowo i Dobropole. Trasa w kierunku Golczewa przez Niemice i Dargoszewo byłaby może i krótsza, ale po pierwsze, pchaliby się prosto w łapy Rosjan, a po drugie, tamtejsze dukty były w znacznie gorszym stanie. Marcowe roztopy, błoto. Maksymalnie obciążone dobytkiem wozy utknęłyby w pierwszej dziurze.

Karawana dotarła do skrzyżowania dróg na Kamień Pomorski, Wolin i Przybiernów około południa. Wąska asfaltowa szosa odbijała tu na zachód w kierunku Wolina, zostawiając po wschodniej stronie niewielką wieś Parłówko. Płynęła tutaj struga, przez którą przerzucony był most. Od strony Kamienia zbliżała się wielka kolumna samochodów wojskowych wycofującego się Wehrmachtu. Hasso wyprzedził kawalkadę wozów i kazał wszystkim zjechać na pobocze, aby przepuścić wojsko. Po chwili minęły ich

ciężarówki z siedzącymi na pace wynędzniałymi i markotnymi żołnierzami oraz kilka wozów pancernych, które przetoczyły się po asfalcie jak ogromne stalowe nosorożce. Z kierunku wschodniego rozległy się strzały. Rosjanie, którzy zbliżali się od strony Golczewa, byli coraz bliżej. Gdy zadudniły działa, kilka koni się spłoszyło i zaczęło na oślep ciągnąć wozy przed siebie. Hasso ruszył galopem wzdłuż kolumny, krzycząc, żeby natychmiast ruszali przez most. Rozległy się przerażone krzyki kobiet. Z jednego z wozów pospadały jakieś tobołki. Hasso znalazł się na samym przedzie taboru. Obejrzał się za siebie. Część wozów ruszyła w kierunku mostu. Woźnice dwóch dalszych zaprzęgów starali się uspokoić konie, a jakieś kobiety zbierały z pobocza porozrzucane manele. Niedaleko, tuż za lasem, był majątek jego kuzyna. Mieścił się tam teraz sztab wojskowy. Hasso początkowo zakładał, że będzie miał czas, żeby zajechać do dworu Richarda. Liczył na jakąś pomoc od wojska. Jego nazwisko wciąż otwierało wiele zamkniętych pozornie drzwi. Ale sytuacja się skomplikowała. Obawiał się, że wozy pancerne Rosjan za chwilę pojawią się na skraju lasu za Parłówkiem, a zgodę na przejazd trzeba było załatwić na posterunku policji przed mostem w Troszynie. Na krótki moment złowił spojrzenie Luizy. Żona, obejmując dwóch chłopców, siedziała na pierwszym wozie obok kilku innych kobiet. Hasso posłał jej uspokajający uśmiech i ruszył galopem, mając nadzieję, że kolumna wozów zdoła przebić się pod sam most. Gnając, słyszał za plecami kolejne wystrzały z dział.

*

Toyota wjechała na estakadę nad drogą krajową numer trzy. Zjazd z głównej trasy o tej porze i od tej strony był kompletnie pusty. Pod wiaduktem co chwila przemykały samochody w kierunku Szczecina, ukazując się na moment w rozświetlonym węźle drogowym i niknąc w ciemności dalszej trasy. Dalej było rondo z rozjazdem na Golczewo i Kamień Pomorski. Także i tutaj stały wysokie latarnie. Igor zjechał na drogę wojewódzką numer siedem w kierunku Kamienia i zwolnił. Rozpływała się ona w rozświetlanej jedynie reflektorami samochodu ciemności. Kilometr dalej od głównej szosy odbiegał długi nasyp zjazdu na Troszyn. W tle majaczył ciemny zarys drzew.

Igor zwolnił i wrzucił kierunkowskaz. Toyota powoli stoczyła się

z nasypu i ruszyła wąską drogą w kierunku sosnowego lasu. Po lewej stronie otworzył się widok na pole, a kawałek dalej ukazał się szeroki wyasfaltowany zjazd prowadzący na pobocze. Samochód wtoczył się tam i zatrzymał. Igor wyłączył silnik. Reflektory wydobywały z ciemności czarny nadgryziony już mocno zębem czasu asfalt, a dalej szumiące cicho pojedyncze drzewa, za którymi stała wielka, pogrążona w mroku ściana lasu.

Igor się rozejrzał. To tutaj właśnie, siedemdziesiąt lat temu, wszystko się wydarzyło. Jeszcze parę lat wstecz skrzyżowanie wyglądało dokładnie jak przed wojną, dopiero w dwa tysiące dziesiątym wybudowano ten ogromny węzeł drogowy, a stara droga wzdłuż lasu została z boku. Igor wysiadł i wzdrygnął się. Noc była przeraźliwie zimna. Pomyślał, że wtedy także mogło być tak zimno. W dodatku od wschodu dochodził pewnie huk wystrzałów i odgłos pocisków artyleryjskich zbliżającej się Armii Czerwonej. Kolumna wozów stała zapewne na poboczu, pod tym szumiącym teraz groźnie szpalerem drzew.

Odwrócił się i spojrzał w mrok czający się poza linią światła reflektorów.

Za tym lasem, raptem dwa kilometry dalej, rozciągało się jezioro, nad którym stał dwór.

*

Ponowny ostrzał rozpoczął się zaraz po tym, gdy Hasso von Flemming zniknął między drzewami gęsto porastającymi pobocze drogi wiodącej do Troszyna. Luiza, zmartwiała ze strachu, siedziała na drewnianej ławeczce, mocno przytulając synów do siebie. Jeszcze godzinę temu straszliwie marzła, ale po pierwszym ostrzale przerażenie spowodowało, że kompletnie o tym zapomniała. Dawny świat właśnie konał na jej oczach. Myślała, jak bardzo chciałaby mieć teraz tutaj swojego mercedesa i Kurta, który potrafił ją zawieźć do Szczecina w półtorej godziny. Ale i mercedesa, i Kurta armia zabrała jeszcze dwa lata temu. W majątku zostały tylko konie. I to w dodatku nie najlepsze. Dobre konie pod siodło i do zaprzęgów także zabrało wojsko. Kolejny pocisk wybuchł tak blisko, że poczuła, jak zadrżało powietrze. Pomyślała, że Rosjanie prawdopodobnie ostrzeliwują wycofujące się samochody Wehrmachtu. Usłyszała, jak w ostatnich wozach ktoś zaczyna krzyczeć. Zobaczyła, że jakiś wóz na tyłach się przewraca, a konie, wlokąc za

sobą orczyki i połamanie resztki dyszla, galopują w panice w kierunku lasu. Podniosła się przerażona, i trzymając ręce na głowach synów, usiłowała dojrzeć, co się dzieje na końcu kolumny. Świst następnego pocisku spowodował kompletne zamieszanie. Konie wyrwały się do przodu, ciągnąc za sobą wozy, z których spadały kolejne toboły. Wzdłuż całej karawany przejechał wielki traktor, przeraźliwie warcząc i płosząc już i tak przerażone konie.

Luiza odwróciła się gwałtownie do woźnicy i krzyknęła, żeby jechał szybciej. Gdzieś na granicy lasu, od strony Parłówka, mignęły kształty wozów pancernych. Jeszcze kilkanaście minut i znajdą się przy moście. Woźnica szarpnął lejcami i wóz gwałtownie ruszył do przodu. Obładowany walizkami z dobytkiem, kuframi i wielkimi, przytaszczonymi z pałacowych piwnic skrzyniami, stanowił nie lada ciężar dla dwóch białych wałachów. Pomiędzy drzewami pokazały się pierwsze zabudowania Troszyna. Luiza jeszcze raz podniosła się i obejrzała. Kawalkada wozów podzieliła się na dwie grupy, z których druga została daleko z tyłu. Chwilę później kilka wozów przetoczyło się przez most w Troszynie, a stojący niedaleko żołnierze zaczęli gorączkowo machać rękami, nakazując, żeby woźnice zjechali na pobocze. Oddalili się może na dziesięć metrów, może więcej, gdy z tyłu rozległ się głośny huk.

Betonowe przęsło mostu wyleciało w powietrze.

*

Reflektory toyoty wycinały w mroku szeroką plamę światła, w której, niczym na scenie, stały obok siebie pnie wysokich sosen z rozczapierzonymi i splątanymi ze sobą gałęziami. Przypominały gromadę trzymających się za ręce ludzi, za których plecami czaiła się czarna, nieprzenikniona ciemność.

Igor postawił kołnierz kurtki i odszedł kawałek dalej od samochodu. Z daleka dochodził pomruk przejeżdżających ciężarówek. Rzucił spojrzenie w kierunku lasu i pomyślał, że nie chciałby zostać tu sam, bez kojącej świadomości, że w każdej chwili może się schować w ciepłym wnętrzu auta i odjechać. Rozejrzał się. Dawniej musiał przepływać gdzieś tutaj niewielki strumyk, który meandrował w kierunku Parłówka. Tu był pierwszy most. Jakiś kilometr dalej, w Troszynie, była następna rzeczka, Grzybnica,

i kolejny most. I wreszcie przeprawa przez Dziwnę. Tak naprawdę to nie wiadomo było nawet, o który most chodziło. Gdzie w rzeczywistości utknęła karawana wozów? W większości publikacji podawano, że to przed Dziwną. Hasso von Flemming twierdził, że część wozów zdołała przejechać przez most w Troszynie, ale kryty wóz, w którym rzekomo znajdował się kufer ze skarbem z katedry, został po drugiej stronie. Inną wersję opowiadały kobiety z jednego z zaprzęgów. Według nich, konie spłoszyły się jeszcze przed mostem w Parłówku i to tam rzekomo ktoś widział przy drodze przewrócony wóz.

Igor westchnął. Nieprawdopodobne, że dał się Boroli wciągnąć w tę sprawę. O zaginionych skarbach katedry kamieńskiej oczywiście czytał bardzo dużo i często. Wielokrotnie pisała o tym prasa, również ogólnopolska, a także portale internetowe. Na rozmaitych stronach w bezmiarze sieci do dzisiaj można było znaleźć mnóstwo rozważań i teorii na temat tego, gdzie przepadł skarb. Od końca wojny pojawiło się sporo świadków, którzy rzekomo coś widzieli lub ktoś im coś opowiadał. Jak do tej pory nikogo ani na jotę nie zbliżyło to do rozwiązania tajemnicy.

Ponownie spojrzał w kierunku lasu.

Jeśli jednak Hasso von Flemming mówił prawdę i wozy utknęły przed mostem w Troszynie, to do brzegu jeziora było stamtąd nie więcej niż czterysta metrów. Dwóch mężczyzn nawet pieszo mogło spokojnie dowlec tam kufer.

Pokręcił głową. Tak czy siak, choć było to grubymi nićmi szyte, podstawy do zorganizowania kampanii reklamowej nowego hotelu i knajpy w odrestaurowanym dworze wydawały się solidne.

*

Do wschodu słońca zostały może dwie godziny. Niebo nad drzewami w pałacowym parku powoli jaśniało, przybierając kolor przetartej szarymi maźnięciami pędzla czerni. Od wschodu dochodziły dalekie odgłosy wystrzałów i salw z dział pancernych. Wieś, przycupnięta od północy pod rozciągającym się wokół starej rezydencji angielskim parkiem, pogrążona była w mroku i ciszy. Większość mieszkańców, zabierając swój najcenniejszy dobytek, wyjechała godzinę wcześniej wraz z wozami

z majątku. Ci, co pozostali, przerażeni kryli się po domach, nie wiedząc, jaki los czeka ich z rąk rosyjskich żołnierzy. W pogrążonym w ciemności dworze paliły się tylko światła w hallu na parterze i malutkich okienkach, doświetlających wielkie, nakryte sklepieniami piwnice. W półmroku uwijali się tutaj trzej mężczyźni – zaufany stangret hrabiego, zarządca i murarz. Na posadzce pośrodku lochu stały trzy drewniane, zapięte stalowymi okuciami kufry. W jednej ze ścian ziała wielka dziura, kiedyś dół jednego z nieczynnych przewodów kominowych. Jeden z mężczyzn pracowicie powiększał go ciężkim młotem i co chwilę wyjmował poluzowane cegły, które odkładał na bok. Gdy otwór był już na tyle duży, że można było wsunąć przez niego skrzynie, zarządca i stangret dźwignęli jedną z nich i wepchnęli w ciemną paszczę ceglanej ściany. Po chwili wszystkie trzy zniknęły w mroku, a mężczyzna w poplamionym drelichu zabrał się za staranne zamurowywanie dziury.

Niebo na wschodzie zrobiło się granatowoniebieskie.

*

Igor powoli zjechał z pobocza i skręcił w stronę Troszyna. Nikt o tej porze tędy nie jeździł, droga była więc kompletnie pusta. Jasna plama światła przed maską powoli przesuwała się razem z samochodem, a stojące przy poboczu drzewa odprowadzały ją ponurym wzrokiem i niknęły w ciemności. Dokładnie tędy jechały wozy w czterdziestym piątym roku i gdzieś tutaj nastąpił ten splot dramatycznych wydarzeń. Ostrzał, panika, nakryty plandeką wóz przewraca się na drogę i zostaje tam razem ze skrzynią ze skarbami z katedry. Czy bezcenne artefakty zostały po prostu zmiażdżone kołami wozów pancernych i gąsienicami czołgów? Istniały jednak inne możliwości. Według przekazanych przez samego Flemminga informacji we dworze pozostali jego zaufani pracownicy, aby ukryć w lochach skrzynie z cennym wyposażeniem pałacu. Prawdopodobnie bezpieczeństwo miał im zapewnić fakt, że jeden z nich był Polakiem wywiezionym tu na roboty. W wielu opracowaniach pojawiało się nawet jego nazwisko – Kuchta. Dwaj pozostali to murarz o nazwisku Kapsel i zarządca majątku Mattern. Igor w swoim czasie czytał o tym tyle razy, że nazwiska trójki spiskowców wyryły mu się w pamięci. Tak naprawdę nikt nie wie, co kryło się w zamurowywanych w pałacu skrzyniach. Czy to możliwe, że kamieński

skarb nigdy nie opuścił Benic?

Igor przyśpieszył. W perspektywie drogi zamigotały pierwsze światła wioski, a raczej pozostałości tego, co z tej wioski zostało. Po lewej stronie stał ceglany budynek dawnej stacyjki, dalej droga zakręcała i włączała się do ruchu na głównej szosie.

Samochód powoli dotoczył się do zjazdu na drogę krajową i stanął niepewnie. Ruch był tutaj praktycznie zawsze. Oczywiście o tej porze roku i o tej godzinie był sporo mniejszy, ale i tak co jakiś czas z łoskotem przewalał się TIR lub samochód dostawczy. W lecie bywało jednak, że szosa korkowała się na amen.

Igor rozejrzał się, odczekał, aż na drodze zrobi się pusto i z premedytacją łamiąc przepisy, przejechał przez podwójną ciągłą i skręcił na Szczecin. Żeby zawrócić zgodnie z przepisami, musiałby przejechać co najmniej kilka kilometrów. Przyśpieszył i patrząc, jak prędkościomierz szybko przesuwa się w kierunku setki, znowu zaczął myśleć o wydarzeniach z końca wojny.

*

Armia Czerwona wkroczyła do Wolina 6 marca. Gdy pod ciągłym ostrzałem dział obrona mostu na Dziwnie się poddała, wojska 9 Korpusu Pancernego Armii Pancernej pod dowództwem kapitana Mikołaja Sanajczewa wdarły się do miasta. Cała wyspa była potężnie ufortyfikowana, a samego Wolina broniło kilka pułków dywizji fortecznej oraz piechota morska, walki w mieście zakończyły się więc odparciem Rosjan ponownie poza Dziwnę. W owych starciach praktycznie zostało jednak zniszczone całe miasto. Osiemdziesiąt procent starówki legło w gruzach, a prowadzący przez Wolin korytarz ewakuacyjny dla ludności niemieckiej spowodował, że drogi do Wolina i dalej w kierunku Świnoujścia dosłownie usłane były zniszczonymi wozami, porozrzucanym na poboczach dobytkiem oraz ciałami zabitych ludzi i zwierząt. Po tym nieudanym abordażu wojska radzieckie ponownego ataku na miasto dokonały dopiero dwa miesiące później, wzmocnione kolejnymi oddziałami Armii Pancernej. Przez te dwa miesiące, do 4 maja, na wyspie trwała gorączkowa ewakuacja ludności i dobytku. Mieszkańcy wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, a czego nie byli w stanie zabrać ze sobą, ukrywali w piwnicach, zamurowywali pod

posadzkami domów i kościołów lub zakopywali w lasach. Wtedy jeszcze wszyscy byli przekonani, że tutaj wrócą, może za rok, może za dwa lata, ale wrócą. Gdy wozy pancerne Armii Czerwonej wdarły się na wyspę, zaczęły od penetracji stanowisk oporu, sztabów i fortów. Za nimi jechały jednak ciężarówki brygad trofiejnych, przeczesujących miasta i wsie w poszukiwaniu wojennych zdobyczy.

W niewielkiej wsi na skrzyżowaniu głównej szosy do Świnoujścia były jednak chwile, gdy wydawało się, że wszystko jest jak dawniej. Tak jakby po prostu przyszła kolejna wiosna. W ogrodach za kamiennymi murkami zakwitły forsycje, których intensywnie żółte pędy wylewały się na drogę. Przy ogrodzeniu dużego ceglanego domu zaraz za zakrętem stało kilkoro dzieci, a wśród nich dziewczynka w granatowej sukience i starym, przewiązanym sznurkiem, o wiele na nią za dużym płaszczyku. Wpatrywały się, jak gruntową drogą od strony lasu jadą w ich kierunku wielkie brunatne ciężarówki z czerwonymi gwiazdami na bokach. Ich warkot stopniowo narastał, a po chwili, w tumanie kurzu przetoczyły się wąską wiejską drogą i skręciły na główny trakt.

*

Toyota mknęła drogą krajową, co chwilę wyprzedzając jadące wolniej samochody. Sosnowe lasy po obu stronach jezdni stapiały się w mgliste pasy ciemnej zieleni i czerni. Myśli Igora meandrowały pomiędzy pilnymi sprawami, które trzeba było załatwić następnego dnia, a rozmaitymi zmartwieniami, takimi jak opóźniony projekt, który już miesiąc temu powinien był znaleźć się w urzędzie, różne ciągnące się w nieskończoność uzgodnienia i leżący w szufladzie obok schodów stos rachunków. Na tym tle powracające myśli o skarbcu kamieńskim wydawały się prawdziwą przyjemnością, a ta ciemna droga i padający za oknem deszcz miały działanie wręcz terapeutyczne.

W siedemdziesiątym czwartym roku został nakręcony film dokumentalny o losach dzieł sztuki z kamieńskiej katedry. Wciąż jeszcze można go było odnaleźć na wielu portalach. To stamtąd pamiętał wątek o powojennych poszukiwaniach, prowadzonych przez mieszkańców Benic oraz rozmaitych awanturników, którzy tam docierali. Ktoś natrafił na zakopaną w parku

skrzynię ze srebrną zastawą stołową z herbami Flemmingów, ktoś inny znalazł pudło z porcelaną, a jeszcze ktoś zabytkową broń. Podobno jeden z mieszkańców Benic namierzył kufer z markowym szampanem i starym winem. Ale oprócz dawnych dóbr Flemmingów odnalazły się także niektóre dzieła sztuki z kolekcji katedralnej. Jakiś czas po wojnie w benickim kościele odkryto gotycki tryptyk z głównego ołtarza katedry oraz średniowieczny futerał na mitrę biskupią, który, jak gdyby nigdy nic, wisiał na ścianie, co niedzielę oglądany przez nieświadomych jego wartości wiernych. Odnalazł się także bezcenny trzynastowieczny krucyfiks, wykonany w warsztacie w Limoges we Francji, który był częścią kamieńskiego skarbca. Nikt nigdy nie odkrył natomiast tajemniczych skrzyń, zamurowanych rzekomo w piwnicach pałacu. Zaginęło także kilkanaście renesansowych obrazów zdobiących niegdyś północną kaplicę katedry w Kamieniu Pomorskim, a wśród nich pięć owalnych portretów rodziny kamieńskiego patrycjusza Gerharda Rabenera. Czy to możliwe, że wszystkie po wojnie zostały zabrane przez kogoś, kto dobrze znał miejsce ich ukrycia? W artykułach prasowych ciągle przewijały się oczywiście nazwiska polskiego stangreta Kuchty oraz Matterna, dawnego zarządcy dóbr Flemmingów. Ich powojenny los był zupełnie nieznany. Spekulowano, że to oni mogli dobrać się po wojnie do skarbu. Którejś nocy pod koniec lat pięćdziesiątych pod stary cmentarz rodowy, leżący na wzniesieniu niedaleko wsi, podjechał bowiem samochód ciężarowy, zaś nad ranem mieszkańcy Benic znaleźli rozkopany i kompletnie zniszczony grób, a obok niego resztki pogniecionej tektury i papieru oraz starą, bogato zdobioną ramę od obrazu

Światła skrzyżowania pod Przybiernowem wybiły Igora z zamyślenia. Spojrzał na ekran nawigacji. Do Szczecina było jeszcze jakieś pół godziny.

Rozdział 4

Czwartek, 9 marca

Zbliżała się dziewiąta, gdy Paulina pchnęła oszklone drzwi i weszła do głównej sali redakcji. Na dzień dobry kpiącym uśmieszkiem powitała ją Baśka, która akurat przechodziła obok z naręczem jakichś papierzysk.

– O której to się przychodzi do roboty? Niektórzy to mają fory, jak widać.

Paulina skrzywiła się, imitując uśmiech. Plotki o jej i Pawła tak zwanej zażyłości nadal były jednym z ulubionych tematów dowcipów i przytyków, zawsze rzucanych oczywiście żartobliwym tonem, ale z reguły podszytych złośliwością. Zdążyła się już do nich przyzwyczaić, co nie znaczy, że przestały ją irytować.

Wczorajszy wieczór spędziła na lekturze broszury o czarownicach na Pomorzu, która niespodziewanie tak bardzo ją wciągnęła, że poszła spać dopiero po pierwszej. W dodatku siniak na biodrze rozlał się już w fioletowe jezioro i paskudnie bolał. Co z jednej strony dobrze się składało, bo była dzisiaj umówiona z Martą na obdukcję lekarską, ale z drugiej, oczywiście, utrudniało normalne funkcjonowanie. Summa summarum, czuła się obolała i w dodatku niewyspana.

Rzuciła na biurko plik wydruków swojego wczorajszego researchu na temat inkwizycji, a obok położyła laptopa. Przed samym monitorem. Do obudowy przypięta była mała karteczka z napisem „11.00 – obdukcja”. Tuż obok była druga z bardziej kwiecistym tekstem: „Jak już zaszczycisz nas swoją obecnością, to poproszę o audiencję”. Nie było podpisu, ale autorstwo było dla niej oczywiste. Westchnęła, otworzyła pokrywę laptopa, a następnie sięgnęła po kubek i ruszyła do niewielkiego aneksu socjalnego obok głównych drzwi. Potrzebowała kawy. Jak najszybciej.

Nie zdążyła pokonać nawet połowy odległości do upragnionego ekspresu, gdy dogonił ją brodaty chłopak w kraciastej koszuli, z racji najmłodszego

wieku nazywany w redakcji Piotrusiem. Był w dzienniku na stażu, zajmował się wiadomościami bieżącymi.

– Mam prośbę! Widziałem, że będziesz w mieście o jedenastej. Mogłabyś przedtem zajechać do prokuratury? O dziewiątej rzeczniczka ma coś przekazać w sprawie tej wczorajszej jatki.

– Jakiej jatki? – Paulina odruchowo się zainteresowała, po czym z niecierpliwością pokręciła głową. – Jezu! Piotruś. Jadę do szpitala na Pomorzanach, a to jest gdzieś na Mickiewicza. Na drugim końcu miasta.

– Proszę, no proszę! Odwdzięczę ci się jakoś. Nie na Mickiewicza, na Potulickiej. Na Mickiewicza jest prokuratura regionalna.

– Przecież tam i tak niczego się nie dowiesz. Zawsze mówią to samo. Jakiej jatki?

– Paweł kazał! Wczoraj znaleźli jakiegoś trupa gdzieś w Dąbiu.

– Gdzie w Dąbiu?

– Gdzieś w jeziorze.

– To w jeziorze czy w Dąbiu? Ktoś z łódki znalazł?

– Oj, nie mam pojęcia. No właśnie, generalnie po to jest ten komunikat rzecznika. Mamy jak najszybciej dać coś na portalu.

Paulina przymknęła oczy i westchnęła.

– No, proszę… Ja nie zdążę! A nikogo innego nie ma.

– Dobra, ale to ja wymyślę, jak masz się odwdzięczyć, a nie ty.

Nie czekając, aż chłopak skończy jej dziękować, ruszyła do aneksu kuchennego. Po drodze zobaczyła, jak Paweł niecierpliwie kiwa do niej ręką zza szklanej szyby.

*

Igor obudził się z potwornym bólem głowy. Jazda samochodem na dłuższych trasach, po ciemku, w deszczu ze śniegiem, zawsze tak na niego działała. No i pętał się wczoraj z Borolą po parku i po lesie. Raz w czapce, raz bez czapki, raz zimno na dworze, raz ciepło w samochodzie. Bardzo możliwe, że właśnie się przeziębiał.

Stał teraz pod gorącym prysznicem o kilka minut za długo, potem wziął dwie aspiryny, wypił kubek herbaty i w końcu jakoś dotarł do samochodu.

Jak co dzień w drodze do pracy zastanawiał się nad tym, co ma dzisiaj do zrobienia. Opóźniony projekt to była sprawa pierwszoplanowa. Czekały go denerwujące telefony do kilku osób, żeby wymóc na nich pośpiech. Brakowało charakterystyki energetycznej i projektu zewnętrznej instalacji wodno-kanalizacyjnej. Bez tego, oczywiście, nie można było złożyć wszystkiego do kupy i zanieść do urzędu, o czym marzył od miesiąca. A inwestorka dzwoniła średnio dwa razy w tygodniu, coraz bardziej tracąc cierpliwość. Poza tym miał jakieś spotkanie w sprawie nowego projektu i coś tam jeszcze, czego nie pamiętał. Spojrzał na telefon z kalendarzem leżący na siedzeniu obok. Przez krótką chwilę chciał zajrzeć i sprawdzić, co to za sprawa, o której zapomniał, ale powstrzymał się, widząc zapętlające się coraz bardziej korki w centrum. Ostatnio zauważył jakieś wykopy na jednej z głównych ulic. Coś robili w środku miasta, więc oczywiście do razu najbliższe arterie zaczęły się blokować.

Pomyślał, że sprawdzi, jak już będzie na miejscu, w firmie. Nic się nie stanie, a lepiej nie ryzykować stłuczki. Poza tymi sprawami, resztę czasu będzie można zagospodarować na zwyczajną, ludzką pracę, na co przynajmniej miał nadzieję. Po prostu wsunie nos w komputer, posiedzi w spokoju i zaawansuje projekt zagospodarowania terenu na hotel, którego pierwszy etap – czyli projekt budowlany – miał już za sobą.

Gdy był już u celu i szukał właśnie wolnego miejsca parkingowego pod budynkiem, przypomniał sobie, co to była za sprawa, o której zapomniał. Po drodze miał odebrać wydruki z drukarni. Zamknął samochód i myśląc, że właśnie zrujnował sobie dzień pod względem logistycznym, bo przecież potem trzeba będzie się wyrwać i pojechać do tej cholernej drukarni, szarpnął drzwi i zaczął się wspinać na schody.

Godzinę później miał za sobą denerwujące telefony oraz jeden sukces – zdołał uprosić któregoś z asystentów, jadącego akurat do urzędu wojewódzkiego, żeby wracając, zabrał wydruki. Uwolniony od tej misji, otworzył katalog z bieżącymi projektami z zamiarem skupienia się na pracy, gdy właśnie zadzwonił telefon.

– Siema! – Znajomy głos skutecznie zniwelował początki dobrze

zapowiadającej się koncentracji. – Chciałem ci przypomnieć, że oczekuję na wycenę i ofertę. Najlepiej, gdybyśmy porozmawiali dzisiaj przy obiedzie. Jak sądzisz? Zdążysz? Piętnasta?

Igor westchnął i spojrzał na zegar nad drzwiami. Spotkanie z klientką miał o dwunastej. Zbliżała się dziesiąta. Czyli na prawdziwą pracę zostało jakieś półtorej godziny, zakładając oczywiście, że nic więcej nieprzewidzianego się nie wydarzy… Chyba wróci tutaj po obiedzie z Borolą i w spokoju popracuje.

– No, niech będzie. – Westchnął. – Postaram się przynieść ci wycenę.

– No to jesteśmy umówieni. Do zobaczenia.

Borola pożegnał się radośnie, a Igor ponownie westchnął i otworzył katalog z materiałami archiwalnymi dotyczącymi dworu pod Wolinem. Zmiana planów. Projekt zagospodarowania terenu znowu będzie musiał poczekać. Trzeba przygotować ofertę. Cokolwiek by mówić, Borola to był jednak wyjątkowo dobry klient.

*

Paweł właśnie kończył z kimś rozmawiać przez telefon. Gdy Paulina weszła, akurat kiwał głową i po raz trzeci powtarzał: „w porządku”. Odłożył telefon i spojrzał na nią, zagryzając na chwilę wargi.

– Chciałeś coś? – spytała, siadając w fotelu naprzeciwko niego.

– Widziałaś ten swój film z komórki? Jedna czwarta komentarzy nadawała się do natychmiastowego usunięcia. Życzenia śmierci, wyzwiska, komentowanie profesji matki należały akurat do najdelikatniejszych tekstów.

– Film zbliża się do miliona wyświetleń. Viral. Setki udostępnień. Youtuberzy tyle nie mają po jednym wieczorze. – Paulina wzruszyła ramionami. – Nie udawaj, że to nie interesuje cię najbardziej.

– Nie bądź taka cyniczna. A nie uważasz, że taki film odciąga uwagę od prawdziwych celów tego waszego protestu?

– Wprost przeciwnie. To idealna ilustracja. Hipokryzja, przemoc, prymitywne patriarchalne instynkty, podparte parafialnym praniem mózgów. Przy okazji natomiast stanowi promocję dziennika. Nasz artykuł na temat wczorajszego protestu był najczęściej czytanym i komentowanym

materiałem.

Paulina uśmiechnęła się złośliwie, patrząc na Pawła, na którego twarzy malowały się krańcowo mieszane uczucia.

– Tak jak przypuszczaliśmy, w komentarzach padły nazwiska. – Ściągnął usta i zagryzł wargi. – Właśnie od rana odbieram telefony na ten temat. W przeciwieństwie do ciebie, nie mam komfortu radosnego mówienia tego, co myślę.

– Obawiam się, że to, co akurat ty myślisz, jest całkowicie zbieżne ze zdaniem tych, którzy do ciebie dzwonią.

– Możesz sobie mnie oceniać. Każdy ma prawo do własnych poglądów, ale to ja muszę wysłuchiwać połajanek z obu stron.

– Naprawdę z obu? Czyżby dzwonili jacyś lewacy, którzy się awanturowali, że bandzior na filmie jest za mało demoniczny, a ksiądz powinien być w diabolicznie rozwiewającej się sutannie?

Paweł pokręcił głową i ostentacyjnie postukał się palcem w czoło.

– À propos. Myślałaś nad artykułami? Chciałbym, żeby pierwszy poszedł w poniedziałek.

Paulina trzymała na kolanach skoroszyt. Sięgnęła teraz do niego, wyjęła kartkę i położyła ją przed Pawłem na biurku.

– To wypunktowany plan artykułu. Taki będzie wstęp. Początki inkwizycji, kiedy, kto, gdzie, z podaniem kilku chwytliwie brzmiących nazw bulli papieskich.

Paweł pochylił się nad tekstem i przez kilka chwil czytał. W końcu podniósł wzrok i westchnął.

– Miało być z dystansem – jęknął. – I bez niepotrzebnego szkalowania Kościoła.

– To może ktoś z Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej to napisze? Na śmieciową umowę o dzieło?

– Czy ty może akurat masz okres?

– Wetknąłeś mi ten artykuł za karę, ale nie licz, że napiszę go tak, jak określił to jakiś przygłup z zarządu, „w nieprzesadnie poważnym tonie”.

– To są tylko ogólne wytyczne, żeby nie zrobić z tego cyklu kolejnych,

skrajnie nieobiektywnych bzdur z wyssanymi z palca milionami ofiar.

– Tu jest geneza powstania inkwizycji. – Paulina postukała palcem w kartkę. – Prawie bez żadnych opinii, same nazwy papieskich dokumentów i daty. Co tu jest, według ciebie, szkalowaniem Kościoła?

– To jest nieobiektywne. Pozbawione kontekstu historycznego. Przytaczasz wybrane dokumenty, żeby udowodnić swoją założoną ad hoc tezę o okrucieństwach Kościoła. Zwalczanie herezji nie było mordowaniem inaczej myślących, tylko walką o utrzymanie ładu. Religia była wówczas podstawą ustroju społecznego, tak jak dzisiaj demokracja czy konstytucja. Każdy atak na nią mógł zachwiać tymi podstawami, pogrążyć Europę w chaosie.

– Czyli czystki Stalina generalnie też dadzą się usprawiedliwić? Tam także chodziło o utrzymanie ładu w ogromnym państwie, dodatkowo kompletnie niestabilnym zaraz po rewolucji. Notabene, wielu rosyjskich publicystów, a także hierarchów prawosławnych, broni dzisiaj tego okresu, posługując się dokładnie taką samą argumentacją.

Paweł niecierpliwie pokręcił głową.

– To populizm, co mówisz. Tak samo jak z tymi instrukcjami dla morderców. Jakbyś poczytała więcej źródeł, to dotarłabyś do informacji, że tortur nie wolno było stosować na samo życzenie inkwizytora. Tak samo jak wyroku nie wydawał inkwizytor, tylko robiły to sądy świeckie, które przejmowały dalsze postępowanie po badaniach trybunału.

– Jakie sądy świeckie? Przed chwilą argumentowałeś, że religia była podstawą ładu społecznego. Jakie sądy świeckie w tamtych czasach? Przejrzyj sobie dzisiejsze wiadomości, ile wyroków, spraw i decyzji podejmowanych jest pod dyktando biskupów przez tak zwane dzisiejsze władze świeckie. A co dopiero wówczas! Ostateczna decyzja o torturach czy stosie była tylko formalnością, orzeczeniem, które trzęsącymi się rękami podpisywał jakiś przerażony urzędas, dzięki czemu inkwizytor całkowicie umywał ręce.

– Jeszcze raz ci przypominam o kontekście historycznym. Nie można osądzać postępowania ludzi bez umiejscowienia ich w konkretnym czasie i miejscu, w określonych uwarunkowaniach społecznych. Średniowiecze to był okres różnych napięć społecznych…

– À propos kontekstu społeczno-historycznego. – Paulina sięgnęła po swój skoroszyt i wyciągnęła kilka wydruków. – Prześledźmy go zatem na przykładzie tych decydentów, których wymieniłam w szkicu artykułu…

Paweł westchnął.

– Na przykład papież Innocenty Ósmy, autor bulli „Pragnąc najgoręcej”, ten, który był tak zaniepokojony demoralizacją i plagą czarownic w Niemczech. Jego brewerie i wystawny tryb życia do tego stopnia ogołociły skarbiec papieski, że zastawił tiarę po to tylko, żeby wybudować pawilon na orgie i festyny w ogrodach Watykanu. Jego pontyfikat to niekończący się nepotyzm i umieszczanie na rozmaitych państwowych stołkach własnych nieślubnych dzieci. A Heinrich Kramer na przykład, autor *Młota na czarownice*. Dominikanin, który przez swój własny zakon był dwukrotnie oskarżany o defraudację majątku i który chełpił się tym, że po nadaniu mu przez Innocentego Ósmego uprawnień na terenie Niemiec w krótkim czasie posłał na stos dwieście kobiet. Czy przykazania „nie kradnij”, „nie cudzołóż”, „nie zabijaj” były w tamtych czasach jakoś inaczej interpretowane?

– Właśnie o tym mówię. W czasach, gdy działała inkwizycja, zwykłe sądy grodzkie miały prawo do torturowania podejrzanych tak długo, aż się przyznali. Inkwizycja wprowadzała przynajmniej jakiś porządek, prawo do obrony. Ludzkie życie miało wówczas inną wartość niż obecnie…

– Coś ci przeczytam, à propos tej innej wartości. – Paulina sięgnęła po kolejny wydruk i pochyliła się nad kartką. – Kara śmierci wykonywana na zatwardziałym gorszycielu jest dozwolona w celu ochrony niewinnych bliźnich przed zgorszeniem, gdyż zgorszenie wyrządzałoby im krzywdę, prowadząc do piekła. Bo Jezus powiedział: „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych, którzy wierzą we Mnie, temu lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza”[10].

– No właśnie. – Paweł pokiwał głową. – Właśnie o taki kontekst historyczny mi chodzi. Nie wolno oceniać postępowania chrześcijan bez odniesienia do czasu, w którym żyli. Ludzie tak wówczas myśleli.

– Paweł… – Paulina podniosła wzrok. – To jest argument w obronie kary śmierci i zasadności tortur, którym posłużył się współcześnie jakiś polski chrześcijanin. Kilka miesięcy temu raptem. Na portalu „Res Publica

Christiana”.

*

Igor oderwał wzrok od monitora i spojrzał na zegar. Zegar miał oczywiście także w prawym dolnym rogu swojego ekranu, ale ten nad drzwiami jakoś budził większy respekt. Jego wyroki zawsze były nieodwracalne, a z tym na monitorze można było ponegocjować (jeszcze pięć minut i już wychodzę; zdążę, dzisiaj nie powinno być korków; jak wyślę pliki za godzinę, to nic się nie stanie). Gdy natomiast zegar na ścianie pokazywał zbliżającą się nieuchronnie godzinę, na przykład spotkania, coś powodowało, że od razu podnosiło się ciśnienie i trzeba było natychmiast poderwać się od biurka i zacząć się zbierać do wyjścia.

Sięgnął po kubek z herbatą. Miał jeszcze dwie godziny spokoju i zamierzał wykorzystać je w stu procentach. Chciał się ponownie skupić na rysunku na ekranie, gdy zawadził wzrokiem o leżącą na regale niewielką bryłkę. Bursztyn. Paulina.

Ciąg skojarzeń. Powinien dawno wywalić ten kryształek albo przynajmniej schować go do szuflady. Przez moment zastanawiał się, czy czuje się bardziej urażony, czy zawiedziony. Czy go to boli? Po wakacjach w Darłowie wydawało mu się, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Nie naciskał specjalnie, wiedział, że dopiero co się rozstała, w dodatku w dość dramatyczny sposób, z tym swoim Mateuszem. Spotykali się często ze względu na tę polsko-angielską spółkę. W samym tylko październiku zeszłego roku byli w Londynie chyba ze cztery razy. Należąca do wuja ich angielskiego kolegi Dermota kancelaria Carmondeley & Chatfield Ltd. nieźle się napracowała nad stworzeniem profilu ich działalności, statutem i tak dalej. Ale przed Gwiazdką w Szczecinie wszystko zaczęło się psuć. Pewnie dlatego, że ten cały Mateusz przyjechał na święta do rodziny i ona nagle znowu poczuła się zobowiązana do ratowania ich związku.

Igor zastanawiał się czasami, czy przypadkiem nie jest idiotą. Jak to możliwe, że znają się od ponad roku, a ich relacje w tych sprawach nie posunęły się ani o centymetr. Chodził na paluszkach wokół dziewczyny, która w rezultacie, jak się okazało, miała go gdzieś. Zamknęła się w gównianej wieży z kości słoniowej na Pogodnie w oczekiwaniu na powrót

swojego pieprzonego rycerza na białym koniu. No więc postanowił dać sobie spokój. Oczywiście nadal utrzymywali kontakty, nawet się widywali, ale postawił sobie całkowitą tamę na jakiekolwiek dalsze starania. Pokpiwał z niej, żartował i nabrał dystansu.

Dosyć! Basta! I do łoża, i do stoła jeden tylko raz się woła! Ten frajer Pedro mógł się starać o jakąś laskę przez dwadzieścia lat, ale jemu aż nadto wystarczy tych kilka miesięcy[11].

*

Przed dziesiątą centrum miasta jak zwykle było już zakorkowane i Paulina, przesuwając się wolniutko w sznurze pojazdów przed Bramą Portową, co chwila patrzyła na zegarek. Oświadczenie dla mediów prokuratura miała wydać o dziesiątej. Było za dziesięć. Przed wyjściem z redakcji zdążyła przejrzeć kilka portali i przeczytać komentarze. Nie było ich aż tak wiele. I, jak to plotki, oczywiście często się wzajemnie wykluczały. Rzeczywiście, pojawiło się kilka wpisów o tym, że to robota ISIS, bo jakiś tuman napisał, że zwłoki były poćwiartowane maczetą.

Zastanawiała się, skąd ludzie biorą takie bzdury. Bezkarność i bezpieczna anonimowość wyzwalają najgorsze instynkty. Obecnie sama była tego bolesnym przykładem. Rozmowa z Pawłem dodatkowo tylko wzmogła jej zły nastrój. Przypomniała sobie opisy tłumów, które przyciągał każdy proces o czary, ludzi napawających się czyjąś śmiercią w męczarniach i usprawiedliwiających sumienie bełkotem o karze za grzechy. I dokumentnie nic się nie zmieniło. Dokładnie te same mechanizmy każą ludziom pisać „dobrze, że zdechła” pod informacją o śmierci jakiejś publicznej osoby. Albo anonimowej, ale różniącej się kolorem skóry, wyznaniem, orientacją seksualną czy chociażby barwami klubu piłkarskiego. Poranny przegląd portali informacyjnych zawsze tak się kończył. Gdy zamykała okno przeglądarki, najczęściej czuła, że krew ją zalewa. Niestety, nie miała komfortu powyłączania wszystkich portali informacyjnych na Facebooku, by chronić zdrowie psychiczne, jak jej znajomi. Czytanie wiadomości oraz, niestety, komentarzy pod nimi, należało do jej obowiązków. Miała nadzieję, że może za jakiś czas uda się jej wykształcić w sobie taką lodowatą obojętność wobec wpisów rozmaitych debili, jaką miała Baśka. Jak na razie

jednak kosztowały ją one wiele zdrowia.

Prokuratura okręgowa mieściła się w dawnym budynku sądu na niewielkim placu przy ulicy Potulickiej. Ceglany modernistyczny gmach ze wspartym na doryckich kolumnach portalem stał prawie w środku miasta. Kiedyś zaczynały się tu tereny wojskowe, obrzeża dawnego fortu Prusy, który jeszcze pod koniec dziewiętnastego wieku strzegł od strony zachodniej twierdzy Festung Stettin. Królestwo czerwonej cegły. Nad wejściem do budynku zachowała się płaskorzeźba przedstawiająca świętego Jerzego zabijającego smoka autorstwa Kurta Schwerdtfegera, najsłynniejszego adepta znanej przedwojennej Szkoły Rzemiosł Artystycznych, w której gościnne wykłady prowadzili w latach trzydziestych tak znani twórcy, jak Walter Gropius czy Mies van der Rohe.

Paulina zaparkowała w długim rzędzie pojazdów przy Potulickiej i utykając, pobiegła w kierunku głównego wejścia. Gdy wpadła do wielkiego, wyłożonego jasnym kamieniem hallu, na szczycie schodów akurat pojawiła się ubrana w szarą garsonkę kobieta, a u ich podnóża zaczął się zacieśniać niewielki tłum dziennikarzy i reporterów.

Rzeczniczka zatrzymała się na piątym stopniu schodów i oparła o balustradę.

– Dzień dobry państwu. Jak państwo wiedzą, od wczorajszego dnia w mediach społecznościowych pojawiło się mnóstwo niesprawdzonych informacji i domniemań. W związku z tym, żeby nie prowokować dodatkowych plotek, zdecydowaliśmy się wydać oświadczenie w tej sprawie. Wczoraj późnym wieczorem przy brzegu Jeziora Dąbskiego zostały znalezione niezidentyfikowane jeszcze zwłoki. Na tym etapie postępowania nie mamy absolutnie żadnych danych, możemy jedynie stwierdzić, że bezsprzecznie jest to ofiara morderstwa. Sprawą zajmuje się prokuratura okręgowa. O tym, który konkretnie prokurator będzie prowadził tę sprawę, poinformujemy państwa w stosownym komunikacie.

Wysoka szatynka z wyciągniętym w kierunku rzeczniczki mikrofonem odezwała się od razu, jak tylko zapadła dłuższa chwila ciszy.

– Czy to rzeczywiście ma coś wspólnego z terrorystami?

Rzeczniczka uśmiechnęła się protekcjonalnie.

– Bardzo proszę nie powtarzać tych plotek. Na tym etapie nie mamy

żadnych danych, żeby stwierdzić cokolwiek.

– To kobieta czy mężczyzna?

– Sprawą zajmuje się obecnie Komenda Główna Policji. Prowadzone są badania. Dla dobra śledztwa nie możemy udzielać żadnych konkretnych informacji.

– Nie wiecie nawet, czy to kobieta, czy mężczyzna? – Młody człowiek w czapce z daszkiem z logo szczecińskiej stacji radiowej podniósł mikrofon nad głową stojących przed nim kolegów. – Ktoś napisał, że zwłoki były pocięte maczetą. Aż tak?

– Proszę państwa, na miłość boską, naprawdę nie chciałabym się odnosić do internetowych komentarzy gimnazjalistów. Prowadzimy postępowanie dopiero od wczorajszego wieczoru, a dobro śledztwa wymaga, żeby nie zdradzać żadnych informacji, które mogłyby wpłynąć na jego przebieg. To wszystko. Dziękuję państwu.

Kobieta chwyciła poręcz i odwróciła się, chcąc ruszyć schodami do góry, gdy ponownie odezwał się mężczyzna w czapce z daszkiem.

– Czyli nie zaprzecza pani tym pogłoskom o meczecie?

– O żadnym meczecie nic nie wiem. Jeśli chodzi… – Kobieta przerwała i uśmiechnęła się, gdy wśród zgromadzonych rozległy się ciche śmiechy i parsknięcia. – Jeśli chodzi o maczetę, to mogę jedynie powiedzieć, że prowadzone śledztwo nie uwzględnia tego wątku. Nie ma ku temu żadnych przesłanek na tym etapie. Za kilka dni zamieścimy komunikat, w którym postaramy się podać więcej informacji. O ile to będzie możliwe, oczywiście. Dziękuję państwu. To naprawdę wszystko.

– Czy to porachunki mafijne? – Paulina, która stała na tyłach gromadki dziennikarzy, musiała podnieść głos.

– Jest za wcześnie na jakiekolwiek domniemania, ale tak, śledztwo uwzględnia ten wątek.

Po odpowiedzi rzeczniczki rozległo się kilka głośnych pytań, ale kobieta pomachała tylko ręką i odwróciła się.

Paulina jeszcze przez chwilę trzymała w górze telefon, jednak widząc, że rzeczniczka prokuratury już wchodzi po schodach, wyłączyła mikrofon.

*

Igor nie cierpiał tego etapu projektów. Koordynacja. Oznaczało to, że wszyscy projektanci branż, czyli wody, kanalizacji, wentylacji mechanicznej, elektryki przysyłali mu swoje projekty, a on musiał sprawdzić, czy nie ma gdzieś tak zwanych kolizji. Czyli, na przykład, czy rura z wodą nie trafia prosto w żelbetowy podciąg albo rura kanalizacyjna nie wychodzi z podłogi gdzieś w sypialni, na przykład obok szafeczki z nocną lampką albo toaletki pani domu. W większych inwestycjach przebieg rur kanalizacyjnych zawsze stanowił temat niekończących się żartów: na przykład żeby wykonywać je z przezroczystego tworzywa i puszczać środkiem sal restauracyjnych, co miało zapewnić wizualnie atrakcyjny i w dodatku zmienny efekt kolorystyczny. W rzeczywistości kreatywna część pracy architekta stanowiła zaledwie niewielki fragment całego projektu. Większość czasu zabierały monotonne i nudne detale techniczne i katalogowe, współpraca z branżami oraz niekończące się poprawki i zmiany. Jednak dzięki temu na tych etapach, które każdy doświadczony architekt wykonywał w mniejszym lub większym stopniu automatycznie, część umysłu pozostawała wolna, co pozwalało błądzić myślami po rozmaitych jałowych bezdrożach. A dla Igora jałowymi bezdrożami były ostatnio nawarstwiające się rachunki, których sterta na szafce koło schodów cały czas się powiększała. Termin płatności za pewien spory projekt, którego realizacja miała tej sytuacji zapobiec, wciąż się opóźniał, jak nie za sprawą zmian, które w ostatniej chwili wprowadził inwestor, to z powodu konieczności zmuszenia branżystów, żeby uwzględnili te poprawki w swoich częściach opracowania, albo z braku wszystkich potrzebnych uzgodnień i podpisów końcowych. A tymczasem rozmaite opłaty i faktury mnożyły się jak króliki.

Drzwi do pokoju Igora odsunęły się i zajrzała przez nie asystentka. Ściszonym głosem coś syknęła i pomachała ręką. Igor wychylił się z fotela, ściszył muzykę i spojrzał na dziewczynę poirytowanym wzrokiem.

– Przyszła ta babka! Ta, co miała być za godzinę. Co mam z nią zrobić?

Igor przez chwilę patrzył na koleżankę, po czym westchnął i wstał od biurka.

– Boże. Poproś ją do salki konferencyjnej i daj jej kawy. Przecież ja muszę chociaż wydrukować materiały, które nam przysłała. Nawet nie

zdążyłem ich dokładnie przejrzeć.

– Okay. Tylko zrób to szybko. Nie będę jej zabawiała rozmową przez godzinę.

– Pięć minut!

Pochylił się nad drukarką i niecierpliwie stukając palcami w plastikową obudowę, patrzył, jak urządzenie wypluwa po kolei kilkanaście stron dokumentacji archiwalnej oraz jakieś dokumenty prawne – wypis z rejestru gruntów, mapę ewidencyjną. Czekając, aż wszystko się wydrukuje, jednocześnie czytał na tablecie e-mail, który tydzień temu przysłała klientka. Zawierał opis inwestycji, do której realizacji szukała firmy projektowej. Kupiła wielki stary dom na pograniczu Pogodna, przy jednej z głównych ulic, i planowała uruchomić tam hostel. Plany miejskie dopuszczały takie zagospodarowanie, ale oczywiście na przeszkodzie stało mnóstwo warunków, które trzeba było spełnić, jak się szybko zorientował, z odstępstwem od przepisów włącznie. Gdy tylko drukarka przestała mruczeć, chwycił plik kartek i ruszył w kierunku salki konferencyjnej.

Kobieta stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Wysoka, ze spływającymi na ramiona długimi czarnymi włosami. Kogoś mu przypominała. Gdy zamknął za sobą drzwi, odwróciła się i uśmiechnęła.

– Dzień dobry, kochanie. Rozkosznie znowu cię widzieć.

*

Paulina przeszła przez jezdnię w kompletnie niedozwolonym miejscu – na przełaj, przez skrzyżowanie z ulicą Księcia Sambora, przy którym znajdował się kolejny wielki ceglany gmach – Wojewódzki Sztab Wojskowy. Szybkim krokiem minęła szpaler samochodów stojących wzdłuż ogrodzenia Wojskowej Agencji Mieszkaniowej i tuż przed Hotelem Rycerskim, jeszcze jednym ceglanym dziewiętnastowiecznym budynkiem, wsiadła do swojej micry. Właśnie miała uruchomić silnik, gdy nagle coś jej wpadło do głowy. Zastanowiło ją, dlaczego rzeczniczka powiedziała tak niewiele. Czy naprawdę nie znali płci ofiary? Nie powiedziała też dokładnie, gdzie zostały znalezione zwłoki. Chociaż to akurat w zasadzie było zrozumiałe. Nie opędziliby się od wycieczek turystów nekrofilów.

Sięgnęła po komórkę i otworzyła listę kontaktów. Przypomniała sobie, że jej sąsiad Eryk, który mieszkał dwa domy dalej, był zapalonym żeglarzem. Trzymał łódź w jakiejś marinie w Dąbiu. Co szkodzi zapytać? Może słyszał coś więcej?

Po kilku sygnałach, gdy już chciała przerwać połączenie, w słuchawce odezwał się niski głos.

– No, witam sąsiadko. Nie prościej podejść do płota i porozmawiać?

– To następnym razem. Mam małe pytanko. Słyszałeś coś o tym wczorajszym morderstwie? Gdzieś w Dąbiu ponoć?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– A to nie ty przypadkiem powinnaś mi dostarczać takich informacji? Co się dzieje z tą prasą!

– No, my właśnie tak zdobywamy te informacje. Z najbardziej wiarygodnych źródeł.

W słuchawce przez chwilę słychać było śmiech.

– Tylko masz nigdzie nie umieszczać, że to ja mówiłem albo że ktoś z jachtklubu AZS. Okay? Zwłoki znaleźli jacyś motorowodniacy. Ja ich nie znam, ale wiem, że łódź trzymają naprzeciwko nas, obok tawerny, wiesz gdzie?

– Dominikana? Za hangarem lotniczym, gdzie był squash club, tak?

– Tak, właśnie. Było już ciemno, jak wrócili, ale zleciało się tam całe towarzystwo. Nie wiem, czy nie zabronili im gadać albo co, ale od razu poszły ploty. Zwłoki w brezentowym worku, bez głowy i dłoni. Jakaś masakra, jak z horroru.

– A gdzie konkretnie je znaleźli, wiadomo? Prokuratura nie chciała nic zdradzić. Zasłaniają się dobrem śledztwa.

– Litości! – Eryk parsknął. – Narobili tam tyle hałasu i dali takie oświetlenie, że całe Dąbie[12] wie, gdzie to było. Na wyspie Robiena, tam, gdzie są ruiny leśniczówki. Wiesz gdzie?

Paulina wiedziała. Nawet była tam kiedyś na wycieczce z Mateuszem i jego żeglującymi przyjaciółmi.

– Wiadomo, czy to była kobieta, czy facet?

– Mówili, że chyba kobieta.

Krótko patrzyła nieruchomym wzrokiem przez przednią szybę. I to by było tyle, jeśli chodzi o dobro śledztwa.

Przez moment jeszcze rozmawiali, po czym spojrzała na zegarek i zobaczyła, że zostało jej dwadzieścia minut, żeby się dostać do szpitala na Pomorzanach.

Pożegnała się z Erykiem i szybko wybrała numer kolegi z redakcji. Pewnie nie ona jedna była taka cwana, ale może jak Piotr się pośpieszy, to umieszczą na portalu tę informację jako pierwsi. Piotruś będzie musiał się jakoś odwdzięczyć. Pomyślała, że po tym, co mu przekaże, powinien bardzo się postarać.

*

Igor przez krótką chwilę stał nieruchomo nieco zdezorientowany i z niezbyt mądrym wyrazem twarzy przyglądał się uśmiechającej się trochę ironicznie brunetce.

– Dorota? – spytał wreszcie. – Co ty tutaj robisz?

– Przepraszam, kochanie. – Kobieta się roześmiała. – Nie mogłam sobie tego odmówić. Dobrze, że sekretarka mnie nie zna, bo ta poprzednia pewnie nie dałaby się wciągnąć w taki żart.

Igor rzucił na stół plik kartek, które przyniósł ze sobą, i pokręcił z dezaprobatą głową.

Rozstali się kilka lat temu. Rozwód na szczęście nie był dramatyczny. Za obopólnym porozumieniem udało im się zgodnie rozdzielić zarówno majątek, jak i kilka lat wspólnego życia. I pracy. Jego żona także była architektem, ale ich praca na lokalnym rynku, najczęściej niewdzięczna, rzadko kiedy satysfakcjonująca, a przede wszystkim mało intratna, w końcu przestała jej wystarczać. Gdy w tajemnicy przed Igorem wygrała międzynarodowy konkurs architektoniczny, ich drogi się rozeszły. Wyjechała do Barcelony, a później osiadła na stałe w Berlinie. Spotkali się ponownie dwa lata temu, gdy, pracując dla niemieckiego inwestora Heinricha von Parsova, wplątała się w poszukiwania nazistowskich depozytów szczecińskiej loży masońskiej. To wtedy dziennikarskie śledztwo Pauliny wymknęło się spod kontroli

i zamieniło w kryminalną aferę, na skutek której wszyscy wpakowali się w nieprawdopodobne kłopoty. Ale równocześnie to właśnie dzięki zeznaniom Doroty koniec końców uniknęli wówczas bardzo poważnych konsekwencji.

Dorota podeszła do Igora, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w policzek.

– Spodziewałam się raczej, że cię rozbawię. Skąd ta pogrzebowa mina?

Igor westchnął. Spodziewał się dobrze wycenionego zlecenia, a tymczasem to był tylko niewinny żarcik byłej żony.

– Miło cię widzieć, oczywiście, ale jeśli mam być szczery, to liczyłem na intratny projekt.

Dorota roześmiała się i usiadła przy stole. Wyciągnęła z torby laptopa i podniosła pokrywę. Komputer się obudził i po chwili na ekranie pojawiało się logo producenta.

– Przyjechałaś do rodziców? – Igor usiadł obok byłej żony i spojrzał podejrzliwie w kierunku monitora. – Co cię sprowadza?

– Dokładnie to, co napisałam. – Dorota uśmiechnęła się pobłażliwie. – Naprawdę kupiliśmy z Kurtem wielki dom i chcemy zrobić porządny, bezpretensjonalny hostel. Taki, jakich w Szczecinie brakuje. To ma być dobry interes.

– Po co ci architekt? Chcesz to przepuścić przez polską firmę? Chodzi o kwestie podatkowe?

– Nie, głuptasie. Od roku mam zawieszone członkostwo w polskiej izbie architektów. Nie mogę projektować tutaj sama. Poza tym, mamy teraz sporo innej roboty. Naprawdę chciałabym, żebyś to ty tym się zajął. To budynek w strefie konserwatorskiej, więc wiążą się z tym te całe korowody i uzgodnienia. Zawsze miałeś do tego więcej cierpliwości. Dobrze ci zapłacimy.

Igor patrzył na zdjęcie stylowego pałacyku z narożną wieżyczką, jakie pojawiło się na ekranie laptopa Doroty. Koniec dziewiętnastego wieku. Elementy neogotyckie i barokowe, z niewielką domieszką secesji. Cudowny szczeciński eklektyzm.

– Jak się uprzesz, to może i doszukasz się tutaj jakichś masońskich detali.

– Dorota uśmiechnęła się kpiąco, patrząc na zachwycone spojrzenie Igora.

– Piękny. – Igor oderwał wzrok od pokrytych zniszczonym tynkiem zaniedbanych elewacji starego budynku. – Trzeba będzie tam upchnąć wentylację mechaniczną i kuchnię z całym zapleczem.

– Nic, z czym wcześniej nie dałbyś sobie świetnie rady. Poza tym kuchnia tylko do śniadań. Szwedzki stół. Nie robimy tam żadnej restauracji.

– Miejsca parkingowe to będzie największy problem.

– Tu jest spora działka, a budynek zmieni przeznaczenie na zamieszkanie zbiorowe, wobec czego nie musimy zachowywać odległości od okien.

Igor wziął do ręki plik kartek i długopis.

– Ustaliliście już jakiś program? – spytał. – Ile miejsc? Jakiego typu pokoje? Z łazienkami?

– Nad tym się zastanawiam. W hostelach często są łazienki wspólne. Po jednej na piętrze. To wprawdzie wpłynie na standard, ale sama nie wiem.

– Myślę, że warto powalczyć o pokoje z łazienkami. Nawet najmniejszymi. To świetne miejsce. Możesz odebrać część klientów większym, ale byle jakim hotelom w centrum.

Igor dyskretnie spojrzał na Dorotę. Przypomniało mu się, jak niegdyś spędzali w ten sposób całe godziny, omawiając wspólne projekty i kłócąc się o jakieś drobiazgi. Jak brzmiało to powiedzenie o wchodzeniu do tej samej rzeki?…

– Naprawdę, tutaj przy niczym nie mam zamiaru się upierać. Zdam się na ciebie. Dla mnie to czysto komercyjna inwestycja. Nie mam zamiaru kruszyć kopii o kolor elewacji.

Igor się uśmiechnął. Pomijając ich wzajemne stosunki, lub ostatnio raczej ich brak, temat był cudowny i już czuł, jak po plecach przebiegają mu ciarki na samą myśl o przywróceniu piękna temu zaniedbanemu staremu domostwu.

– Będę w Szczecinie kilka dni u rodziców, więc możemy się umówić i wspólnie obejrzeć ten dom. Potem przyślemy ci jakieś nasze ewentualne uwagi. Głównie funkcjonalne.

– Zatrzymałaś się u rodziców?

– Nie, skądże. Wiesz, że oni nie mają warunków do przyjmowania gości. W hotelu.

Igor przesunął laptopa i przyglądał się kolejnym zdjęciom starego domu. Przez chwilę trwała cisza.

– Co słychać u Pauliny i Johanna? Utrzymujecie kontakt?

Igor podniósł wzrok i spojrzał na Dorotę.

– Tak. – Kiwnął głową po chwili. – Przyjaźnimy się.

– Przyjaźnicie? – Dorota uśmiechnęła się z prawie niewyczuwalną ironią. – Myślałam, że ciebie i Paulinę łączy coś więcej.

Igor wzruszył ramionami

– Myliłaś się. – Oderwał wzrok od monitora i zmienił temat. – Będziemy musieli zamówić podkład geodezyjny i program prac konserwatorskich. To potrwa ze dwa miesiące.

– Nie szkodzi. Nie planowaliśmy rozpoczynania żadnych prac w tym roku. Termin nie jest dla nas naglący.

– Zbiorę wszystko do kupy i porozmawiam z kimś od konserwatora. Może darują nam ten program prac, w końcu to chyba tylko strefa ochrony konserwatorskiej.

– Niestety. – Dorota pokręciła głową. – Jest wpisany do rejestru zabytków. Mogę wszystkie dodatkowe opracowania wziąć na siebie i sama je załatwiać. Tylko będziesz musiał to koordynować.

– Dobra. – Igor zamknął laptopa i przesunął go z powrotem do Doroty. – Przygotuję dla ciebie ofertę. Pewnie dla Kurta i tak będę konkurencyjny w stosunku do firm niemieckich.

– Z całą pewnością, chociaż niektóre firmy z tutejszego rynku zaczynają mieć porównywalne ceny. Współpracowałam już z kilkoma dużymi pracowniami…

Stukanie w oszklone drzwi przerwało Dorocie wątek. Do środka zajrzała asystentka i znacząco spojrzała na Igora.

– Masz gości.

Igor odruchowo popatrzył na zegar, a potem zmarszczył brwi.

– Na nikogo więcej dzisiaj nie czekam.

– To jacyś twoi znajomi. Powiedzieli, że na pewno ich przyjmiesz.

Zanim Igor zdążył ruszyć się z miejsca, za plecami dziewczyny pojawił się wysoki mężczyzna z potarganą jasną czupryną. Wyminął ją i z szerokim uśmiechem na twarzy wszedł do salki.

Na widok Doroty na moment stracił rezon, a radosny błysk rozjaśniający jego oczy lekko przygasł.

– Dorota?

Kobieta wstała i z drwiącym uśmieszkiem podeszła do blondyna. Wspięła się lekko na palce i pocałowała go w policzek.

– No proszę, o wilku mowa. Ja też bardzo się cieszę, że cię widzę, Johann.

Rozdział 5

Paulina wróciła do redakcji przed piętnastą. Lekarz, który miał uprawnienia biegłego sądowego, na szczęście był znajomym jej ojca. W innym wypadku musiałaby pewnie poczekać kilka dni. W pewnym stopniu czuła się przez to nieco niekomfortowo, jak ktoś uprzywilejowany. W odróżnieniu od tych wszystkich ofiar różnych napaści, pobić czy przemocy domowej, które są pozostawione same sobie i muszą czekać na swoją kolej. Pomijając już to, że wielu osób po prostu nie stać na takie badanie. Biegli cenią swoje usługi, zasłaniając się oczywiście rozporządzeniem Ministra Sprawiedliwości regulującym koszty przeprowadzenia obdukcji i wydania opinii na potrzeby postępowania sądowego. W dodatku była z nią prawniczka – zupełnie nieistotne, że akurat jej osobista przyjaciółka. Spośród ofiar przemocy domowej czy pobitych na ulicy ludzi niewielu ma przyjaciół wśród prawników. Idąc w kierunku swojego biurka, pomyślała, że ów dodatkowy wydźwięk społeczny tych wydarzeń mogłaby jakoś spożytkować. Na przykład artykułem na temat trudności piętrzących się na całej drodze administracyjnej, na którą musi wejść każdy, kto, nie dość, że został skrzywdzony, to i nierzadko boryka się z traumą i upokorzeniem. W dodatku ma jeszcze przejść cały korowód formalności prawnych i urzędowych.

Obdukcja, pomijając jej aspekt prawny, trochę ją zaniepokoiła. Lekarz stwierdził naderwanie mięśnia gruszkowatego w stawie biodrowym. Dowiedziała się, że za tym mięśniem znajduje się nerw kulszowy, na który właśnie ów uszkodzony mięsień gruszkowaty naciska, powodując ból. I, co gorsza, ból ten niestety dopiero się nasili, a pełną sprawność biodro odzyska dopiero po kilku tygodniach. W obdukcji pojawił się zapis o naruszeniu czynności narządów ciała na okres dłuższy niż siedem dni. Nie dość więc, że czekała ją batalia sądowa, na którą już się zdecydowała, to w dodatku się okazało, że i samo stłuczenie wystarczająco uprzykrzy jej życie.

Rzuciła torbę na niski pomocnik obok biurka i usiadła. Włączyła monitor

i zajrzała na stronę dziennika, na której film z wczorajszej manifestacji wciąż budził sporo emocji.

Na forum pod krótkim tekstem pojawiały się ciągle nowe komentarze. Niestety, oprócz nazwisk chłopaka, który ją przewrócił, i towarzyszącego mu księdza w cywilu pojawiły się także linki do artykułów, pod którymi widniało jej zdjęcie i nazwisko. No i, oczywiście, obelgi pod jej adresem ze strony tak zwanych środowisk patriotycznych – „lewacka szmata", „kurew Sorosa", „sprzedajna genderowa dziwka". Wśród bardziej merytorycznych komentarzy pojawiło się kilka z pytaniami typu „Jak pani może popierać mordowanie nienarodzonych dzieci?", „A tak lubiłam pani artykuły" oraz parę wpisów z serdecznymi życzeniami zgwałcenia przez grupę islamskich uchodźców. Na forum ktoś wkleił zdjęcie z manifestacji, na którym widać ją było na tle tego nieszczęsnego transparentu „Zabierz różaniec od mojej macicy!".

Pomyślała, że chcąc nie chcąc, stała się twarzą manifestacji o prawa kobiet. Albo raczej macicą.

Westchnęła i otworzyła plik z materiałami do artykułów o czarownicach, ale na moment jej uwagę przykuł komentarz z nazwiskiem księdza, którego pamiętała z wczorajszego wieczoru. Wpisała jego dane do przeglądarki i po chwili na ekranie otworzyła się kolekcja linków do rozmaitych stron i portali. Kliknęła pierwszy z brzegu i zaczęła czytać wywiad dla jakiegoś prawicowego tytułu. „Tylko zdrowy radykalny nacjonalizm może być lekarstwem na raka lewactwa, który zżera Unię Europejską", „Żadnego pobłażania dla ogarniętych tym nowotworem Polaków". Żeby nie posądzić samej siebie o wyrywanie tych cytatów z kontekstu, przebrnęła przez cały wywiad do końca. Dalej pojawiły się chrześcijańskie inkrustacje o prawdzie, jedynej prawdzie i prawdzie zmartwychwstania Chrystusa. Na koniec, jako że rozmowa toczyła się rok temu przed świętami wielkanocnymi, pojawiły się także życzenia dla Polaków – „Zmartwychwstania Wielkiej Polski, bez obcych autorytetów, zdrajców i uchodźców. Odrodzenia chrześcijaństwa w Europie, która toczy się ku przepaści. Zainfekowana zarazą multi-kulti, lewactwa i poprawności politycznej".

Paulina popatrzyła w okno. Pamiętała z dzieciństwa, jak bardzo dziwiły ją, nieobecne wówczas w Polsce, rozmaite ruchy religijne, sekty, amerykańscy pastorzy, którzy zdobywali popularność medialną niczym gwiazdy rocka.

Kilka nazwisk utkwiło jej nawet w pamięci. Szczególnie amerykański duchowny, pastor baptystów Fred Phelps, który zyskał sławę hasłem „God hates fags” i organizowaniem pikiet na pogrzebach zamordowanych gejów z transparentami „Jest już w piekle”. Z dzieciństwa pamiętała także rozmowy rodziców o IRA, o wysadzaniu w powietrze samochodów pułapek i o zamachach bombowych podczas uroczystości protestanckich, w których ginęły dziesiątki ludzi. Z IRA związana była irlandzka partia Sinn Féin, która głosiła odrodzenie kulturowe i narodowy katolicyzm.

A teraz to wszystko było pod ręką. Nie tak dawno wstrząsnęła nią zawartość strony pewnej kobiety na Facebooku. Zajrzała tam po lekturze forum na portalu popularnego, medialnego księdza, na którym kobieta była szczególnie aktywna. Na zdjęciach widniała uśmiechnięta blondynka około trzydziestki, z dwojgiem dzieci na pierwszym planie, a pod linkiem do artykułu o zatonięciu łodzi z syryjskimi uchodźcami i paroletnim chłopcu, którego ciało morze wyrzuciło na brzeg, był komentarz: „Mam w dupie islamskie bachory. Niech zdychają!”.

Ludzie, którzy niczym zombie co niedzielę przekazują sobie znak pokoju i idą w szeregu do komunii. Wiara, która stała się karykaturą samej siebie.

Wpatrzona w okno i pogrążona w myślach, nie zauważyła, że stojąca z telefonem redakcyjnym w ręku Baśka macha do niej z irytacją. Dopiero gdy koleżanka krzyknęła głośno jej imię, Paulina odwróciła się i zdezorientowana spojrzała w jej kierunku.

*

Cała trójka stała przez dłuższą chwilę i wpatrywała się w siebie z wyrazem zaskoczenia na twarzach. Na najmniej zdumioną i raczej rozbawioną wyglądała Dorota. Z lekko kpiącym uśmiechem przyglądała się Johannowi, który patrzył na Igora z ukosa, jakby spodziewał się po nim jakichś pozawerbalnych wyjaśnień. Na to wszystko, jakby mało było jeszcze konfuzji, wkroczyła Gwen i nieświadoma niczego, przedstawiła się i radośnie przywitała się z Dorotą, a potem uściskała serdecznie nieco zesztywniałego Igora.

– Igor, kochanie, przepraszam za to najście. – Uśmiechnęła się przepraszająco do Doroty. – Powinniśmy cię byli uprzedzić, ale Johann się

uparł, że zrobimy ci niespodziankę.

– No, niespodzianka wszystkim wam niewątpliwie się udała. – Igor uśmiechnął się niepewnie. – Właśnie omawialiśmy z Dorotą projekt. Kupiła dom w Szczecinie.

– Miło cię poznać. – Gwen, która nigdy nie widziała byłej żony Igora, wciąż starała się być uprzedzająco taktowna, chociaż zaczęła właśnie wyczuwać, że coś jest nie w porządku.

– Co ty tutaj robisz? – wypalił nagle bez ogródek Johann, wciąż patrząc na rozbawioną Dorotę. – Czy wy? – W tym momencie spojrzał na Igora i przerwał.

– Jak wspomniał mój mąż… – Dorota nie zamierzała nawet ukrywać, że świetnie się bawi.

– Były mąż – przerwał jej Igor. – Jak wspomniałem, omawialiśmy projekt remontu domu, który Dorota i jej obecny mąż Kurt właśnie kupili w Szczecinie.

– Czy twój obecny mąż także jest tutaj? – W głosie Johanna zabrzmiała lekka złośliwość. – Chętnie bym go w końcu poznał.

– Niestety. – Dorota pokręciła głową z udawanym żalem. – Pilnuje naszych spraw w Berlinie. Ale na pewno będzie okazja. Mnie natomiast jest niezmiernie miło poznać twoją obecną… – na moment przerwała, patrząc na Gwen z uśmiechem – narzeczoną?

Johann spojrzał z niepokojem na Gwen, a zaraz potem z irytacją na Dorotę.

– Nie spodziewałem się, że się jeszcze zobaczymy…

– Świat jest mały, kochanie.

W tym momencie w drzwiach ponownie pojawiła się asystentka Igora i, patrząc niepewnie na całe towarzystwo, bezgłośnie, samymi wargami, powiedziała do Igora:

– Telefon.

– Oddzwonię. – Igor skinął głową w jej stronę, po czym, zakłopotany, spojrzał na Johanna i Gwen. – Usiądźcie. Może się czegoś napijecie? Przepraszam za to zamieszanie. Nie przywykłem do przyjmowania

w pracowni takiej liczby gości.

Dorota sięgnęła po swoją teczkę.

– Ja się już pożegnam. – Uśmiechnęła się do Gwen i odwróciła się do Igora. – Zadzwonię, kochanie. Spotkamy się na Pogodnie.

– My też już będziemy uciekać. – Gwen złapała Johanna za ramię. – Wpadliśmy tylko, żeby się przywitać. Spotkajmy się wieczorem. Mamy mnóstwo do omówienia.

Igor przytaknął, patrząc na Johanna, na którego twarzy wciąż gościł lekki cień niezadowolenia.

– Doskonale! Kolacja?

– Dwudziesta na przykład. – Gwen popatrzyła na zegar na ścianie. – Wybierz jakieś miejsce i daj nam znać. Może się przyłączysz? – rzuciła w stronę Doroty i posłała jej uprzejme spojrzenie. Ten swoisty wyraz kurtuazji, trenowanej przez całe pokolenia angielskiej arystokracji, nawet przez moment nie zakładał, że takie zaproszenie można przyjąć.

Ale nie znała byłej żony Igora.

– Bardzo chętnie! – Dorota uśmiechnęła się z entuzjazmem i niewinnie spojrzała na Igora i Johanna. – To może w tym lokalu w dawnej siedzibie loży masońskiej? Mam nadzieję, że będzie też Paulina. Boże! Jak ja się cieszę, że ją zobaczę!

*

Paulina, z telefonem w ręku, ruszyła w kierunku aneksu socjalnego. Po lekturze forum pod jej filmem należała jej się kawa. Mocna.

– Pani Weber? Dzień dobry pani. – Głos w słuchawce miał niski tembr i bardzo przyjazne brzmienie. – Nazywam się Krystian Dulęba, z kancelarii Rozwarski i Dulęba. Chciałbym zamienić z panią kilka słów, najlepiej jakbyśmy się spotkali…

– W jakiej sprawie pan dzwoni? – Paulina, jeszcze podminowana komentarzami na portalu, wiedziała, że w jej głosie chyba słychać wojownicze nuty. Pomyślała, że w zasadzie nawet nie wie, o co chodzi, i powinna raczej spuścić z tonu.

– Reprezentuję pana Koszuta…

– Koszuta? – Przez chwilę szukała nazwiska w pamięci i nagle ją oświeciło. Zamiast złagodnieć, poczuła, jak znowu narasta w niej gniew.

– Tak, pana Szymona Koszuta, którego tak uroczo sportretowała pani w filmie na portalu waszej gazety.

– Może zainteresuje pana fakt, że właśnie otrzymałam obdukcję biegłego sądowego.

– Proszę pani, ja nie kwestionuję tego, że została pani poszkodowana. Absolutnie się zgadzam, że było to skandaliczne i ma pani prawo do rekompensaty. Ale zrobiła pani z tego medialną wrzawę, co każe wątpić w pani autentyczną traumę po tym zdarzeniu.

Paulina policzyła w myślach do dziesięciu.

– Wzięłam udział w manifestacji, z której celami całkowicie się zgadzam. Nie mam problemu z wizerunkiem mojej osoby w kontekście tych wydarzeń. Pana klient także nie powinien się wstydzić swoich poglądów na temat traktowania kobiet. Zwłaszcza tych związanych z przemocą.

– Proszę nie używać takich wielkich słów. – Głos w telefonie złagodniał. – Całe to wydarzenie było nieporozumieniem. To absolutnie nie ilustruje stosunku pana Koszuta do kobiet. Pan Szymon jest człowiekiem głęboko religijnym i mocno zabolały go niektóre z haseł na transparentach. Poczuł się urażony w swoim chrześcijańskim widzeniu świata, a że oprócz tego jest młody i nieco zbyt zapalczywy…

– Nie będzie miał zatem żadnego problemu, żeby honorowo ponieść płynące z tego konsekwencje. – Paulina wpadła w słowo prawnikowi.

– Właśnie dlatego chciałbym, żebyśmy się spotkali. Proponujemy ugodę. Nie ma sensu walczyć w sądzie, tym bardziej że pani też na tym ucierpi.

– W jaki sposób?

– No cóż. Nie oszukujmy się. Ten film, jak i pani udział w tej pikiecie, to była oczywista prowokacja. Nieprzypadkowo znalazła się pani akurat w pobliżu legalnej kontrmanifestacji…

Paulina policzyła ponownie. Tym razem do trzech.

– Proponuję na tym skończyć naszą rozmowę…

– Proszę się nie denerwować. Bądźmy racjonalni… halo…

– Żegnam pana.

Ze złością wcisnęła guzik rozłączający rozmowę i rzuciła telefon na stos papierów na stole.

Odwróciła się i dopiero teraz zauważyła, że tuż za nią z marsową miną stoi Paweł.

– Kto to był?

Paulina westchnęła. Nie miała ochoty wykłócać się z kolejnym patriarchalnym mizoginem.

– Prawnik? W sprawie tego filmu? – dopytał.

Paulina pomyślała, że jak jeszcze raz policzy do dziesięciu, to chyba będzie już przesada.

– Tak, obrońca tego bohatera, który we właściwy sposób wymierzył mi sprawiedliwość.

– Przestań mnie wkurzać! – Paweł wykrzywił twarz. – I gadać takie głupoty!

– Z kancelarii Rozwarski i Dulęba. Będą go bronić.

– Zaraz podzwonię i popytam. – Paweł spojrzał w kierunku swojego boksu. – A ty jednak dobrze przemyśl, czy naprawdę chcesz się użerać w sądzie.

– Przestań mnie wkurzać! – Paulina chwyciła kubek z kawą i skierowała się do swojego biurka. – I gadać takie głupoty!

*

Kelner postawił na stole talerz z parującą zupą rybną i po upewnieniu się, że niczego więcej Igorowi nie potrzeba, grzecznie skinął głową i odszedł w kierunku sąsiedniego stolika.

– Nasz nowy przepis. – Borola wskazał brodą talerz. – Robimy ją na podstawie starej receptury. Z łososia i soli, z niewielkim dodatkiem węgorza.

– Bardzo smaczna – przytaknął Igor. Zupa była ostra, z kawałkami zielonej i czerwonej papryki, pomidorków koktajlowych i innych warzyw,

których nie potrafił zidentyfikować.

Wciąż jeszcze miał lekki zawrót głowy po niespodziewanej wizycie byłej żony i przyjaciół. Johann i Gwen zrobili mu prawdziwą niespodziankę. Dzień, który miał być spokojny i nudny, zamienił się w serię nieprzewidzianych wydarzeń. I wciąż trwał. Czekał właśnie, aż Borola zacznie mówić na temat tych warszawsko-kamieńskich przypadków z kolekcją obrazów i skarbem katedralnym w tle. Czuł jednak lekką irytację, że Borola robi taką atmosferę tajemnicy wokół tych, najprawdopodobniej, bzdur. Spodziewał się usłyszeć jakieś hipotezy, wielokrotnie już powtarzane przez różnych pseudoświadków i pseudoznawców, na temat tym razem absolutnie pewnego miejsca ukrycia skarbu z Kamienia Pomorskiego. Oczywiście, bardzo go to ciekawiło. I to głównie dlatego sam był na siebie zły. W dodatku niepokoiła go jedna myśl. Z jakiego powodu właściwie Borola mu o tym wszystkim mówi? Podejrzewał, że jest właśnie koncertowo wyprowadzany w pole i za chwilę się okaże, iż dał się wmanewrować w tę całą akcję promocyjną hotelu jako główna ofiara albo, co gorsza, jako główny animator. I że w tym kierunku właśnie będzie zmierzała ich współpraca. Pomijając projekt remontu dworu, oczywiście, na który miał nadzieję.

– Wracając do naszej wczorajszej rozmowy… – Borola wytarł usta serwetką i sięgnął po szklankę wody mineralnej.

– No właśnie. – Igor zrugał się w duchu, że nie wytrzymał, gdy Borola przez dłuższą chwilę raczył się zimną wodą Perrier.

– No więc… – Borola postawił kryształową szklankę na stole i odsunął na bok talerz po sałatce.

Obserwujący go bacznie kelner natychmiast rzucił się w kierunku ich stolika.

– Zaraz po tym, jak ta cała aukcja została przerwana przez prokuraturę, zaczęły się oczywiście różne domysły i teorie. Ludzie plotkowali, że to wszystko było kompletnie z dupy wyjęte. Że te babki po prostu wpadły tam z policją i pokazywały palcem obrazy, które wydawały im się podobne do tych rzekomo ukradzionych ich ojcu. Generalnie bajzel. No ale my mieliśmy tam akurat pewne dojścia…

Borola przerwał i pozwolił kelnerowi zabrać talerz, po czym, uprzedzając

jego pytania, odprawił go ruchem ręki.

– Jakie dojścia?

– Zanim ci o tym opowiem, to muszę wspomnieć o kilku innych sprawach. – Borola sięgnął po teczkę, którą trzymał na siedzeniu sąsiedniego krzesła, i z pietyzmem położył ją przed sobą.

Igor wbił w nią wzrok, czując wciąż rosnącą irytację, że daje się wodzić za nos.

– O różnych teoriach na temat tego, co się stało z tym kamieńskim skarbem i co się działo po wojnie w Benicach, na pewno czytałeś. – Borola postukał palcem w okładkę teczki. – Przewija się tam kilka polskich nazwisk zaufanych pracowników Flemminga.

Igor powoli pokiwał głową. W kilku miejscach w necie czytał napastliwe teksty pod adresem Flemmingów, że nie znosili Polaków, traktowali ich jak darmową siłę roboczą i byli jednymi z niemieckich rodów najzacieklej walczących ze wszystkim, co na Pomorzu było słowiańskie. W związku z tymi informacjami zawsze go zastanawiało, jak to się stało, że najbardziej zaufani ludzie Flemminga, bezpośrednio zamieszani w ewakuację i ukrywanie skarbu kamieńskiego, a także i osobistego majątku rodziny, to byli akurat Polacy.

– Pierwszy to Teodor Kołoszuk. – Borola podniósł do góry kciuk. – Zaufany pracownik, który razem z Flemmingiem i jego rodziną oraz innymi uciekinierami przedostał się do Niemiec. Po wojnie wrócił jednak do Polski. Nigdy nie chciał rozmawiać na temat tamtych wydarzeń, ale za to prowadził na własną rękę poszukiwania skarbów w Benicach. Rzekomo wykopał liczne kufry z ukrytym dobytkiem.

Igor westchnął. Nic nowego. Czytał o tym dziesiątki razy.

– Kolejny Polak to niejaki Kuchta. – Borola podniósł palec wskazujący. – Robotnik przymusowy, który do Benic przybył w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Zdołał zdobyć zaufanie Flemminga, został jego osobistym stangretem i ściągnął do majątku całą swoją rodzinę. To właśnie on wraz z zarządcą Matternem i murarzem Kapslem, najprawdopodobniej jeszcze jednym Polakiem, ukryli w lochach pałacu pozostawione tam skrzynie.

Igor pokiwał głową. Kolejna znana historia. Nazwisko Kuchta powtarzało się w każdym prawie opracowaniu na temat skarbu kamieńskiego.

Borola sięgnął po szklankę z wodą mineralną i wypił spory łyk.

– Jest jeszcze jeden Polak. Kolejny pracownik przymusowy. Tamtej nocy był furmanem wozu, na którym jechała rodzina i bliscy Flemminga. Nazywał się najprawdopodobniej Woźniak. W Benicach pracował od czterdziestego trzeciego roku. Pod koniec wojny natomiast Flemming skierował go do roboty na leżący za benickim lasem folwark w Pemplowie.

Igor popatrzył uważnie. Tego akurat nie wiedział. Albo nie pamiętał. Czytał o tym wszystkim już dość dawno i niektóre rzeczy zdążyły mu się zatrzeć w pamięci.

– No i właśnie Woźniak jest w tej historii najbardziej interesujący. – Borola uśmiechnął się tajemniczo. – Z punktu widzenia planowanej penetracji jeziora za moim dworem, rzecz jasna. – Rozejrzał się po sali w poszukiwaniu kelnera.

– Masz ochotę na coś jeszcze? – Wskazał spojrzeniem leżącą z boku na stole kartę. – Może jakiś deser? Brownie? Mamy bardzo smaczne.

– Nie, dziękuję. – Igor niecierpliwie pokręcił głową.

– To może gorący jabłecznik z gałką lodów waniliowych?

– Żadnych słodyczy! Powiedz w końcu, o co chodzi z tą kolekcją z Gumieniec, bo od dwóch dni nie możemy do tego dojść. Na końcu się okaże, że to jakaś bzdura.

– Spokojnie, nie ma co się niecierpliwić. – Borola skinął ręką na kelnera. – Chyba że się śpieszysz? Jakieś spotkanie masz? To może jednak przełożymy tę rozmowę na jutro?

– Rafał…

– Dobra, dobra. – Borola parsknął rubasznym śmiechem i odmownie pokręcił głową w kierunku śpieszącego do ich stolika kelnera. Chłopak grzecznie skinął głową i skręcił w kierunku baru. Borola pochylił się do Igora i ściszonym głosem zaczął mówić.

– Zaraz po wojnie ten cały Woźniak był rzekomo przesłuchiwany przez KBW[13]. Złożył nawet zeznania na piśmie. Według nich, podczas nocnej przeprawy z majątku w Benicach na Wolin, tuż przed Parłówkiem, gdy wozy

ugrzęzły pomiędzy innymi uciekinierami z Pomorza, spotkał pewnego Serba. W Benicach była grupa serbskich jeńców wojennych i właśnie jeden z nich, którego nazywał Kostka, ciągnął traktorem dwa wozy, w których, nakryte plandekami, stały ciężkie drewniane skrzynie.

Igor przypomniał sobie, że rzeczywiście coś o tym czytał. Kolejny świadek i kolejne wojenne wspomnienia.

– Ten Serb miał mu powiedzieć, że wiezie „świętości” z Kamienia i Benic na posterunek w Wolinie i ma wrócić do Benic po resztę. Traktor podobno wyprzedził kolumnę i pojechał w kierunku Troszyna. Gdy karawana dotarła do mostu w Troszynie, Woźniak jeszcze raz widział traktor. Jechał z powrotem. Tym razem bez wozów.

– Skąd właściwie masz te informacje? – Igor popatrzył na Borolę podejrzliwie.

– Wspominają o tym autorzy kilku opracowań o pomorskich tajemnicach. Zatrudniłem kogoś, kto mi zebrał wszystkie te rzeczy do kupy. Historyk ze Szczecina.

– Boże! – Igor jęknął. – Widzę, że podchodzisz do tego naprawdę poważnie, a to miała być przecież tylko medialna reklama hotelu.

– Reklama reklamą, ale trzeba to zrobić porządnie. Wracając do Serba i Woźniaka…

– Ty naprawdę chcesz prowadzić te podwodne poszukiwania w jeziorze?

– I w bagnach za lasem – dodał Borola. – Serb rzekomo pojechał do Pemplowa, gdzie miał narzeczoną, a potem ślad po nim się urwał. Podobno uciekł, nie zabierając drugiego ładunku. Zresztą wtedy było już na to za późno.

Igor się zamyślił. To tłumaczyło w zasadzie, dlaczego część skarbów kamieńskich poniewierała się w kościele w Benicach i została odnaleziona po wojnie. Dwa kufry z zabytkowym wyposażeniem katedry, po które nikt nie wrócił…

– Na bagnach? Jakich bagnach? – Dopiero po chwili dotarło do niego, co właściwie powiedział Borola.

– Rozwarowskich – sprecyzował Borola. – Ciągną się od jeziora za dworem do Zatoki Cichej na Zalewie Kamieńskim. Praktycznie do Jarszewa.

Tam, gdzie stoi taki stary, piękny kościółek z obrazem Sądu Ostatecznego.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – Igor patrzył na Borolę z mimowolnym podziwem. Sam znał Jarszewo doskonale. Zarówno stary barokowy kościół, jak i zachowane średniowieczne malowidło, jedno z największych w Polsce malowideł olejnych na desce.

– Inwestuję w sztukę. To dobra lokata. À propos sztuki…

– No właśnie. W dalszym ciągu nie wiem, co to wszystko ma wspólnego z obrazami z bunkra w Szczecinie.

– No właśnie teraz o obrazach. – Borola ponownie sięgnął po szklankę i wlał do niej resztkę wody ze smukłej buteleczki. – Wspomniałem o pewnych dojściach. Uruchomiliśmy je po tym, jak wstrzymano aukcję…

Igor patrzył z irytacją, jak Borola wypija wodę do ostatniej kropli i z namaszczeniem odstawia szklankę na stół.

– Na potrzeby aukcji został oczywiście przygotowany folder. Rzecz w tym, że nie wszystkie obrazy się w nim znalazły. Podobno pewien wystawiający nie pozwolił na publiczne zamieszczenie wszystkich obrazów, zasłaniając się prawem autorskim. Bez sensu, wiem. – Borola pokręcił głową, widząc, że Igor chce coś powiedzieć. – Ale tak właśnie było. Tyle że dom aukcyjny i tak zrobił dokumentację wszystkich dzieł. Dla bezpieczeństwa i na potrzeby ubezpieczenia. Ponoć takie są wymogi. I nasze dojście to właśnie nam przekazało.

Borola otworzył teczkę, która cały czas leżała przed nim na stole, i przerzucił kilka stron z dużymi kolorowymi kserokopiami fotografii obrazów. Większość z dzieł była w ciężkich bogatych ramach, często złoconych i zdobionych liśćmi akantu oraz roślinnymi wiciami. Obrazy były w różnym stanie, od poczerniałych malowideł, na których postaci i krajobrazy tonęły w ciemnej patynie, po jasne, z jaskrawymi barwami, niejednokrotnie wydobytymi przez świeżą konserwację.

Zatrzymał się na dwóch pociemniałych portretach. Owalne obrazy przedstawiały kobietę i mężczyznę we wspaniałych, kunsztownie zdobionych strojach. Kobieta miała jasną suknię z wielkim wisiorem w głęboko odkrytym dekolcie, a mężczyzna falującą perukę i bogaty koronkowy kołnierz surduta.

Odwrócił teczkę i przesunął ją w kierunku Igora.

– Były opisane jako „niezidentyfikowane portrety z końca siedemnastego lub początku osiemnastego wieku, autor nieznany”.

Igor przez chwilę patrzył obojętnym wzrokiem na barokowe przedstawienia tajemniczej pary, gdy nagle zamarł. Podniósł wzrok.

– Nie sądzisz chyba, że to są…

– Owszem, sądzę. Jeszcze nikt się nie połapał w tej Warszawie. To są portrety Gerharda Rabenera i jego żony, które z katedry w Kamieniu trafiły do benickiego kościoła, a potem wszelki ślad po nich zaginął.

*

Paulina wypiła łyk gorącej kawy i odetchnęła. Minęła piętnasta. Część osób w redakcji właśnie zbierała się do domów, pakując laptopy i żegnając się głośno z kolegami. Pomachała uprzejmie Piotrusiowi, który, wychodząc, posłał jej całusa, i wbiła wzrok w monitor. Cały dzień minął, a Paulinie nie udało się nawet na moment zająć pracą. No, chyba że za pracę uznać udział w konferencji prasowej prokuratury. Tylko że to była przysługa dla Piotrusia, więc średnio się liczyła. Odstawiła kubek i otworzyła katalog z materiałami na temat czarownic, zebranymi wczoraj w odmętach rozmaitych internetowych archiwów gazet i portali. Było tego naprawdę dużo, a artykuł miał ograniczoną objętość. Zgodnie z założeniem powinna napisać trzy lub cztery teksty. Wprawdzie każdy na całą kolumnę, ale trzeba było odjąć powierzchnię zdjęć i ilustracji, które Paweł na pewno zechce wykorzystać. Jak zsyntetyzować historię obejmującą kilka wieków i niepoliczalną liczbę ludzkich dramatów?

Westchnęła. Procesy o czary na Pomorzu to oczywiście procesy o czary w Niemczech. Księstwo było wtedy odrębnym państwem, ale Gryfici byli lennikami cesarstwa[14] i wszelkie zachodzące wówczas w obu krajach zmiany kulturowe i cywilizacyjne były ze sobą nierozerwalnie połączone. W sieci natknęła się na dziesiątki odsyłaczy do prac magisterskich i doktorskich, setki artykułów na stronach o rozmaitej proweniencji, od parareligijnych po paranaukowe oraz na setki zaciekłych sporów na różnych forach. Po lekturze wielu dokumentów zdała sobie sprawę, że temat prześladowania czarownic tak naprawdę nigdy nie został zakończony,

a ustalenie faktycznej liczby ofiar wciąż rozpalało wyobraźnię. Ale dla niej nie liczba ofiar byłą najważniejsza. Czy było ich dziesięć tysięcy, jak chcą jedni, czy całe miliony, jak twierdzą inni? Znacznie bardziej szokujące były mechanizmy działania tego systemu. Cały ten przemysł uprzedzeń, pogardy, bezdennej głupoty i nienawiści, rozpętany przez ludzi w imię Boga.

Na terenie Niemiec, mimo że już wcześniej działała tutaj inkwizycja, okres prawdziwego koszmaru zaczął się dopiero w 1487 roku, gdy wydano drukiem największy bestseller średniowiecza *Młot na czarownice*, a opętany obsesją czarownic dominikanin Kramer zdołał przekonać zajętego intensywnym życiem doczesnym i seksualnym papieża do podjęcia zdecydowanych działań na terytorium Niemiec, które rzekomo tonęło w diabelskich praktykach.

Paradoksalnie, dopóki Kościół i ówczesne elity władzy nie wydały batalii czarownicom, powszechne mniemanie ludu na temat tak zwanych wróżek, zielarek i akuszerek było raczej pozytywne i wywodziło się z okresu przedchrześcijańskiego, gdy u takich kobiet, lub, rzadziej, mężczyzn, zajmujących się czarami, szukano pomocy. Na terytorium dawnej Polski istniało określenie „matucha”, używane w odniesieniu do starych mądrych kobiet, żyjących samotnie na marginesie niewielkich społeczności i zajmujących się ziołami i leczeniem.

Nie bez znaczenia był także czas, w którym to się działo. Okres od trzynastego do początku osiemnastego wieku to praktycznie okres ogromnych zmian klimatycznych, długo potem nazwanych „małą epoką lodowcową”. W całej Europie obniżyła się temperatura, doprowadzając do nienotowanych od dziesiątków lat opadów śniegu i trwających miesiącami zim. Pociągnęło to za sobą spadek plonów, a wilgoć i głód przyczyniały się do rozwoju na całym kontynencie plag rozmaitych chorób.

Te wydarzenia były niezrozumiałe dla prostych ludzi, którzy zaczynali negować ówczesny porządek społeczny. Szukając wytłumaczenia, odwoływali się do nowych wierzeń i samozwańczych przywódców. Gdy więc w wielu europejskich krajach zaczęto wszczynać rebelie skierowane przeciwko Kościołowi i ówczesnym władzom, nie było wyjścia i trzeba było znaleźć winnych. Mechanizm zawsze był ten sam – skierowanie niechęci na

jakąś grupę, na tyle nieistotną, żeby nie zagrażała władzy, ale wystarczająco dużą, żeby zadowolić pospólstwo. Katarowie i templariusze to wciąż było za mało. Padło więc na kobiety.

Paulina oderwała wzrok od laptopa i spojrzała w okno. Jakby na przekór ponurym wydarzeniom, o których akurat czytała, na zewnątrz zaświeciło słońce, rozlewając się po bulwarach nad Odrą i radośnie zaglądając przez wielkie szklane ściany biurowca.

Chciała skończyć dzisiaj szkic kolejnego artykułu, żeby mieć spokój wieczorem, więc rada nierada z powrotem spojrzała na ekran i otworzyła kolejny ściągnięty dokument.

Traktat *Malleus Maleficarum* podzielony był na trzy części. Pierwsza zawierała zbiór fragmentów i cytatów z innych dzieł, a także opisy praktyk i wierzeń, często jeszcze z czasów pogańskich, jakie w ówczesnej Europie wciąż były praktykowane. Miało to dowieść, że czary i magia są rzeczywiste i stanowią najprawdziwsze, realne zagrożenie. W drugiej części autor przedstawił formy, w jakich ujawniają się magiczne działania szatana i czarownic, a więc wywoływanie plag chorób i klęsk żywiołowych, niszczenie plonów, a także latanie na miotłach i uprawianie nierządu z diabłem. Trzecia część, dzięki której traktat stał się sławny, opisywała z detalami sposoby wykrywania i zwalczania wiedźm, przytaczając techniczne metody zmuszania do zeznań oraz stosowanie określonych tortur i ich kolejności do osiągnięcia jak najlepszego efektu.

Paulina westchnęła. Czytanie przetłumaczonego na język polski w 1614 roku traktatu mogło przyprawiać o ból głowy: potwornie długie, wielokrotnie złożone zdania i język staropolski, usiany nieużywanymi od lat częściami mowy. Tłumaczenie polskie było w zasadzie tylko opracowaniem na motywach dzieła Kramera, a nie prawdziwym przekładem. W dodatku dotyczyło jedynie dwóch pierwszych części, a pomijało tę najsłynniejszą, poświęconą praktykom inkwizycyjnym i torturom. Mimo to nawet tak trudna językowo i wygładzona w stosunku do oryginału wersja mogła wywołać dreszcz przerażenia.

Pierwsza część dzieła dowodziła, że czary uprawiają prawie wyłącznie kobiety, jako szczególnie przez naturę do tego przystosowane, bardziej podatne na pokusy diabła, chętniej oddające się cielesnym namiętnościom i mniej od mężczyzn inteligentne. Kobiety rzekomo też cechowała mniejsza wiara, czego dowodem miało być etymologiczne pochodzenie łacińskiego słowa *femina*, składającego się z dwu części: przedrostka *fe-*, pochodzącego zdaniem autora od słowa *fides*, czyli wiara, oraz drugiej części *-mines*, czyli mniej. Niektóre fragmenty były groteskowe, nawet przy ówczesnym stanie wiedzy. Inne dawały jednak pogląd na to, w jaki sposób traktat wpływał na postrzeganie kobiet i jak dzięki przytaczanym bredniom i konfabulacjom, powtarzanym na targach i roznoszonym od wsi do wsi, można było sterować pospólstwem, kierując jego uprzedzenia w określonym kierunku. Jeden z rozdziałów przykładowo w całości poświęcony był akuszerkom: „O sposobie, którym baby czarownice przy rodzeniu posługujące, wielkie szkody czynią, dziatki zabijając abo je szatanom z przeklęctwem oddając i ofiarując”.

Autor przytaczał zasłyszane opowieści o akuszerkach, rzekomo przyłapanych na mordowaniu niemowląt. Jedna z historii dotyczyła kobiety, która, wychodząc z izby po odebraniu porodu, potknęła się o próg i spod fałdów jej sukni wyleciały odcięte dziecięce ramionka. Była to tylko jedna z wielu absurdalnych opowieści, mających dowodzić, że akuszerki potrzebują ciał nieochrzczonych noworodków do wyrabiania wywarów, którymi raczą się z diabłem na sabatach.

Paulina przetarła oczy. Ketonal właśnie przestawał działać i czuła, jak po jej udzie i biodrach powoli rozlewa się promieniujący także na plecy ból. Wpadające do sali światło rzucało słoneczne refleksy na monitor, co męczyło wzrok. Była też zwyczajnie udręczona całym dniem jeżdżenia po mieście, a także czytaniem tych obrażających zdrowy rozsądek i przyzwoitość bredni. Ostatnie fragmenty o akuszerkach od razu przywiodły jej na myśl słynny pogrom kielecki, kiedy to plotka o porwaniu przez Żydów małego chłopca, żeby przerobić go na macę, doprowadziła do trwających cały dzień zamieszek, w wyniku których otępiały tłum zabił czterdzieści osób. A działo się to w połowie dwudziestego wieku!

Odsunęła krzesło i rozejrzała się po prawie już pustej sali redakcji. Przypomniały jej się przeczytane rano słowa księdza z wczorajszej manifestacji: „Tylko zdrowy radykalny nacjonalizm może być lekarstwem na raka lewactwa, który zżera Unię Europejską”.

Pomyślała, że mimo upływu setek lat, mimo odkryć naukowych, rozkwitu medycyny i kultury oraz rozwoju społecznego, w ludziach nic tak naprawdę się nie zmieniło. Kompletnie nic.

*

Igor patrzył oszołomiony na zdjęcia dwóch obrazów. Dopiero po dłuższej chwili podniósł wzrok i z lekką zgrozą spojrzał na Borolę.

– Zawiadomiłeś o tym ten dom aukcyjny? Prokuraturę?

– Oszalałeś? – parsknął Borola. – A co to ja jestem od tego, żeby pomagać im prowadzić śledztwo? Szkoda, że nie widziałeś, jak te prostaki wpadły do galerii. Jak jacyś zomowcy. Banda jełopów, która nie odróżnia siedemnastowiecznego portretu od reklamy drogi krzyżowej na płocie plebanii.

– Ale to są cenne obrazy, które powinny wrócić do katedry. Wisiały tam prawie trzysta lat. To historia…

– Igor! – Borola spojrzał na niego protekcjonalnie. – Jeśli ci prokuratorzy od siedmiu boleści zechcą wyjąć głowy z tyłków i zapytają jakiegoś eksperta, to może przez przypadek do czegoś dojdą. Ja mam to nie muszę ci mówić gdzie.

Igor westchnął. Borola miał raz czy dwa jakieś postępowanie sądowe o rzekome naruszenia finansowe. O nic nie został oskarżony, ale każda z tych spraw oczywiście odbiła się szerokim echem w mediach, wpływając na opinię o nim. W sumie trudno było się dziwić, że nie przepadał za prokuraturą.

Spojrzał ponownie na fotografie dwóch barokowych portretów i nagle dotarło do niego, że właściwie dalej nie wie, jaki bezpośredni związek ma kolekcja obrazów z Gumieniec z zaufanymi Polakami Hasso von Flemminga.

– Powiedziałeś, że to ten Woźniak jest najbardziej interesujący z punktu widzenia twoich ewentualnych poszukiwań.

– Nie żadnych ewentualnych, tylko jak najbardziej konkretnych. – Borola pochylił się nad stołem i postukał palcem w portrety Gerharda Rabenera i jego żony. – Te odnalezione obrazy są dowodem, że skarb nadal może się znajdować na terenie Pomorza.

– Ale ten Woźniak. Co z nim?

– Woźniak pracował razem z Serbem Kostką na folwarku w Pemplowie. Po wojnie znaleziono tam w klepisku stodoły zakopaną kolekcję broni z benickiego pałacu, a według miejscowych tam też właśnie były ukryte obrazy. Wiesz, co się mówi o pochodzeniu kolekcji z Gumieniec?

Igor z namysłem pokiwał głową. Oficjalnie, zgodnie z opowieściami najbliższej rodziny, właściciel kolekcji, emerytowany majster budowlany, był znawcą samoukiem i latami skupywał cenne rzeczy po giełdach staroci i targowiskach. Z linii zeznań rodziny wyłamał się jednak syn. Według niego całą kolekcję obrazów jego ojciec kupił od byłego pierwszego sekretarza PZPR[15].

– Rafał… – Igor podrapał się w czoło. Chwilowe zaskoczenie minęło, poczuł, jak jego myśli znowu zaczynają układać się logicznie i racjonalnie. – Te obrazy mogły rzeczywiście przetrwać w jakiejś stodole i po wojnie, za sprawą miejscowych poszukiwaczy skarbów, trafić po prostu na ówczesny czarny rynek dzieł sztuki. Ale co do pozostałej części skarbu, zwłaszcza relikwiarza Korduli, jeśli ten Woźniak mówił prawdę i Serb Kostka wywiózł „świętości” z Benic na Wolin, to nie ma już czego szukać.

Borola uśmiechnął się tajemniczo.

– I tym sposobem w końcu jesteśmy przy moim dworze.

Igor utkwił wzrok w Boroli. Ciekawe, co on jeszcze miał w zanadrzu.

– Trwało to prawie cztery miesiące, ale udało nam się namierzyć Woźniaka. Osiedlił się w Hamburgu. Umarł w siedemdziesiątym trzecim. Miał syna i córkę. Syn już nie żyje, umarł kilkanaście lat temu, ale córka do dzisiaj mieszka z rodziną na przedmieściach Hamburga. Nazywa się teraz Martha Krause, dawniej Marysia. Marysia Woźniak.

Igor patrzył wstrząśnięty na Borolę.

– Jako malutka dziewczynka jechała z ojcem tą kawalkadą wozów z Benic. A później zostali na Wolinie. Jej matka była w ciąży, kiedy

wyjeżdżali, ale nie była w stanie dalej telepać się wozem. Dopiero kilka miesięcy później zdecydowali się wyjechać do Niemiec. Po wydarzeniach na moście w Troszynie widziała, jak żołnierze z posterunku kazali Flemmingowi odtransportować dwa wozy do dworu. Zaklinała się, że widziała ten dwór potem. Zapamiętała kartusz herbowy ze stojącym na tylnych łapach wilkiem.

– Herb Flemmingów. – Igor patrzył zdezorientowany w przestrzeń. Nie wiedział jeszcze, co o tym myśleć.

Borola pokiwał głową z uśmiechem.

– No i dokładnie taki herb jest nad drzwiami mojego dworu.

Na moment zapadła cisza. Loża, przy której siedzieli, położona była niedaleko barku, nieco z boku głównej sali. Od strony sąsiednich stolików dochodził cichy szmer rozmów, krótkie wybuchy śmiechu, a od strony barku dobiegała przyciszona muzyka.

Igor, trochę zaskoczony, chociaż w dalszym ciągu pełen dystansu do całej historii, wpatrywał się w przestrzeń nad ramieniem Boroli i myślał o jednej rzeczy, która mniej więcej od połowy rozmowy nie dawała mu spokoju.

– Czy mógłbyś mi coś wyjaśnić? – zapytał.

Borola podniósł wzrok znad talerzyka z brownie, który przed momentem postawił przed nim kelner, i spojrzał na Igora.

– Z jakiego powodu w ogóle mi o tym wszystkim mówisz?

Borola włożył do ust kawałek czekoladowego ciasta i sięgnął do stojącej na sąsiednim krześle torby.

– Przyniosłem ofertę na projekt remontu dworu – powiedział Igor i przesunął w kierunku Boroli cieniutką teczkę, która cały czas leżała z boku na stole. – Ale fakt, że mam się tym zająć, wcale nie wyjaśnia, po co ta cała opowieść.

Borola wyjął z torby plik kartek i trzymając je w jednej ręce, drugą otworzył ofertówkę Igora. Przebiegł szybko wzrokiem tekst oferty.

– Okay, może być. – Odsunął na bok teczkę Igora i położył w jej miejsce swój plik dokumentów.

– Nie będziesz niczego negocjował? – Igor patrzył na niego ze zdumieniem. – Wcześniej nie da się tego załatwić. Taniej też wolałbym…

Borola machnął ręką i skrzywił się lekceważąco. Pochylił się konspiracyjnie w kierunku Igora i postukał palcem w plik kartek.

– Jest pewna rzecz, którą chciałbym, żebyś dla mnie zrobił.

Rozdział 6

Gdy Igor dotarł pod dom, dochodziła osiemnasta. Tuż przed zachodem słońce zdołało się przedrzeć przez zmechacone kłęby chmur i wyzłocić dachy oraz najwyżej położone okna kamienic ostatnimi promieniami. Przy niewielkim placyku, nanizanym na ulicę Kapitańską, przy której znajdowało się jego poddasze, na wysoką skarpę po prawej stronie wspinały się kamienne schody. Jeszcze do niedawna rozpościerała nad nimi gęste konary wielka rozrośnięta lipa. Kilka tygodni wcześniej została ścięta w ramach politycznego oczyszczania miasta z nadmiaru zbytecznej zieleni. Igora za każdym razem, kiedy wracał do domu, trafiał szlag. Oczywiście drzewo zostało ścięte, zresztą razem z wieloma innymi tej wiosny, pod pozorem tak zwanego bezpieczeństwa. Komuś coś się sypało na głowy. Nowa polityka konserwacji terenów zielonych. Właściwie należałoby wyciąć drzewa we wszystkich parkach, gdyż raczej nikt nie był w stanie zagwarantować, że nic z nich tam nikomu na głowę nie spadnie. Zwłaszcza wówczas, gdy zamiast regularnej pielęgnacji, cięć sanitarnych, leczenia zostawia się drzewa samym sobie. Potem po prostu się je wycina. Każdemu, kto usiłował go przekonywać, że jest inaczej, pokazywał palcem ogromne kule jemioły, która pasożytowała na wielu drzewach w mieście, doprowadzając do stopniowego zamierania całych konarów. A wystarczyło wyjechać za zachodnią granicę, żeby obejrzeć wiejskie drogi, wysadzane szpalerami zadbanych kasztanowców i lip. W Polsce drzewa stały się wrogiem publicznym numer dwa. Zaraz po nieobecnych uchodźcach. Żydzi i cykliści, niestety, spadli tej wiosny na dalsze pozycje, chociaż lobby gejowskie tradycyjnie trzymało się dość mocno.

Trzasnął drzwiami i jak zwykle – co miało być alternatywą dla braku czasu na siłownię – ruszył biegiem na samą górę wąskiej klatki schodowej.

Wchodząc zdyszany do mieszkania, uprzytomnił sobie, że zapomniał zadzwonić do Pauliny, żeby ją uprzedzić o wieczornym spotkaniu.

Wybierając jej numer, pomyślał, że teraz pewnie będzie zła, bo za późno ją o tym informuje. Właściwie to nie uzgodnili, kto ma zadzwonić. Ba, nawet nie zdołali porozmawiać. Wszystko przez Dorotę. Boże! Po co Gwen ją zaprosiła?

Właśnie zamierzał wybrać połączenie, ale jego palec niezdecydowanie zawisł nad czerwoną strzałką. Jak powie o Dorocie, to… Oczywiście wiedział, co będzie. Paulina po prostu nie przyjdzie. Ale jak nic nie powie, to oczywiście wyjdzie na to, że jej nie uprzedził.

Westchnął. Przez chwilę trzymał telefon, zastanawiając się, co ma zrobić, po czym w końcu pochylił się nad klawiaturą i wpisał krótką wiadomość. Z uśmieszkiem.

Paulina wyszła spod prysznica i wycierając głowę ręcznikiem, stanęła przed lustrem. Przez otwarte drzwi widziała, jak na jej łóżku gruby szary kocur przewraca się właśnie na drugi bok. Nawet tutaj słyszała, jak rozkosznie mruczy. Za oknem zrobiło się już szaro, a przyczajona w mroku wąska uliczka czekała, aż zapalą się latarnie. Pomyślała, że na szczęście zdołała dokończyć szkic artykułu, a jutro zdąży go w spokoju napisać. Miała cały wieczór dla siebie. A jak będzie się coś działo, to najwyżej skończy w sobotę i wyśle do Pawła mailem. Pewnie i tak w poniedziałek rano będzie się czepiał, ale tym będzie się martwić później. Przynajmniej miała sprawę z głowy.

Z pokoju dobiegł plusk kamienia wpadającego w wodę.

Wyszła z łazienki i pochyliła się nad ekranem telefonu. Wiadomość od Igora?

Siema. Johann i Gwen zrobili niespodziankę i wpadli do Szczecina. Spotykamy się o dwudziestej w Browarze. Obecność obowiązkowa! ☺

Paulina, kompletnie zaskoczona, przez chwilę patrzyła na ekran, a potem podniosła wzrok na zegar. Dochodziła dziewiętnasta. Cholera jasna! Nie mógł napisać wcześniej? Na miłość boską! Przecież trzeba się jakoś ubrać!

Boże! Włosy!

*

Stalowe drzwi komory otworzyły się z jazgotem i grzmotnęły z metalicznym trzaskiem w obudowę chłodni. Wewnątrz było pięć rusztów ze stali nierdzewnej, ale tylko na dwóch leżały szczelnie nakryte białym materiałem korpusy. Stół do przewożenia pacjentów, jak nazywali zawartość szaf chłodniczych technicy, uderzył o jeden z rusztów, a następnie powoli obniżył się na elektrycznym podnośniku do poziomu trzeciej półki od dołu. Technik szarpnął za paletę, która, wydając potępieńczy jęk, wyjechała z głębi komory na rolkowych prowadnicach wraz ze swoją zawartością. Po chwili stół odjechał od szafy, a stalowe drzwi z trzaskiem zamknęły się z powrotem. Ubrany w zielony kitel technik pchnął transporter i ruszył z nim w kierunku korytarza. Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się pod naporem kilkudziesięciu bezwładnych kilogramów, a stół, jazgocząc po ceramicznych kaflach, wyjechał na zewnątrz. Na korytarzu paliło się jasne zimne światło, a z sali po drugiej stronie dobiegał brzdęk przygotowywanych do pracy narzędzi.

*

Paulina ominęła stertę worków, leżących na schodach w charakterze scenografii, i wbiegła do wnętrza lokalu. O tej porze było tu już sporo ludzi. Przecisnęła się pomiędzy kilkoma chłopakami przy barze i poszła w głąb pubu. Po drodze minęła nakryty szklaną kopułą dawny dziedziniec, na którym stały kadzie z piwem, i weszła do głównej sali. Zatrzymała się za drzwiami i rozejrzała się dokoła. Nie lubiła tego miejsca. Kilka lat temu lokal kusił nowością, a dzisiaj, mimo całkiem znośnej kuchni, zaczynał cierpieć na brak zdefiniowanego jednoznacznie targetu klientów. Wiszące w wysokiej sali głównej dziesiątki monitorów przyciągały kibiców piłkarskich. Efekt był taki, że podpici faceci nawet w powszednie dni lubili się głośno zachowywać, wrzeszcząc po każdym strzelonym golu. Odstraszało to innych gości, którzy przychodzili tutaj na zwyczajną kolację. Po jakimś spotkaniu z koleżankami, gdy siedziały tuż obok kilku facetów, którzy co pięć minut ryczeli nad ich głowami, chlapiąc dokoła piwem, obiecała sobie solennie, że więcej tu nie wróci. Dotrzymała słowa do dzisiaj. Ale przecież nie miała wpływu na miejsce spotkania.

Rozglądając się dokoła, zrobiła kilka kroków i w końcu ich zobaczyła.

Gwen, Johann i Igor. Siedzieli pod oknem, na samym końcu sali. Nie znała tylko wysokiej czarnowłosej dziewczyny, ubranej w cudowną obcisłą grafitową sukienkę, opinającą jej iście posągowe kształty. Długie włosy opadały jej swobodnie na ramiona. Myśląc o swoich dopiero co wysuszonych i sterczących na wszystkie strony kłakach, westchnęła w duchu z rezygnacją i ruszyła w kierunku stolika. Johann zobaczył ją pierwszy. Z uśmiechem podniósł się i pomachał do niej ręką. Wysoka dziewczyna odwróciła się.

I wtedy ją poznała.

Paulina spóźniła się prawie godzinę. Igor, jednym okiem obserwując wciąż doskonale bawiącą się Dorotę, drugim zerkał w kierunku wejścia. Po cichu liczył na to, że Dorota, która na samym wstępie zapowiedziała, że wpadła tylko na chwilę, bo musi gdzieś tam jechać, wyjdzie przed przybyciem Pauliny.

Niestety, tak się nie stało. Dostrzegł ją pierwszy pomiędzy filarami. Widział, jak przy wejściu rozglądała się dokoła. Od razu zauważył, że miała na sobie dopasowane dżinsy, w których wyglądała świetnie. No i te włosy. Jak gdyby potargane przez wiatr, ale był pewny, że to ściśle kontrolowany nieład, nad którego ogarnięciem spędziła co najmniej godzinę.

Tymczasem Dorota doskonale się bawiła. Opowiadała zabawne historie ze swojej kariery projektantki wnętrz w Berlinie. Rozbawiła nawet Johanna, wspominając o nieszczęsnym feralnym mieszkaniu w Barcelonie, które kupiła, pewna, że to świetna inwestycja. Okazało się ruiną i do dzisiaj się go nie pozbyła. Gdy więc Paulina stanęła jak wryta na jej widok, wszyscy akurat wyglądali na bardzo szczęśliwych.

To się nie mogło dobrze skończyć.

*

Mężczyzna ubrany w zielony fartuch poprawił białą maseczkę na twarzy i pochylił się nad stołem. Powiódł wzrokiem za palcem lekarza sądowego.

– Głowa odcięta mechanicznie. Prawdopodobnie piłą spalinową. Trzeba będzie zrobić badania mikrośladów i kształtu krawędzi, może da się ustalić producenta. Na całym ciele liczne ślady uszkodzeń mechanicznych. Część z nich powstała niewątpliwie, zanim ciało znalazło się w wodzie.

– Była torturowana?

– Jeszcze trudno to stwierdzić. – Lekarz pokręcił głową. – Możliwe też, chociaż mniej prawdopodobne, że to ofiara wypadku, którego sprawca pozbył się ciała.

– Zadał sobie sporo trudu, żeby uniemożliwić identyfikację.

– Tak. – Lekarz na moment podniósł wzrok i spojrzał na prokuratora. – Tylko dziwnie niekonsekwentnie.

– Czemu?

– Popatrz tutaj. – Mężczyzna wskazał palcem kark ofiary. – Tutaj jest zachowany tatuaż. Czytelny nawet. Natomiast z ramienia został pracowicie usunięty.

– Może po prostu tamten był charakterystyczny.

– Pewnie tak. W zasadzie ta niekonsekwencja wskazywałaby właśnie na wypadek. Kierowca, który ją na przykład potrącił, wpadł w panikę. Zdecydował się pozbyć ciała i w stresie zrobił kilka błędów.

– Jakich jeszcze?

– Gazy gnilne w żołądku, nawet o tej porze roku, przy bardzo niskiej temperaturze wody, sprawiły, że wór zaczął dryfować.

– Plamy opadowe nie wskazują na utopienie.

– Nic nie wskazuje na utopienie. – Lekarz pokręcił głową. – Tego możemy być raczej pewni. Przeobrażenie tłuszczowo-woskowe zaczęło się już dość dawno i mocno postąpiło w głąb ciała. Czyli zwłoki dryfowały w wodzie co najmniej dwa miesiące. Procesy gnilne zatrzymała niska temperatura, ale spójrz tylko tutaj.

Lekarz powiódł palcem po małych rowkach na skórze.

– To mogą być uszkodzenia od lodu.

– Prawie nie było zimy w tym roku. – Prokurator zmarszczył czoło.

Lekarz pokiwał głową.

– Jedynie dwa tygodnie od połowy stycznia, ale za to rzeczywiście było mroźno. Dąbie nie zamarzło, ale przy brzegach tworzyły się cienkie pokrywy lodowe. To wskazuje, że ciało mogło trafić do jeziora właśnie na początku roku.

– A czemu nie wcześniej?

– Wcześniej było ciepło. Do połowy grudnia temperatury były dodatnie. Gdyby zwłoki wrzucono do wody wówczas, bakterie gnilne miałyby więcej czasu na zrobienie większych spustoszeń. Tak, jestem przekonany, że worek z trupem bez głowy i rąk znalazł się w jeziorze na początku stycznia.

*

Paulina, gdy już doszła do siebie po pierwszym szoku na widok Doroty, stwierdziła, że skoro nie może cofnąć się niezauważona, to, niestety, musi przez to przebrnąć. Nie mogła uwierzyć, że Dorota w doskonałej komitywie zaśmiewa się z Johannem i Gwen. Czy oni zwariowali? Rzuciła Igorowi mordercze spojrzenie i podeszła do stolika. Igor odpowiedział jej w jakiś nieokreślony sposób. Widziała, że jest zakłopotany. No ale czemu tu się dziwić? Jak mógł zaprosić tutaj swoją byłą żonę po tym wszystkim, co się stało? W dodatku to najlepiej ilustrowało jego stosunek do niej. Napisał o tym spotkaniu w ostatniej chwili, jakby nie potrafił zrozumieć, że kobieta potrzebuje trochę czasu, żeby się przygotować. Ta wiedźma, biorąc pod uwagę, jak wyglądała, pewnie co najmniej trzy godziny spędziła przed lustrem z maseczką na twarzy.

Johann wyszedł zza stolika i szeroko się uśmiechając, podszedł do niej i pocałował w policzek.

– Miło cię widzieć. Postanowiliśmy zrobić wam niespodziankę.

– Właściwie to ja to wymyśliłam. Johann miał obiekcje. – Gwen przywitała się z nią radośnie. – Ale już zaczęłam tego żałować…

Paulina skinęła głową Igorowi i dopiero wtedy odwróciła się do Doroty.

– Będę szczera. – Uśmiechnęła się. – O ile spotkanie z Gwen i Johannem to miła niespodzianka, to ciebie raczej nigdy bym się tu nie spodziewała.

– Ja natomiast strasznie się cieszę, że cię widzę. – Dorota obrzuciła ją taksującym spojrzeniem. – Doskonale wyglądasz.

Paulina ponownie z wysiłkiem uniosła kąciki ust. Przemknęło jej przez głowę, że od takich uśmiechów mięśnie żuchwy będą ją boleć chyba przez tydzień.

– Ty także.

– Wiem, kochana, dziękuję.

– Przyjechałaś tym razem, żeby spróbować sprzedać nas handlarzom organami?

– Skoro o organach mowa. – Dorota wciąż uśmiechała się słodko. – Od czasu do czasu także powinnaś się jakimś zająć. Dobrze ci to zrobi.

– Potraktuję to jako radę profesjonalistki.

Jako że obie rozmawiały ze sobą po polsku, z pozostałej trójki tylko Igor wiedział, do czego prowadzi ta rozmowa.

– Skoro wreszcie jesteś, możemy zamówić coś do zjedzenia. – Pomachał ręką w kierunku kelnera i spojrzał na Paulinę. – Pizza? Sałatka? Tylko nie bierz tego piwa co Johann. Twierdzi, że smakuje kiełbasą.

– Nie przeprosiłam za spóźnienie. – Paulina uśmiechnęła się do Gwen i usiadła na wolnym krześle obok niej. – Wybaczcie, dowiedziałam się w ostatniej chwili…

Igor popatrzył na nią urażonym wzrokiem.

– Nie miałem na myśli, że się spóźniłaś. To znaczy…

– Bo to lager z dodatkiem wędzonego słodu. – Dorota spojrzała na Igora protekcjonalnie. – Kurt na przykład lubi to piwo. No to, które zamówił Johann – dodała wyjaśniająco, widząc zdezorientowane spojrzenie Igora.

– Ja jestem po wczesnej kolacji. – Paulina pokręciła głową. – Nie będę nic jadła, dziękuję.

– Bardzo słusznie. – Dorota obrzuciła ją wzrokiem. – Ja też musiałam się nieźle napracować, żeby się pozbyć nadwagi.

Paulina spojrzała na Igora w taki sposób, jakby chciała go zabić.

Igor umknął wzrokiem, zastanawiając się, czemu akurat do niego ma pretensję.

– Po tej kontuzji dwa lata temu mało się ruszałam…

– To nie była kontuzja, kochanie. – Paulina pokręciła głową. – Pewnie po prostu zapomniałaś. Postrzelił cię jeden z tych bandziorów, z którymi chciałaś się nas pozbyć.

– To twoja wersja. Przykro mi, że masz takie luki w pamięci. – Dorota uśmiechnęła się do niej pobłażliwie, a następnie spojrzała na zegarek, odsunęła krzesło i podniosła się. – Ale na mnie czas. Już i tak jestem spóźniona.

Igor, gdyby tylko mógł, głośno odetchnąłby z ulgą.

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Miło było cię poznać. – Dorota uśmiechnęła się do Gwen i sięgnęła po swoje okrycie. Johann szybko się podniósł i pomógł jej się ubrać. Dorota odwróciła się i chciała się właśnie pożegnać z pozostałymi, gdy poła jej długiego jasnego płaszcza zawadziła o stojący na brzegu stołu wysoki szklany kufel. Naczynie zachybotało się i wyrżnęło o drewnianą podłogę, rozchlapując na boki swoją zawartość.

Tylko świetny refleks Pauliny sprawił, że pachnące wędzonką piwo Johanna nie wylądowało na jej kolanach. Ale i tak ucierpiały buty i nogawki dżinsów.

*

Lekarz obszedł stół dokoła i stanął od strony, gdzie powinna znajdować się głowa. Spojrzał na technika, który pochylił się nad notatnikiem, i zamarł w oczekiwaniu.

– Kobieta, wiek około trzydzieści, czterdzieści lat. – Popatrzył na ciało na stole tak, jakby usiłował ocenić jego gabaryty. – Wzrost około sto sześćdziesiąt, sto siedemdziesiąt. Znaki szczególne: tatuaż na karku i ślady po drugim, usuniętym, na ramieniu. Poza tym blizna po cesarskim cięciu. Prawdopodobne ślady po wykonanej dawno temu aborcji. Oprócz tego liczne blizny i ślady cięć, najprawdopodobniej z okresu tuż przed śmiercią.

– A to? – Prokurator pochylił się nad zwłokami.

Lekarz podszedł i spojrzał w ślad za jego wzrokiem. Na piersi kobiety widać było drobne czarne punkty.

– Worek uderzył w burtę łodzi poniżej poziomu zanurzenia. Możliwe, że to ślady jakiegoś smaru. Wygląda jak jakaś powłoka bitumiczna. Mógł też wcześniej wpaść pod inną łódź albo barkę. Wyspa Robiena leży tuż obok toru wodnego.

– Ślady do analizy. – Prokurator westchnął. – I trzeba oczywiście zbadać

DNA. To potrwa.

– Spróbujemy przyśpieszyć. Może do poniedziałku zrobią.

Prokurator pokiwał głową bez specjalnego przekonania.

– Dobra. – Lekarz sięgnął na tacę i wziął do ręki nożyce. – To przystępujemy do oględzin wewnętrznych. Z uwagi na brak głowy zaczniemy je od jamy opłucnej. – Przeszedł dwa kroki wzdłuż stołu i pochylił się nad ciałem.

*

Paulina odsunęła krzesło i usiadła. Spędziła kilka minut w łazience, czyszcząc buty i nogawki dżinsów z mokrych plam po piwie. Mała apokalipsa, zaraz po zrzuceniu przez Dorotę kufla ze stolika, na szczęście została zażegnana przez kelnera, który posprzątał cały bałagan i przyniósł Johannowi nowe piwo. Tym razem, na jego prośbę, jasne.

– Zrobiła to specjalnie. Jestem o tym przekonana. Śmierdzę teraz cała wędzonką.

– Chyba jednak tylko zawadziła płaszczem. – Johann uśmiechnął się do niej ugodowo.

– Skąd w ogóle ona się tutaj wzięła? – Paulina spojrzała gniewnie na Igora.

Gwen westchnęła.

– Obawiam się, że to…

– Nie rozumiem, Igor, jak mogłeś ją tu zaprosić. To znaczy, rozumiem, że jesteś przez nią, jak widać, ubezwłasnowolniony, ale mogłeś nam oszczędzić jej towarzystwa. Przecież…

– To nie Igor…

– …przez nią dwa lata temu o mało nie zginęliśmy w podziemiach. Już o tym zapomniałeś? Ja wiem, że ona jest rzeczywiście wyjątkowo seksowna. Ma bardzo dobre cycki, notabene chyba je sobie poprawiła w Berlinie, bo nie pamiętam, żeby miała aż takie wielkie…

– To ja ją zaprosiłam! – Gwen w końcu przedarła się przez słowotok Pauliny. – Odruchowo zupełnie. Nie sądziłam, że weźmie to dosłownie.

Paulina, kompletnie zaskoczona, wbiła wzrok w Gwen.

– Ty? Jak to?

Gwen westchnęła i pokrótce streściła przebieg wizyty w pracowni Igora. Gdy skończyła mówić, Paulina rzuciła Igorowi niepewne spojrzenie. Może rzeczywiście trochę się pośpieszyła z wymówkami.

Igor uśmiechnął się do niej drwiąco i sięgnął po kufel z piwem.

– I co? Zgodziłeś się dla niej pracować?

Wzruszył ramionami.

– Nie czujesz żadnego dyskomfortu? Sądzisz, że naprawdę jest bezinteresowna?

Igor spojrzał na Paulinę urażonym wzrokiem.

– Mamy ostatnio mało zleceń, a ja muszę płacić rachunki.

– Nie mam do niej za grosz zaufania. A co, jeśli ona zaczęła węszyć wokół Sedinum Exploration?

– À propos! – Igor podniósł głowę i spojrzał na Johanna i Gwen. – Odbyłem właśnie niepokojącą rozmowę z jednym moim inwestorem.

Gdy skończył opowiadać o planach Boroli i jego podejrzeniach, przy stoliku na moment zapadła cisza.

– Jak on się o tym dowiedział? – Johann groźnie uniósł brew. – Przecież naszym warunkiem była całkowita dyskrecja.

Igor wzruszył ramionami.

– Ludzie prezydenta. Borola ma tam mnóstwo kontaktów.

– W poniedziałek przyjeżdża do Szczecina Dermot ze stryjem na kolejne rozmowy. Trzeba ich o tym uprzedzić. Szczecin nie respektuje warunków prowadzenia negocjacji. – Johann nagle spojrzał na Igora. – A to w ogóle prawda? Naprawdę istnieje jakiś skarb z katedry w Kamieniu Pomorskim?

– Boże! Ledwie przyjechaliśmy na Pomorze i znowu rozmawiamy o skarbach. – Gwen sięgnęła po szklankę ze swoim mojito.

Igor wzruszył ramionami i sięgnął po tablet. Po chwili na ekranie ukazała się archiwalna fotografia relikwiarza Korduli, a zaraz po niej zdjęcie pałacu w Benicach.

– Borola twierdzi, że to kampania promocyjna, ale jakieś to wszystko podejrzane. Nie wiem, co on knuje. Zwłaszcza w kontekście tych obrazów z Gumieniec.

– Dorota zna Borolę? – spytała nagle Paulina.

Igor spojrzał na nią z lekką irytacją. Mogłaby już zakończyć ten temat.

– Oczywiście. Pracowaliśmy dla niego razem, jak jeszcze byliśmy małżeństwem.

Paulina spojrzała w przestrzeń ponad jego głową.

– A co jeśli oni razem to ukartowali? Dorota przecież była z nami w szczecińskich podziemiach. A może wpadła na taki sam pomysł jak my i zaproponowała udział w nim komuś, kto ma kupę kasy i liczne kontakty w mieście? Może ta oferta pracy przy remoncie jakiegoś domu to próba wyciągnięcia z ciebie informacji?

– Jakich informacji? – Igor popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Jak się dostać do podziemi, oczywiście. Ona nie zna przecież drogi. Dostaniesz zaliczkę, za chwilę wystawisz fakturę. Takie drobne uzależnienia. Głupio ci będzie nie współpracować. Zwłaszcza z Borolą, starym dobrym klientem.

– Zapomniałaś o drobnym detalu. Dorota nie wie, co tam znaleźliśmy.

– Informacje o Sedinum Exploration już wyciekły. Może inne także?

– No to po co im ten skarb tej jakiejś Korduli? – wtrąciła Gwen.

Przez chwilę patrzyli na siebie niepewnie.

– Jest jeszcze jedna rzecz – odezwał się w końcu Igor.

Sięgnął po swój kufel i wypił duży łyk piwa.

– Zapytałem Borolę wprost, po co mi opowiedział o tych swoich poszukiwaniach kamieńskiego skarbu.

– No i? – zniecierpliwił się Johann.

– Zaproponował mi pewien szwindel. – Igor westchnął. – Na Wolinie, prawie na samym klifie, stoi stary dom. Z ogromną i piękną działką. Jest wystawiony na sprzedaż za kosmiczne pieniądze, ale właściciele nie są jeszcze do końca pewni, czy chcą się go pozbyć. Szukają architekta, który zrobi im inwentaryzację i wstępny projekt przebudowy na pensjonat.

– I co to ma wspólnego z tym wszystkim, o czym mówimy? – nie wytrzymała Paulina.

– Borola chce, żebym zrobił te pomiary. Wszystko ukartował. Jacyś jego znajomi, którzy znają tych ludzi, mają mnie polecić, a ja mam złożyć bardzo konkurencyjną ofertę. Wystarczająco konkurencyjną, a on sam dopłaci mi drugie tyle. Bylebym tylko dostał to zlecenie.

Paulina przez chwilę patrzyła na Igora.

– Poczekaj, niech zrozumiem. Inwentaryzacja to są bardzo dokładne pomiary i sporządzenie planów, prawda?

Igor pokiwał głową.

– Planów, z których będzie wynikało, gdzie są jakiej grubości ściany, gdzie są drzwi, okna, w którym miejscu są kraty. Domyślam się także, że opiszesz stan techniczny stolarki, jakości zamków i tak dalej?

Igor ponownie pokiwał głową.

– I on pewnie chce, żebyś mu potem te plany dostarczył? – Paulina otworzyła szeroko oczy.

Igor westchnął i po raz kolejny kiwnął głową z rezygnacją.

– Przecież to wygląda jak przygotowanie gruntu pod jakiś włam!

– Także z miejsca o to zapytałem.

– No i co? – Johann patrzył na Igora z malującym się na twarzy niedowierzaniem.

– Zaczął ściemniać, że chce ten dom kupić, ale najpierw musi wiedzieć, jakie są rzeczywiste szanse jego rozbudowy. Ponoć Wolin stawia tam bardzo restrykcyjne warunki.

– A ile ci ludzie chcą za ten dom, tak z ciekawości?

– Prawie sześć milionów.

– Boże! – jęknęła Paulina. – Za tyle to można kupić wyremontowany pałac z parkiem i przyległościami.

– Jak zacząłem dalej dopytywać, to w końcu powiedział, że w tym właśnie domu mieszkała w czasie wojny ta dziewczynka, która uciekała z rodzicami kawalkadą wozów Flemminga. Marysia Woźniak. Martha Krause.

Na moment ponownie zapadła cisza. Cała trójka wpatrywała się w Igora podejrzliwie. Pierwszy odezwał się Johann.

– To teraz najważniejsze pytanie. – Podniósł palec do góry – Zgodziłeś się?

Igor spojrzał na niego i po chwili przytaknął.

Johann ciężko westchnął.

– Zwariowałeś! – Paulina prawie krzyknęła i postukała się palcem w czoło.

– Ciszej bądź! Mamy ostatnio mało zleceń, a ja muszę płacić rachunki!

– Jak wszyscy, ale tylko niektórzy decydują się na współudział we włamaniach. Przecież to jest przestępstwo! – jęknęła Paulina. – Nie wierzę, że chcesz to zrobić.

– Igor! – Johann pochylił się nad stołem. – Przecież my ci możemy pożyczyć kasę. Na konto naszych poszukiwań Sedinum Exploration.

– Nie wygłupiaj się. – Igor pokręcił głową. – Aż tak źle nie jest. Zresztą, mogę pożyczyć od rodziców, w najgorszym wypadku. Sprawdziłem wszystko. Jeśli ci ludzie nie zawrą w umowie warunku, że inwentaryzacja jest do ich wyłącznego użytku i nie wolno mi jej nikomu udostępniać, to wszystko jest zgodne z prawem.

– Ty chyba jesteś idiotą! – Paulina ponownie podniosła głos. – Tu nie chodzi o prawo budowlane ani nawet o przepisy prawa cywilnego. Jeśli tam rzeczywiście ktoś się włamie, to przecież od razu będziesz podejrzany. I pewnie błyskawicznie wyjdzie na jaw, że przekazałeś te plany komuś innemu. W dodatku odpłatnie.

– Dobra! – Johann uderzył pięścią w stół. – Nie będziemy bezczynnie patrzeć, jak nasz przyjaciel bankrutuje i idzie do więzienia! Jutro wpadnę do twojego biura i pogadamy. Jeśli masz jakieś długi, to chcę widzieć ile, a w poniedziałek przeleję ci kasę na konto.

– Nikt nie bankrutuje ani nie idzie do więzienia! – Igor podniósł oczy do nieba. – Nie histeryzujcie, na miłość boską! Poza tym, jeszcze nie zrobiłem żadnych planów i nikomu ich nie przekazałem.

– Ale mówisz, że się zgodziłeś. – Paulina popatrzyła na niego oskarżycielsko.

– Tak, ale ci ludzie muszą się najpierw do mnie odezwać. Może polecenie przez znajomych nic nie da i nie złapią się na haczyk Boroli.

– Jak się odezwą, to nie podejmuj żadnych decyzji bez powiadomienia nas. – Johann popatrzył na Igora poważnie.

Igor uśmiechnął się do niego z przekąsem.

– Dobrze, tato! A teraz może w końcu coś zamówmy. Umieram z głodu.

Rozdział 7

Piątek,10 marca

Paulina, z torbą na laptopa w jednej ręce i kubkiem kawy w drugiej, wprawnie manewrując ramieniem, pchnęła oszklone drzwi i weszła do głównej sali redakcji. Od razu rzuciło jej się w oczy niewielkie zbiegowisko, które zrobiło się za plecami Piotrusia, kilka biurek od niej. Pomyślała, że Piotruś pewnie znowu zrobił jakiegoś głupiego mema i właśnie wrzuca go do sieci. Położyła torbę na krześle, a kubek z kawą postawiła na blacie. Lekko bolała ją głowa. Wczorajsze spotkanie z Johannem i Gwen przeciągnęło się do północy. Po burzliwym początku rozmowy w końcu udało im się nacieszyć swoim towarzystwem i porozmawiać o niczym. Przy okazji wypiła też dwa drinki, które miały nie być mocne, i jednego shota – za spotkanie. No i efekt był taki, że dzisiaj do pracy przyjechała taksówką. Na szczęście nie planowała żadnych spotkań ani wyjść, stwierdziła więc, że jakoś sobie poradzi.

Otworzyła torbę z laptopem i wyjęła plik kartek z notatkami do drugiej odsłony cyklu o czarownicach. Miały się wprawdzie ukazywać co tydzień i aż takiego pośpiechu nie było, ale po prostu chciała jak najszybciej mieć to z głowy. Ten temat powoli zaczynał jej wychodzić bokiem. Głównie przez usiłującego wszystko cenzurować Pawła, który nagle sobie przypomniał, że jest katolikiem.

Sięgnęła po kubek z kawą i właśnie chciała w spokoju przeczytać poranne wiadomości, gdy Piotr zawołał ją po imieniu. Odwróciła się, chcąc powiedzieć, że jest zajęta, ale zobaczyła, że na twarzach osób, które wciąż stały za jego plecami, malują się uczucia mocno odbiegające od rozbawienia. Zaintrygowana wstała więc i podeszła do stanowiska kolegi.

– Kiedy właściwie on to wrzucił? – Baśka pochylała się nad ramieniem Piotra, przypatrując się czemuś z obrzydzeniem.

– Dosłownie pół godziny temu. – Piotruś podrapał się po brodzie. – Kolega przysłał mi link, bo widział, że pisałem o tym wczoraj.

– Boże, koszmar. – Baśka się wzdrygnęła. – Ściągnąłeś to? Zaraz pewnie to zdejmą z YouTube'a.

– Oczywiście. Możemy zacząć odliczanie. Stawiam, że powisi jeszcze z pół godziny i zniknie.

– Co to jest? – Paulina usiłowała zobaczyć coś zza pleców kolegów.

Piotruś odwrócił się na krześle.

– Jeździłaś wczoraj w tej sprawie do prokuratury.

Na ekranie kończył się właśnie jakiś nakręcony amatorską kamerką film. Ciemny obraz co rusz zmieniał położenie, ukazując to zadeptaną mokrą ziemię, to plecy jakichś krzątających się niedaleko ludzi. Po chwili ekran zrobił się czarny, na moment pojawiły się napisy, prośby o subskrybowanie, a chwilę później film, z włączoną funkcją odtwarzania w pętli, zaczął się ponownie. Z miejsca, w którym był nagrywany, widać było jakieś nabrzeże porośnięte łysymi o tej porze roku krzewami. Przy samym brzegu stała łódka, a dalej widać było trzy motorówki policji wodnej. Na ciemne wody jeziora kładły się długie snopy niebieskiego światła. W tle słychać było kilka głosów. Tuż obok płakała jakaś kobieta, a rozgorączkowany męski głos uporczywie prosił, żeby się uspokoić. Kamera przesunęła się powoli wzdłuż brzegu i zatrzymała się na grupie osób, które stały nad jakimś leżącym w trawie tobołem.

– Co to jest? – Paulina pochyliła się pomiędzy ramionami dwóch kolegów, chcąc przyjrzeć się dokładniej temu, co majaczyło na ekranie, pod nogami kilku mężczyzn.

– Patrz dalej. – Piotruś skinął brodą w stronę swojego monitora.

Kamerka musiała mieć niezły zoom. Obraz mocno się powiększył, ukazując czarne dżinsy jakiegoś człowieka. Po chwili łydki zniknęły z ekranu i tajemniczy ładunek ukazał się w pełnej okazałości. Górna część worka była rozcięta, a sznur leżał obok. Pod spodem był także łańcuch, którym obwiązany był żółtobrązowawy kadłub.

Paulina jęknęła i zakryła usta dłonią.

Ciało było kilkakrotnie obwiązane łańcuchem. Leżało na brzuchu. Widać

było obojczyk i ciągnącą się wzdłuż boku pozbawioną dłoni rękę. Kark kończył się strzępami skóry. Plecy i bok trupa pożłobione były długimi ranami i nacięciami.

– Boże! Kto to nagrał?

– Jakiś Pawcio. – Piotruś wskazał palcem logo youtubera, którego kanał właśnie oglądali. – Ma kilka filmów na rowerze i na nartach. Pewnie kamerka z mocowaniem na głowie.

Obraz powoli przepłynął wzdłuż zwłok, ukazując biodra i potwornie pokaleczone nogi. Nagle rozległ się głos jakiegoś mężczyzny i kamera gwałtownie zmieniła położenie, pokazując kolana w ciemnych spodniach i fragment żółtego sztormiaka. Po chwili znowu pokazały się nogi kręcących się nad ciałem mężczyzn, ubita mokra ziemia i ekran ponownie zrobił się czarny.

– Koszmar. – Baśka pokręciła głową. – To musi być jeden z tych motorowodniaków, którzy znaleźli zwłoki.

– Za moment będzie niezła chryja w mediach. – Piotruś pokręcił głową i odwrócił się do stojących za jego plecami kolegów.

– Dałeś link u nas na portalu? – zainteresowała się Baśka.

– Jasne! Z krótkim komentarzem. Ale nie byliśmy pierwsi. Zresztą film zaraz zniknie.

– Dobre i to. Koleś będzie miał kłopoty.

– Pisali… – Paulina, wciąż zszokowana, cały czas wpatrywała się w ekran. – To znaczy, ty też pisałeś… – spojrzała na tył głowy Piotra – że na pokładzie były dzieci. To pewnie jakiś szczeniak. Nikt dorosły nie ryzykowałby czegoś takiego.

– To podobno kobieta. – Baśka przekrzywiła głowę. – Tutaj nawet nie widać. Ma jakiś tatuaż na karku.

– Bardziej na obojczyku. – Piotr pochylił się nad ekranem. – Jakieś stylizowane litery.

– To dobrze. – Paulina westchnęła. – Dzięki temu może łatwiej ustalą tożsamość.

– Wszędzie piszą o porachunkach mafijnych. My też tak napisaliśmy. –

Piotr odwrócił się do Pauliny. – Ale kobieta i mafia?

– Wydziarana. Pewnie prostytutka. – Baśka wzruszyła ramionami. – Musiała się narazić swoim szefom. Pamiętasz, Piotrusiu, że masz poskładać dla mnie materiały z konferencji ekonomistów w Radissonie?

– Tak, tak. – Piotr jęknął i niechętnie sięgnął po plik papierów leżących na biurku.

Po chwili wszyscy rozeszli się do swoich zajęć.

Paulina sięgnęła po resztkę kawy ze Starbucksa i spojrzała w kierunku szklanej zagrody Pawła. Pomyślała, że jak zrobi wcześniej szkic kolejnego artykułu o czarownicach, to może jej się uda wcześniej wyjść. Umówiły się wstępnie z Gwen na obiad. Chociaż po tym filmie na YouTubie obawiała się, że nieprędko odzyska apetyt.

*

Igor zasunął szklane drzwi swojej przegrody i usiadł przy stole naprzeciwko szczupłej blondynki z wysoko upiętymi włosami.

– Dobra! To mów, jak to wszystko wygląda?

– Nie jest najlepiej. – Kobieta przesunęła w kierunku Igora plik wydruków komputerowych. – Do dwudziestego kwietnia musimy zapłacić podatek dochodowy, a do dwudziestego piątego VAT.

– To jeszcze mamy trochę czasu.

– VAT to najmniejszy problem. – Blondynka wskazała palcem jedną z pozycji na wydruku. – Problemem jest podatek dochodowy. To przez niego tracimy płynność. Nawet jak uzbieramy jakoś na jego zapłacenie, to brakuje na pensje i składki ZUS-u. Już w ogóle nie mówię o kosztach bieżących.

– Nic nie możemy zrobić z tą fakturą? – Igor sięgnął po jeden z wydruków, podniósł i pomachał nim nerwowo. – Nie można jakoś tego anulować?

– Nie można. – Blondynka pokręciła głową. – Zaksięgowałam ją miesiąc temu.

Igor westchnął i spojrzał przez szklane drzwi na główną salę pracowni. Problemy zaczęły się dwa tygodnie temu, gdy minął termin zapłaty faktury

na bardzo dużą kwotę. Najgorsze, że wcześniej nic nie zapowiadało takich kłopotów. Współpraca z inwestorem układała się całkiem poprawnie. Miesiąc temu projekt dostał pozwolenie na budowę, a księgowość inwestora przyjęła fakturę. Trzy tygodnie później przyszedł do pracowni list polecony z wypunktowanymi licznymi zarzutami co do wykonanej pracy. Dramatem było jednak to, że wraz z zaksięgowaną i niezapłaconą fakturą pojawiła się konieczność opłacenia podatku dochodowego i VAT, których sumy przy kontrakcie tej wysokości były astronomiczne.

– A ich zarzuty są w ogóle zasadne? – Księgowa wskazała głową leżący na stole list w podłużnej szarej kopercie.

– To gra na zwłokę. Wszystkie są bardzo kreatywnie wydumane.

– Tym gorzej dla nas – westchnęła. – Bo to oznacza, że w rzeczywistości nie chodzi o nieporozumienie, którego wyjaśnienia oczekują, tylko o zwodzenie nas w nieskończoność. Jak odpiszesz na te zarzuty, to pewnie wymyślą inne.

– Oczywiście. – Igor pokiwał głową. – Ale, niestety, muszę odpisać. Brak reakcji będzie dla sądu dowodem na słuszność tych zarzutów.

– Droga sądowa niczego nie załatwi.

– Ale może nie być innej drogi.

– W takim sensie, że podatek i tak będziemy musieli zapłacić, niezależnie od tego, czy podamy ich do sądu, czy nie.

Igor westchnął ciężko.

– Mamy wprawdzie pewne atuty w ręku. – Księgowa potarła czoło. – Mamy protokół odbioru dokumentacji. Bez uwag. Potrąciliśmy na fakturze kary umowne za dwa miesiące opóźnienia, więc w tej kwestii nie mogą nam nic zarzucić. Wszystko zgodnie z umową. Oni natomiast na ten projekt mają przyznany unijny fundusz wsparcia inwestycji na terenach miejskich. Muszą się z niego rozliczyć, a na razie nie mają praw autorskich do dokumentacji.

Igor wzruszył ramionami.

– Tylko że tymczasem grozi nam utrata płynności finansowej i bankructwo.

– Umówię nas w takim razie z naszym prawnikiem. Może on coś wymyśli. – Blondynka wstała i zaczęła zbierać papiery ze stołu. –

Skonsultuję jeszcze, czy jest jakiś sposób uniknięcia tego podatku, ale na nic nie licz.

Igor przytaknął, choć niechętnie. Dźwignął się od stołu i otworzył drzwi.

*

Paulina wróciła z kuchenki z parującym kubkiem i usiadła przy swoim biurku. Po raz nie wiadomo który pomyślała, że nie powinna pić tyle tej kawy, po czym obudziła myszką uśpiony komputer. Jakąś godzinę temu udało jej się uporać z koszmarnym obrazem leżących na pogrążonym w mroku brzegu jeziora zwłok i jakoś skupić się na pracy. Problem polegał jednak na tym, że materiały, za których czytanie właśnie się zabrała, wcale nie były lepsze.

Na początku siedemnastego wieku, w samym apogeum wojny trzydziestoletniej, biskupem Bambergu został jeden z najzacieklejszych wrogów reformacji, książę Johann Georg II Fuchs von Dornheim. Należał on również do nieprzejednanych prześladowców czarownic, dzięki czemu w późniejszych źródłach nazywano go „palaczem wiedźm” lub „biskupem od czarownic”. Za jego kadencji tylko w Bambergu spłonęło, według ostrożnych szacunków, około tysiąca osób. Technologia palenia na stosie nie była oszczędna. Na spalenie jednej kobiety trzeba było ściąć minimum dwa drzewa, a drewno było wówczas materiałem bardzo cennym. W 1627 roku pod okiem biskupa opracowano więc nowoczesną technologię wykorzystującą oszczędny piec. Przypominał on wieżę, w której w połowie wysokości umieszczano stalowy ruszt. Górnymi drzwiami, dostępnymi z drewnianej galerii, niczym w wieżach obronnych średniowiecznych zamczysk, wprowadzano ofiary, a dolnymi wrzucano pod ruszt drewno. Pozwalało to spalić jednocześnie całą grupę ludzi, oszczędzając cenny surowiec. Według niektórych źródeł technologia zyskała naśladowców i ponoć taki sam piec stał na terenie dzisiejszej Polski w okolicach Jeleniej Góry.

Racjonalizatorskie pomysły biskupa na tym się nie kończyły. To jemu także należy „zawdzięczać” powstanie specjalnego trzykondygnacyjnego budynku, znanego z archiwaliów pod nazwą „Malefizhaus”, czyli „Dom zło

czyniących”, w którym na każdym z pięter znajdowało się po kilkanaście cel i kilka sal tortur. Przetrzymywanych tutaj ludzi zamęczano taśmowo, a skrupulatni skrybowie prowadzili dokładne księgi, w których dokumentowali rodzaje wykonywanych tortur i precyzyjne opisy maltretowanych ofiar, które prosto z tego miejsca trafiały na stalowy ruszt stojącego nieopodal pieca.

Paulina oderwała wzrok od ekranu i z niedowierzaniem pokręciła głową. Nie spodziewała się, że w tych materiałach znajdzie coś, co przebije film Piotrusia. Nie była nawet pewna, czy chce pisać o takich rzeczach. Czuła się wystarczająco zbrukana tym, że to przeczytała. A już widziała minę Pawła, gdy przypomina jej o „nieprzesadnie poważnym tonie” artykułu. Obiektywnie musiała jednak przyznać, że historia księcia biskupa była bardzo chętnie przytaczana przez duchownych protestanckich. Biskup Bambergu był wszak katolikiem. Z drugiej strony były z kolei artykuły rozmaitych polskich publicystów, którzy, podając liczbę około trzydziestu tysięcy ofiar, dowodzili, że paleniem stosów zajmowali się głównie protestanci. A przecież stosy w Niemczech płonęły na długo przed reformacją, a i wtedy siały grozę tak samo w katolickich, jak i protestanckich częściach cesarstwa.

Paulina przetarła oczy. Liczby. Tysiące czy setki tysięcy? Jakie to miało znaczenie wobec technologii palenia ludzi żywcem w piecach na ruszcie?

*

Po piętnastu minutach siedzenia przed monitorem i wpatrywania się w projekt nawierzchni utwardzonych wokół hotelu Igor przyznał sam przed sobą, że już nie jest w stanie skupić się na pracy. Rozmowa z księgową wytrąciła go z równowagi. W zasadzie nie powiedziała mu nic, czego by wcześniej nie wiedział, ale wszystkie obawy, które do tej pory tkwiły w jego podświadomości, teraz wylazły na zewnątrz i zrobiły się wielkie i przerażające jak Buka z Muminków. Dali się po prostu podejść nieuczciwemu inwestorowi, którego obecne posunięcia wyraźnie wskazywały na złą wolę i na działanie z całkowitą premedytacją. Pismo z zarzutami, na które odpowie, oczywiście wywoła kolejne, potem następne.

Na wszystkie będzie musiał reagować, aż w końcu łaskawie zaproponują jakąś ugodę, a w rzeczywistości będzie to dokładnie zaplanowane działanie. Na przykład zasugerują zapłacenie części faktury, tak żeby wystarczyło na podatek i VAT. A właściwego honorarium nadal im nie zapłacą i będą ich zwodzić przez kolejne miesiące.

Oczywiście było kilka rozwiązań. Na przykład kredyt albo pożyczka od rodziców. Na tyle, żeby zaspokoić bieżące potrzeby firmy do czasu, aż wpłyną pieniądze z innych realizowanych obecnie zleceń. Ale to była ostateczność.

Wstał i ruszył w kierunku kuchni, żeby zrobić sobie herbatę, gdy zadzwonił telefon. Nieznany numer. Przez krótką chwilę wahał się, czy odebrać, po czym przejechał palcem po ekranie i przyłożył komórkę do ucha.

– Dzień dobry panu. Pan Fleming? – odezwał się niski kobiecy głos, tak samo obcy jak numer telefonu.

– Tak, czym mogę służyć?

– Miło mi. Nazywam się Aleksandra Kupiec. Dostałam pana numer od państwa Rodziewiczów ze Świnoujścia. Polecili mi pana usługi.

Igor popatrzył w przestrzeń. Rodziewicz? Nie pamiętał nikogo o takim nazwisku wśród swoich klientów, ale może zapomniał.

– Mamy duży dom na Wolinie. Z wielką działką…

Igor, który szedł właśnie z telefonem przy uchu do kuchni, zatrzymał się. Znajomi Boroli jednak nie tracili czasu.

– Szukamy kogoś, kto przede wszystkim zrobi inwentaryzację tego domu, a później opracuje koncepcję rozbudowy. Chcemy go przebudować na pensjonat. Miejsce jest urokliwe. Urząd wprawdzie postawił bardzo restrykcyjne warunki w kwestii rozbudowy, ale przewidujemy, że da się zyskać drugie tyle powierzchni, co teraz. Czy byłby pan zainteresowany?

– Ma pani jakieś materiały archiwalne? Może mapę geodezyjną?

Igor zadał te pytania głównie po to, żeby zyskać na czasie. Miał w głowie wczorajsze spotkanie z Borolą i jego propozycję. Drugie tyle, ile dostanie od tych ludzi. Jako zaliczka.

– Tak, coś tam mamy. Dom jest objęty ochroną konserwatorską, niestety. W dodatku jest całkowicie urządzony. Wszystko zostało po moim ojcu.

Umarł w zeszłym roku. Nie mamy co zrobić z meblami i wystrojem. Mam nadzieję, że to nie będzie przeszkadzać w pomiarach?

– Nie, nie…

Igor usiłował zebrać myśli.

Czuł się tak, jakby miał właśnie podpisać cyrograf.

Inwentaryzacja to szybka, prosta robota. Bez urzędów, pozwoleń, papierów. Dwa tygodnie i zrobione. Jeżeli uda mu się wynegocjować etapowanie płatności, to za dwa tygodnie dostanie pieniądze. A później koncepcja rozbudowy. Sama przyjemność, kwintesencja pracy architekta. Żadnych formalności, uzgodnień, korowodów. Jest szansa, że z całym tym tematem uporają się w miesiąc.

A do tego dochodzi zaliczka od Boroli. Z góry. Bez upokarzającego pożyczania pieniędzy od rodziców, bez kredytu, nie mówiąc już w ogóle o uroczej, ale całkowicie nie do przyjęcia ofercie Johanna.

Decyzja, którą właśnie miał podjąć, mogła z jednej strony wyciągnąć go ze starych kłopotów, ale z drugiej – wpakować go w nowe.

*

Niewiele było trzeba, żeby wpaść w tryby machiny śmierci ówczesnych sądów inkwizycyjnych. Wystarczyło doniesienie kogoś rzekomo poszkodowanego, komu źle niosły się kury, zmarniało żyto na polu czy krowa dawała mało mleka. Takie zarzuty w zupełności wystarczały, żeby oskarżoną zatrzymano i umieszczono w lochu, najczęściej przy katedrze lub w miejscowym kościele. Bardziej zapobiegliwi inkwizytorzy kazali zamykać wiedźmy w beczkach lub klatkach, ponieważ zetknięcie z ziemią dawało im moc pozwalającą znieść ból. Proces rozpoczynał się od prezentacji oskarżonej narzędzi tortur i opisu ich działania. Następnie rozbierano przerażoną kobietę do naga, a sędziowie poszukiwali na jej ciele znamion szatana, za które często wystarczały kurzajki, brodawki lub zwyczajne pieprzyki. Niepodważalnym dowodem konszachtów z szatanem były miejsca, które nakłute igłą nie krwawiły, a ukłuta kobieta nie czuła bólu. Jeśli dowody z oględzin nie były wystarczające, przeprowadzano próby. Próba ognia polegała na oparzeniu ręki rozżarzonym żelazem. Jeśli po trzech dniach

rana dobrze się nie goiła, był to dowód na kontakty z siłami nieczystymi. Próbą wody było wrzucenie związanej nieszczęśnicy do jeziora. Jeśli błyskawicznie szła na dno, był to dowód, że jest niewinna. Najbardziej groteskowa była próba wagi, ponieważ w samym swoim założeniu nie miała szansy powodzenia, a mimo to takie przypadki się zdarzały. Jej sens polegał na pokutującym wśród ludu przekonaniu, że czarownica, by móc latać, musi być bardzo lekka. Wszystkie przypadki stwierdzenia tego stanu rzeczy dowodziły więc oczywiście tylko jednego – jawnych oszustw nadgorliwych sędziów i inkwizytorów. Jeśli próby nie wykazały niezbicie niewinności, przychodził czas na przesłuchanie. Przerażone kobiety najczęściej zaprzeczały wszystkim oskarżeniom i odrzucały kalumnie oraz obmowy świadków, którzy zeznawali na ich niekorzyść, opowiadając o tym, jak to wiedźma rzucała czar na ich zwierzęta, zatruwała wodę w studni czy mleko krów. A wielu widywało także, jak latała na miotle na sabaty czarownic, które odbywały się w ostatnią noc kwietnia, zwaną Nocą Walpurgii, na górach czarownic. W pomorskich archiwach przetrwało sporo opisów takich miejsc. Łysa Góra znajdowała się niedaleko Gąbina pod Trzebiatowem, koło Smołdzina leżało Szubieniczne Wzgórze, a nieco dalej legendarny Rowokół, gdzie w zamierzchłych czasach miały się odbywać święte obrzędy kultury łużyckiej. Czarownice z Wolina spotykały się na Wzgórzu Wisielców nad Dziwną. Pod Kamieniem Pomorskim, nieopodal Żółcina, leżało wzniesienie, nazywane Piaskową Górą, a niedaleko Golczewa, tuż koło Upadłych, rozciągały się bagniska, które miejscowi nazywali Szubienicznymi Polami. Góra Czarownic, znana też jako Jasna Góra, leżała także w zakolu rzeki Niemicy, niedaleko Benic…

Paulina, która właśnie zamierzała otworzyć kolejny dokument, zatrzymała się i na moment znieruchomiała z ręką na myszce. Benice? To przecież tam stoi pałac, w którym w czasie wojny ukryty był skarbiec katedry kamieńskiej. A góra w zakolu rzeki…

Ściągnęła plik dokumentów na dół ekranu i otworzyła mapę. Igor coś wspominał o cmentarzu rodowym Flemmingów na jakiejś Bukowej Górze koło Benic. To przecież tam po wojnie miejscowi szukali skarbów. Czy to ta sama góra?

*

Igor spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Minęła właśnie kolejna godzina, a jemu nie udało się narysować ani jednej kreski. Miał wrażenie, że ma pod czaszką zdezelowaną karuzelę, która, niemiłosiernie trzeszcząc, nieustannie przesuwa mu przed oczami wciąż te same myśli. Gdy tylko na moment zdołał się od nich oderwać i skupić na rysunku na monitorze, po chwili znowu wyskakiwały kolumny wrednych liczb, które godzinę temu pokazywała mu księgowa. A zaraz za nimi przesuwał mu się przed oczami upiorny dom na Wolinie, który zdołał już obejrzeć na Google Maps prawie z każdej strony.

Budynek nie był duży ani jakoś specjalnie reprezentacyjny. Parterowy, z bardzo wysokim dachem z naczółkami. Od strony ulicy miał ryzalit, w którym na środku umieszczony był ganek wejściowy, a nad nim – balkon z dekoracyjnymi balustradami. Od tyłu znajdował się taras ze schodami prowadzącymi do ogrodu. Dokładnie na ich osi, na wielkim trawniku stała okolona ogrodzeniem z kutego żelaza fontanna. Dom wybudowano pod koniec dziewiętnastego wieku. Architekturą przywodził na myśl niewielkie, typowe dla Pomorza dwory z tego okresu. To, co było jego największym atutem, to fantastyczna działka: ponad hektar terenu, porośniętego doskonale utrzymaną zielenią, z wysokim naturalnym wzgórzem w części centralnej, z którego rozciągał się zapierający dech w piersi widok na Zalew Szczeciński.

Igor po raz kolejny otworzył teczkę z dokumentacją, którą dostał od Boroli. Oprócz podstawowych danych, jakie zamieściło biuro nieruchomości, były tam nawet uproszczone rzuty kondygnacji. Piwnica, parter, poddasze i dodatkowo wysoki strych. W zasadzie całe pomiary można było zrobić w jeden dzień. No, może w dwa dni. A opracowywanie koncepcji rozbudowy tego domu to byłaby sama przyjemność. Uwielbiał takie tematy.

Westchnął i po raz kolejny zamknął teczkę, po czym odsunął ją na skraj biurka. Wszystkie dane niezbędne do tego, żeby oszacować tę inwestycję, były na dobrą sprawę w tych materiałach. Dodatkowo zdjęcia i deklaracja właścicieli, że dom w każdej chwili można obejrzeć. Stan techniczny też można było zweryfikować w czasie wizyty. Borola nie potrzebował żadnych dodatkowych informacji, żeby zdecydować się na zakup. Po co więc była mu potrzebna dokładna inwentaryzacja? Podejrzany był także powód, dla

którego w ogóle się interesował tym domem. O ile dwór nad jeziorem koło Troszyna był rzeczywiście doskonałym pomysłem na hotel i restaurację, w sezonie bowiem przejeżdżały tamtędy tysiące turystów, o tyle domostwo leżące na uboczu, w zapomnianej wsi, miało raczej średni potencjał komercyjny. Z bardzo restrykcyjnymi przepisami dotyczącymi ochrony krajobrazu i miejsc kulturowych na dodatek.

Co z tego, że mieszkała tutaj ta Martha Krause, czyli Marysia Woźniak? Borola interesował się wszystkim, co dotyczyło drugiej wojny światowej, a kupno kolejnego domu za kilka milionów pewnie nie stanowiłoby dla niego jakiegoś większego uszczerbku, ale po jakiego diabła był mu on naprawdę potrzebny? Tłumaczenie, że poszukiwanie skarbu jest tylko kampanią reklamową dla sieci pensjonatów i knajp, powiązanych tą legendą, było mocno podejrzane.

Igor spojrzał w okno. Chociaż w zasadzie… Może i nie było to takie głupie? Turyści, którzy zatrzymaliby się pod Troszynem i poznali opowieść o dramatycznych wydarzeniach z końca wojny, o zaginionym relikwiarzu Korduli – być może dawnym kuferku na biżuterię córki Mieszka I Storrady, chętnie nadłożyliby drogi, żeby zajechać do Lubina i obejrzeć kolejne miejsce związane z tą tajemnicą. A może i zatrzymać się na noc w uroczym pensjonacie z obezwładniającym widokiem na zalew.

Pozostawała jeszcze kolekcja obrazów z Gumieniec. Czy rzeczywiście to ona sprawiła, że Borola zainteresował się tym tematem? Obrazy z katedry, które rzekomo trafiły na aukcję…

Igor na moment znieruchomiał. Coś było nie tak z tymi obrazami.

I właśnie sobie uświadomił co.

Rozdział 8

Droga do Benic odbijała od wojewódzkiej sto szóstki i, meandrując pomiędzy wyspami starodrzewu, dochodziła do mostka nad Niemicą. Kilometr dalej, po prawej stronie, znajdował się masyw drzew parku pałacowego, a jeszcze dalej zabudowania wsi. Przed mostkiem po obu stronach drogi rozciągały się pola, dzięki czemu na północny zachód od szosy można było dostrzec wyłaniające się z lasu niewysokie wzgórze, które łagodnym łukiem opływała Niemica.

Paulina, z dłonią zaciśniętą na myszce, wpatrywała się w mapę satelitarną, usiłując dostrzec szczegóły topografii. Nigdy nie była w Benicach. Oczywiście wielokrotnie czytała o skarbie katedralnym i jego benickich losach, ale jakoś nigdy nie miała okazji, żeby się tam wybrać. Prawdę powiedziawszy, nie było tam nic aż tak interesującego. Pałac i park pałacowy zajmowała szkoła. Wystrój wnętrz rezydencji dawno uległ dewastacji i tak dużym zmianom, że trudno było rozpoznać dawną siedzibę jednego z najpotężniejszych rodów szlacheckich na Pomorzu. We wsi stał tylko nowszy, dziewiętnastowieczny neogotycki kościół. Po starym, szachulcowym, nie było już ani śladu.

Wzniesienie tworzyło na mapie prawie idealne koło. Porośnięte drzewami i wpasowane w zakole rzeki, wyglądało rzeczywiście jak dawne miejsce jakiegoś kultu. Łysa Góra. Paulina bardziej przybliżyła widok, usiłując dostrzec coś pomiędzy gęstymi koronami drzew, ale pora roku, w której zrobiono zdjęcie satelitarne, kompletnie to uniemożliwiała.

Bukowa Góra. Tam, zdaje się, stało mauzoleum Flemmingów. Nie ma po nim śladu, a wszystko – to pamiętała z rozmaitych artykułów – dawno zostało rozgrabione. To tutaj poszukiwacze skarbów wykopali po wojnie dziesiątki dołów. Tymczasem dawniej była to także jedna z gór czarownic, na której, według lokalnych bajań, w Noc Walpurgii spotykały się okoliczne wiedźmy. Usytuowanie wzgórza rzeczywiście było ciekawe, a tego typu

wzniesienia tysiące lat temu często służyły jako miejsca odprawiania pogańskich rytuałów. Stały tam drewniane kąciny lub regularne altany z dębów, pod których koronami spotykała się miejscowa ludność. Wszystkie one po nastaniu chrześcijaństwa albo zostały zrównane z ziemią, by postawić kościoły, albo ich przeszłość starano się zamazać i zbezcześcić, przypisując im diaboliczne i szatańskie znaczenie.

Paulina podniosła głowę i spojrzała w kierunku aneksu Pawła. Teoretycznie rzeczy, które właśnie przeglądała, wiązały się z powierzonym jej tematem, nie powinna więc mieć wyrzutów sumienia, że zajmuje się tym w godzinach pracy. Tyle że tematyka mocno wykraczała poza ramy cyklu o czarownicach, a kolejny artykuł czekał na opracowanie. Jednak związek Igora z Benicami na tyle ją zafrapował, że postanowiła jeszcze trochę w tym pogrzebać. A nuż znajdzie się jakiś ciekawy pomysł na kolejny temat.

Jedną z najbardziej znanych świętych gór, którym potem przypisywano diabelskie związki, był Rowokół nieopodal jeziora Gardno. Góra, otoczona głębokim parowem, obecnie zarośnięta przez gęsty las, niegdyś była miejscem, gdzie palono święty ogień, który miał wskazywać drogę żeglarzom. W czasach chrześcijańskich stanęła tutaj kaplica świętego Mikołaja, patrona pielgrzymów, podróżników i marynarzy. Według legend gdzieś na górze ukryty został skarb piratów ze starego pomorskiego rodu von Bandemerów. Inne opowieści dotyczyły czasów bardziej współczesnych. Podobno pod koniec wojny Niemcy zakopali tu skrzynie ze skarbami lub też tajną dokumentację nowej broni…

Paulina podniosła wzrok i spojrzała w okno. Wzmianka o nazistowskiej broni spowodowała, że stanęły jej przed oczami wydarzenia z Darłowa. Zaledwie sprzed pół roku. I Igor. Czemu na jego wspomnienie poczuła jakieś ukłucie? Dorota? Oczywiście, że Dorota. Nie mogła pojąć jego stosunku do tej kobiety. Wszystko można było zrozumieć. Również to, że pewnie w dalszym ciągu za nią tęskni, że nie pogodził się z rozstaniem i tak dalej. Ale na miłość boską! Przecież przez nią o mały włos nie zginęli. Zostawiła ich w zawalonych podziemiach. Uciekając z bandziorami, praktycznie skazała ich na śmierć. A teraz on prowadzi z nią jakieś szemrane interesy.

Pokręciła głową ze złością, usiłując odpędzić myśli o Igorze, po czym ponownie pochyliła się nad monitorem. Po chwili znalazła jeszcze sporo wzmianek na temat innych świętych gór na Pomorzu, których dzieje tonęły w przedchrześcijańskich czasach.

Chełmska Góra koło samego Koszalina najprawdopodobniej była pozostałością osady sprzed kilku tysięcy lat. Potwierdziły to także badania archeologiczne, w wyniku których odkryto relikty świątyni i palenisk drewnianych domostw. Także tutaj, na przełomie dwunastego i trzynastego wieku, stanęła kaplica chrześcijańska. Pod koniec trzynastego wieku znajdowało się tu sanktuarium maryjne, do którego ściągali chorzy, by prosić o uzdrowienie, i pokutnicy z całego Pomorza. Okres wojny trzydziestoletniej dziejom tego miejsca dopisał natomiast rozdział związany z czarownicami. Miały się tu odbywać sabaty wiedźm, które strzegły także zakopanych skarbów z rzekomo wznoszącego się niegdyś na wzgórzu zamku. Forteca, według legendy, zapadła się pod ziemię za sprawą zaklęć złego czarownika, którego zalotami wzgardziła tutejsza księżniczka…

„Nie masz li mocy piekielnych nad wzgardzoną kobietę”. Paulina zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, skąd przyszedł jej do głowy ten akurat cytat. Czy to Hamlet czy lady Makbet? Do legendy o księżniczce średnio pasował. Do tej wiedźmy Doroty też raczej się nie odnosił; w końcu to ona zostawiła Igora. Znowu skojarzenie z Darłowem? Dorota? Czemu myśli o tej Dorocie?

Co Igor cały czas widzi w tej suce? Nie ma jakiegoś poczucia własnej godności, honoru? Ileż można latać za kimś takim?

Paulina westchnęła z irytacją. Dlaczego w ogóle myśli o Igorze? Po co się zastanawia nad tym jego toksycznym związkiem z tą wiedźmą? Przesunęła kursorem po ekranie i otworzyła kolejny link.

Na południe od Wolina, nad brzegiem Dziwny, znajdowało się wzgórze, które nazywano Wzgórzem Wisielców. Na łagodnym wzniesieniu zachowały się do dzisiaj trzydzieści cztery mogiły ułożone w kształcie koła o średnicy

od trzech nawet do kilkunastu metrów. Cmentarz pochodził z IX wieku, był miejscem spoczynku mieszkańców dawnego Wolina i stanowił jedną z najstarszych wczesnośredniowiecznych nekropolii na Pomorzu. Pochodził z okresu, gdy Wolin był potężnym grodem, zamieszkanym przez wielonarodowościową ludność, od wikingów, przez miejscowych Słowian, ludność niemiecką po Greków, w wyniku czego znajdujące się tutaj groby miały cechy różnych kultur. Były stare, usypane nad kamienną podstawą kurhany, groby całopalne oraz zwyczajne mogiły szkieletowe. Nad cmentarzem, na szczycie wzgórza, wznosił się drewniany, już całkiem współczesny posąg Trygława – pomorskiego bóstwa z czasów przedchrześcijańskich. W późniejszym okresie miejsce zyskało o wiele bardziej ponurą sławę, wykonywano tu bowiem wyroki na miejscowych opryszkach, piratach i mordercach. Podczas badań archeologicznych odkryto na szczycie wzgórza grób ze szkieletem młodego mężczyzny z odciętą głową, prawdopodobnie ofiary katowskiego topora.

Na Wzgórzu Wisielców Paulina akurat była. Kilka lat temu na wycieczce z przyjaciółmi. Pamiętała ten niesamowity klimat starego kurhanowego cmentarzyska i widok spomiędzy drzew na spokojnie płynącą u podnóża góry Dziwnę. Po wojnie wzgórze otrzymało nazwę Gołogóry, co było fonetycznym tłumaczeniem niemieckiego Galgenberg, czyli Wzgórza Wisielców właśnie. Oderwała wzrok od ekranu i pomyślała, że powinna się jednak zająć artykułem. Jeśli w dalszym ciągu ma zamiar wyjść wcześniej, jak planowała, to już najwyższy czas trochę popracować. Może wspomni coś o tych górach czarownic? W sumie można będzie to podciągnąć pod ten „nieprzesadnie poważny ton”. Już chciała zamknąć przeglądarkę, ale przypomniała sobie, że miała obejrzeć dom na klifie, przez który Igor gotów był iść do więzienia. Wpisała adres i po chwili na ekranie pojawiła się strona internetowa znanego biura nieruchomości.

*

Gerhard Rabener, bogaty patrycjusz i radca dworu książęcego z Kamienia Pomorskiego, w 1686 roku wystawił w kamieńskiej katedrze bardzo reprezentacyjny grobowiec dla swojej rodziny. Znalazł się on w północnym

skrzydle transeptu. Jego wejścia strzegły dwa kunsztowne posągi Chrystusa i Mojżesza. Nad nimi znajdowało się dekoracyjne epitafium, pośrodku którego wisiał portret Rabenera, a po jego bokach – wizerunki trzech synów oraz żony. I to właśnie te portrety znalazły się w jednej ze skrzyń. Wywiezione w czasie wojny z katedry, trafiły do benickiego kościoła, po czym wszelki ślad po nich zaginął.

Igor znał tę historię na pamięć. Tyle razy czytał o tym na różnego rodzaju portalach i w rozmaitych książkach o tajemnicach Pomorza, że sam się sobie dziwił, iż mógł o tym zapomnieć. Chyba coś go zaćmiło podczas rozmowy z Borolą. Problem polegał na tym, że nigdzie, w żadnym periodyku, żadnej książce czy dokumentacji konserwatorskiej katedry nawet nie było fotografii tych obrazów. Przez cały okres powojenny nikt spośród piszących opracowania i artykuły, także z wykorzystaniem źródeł niemieckich, nie zamieścił jakiegokolwiek zdjęcia. W katedrze zachowały się jedynie owalne, bogato zdobione ramy, co pozwalało oszacować wielkość i kształt dzieł, ale jak one tak naprawdę wyglądały, nikt nie wiedział.

Paulina miała wykształcenie techniczne. Skończyła materiałoznawstwo i przez cztery lata po studiach pracowała nawet w angielskiej firmie produkującej sprzęt budowlany. Ciągoty do pisania odkryła w sobie wtedy, gdy powierzono jej tłumaczenie dokumentacji technicznej produktów przeznaczonych na polski rynek. Jakkolwiek by oceniać jej zdolności i brak przygotowania zawodowego do pracy dziennikarza, miała jednak prawdziwego dziennikarskiego nosa, jakiś szósty zmysł, którym zawsze wyczuwała ciekawy temat. Wpatrywała się teraz w ekran i intuicja jej mówiła, że z domem na klifie coś musi być nie tak. Borola bez powodu by się nim nie interesował.

Patrząc na łososiowe elewacje starej willi, zastanawiała się, czy chciałaby mieszkać w takim miejscu. Niewątpliwie było piękne. Widok z leżącego za domem wzgórza, na którym rosło wielkie stare drzewo, był urzekający. Tak jak i miejscowość, a właściwie sąsiedztwo, bo jednak całej wsi nie dało się obejrzeć z satelity. Pensjonat tak położony byłby na pewno urokliwy. Zresztą, jak zdążyła się zorientować, we wsi stało już kilka innych domów, w których oferowano pokoje do wynajęcia, co oznaczało, że miejsce było

odwiedzane i znane wśród letników.

Tylko czego szukał tu Borola?

*

Igor stał nad stołem w pracowni i wpatrywał się w wielki arkusz papieru, na którym wydrukowana była zewnętrzna instalacja wodno-kanalizacyjna projektowanego hotelu. Myślami był jednak daleko. Złapał się na tym, że nadal stosuje technikę odpędzania myśli o finansach pracowni rozważaniami o Boroli i jego szwindlach. Pół godziny temu wysłał pytanie o portrety Rabenerów do zaprzyjaźnionego policjanta i jednocześnie prezesa Pomorskiego Towarzystwa Historycznego, który od lat zajmował się zaginionymi dziełami sztuki. Zastanawiał się, jak to możliwe, że Borola zdołał odnaleźć fotografie, archiwa, cokolwiek, co pozwoliło mu ustalić, jak wyglądały zaginione obrazy z katedry kamieńskiej, skoro nikomu do tej pory się to nie udało. Może to była kwestia pieniędzy? Może dotarł do archiwum jakiegoś bogatego kolekcjonera, który na co dzień nie udostępniał nikomu swoich zbiorów?

– Igor!

Drgnął i wciąż trochę nieobecny spojrzał na stojącą po przeciwległej stronie stołu kobietę.

Projektantka instalacji patrzyła na niego ze zniecierpliwieniem.

– Tak?

– Wyobraź sobie, że wypływasz rurami kanalizacyjnymi z mojego domu, a ja nie chcę, żebyś wracał. Jak miniesz zawór zwrotny, to on automatycznie się za tobą zamknie. Nie będziesz miał szans przypłynąć z powrotem, dzięki czemu ja będę miała spokój.

Igor przez chwilę patrzył na poirytowaną koleżankę.

– Czy ty przed chwilą powiedziałaś, że będę płynął kanalizacją?

– Tak.

Przez moment patrzyli na siebie, nic nie mówiąc.

– Zapytałeś, po co jest zawór zwrotny. Wytłumaczyłam ci zasadę jego działania w możliwie przystępny sposób.

– Przecież ja wiem, do czego służy zawór zwrotny.

– No właśnie. Czy ty jesteś pijany?

Igor zamrugał i spojrzał na wydruk projektu instalacji.

– Zamyśliłem się, o Jezu! Przepraszam. – Pochylił się nad arkuszem. – Dobra! Jeszcze raz. Czy ta instalacja zmieści się tutaj razem z kablami elektrycznymi? Wszystko jest na styk.

Projektantka instalacji westchnęła i pokazała długopisem brązową kreskę.

– W ogóle nie słuchałeś, jak mówiłam. – Pokręciła głową. – Moja instalacja jest głębiej. Jeszcze raz ci wytłumaczę. Wychodzę z budynku tutaj. – Postukała palcem w karton. – A ponieważ tutaj jest duży spadek terenu, muszę mieć studzienkę…

Igor podniósł głowę i spojrzał w kierunku swojego aneksu. Z leżącego na jego biurku telefonu dobiegł dźwięk przychodzącej poczty.

– Poczekaj chwilę – rzucił do dziewczyny, która przerwała i zacisnęła usta. – Muszę coś sprawdzić.

– Po raz trzeci nie będę niczego powtarzać!

– Zaraz wracam!

Wszedł do swojego aneksu i sięgnął po telefon. Przez chwilę czytał wiadomość, po czym podniósł wzrok i spojrzał w okno.

Przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, czy obrazy Rabenerów są w ogóle umieszczone na liście strat wojennych. Wydawało mu się to oczywiste, ale postanowił się upewnić. Przeglądanie archiwum Departamentu Dziedzictwa Kulturowego w poszukiwaniu dzieł, których numerów katalogowych się nie zna, oznaczałoby konieczność przejrzenia kilku tysięcy pozycji, co zajęłoby cały dzień. Liczył na to, że kolega z Pomorskiego Towarzystwa Historycznego zna jakiś prostszy sposób i szybciej się w tym zorientuje.

Okazało się, że co do tego akurat miał rację. W przeciwieństwie do obrazów.

Portrety nie figurowały w katalogu zaginionych dzieł sztuki.

Nigdy tam nie trafiły.

*

Paulina wiedziała, że Borola ma restauracje w Międzyzdrojach, Świnoujściu, a także przy głównej drodze do Szczecina. Plany stworzenia hotelu koło Troszyna, przy jednej z najbardziej uczęszczanych w sezonie turystycznym dróg w Polsce, w dodatku w starym pałacyku, którego historia powiązana jest z dziejami zaginionego skarbu z katedry kamieńskiej, były w zasadzie przekonujące. Co więcej, jeśli wykorzystując te legendy i tajemnice Borola stworzyłby system reklamy swoich knajp, byłaby to nawet świetna promocja regionu. Takie miejsca są już przecież w całej Europie – wioski historyczne, w których można nauczyć się tkactwa czy garncarstwa i gdzie można się przespać w starej chacie, imitującej warunki ze średniowiecza. Może Borola jest wizjonerem? Z tego, co wiedziała, był prekursorem w wielu dziedzinach. Sprowadzał do Szczecina kucharzy z Włoch i Grecji. Jakiś czas temu, uprzedzając wejście na pomorski rynek zachodnich sieciowych kawiarni, sam stworzył swoją własną sieć takich miejsc. Może to wszystko z punktu widzenia biznesu ma sens? W gruncie rzeczy taki pomysł, jak na przykład ulokowanie w poszczególnych knajpach jakichś śladów prowadzących do skarbu, jakichś podpowiedzi kierujących do różnych związanych z nim miejsc, jest doskonały. Ludzie, szczególnie z dziećmi, jeździliby po całym powiecie, przy okazji zatrzymując się w różnych punktach gastronomicznych i zwiedzając zabytki. A Borola już pewnie prowadzi rozmowy o otwarciu takich punktów w kluczowych miejscach, przy głównych trasach. W dodatku na taką działalność z łatwością uzyska różne dotacje i środki pomocowe.

Ale dom na klifie? Rzekomo mieszkała tu mała Woźniakówna, czyli Martha Krause… Ale czy to prawdziwy powód jego zainteresowania? Może Borola naprawdę chciał się po prostu zapoznać z planami i wcześniej zlecić Igorowi analizę pod kątem wykorzystania na pensjonat? W końcu wydanie sześciu baniek, żeby potem się okazało, że przepisy i na przykład konstrukcja budynku to wykluczają, byłoby porażką nawet dla niego.

Mimo wszystko jednak czuła, że jest w tym coś jeszcze. Przecież Igor z powodzeniem mógł wykonać taką analizę na podstawie danych, które udostępniło biuro nieruchomości. Więc po co Boroli dokładne pomiary? Widziała kiedyś u Igora, jak wygląda inwentaryzacja konserwatorska. Jej częścią jest także bardzo dokładny serwis fotograficzny. Igor robił zdjęcia praktycznie każdej ściany i każdej dziury. Do tego dochodziły odkrywki

fundamentów oraz wstępne określenie stanu technicznego ścian, stropów, różnych przemurowań…

Paulina westchnęła. Obróciła się w kierunku monitora i nagle znieruchomiała. Przemurowania…

*

Projektantka instalacji zewnętrznych w końcu zdołała skupić uwagę Igora na koncepcji odprowadzenia wód deszczowych z wielkich połaci kostki granitowej przed projektowanym przez nich hotelem. Kostki granitowej, która – o czym był przekonany – w trakcie realizacji zamieni się oczywiście w kostkę polbrukową. Godzinę później ponownie zamknął się w swoim aneksie i otworzył katalog z materiałami przysłanymi przez Aleksandrę Kupiec oraz wcześniej przez Borolę.

Obiecał, że do poniedziałku da odpowiedź, czy zajmie się tym tematem, ale jak na razie miał pustkę w głowie. Rozmowa z Pauliną i Johannem sprawiła jedynie, że o całej sprawie zaczął myśleć w kategoriach ewentualnej obrony przed sądem. Za plus uznał na przykład fakt, że materiały od Boroli dostał na szczęście w teczce, w realu. Przesłane mailem stanowiłyby dowód przeciwko niemu. Ale z kolei rozmowa z Borolą w towarzystwie jego żony na pewno nie była dla niego korzystna. Po dłuższej chwili takich rozmyślań stwierdził, że chyba głupieje, i wstał, żeby zrobić sobie kawę.

Idąc do aneksu kuchennego, z którego jak o każdej porze dnia, a często i nocy, dochodził gwar głośnych rozmów i śmiechów, znowu sobie przypomniał o kalkulacjach księgowej.

W obawie przed niewesołymi rozważaniami zaczął rozmyślać o kolekcji obrazów z bunkra na Gumieńcach.

Cholerne portrety rodziny Gerharda Rabenera. Jaki one mogą mieć związek z domem na klifie? Jeśli spadkobierczynie kolekcjonera z Gumieniec nie zdołają udowodnić ich pochodzenia, wrócą na aukcję i nikt nawet formalnie się nie zorientuje, że stanowią część skarbu z katedry w Kamieniu Pomorskim. Nieświadomy właściciel, który je wystawił, zainkasuje kasę, a obrazy wylądują w jakimś…

Zaraz…

Igor zatrzymał się na korytarzu z kubkiem w ręku i zagryzł wargi, usiłując wyciągnąć z wirujących w głowie myśli tę, która właśnie na moment zaiskrzyła krótkim wyładowaniem synaps. Kolekcjoner… Kto właściwie wystawił te obrazy na aukcję? Spadkobiercy murarza z Gumieniec twierdzili, że ktoś ich okrada… Może Borola nie znalazł się w całej tej sprawie przypadkiem?

*

Paulina wpatrywała się ekran monitora z taką intensywnością, jakby wierzyła, że pomiędzy fikuśnymi firankami, odrestaurowanymi starymi meblami i dziesiątkami stojących na intarsjowanych blatach bibelotów coś dostrzeże. Na stronie biura nieruchomości, gdzie znajdowała się oferta sprzedaży domu, było kilka zdjęć wnętrz. Paulina musiała przyznać, że pomalowane na intensywne kolory ściany i ciemne brązowe meble z końca XIX wieku, mimo że nie było to coś, co osobiście lubiła najbardziej, dobrze korespondowały ze skrupulatnie odnowionymi historycznymi elewacjami budynku. Chyba całkiem niedawno wszystko zostało odświeżone. Pomyślała, że jeśli w tym domu coś było zamurowywane, to trzeba by skuwać tynki, żeby znaleźć jakieś ślady. Czy Borola ma nadzieję, że coś ukryto tam podczas wojny? A może po wojnie?

Na chwilę oderwała wzrok od ekranu i, zamyślona, spojrzała w przestrzeń, w ogólnie pojętym kierunku środka sali. Czy ona naprawdę zaczęła się zastanawiać nad skarbami ukrytymi w ścianach? Boże! Jeszcze rok temu uważałaby to za kretyństwo. Co się stało z jej racjonalnym podejściem do życia? Czy fakt, że od pół roku jest współwłaścicielką firmy poszukiwawczej Sedinum Exploration, tak wiele zmienił?

Ale może to nie były skarby? Może na przykład zwyczajne stare dokumenty, zdjęcia? Cokolwiek. Może Borola dowiedział się czegoś od tej Marthy Krause? Może o to chodziło? O historii skarbu Korduli oczywiście czytała. Nie pamiętała wszystkich faktów. Trochę sobie przypomniała, gdy Igor wczoraj o tym opowiadał. Właściwie to całą tę historię traktowała jako ciekawostkę. Ot, taki malowniczy pomorski akcent. Ale miała wrażenie, że całkiem niedawno zetknęła się z czymś dotyczącym tej historii właśnie. Nie mogła sobie przypomnieć, o co chodziło.

A właściwie to… Nagle przyszło jej do głowy coś całkiem nowego. Coś, o czym wcześniej w ogóle nie myślała. Igor też nie zainteresował się tym wątkiem…

Kto właściwie był właścicielem tego domu?

Cały czas wpatrzona nieruchomym wzrokiem w przestrzeń głównej sali nie zauważyła, że ze swojego oszklonego aneksu kiwa do niej ręką Paweł. Dopiero gdy zastukał mocno w szybę, ocknęła się i spostrzegła, że wzywa ją do siebie.

Zasunęła za sobą drzwi i stanęła nad biurkiem Pawła. Wiedziała, że to go irytuje, i nie mogła sobie tego odmówić.

– Usiądź może, co? – Paweł oderwał wzrok od komputera i odsunął się od blatu razem z fotelem na kółkach. – Rozmawiałem w sprawie tego Koszuta. – Spojrzał na Paulinę, jakby się zastanawiał, jak jej nie zdenerwować.

– Z kim?

– Ze znajomymi z tych kręgów…

– Jakich kręgów? Patriotycznych?

– Z organizacji… – Spojrzał na nią z irytacją. – Uparłaś się, żeby mnie wkurzyć?

– Bo zapytałam z jakich kręgów? – Paulina przekrzywiła głowę i popatrzyła na Pawła niewinnie.

– Po co wyjeżdżasz z tym patriotyzmem?

– Paweł! – Paulina westchnęła. – Mam gdzieś twoje prawicowe sympatie. Jeśli zamierzasz mnie tutaj edukować narodowo, to uprzedzam, że po pierwsze, szkoda twojego czasu, a po drugie, mogę cię trzasnąć tym przyciskiem do papierów. – Wskazała brodą gładki granitowy kamień, którego Paweł używał do celów biurowych.

Paweł ciężko westchnął.

– Pominę zatem twoje lewackie bredzenie i przejdę do rzeczy. – Wyciągnął się na wysokim oparciu skórzanego fotela i podniósł wzrok. – Rozwarski and Dulęba to kancelaria, z którą to środowisko współpracuje od dawna. Mają spore doświadczenie w odwracaniu kota ogonem. Poza tym jest

świadek, który z uwagi na profesję jest bardzo wiarygodny.

– Ten świadek zamierza kłamać?

– Nie bądź dzieckiem. – Paweł parsknął. – Jesteś, niestety, dziennikarką, to znaczy niestety w tym kontekście. Bardzo łatwo cię zdyskredytować. Pojawiłaś się tam zresztą, jak dobrze wiemy, nie prywatnie, tylko oddelegowana z gazety. To wszystko przemawia przeciwko tobie.

– Ja nie zakładam partii politycznej. – Paulina westchnęła. O wszystkim, o czym mówił Paweł, wcześniej zdążyła już ją uprzedzić Marta, nie była zatem kompletnie zaskoczona, niemniej i tak poczuła, jak zaczyna kiełkować w niej gniew. – Bandzior mnie uderzył i przewrócił na chodnik. Jako ofiara pobicia mam mniejsze prawa tylko dlatego, że jestem dziennikarką?

– Przecież wiesz, o czym mówię. Sąd prawdopodobnie weźmie to wszystko pod uwagę, że niby prowokacja i tak dalej, a koleś dostanie o wiele niższy wyrok, niż dostałby w innych warunkach. Bardziej powinna cię martwić związana z tym opinia zawodowa.

– Opinia? – Paulina nie wytrzymała. – Czy ty żartujesz?

– Będzie oczywiście sporo ujadania w prasie na twój temat. Będziesz od tego momentu kojarzona z różnymi ekstremizmami.

– Jakimi ekstremizmami?

Paweł wzruszył ramionami.

– „Zabierz różaniec od mojej macicy”, aborcja, feminizm, LGBT…

– Dosyć! – Paulina energicznie pokręciła głową i wstała z fotela.

– Radzę ci tylko, żebyś się jeszcze raz zastanowiła nad tym sądem. Są gotowi porozmawiać o ugodzie.

– Czyli mogę mieć nadzieję, że pan Koszut mi wybaczy, jeśli go przeproszę?

– Zrobisz, jak zechcesz. – Paweł podniósł obie ręce do góry. – I jeszcze jedno. Nie utożsamiaj tego, o czym mówię, z moimi poglądami. Gdybym miał okazję, to przywaliłbym temu chłystkowi w pysk tak, że aż by się nakrył nogami.

– Jestem ci niewymownie wdzięczna za tę deklarację. – Paulina uśmiechnęła się z przekąsem i skierowała się do wyjścia.

– Jeszcze jedno. – Paweł z powrotem podjechał razem z fotelem do biurka. – W poniedziałek ma iść pierwszy artykuł o czarownicach. Masz już całość?

– Nie mam siły teraz jeszcze tego z tobą omawiać. Przyślę ci komplet dzisiaj. – Paulina westchnęła. – Muszę wyjść wcześniej. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Uśmiechnęła się przepraszająco i nie czekając na odpowiedź, zasunęła szklane drzwi.

*

Paulina wsypała łyżeczkę cukru do filiżanki i mieszała w zamyśleniu, wpatrując się w połyskujące na dachach miasta słońce. Widok z restauracji na dwudziestym drugim piętrze biurowca w centrum miasta rozciągał się aż po rozlewające się na wschód od Odry meandry jeziora Dąbie i archipelag dziesiątek wysp Międzyodrza.

Po rozmowie z Pawłem była przygnębiona. Oczywiście wcale by się do tego przed nim nie przyznała, ale cała ta awantura sądowa napełniała ją niepokojem. Gniew ma to do siebie, że stale trzeba go w sobie podsycać, a ona nie należała do osób, które lubią się na tym skupiać. Wściekłość równie szybko się w niej rozpalała, co gasła. Była zdecydowana na ten proces i postanowiła, że nie odpuści, ale bała się, że sprawa rzeczywiście może zakończyć się nie po jej myśli, co napełni ją tylko jeszcze większą goryczą.

– Mam wrażenie, że jesteś zmęczona albo przygnębiona. Czy coś cię gryzie? – Gwen odstawiła filiżankę na spodek i spojrzała na Paulinę z troską. – Chyba w ogóle przyjechaliśmy nie w porę. Igor też wydaje się jakiś przybity. Powinnam jednak wybić Johannowi z głowy tę całą niespodziankę.

– Nie, no coś ty! – Paulina gwałtownie zaprzeczyła. – Oboje bardzo się cieszymy, że możemy was zobaczyć. Jeśli chodzi o mnie, mam akurat na głowie parę problemów. Jeden właściwie…

Spojrzała na Gwen. Znały się krótko. Zaledwie pół roku. Od wrześniowych wakacji w Darłowie. Ale wspólne przeżycia zazwyczaj zbliżają ludzi i po tej przygodzie miała wrażenie, że znają się znacznie dłużej. Przemknęło jej przez głowę, że oprócz siniaka na udzie ma pewnie także

jakiś niewielki siniak w środku. I nim nie zdążyła się jeszcze zająć. Gdy przewróciła się wtedy na chodnik, pomiędzy ludźmi, którzy automatycznie odstąpili na bok, podniosła głowę i na chwilę spotkała wzrok tamtego chłopaka. Spodziewała się zobaczyć skruchę, strach, winę, obawę, że wszystko zaszło za daleko, jakąś refleksję. Tymczasem na jego twarzy malowała się wyłącznie satysfakcja, mściwy uśmieszek, radość z upokorzenia jej. A zaraz potem wściekłość, gdy policjanci wykręcili mu ręce i położyli go na chodniku. Przestraszyło ją to, jak bardzo przesunęły się granice akceptacji przemocy. Następny mógł być lincz. Terroryzm. Z nikim na ten temat nie rozmawiała. Może właśnie nadarzyła się okazja.

– Potworność! – Gwen była wstrząśnięta, gdy Paulina skończyła mówić. – Może powinnaś zwrócić się do psychologa?

– Nie przesadzaj.

– Nie lekceważ tego. Sama czujesz, że coś jest nie tak, i pewnie jest. Jak boli cię brzuch, to przecież idziesz do lekarza.

– W Polsce w takich sytuacjach najczęściej trzaskamy drzwiami i wyładowujemy się na kasjerkach w supermarketach.

Gwen pokiwała głową.

– Doskonały sposób. Z tym że one akurat po powrocie do domu kopią swojego psa. I choćby z tego powodu powinnaś poszukać innego wyjścia.

– Wszystko jest w porządku. – Paulina uśmiechnęła się i sięgnęła po filiżankę. – Rozmowa z tobą całkowicie mi wystarczyła.

– A, właśnie! – Gwen nagle się ożywiła. – Wiem, co ci pomoże! Potrzebny ci weekendowy odpoczynek!

Paulina spojrzała na nią pytająco.

– Wybieramy się z Johannem na wycieczkę. Chcemy trochę zwiedzić Pomorze. W zeszłym roku nie mieliśmy specjalnie okazji. Johann będzie namawiać Igora.

– Mam trochę pracy. Poza tym pogoda o tej porze roku…

– Nie wygaduj głupot. Potrzebujemy przewodników, a pogoda właśnie ma być piękna.

– Chociaż… – Paulina nagle zagryzła wargi. Czarownice i Wzgórza

Wisielców…

– No i chcemy też zobaczyć dom na klifie. Tam podobno jest pięknie.

Paulina uśmiechnęła się do Gwen.

– A, to w takim razie dobrze się składa.

Rozdział 9

Sobota, 11 marca

Wylot ulicy Katedralnej w Kołobrzegu zamyka monumentalny masyw spiętrzonej czerwonej cegły. Potężny, zwieńczony trzema hełmami blok, za którym chowają się nakryte gwieździstymi sklepieniami nawy kolegiaty Najświętszej Marii Panny. Jedyna w Polsce pięcionawowa bazylika wyłania się spomiędzy szczytów i wykuszów nowego Starego Miasta, które w latach osiemdziesiątych wskrzeszono na fundamentach zabudowy doszczętnie zniszczonej w czasie wojny. Unikatowy korpus wieżowy powstał pod koniec piętnastego wieku, kiedy to połączono dwie flankujące fronton katedry wieże, zabudowując je i nakrywając jednym wspólnym dachem. Wielka czołowa ściana wyrasta teraz z wąskich uliczek niczym zawieszona nad miastem skała lub – jak napisał ostatni przedwojenny gospodarz katedry pastor Paul Hinz – „niczym strażnik wieczności, patrzący na ląd i morze jak na przemijanie”.

Paulina zadarła głowę, patrząc na wznoszącą się ku niebu płaską, podziurawioną jedynie ostrołukowymi sznytami średniowiecznych okien, fasadę kościoła. Zastanawiała się, co katedra w Kołobrzegu może mieć wspólnego z czarownicami. Gdy wczoraj wieczorem opracowywali plan wycieczki, Igor stwierdził, że muszą tutaj zajechać, ale nie powiedział oczywiście nic więcej. Czarownice jako temat przewodni ekspedycji pomorzoznawczej wszystkim się spodobał. Pogoda okazała się zgodna z prognozami i od samego rana na całkowicie bezchmurnym błękitnym niebie jak szalone świeciło marcowe słońce, starając się dowieść ludowej mądrości, że „w marcu jak w garncu”.

W przeciwieństwie do oblanego słońcem placu przed katedrą, wnętrze powitało ich półmrokiem, poprzecinanym sztyletami światła, padającego

z wysokich gotyckich okien, oraz chłodem kamiennej posadzki i surowych ceglanych ścian.

– Katedra została niemal całkowicie zniszczona w czasie wojny. – Igor stanął na środku nawy i odwrócił się do Johanna i Gwen. – Na szczęście większość zabytkowego wyposażenia ocalała. Podczas wojny wywieziono je do innych kościołów i ukryto w rozmaitych magazynach. Białe tynkowane sklepienia są oczywiście nowe. – Zadarł do góry głowę. – Te prawdziwe w całości pokryte były malowidłami.

– Piękne żyrandole. – Gwen kiwnęła głową w kierunku wielopoziomowych, zwieszających się ze sklepień kunsztownych konstrukcji, w których utopione były rzeźby świętych.

– Ten drewniany, złocony został ufundowany na początku szesnastego wieku przez bogatą mieszczańską rodzinę Schlieffenów. Ten drugi, mosiężny, jest o sto lat starszy. Ufundowała go rodzina ówczesnego burmistrza Kołobrzegu.

– Dlatego nazywane są „koroną Schlieffenów” i „koroną Holków”. – Paulina z zadartą głową zrobiła kilka kroków wzdłuż nawy. – Przeczytałam na tablicy przed wejściem – powiedziała, widząc zdziwione spojrzenie Igora.

– A popatrzcie tam. – Igor skinął ręką w kierunku bocznej nawy i ruszył przodem. Pod ścianą stał ogromny siedmioramienny świecznik.

– Jeden z najcenniejszych zabytków kościoła. Z tysiąc trzysta dwudziestego siódmego roku. Odlany z brązu w formie menory przez średniowiecznego ludwisarza Jana Apengera. Po wojnie został odnaleziony w ruinach przez robotników i wywieziony na złom. Ocalał tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Ktoś po prostu zwrócił na niego uwagę i powiadomił władze. A tam dalej…

Paulina dyskretnie spojrzała na Igora, który poszedł przodem w kierunku prezbiterium. Lubiła na niego patrzeć w takich sytuacjach. Widać w nim było pasję. Gdy mówił, błyszczały mu oczy, a stare drewniane ramy lub kamienne posągi, o których opowiadał, nagle ożywały, jakby ktoś przypomniał im ich znakomitą przeszłość.

– Te stalle – wskazał ręką na bogato zdobione drewniane ławy – przeznaczone były dla kanoników katedry i patrycjuszy miejskich. Są najstarsze w Polsce. Nie ma takich nawet na Wawelu.

– Igor! – Paulina podeszła cicho i stanęła obok niego. – Zapomniałeś, z kim mamy do czynienia. Opowiadasz im o jakichś średniowiecznych zabytkach, a portrety prababek, które wiszą w zamku babci Johanna, są pewnie jeszcze starsze.

Johann parsknął.

– Nie przesadzaj.

– A co w końcu z tymi czarownicami? – Paulina spojrzała na Igora. – Miałeś nam pokazać coś wyjątkowego.

– Chciałem to zostawić na koniec. – Igor wskazał ręką narożną ścianę nawy, tuż obok schodów na emporę. – Obraz z końca piętnastego wieku. Absolutnie niesamowity.

Na spatynowanych upływem czasu czerwonych cegłach wisiało kwadratowe malowidło, którego zasadniczą częścią był obraz przedstawiający kobietę w różowej sukni. Wokół, na czarnym tle, znajdował się wykonany gotykiem opis w języku niemieckim.

– Autorem albo tylko fundatorem był rycerz zakonu krzyżackiego Ivan von Coztenbach. Obraz był jego darem dla katedry.

Paulina podeszła bliżej, zadarła głowę i zaczęła się przyglądać tajemniczej damie w bufiastej sukni.

– To jakaś konkretna postać? Związana z Kołobrzegiem?

Igor pokręcił głową.

– To alegoria cnót kobiecych. Tak ówcześni widzieli kobietę idealną, a raczej taką, jaką chcieli, by była.

– Czyli taką, jaką pragnęli widzieć mężczyźni. – Gwen podeszła bliżej ściany.

– Oczywiście – uśmiechnął się Igor. – Zwłaszcza ci w sutannach.

Paulina popatrzyła na obraz wyłaniający się z półmroku kościoła.

Był nieduży. Na ciemnym tle, które jedynie na samej górze malowidła przechodziło w nostalgiczny krajobraz z zachodzącym na planie gór słońcem i jakimś zamkiem z wysokimi wieżami, stała młoda kobieta. Miała na sobie bardzo strojną suknię i nawet jak na dzisiejsze kanony urody była szczupła, bardzo zgrabna, z podkreśloną talią i zarysowanym kształtnie biustem.

Bardzo atrakcyjna. Ale w jej wizerunku uderzało coś innego. Wiele rozmaitych przedmiotów, na pierwszy rzut oka groteskowych, które Paulina dostrzegła dopiero po chwili. I w tym momencie od razu domyśliła się, co Igor miał na myśli.

© Kapitel/commons.wikimedia.org

– Popatrzcie na te detale wokół niej. – Igor wskazał palcem na głowę kobiety. – To oczywiście atrybuty cnót niewieścich. W prawej ręce kobieta trzyma krzyż z ciernistym laurem, co oczywiście symbolizowało wiarę, bogobojność i gotowość do męczeństwa. W okolicach uszu malarz domalował klucze, co oznaczało odporność na podszepty i pokusy szatana. A zobaczcie, co ma na ustach.

– Kłódka? – Gwen parsknęła. – No oczywiście. To przestroga przed gadulstwem i plotkowaniem. A na szyi ma wisior z gołębiem. To symbol Ducha Świętego. W tym przypadku pewnie oznacza łagodność i skruchę.

– A wąż? – Johann wskazał palcem talię kobiety.

– W wielu religiach symbolizował płodność. – Igor wzruszył ramionami. – Tutaj najczęściej interpretowany jest jako rozwaga.

– Bardzo pokrętne. – Paulina podniosła telefon i zrobiła zdjęcie. – Z jednej strony oznacza płodność, ale z drugiej, jako oczywiste nawiązanie do rajskiego ogrodu, także pokusę.

– A sokół? – Johann wskazał ręką na ptaka, który siedział u stóp niewiasty.

– To symbol przenikliwości i dalekowzroczności. – Igor cofnął się o krok, przepuszczając Paulinę, która zrobiła kolejne zdjęcie. – I zobaczcie jeszcze, co dziewczyna trzyma w drugiej ręce.

– Dzban? – Gwen zmarszczyła czoło. – To chyba symbol czystości.

Johann się uśmiechnął.

– A może to puchar?

– Trzymajmy się z daleka od Dana Browna. – Gwen pokręciła głową i spojrzała na Johanna z ironią. – Zresztą, tak czy siak, to symbol dziewictwa.

– I jeszcze wrzeciono do tego. – Paulina patrzyła krytycznie na wyświetlacz telefonu. Mogła przecież zabrać ze sobą aparat.

– To oczywiście oznacza pracowitość. – Gwen spojrzała na nią porozumiewawczo.

Paulina uśmiechnęła się do niej i ponownie spojrzała na obraz.

Igor miał rację. Rzeczywiście był niesamowity. Wizualizacja oczekiwań wobec kobiet, średniowieczne zobowiązania do życia w czystości i cnocie. I cierpienia w milczeniu. Równocześnie modelka była bardzo atrakcyjna, co zdradzało męskie fantazje na temat uległej seksbomby. Autorem był przecież mężczyzna, rycerz. Zmarszczyła brwi i podeszła bliżej ściany. Nagle dostrzegła kilka innych, bardziej niepokojących znaczeń.

Zgodnie z datą widniejącą na dole malowidła obraz powstał w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym czwartym roku. Dziesięć lat wcześniej papież

Innocenty VIII wydał bullę, która potępiała szerzącą się rzekomo na terenie ówczesnych Niemiec plagę czarów i herezji, a zaraz potem obłąkany dominikański inkwizytor Heinrich Kramer napisał *Młot na czarownice*. Dlaczego kobieta na obrazie tą samą ręką, w której trzyma dzban i wrzeciono, unosi suknię, dyskretnie odsłaniając nogi? I dlaczego jej nogi…

– Popatrzcie na jej stopy! – Najwyraźniej Johann dostrzegł to samo. – Nie przypominają wam kopyt? Czego to niby jest symbol?

– No właśnie. – Igor pokiwał głową. – W oficjalnej interpretacji są to końskie kopyta, którymi kobieta ma deptać grzech.

– A co mogą znaczyć nieoficjalnie? – Paulina wsadziła ręce do kieszeni kurtki. W kościele było upiornie zimno. Ponownie spojrzała na wiszące nad nimi na ścianie malowidło. Obraz nagle wydał jej się złowrogi.

Igor wzruszył ramionami.

– Opisywany jest wszędzie jako alegoria cnót niewieścich, ale równie dobrze wszystkie te symbole można potraktować jako ostrzeżenie. Przed gadulstwem albo raczej mówieniem tego, co się myśli. Przed słuchaniem podszeptów szatana, a może przed otwartością na nowe poglądy? Wąż na jej biodrach symbolizuje rozwagę, ale w zestawieniu z dzbanem stanowi ostrzeżenie przed rozwiązłością.

– Wrzeciono to symbol prządki albo bogini życia – Gwen pokiwała głową – ale także matki natury. Wiecie, jaka jest feministyczna interpretacja bajki o Śpiącej królewnie? – Spojrzała z uśmiechem na Johanna i Igora, którzy pokręcili głowami. – Trzynasta wróżka, ta niezaproszona na przyjęcie z okazji urodzin, miała symbolizować kalendarz lunarny, trzynasty, brakujący miesiąc, a więc po prostu wkraczanie dziewczynki w dorosłość. Przepowiedziała, że mała ukłuje się wrzecionem i umrze. Ale to miało oznaczać, że umrze jako dziecko i narodzi się jako kobieta. Krew symbolizowała miesiączkę. Oczywiście rodzice zrobili wszystko, żeby uratować ją przed losem gorszym niż śmierć i dziewczyna musiała pogrążyć się w nieświadomości, by pocałunkiem obudził ją dopiero legalny, zaakceptowany przez rodzinę, właściwy, dobrze ustawiony kandydat.

Johann parsknął śmiechem i oparł głowę na ramieniu Gwen.

Paulina przez chwilę patrzyła z uśmiechem, jak się przekomarzają, po czym ponownie spojrzała na obraz. Przypomniała sobie wywody Kramera na

temat kobiet, że są mniej inteligentne, bardziej skłonne do grzechu, naturalnie przystosowane do uległości wobec szatana. Dopiero teraz zauważyła, że oprócz końskich kopyt na obrazie było jeszcze kilka mrocznych symboli.

– *Memento mori* – powiedziała cicho, przyciągając wzrok pozostałej trójki. – To przecież średniowiecze. Zobaczcie, co jest za plecami kobiety. Słońce zawsze symbolizowało zmartwychwstanie. Narodziny i śmierć. Tutaj jest pokazane w połowie za horyzontem i jest czerwone jak krew. Po obu stronach jej głowy są jakieś postacie. Po lewej mnisi z rękami uniesionymi do nieba, prawdopodobnie na tle klasztoru, a po prawej dziwna postać z kosą. Śmierć?

Przez chwilę wpatrywali się w milczeniu w średniowieczne malowidło. Z głębi kościoła dobiegały przyciszone głosy innych turystów oglądających wnętrze katedry.

Paulina pomyślała, jak wiele zmienia kontekst dziejowy. Dzisiaj jest to obraz nazywany neutralnie i niewinnie alegorią cnót. Jednak pod koniec piętnastego wieku, w czasach polowań na czarownice, gdy każde nieopatrznie rzucone słowo, spojrzenie, podniesiony głos albo odrzucenie awansów jakiegoś knura mogło zaprowadzić kobietę na stos, stanowił surowe, przerażające ultimatum. Albo będziesz robiła to, co ci każemy, albo wykłujemy ci oczy, połamiemy ręce i nogi i spalimy cię żywcem na ruszcie. No niby wiele się zmieniło, ale jednak nie wszystko jest tak, jak być powinno…

Przypomniała sobie Pawła, który ostrzegał ją, że sprawa sądowa o pobicie wpłynie na jej karierę, że będą ją kojarzyć z lewicą i feministkami. Lepiej było oczywiście zawrzeć ugodę i karnie spuścić wzrok, pozwalając, żeby zwolennik tak zwanych tradycyjnych wartości triumfował, przekonany, że może bezkarnie pobić kogoś na ulicy.

Z drugiego końca kościoła dobiegły kroki, a po chwili głośne skrzypienie zawiasów. Na posadzkę przed wejściem na chwilę wpadł szeroki strumień światła, po czym powoli zwęził się w wąski sztylet i zniknął wraz z głuchym zgrzytem starych drzwi.

*

Mężczyzna wytarł usta serwetką i sięgnął po szklankę ze świeżym sokiem

grejpfrutowym. Zaproszenie na obiad było oczywiście miłe, a gospodarz, jak zawsze, bardzo sympatyczny. Tylko że sposób, w jaki mogły to zinterpretować określone środowiska, budził jego poważne obawy. Dlatego też co chwila rozglądał się dyskretnie po sali, czy aby nie zawitał tutaj w to sobotnie popołudnie jakiś inny wysoko postawiony urzędnik ratusza.

– Ja nie chcę niczego z ciebie wyciągać. – Borola uśmiechnął się jowialnie. – Absolutnie nie chcę, żebyś poczuł się postawiony w niezręcznej sytuacji. Po prostu rozmawiamy sobie, tak?

– Oczywiście. – Urzędnik uśmiechnął się blado i wypił do końca sok.

– Polecam gorący jabłecznik z gałką lodów albo same lody.

Mężczyzna spojrzał łakomie na zdjęcie deseru, które pyszniło się przed nim na reklamie dzisiejszej specjalności szefa kuchni.

– Nie mogę zdradzić żadnych szczegółów tego spotkania. – Pokręcił głową. – Zresztą nawet nie wiem dokładnie, jaki będzie jego temat. O tym wiedzą wyłącznie prezydent i wice.

– Ale potwierdzasz, że to ta zachodnia firma eksploracyjna?

– To nie żadna firma eksploracyjna, tylko prawnicy, którzy ich reprezentują. Na dobrą sprawę nie wiemy nawet, kim oni są.

– Ale przyjeżdżają jutro, tak?

– Jutro jest spotkanie. Kiedy oni przyjeżdżają, nie wiadomo.

– Usiłowałem sprawdzić tę firmę, ale dane o niej są całkowicie ukryte. Została założona raptem pół roku temu, więc to oczywiste, że to jakaś spółka celowa.

– Rafał, ja nic o nich nie wiem. Nawet mniej niż ty, jak widzę.

– Nie macie obaw o ich wiarygodność?

– Akurat ich wiarygodność jest bezsprzeczna. Kancelaria, która ich obsługuje, należy do najstarszych i najbardziej renomowanych w Wielkiej Brytanii. Oni obsługują prawie wyłącznie arystokrację i jakichś potwornych bogaczy.

Borola zacisnął usta i spojrzał w przestrzeń nad ramieniem urzędnika.

Cholerna arystokracja! Przypomniało mu się, jak się w to wszystko wplątał.

*

Igor pchnął skrzydło oszklonych drzwi przedsionka i wszedł do kościoła. Kamień Pomorski przywitał ich mroźnym wiatrem, który szarpał rozpościerającymi się nad dachem katedry konarami starych drzew. We wnętrzu nie było zacienionego niskim stropem i kolumnami podcienia pod chórem. Z kwadratowego pomieszczenia w przyziemiu wieży wchodziło się prosto do nawy głównej, a od wejścia rozpościerał się widok na wnętrze ogromnej świątyni. Prace przy jej budowie rozpoczęto pod koniec dwunastego wieku, kiedy to książę Kazimierz I polecił wznieść w miejscu drewnianego kościółka nową siedzibę biskupów pomorskich. Budowa trwała latami, jakby na przekór dziejowym zawieruchom, a zakończyła się dopiero w XV wieku, gdy księstwo, rozszarpywane przez wojnę trzydziestoletnią, chyliło się ku upadkowi.

Igor przeszedł powoli wzdłuż drewnianych ław. Jego kroki na kamiennej posadzce odbijały się echem w wielkiej przestrzeni katedry. Zatrzymał się na środku świątyni i odwrócił się. Idący za nim Johann i Gwen zrobili to samo i unieśli głowy. Gwen westchnęła.

– Piękne. Ogromne.

– Katedra została mocno zniszczona w czasie wojny trzydziestoletniej. Po jej zakończeniu bratanek ostatniego księcia pomorskiego Bogusława Czternastego, Ernest Bogusław de Croy, który był tytularnym biskupem kamieńskim, ufundował nowe barokowe wyposażenie, w tym te organy.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – Paulina spojrzała na Igora podejrzliwie. – Naprawdę to wszystko zapamiętałeś?

– Robiłem kiedyś inwentaryzację katedry. – Igor rzucił jej urażone spojrzenie. – Musiałem korzystać z archiwaliów. Dzięki temu wiem teraz, gdzie co jest.

– Więc to tutaj był skarbiec? – Johann rozejrzał się dokoła.

Igor przytaknął. To tutaj wszystko się zaczęło. Któregoś majowego dnia trzeciego roku wojny pracownicy hrabiego Hasso von Flemminga z Benic, uginając się pod ciężarem, wynieśli stąd kilka wielkich skrzyń z bezcennymi, gromadzonymi od stuleci skarbami.

Zamyślony, dopiero po chwili się zorientował, że Gwen o coś zapytała.

– Gdzie był ten skarbiec? – powtórzyła, patrząc na niego z zaciekawieniem.

Odwrócił się i wskazał ręką w kierunku północnej nawy.

– We wschodnim skrzydle wirydarza.

– Można tam wejść? – Paulina, nie czekając na odpowiedź, ruszyła pomiędzy kościelnymi ławkami w kierunku starych wierzei prowadzących do klasztornego ogrodu.

Zieleniec, nazywany czasem także paradyżem, miał kształt idealnego kwadratu, zamkniętego z trzech stron podcieniami ostrołukowych arkad. Prawdopodobnie czwarty taki krużganek biegł także przy elewacji katedry, ale został zniszczony w jednej z wielu wojen, które przetoczyły się nad dachem świątyni, i nigdy go nie odbudowano.

Paulina wyszła ze sklepionej sieni na poprzetykany długimi cieniami, zalany marcowym słońcem dziedziniec i stanęła, chłonąc atmosferę tego miejsca. Jak to się stało, że jeszcze ani razu tutaj nie była? Jakoś nigdy się nie złożyło. Jak wiele takich miejsc, których nie odwiedziła, jest na Pomorzu?

Na środku wirydarza niegdyś znajdowało się źródło. Obecnie stała tam stara kamienna chrzcielnica, w której według legendy biskup Otton chrzcił dawnych mieszkańców grodu kamieńskiego.

– Ten żywotnik ma pięćset lat – powiedział cicho Igor, wskazując głową ogromne iglaste drzewo, którego korona niknęła wysoko ponad dachami kościoła.

Paulina odwróciła się. Nie zauważyła, jak podszedł i stanął tuż obok.

– A tam, na końcu podcienia, są właśnie drzwi prowadzące do dawnego skarbca.

– Tu się chyba niewiele zmieniło od co najmniej kilkuset lat. – Johann przeszedł w kierunku jednej z arkad. – Spójrzcie na to pnącze.

Przy jednym z filarów podcienia wspinał się na ścianę arkady stary bluszcz. Jego zdrewniałe konary z upływem lat wręcz wtopiły się w ceglane załomy, tworząc z nimi jedną ceramiczno-botaniczną strukturę.

Igor, patrząc na splątane gałęzie pnącza, zamyślił się. Tam, gdzie stał

Johann, było wejście w podcienia i to tamtędy kilku fornali hrabiego Flemminga, w asyście ostatniego pastora katedry Johannesa Scheela i inspektora ze szczecińskiego urzędu konserwatora Prowincji Pomorskiej Georga Bronischa, niosło trzy ciężkie kufry. Światło pewnie wpadało przez wysokie gotyckie okna i kładło się na posadzkę krużganka…

– Można tam wejść?

Igor oderwał wzrok od zarośniętej bluszczem arkady i spojrzał na Paulinę. Przez chwilę się zastanawiał, dokąd chciała wejść, ale doszedł do wniosku, że mogło jej chodzić tylko o to jedno miejsce. Pokręcił głową.

– Muzeum jest otwarte jedynie w sezonie.

– Takie rzeczy też wiesz dokładnie? – Paulina uśmiechnęła się z przekąsem. – O każdym kościele i zamku na Pomorzu?

Igor przez moment rozważał, czy lepiej będzie okazać, że jest urażony, czy zażartować. Wybrał trzecie wyjście. Najgorsze.

– Po prostu spojrzałem na tablicę ogłoszeń przy wejściu. Dziennikarka powinna być chyba bardziej spostrzegawcza.

Paulina prychnęła i uśmiechnęła się lekceważąco.

– Uwielbiam takie miejsca – powiedziała z zachwytem Gwen. – Prawdziwa mistyka. Setki lat zaklęte w kamieniu.

– W cegle, jeśli już, kochanie.

– Miałam na myśli te stare płyty nagrobne, kochanie.

Paulina uśmiechnęła się do przekomarzających się Johanna i Gwen i odwróciła się w stronę katedry. Uniosła wzrok. Podparta potężnymi przyporami ściana wznosiła się wysoko ponad dachy krużganków.

– A co z wątkiem czarownic?

– Jeśli chodzi o powiat kamieński, to jesteśmy akurat w epicentrum wydarzeń. – Igor rozejrzał się po wirydarzu.

Pomyślał, że pomimo niewątpliwego uroku tego miejsca zieleń jest tu nieco zaniedbana. Młode rododendrony były słabowite, widać było, że nikt się specjalnie nie martwi ich nawożeniem. Wysokie drzewa potrzebowały cięć pielęgnacyjnych, a zieleń okrywowa bezceremonialnie rozpełzła się po kamiennych ścieżkach.

Paulina rzuciła mu dyskretne spojrzenie. Zastanawiała się, co miał na myśli, wspominając o tym epicentrum. Pewnie czekał, aż go zapyta. Postanowiła nie dawać mu tej satysfakcji, chociaż boleśnie zdawała sobie sprawę, że to strasznie dziecinne.

Gwen, nieświadoma psychologicznych rozterek Pauliny, przyszła jej w sukurs.

– Epicentrum wydarzeń? Czemu?

Igor ruszył w kierunku obejścia wirydarza.

Pod ścianami, gęsto jedna przy drugiej, stały ogromne kamienne płyty. Na wielu z nich były ślady po dawnych okuciach, być może srebrnych lub złoconych, które dawno temu skradziono. Płyty niegdyś wmontowane były w posadzkę katedry, a do wirydarza przeniesiono je podczas jakiegoś remontu.

Igor zatrzymał się przed jedną z granitowych tablic. Czas prawie całkowicie zatarł wyryty na niej napis oraz symbole, ale przy odrobinie starania można było odczytać imię i nazwisko zmarłego.

– To płyta nagrobna Hansa Heinricha von Flemminga i jego żony Marii von Borck. Flemming był panem na Buku i Mierzęcinie, ówczesnych głównych siedzibach rodu, a Maria von Borck urodziła się we dworze w Sosnowie, kilka kilometrów od Starogardu Łobeskiego, gdzie sto lat później powstał największy na Pomorzu pałac Borków.

Paulina, która wpatrywała się w kamienną tablicę, spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Starogard? To tam, gdzie wisiał portret Sydonii von Borck[16]?

Igor przytaknął.

– Sydonia? W dodatku jakaś jej daleka krewna? I to cały wątek czarownic?

Igor przez chwilę patrzył na Paulinę, usiłując powstrzymać irytację. Pomyślał, że wątek czarownic jest jej chyba bliższy, niż mogłaby przypuszczać.

– Hans Heinrich von Flemming od początku siedemnastego wieku aż do śmierci był przełożonym kapituły katedralnej, a to tutaj właśnie zapadały wyroki w procesach o czary. Flemming nazywany był pogromcą czarownic.

Za jego rządów w okolicach Kamienia spłonęło na stosach najwięcej kobiet.

– To kapituła katedralna tym się zajmowała?

– Zanim znowu spytasz, skąd mam takie informacje – Igor przerwał na moment, uśmiechnął się z przekąsem i spojrzał na Paulinę znacząco – to śpieszę poinformować, że gdy w dniu wczorajszym zapadła decyzja o wycieczce szlakiem czarownic, trochę się przygotowałem do tematu.

– Trochę… – Paulina wydęła wargi.

Igor, niezrażony, spojrzał na Gwen i Johanna.

– Znajdowało się tutaj kolegium zakonników, czyli tak zwana kapituła katedralna właśnie, która na co dzień zajmowała się sprawami biskupstwa, ale orzekała także w procesach o czary w powiecie kamieńskim. Wszystkie oskarżone kobiety trafiały pod sąd kapituły, który skazywał je na tortury, a potem najczęściej na śmierć na stosie. Wyroki wykonywano zazwyczaj na Wzgórzu Wisielców przy drodze do Gostynia.

Paulina drgnęła.

– A Wzgórze Wisielców nie leży koło Wolina?

– Boję się tłumaczyć, bo znowu spytasz, skąd to wiem.

– Oj, Igor…

– Co oj Igor? Cały dzień robisz mi jakieś przytyki. W zasadzie to ty wymyśliłaś ten temat, powinnaś być bardziej zorientowana ode mnie.

Paulina spojrzała na Igora. W pierwszej chwili chciała rzucić jakiś złośliwy komentarz, ale widok wyrazu jego twarzy skutecznie ją przed tym powstrzymał. Przez moment milczała, zastanawiając się, co powiedzieć. Johann i Gwen patrzyli na nich z zainteresowaniem. Ostatnie zdania padły po polsku, więc niczego nie zrozumieli.

– Masz rację, przepraszam – odezwała się w końcu. – Boli mnie jeszcze trochę biodro, dlatego jestem nieco poirytowana.

– Nieco… – Igor uśmiechnął się jednym kącikiem ust. Spojrzał na dół sportowej kurtki Pauliny i pokiwał głową.

Biodro było doskonałą wymówką. Dobrze, że od razu o tym pomyślała. Biodro rzeczywiście jeszcze trochę ją bolało, ale powód, dla którego dogryzała Igorowi, czego była doskonale świadoma, był raczej inny. Nie

potrafiła go dokładnie zdefiniować, ale sytuacja spowodowała, że przynajmniej zaczęła się nad tym zastanawiać.

– O czym mówicie? – Johann, podejrzliwie przypatrujący się pochmurnym minom Pauliny i Igora, zdecydował się w końcu odezwać.

– Ustalamy wersje. – Igor się uśmiechnął. – Chodzi o to, że jest jeszcze jedno Wzgórze Wisielców. To bardzo stary cmentarz na Wolinie. Możemy tam zajechać po drodze do domu na klifie.

Johann skinął głową z aprobatą.

Paulina pomyślała, że miejsce, w którym przez setki lat wykonywano wyroki śmierci, musi mieć jakąś niesamowitą aurę.

– A to przy drodze do Gostynia? Tam akurat nie byłam.

Igor wzruszył ramionami

– To jest zwykłe wzniesienie na środku pola. I parę drzew dokoła. O tej porze roku ciężko będzie tam dojść bez odpowiednich butów.

Paulina popatrzyła na lekkie eleganckie półbuty Gwen. Sama zresztą też miała na sobie zwykłe trampki, a na polnych drogach pewnie będzie błoto. Trzeba by mieć kalosze.

– A jeśli chodzi o czarownice, to jest tutaj jeszcze jedna mroczna historia.

Igor popatrzył i wskazał ręką wejście do katedry.

Po kilkunastu minutach spędzonych na powietrzu, gdzie niezbyt mocno, ale jednak przyświecało słońce, wnętrze katedry wydało im się wręcz lodowate. Panująca tutaj cisza była jak wielki wzmacniacz, który potęgował każdy dochodzący z odległych zakątków szmer i rozlewał go falami akustycznymi po całym wnętrzu świątyni.

Trzy nawy kościoła od wschodu zamknięte były chórem i poprzedzającym je poprzecznym transeptem. Zbiegała się tutaj historia wielu splątanych ze sobą wieków i stylów architektonicznych. Gdy 15 sierpnia 1176 roku położono kamień węgielny pod budowę katedry, jej wznoszenie rozpoczęto właśnie od tego miejsca. Transept i chór powstawały w stylu romańskim, ale gdy szalejące nad Pomorzem wojny w dużym stopniu je zniszczyły, ukończono je już w stylu gotyckim. W północnej części transeptu do dzisiaj znajduje się chrzcielnica gotycka, oddzielona w siedemnastym wieku piękną barokową kratą. Natomiast pod jego wschodnią ścianą wspinają się ku górze

wąziutkie kamienne schody, zamknięte niską ceglaną balustradą.

Igor stanął u ich podnóża i wskazał ręką wąski balkonik, na który prowadziły. Obiegał on północną stronę transeptu, otwierając się do wnętrza kościoła na wysokości kilku metrów nad wyślizganą kamienno-ceramiczną posadzką.

– Jest pewna legenda. – Pokazał ręką wąskie przejście. – Według niej tą wąziutką kładką musiała przejść z zawiązanymi oczami oskarżona o czary kobieta. Jako że jest to prawie niemożliwe, każdą, której się to udało, uznawano za czarownicę, której pomaga sam diabeł. Pewna stara kobieta z podkamieńskiej wsi, na którą wołano Sobkula, została kiedyś oskarżona o odebranie krowom mleka. Przerażona, z zawiązanymi oczami, w całkowitej prawie ciemności, przeszła całą drogę. Gdy jednak znalazła się na dole, ze strachu przed procesem, torturami i stosem dostała ataku serca i padła martwa na miejscu.

Po słowach Igora przez moment panowała cisza.

– Dlatego właśnie to przejście od szesnastego wieku nazywane było „drogą pokuty” – dokończył Igor i uśmiechnął się do Pauliny, która ze zgrozą wpatrywała się w wąski kamienny balkonik i twardą ceglaną posadzkę pod nim.

Bardziej niż los nieszczęsnej Sobkuli przeraziła ją wizja kobiet, które z tego obejścia spadały. W długich, krępujących ruchy sukniach, odchodzące od zmysłów ze strachu, z zasłoniętymi oczami, a może i zawiązanymi na plecach rękami miały niewielkie szanse. Upadek na kamienną posadzkę powodował najczęściej skręcenie karku i śmierć.

No i to, że były niewinne.

*

Z Cezarym Kłosowskim znali się od dawna. Mimo że dzieliła ich spora różnica wieku, bardzo dobrze się dogadywali. Połączyły ich wspólne interesy. W swoim czasie Cezary dorobił się sporych pieniędzy, co pozwoliło mu zostać wspólnikiem Boroli w kilku intratnych inwestycjach. Majątek Cezarego to były tak zwane „stare pieniądze”, fortuna zdobyta w mrocznych czasach komuny i powiększona w barwnym okresie Peerelu. Cezary dawno

temu zajmował się handlem, a gdy z uwagi na ogromne domiary i podatki handel przestał się opłacać, zajął się budowlanką. W którymś momencie zainteresował się także obrotem dziełami sztuki, który od lat sześćdziesiątych zeszłego wieku dla zorientowanych w tej materii stał się prawdziwym eldorado, by osiągnąć apogeum w złotej epoce Gierka w latach siedemdziesiątych. Borola, chyba tak samo jak inni, nie orientował się dokładnie w sprawach Cezarego. Wiedział tylko, że gdzieś na początku lat siedemdziesiątych, a może trochę wcześniej, Kłosowski kupił całą kolekcję obrazów i innych dzieł sztuki od ubożejącego wówczas na uboczu życia społecznego, niegdyś wysoko postawionego działacza partyjnego. Mówiło się nawet o pierwszym sekretarzu partii. Ta część życia Cezarego, jego zbiory, poszukiwanie dzieł sztuki na targowiskach, a później udział w aukcjach w Polsce i na Zachodzie średnio Borolę interesowała. Do czasu.

Krótko po wkroczeniu świata w nowe milenium Borola poznał pewnego szczecińskiego antykwariusza, który posiadał w swoich zbiorach kilka bardzo interesujących płócien. Stało się to parę miesięcy po głośnym artykule „Gdzie jest Rafael”, który wstrząsnął światkiem handlarzy dziełami sztuki w całej Polski. Borola kompletnie nie znał się na sztuce, ale miał przemożną chęć zagospodarowywania kolejnych przestrzeni służących interesom, więc nabył od owego antykwariusza kilka obrazów za niewygórowaną kwotę. Dwa z nich miały pochodzić z dziewiętnastego wieku. Przedstawiały jakąś niemiecką arystokrację i rzekomo niegdyś zdobiły salon barokowego dworu w okolicach Kamienia Pomorskiego. Borola urządzał wówczas swój ogromny dom w Warszewie, były więc jak znalazł na ścianę jadalni. Tuż nad stołem na dwanaście osób. I to przy tym właśnie stole na jakimś przyjęciu urodzinowym, na które zostało zaproszonych kilka osób z bliższej i dalszej rodziny oraz przyjaciół i partnerów w interesach, Cezary wyraził chęć ich zakupu. Poczekał z tym oczywiście do końca imprezy i gdy wszyscy już zaczęli zbierać się do wyjścia, rzucił swobodnym tonem, że pasowałyby do jego domu na Wolinie.

Borola był człowiekiem interesu i nie przywiązywał się do rzeczy, natychmiast zaproponował więc cenę dwa razy wyższą niż ta, którą zapłacił.

Dopiero kilka lat później dowiedział się, jak bardzo kiepski był to interes.

*

Paulina postawiła kołnierz kurtki. Na słońcu było ciepło, nawet bardzo jak na tę porę roku, ale wystarczyło wejść w cień, by przypomnieć sobie, że to jednak marzec.

– Nie wygląda to zachęcająco.

– Dwór rzeczywiście nie jest spektakularny, ale liczy się położenie. Jezioro, las, bliskość dobrej drogi.

Paulina spojrzała na Igora. Stał odwrócony tyłem i wpatrywał się w ujętą w ramy starych drzew elewację ogrodową dworu.

Posiadłość nie była ogrodzona. Park od strony wschodniej swobodnie łączył się z lasem, a od zachodniej graniczył z zabudowaniami wsi. Każdy mógł tu wejść. Także do dworu. Tym bardziej że w kilku miejscach deski i dykta, którymi zabito okna i drzwi, były już mocno nadwerężone przez różnych poszukiwaczy wrażeń. Zajechali przed sam fronton, przedarłszy się przez gęstwinę rozrośniętych nad aleją wjazdową drzew. Obejrzeli budynek, wykorzystując jedną z dziur w połatanych deskami drzwiach tarasowych. Paulina, chodząc po reprezentacyjnych niegdyś salach parteru, usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądały tutaj ostatnie dni wojny, przed ucieczką. Czy trwało gorączkowe pakowanie? Czy właściciele usiłowali zabezpieczyć wejścia, schować rzeczy, których nie zdołali spakować? Jest przecież wiele przedmiotów, niemających wielkiej wartości materialnej, ale ogromną emocjonalną. Pewnie nie wszystkie można było zabrać. Część została skazana na śmierć. Małą, materialną śmierć, która odbiera rzeczom pamięć.

Gdy znaleźli się w końcu na brzegu jeziora, uderzyła ją cisza. Od strony wsi z zachodniego brzegu nie dobiegały żadne hałasy. Czasem słychać było jakiś szelest wśród drzew. Tafla jeziora błyszczała w wiosennym słońcu, a na gałęziach zieleniły się już pierwsze pączki.

– Miałam na myśli jezioro i cały ten skarb. – Skinęła głową w kierunku wody. – Nie jest wielkie, głębokie pewnie też nie. Nie chce mi się wierzyć, że nikt tu jeszcze nie szukał tych skrzyń.

– Pewnie szukał. – Igor wzruszył ramionami. – Tutejsi mieszkańcy z pewnością. Na pewno w co drugim domu mają łódź.

– Więc teoretycznie mogli je znaleźć już dawno temu i wszystko sprzedać.

– Przecież nikt nie szuka żadnego skarbu, z tego, co ja zrozumiałam. –

Gwen wspięła się na niewysoki murek i podniosła telefon, by zrobić fotkę dworu. – Ten twój Borola chce tylko markować prowadzenie poszukiwań w celach marketingowych.

– No właśnie jego intencje nie są do końca jasne. – Paulina wsadziła ręce do kieszeni kurtki. Była raczej zmarzluchem. Od zawsze.

Igor westchnął.

– To mój dobry inwestor…

– Wiem, ale nic na to nie poradzę. – Paulina pokręciła głową. – Jego podchody do domu na klifie są dla mnie kompletnie niezrozumiałe. Coś musi się za tym kryć.

– Nie pozwoliłaś mi skończyć. – Igor kucnął i wziął do ręki kamyk. Zamachnął się i cisnął nim w wodę. – To mój dobry inwestor, ale te jego pomysły mnie też wydają się podejrzane.

– Ja też nie skończyłam. – Paulina spojrzała na Igora z namysłem. – Nie wiem, czy ci się to spodoba, ale coś mnie tknęło i postanowiłam to sprawdzić. No i dowiedziałam się paru interesujących rzeczy.

– Jakich? – Igor podniósł się i wbił wzrok w Paulinę.

– W takim razie proponuję porozmawiać o tym przy obiedzie – powiedziała stanowczo Gwen i wzdrygnęła się. – Strasznie zmarzłam, a jak znam te wasze rozmowy, to przeciągną się one do kolacji. Zapraszamy was, ale pod warunkiem że znajdziecie jakąś knajpę.

Najbliższa czynna o tej porze roku knajpa mieściła się na Wolinie. Pół godziny później siedzieli zatem we wnętrzu tej samej restauracji, w której kilka dni temu Igor jadł obiad z Borolą. Wielkiego wyboru czynnych lokali nie było, ale fakt, że po raz drugi znajduje się w tym samym miejscu, by rozmawiać na temat skarbu z katedry kamieńskiej, Igorowi i tak wydał się znaczący.

Kelner postawił przed nimi talerze, z namaszczeniem poukładał naokoło sztućce, a na koniec ponalewał do kieliszków wino i odszedł, by po chwili wrócić z tacą, na której znajdował się parujący dzbanek z wodą, trzy kieliszki i cztery filiżanki. Paulina wrzuciła do jednej z nich herbatę, posłodziła, dolała wiśniówki i po chwili podniosła do ust.

– Może przestań w końcu stopniować napięcie i zacznij mówić, czego to się niby dowiedziałaś. – Igor patrzył na Paulinę z nieukrywaną ciekawością, wymieszaną z irytacją.

– Nie stopniuję żadnego napięcia. – Paulina odstawiła filiżankę. – Czekałam, aż kelner sobie pójdzie. Lubin jest niedaleko, mogą ich tutaj znać.

– A to aż taka tajemnica?

– Żadna tajemnica, ale przecież to ty zamierzasz ich okraść. Chyba nie chcesz mieć świadków?

Igor pokręcił głową i wzniósł oczy do nieba.

– No więc tak. – Paulina pochyliła się nad stołem. – Właścicielką tego domu jest teraz Aleksandra Kupiec. Właściwie Kłosowska-Kupiec. Mieszka na stałe w Gdańsku, w Lubinie bywa tylko okazjonalnie.

– No to przecież sam wam o tym przed chwilą powiedziałem. – Igor wzruszył ramionami. – To ona do mnie dzwoniła.

Paulina niecierpliwie ściągnęła usta.

– W sensie dosłownym jest właścicielką od niedawna. Pół roku temu skończyło się postępowanie spadkowe. Odziedziczyła ten dom po ojcu, który był jego właścicielem od końca lat osiemdziesiątych. Kupił go od jakiegoś upadłego przedsiębiorstwa, które miało tam dom wczasowy. Nazywał się Cezary Kłosowski.

Igor spojrzał na nią. Coś mu to nazwisko mówiło. I nagle sobie przypomniał.

– Kłosowski? – Otworzył szeroko oczy. – Ten kolekcjoner?

Paulina przytaknęła z satysfakcją.

*

Cezary skończył osiemdziesiąt lat w 2010 roku. Osiadł wówczas na Wolinie na dobre i coraz rzadziej ruszał się ze swojego wiejskiego domu. Borola widywał się z nim w tych rzadkich momentach, gdy wspólnik przyjeżdżał do Szczecina w jakichś swoich sprawach. Mieszkał sam, żona zmarła kilka lat wcześniej. Dom prowadziła gospodyni, a do sprzątania i doglądania ogrodu miał miejscowych, którzy chętnie sobie u niego

dorabiali. Któregoś dnia Borola, będąc w Międzyzdrojach, gdzie negocjował warunki dzierżawy terenu pod pawilon gastronomiczny, postanowił go odwiedzić. Dom Cezarego stał w centrum Lubina, przy jednej z głównych ulic miejscowości. Droga wiła się pomiędzy starymi budynkami, okrążała skarpę ze wznoszącym się nad nią neogotyckim kościołem, zakręcała na niewielkim skrzyżowaniu i prowadziła wprost pod stare domostwo. Gdy Borola jechał już tym ostatnim odcinkiem i widział kołyszące się nad dachem świerki, minął jadące z przeciwnej strony czarne terenowe volvo. Znał ten samochód. Prawdopodobieństwo tego, że jego właściciel przyjechał tutaj do kogoś innego niż Cezary, było raczej niewielkie, dlatego był bardzo ciekaw, co łączyło jego wspólnika z jednym z bardziej rozpoznawalnych polityków regionu.

Nie zapytał o to wprost, ale gdy już się przywitali i zasiedli w salonie w głębokich fotelach, a gospodyni Cezarego przyniosła im gorącą herbatę, wspomniał niewinnie, że chyba właśnie minął samochód Jeremiasza Budnego.

Kłosowski pokiwał głową i przez chwilę milczał.

– Przyjechał ze swoim przydupasem, żeby tutaj powęszyć – mruknął w końcu i sięgnął po filiżankę.

Borola aż za dobrze wiedział, że w wypadku Cezarego dopytywanie się o cokolwiek odniosłoby skutek przeciwny od zamierzonego, czekał więc cierpliwie, aż wspólnik sam powie coś więcej. Nie żeby interesowało go to aż tak bardzo. Polityką i politykami gardził, tolerował ich wokół siebie tylko w interesach. Niemniej ciekawiło go, czego Budny może chcieć od starego kolekcjonera dzieł sztuki, jeśli już powiązanego z kręgami politycznymi, to raczej dalekimi od tych, które reprezentował on sam.

Jednak, ku zaskoczeniu Boroli, rozmowa potoczyła się w zupełnie innym kierunku.

– Słyszałeś pewnie o poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty kilka lat temu?

Borola, nawet nie próbując ukrywać zdziwienia, przecząco pokręcił głową.

Kłosowski uśmiechnął się pobłażliwie.

– Pewien emerytowany policjant ze Świnoujścia wymyślił sobie, że w czterdziestym piątym na jego polu Niemcy zakopali kufry z Bursztynową Komnatą. Twierdził, że ma dokumenty i świadków, którzy widzieli, jak Wehrmacht rozładowywał tam ciężarówki.

Borola patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Ale tutaj? W Lubinie?

– Na Wolinie. Niedaleko Dargobądzia, praktycznie przy samej trójce. Dostał nawet pozwolenie od wojewódzkiego konserwatora zabytków na prowadzenie wykopów.

– I co?

– Wykopał parę dołów i tyle. – Kłosowski parsknął śmiechem i sięgnął po filiżankę. – Potem się żalił pismakom, że wszyscy mu przeszkadzają i rzucają kłody pod nogi. Gmina, konserwator, wojsko, zarząd dróg.

Borola siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, a ściślej we wzorzysty turecki dywan. Przeleciało mu przez głowę, że Cezary musi już mieć jakieś starcze zaniki pamięci i zaczyna gubić wątki podczas rozmowy. Po jakiego diabła opowiada o jakichś poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty? Przypomniało mu się, że rzeczywiście coś czytał na ten temat w „Kurierze” albo innej szczecińskiej gazecie, ale to były jakieś głupoty.

– Wolin to prawdziwa wyspa skarbów. – Kłosowski ponownie parsknął śmiechem.

Borola spojrzał na niego podejrzliwie. Nie był w stanie stwierdzić, czy wspólnik mówi poważnie, czy szydzi.

– Ale jaki to ma właściwie związek z Budnym?

– Ta szuja też czegoś szuka.

– A dlaczego przyjechał z tym do ciebie? A ten przydupas to kto właściwie jest?

– Podejrzany typ, który opiekuje się jego łodzią i daczą. Budny ma tu daczę, niedaleko przystani. Nie wiedziałeś?

Borola pokręcił głową.

– No, ale co ty masz z tym wspólnego?

Kłosowski zmarszczył czoło i odwrócił wzrok. Borola pomyślał, że

wspólnik raczej nie mówi mu o wszystkim. Podobnie zresztą jak on jemu.

– Myślę, że nachodzi mnie z tego samego powodu, z którego wcześniej nagabywał kilku innych kolekcjonerów. Na przykład Markiewicza.

Borola zmarszczył brwi. To właśnie od Markiewicza kupił Rabenerów. Do tej pory był przekonany, że Cezary jest człowiekiem biznesu, a całe to zainteresowanie sztuką to takie tam coś na uboczu głównej działalności. Teraz sam się sobie dziwił, że był taki ślepy. Wydawało mu się, że Kłosowski nie utrzymywał jakichś specjalnie bliskich kontaktów z nikim z niewielkiego szczecińskiego światka kolekcjonerów, a jeśli już, to były to jedynie kontakty biznesowe, tymczasem najwyraźniej jego wspólnik zna to środowisko całkiem dobrze.

A był z siebie taki dumny, że to właśnie jemu udało się znaleźć dwa dziewiętnastowieczne portrety. Przyszło mu na myśl, że z tymi obrazami, które kupił, a następnie sprzedał Cezaremu, został chyba jakoś koncertowo wymanewrowany.

Kłosowski odstawił filiżankę na stół i spojrzał w okno.

– Lata temu kupiliśmy całą stodołę rozmaitych obrazów, świeczników, starych książek i innego barachła. Opowiadałem ci o tym kiedyś. Było tam trochę cennych rzeczy, nie powiem, ale większość to były albo kopie, albo obrazy o znikomej wartości. To był początek lat siedemdziesiątych, a ja wtedy nie miałem pojęcia o historii sztuki. Mój wspólnik trochę się na tym znał, miał jakichś pomocników. Podzieliliśmy się tym po prostu po połowie. Ja większość tych rzeczy spieniężyłem, a on sprzedawał powoli i sporo zachował dla siebie na czarną godzinę.

– Może Budny przeczytał te bzdury o Rafaelu?

– Podejrzewałbym raczej, że dorwał się do jakichś tajnych archiwów ubecji albo czegoś takiego i teraz węszy. Wiesz przecież, od kogo myśmy kupili tę stodołę.

Borola pokiwał głową w zamyśleniu. Partia Budnego jakiś czas temu po raz pierwszy na krótko dorwała się do władzy. Już wtedy mówiło się o czyszczeniu przez nich niewygodnych archiwów Instytutu Pamięci Narodowej, usuwaniu teczek zakładanych niegdyś przez służby bezpieczeństwa tajnym współpracownikom, lojalek i tak dalej. Może rzeczywiście Budny czegoś się dowiedział? Archiwa związane

z przejmowaniem mienia i dzieł sztuki na terenach zachodnich były pewnie dla nich mniej istotne niż teczki z danymi osobowymi. Możliwe w ogóle, że to wszystko leżało w jakichś piwnicach i nikt się tym wcześniej nie interesował. I dopiero Budny coś wygrzebał.

Ciszę, która na moment zapanowała w pokoju, przerwała gospodyni, wchodząc z tacą kanapek i ciastek. Kobieta zabrała pusty dzbanek i zniknęła za drzwiami, a Boroli się przypomniało, że przyjechał tu porozmawiać z Kłosowskim na temat jego ewentualnego udziału w nowym przedsięwzięciu, które zaczął rozkręcać. Sięgnął do torby i wyjął gruby plik dokumentów, projektów i kosztorysów.

Do tematu wojennych łupów tego wieczoru już nie wrócili.

*

Droga do Lubina wiodła przez zaniedbane pola i łąki porośnięte wyspami wierzb, sosen i jesionów. Pomiędzy bezlistnymi jeszcze kępami krzewów majaczyły błyszczące w słońcu wody jeziora Wicko Wielkie. Droga kończyła się rozjazdem; na prawo jechało się do nieodległej Wapnicy, a wiodąca na lewo wąska asfaltowa ulica Turkusowa prowadziła do dziwacznego żelbetowego wiaduktu, na którym widniał napis „Witamy w Lubinie”.

Toyota Igora przetoczyła się pod nim wolno, a następnie ruszyła dalej wzdłuż pokiereszowanego betonowego ogrodzenia, za którym wznosiły się pozostałości jakichś wielkich zabudowań.

– Jeździłam do Międzyzdrojów i Świnoujścia miliony razy, a nigdy tutaj nie byłam. – Paulina obejrzała się za siebie. Po drugiej stronie żelbetowego wiaduktu widniał napis „Do zobaczenia w Lubinie”. – Co to za ruiny?

– Tyle zostało z największej w Trzeciej Rzeszy fabryki cementu portlandzkiego – mruknął Igor, nie odrywając wzroku od drogi. – Ta dziwaczna brama to pozostałość konstrukcji kolejki linowej, którą transportowano do fabryki surowce z Wapnicy.

– Wygląda dość przerażająco. – Gwen przyglądała się ze zgrozą ogromnym rozsypującym się budynkom, rozrośniętym nad nimi drzewom i pożerającym wszystko zdziczałym bezlistnym chaszczom.

– Fabrykę założył w połowie dziewiętnastego wieku Johannes

Quistorp[17]. – Igor rzucił spojrzenie w kierunku Pauliny. – Ten od wieży Quistorpa w Szczecinie.

– Wiem, kto to jest Johannes Quistorp. – Paulina obejrzała się za zrujnowanym, wyglądającym jak dziewiętnastowieczna willa budynkiem. – Ale o tej cementowni nie słyszałam.

– W sąsiedniej wsi jest jezioro, które nazywa się Turkusowe. – Igor odwrócił się do Johanna i Gwen. – To w rzeczywistości dawne zalane wyrobisko kredy, którą wydobywano na potrzeby tej fabryki.

– Jak na razie wygląda to przygnębiająco.

Paulina odprowadziła wzrokiem bezstylowy budynek, obok którego wznosiły się filary bramy wjazdowej, prowadzącej, jeśli wierzyć tablicy informacyjnej, do przystani.

Toyota potoczyła się dalej asfaltową drogą, mijając kolejne domy i dawne pensjonaty.

– To najbardziej zaniedbana część wsi, dalej na szczęście jest lepiej. – Igor wyminął stojący przy ogrodzeniu zielony samochód dostawczy.

Po obu stronach drogi stały dziewiętnastowieczne wille, niegdyś piękne, dzisiaj pozbawione detalu architektonicznego, pomalowane na przypadkowe kolory, fragmentarycznie ocieplone styropianem. Przed nimi ciągnęły się płoty z siatki stalowej i obsadzone młodymi żywotnikami zaniedbane ogrody. Igor przypomniał sobie malownicze miejscowości hrabstwa Wiltshire, gdzie stał zamek rodziny Johanna. Nostalgiczne równiny, upstrzone kredowymi wzgórzami porośniętymi lasem oraz małe miasteczka i wsie, wyglądające jak dekoracje do filmów kostiumowych. Zabolało go nagle, że pomimo dawnego piękna Pomorza obecnie jest tak mało miejsc, którymi naprawdę można się pochwalić. Jakby na potwierdzenie jego myśli po lewej stronie wyrósł kolejny, niegdyś piękny budynek, na którego ogrodzeniu wisiała ogromna szmata z napisem „Polnische Küche”.

Igor westchnął i przyśpieszył. Samochód przejechał wzdłuż szpaleru topoli, minął kolejne nijakie domy i zaczął się wspinać na niewysokie wzniesienie. Krajobraz nagle się zmienił, a przy drodze pojawiały się odnowione budynki z zadbanymi ogrodzeniami, zza których wylewały się pełne zielonych pączków gałęzie krzewów i pnączy. W perspektywie drogi pojawiła się wieża kościoła, a sama droga niepostrzeżenie zmieniła się

w wąską aleję dojazdową o nawierzchni z szarego polbruku. Za kolejnym zakrętem ukazał się nagle płot z kutych paneli, zawieszonych na kamiennych słupkach. Za nim rozciągała się ogromna zielona powierzchnia doskonale utrzymanego trawnika, aksamitnym dywanem wspinającego się na szczyt wzgórza, na którym rosło monumentalne samotne drzewo. W głębi, w perspektywie drogi, okolony wysokimi świerkami, stał samotnie duży stylowy dom, otynkowany na bladoróżowy kolor

– To tutaj? – Paulina pochyliła się w kierunku przedniej szyby.

Igor mruknął potakująco.

– Nie zatrzymuj się! Ktoś nas jeszcze rozpozna.

– Kto ma nas rozpoznać?

– Jak Borola ich okradnie, to sobie przypomną, że jeździł tu taki czarny fagas japońskim samochodem i dojdą po nitce do kłębka.

Igor wzniósł oczy do nieba i powoli ruszył dalej. Samochód, cicho mrucząc, potoczył się drogą w kierunku domu na klifie i po chwili znalazł się na wysokości bramy wjazdowej.

– Wysoki dach, wykusze, naczółki – powiedział cicho do siebie, przypatrując się starej willi. – Trochę mierzenia jednak będzie.

– A właśnie! – Johann pochylił się nad fotelem Pauliny. – Co w końcu z tymi pomiarami? Dałeś już jakąś odpowiedź?

– Zobaczcie. – Igor machnął ręką w kierunku posesji. – Jak doskonale utrzymany ogród.

Paulina spojrzała na niego podejrzliwie.

– Zgodziłeś się na te pomiary?

Igor zacisnął usta.

– Zgodziłeś się? – Johann wysunął się bardziej zza fotela Pauliny, usiłując dojrzeć wyraz twarzy Igora.

Igor westchnął i kiwnął głową.

– Miałem czekać do poniedziałku, ale wszystko przemyślałem i wysłałem im ofertę.

Paulina jęknęła.

– Jezu!

– Przecież miałeś najpierw pogadać ze mną! – Johann uderzył dłonią w skórzane oparcie. – Pożyczyłbym ci tę cholerną kasę. Musisz się z tego wycofać! Nie podpisałeś jeszcze żadnej umowy?

– To się może naprawdę źle skończyć! – Paulina odwróciła się do Igora i patrzyła na niego z wyrzutem. – Wciągną cię w jakieś machloje!

– Przestańcie biadolić! Ta robota jest mi potrzebna. Pomiary potrwają dwa, trzy dni, narysuję wszystko, jak się zepnę, w trzy tygodnie i dostanę bardzo dobrą kasę.

– I pójdziesz do więzienia!

– Nie pójdę do żadnego więzienia!

– Ilu ludzi potrzebujesz do pomocy? – spytał nagle Johann.

Paulina pokiwała głową

– Właśnie! Jeszcze wciągniesz w to jakichś niczego nieświadomych, Bogu ducha winnych kolegów.

– Zawsze pomagają mi dwie osoby.

– W takim razie my ci pomożemy!

– Co takiego?! – Igor zahamował gwałtownie. Jadąca powolutku toyota wbiła się przednimi kołami w drogę, a Paulina poleciała na deskę rozdzielczą.

– Co ty robisz? O mało nie wybiłam głową przedniej szyby!

– My ci pomożemy! – powtórzył Johann. – To nie może być nic specjalnie trudnego, a my i tak nie mamy nic do roboty.

– Zwariowałeś!

– A przy okazji sami sobie wszystko obejrzymy!

Paulina, która na moment zaniemówiła, gdy Johann zgłosił swój akces do pomocy w pomiarach, zamarła ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Dziennikarski instynkt podpowiedział jej, że to, co właśnie planują, to wprawdzie kretyństwo, w dodatku z jej udziałem, ale kto wie, co ciekawego może się z tego urodzić.

– Nie będziecie mi pomagać w żadnych pomiarach! – Igor szarpał się

z pasem bezpieczeństwa, usiłując odwrócić się do Johanna.

– Będziemy!

– Nie będziecie!

– Oczywiście, że będziemy! – Paulina spojrzała na Igora. – Wciągnąłeś nas w to wszystko, to teraz, niestety, nie mamy wyjścia.

Igor zamilkł i z niedowierzaniem wpatrywał się w Paulinę oraz w pochylonego nad jej oparciem Johanna.

– A ja to już nie mam nic do powiedzenia? – odezwała się nagle Gwen. – Przecież sama w hotelu nie zostanę!

Rozdział 10

Dorota pchnęła furtkę i weszła do zaniedbanego ogrodu. Przy dróżce prowadzącej do schodów rosła duża lipa, której gałęzie zwieszały się nisko nad ziemią, częściowo tarasując przejście. Budynek stał zamknięty prawie od roku, kiedy wyprowadził się ostatni, wegetujący tutaj do końca mieszkaniec. Willa, dawniej duży bogaty patrycjuszowski dom, po wojnie została podzielona na trzy mieszkania, których właściciele dbali jedynie o swoje wnętrza, prowadząc niekończące się spory o to, kto ma płacić za remont dachu i elewacji. Nad domem od dobrych paru lat wisiały sępy ze szczecińskich biur nieruchomości, ale porządkowanie spraw własnościowych i dogadywanie się z trzema rodzinami, z których w dwóch nastąpił już kolejny podział własności pomiędzy spadkobierców, było skutecznym zimnym prysznicem dla każdego zainteresowanego. Budynek był piękny i nawet lata zaniedbań nie mogły zatrzeć tego wrażenia. Nad schodami wznosiła się trzykondygnacyjna wieża nakryta stromym hełmem, zwieńczonym fikuśnym wiatrowskazem. Okapy wysokich dachów wysuwały się z fasady, podparte przez drewniane konsolki, wmontowane w koronkową ryglową dekorację ścian poddasza. Obrazu nieruchomości dopełniała spora działka z królującym na niej ogromnym, wysoko sklepionym czerwonym bukiem. No i lokalizacja. Najstarsza część Pogodna, dawny Neu Westend, dzielnica założona przez legendarnego Johannesa Quistorpa, z przyłączonymi później Wzgórzami Ackermanna i terenami wzdłuż dzisiejszej ulicy Mickiewicza, dla wielu była najpiękniejszą dzielnicą willową w Polsce.

Dorota natknęła się na ofertę sprzedaży tego domu prawie rok temu. Były w niej wypunktowane wszystkie obciążenia dotyczące budynku i informacje o sporach właścicielskich, ale Kurt tak się zapalił do pomysłu otwarcia w Szczecinie hostelu, że te problemy go nie zniechęciły. Dorota, która w dalszym ciągu była właścicielką feralnego mieszkania w Barcelonie, do czego nigdy się Kurtowi nie przyznała, miała większe obawy. Poza tym wiedziała, że koniec końców to na nią spadnie załatwianie formalności

związanych najpierw z kupnem, a potem z remontem i przebudową.

– Jest piękny. – Szczupła szatynka w wełnianej czapeczce i krótkiej kurtce z wysokim kołnierzem zadarła głowę i powiodła sceptycznym spojrzeniem po zniszczonym, łuszczącym się tynku. – Ale doprowadzenie go do stanu świetności będzie cholernie kosztowne.

Dorota westchnęła, przekręciła klucz w starym zardzewiałym zamku i pchnęła drzwi, które ze skrzypieniem otworzyły się do środka na duży zagracony hall.

– Wiem. – Pokiwała głową i przepuściła koleżankę. – Mamy trochę oszczędności, ale będziemy musieli wziąć kredyt. Kurt szuka jakiegoś unijnego dofinansowania w Niemczech, ale nie wiem, czy coś z tego wyjdzie.

– Po naszej stronie można rozważyć jedynie wsparcie miejskich projektów rewitalizacyjnych w ramach FROM[18], ale przyjmowanie wniosków na ten rok ruszy już pod koniec marca.

– No właśnie. – Dorota uśmiechnęła się z przekąsem. – Nie mam nawet pewności, czy z pozwoleniem na budowę zdążymy do przyszłego roku, a co tu mówić o miesiącu.

– W przyszłym roku to w ogóle nie wiadomo, czy ten fundusz jeszcze będzie.

Dorota westchnęła i pchnęła skrzydło wysokich podwójnych drzwi. Za nimi była ogromna sala, doświetlona wysokimi portfenetrami.

Z Sylwią znały się od studiów. Koleżanka pracowała w Wydziale Administracyjnym Urzędu Marszałkowskiego i zajmowała się rozmaitymi kwestiami prawnymi.

– Prześlę ci wszystkie linki na temat niezbędnych materiałów i dokumentów, które trzeba załączyć do aplikacji. Naprawdę nie da rady złożyć przynajmniej wniosku o pozwolenie na budowę? Warunkowo to wystarczy.

Dorota parsknęła i spojrzała na przyjaciółkę protekcjonalnie.

– Kochanie, w ciągu miesiąca? Nie ma żadnej dokumentacji stanu istniejącego, dom jest wpisany do rejestru zabytków. W ciągu miesiąca to Igor pewnie ledwie zrobi pomiary.

– Igor? – Sylwia spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– Nie mam uprawnień. – Dorota wzruszyła ramionami. – Moje członkostwo w izbie architektów jest zawieszone. A on się doskonale orientuje w tematach konserwatorskich.

– I co? Zgodził się?

– A czemu miałby się nie zgodzić? – Dorota rzuciła koleżance poirytowane spojrzenie. – To, że się z nim rozwiodłam, nie znaczy, że nie możemy utrzymywać żadnych stosunków.

– Ze stosunkami to bym na twoim miejscu była ostrożna. – Sylwia parsknęła śmiechem.

Dorota spojrzała na przyjaciółkę z politowaniem, ale nie wytrzymała i też się uśmiechnęła.

– Kurt nie miał nic przeciwko temu?

– Jeszcze mu nie powiedziałam i nie wiem, czy to w ogóle zrobię.

– Zwariowałaś?

– A po co to komplikować? Zaraz będą pytania, fochy. Igor zrobi projekt, dostanie kasę i koniec. Przynajmniej wiem, że mogę mu zaufać w kwestiach zawodowych. Po cholerę mam szukać innego projektanta?

– No, jak uważasz. – Sylwia wzruszyła ramionami, po czym spojrzała na zegarek. – Jeśli mamy jeszcze skoczyć na kawę, to musimy się powoli zbierać. W domu mam kupę roboty na poniedziałek.

– W urzędzie?

– Nie denerwuj mnie lepiej. Znowu to samo. Że jak w urzędzie, to się nie pracuje?

– Nie, że nie pracujesz, tylko że zabierasz pracę do domu.

Sylwia złapała poręcz schodów i spojrzała ku górze. Temat wydajności pracy w urzędach był tradycyjnym zarzewiem ich sporów.

– Marszałek w poniedziałek ma jakieś spotkanie. Mamy na nie przygotować analizę całej masy dokumentów, które przysłała jakaś cholerna angielska kancelaria.

– Angielska?

– Jakaś tajemnicza sprawa. Generalnie nikt nic nie wie, nawet nie wie, w czyich to leży kompetencjach. Dostaliśmy te papiery od prezydenta, który twierdzi, że to także nasza sprawa.

– U was to zazwyczaj jest odwrotnie. – Dorota uśmiechnęła się złośliwie. – Wszyscy wszystko wiedzą najlepiej. A czego oni chcą?

– No mówię, że nie wiadomo. Ich korespondencja z prezydentem jest objęta całkowitą tajemnicą. Krążą jakieś bzdurne plotki o zamachu terrorystycznym albo skarbie katedry kamieńskiej.

– Co takiego? – Dorota zatrzymała się i spojrzała uważnie na przyjaciółkę.

– No, powtarzam tylko plotki. Nie wiem, skąd się wzięły.

Dorota czasem kierowała się intuicją. Nie zawsze, ale teraz tak. Czuła, że dwór, który kupił Borola, o czym wspomniał jej Igor, a o czym już wcześniej wiedziała od samego Boroli, może mieć z tym jakiś związek.

*

Toyota zwolniła i zjechała na środek jezdni. Podwójna ciągła linia zmieniła się w przerywaną, a zza drzew wyłoniła się zabudowa, w której dominował budynek stylizowany na krytą strzechą chatę.

– Co robisz? – Paulina oderwała wzrok od tabletu i spojrzała na Igora.

– Jakaś ty czujna. – Igor uśmiechnął się do niej. – Widzę, że nie mam żadnych szans, żeby gdzieś niepostrzeżenie zjechać w boczną drogę i oddać was w ręce handlarzy organami.

– Pod Przybiernowem raczej nikt nie handluje organami.

– Nie wiadomo.

– Gdzie jesteśmy? – Zza siedzenia Pauliny wychylił się Johann. – Co to jest?

– *Polnische Küche.* – Igor skręcił i wjechał na podjazd przydrożnej karczmy.

– *Wunderbar!*

– Wy chyba nie jesteście głodni? – Paulina odłożyła tablet i odwróciła się do Gwen.

– Ja jestem – stwierdził Johann. – Na Wolinie nic nie jadłem.

– Ja także jestem głodny – dodał Igor. – Ale skręciłem tu właściwie tylko po to, żeby skorzystać z ubikacji.

– No to ja chętnie napiję się kawy. – Gwen przeciągnęła się i otworzyła tylne drzwi toyoty.

Paulina westchnęła i wysiadła z samochodu. Liczyła, że będzie w domu przed osiemnastą, ale pomyślała, że w zasadzie praca nie zając. Ma zebrane materiały, a szkic drugiego artykułu także jest już gotowy. Może powinna sobie pozwolić na trochę luzu i skupić się na przyjemnym spędzeniu czasu z przyjaciółmi? Chwyciła torebkę, zamknęła drzwi i, rada nierada, poszła w ślad za Johannem i Gwen w kierunku opartego na drewnianych słupach frontonu budynku.

Gdy znaleźli się już we wnętrzu gospody i zasiedli przy wielkim drewnianym stole, nad którym zwisał żyrandol z jelenich rogów, Igor jeszcze raz wrócił do tematu, omawianego do znudzenia, odkąd tylko minęli bramę z napisem „Do zobaczenia w Lubinie”.

– Czy, biorąc pod uwagę mój kiepski angielski, istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że was po prostu nie zrozumiałem z tą pomocą przy pomiarach?

– Nie istnieje, bo ja całkiem dobrze mówię po polsku. – Paulina wzięła do rąk kartę i otworzyła na stronie z napojami.

– Chryste! – Igor porzucił mediacyjny ton i popatrzył na Paulinę z irytacją. – Wy nie macie pojęcia o robieniu inwentaryzacji. Wszystko będzie trwało trzy razy dłużej, a ja chciałbym to skończyć jak najszybciej.

– To na pewno nie jest nic trudnego. – Paulina wzruszyła ramionami. – Robiłam kilka inwentaryzacji po studiach. Liczy się wszystko w sklepie, wszystkie produkty, i wpisuje się do arkusza.

– O czym ty mówisz? Jakie produkty?

– No przykładowo mówię.

– To nie jest żadna inwentaryzacja sklepu, tylko budowlana!

– Ale na pewno jest jakaś analogia.

– Nie ma żadnej analogii!

– Przestańcie na siebie wrzeszczeć, bo ludzie się na nas gapią. – Gwen pochyliła się nad stołem i spojrzała na Igora karcącym wzrokiem.

Johann zamknął kartę i westchnął.

– Powiedz w końcu, jak wygląda sprawa twoich długów?

– To nie długi. – Igor pokręcił głową i oparł łokcie na stole. – Wystawiliśmy fakturę pewnej świni, która nie zapłaciła, i teraz my mamy do zapłacenia podatek i VAT. Nie wspominając o tym, że jesteśmy winni kupę kasy podwykonawcom.

– To ile tego jest?

– A czy to ważne? – Igor jęknął. – Nawet jak zapłacimy ten cholerny podatek, to nie mamy kasy, żeby zapłacić ludziom za wykonaną robotę.

– No, ale ile?

Igor westchnął

– Prawie siedemdziesiąt tysięcy.

Paulina uniosła brwi. Johann natomiast spojrzał na Gwen.

– Dziesięć tysięcy funtów? I to wszystko?

Igor spojrzał na niego bykiem.

– No, doprawdy, wasza wysokość.

– Przecież z tej inwentaryzacji i tak tyle nie dostaniesz. – Paulina spojrzała na niego z powątpiewaniem. – Dostaniesz?

– Z tym, co dopłaci Borola, na podatek wystarczy. Zyskamy chwilę na uzbieranie na VAT. W najbliższym czasie kończymy dwa inne projekty.

– Dlaczego nie pozwolisz mi sobie pomóc? – Johann westchnął i wyciągnął się na krześle. – Oddasz po prostu, jak wygracie sprawę sądową.

– A jak nie wygramy?

– To przyjedziesz na miesiąc do Londynu, zamieszkasz w służbówce i będziesz mi podawał herbatę. Niech będą dwa tygodnie.

– To nie jest śmieszne.

Dopiero kiedy Igor wypowiedział te słowa, Paulina parsknęła śmiechem.

– Przepraszam, nie powinnam. – Zakryła usta, spoglądając na patrzącego spode łba Igora. – Ale masz taką naburmuszoną minę.

– Tak czy siak – Johann skinął w końcu na kelnerkę, która stała dyskretnie koło baru i czekała na zakończenie burzliwej dyskusji – mierzymy dom na klifie!

*

Dorota wrzuciła kostkę cukru do filiżanki z kawą i sięgnęła po łyżeczkę. Przez przeszklone ściany pawilonu na alei Fontann widać było śpieszących się ludzi, którzy mijali się na wąskim chodniku koło ogródka letniego. Ulica była zalana słońcem grzejącym przez ogromną taflę szkła, dając ułudę dalekiego jeszcze lata.

Dorota, w zamyśleniu wpatrzona w przestrzeń, powoli mieszała kawę. Jednym uchem słuchała przydługiej opowieści Sylwii o kupowaniu nowego samochodu i wybieraniu kolorów lakieru oraz tapicerki, ale myślami była gdzie indziej.

Okolice Kamienia Pomorskiego i wszystkie miejsca, związane ze skarbem oraz z całą historią jego ukrywania i przewożenia, zwiedzili z Igorem dawno temu. W innym życiu, w którym mieszkali w wynajętym mieszkaniu na Starym Mieście. Pamiętała ten słoneczny letni dzień i długą wycieczkę starym fordem, zakończoną obiadem w przydrożnej gospodzie pod Przybiernowem. Jak to możliwe, że wtedy była szczęśliwsza niż teraz, mieszkając w Berlinie i mając całą Europę na wyciągnięcie ręki?

– A wracając do tej afery terrorystycznej…

Dorota się ocknęła z zamyślenia i spojrzała na przyjaciółkę nieprzytomnym wzrokiem.

– Co takiego?

– No tych plotek na temat powodów, dla których Anglicy korespondują z prezydentem. – Sylwia pochyliła się nad stolikiem. – Jedyne, co wiem, to nazwa tej kancelarii, bo jej logo było na papierze listowym. Jakaś przerażająco renomowana firma z Londynu. Ci prawnicy w ogóle przyjeżdżają w poniedziałek na te rozmowy.

– To o tym mi nie powiedziałaś. – Dorota sięgnęła po filiżankę i umoczyła usta w gorącej aromatycznej kawie.

– Bo chyba nie powinnam. – Sylwia zagryzła wargi. – Zachowaj to dla

siebie, proszę.

– A komu ja miałabym o tym opowiadać? Zwariowałaś?

– Chociaż w zasadzie nazwa kancelarii nie jest chyba tajna, skoro prezydent przesłał nam skany dokumentów z firmowymi pieczątkami.

– No więc co to za firma w końcu?

– Kancelaria Carmondeley and Chatfield Limited. – Sylwia zniżyła głos. – Sprawdziłam w necie. Jakieś potworne snoby. Obsługują kuzynostwo rodziny królewskiej.

Dorota wbiła wzrok w przyjaciółkę.

Dałaby sobie rękę uciąć, że gdzieś już tę nazwę słyszała.

*

Gdy na stole znalazły się talerze z jedzeniem i szklanki z napojami, na krótko zapanowała cisza. Johann i Igor pogrążyli się w smakowaniu gorąco polecanego przez kelnerkę pstrąga z rusztu, a Gwen wymknęła się na zewnątrz, żeby w spokoju odebrać telefon od matki. Paulina w zamyśleniu wpatrywała się w przestrzeń i w końcu to ona pierwsza przerwała flautę nad sosnowym pokładem stołu.

– A czy Borola przypadkiem cię trochę nie kantuje?

Igor wytarł usta serwetką, zwinął ją i odłożył na stół, a następnie spojrzał na Paulinę.

– W jakim sensie?

– O ile promocja hotelu pod Troszynem wydaje mi się całkiem pomysłowa, a nawet bardzo nowoczesna, o tyle jego udział w aukcji obrazów…

– W tej warszawskiej galerii…

– Właśnie, właśnie. – Paulina pokiwała głową. – Nagle przypadkiem trafił tam na obrazy z kolekcji kamieńskiej? Pamiętam, jak mówiłeś – spojrzała na Igora, który właśnie chciał jej przerwać – że to właśnie ta sprawa natchnęła go pomysłem na kampanię reklamową, ale i tak wydaje mi się to jakieś podejrzane.

Igor przez chwilę patrzył w stół.

– Ja też mam pewne podejrzenia…

– Że Borola cię oszukuje?

– Zaraz oszukuje. – Igor wzruszył ramionami. – To biznesmen. Po prostu nie udostępnia mi wszystkich swoich danych.

– Udostępnianie danych. Jakie urocze określenie na robienie kogoś w konia. – Paulina uśmiechnęła się ironicznie. – Jakie podejrzenia?

Igor poczekał, aż Gwen, która właśnie weszła do gospody, usiądzie przy stole i opowiedział o swoim krótkim śledztwie, w wyniku którego odkrył, że obrazy Rabenerów nie są wpisane na listę strat wojennych i na dobrą sprawę nie wiadomo, jak wyglądają.

– To skąd przekonanie Boroli, że te na aukcji to właśnie portrety Rabenerów?

– No i właśnie to jest zagadka. Możliwe, że to dlatego Borola zdradził się, że już wcześniej miał kontakt z tą historią.

– Zaraz, zaraz… – Johann podniósł wzrok znad talerza. – Wspominałaś, że kim był ten poprzedni właściciel domu na klifie?

Przez chwilę nad stołem znowu panowała cisza.

– Boże! – odezwała się w końcu Paulina. – Przecież to oczywiste. To do niego należały obrazy i pewnie to on wystawił je na feralnej aukcji.

Igor pokręcił głową. To nie pasowało.

– I wystawiłby je jako „niezidentyfikowane portrety z końca siedemnastego lub początku osiemnastego wieku, autor nieznany”? Jeśli Borola wiedział, że to były portrety Rabenerów, to ich właściciel by nie wiedział?

– Może o to właśnie chodzi? – Johann odsunął talerz i sięgnął po serwetkę. – Znam przecież te klimaty z domu. Pamiętacie, że mój ojciec jest kolekcjonerem? Znawca wynajduje cenny obraz u nieświadomego niczego posiadacza i kupuje go za grosze, stając się właścicielem płótna wielkiego mistrza.

Igor nagle zamarł.

– Aukcja odbyła się dwudziestego drugiego września zeszłego roku. Cezary Kłosowski już wtedy przecież nie żył. – Spojrzał na Paulinę.

No oczywiście. Jak wcześniej mógł o tym nie pomyśleć? Wszystko zaczynało się układać w sensowną całość.

– Borola prowadził z Kłosowskim jakieś interesy. Teraz właśnie sobie uświadomiłem, że widziałem ich razem. Musieli się znać dużo wcześniej. Może Borola częściowo zdawał sobie sprawę z tego, co może posiadać Kłosowski. I nagle Kłosowski umiera…

– Córka, która od dawna utrzymuje z ojcem luźne stosunki, nie ma rozeznania w rynku dziełami sztuki… – wtrąciła Paulina.

Igor pokiwał głową

– Wystawia od razu na licytację kilka należących do niego płócien. Borola, zorientowany w wartości jego zbiorów, liczy na to, że zrobi doskonały interes, i jedzie do Warszawy. Tymczasem w Warszawie wybucha skandal, a jego plany krzyżują spadkobierczynie słynnego szczecińskiego kolekcjonera.

– Kłosowski częścią swoich zbiorów specjalnie się nie chwalił. Pewnie tak było z portretami Rabenerów. Aleksandra Kupiec nadal może nie wiedzieć, co odziedziczyła.

– A w jej posiadaniu może się znajdować… – Igor przerwał i spojrzał po twarzach wpatrujących się w niego trzech osób.

– Jakiś artefakt z kamieńskiego skarbca? – Johann patrzył na nich nieco zdezorientowanym wzrokiem.

– Portrety Rabenerów wraz z całym kamieńskim skarbem trafiły do majątku Flemmingów w Benicach. Można powiedzieć, że w porównaniu z innymi dziełami ze skarbca katedralnego były bezwartościowe. Jeżeli więc Kłosowski po wojnie w jakiś sposób wszedł w posiadanie tych obrazów, to równie dobrze mógł zdobyć coś więcej.

– Relikwiarz świętej Korduli na przykład. – Paulina wpatrywała się w przestrzeń. Znowu przypomniała sobie to niejasne przeczucie, że coś o tej historii całkiem niedawno czytała. Coś tam musiało być takiego, że utkwiło to w jej pamięci.

– Nie musisz ironizować. – Igor rzucił jej urażone spojrzenie.

– Wcale nie ironizuję.

Gwen nagle westchnęła

– No to teraz już na bank będziemy ci pomagać w tych pomiarach.

*

Do spotkania z notariuszem Dorota miała jeszcze dwie godziny. Późne sobotnie popołudnie nie było zwyczajową porą przyjmowania klientów, lecz mimo to udało jej się jakoś nakłonić miłego pana Jerzego, żeby znalazł dla niej czas. Wszystkie papiery przekazała mu dzień wcześniej, ale musiała użyć swojego wyjątkowego daru przekonywania, żeby zdołał przygotować dokumenty na sobotnie popołudnie.

Czekając na zamówienie, położyła przed sobą laptopa, podniosła pokrywę i wpisała kilka słów w przeglądarkę. Od spotkania z Sylwią myślała o tajemniczej londyńskiej kancelarii, ale mimo usilnych starań nie udało jej się przypomnieć, skąd zna tę nazwę.

Kancelaria Carmondeley & Chatfield Ltd. miała gustowną stronę internetową, na której można było znaleźć wszelkie niezbędne informacje dotyczące zarówno zakresu prowadzonych spraw, kompetencji pracujących tutaj mecenasów i aplikantów, jak i sposobów kontaktu. Tylko że od razu jak ją otworzyła, wiedziała, że jeszcze nigdy tu nie zaglądała. Skąd więc to przeświadczenie, że coś już na ich temat słyszała?

Kancelarię prowadził sir William Carmondeley, wicehrabia Delafort, dożywotni par Izby Lordów Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej.

Dorota podniosła głowę i spojrzała w kierunku ulicy. Sala restauracyjna Novotelu była prawie pusta. Pod przeciwległą ścianą w niewielkiej loży siedziała grupa kilku mężczyzn, którzy co chwila wybuchali przyciszonym śmiechem. Nieco dalej, przy stoliku, siedziały dwie kobiety i w milczeniu piły kawę, co raz spoglądając na ekrany komórek. Za wielkimi oknami oddzielającymi wnętrze restauracji od ulicy 3 Maja przejeżdżały sznury samochodów.

Carmondeley…

Otworzyła przeglądarkę i wpisała imię i nazwisko szacownego wicehrabiego. Pojawiło się sporo linków z codziennych gazet, kilka stron z wywiadami dla jakichś prawniczych tytułów i całkiem przypadkowe strony,

na których pojawiało się imię William. Pokręciła głową i pomyślała, że musi jakoś zawęzić zakres poszukiwań, gdy wpadł jej w oko jeden link. Artykulik w serwisie prasowym „Mail Online”, poświęcony jakimś hucznym imprezom w dzielnicy Fulham, które, ku utrapieniu okolicznych mieszkańców, organizowały córki księcia Rutland. Przemknęło jej przez głowę, że „Daily Mail”, do którego należy serwis, to najgorszy tabloid w Wielkiej Brytanii, ale nie zawartość merytoryczna artykułu ją zainteresowała. Wśród uczestników imprezy, których z proletariacką skrupulatnością wynotował pismak brukowca, był bowiem bratanek sir Williama, także prawnik Dermot Carmondeley.

I w tym momencie Dorota przypomniała sobie, skąd zna to nazwisko.

*

Toyota zjechała z ulicy Mickiewicza i potoczyła się brukowaną, ocienioną przez konary rozrośniętych lip uliczką starego Pogodna. Niebo już pociemniało i powoli zapadał zmierzch. W oknach mijanych domów zapalały się pierwsze światła, a w niektórych ogrodach zachęceni wyjątkowo piękną marcową pogodą właściciele szykowali się do sobotniego grilla. Na ganku przedwojennego oplecionego bluszczem domu paliła się stylowa latarnia, a wielki czarny owczarek leżał na schodach i ze stoickim spokojem przyglądał się przechodniom.

Igor znalazł wolne miejsce przy krawężniku, gdzie akurat nie stał żaden samochód ani nie rozpierał się pień drzewa, i zaparkował. Dom Pauliny był kilka metrów dalej.

Przekręcił kluczyk i wewnątrz auta zapanowała cisza.

– No to jesteśmy. – Uśmiechnął się. – Udało ci się uratować resztę wieczoru.

– Reszta wieczoru upłynie mi na redagowaniu artykułu, który obiecałam szefowi na poniedziałek rano. – Paulina westchnęła i sięgnęła na tylne siedzenie po torbę i kurtkę. Spojrzała na Igora.

– Dziękuje, że mnie podrzuciłeś pod sam dom. Jesteśmy umówieni w poniedziałek z Johannem, więc do zobaczenia niedługo…

Zamiast sięgnąć do klamki zamarła i przez chwilę wpatrywała się w Igora,

jakby zastanawiając się, co powiedzieć. Po raz nie wiadomo który pomyślała, że bardzo do niego pasuje ta przycięta broda. Do tych brązowych oczu…

Chciała go przeprosić za złośliwości i czepianie się na wycieczce, wyjaśnić, że wciąż jeszcze boli ją całe biodro, a nie chce się ciągle truć ketonalem, ale nie wiedziała, jak to ubrać w słowa. Zwłaszcza że jej zjadliwe uwagi tak naprawdę nie miały nic wspólnego z biodrem. Irytowała ją jego obojętność. Jego dobry nastrój. I to, że najwyraźniej ma ją zupełnie…

Na moment oderwała wzrok od jego twarzy i spojrzała w przednią szybę. Kilka samochodów dalej otworzyły się drzwiczki i na chodnik przed jej domem wysiadł wysoki ciemnowłosy mężczyzna, ubrany w dopasowany czarny płaszcz.

Igor odwrócił głowę w ślad za jej spojrzeniem i uśmiech na moment zniknął z jego twarzy.

– To chyba ktoś do ciebie.

Paulina przez chwilę wpatrywała się w sylwetkę mężczyzny. I zaskoczona pomyślała, że chyba jest rozczarowana. Ta scena miała skończyć się inaczej.

– Mateusz? Co on tutaj robi?

*

Dorota wpatrywała się w ekran laptopa. To było dwa lata temu, zaraz po aferze ze szczecińską lożą masońską i poszukiwaniami cholernych depozytów bankowych w lochach pod Szczecinem. Żadnych skarbów nikt nie znalazł, zginęły trzy osoby, a ona wylądowała w szpitalu z przestrzelonym bokiem. Leżała tam prawie miesiąc, odwiedzana na zmianę przez rodzinę, Kurta i, ku swojemu zdziwieniu, Igora.

Pomiędzy tymi odwiedzinami, gdy dochodziła do siebie po dwóch operacjach, jedynym jej kontaktem ze światem były oczywiście laptop i komórka. Pomijając zupełnie wiszący na ścianie telewizor, w którym ciągle leciały koszmarne polskie seriale. I to właśnie wówczas, przeglądając któregoś dnia do znudzenia serwisy z wiadomościami i plotkami, wpadła na pomysł, żeby wyszperać coś na temat Johanna Carleya, przyjaciela Igora i Pauliny, o którym wiedziała, że pochodzi z bogatej angielskiej rodziny. Przejrzała sobie różne kroniki towarzyskie, gdzie jego nazwisko pojawiało

się bardzo rzadko. Jeśli już, to najczęściej w zestawieniu z ojcem, o którym pisano w kontekście Izby Lordów. Z rozczarowaniem stwierdziła, że Johann nie jest gwiazdą londyńskich brukowców. Od niechcenia przeczytała kilka suchych wzmianek na temat jego udziału w jakichś rautach charytatywnych i to tam właśnie natknęła się na zdjęcie kilkunastu uśmiechających się radośnie mężczyzn w eleganckich czarnych surdutach na tle najeżonego sterczynami i ceglanymi kominami gmachu Eton College. Pod fotografią wymienieni byli uczestnicy zjazdu absolwentów, a wśród nich Dermot Duncan Carmondeley oraz Johann Clarens Carley.

Rozdział 11

Niedziela, 12 marca

Plac Grunwaldzki, jeden z trzech szczecińskich placów Oriona, leży prawie w samym centrum miasta. Jego część wewnętrzną zajmuje wielki zieleniec, a w środku spotyka się osiem ramion dochodzących do placu ulic. W dwa tysiące trzecim roku odbyło się tu referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, w którym Szczecin, jak i całe województwo zachodniopomorskie, oddał najwięcej głosów popierających integrację. W dwa tysiące dziewiątym została zaś tutaj odsłonięta tablica pamiątkowa. Znalazła się na niej nazwa jednej z trzech gwiazd gwiazdozbioru Oriona – Alnitak, której ziemskim odwzorowaniem jest plac Grunwaldzki. Zgodnie z nawiązującą do tych gwiazd teorią szczecińskich astrologów Małgorzaty i Edwarda Gardasiewiczów, nazwano go placem zdrowia. Dwa sąsiednie place, które symbolizować miały dwie pozostałe gwiazdy, nosiły miano placów miłości i dobrobytu.

Na jednym z rogów tutejszych ulic stoi kamienica, w której na parterze mieści się jedna ze starszych szczecińskich aptek, mogąca się poszczycić zachowanym i z pietyzmem odrestaurowanym drewnianym wystrojem. W szczytowej ścianie kamienicy, zwróconej w kierunku centrum placu, znajduje się jedna z najbardziej tajemniczych rzeźbiarskich dekoracji Szczecina. Według oficjalnych wyjaśnień odwołuje się ona w swoim znaczeniu do zdrowia i zielarstwa, istnieją jednak teorie, że nawiązuje do symboliki masońskiej.

Aptekę, zrzeszoną w sieci aptek ogólnopolskiej grupy kapitałowej, od kilku lat dzierżawiła Beata Dobrosielska, znana szczecińska kobieta interesu, której nazwisko co jakiś czas pojawiało się w rozmaitych rankingach na najbardziej przedsiębiorcze kobiety miasta i regionu. Związana ze Szczecinem od czasów studiów kobieta, zarządzająca oprócz apteki także kilkoma innymi dobrze prosperującymi przedsięwzięciami, wśród których

były dwie siłownie i sklep z żywnością ekologiczną, od lat z powodzeniem lawirowała pomiędzy zmieniającymi się przepisami i wymogami Okręgowej Izby Aptekarskiej i rynku.

Ostatnimi czasy nad jej głową, na niemalże lazurowym dotychczas niebie, pojawiło się jednak kilka ciężkich chmur. Jedną z nich, prawdziwie burzową, była sprawa sądowa wytoczona przez klientkę, która przez pomyłkę otrzymała zły zamiennik pewnego lekarstwa, wskutek czego poroniła. Sprawa ciągnęła się od pół roku, a jej efektem była kolejna kontrola Wojewódzkiego Inspektoratu Farmaceutycznego, którego pracownicy mieli pojawić się w poniedziałek skoro świt.

Beata Dobrosielska od wczesnych godzin rannych spędzała więc niedzielę na pracowitym sprawdzaniu dokumentów i szaf z medykamentami, szykując się na długi i ciężki dzień.

*

Borola zrobił wszystko, co się dało, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o celu wizyty w Szczecinie prawników firmy poszukiwawczej Sedinum Exploration. Fakt, że organizacja tego spotkania była objęta tajemnicą, tylko umocnił go w przekonaniu, że za tym wszystkim musi się kryć coś potężnego. Jedyne, czego się dowiedział, to że spotkanie miało się odbyć w urzędzie wojewódzkim na Wałach Chrobrego, a nie w urzędzie miejskim, jak zakładał. Nawet wzmianki o nim nie umieszczono w oficjalnych informacjach urzędowych, a wszyscy jego dobrzy znajomi z administracji wojewódzkiej nie mieli pojęcia o niczym poza tym, że ich szef wraz z prezydentem miasta spotykają się w poniedziałek o godzinie dwunastej z londyńską kancelarią prawną Carmondeley & Chatfield Ltd.

Borola nie lubił się poddawać. I tym razem także nie zamierzał. Jeśli spotkanie tych Angoli z jakiegoś powodu odbywało się w urzędzie wojewódzkim, to musiał brać w nim udział wojewoda lub jego zastępca. Lokalizacja gabinetów w gmachu urzędu nie była żadną tajemnicą, a wejść do budynku w poniedziałek w godzinach pracy mógł w końcu każdy.

*

Paulina postawiła kubek z kawą na stole i cicho odsunęła krzesło. Zebrała włosy i związała je gumką na czubku głowy. Rozsypały się na kark i policzki falującymi brązowymi puklami. Usiadła i poczuła, jak drewniane kuchenne krzesło odciska się zimnym dotykiem na jej udach. Miała na sobie tylko lekką koszulkę nocną, która kończyła się bardzo wysoko nad kolanami. Spojrzała na swoje otulone delikatną czarną koronką piersi i na wszelki wypadek odsunęła kubek dalej od brzegu stołu. *Agent Provocateur.* Ten model był z zimy, musiał kosztować majątek. Co najmniej z pięćset funtów, o ile się orientowała. Tyle co jakiś fajny zestaw z Van Graafa, na przykład Marc Cain albo Sonia Rykiel, z pięć par nowych dżinsów od Calvina Kleina albo wręcz cała szafa ciuchów od Zary. Dwie szafy. Nieźle się wykosztował, chociaż, o ile wiedziała, jego obecne zarobki pozwalały mu nie tylko na takie ekscesy. Sama by chyba wolała te dwie szafy z Zary. Jej dochody w gazecie nie zawsze wystarczały na zakupy nawet tam.

Westchnęła i ostrożnie wypiła łyk gorącej kawy.

Musi skończyć z kawą rano. Z aplikowaniem skoro świt kwasu wyżerającego błony śluzowe żołądka.

Złapała się na tym, że ma czysty umysł. Żadnych myśli o pracy, o artykule, Pawle, cholernym procesie sądowym… Nawet teraz, jak w końcu o tym pomyślała, poczuła, że to wszystko dobija się do niej histerycznie, wykrzywiając się z wściekłości, a ona spokojnie stoi sobie za szklaną szybą.

Czy to zasługa Mateusza, tego, że zrobił jej niespodziankę i wpadł na kilka dni, czy wyłącznie działanie seksu? Mnóstwo endorfin. Powoli odstawiła filiżankę z kawą i spojrzała w okno, za którym znowu świeciło słońce. Mogłaby się tak budzić codziennie. Oczywiście, ale czy nadal naprawdę tego chciała…

Nie usłyszała, jak po cichu podszedł do niej od tyłu i objął ją. Zobaczyła, jak jego owłosione przedramiona oplatają jej piersi, a na twarzy poczuła kłujący dotyk jego brody.

– Boże, jak cudownie znowu być w Polsce – mruknął zaspanym głosem.

– Nie wiedziałam, że jesteś aż takim patriotą – zażartowała, wyswobadzając się delikatnie z jego ramion.

– Zrobisz mi coś do jedzenia? – Podrapał się po brodzie i usiadł po drugiej stronie stołu. – Narodową jajecznicę na przykład? Na boczku?

– Nie mam boczku. Może być na polędwicy sopockiej?

– Idealnie.

Otworzyła lodówkę i wyjęła cztery jajka. Położyła je ostrożnie na stole, a potem sięgnęła po masło i polędwicę.

– Dostałeś urlop na kilka dni?

– Właściwie to przyjechałem do naszej firmy. Finiszujemy zamknięcie polskiego oddziału i jest z tym trochę kłopotów.

I to by było tyle, jeśli chodzi o romantyczną niespodziankę. Patrzyła, jak jajka zaczynają skwierczeć na patelni i zastanawiała się, czy ją to dotknęło. A właściwie czemu miałoby dotknąć? Może trochę przesadza. Umówili się przecież na małą separację. Góra, jak twierdził, na kilka miesięcy. Potem… Ale jakie potem? Czy ona naprawdę wierzy w to, że on rzuci robotę, w której dostaje dziesięć tysięcy euro miesięcznie, i przyjedzie pracować za… nawet jedną piątą tego?

– Jakie masz plany na resztę niedzieli? – spytał, gdy postawiła przed nim talerz.

– Miałam trochę popracować nad artykułem. – Usiadła, ostrożnie wygładzając rozkloszowany dół nocnej koszulki. Pomyślała, że zrobiła właśnie jajecznicę, ubrana w czarną koronkową koszulkę *Agent Provocateur*. Jak w jakimś filmie na RedTube.

– To się dobrze składa – mruknął z pełnymi ustami. – Bo ja muszę jechać odwiedzić rodziców. Nie widziałem ich od roku.

Paulina, która właśnie z zachwytem kontemplowała widok własnego biustu, podniosła wzrok i spojrzała na Mateusza z niedowierzaniem.

– Może pojedziesz ze mną? – spytał szybko, widząc jej minę.

– Dobrze wiesz, że twoja matka mnie nie cierpi.

– Kochanie, przesadzasz, tak? – Mateusz wpakował do ust kolejną porcję jajecznicy. – No ale skoro nie chcesz, to spotkamy się jutro. Zapraszam cię na jakąś romantyczną kolację.

– Jutro?

– No jak dowlokę się do Wałcza, to przecież będę chciał zostać tam na wieczór, tak? Nie denerwuj się, kochanie. Ojciec i szwagier pewnie zechcą

coś wypić z tej okazji.

Paulina sięgnęła po filiżankę z kawą i spróbowała chłodnej czarnej cieczy.

– Prenumerujecie może „Kurier Szczeciński”?

– Co takiego?

Pytanie Mateusza kompletnie ją zaskoczyło. Gdyby zapytał o „Manchester Evening News”[19], pewnie byłaby mniej wstrząśnięta.

– „Kurier”. Wczoraj był tam artykuł na temat zamykania przez nas oddziału w Szczecinie. Nie zdążyłem kupić na lotnisku.

Paulina pokręciła głową.

*

Właśnie minęło południe, a Beata Dobrosielska nie była jeszcze nawet w połowie pracy. Oczywiście pomagały jej dwie młode farmaceutki, które zatrudniała w aptece, ale i tak ciągle sprawdzała, co robią, a to dodatkowo wydłużało całą inwentaryzację. W dodatku wiedziała, że będzie musiała zapłacić im nadgodziny za pracę w niedzielę. Było to tym bardziej bolesne, że aptekę, w niedzielę zazwyczaj dyżurującą, dziś musiała zamknąć. Nie poradziłyby sobie z inwentaryzacją i sprzedażą jednocześnie. To znaczy, poradzić to może by sobie poradziły, tylko że po takiej robocie na wariata trzeba byłoby wszystko sprawdzać od nowa.

Nie chciała żadnych niespodzianek. Cholerny zamiennik leku, który sprzedała pacjentce jej pracownica, nie zauważywszy, że jest ona w ciąży, chociaż Bogiem a prawdą raczej trudno było to zauważyć w trzecim miesiącu, zwłaszcza że dziewczyna do chudych nie należała, miał śladowe ilości kodeiny. Mogła poronić z kilku innych powodów, ponadto na opakowaniu wymienione były przeciwwskazania, ale, niestety, pracująca dla Dobrosielskiej farmaceutka o niczym jej nie uprzedziła. I nie miało znaczenia, że kobieta musiała być debilką, żeby, będąc w ciąży, dokładnie nie przeczytać ulotki. Liczyło się tylko to, że miała prawnika w rodzinie. W postaci męża.

Dobrosielska westchnęła, przetarła oczy i przejechała myszką na następną stronę wykazu sprzedanych leków. Czuła się w tym wszystkim trochę osamotniona. Z mężem była w pewnego rodzaju separacji. Michał dostał

bardzo dobre stanowisko w swoim rodzinnym mieście i widywali się teraz tylko w niektóre dni tygodnia i w weekendy. No, chyba że któreś z nich musiało pracować w sobotę lub niedzielę. Jak na przykład ona dzisiaj.

Odgarnęła z czoła uporczywie spadający kosmyk jasnych włosów i pochyliła się nad monitorem. Wpatrywanie się w ekran od kilku godzin spowodowało, że skakały jej przed oczyma białe plamy. Czuła, że za chwilę będzie musiała poszukać jakichś kropli nawilżających. No ale cóż, w końcu była w aptece.

*

Mateusz, jak się okazało, obiecał rodzicom, że będzie u nich na obiedzie, a specjalnie na tę okazję miała przyjechać z Czaplinka jego siostra z całą rodziną. Żeby się nie spóźnić, wyszedł zaraz po dwunastej. Do Wałcza miał około dwóch godzin drogi, ale podobno gdzieś za Kaliszem Pomorskim były jakieś roboty drogowe. Paulina ze zdumieniem stwierdziła, że choć w głębi duszy czuje się dotknięta tym, iż poświęcił jej tak mało czasu, to tak naprawdę jakoś specjalnie się tym nie przejęła. Odczuła to jako małą niedogodność emocjonalną. Nie żeby się nie cieszyła na kolację w poniedziałek, ale mityczne motyle w brzuchu chyba już dawno zniknęły. Czy to po prostu przyzwyczajenie? Człowiek się przyzwyczaja do wszystkiego. Może związek na odległość wymaga jakiejś hibernacji uczuć, żeby intensywność rzadkich spotkań nie była zbyt bolesna? Karcąc samą siebie za dywagacje w stylu Bridget Jones, zamknęła drzwi, wpuściwszy uprzednio Maksa, który za Mateuszem jakoś nie przepadał, i stanęła na środku sieni.

Nagle przypomniało jej się to, co przez chwilę rozjaśniło jej umysł kilka godzin temu.

„Kurier Szczeciński”! No oczywiście! To tam czytała cykl artykułów na temat skarbca kamieńskiego. Przez dwa letnie miesiące w dwa tysiące szesnastym roku „Kurier” wraz ze świnoujskim Muzeum Obrony Wybrzeża i gospodarzami Fortu Gerharda na Wolinie prowadził wakacyjne śledztwo w sprawie tajemnic zaginionego skarbu z Kamienia Pomorskiego.

Zaintrygowana, ruszyła do gabinetu ojca, zgarnęła stamtąd laptop i po chwili, z kubkiem gorącej herbaty, siedziała przy stole kuchennym, szukając

ubiegłorocznych artykułów.

*

Dorota, gdy tylko wróciła ze spotkania z notariuszem, dopadła laptopa i spędziła prawie dwie godziny na wyszukiwaniu wszelkich informacji na temat Carmondeleyów oraz ich powiązań z Johannem. Czy to przypadek? Istniało jakieś absolutnie minimalne prawdopodobieństwo, że tak. Jednak w świetle tego, co wydarzyło się dwa lata temu w podziemiach Szczecina, wydawało jej się to zupełnie niemożliwe. Sedinum Exploration musiało mieć związek z Johannem. A jeśli z Johannem, to i z Igorem. Przecież pierwsze, co zrobił Johann po przyjeździe do Szczecina, to oczywiście spotkał się z jej byłym mężem.

Pamiętała tamte wydarzenia. Stary list znaleziony w podziemiach i kupa wymyślonych przez Igora bzdur, które miały doprowadzić do masońskich skarbów. Jedynym odkryciem były nieznane do tej pory podziemia szczecińskiego zamku. I nic ponadto. Co więc oni teraz tutaj robili? Według strony internetowej firma Sedinum Exploration zajmowała się eksploracją wraków, poszukiwaniami podziemnych struktur i tego typu rzeczami. Czy to możliwe, że po fiasku tamtego idiotycznego śledztwa jeszcze im było mało? Nadal szukali skarbów szczecińskiej loży masońskiej? Pozostawały jeszcze plotki, które roznosili pracownicy urzędów. Że ta wizyta ma związek z jakimś nieokreślonym zagrożeniem terrorystycznym albo ze skarbami z katedry kamieńskiej. Boże! Przecież to kolejne bzdury!

I nagle przypomniała sobie Borolę i jego nowy nabytek. Dwór pod Wolinem, o którym od dawna krążyły legendy, że to tam mógł być ukryty zaginiony skarb z Kamienia Pomorskiego. Czy Johann i Igor wymyślili sobie kolejną rozrywkę?

Godzinę później, w trakcie szykowania się na kolację, na którą, korzystając z pobytu w mieście, umówiła się z dawnymi znajomymi, Dorota pomyślała, że nie zaszkodzi wpaść w poniedziałek do urzędu wojewódzkiego. Od Sylwii wiedziała, że spotkanie odbędzie się w samo południe w gabinecie wojewody. W końcu każdy ma prawo przechodzić w tym momencie korytarzem.

*

Po godzinie siedzenia w necie Paulina dotarła zaledwie do fragmentów cyklu poświęconego śledztwu „Kuriera Szczecińskiego”. Na jednym ze świnoujskich portali, a także w internetowym wydaniu „Kronik Portowych” – popularnego świnoujskiego tygodnika, znalazła dwa artykuły z tamtego okresu. Zamieszczone w nich informacje były jedynie wstępem do dalszego śledztwa i nie zawierały w zasadzie niczego, o czym by wcześniej nie wiedziała. Zniechęcona odsunęła krzesło od stołu i przeciągnęła się.

Pomyślała, że powinna w końcu doprowadzić się do porządku, zamiast rozczochrana chodzić cały dzień w szlafroku. A jeśli ktoś przyjdzie w odwiedziny? Ale niby kto? Spotkania ze wszystkimi znajomymi miała drobiazgowo zaplanowane. W poniedziałek dyskretny podwieczorek albo kolacja z Johannem, Gwen i Dermotem. Swoją drogą, była cholernie ciekawa, jak potoczą się rozmowy z prezydentem. Konkretów raczej nie oczekiwała, po prostu ciekawa była samego przebiegu spotkania. Jak miasto wybrnie z problemu i w jaki sposób pozbędzie się Anglików? W końcu wymagało to kreatywności i dyplomacji. Od początku wiedziała, że żadne decyzje w sprawie zgody na poszukiwania w mieście masońskich artefaktów nigdy nie zapadną. Urzędnicy zrobią wszystko, żeby ukręcić łeb tej sprawie i mieć znowu święty spokój. Miała tylko nadzieję, że jej udział w tej awanturze i fakt, że jest współwłaścicielką firmy poszukiwawczej Sedinum Exploration, nigdy nie wyjdzie na jaw. Przez chwilę pozwoliła dryfować myślom swobodnie. Wciąż próbowała analizować swoje uczucia względem Mateusza i ciągle jej się to nie udawało. Może to dlatego, że nastał względny spokój. Zawarli ugodę w sprawie jego pracy w Manchesterze i jakoś od tej pory nie było żadnych dramatów. Jedynym minusem była absencja w kwestiach seksu. Za to może właśnie dlatego dziś było całkiem nieźle. Po prostu nie są sobą zmęczeni. Widują się wprawdzie raz na miesiąc, ale przynajmniej za każdym razem jest jakoś…

Przez chwilę zastanawiała się jak, ale nic nie przyszło jej do głowy.

Za to nagle doznała olśnienia w innej kwestii. Boże! Jaka z niej idiotka. Archiwum „Kuriera” przecież! Od godziny siedzi przy kompie i przeszukuje internet, zamiast wejść na stronę gazety i zajrzeć do ich materiałów archiwalnych. Może stare numery są dostępne w jakiejś elektronicznej

formie?

*

Biały lexus NX wyjechał z ulicy Śląskiej i naprzeciwko jaśniejącej kolorowymi barwami muzycznej fontanny przed Teatrem Lalek „Pleciuga” skręcił w Wielkopolską. Beata Dobrosielska zagapiła się na rondzie wokół placu Grunwaldzkiego i nie skręciła w Rayskiego. Teraz musiała się przedzierać bocznymi ulicami do alei Wyzwolenia.

Udało im się skończyć inwentaryzację i przejrzeć wszystkie dokumenty. Zwolniła dziewczyny do domu około piętnastej, a sama została, żeby sprawdzić wszystko jeszcze raz, i siedząc nad ostatnimi listami zakupów leków, nawet nie zauważyła, że za oknem zapadł zmierzch. Słońce zachodziło o tej porze roku przed osiemnastą. Była głodna i zmęczona. Pizza, którą zamówiła w porze obiadu, była już tylko wspomnieniem. Zresztą zjadła raptem jeden mały trójkącik.

Skręciła w Unisławy i po krótkiej chwili namysłu postanowiła jechać aż do Zygmunta Felczaka i dopiero za „Floating Areną” wyjechać na aleję Wyzwolenia. Po chwili biały SUV skręcił w wąską w tym miejscu aleję i ruszył w kierunku Manhattanu.

Mieli piękne mieszkanie na Słowackiego. W odnowionej starej kamienicy, z oszałamiającym widokiem na park Kasprowicza i jezioro Rusałka, które ciągnęło się wzdłuż drogi aż do końca Ogrodu Dendrologicznego. Mieszkanie miało i swoje wady. Przede wszystkim brak miejsc parkingowych. Ulica, praktycznie do mostku na Rusałce, przez cały dzień zastawiona była samochodami i znalezienie tam wolnego miejsca graniczyło z cudem. Poza tym, mimo zmian, jakie zaszły ostatnimi laty, mimo renowacji wielu pięknych kamienic i naprawy dróg, nad tą częścią miasta wciąż wisiała klątwa z minionej epoki, gdy mało kto odważył się spacerować tędy po zmierzchu. Michał wielokrotnie proponował sprzedaż tego wielkiego mieszkania na trzecim piętrze i kupno jakiegoś nowego apartamentu w centrum, z parkingiem podziemnym i windą. Ale jej było żal widoku na Rusałkę i ścianę drzew ciągnącą się aż po Teatr Letni, którego nowe zadaszenie przypominające biały żagiel jaśniało wśród intensywnej zieleni parku Kasprowicza.

Lexus minął kościół Najświętszego Zbawiciela i wolno potoczył się ulicą Słowackiego.

Tak jak się spodziewała, wszystkie miejsca wzdłuż jezdni były szczelnie zastawione samochodami. Dopiero przed samym wylotem w ciemną czeluść drogi, pomiędzy parkiem a Ogrodem Dendrologicznym, znalazł się jeden wolny prostokąt. Z ulgą zaparkowała i wyłączyła silnik. Na moment otoczyła ją cisza, którą dopiero po chwili wypełnił dobiegający z oddali wieczorny gwar miasta. Wzięła torebkę i wysiadła z samochodu. Krótkie piśnięcie i lexus zapadł w letarg. Miała do pokonania kilkadziesiąt metrów pod bezlistnymi koronami wielkich drzew, które w świetle palących się latarni rzucały na chodnik długie, wyglądające jak szpony wielkiego ptaszyska cienie.

*

Na stronie głównej „Kuriera Szczecińskiego” była zakładka o nazwie „Cyfrowy Kurier”. Paulina szybko przebrnęła przez kilka podstron z informacjami na temat prenumeraty i znalazła to, co ją interesowało – możliwość kupienia pojedynczego wydania. Musiała tylko przejrzeć archiwum i znaleźć numery, w których ukazywały się kolejne artykuły na temat poszukiwań relikwiarza świętej Korduli, bo taki tytuł nosił cały cykl. Jak się okazało, były cztery odcinki, które wyszły w lipcu i sierpniu zeszłego roku, dokładnie piątego i dwudziestego drugiego lipca oraz piątego i dwunastego sierpnia. Paulina zapłaciła za cztery numery archiwalne i czekając, aż transakcja się uaktywni, a artykuły ściągną się na twardy dysk, wstała i podeszła do okna. Właśnie z wolna zapadał zmierzch, a wzdłuż ulicy paliły się już latarnie. Pomyślała, że cały dzień przeciekł jej przez palce. Westchnęła, gdy przypomniała sobie, że musi jeszcze zrobić ostateczną redakcję tekstu do artykułu na wtorek i uporządkować kolejny odcinek. Była pewna, że jak jutro pokaże go Pawłowi, to znowu będzie awantura. A może rzeczywiście dać sobie spokój z ciągłym użeraniem się w spornych kwestiach światopoglądowych? Pisać rzeczy neutralne, oddalone od bieżących wydarzeń, mieć wolną głowę i nie walczyć ciągle o każde słowo. Dziennik był w miarę obiektywny, chociaż oczywiście jego przynależność do międzynarodowej grupy wydawniczej i tak generowała zarzuty o stronniczość i tak zwaną antypolskość. Szefostwo, które chciało mieć

święty spokój, zalecało odgórnie, żeby nie jątrzyć, a wiadomości podawać możliwie neutralnie i bezosobowo, ale to i tak nic nie dawało. Miała wrażenie, że obecnie ludzie podzielili się na dwa wrogie plemiona, do których nie trafiały żadne argumenty merytoryczne ani najbardziej nawet obiektywne dane z najbardziej wiarygodnych źródeł.

Tylko właściwie w jaki sposób pisać o czarownicach na Pomorzu, żeby nikomu nie nadepnąć na odcisk? Wierzący poczują się urażeni tak zwanym atakiem na Kościół, Kościół poczuje się urażony zarzutami o palenie kobiet na stosach. Prawdziwi Polacy poczują się urażeni wszystkim, chociaż Bogiem a prawdą to u nich akurat stan permanentny, a lewica poczuje się urażona tym, że za mało dosadnie nazwała rzeczy po imieniu. Musiałaby lawirować, używając jakichś okrągłych słówek i podając ogólne informacje. Przytoczyć kilka lekkich, podanych – jak to określiło szefostwo – „w nieprzesadnie poważnym tonie" historii o pomorskich procesach o czary i dołączyć do tego wszystkiego jakąś stylizowaną, czarno-białą grafikę. Nikogo by nie zadowoliła, artykuł byłby wypełniaczem, tekstem, który każdy przeczytałby bez emocji i bez specjalnego zainteresowania. Nie chciała pisać czegoś takiego. Byłoby to kompletnie nie w jej stylu.

Westchnęła. Trudno. W takim razie musi się przygotować na kolejne nieuniknione starcie z Pawłem. Oderwała wzrok od pogrążającej się z wolna w mroku ulicy i stanęła nad kuchennym stołem. Dotknęła klawiatury, budząc laptopa. Na środku ekranu w równym rządku stały sobie cztery czerwone ikonki. Cztery części cyklu o poszukiwaniach relikwiarza Korduli.

Odsunęła krzesło i usiadła. Otworzyła pierwszy dokument i pochyliła się nad monitorem. Po przeczytaniu wstępu, coraz bardziej zaintrygowana, szybko dotarła do końca i otworzyła kolejny pdf. Pierwsze, co zwróciło jej uwagę, to przytoczony w oryginale list, który został wysłany z Berlina do ówczesnych władz państwowych. Nazwisko jego nadawcy przewijało się we wszystkich opowieściach o zaginionym kamieńskim skarbie.

Rozdział 12

Wśród całej rzeszy poszukiwaczy skarbów w powojennej Europie jedną z najbardziej malowniczych postaci był urodzony w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku w Królewcu właściciel gospodarstwa ogrodniczego spod Hamburga Georg Stein. Pasjonat tajemnic drugiej wojny światowej, niestrudzony tropiciel zaginionych w czasach mroku dzieł sztuki i, przede wszystkim, poszukiwacz Bursztynowej Komnaty ogarnięty manią na jej punkcie. Gabinet z pałacu w Carskim Siole stał się prawdziwą obsesją Georga Steina. Niestety, nie przyniósł mu szczęścia. Poświęcił całe życie na poszukiwania, sprzedał dom i gospodarstwo, zadłużył się i koniec końców, stanął u progu bankructwa. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku znaleziono jego zwłoki. Według wersji oficjalnej, podanej do publicznej wiadomości, popełnił samobójstwo. Jednak sposób, w jaki zginął, od razu budził wątpliwości, a wokół całej sprawy momentalnie zaczęły narastać teorie spiskowe i niekończące się, coraz bardziej sensacyjne hipotezy. Tym bardziej że Georg Stein zostawił po sobie archiwum z wynikami wieloletnich poszukiwań, w którym znalazły się dokumenty, mapy oraz korespondencja na temat licznych zaginionych dzieł sztuki i poszukiwanych od końca wojny skarbów.

Paulina podniosła głowę i spojrzała w kierunku okna. Jej wzrok zatrzymał się jednak gdzieś w przestrzeni. Pamiętała te artykuły. Czytała je na portalu „Kuriera”, ale zajmowała się wtedy zupełnie czym innym i co innego miała na głowie, całość potraktowała więc jako ciekawostkę i nawet nie zwróciła uwagi na wątki poboczne oraz na dziwne osoby zamieszane w tamto śledztwo. Pamiętała zresztą, że był to czas, gdy niepomiernie ją irytowały działania Pawła, który usiłował zrobić z niej dziennikarkę zajmującą się przede wszystkim sensacjami historycznymi i wciąż jej podsuwał tego typu tematy. Było to zaraz po tym, jak artykuły Pauliny na temat szczecińskiej

loży masońskiej oraz jej tajemnic zdobyły wielką lokalną popularność, nazwisko autorki pojawiło się na wielu portalach, a ona sama została kilka razy zaproszona do radia i telewizji. Pomyślała, że wszystko się jakoś dziwnie układa. Życie jest jak rzeka. Czasami wpada w wir i kilka razy krąży wokół jakiegoś zwalonego konara, ma rwący nurt, porywa wszystko w jednej chwili, a czasami płynie spokojnie i przez długie miesiące nic się nie dzieje.

Skąd jej się wzięły takie przemyślenia? Czyżby te melancholijne dyrdymały wywołała wizyta Mateusza?

Porzuciła te myśli, starając się skupić na dalszej części artykułu.

Georg Stein nie działał sam. Jego wcale nie takie małe dochody, jakie przynosiło gospodarstwo ogrodnicze, nie wystarczyłyby nawet na niewielką część wydatków generowanych przez obsesyjne poszukiwanie zaginionych w czasie wojny dzieł sztuki. Częste wyjazdy w trudno dostępne rejony Europy, która w tamtych czasach przedzielona była żelazną kurtyną, sprawiały mnóstwo dodatkowych problemów, a przede wszystkim wymagały większych nakładów niż te, na które mógł sobie pozwolić ogrodnik spod Hamburga.

Stein miał bardzo zamożnego protektora, z którym łączyła go obsesja poszukiwania Bursztynowej Komnaty. Był nim legendarny hrabia Eduard Alexandrowitsch von Falz-Fein, mieszkający w ociekającym bizantyjskim przepychem pałacu u samych stóp zamku Vaduz w księstwie Lichtenstein. Życiorys hrabiego mógłby posłużyć za scenariusz co najmniej kilku filmów sensacyjnych i wystarczyć na ciekawe życie dla całej rzeszy ludzi. Urodził się w majątku Hawryliwka na Ukrainie, w ogromnym białym neogotyckim zamczysku, które było siedzibą rodziny od połowy dziewiętnastego wieku, kiedy to jego pradziadek kupił pięćdziesiąt tysięcy hektarów ukraińskich stepów od księcia Anhalt-Dessau i na bezkresnych bezdrożach założył gigantyczny park zoologiczny, w którym hodował rzadkie gatunki zwierząt. Ogród ten zachował nazwę Askania Nova, którą nadali tym ziemiom książęta Anhalt-Dessau na cześć swoich legendarnych przodków nazywanych Askanianami. Gdy wybuchła rewolucja, rodzina uniknęła aresztowania dzięki fortelowi. Arystokraci zdołali wmówić bolszewikom, że ich dzieci chorują na bardzo zaraźliwą nieuleczalną chorobę, dzięki czemu hordy rewolucjonistów

omijały biały zamek, a Falz-Feinowie zyskali czas na ucieczkę. Odpłynęli ostatnim okrętem, jaki odbił od ukraińskich brzegów – bułgarskim parowcem „Król Ferdynand”, który zabrał ich do Konstantynopola.

Paulina wpisała arystokratyczne nazwisko w wyszukiwarkę i po chwili patrzyła na dziesiątki stron, na których pojawił się hrabia von Falz-Fein. Znany był nie tylko z ogromnego majątku. W latach młodości był popularnym sportowcem i reprezentował swój kraj w kolarstwie oraz biegach narciarskich. Później działacz w organizacjach sportowych księstwa Lichtenstein, wiceprzewodniczący komitetu olimpijskiego, honorowy członek wielu europejskich stowarzyszeń sportowych i wreszcie filantrop. Zbieracz i kolekcjoner rozproszonych po świecie rosyjskich dzieł sztuki, które przekazywał w darze muzeum w Sankt Petersburgu. Przez chwilę patrzyła na zdjęcie bardzo eleganckiego mężczyzny we fraku i zastanawiała się, co on może mieć wspólnego z zaginionymi dziełami sztuki z kamieńskiego skarbca. Pochyliła się i ponownie otworzyła archiwalny artykuł, w którym już po chwili znalazła odpowiedź na to pytanie.

Po tajemniczej śmierci Georga Steina całe archiwum, zapis jego wieloletnich poszukiwań Bursztynowej Komnaty i innych zaginionych skarbów przedwojennej Europy, przeszło w ręce jego dzieci. I to od nich, być może nawet nieświadomych albo lekceważących znaczenie tych dokumentów, kupił je w całości hrabia Eduard von Falz-Fein. W rok po śmierci Steina ofiarował je Wydziałowi Poszukiwań Zaginionych Zabytków z Kaliningradu, przekazał je do rąk własnych szefa tego wydziału i zarazem równie słynnego poszukiwacza Bursztynowej Komnaty – Awenira Owsjanowa.

Paulina ponownie oderwała się od czytania. Nie mogła oprzeć się wrażeniu déjà vu. Znowu Kaliningrad. Rok temu to właśnie pod Kaliningradem, na przerażającym poniemieckim i jednocześnie poradzieckim lotnisku hydroplanów, prawie skończyły się ich amatorskie i dyletanckie poszukiwania tajnej broni nazistów. A teraz, wyraźnie to czuła, powoli, ale nieuchronnie wszystko znowu zmierzało w tym samym kierunku. Jak z góry

zaplanowane wydarzenia, jak przeznaczenie, które dwa razy udało im się oszukać, ale teraz znowu pcha ich w te same koleiny. Czy ciąży nad nią jakieś dziennikarskie fatum? Czy już zawsze będzie dostawała od losu historie o skarbach, zbrodniach wojennych i tym podobnych sprawach? Boże! Nawet nigdy jej to specjalnie nie interesowało. Zawsze chciała pisać o ludziach. Za pierwszym razem wszystko było przez Igora wprawdzie…

Igor. Jej myśli znowu wykonały woltę i przed oczami stanął jej granatowy samochód, który wczoraj wieczorem odjeżdżał spod jej domu, odprowadzany podejrzliwym spojrzeniem Mateusza i jej… Jakim? Jakim właściwie?

Gdy Mateusz ją objął i pocałował, przez chwilę poczuła, że jest jak zawsze: bezpieczne ramy stałego związku. Jego od lat te same wady, te same dawno zdiagnozowane przywary, ale i te same przewidywalne gesty i odruchy, dobrze znane zalety. A potem spojrzała na znikające w wylocie ulicy tylne światła terenowej toyoty i nagle zrobiło jej się bardzo smutno.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrzona w przestrzeń nad laptopem na pierwszym planie i lodówkę na drugim. Do pionu przywróciła ją irytacja. Jak zawsze.

Co nie było i nie jest, nie pisze się w rejestr. To głupie, lekko przerobione i dostosowane do sytuacji powiedzonko zawsze ją denerwowało. Pokręciła głową i ponownie pochyliła się nad laptopem.

Przeczytała do końca artykuł, a potem jeszcze kolejny, ostatni i ponownie się zamyśliła. Czy to możliwe, że Borola po lekturze wakacyjnego cyklu tych tekstów zaczął się interesować relikwiarzem Korduli? Swoją drogą, jak to koszmarnie brzmi. Tajemnice loży masońskiej czy tajna broń nazistów to jeszcze pół biedy, ale relikwiarz Korduli? Kto będzie chciał o tym czytać? Zanim jeszcze ta myśl wybrzmiała w jej głowie do końca, zorientowała się, że znowu ocenia wszystko pod kątem artykułu prasowego. Czy to już zboczenie zawodowe?

Wstała i nastawiła wodę. Picie kolejnej kawy to głupota, ale jeszcze się nawet nie zabrała za porządkowanie tego tekstu, który ma jutro pokazać Pawłowi. Pomyślała, że dzisiaj jest jakoś wyjątkowo zdekoncentrowana i nie może pozbierać myśli. Przyszło jej do głowy, że może ktoś inny wyciągnie z tych starych tekstów ciekawsze wnioski. Podeszła do stołu, spakowała cztery dokumenty w jeden plik i otworzyła okienko poczty.

Patrzyła, jak mała koperta na pasku pulsuje zielonym blaskiem i jakoś dziwnie podniosło ją to na duchu. Wiadomość do Igora.

*

Igor tymczasem leżał rozparty na sofie przed telewizorem i znudzony zmieniał kanały. Zastanawiał się, jak to możliwe, że jest ich chyba tysiąc, a oprócz niekończących się powtórek kompletnie nie ma czego obejrzeć. Powstrzymał się przed bodaj czwartą rundą, gdy zorientował się, że jakiś program publicystyczny, który przez moment go zainteresował, właśnie się skończył, zanim udało mu się dotrzeć do końca całej listy. Rzucił pilota na ławę i wstał z sofy. W głębi mieszkania, za szklaną przegrodą, migotał denerwująco monitor, przypominając mu złośliwie, że ma tam otwarty projekt, którego nikt za niego nie skończy do przyszłego tygodnia. Jedno spojrzenie w tamtym kierunku uruchomiło automatycznie ciąg stresujących skojarzeń, z sytuacją firmy w pierwszej kolejności. Gdy więc leżący na ławie telefon cichutko zapiszczał, poczuł się tak, jakby ktoś postanowił jeszcze trochę odsunąć w czasie wydany już na niego wyrok.

Sięgnął po komórkę i przejechał palcem po ekraniku urządzenia. Paulina?

Zmarszczył brwi i otworzył wiadomość.

Wysłałam ci mailem skany kilku artykułów z zeszłego roku. Jest tam sporo ciekawych rzeczy na temat poszukiwań relikwiarza Korduli. Miłego wieczoru ☺

Przez chwilę patrzył niezdecydowanie w świecący radośnie ekran iPhone’a, po czym ruszył w kierunku komputera.

Przemknęło mu przez głowę, że chyba w raju na Pogodnie musi padać deszcz, skoro Paulina, zamiast spędzać czas z bogiem z Manchesteru, grzebie się w starych artykułach w internecie. Pokręcił głową, odpędzając od siebie ponure myśli, i otworzył pierwszy ze skanów. Zdziwił się, że przegapił ten cykl. Ale to pewnie dlatego, że nie czytywał „Kuriera Szczecińskiego”. Pochylił się nad monitorem, oparł łokcie na biurku i podparł na nich brodę. Z ciekawością przeczytał historię poszukiwacza skarbów spod Hamburga i jego bogatego sponsora z księstwa Lichtenstein i w końcu dotarł do wątku związanego z Kaliningradem.

W roku 2013 na zaproszenie władz okręgu kaliningradzkiego do dawnego Królewca wybrali się przedstawiciele Muzeum Obrony Wybrzeża i Fortu Gerharda na Wolinie. Konferencja miała dotyczyć koncepcji zagospodarowania fortów strzegących wejścia do portu w Bałtyjsku, a strona polska, jako doświadczona w tych działaniach w Świnoujściu, miała służyć Rosjanom pomocą. I to tam się okazało, że jednym z ekspertów rosyjskich jest Awenir Piotrowicz Owsjanow, pułkownik w stanie spoczynku, wykładowca w szkole wojskowej w Kaliningradzie i wieloletni kierownik Wydziału Poszukiwań Zaginionych Dzieł Sztuki przy Radzie do spraw Kultury i Sztuki przy Prezydencie Federacji Rosyjskiej. Po przełamaniu lodów Owsjanow udostępnił szefostwu Muzeum Obrony Wybrzeża komplet pewnych dokumentów dotyczących zaginionych dzieł sztuki na terenach dzisiejszej Polski, wśród których znajdował się tajemniczy list, rzekomo pochodzący z archiwum Georga Steina. Ani Owsjanow, ani nikt inny nie wiedział jednak, w jaki sposób list dostał się w ręce poszukiwacza skarbów spod Hamburga. Jedna z hipotez mówiła o tym, że to Polska udostępniła pismo ambasadzie Niemiec Wschodnich, prowadząc jakieś rozmowy w czasach powojennych, a dopiero potem list przepadł, aby w końcu znaleźć się w rękach szalonego poszukiwacza Bursztynowej Komnaty.

Igor wpatrywał się w monitor. Treść listu nie zdradzała zbyt wiele, ale nazwisko zaufanego pomocnika i stangreta Hasso von Flemminga z Benic było wystarczająco szokujące. Według autorów artykułu list został nadany z Berlina. W lewym górnym rogu pisma znajdował się wystukany na maszynie adres – Geisbergstraße 16, Berlin Schöneberg. To o tym człowieku wspominał każdy artykuł poświęcony historii zaginięcia skarbów z katedry kamieńskiej, to jego nazwisko wymieniał sam Hasso von Flemming w nagranym w latach siedemdziesiątych wywiadzie dla szczecińskiej telewizji. S. Kuchta, który razem z dwoma innymi pracownikami Flemminga pomagał zamurować tajemnicze kufry w lochach pałacu w Benicach, przepadł jak kamień w wodę i wszelki ślad po nim zaginął.

Igor oderwał wzrok od monitora i spojrzał w zamyśleniu na kartkę papieru, na której podczas czytania artykułów od niechcenia kreślił różne esy-floresy. Jednym z miejsc, wymienianych przez autorów artykułu jako prawdopodobny punkt ukrycia dzieł sztuki z Kamienia Pomorskiego, był

dwór koło Troszyna.

Od którego wszystko się zaczęło…

Przypomniał sobie wycieczkę na Wolin i rozmowę z Borolą w zniszczonych wnętrzach wiejskiej siedziby, a potem na brzegu jeziora. Borola kupił ten dwór po awanturze w warszawskim domu aukcyjnym. Artykuły w „Kurierze” ukazały się w lipcu i sierpniu, we wrześniu była aukcja, a w październiku weszło na scenę Sedinum Exploration. Nie dość, że Borola jakimś cudem się o tym dowiedział, to dotarło także do niego, że wśród jego założycieli jest ktoś o nazwisku Flemming. Dwór kupił w styczniu albo w lutym. O rany! Czy Borola naprawdę szuka relikwiarza Korduli? Na miłość boską! W dodatku wychodzi na to, że jednym z powodów, dla których zaczął się tym wszystkim interesować, była ta ich nieszczęsna firma poszukiwawcza.

Nagle niespodziewanie pisnęła komórka, wyrywając go z zamyślenia.

Igor spojrzał na ekran. Na środku wyświetlacza jaśniała wiadomość od Aleksandry Kupiec, która informowała, że przyjmuje ofertę i prosi o kontakt.

*

Droga ciągnęła się wśród pól i porozrzucanej luźnej zabudowy, która w enigmatycznych planach tak zwanego zagospodarowania przestrzennego gminy miała sprawiać pozory racjonalnego wykorzystania terenów i kształtowania porządku urbanistycznego. Oczywiście nikt nawet specjalnie się nie starał udawać, że plany nie były konstruowane pod dyktando lokalnych deweloperów, którzy na przypadkowych skrawkach wykupionego gruntu stawiali kolejne osiedla potwornych domków. Urzekający równinny krajobraz, opadający w kierunku meandrującej spokojnie rzeki, z roku na rok zamieniał się w urbanistyczno-architektoniczne wysypisko śmieci, z którego tu i ówdzie wyrastały groteskowe szpalery hodowanych przemysłowo tui.

Kierowca dużego czarnego samochodu z przyciemnionymi szybami miał to gdzieś. Zniszczony asfalt wąskiej drogi, na której nawet dwa jadące z przeciwnych stron auta musiały zwalniać, żeby nie oderwać sobie lusterek, głośno tłukł się pod kołami. Po prawej stronie po horyzont rozciągały się nieporanione jeszcze przez zabudowę pola, a po lewej co chwila zostawał w tyle jakiś budujący się dom, ogrodzony tymczasowym płotem z siatki.

Mężczyzna w skupieniu wpatrywał się w drogę przed sobą. Jeszcze jeden łuk w kompletnej ciemności, rozszarpywanej przez długie światła reflektorów, i z mroku wyłoniła się kolejna grupa budynków z kolumienkami typowymi dla Wileńszczyzny i okolic Radomia. Zaraz za nimi wąska droga prowadziła w dół zbocza. Samochód skręcił i potoczył się w kierunku jaśniejącego jeszcze w oddali nad rzeką nieba. Przy wąskiej asfaltówce rosły wielkie stare drzewa, którym udało się na razie przetrwać deweloperski Armagedon, a w oddali widać już było strome dachy nadrzecznej zabudowy. Samochód ponownie skręcił i po chwili w perspektywie drogi ukazał się wysoki żywopłot, ukryty za pióropuszami rozrośniętych świerków i żywotników. Żywopłot przeszedł w murowane ogrodzenie, zza którego wyrastały dachy wielkiego nowoczesnego budynku. Po chwili samochód stanął przed wieńczącą ceglany mur ciężką stalową bramą. Jej skrzydła powoli się uchyliły, ukazując wielką przestrzeń ogrodu spływającego wzdłuż wzgórza aż do brzegów rzeki. Czarny samochód warknął i wjechał w rozciągającą się za bramą ciemność.

Rozdział 13

Poniedziałek, 13 marca

Paulina zamknęła za sobą szklane drzwi i podeszła do biurka, za którym siedział pochylony nad klawiaturą laptopa Paweł. Wydawało jej się, że minę miał neutralną, ale wiedziała z doświadczenia, że to mogą być tylko pozory.

– Przeczytałem właśnie szkic drugiego artykułu o czarownicach.

Bez słowa skinął dłonią, żeby usiadła, po czym podniósł oczy i spojrzał na nią nieprzeniknionym, według niego, wzrokiem. Od razu pomyślała, że to nie wróży niczego dobrego.

– Ja rozumiem, że nie mogłaś się oprzeć, żeby nie nawtykać tu tych koszmarnych opisów, jak to traktat *Młot na czarownice* odnosił się do kobiet…

– Jak Kościół odnosił się do kobiet, nie traktat. – Paulina pomyślała, że skoro ma być awantura, to nie będzie się hamować.

– Te opisy akuszerek wynoszących pod spódnicami odcięte dziecięce nóżki… – Paweł zacisnął pieści i oparł na nich głowę. – Czy ty całkiem zwariowałaś? A ten cały *Malehaus*?

– *Malefizhaus*. Dom zło czyniących…

– Dom na skraju lasu chyba! Jakaś bamberska masakra piłą mechaniczną! To miał być stonowany artykuł o pomorskich czarownicach, a nie horror! Przecież przed tym gównem będziemy musieli dać informację, że artykuł nie jest przeznaczony dla dzieci!

– O ile wiem, dwie strony dalej będzie tekst o trzech zwyrodnialcach, którzy przez dziesięć dni trzymali w zamknięciu dziewczynę i gwałcili ją tak długo, aż zmarła.

Paweł przez chwilę patrzył na Paulinę.

– Robisz to specjalnie? Z premedytacją chcesz mnie wkurzyć!

– Informacja o tym, jak kilku degeneratów zmasakrowało dziewczynę, jest według ciebie mniej wstrząsająca dla naszych, wątłego zdrowia psychicznego, czytelników niż artykuł o paleniu na stosach kobiet kilka wieków temu?

– To co innego! To jest wiadomość, konkretna informacja o zbrodni i toczącym się śledztwie, a nie jakaś interpretacja wątpliwych faktów, służąca zdobyciu popularności.

Paulina zacisnęła usta.

– *Malleus Maleficarum* jest przetłumaczone na język polski. Zadałam sobie trochę trudu, żeby to przeczytać. Też możesz to zrobić, zamiast pieprzyć głupoty o interpretacji wątpliwych faktów. Co niby jest wątpliwe? Polskie tłumaczenie czy samo istnienie traktatu?

– Już ci to mówiłem. Twoje artykuły są jednostronne, nieobiektywne. Przedstawiają twój punkt widzenia.

– A jest jakiś punkt widzenia, według którego palenie ludzi żywcem w specjalnie do tego celu skonstruowanym piecu jest moralnie ambiwalentne?

– Pominę drugą część pytania, a jeśli chodzi o inny punkt widzenia, to proszę. – Paweł sięgnął po kilka kartek, które leżały przed nim na stole. – Tu jest pewien artykuł. Wydrukowałem to specjalnie przed rozmową z tobą.

Paulina, wciąż patrząc na Pawła ze złością, sięgnęła po wydruk. Pochyliła się i przez krótką chwilę czytała.

– Naprawdę myślisz, że tego nie znam? – Podniosła wzrok. – Mimo że doskonale zdaję sobie sprawę, że wcisnąłeś mi ten cykl na złość – podniosła dłoń, uciszając Pawła, który już otworzył usta, żeby zaprotestować – to podeszłam do tematu jak najbardziej poważnie. Przeczytałem mnóstwo różnych artykułów, prac doktorskich i Bóg wie czego jeszcze. To też! – Pomachała mu przed nosem kartkami.

– Pytałaś o inny punkt widzenia. To jest znana publikacja cenionego dziennikarza.

– Przeczytam ci kilka cytatów z tej znanej publikacji. – Paulina pochyliła się nad kartką. – Na przykład o Katarach: „Sekciarze dopuszczali się na katolikach, a zwłaszcza na duchownych masowych morderstw”. A tutaj coś

o liczbie ofiar: „To fakt, że przed sądami inkwizycyjnymi stawali ludzie oskarżeni o czary. Kilkakrotnie nawet, zwłaszcza w późniejszym czasie, zapadały wyroki skazujące”. Dalej jest o sodomitach, agenturach żydowskich i antykatolickim terrorze, w których to warunkach działała inkwizycja.

– Pozbawiasz to wszystko kontekstu! – Paweł uderzył pięścią w stół, chcąc przerwać Paulinie.

– Na koniec autor dziwi się, że nikt nie każe się wstydzić tym, którzy odwołują się do idei praw człowieka, do wolności, równości i sprawiedliwości społecznej, a przecież owe idee pozostawiły po sobie miliony grobów. – Paulina zmięła kartki i ze złością rzuciła nimi w Pawła. – Jak można porównywać ofiary zbrodni popełnionych w imię religii do ofiar, które poniosły śmierć w obronie takich wartości jak prawa człowieka i równość?

– Nie przeczytałaś tego tekstu uważnie. Miejscami rzeczywiście może denerwować styl…

– Styl? – Paulina podniosła głos. – Może umknęło ci, że ten obiektywny publicysta i moralny przywódca takich indywiduów jak ci gwałciciele jest autorem głośnej wypowiedzi na Twitterze na temat zgwałconej przez duchownego pijanej śpiącej nastolatki: „Kto nigdy nie wykorzystał nietrzeźwej, niech pierwszy rzuci kamień…”!

– Nikt nie twierdzi, że to było właściwe. Wprost przeciwnie, dostał opierdol ze wszystkich stron!

– To nie o to chodzi, Paweł. – Paulina pochyliła się w kierunku biurka. – Łatwo ci przychodzi krytykowanie kobiet biorących udział w protestach i szukanie analogii typu feministki, lesby i tak dalej, a nie widzisz prostego związku pomiędzy takimi niby żartobliwymi tweetami a trzema degeneratami, którzy zamknęli dziewczynę na trzy dni i cały czas ją gwałcili i katowali, aż zmarła?

– Nie przesadzaj. Nikt ich nie usprawiedliwia. Żaden prawicowy publicysta. A jeśli chodzi o protesty, to przykro mi, nie popieram walki o prawo do aborcji.

– Oczywiście. – Paulina uśmiechnęła się złośliwie. – Bo w protestach chodzi wyłącznie o aborcję. Poza tym przecież jakby dziewczyna przeżyła, to musiałaby urodzić i wychować dziecko trzech takich, co to nie mają

zahamowań przed gwałceniem pijanych nastolatek. I oczywiście wychować je w miłości chrześcijańskiej.

– Naprawdę uważasz, że dziecko, taki mały człowiek, w takiej sytuacji jest czemuś winne? Faceci, którzy dopuszczają się gwałtu, powinni ponosić wszelkie koszty jego wychowania. Nikt ich nie usprawiedliwia!

– Wychowania? Naprawdę uważasz, że zgwałcona dziewczyna chciałaby brać pieniądze od bydlaka, który ją zgwałcił? Poza tym to zarodek, a nie żaden człowiek.

– To twoje zdanie.

– Nie moje. – Paulina pokręciła głową. – Świętego Tomasza z Akwinu, który w swojej niezmierzonej mądrości orzekł, że zarodek płci męskiej staje się człowiekiem po czterdziestu dniach, zarodek żeński po osiemdziesięciu, a dziewczynki powstają z uszkodzonego nasienia lub też w następstwie wilgotnych wiatrów.

– Mam dość tej rozmowy! Z tobą nie można niczego normalnie omówić. Tłumaczyłem ci, że mam swoich szefów, którzy rozliczają mnie z tego, co wypuszczamy. Polityka naszej gazety jest jasna: mamy nie jątrzyć!

– Nie będę pisać hymnu pochwalnego na cześć inkwizycji. W dalszym ciągu możesz dać ten artykuł komuś innemu!

Paweł z rezygnacją pokręcił głową.

– To ja decyduję na razie, komu co daję do pisania. Te rzeczy o Wzgórzach Wisielców są bardzo dobre. Historia z obrazem kobiety z katedry w Kołobrzegu też. Zdjęcie malowidła damy na pierwszą stronę. Resztę przemyśl i zredaguj jeszcze raz!

*

Dorota zaparkowała w długim sznurze samochodów przy chodniku na Wałach Chrobrego, wysiadła, podeszła do parkometru i wrzuciła kilka monet. Wykorzystując chwilę, gdy urządzenie w swojej blaszanej elektronicznej głowie skrupulatnie przeliczało należność, usiłując zamienić ją na czas postoju, Dorota rozejrzała się dokoła. Z poziomu chodnika przed urzędem wojewódzkim rozciągał się widok na Odrę i z wolna dźwigającą się z ruin wyspę Łasztownię. Pub na końcu stoku Wałów Chrobrego, niegdyś

umocnień dawnego Fortu Leopolda, zapraszał szeroko otwartymi drzwiami. Pogoda cały czas była wspaniała, a słońce grzało mocno, rozlewając się na ulicy świetlistymi plamami, w których drgały cienie drzew. Wzdłuż całej pierzei, aż do wpadającej na Wały przed gmachem Muzeum Narodowego poprzecznej ulicy Szczerbcowej, ciągnęła się monumentalna ceglana fasada urzędu wojewódzkiego. Ogromny budynek w stylu niemieckiego historyzmu powstał na początku dwudziestego wieku na zasypanych fosach i splantowanych wzniesieniach dawnego fortu, który od początku osiemnastego wieku strzegł północnych granic szczecińskiej twierdzy. Skrzydła budynku otaczają dzisiaj dwa wewnętrzne dziedzińce, a fasadę gmachu flankują dwie wieże – północna, nazywana Meteorologiczną, i południowa, określana mianem Wieży z Marynarzem, od wieńczącej ją figurki blaszanego marynarza trzymającego flagę, na której w czterdziestym siódmym roku wygrawerowano polskiego orła.

Dorota, stukając wysokimi obcasami, weszła na schody i po chwili znalazła się we wnętrzu wysokiego sklepionego holu budynku. Na środku pomieszczenia stała szklana gablota z makietą urzędu, tak dokładną, że znalazły się na niej nawet malutkie figurki idących wzdłuż ulicy ludzi, a wieczorem wewnątrz zapalały się światła. Po prawej stronie holu na wyższe piętra wspinały się monumentalne, wyłożone piaskowcem schody; dolne płaszczyzny ich biegów dekorowały pomalowane na błękit płyciny.

We wnętrzu było sporo ludzi, którzy okupywali poczekalnię przed wydziałem paszportowym. Na piętro wybierały się tylko pojedyncze osoby.

Dorota spojrzała na zegarek. Do dwunastej zostało dziesięć minut. Gabinet wojewody znajdował się na pierwszym piętrze. Miał zawieszony nad frontowym wejściem balkon, z którego rozciągał się widok na Odrę. Pomyślała, że raczej nie będzie stać i czekać pod sekretariatem, bo jeszcze ktoś zwróci na nią uwagę. W prawo odchodził długi korytarz, który biegł w kierunku północnego skrzydła budynku. Gdzieś dalej łączył się z poprzecznymi korytarzami obiegającymi dwa dziedzińce. Można było pójść naokoło, po czym którymiś z licznych schodów wejść na piętro i wrócić przed gabinet wojewody.

Dorota poprawiła torebkę i, stukając obcasami, ruszyła długim sklepionym, poprzecinanym smugami światła korytarzem, którego okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec.

Do akcji rozpoznania tajemniczych prawników z londyńskiej kancelarii Carmondeley & Chatfield Ltd. Borola przygotował się jak do kampanii wojskowej. Wykorzystał w tym celu dwóch swoich pracowników, których rozstawił w kluczowych dla operacji punktach budynku: jednego na parterze u stóp schodów, drugiego na korytarzu przed gabinetem wojewody. Sam, na dwadzieścia minut przed dwunastą, zajął miejsce w samochodzie, który godzinę wcześniej zaparkował dokładnie naprzeciwko głównego wejścia. Nie spodziewał się raczej żadnego spektakularnego przyjazdu jakiejś limuzyny. Z Londynu prawnicy pewnie przylecieli samolotem, domyślał się więc, że albo przyjadą wynajętym samochodem, albo taksówką. Po pięciu minutach przed frontowymi schodami urzędu zatrzymała się czarna skoda superb, a ze środka wysiadł prezydent w towarzystwie dwóch mężczyzn i szybko weszli do budynku. Borola odczekał chwilę i wysiadł ze swojego krążownika. Rozejrzał się i ruszył w ślad za orszakiem prezydenta. Znali się, na wszelki wypadek wolał zatem trzymać się z tyłu, żeby nie zostać rozpoznanym. Wprawdzie nie bardzo wiedział, w czym miałoby to mu zaszkodzić, ale wczuł się po prostu w klimat operacji. Kiedy wszedł do holu, prezydent ze swoimi towarzyszami wchodził właśnie na piętro. Gdy Borola zrobił kilka kroków w tamtym kierunku, zaćwierkała jego komórka.

– Szefie. Orzeł wylądował.

– I co? Myślisz, że jesteś taki dowcipny? – Borola odczekał chwilę, aż jego pracownik przestanie się krztusić ze śmiechu. Pomyślał, że chyba daje im wszystkim za dużo luzu.

– Patrz lepiej, dokąd oni wejdą – rzucił poirytowanym głosem.

– Do wojewody. Właśnie weszli.

– Ktoś tam był pod drzwiami?

– Nie. Było całkiem pusto.

– To znaczy, że ci Angole jeszcze nie przyjechali – powiedział bardziej do siebie niż do pomocnika po drugiej stronie linii. – Nikogo wcześniej nie było? Na pewno?

– Tak, szefie. Stoję tutaj już z pół godziny.

– Nie rzucaj się za bardzo w oczy.

– Dobrze, szefie, postaram się.

Borola schował telefon do kieszeni i przez moment zastanawiał się nad możliwością wykonania polecenia, które wydał swojemu dwumetrowemu i w pionie, i w poziomie pracownikowi. Po chwili zniecierpliwiony jak gdyby nigdy nic ruszył w kierunku biura paszportowego.

Igor z ulgą zaparkował na wolnym miejscu, tuż przy kamiennym murku, za którym ulica Admiralska szerokim zakrętasem zbiegała nad Odrę, i sięgnął po komórkę, żeby włączyć aplikację do opłat za parkowanie. Gdy podniósł wzrok, jego uwagę przykuła postać, która oderwała się od wielkiego samochodu i wolnym krokiem ruszyła w kierunku gmachu urzędu wojewódzkiego. Z miejsca, w którym stała jego toyota, nie widział dokładnie tej osoby, ale dałby głowę, że to Borola. Przez chwilę się zastanawiał, co on może tutaj robić, ale doszedł do wniosku, że chyba przesadza z tą podejrzliwością. Jego klient bywał tutaj tak często, że w zasadzie nie było w tym nic podejrzanego. Trzasnął drzwiami i ruszył wzdłuż kamiennej balustrady w kierunku głównego wejścia.

Sam również bywał tu bardzo często. Głównie w urzędzie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, ale także w wojewódzkiej administracji budowlanej, która zajmowała się sprawami dotyczącymi terenów zamkniętych, takich na przykład jak okręg portu, zajmujący w Szczecinie ogromną powierzchnię, gdzie znajdowały się nie tylko obiekty i urządzenia związane z portem, ale i budynki o innym przeznaczeniu, a nawet biurowce czy pawilony z knajpami. Ba, całe nabrzeże Odry wraz z bulwarami stanowiło fragment strefy specjalnej portu szczecińskiego i wszelkie prace w jego obrębie wymagały oddzielnych uzgodnień. Pomijając sprawy urzędowe, Igor uwielbiał przychodzić do urzędu wojewódzkiego. Po drobiazgowych pracach konserwatorskich budynek, wraz ze zrekonstruowanymi z pietyzmem wnętrzami, stał się prawdziwym cackiem. Można było ulec złudzeniu, że czas nagle cofnął się o całe stulecie i za chwilę z któregoś z pomieszczeń wyjdzie kobieta ubrana w stylu *garçonne* – „na chłopczycę”, upowszechnionym w latach dwudziestych przez Coco Chanel.

Prosto z rozświetlonej słońcem ulicy Igor wszedł do półcienia chłodnego

marmurowego westybulu i po chwili znalazł się w holu urzędu. Do pomieszczeń konserwatora można było albo iść prosto przez biura paszportowe, a potem długim korytarzem od strony ulicy Jarowita, albo też skręcić w prawo i niemal takiej samej długości odcinkiem dojść od strony skrzydła północnego. Wybrał tę drugą trasę i przed głównymi schodami skręcił w prawo.

Na końcu korytarza, po lewej stronie, był zakręt, który prowadził do północnej klatki schodowej, a dalej do pomieszczeń konserwatora zabytków. Igor właśnie tam dotarł, gdy zauważył na schodach znajomą postać w eleganckim jasnym płaszczyku. Wchodziła na pierwsze piętro.

Odruchowo cofnął się i przystanął. Czy wszyscy znajomi, z którymi akurat nie ma ochoty się widzieć, muszą w tym samym momencie wizytować urząd wojewódzki? I co ona tutaj robi? Czyżby załatwiała formalności związane z jakimiś funduszem pomocowym? Coś chyba wspominała o tym w związku z tą willą na Pogodnie. Przez chwilę zastanawiał się nad swoją reakcją na widok byłej żony. Co mu szkodzi dogonić ją i porozmawiać? Ale jakoś nie chciał. Przemknęło mu przez głowę, że musi wyglądać kretyńsko, jak tak tu stoi za rogiem, przyklejony do ściany, ściskając w rękach teczkę z projektem. Oderwał plecy od chłodnej powierzchni i ruszył bocznym korytarzem. Dorota zdążyła już zniknąć na pierwszym piętrze. Jej widok działał na niego tak jak dawniej, to znaczy dawniej po ich rozstaniu. Przypominała mu o poprzednim życiu, które odeszło, i wydawała mu się strasznie odległa, mimo że jakiś czas temu była przecież najbliższym człowiekiem pod słońcem. Nikt nie wydaje się bardziej obcy niż ktoś, kogo się kiedyś kochało. Kto to powiedział? Chyba Remarque…[20]

Pomyślał, że nie będzie ukrywał się jak idiota za jakimiś winklami i po prostu pójdzie tam, dokąd się udaje, czyli prosto do konserwatora. Jeśli przypadkiem gdzieś ją spotka, to po prostu porozmawiają jak ludzie i koniec. Mijał właśnie schody na piętro, gdy coś kazało mu skręcić, i wbrew swoim szumnym deklaracjom, poszedł za byłą żoną.

*

Paulina rzuciła plik kartek na biurko i ciężko opadła na krzesło. Odsunęła się energicznie od blatu i zatrzymała się naprzeciw okna. Słońce rzucało na

Odrę długie złociste blaski, a po bulwarach przechadzali się jacyś ludzie, wolni od pracy tudzież od innych zajęć typowych dla tej pory dnia. Odetchnęła głęboko i oparła się, przymykając oczy i starając się wyobrazić sobie, że jest gdzieś na powietrzu, nad jeziorem. Taka mała terapia, żeby uspokoić oddech i wyrównać puls. Ostatnimi czasy wiele rozmów z ludźmi, w rozmaitych miejscach, tak się kończyło. Wystarczało, że na jakimś, nawet z założenia rekreacyjnym spotkaniu czy imprezie ktoś poruszył aktualne tematy i dochodziło do jatki. Żadne ze środowisk, w których się obracała, nie było na tyle spolaryzowane, żeby bywali tam tylko ludzie o takich samych poglądach. Jak to się stało, że kraj pozbawiony mniejszości narodowych, jednorodny pod względem rasowym, dał się tak podzielić, że ludzie z byle powodu rzucają się sobie do gardeł? Oczywiście znała wszystkie stojące za tym mechanizmy, ale to wcale nie czyniło jej bardziej na nie odporną. Przerażało ją, że napuszczeni na siebie, niemający się do tej pory za wrogów, ludzie są w stanie wytoczyć przeciwko sobie najcięższe działa.

Zorientowała się, że zamiast się wyluzować, znowu się nakręca. Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Poza tym jak to możliwe, że wdała się z Pawłem w kłótnię na temat tak abstrakcyjny, tak daleki od aktualnych wydarzeń? Żeby to były jeszcze jakieś pieprzone awantury polityczne, ale czarownice? Była absolutnie przekonana, że nawet gdyby akurat pisała o dobrej kuchni i przepisach kulinarnych, w rozmowie z Pawłem natychmiast wybuchłaby awantura o nazwę ruskich pierogów. W kontekście patriotyzmu oczywiście.

Westchnęła i spojrzała na monitor. Nie miała siły wracać do artykułu o pomorskich wiedźmach… Utknęła, cholera, na szerokim kontekście społecznym i miała do wyboru albo zmienić tę drugą część, albo dalej prowadzić wojnę z Pawłem, a to nie wiadomo, jak by się skończyło.

Gwałtownie obróciła się razem z fotelem i zobaczyła, że Paweł patrzy na nią ze swojej kanciapy. Ich wzrok na moment się zetknął. Paulina zacisnęła usta, wstała energicznie i ruszyła w kierunku wyjścia.

*

Dorota zatrzymała się tuż za zakrętem na korytarz prowadzący prosto do gabinetu wojewody. Spojrzała na zegarek. Była za osiem dwunasta. Teoria

względności w pełnej rozciągłości, jak mawiał jej ojciec. Gdy się na coś czeka lub chce zmitrężyć trochę czasu, ten prawie natychmiast staje w miejscu. I wcale nie jest do tego potrzebna żadna prędkość światła. Jak to możliwe, że pokonała te kilometry marmurów w dwie minuty? W dodatku w szpilkach. Przystanęła przy oknie i zaczęła markować przeszukiwanie torebki. Sama się sobie dziwiła, po co w ogóle bierze udział w tej szopce. Czego chce się tutaj dowiedzieć? Jak wyglądają sir William Carmondeley, wicehrabia Delafort, oraz jego rozrywkowy bratanek, już zdołała zobaczyć w necie. Po godzinie przeglądania różnych forów prawniczych znalazła bardzo eleganckie fotografie i jednego, i drugiego. I co z tego?

Oczywiście, że to nie był przypadek. Jeżeli kolega Johanna i jego wuj przyjeżdżają do Szczecina prowadzić jakieś negocjacje z władzami miasta, to musi mieć to związek z tymi ich poszukiwaniami sprzed dwóch lat… Chociaż zaraz…

Podniosła wzrok i spojrzała w okno. Dziedziniec pogrążony był w cieniu. Marcowe słońce stało jeszcze za nisko, żeby dostać się tutaj ponad dachami otaczających go skrzydeł gmachu. A co jeśli po prostu starają się o jakieś pozwolenia? A może te plotki o skarbie kamieńskim to prawda? Może teraz, dla odmiany, wymyślili, że będą poszukiwać coś innego? Rodzina Johanna jest tak bogata, że pewnie może zapewniać sobie takie rozrywki w nieskończoność. Ale intuicja podpowiadała jej, że to mało prawdopodobne. To musiało mieć związek z masońską błazenadą Igora, Pauliny i Johanna sprzed dwóch lat. I w tym momencie pomyślała o czymś, co, o dziwo, nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy. Dwa lata temu w efekcie splotu rozmaitych wydarzeń dostali się do szczecińskich podziemi. Tamta trójka oraz ona sama z bandą Parsova, niemieckiego poszukiwacza nazistowskich skarbów. To nieprawda, że z nim współpracowała, jak utrzymywała Paulina. No, niech będzie, nie do końca prawda. W każdym razie do podziemi weszła już trzymana na muszce pistoletu. Odkryli wielką salę, całkowicie pustą, i nic ponadto. Jej udało się uciec, zanim zawalił się strop, oni tam zostali…

Jak to się stało, że wcześniej o tym nie pomyślała?

A jeśli oni wówczas jednak coś odkryli?

*

Rafał Borola szedł szybkim krokiem przez korytarz z kierunku ulicy Jarowita. Do zakrętu na korytarz od strony skrzydła północnego zostało mu parę metrów. Spojrzał na zegarek i przyśpieszył. Ci Angole pewnie się spóźnią, ale jak przegapi ich wejście do wojewody, to go szlag trafi. Chyba że któryś z chłopaków zrobi zdjęcie. Pomyślał, że potem każe swojemu człowiekowi jechać za nimi i zobaczyć, w którym hotelu się zatrzymali.

Irytacja mieszała się w nim z ciekawością. I właściwie po co to wszystko? Co go obchodzą jacyś poszukiwacze skarbów z Londynu? Czy na stare lata zaczyna mu odbijać? Już wystarczająco musiał nasłuchać się od żony po kupnie tego zrujnowanego dworu pod Troszynem. Ale jednak zżerała go ciekawość, jakie poszukiwania zamierzają prowadzić Anglicy. Co spodziewają się tutaj znaleźć? Pamiętał, co było dwa lata temu po tym, jak w jego hotelu przy Bramie Portowej zawaliła się ściana. Jaki szum był w mieście. I koniec końców on sam nic z tego nie miał. Poza kłopotami z nadzorem budowlanym oczywiście. A teraz jakaś kolejna cholerna afera i jak gdyby nigdy nic, wszyscy nabrali wody w usta. Z żadnej biurwy nie dało się nic wycisnąć. Popamięta im to przy następnej okazji. A wybory samorządowe za pasem.

Wyszedł na korytarz w północnym skrzydle i po chwili znalazł się na wysokości bocznej klatki schodowej. Już stamtąd zauważył znajomą postać. Grzebała nerwowo w torebce. Spośród kilku różnych myśli na plan pierwszy wybiła się ta, że z tego Fleminga to jednak musi być wyjątkowy baran, skoro pozwolił odejść takiej kobiecie.

Igor, ostrożnie rozglądając się wokół siebie, czy Dorota przypadkiem nie zdecyduje się zawrócić, a on nie będzie miał czasu przybrać odpowiednio zaskoczonej miny, wchodził właśnie powoli po schodach. Już miał zrobić ostatni krok i stanąć na granitowej posadzce pierwszego piętra, gdy po lewej stronie, na końcu korytarza, zobaczył znajomą zwalistą postać. Na szczęście po drodze były stopnie wyrównujące poziom podłogi pomiędzy skrzydłami budynku, więc Borola miał wzrok na zupełnie innej wysokości. Igor cofnął się na schody, zobaczył, że z dołu ktoś właśnie wchodzi, i całkiem bez powodu wpadł w panikę. Rzucił się z powrotem na górę, dał susa przez całą długość korytarza i wbiegł na schody prowadzące na kolejną kondygnację.

Zatrzymał się przy balustradzie drugiego piętra i gratulując sobie głupoty, wyjrzał ostrożnie na dół, gdzie akurat przedefilował jowialnie uśmiechnięty Rafał Borola.

Dorota zamknęła torebkę i spojrzała na zegarek. Dochodziła dwunasta. Już miała ruszyć w kierunku wejścia do gabinetu wojewody, majaczącego w studyjnie wręcz linearnej perspektywie korytarza, gdy od strony schodów ktoś nagle ją zawołał.

Odwróciła się i zobaczyła jednego z ulubionych klientów byłego męża, idącego w jej kierunku.

– Ja nie wiem, jak ty to robisz, ale ilekroć cię widzę, to jesteś młodsza i coraz piękniejsza. – Borola podszedł do Doroty i z rozmachem pocałował ją w rękę.

– Rafał… – Dorota przez chwilę rozważała odwdzięczenie się podobnym tekstem, ale uznała, że chyba jednak byłaby to przesada. – Bardzo miło cię widzieć.

Borola uśmiechnął się do niej jakoś nerwowo i rzucił spojrzenie w głąb korytarza.

– Jak twój dom na Pogodnie? Już wszystkie formalności załatwione?

Dorota zrobiła dwa taneczne kroki w bok, żeby mieć otwarte pole widzenia w kierunku gabinetu wojewody, i wzruszyła ramionami.

– Właśnie przyszłam się rozejrzeć w kwestii jakichś funduszy europejskich.

– Zapomnij. – Borola pokręcił głową. – Już nic nie da się z tego wycisnąć, a na pewno, przepraszam cię, na tak mało znaczący dla miasta budynek jak dom na Pogodnie. Gdyby choć stał przy alei Wojska Polskiego.

– Prawie stoi, trzeci w głąb, wzdłuż bocznej ulicy. – Dorota się skrzywiła, urażona uwagą Boroli. Generalnie jednak się z nim zgadzała. Miał rację, niestety.

Nagle odezwał się telefon. Borola gwałtownym ruchem sięgnął do kieszeni swojej eleganckiej włoskiej marynarki i zrobił krok do tyłu.

– Tak? Idą? Czterech?

Dorota spojrzała na zegarek.

– Przepraszam cię, Rafał. – Uśmiechnęła się i spojrzała w głąb korytarza. – Bardzo się śpieszę.

– Ja też, niestety, chociaż bardzo chętnie jeszcze bym z tobą porozmawiał.

Przez chwilę patrzyli na siebie niepewnie, po czym Dorota skinęła głową w stronę gabinetu wojewody.

– Idę do głównego wyjścia.

Borola, który co rusz rzucał spojrzenia dokładnie w tym samym kierunku, pomyślał nagle, że towarzystwo byłej żony Fleminga jest doskonałą przykrywką. Pójdą sobie spokojnie, a nawet jak prezydent albo marszałek gdzieś tam wylezą, to zobaczą po prostu, że idzie z piękną panią architekt i pomyślą, że omawiają jakieś pierdoły budowlane.

– No to idziemy w tę samą stronę. – Borola uśmiechnął się szeroko i ręką wskazał Dorocie kierunek.

*

Paulina pchnęła przeszklone skrzydło drzwi i znalazła się na chodniku przed budynkiem. Wciągnęła głęboko rześkie powietrze i ruszyła wolnym krokiem w kierunku nabrzeża. Pogoda wciąż była wspaniała. Miała nadzieję, że to nie jest tylko głupi żart i że wiosna rzeczywiście w tym roku będzie piękna. Z każdym krokiem czuła, jak powoli spływa na nią spokój. To absurdalne, żeby się wkurzać bzdurami, kiedy wokół jest tak pięknie. Rozmowy, które wyprowadzają człowieka z równowagi na cały dzień, powinny być zabronione. Właśnie kierowała się do ławek na bulwarach, tuż obok niewielkiego parterowego pawilonu, w którym od niedawna ulokowała się mała kawiarenka, gdy od strony wylotu ulicy Władysława IV ktoś ją zawołał. Odwróciła się i zobaczyła znajomą brodatą postać w śmiesznej czapce z daszkiem.

– A dokąd to się wybieramy? – Piotruś, zdyszany po przebiegnięciu kilkunastu metrów, uśmiechnął się do niej szeroko.

– Na słońce. Potrzebuję witaminy D.

– Super! Mogę ci towarzyszyć? Przyniosę cappuccino. – Skinął głową w kierunku kawiarenki.

Po chwili siedzieli na niskiej ławce i wystawiali twarze do marcowego słońca.

– A skąd ty w ogóle wracasz? Nie powinieneś składać jakichś materiałów dla Baśki?

– No właśnie to robię. – Piotruś uśmiechnął się, nie otwierając oczu. – Byłem na kolejnej konferencji prasowej w prokuraturze. W sprawie trupa z Wyspy Robiena.

– I co? Powiedzieli coś ciekawego? – Paulina, która właśnie zaczęła układać sobie w głowie kompromisowe poprawki do swojego artykułu, nie była specjalnie zainteresowana mafijnymi porachunkami.

– Nic szczególnego. – Piotruś wzruszył ramionami i sięgnął po plastikowy kubek z kawą. – Z rzeczy merytorycznych tylko tyle, że policja bada wątek zaginionych w tym roku kobiet.

– Bardzo odkrywcze.

– Prawda? Ktoś się jednak zaczął dopytywać i rzeczniczka powiedziała, że biorą pod uwagę trzy zaginięcia, zgłoszone od listopada do stycznia.

– Dlaczego akurat do stycznia?

– Też zapytałem. Powiedziała, że dla dobra śledztwa nie może, ble, ble i tak dalej.

Przez chwilę milczeli.

– Byłeś tam piechotą? To znaczy komunikacją?

– Jestem biednym stażystą. Nie stać mnie na samochód.

– Mnie na mój też nie stać, naprawy za każdym razem przekraczają jego wartość.

– Jesteś rozchwytywaną, cieszącą się szczególną atencją naczelnego…

– Piotr!

– No właśnie, weź powiedz. Czy ty i Paweł to coś teges?

– Chociaż ty przestań powtarzać te durne plotki. On ma żonę, jakbyś nie wiedział.

– A od kiedy to jest jakaś przeszkoda? – Piotr zabawnie wydął usta. – Żartuję przecież. Nie złość się.

Paulina spojrzała na kolegę z irytacją wymieszaną z rozbawieniem. Lubiła go. Miał wyjątkowy dar błyskawicznego zjednywania sobie ludzi. Był na stażu od początku roku i zdążył już zaprzyjaźnić się z całą redakcją.

– Baśka chyba strasznie cię wykorzystuje?

– Nie jest źle. Tylko te rzeczy, o których ona pisze, to takie straszne nudziarstwo.

– Trup w worku w jeziorze to nudziarstwo?

– To jest akurat wyjątek. Dostała to, bo nie ma Marka. No tak, muszę się zbierać. Mam jej napisać notatkę z tej konferencji, żeby było do wzmianki na jutro rano.

– A wiesz co… – Paulina spojrzała na Piotra z namysłem. – Wiesz, co możesz zrobić?

– Hmm?

– Poszukaj tych trzech kobiet. Wątpię, czy my o nich pisaliśmy, prędzej jakieś regionalne dzienniki. Ale to będzie coś, co może nas wyróżni. Jak podamy ich dane jako jedyni, to będziesz miał duży plus u Pawła. Na konto ewentualnego etatu.

– Nie ma pieniędzy na dodatkowe etaty. Już mi mówił. – Piotr wzruszył ramionami.

– Coś wiem na ten temat. – Paulina uśmiechnęła się i wyrzuciła kubek po kawie do kosza.

Piotr z namysłem wpatrywał się w błyskającą złotymi refleksami Odrę.

– Ale to niezły pomysł. Tylko że będę musiał poświęcić na to dobrych kilka godzin.

– No trudno. – Paulina podniosła się z ławki i odrzuciła włosy na ramiona. – W tym zawodzie praca po godzinach to podstawa, mój drogi.

*

Igor, do którego dobiegały strzępy rozmowy, a właściwie tylko głosy Doroty i Boroli, szczególnie basowy, tubalny tembr jego inwestora, zastanawiał się, w którą stronę ma ruszyć, żeby się na nich, do cholery, znowu nie natknąć. Wybrał w końcu drogę okrężną. Do spotkania

u konserwatora miał jeszcze kilkanaście minut, stwierdził więc, że pójdzie górą i potem w innym miejscu zejdzie na parter. Budynek zaczął mu przypominał pałac w Knossos, gdzie nieszczęsny Tezeusz pętał się po korytarzach labiryntu króla Minosa, uciekając przed straszliwym Minotaurem. Nawet kolumny z kolorowymi kapitelami były podobne.

Ruszył w końcu na drugie piętro i skręcił w prawo, żeby, idąc dokoła, zmitrężyć więcej czasu. Jako że z natury chodził szybko, nawet do tego stopnia, że ilekroć z kimś szedł, to co chwila słyszał narzekania, że dokąd niby tak pędzą, błyskawicznie pokonał długi korytarz i znalazł się w pobliżu głównej klatki schodowej. Chciał zejść na parter i korytarzem koło biur paszportowych, a dalej wzdłuż dziedzińca od ulicy Jarowita, dotrzeć do konserwatora od drugiej strony. Schodził właśnie na pierwsze piętro, gdy kilka metrów od schodów zobaczył szerokie plecy przechadzającego się nieśpiesznie „Bola”, jednego z pracowników Boroli. Korzystając z tego, że wielki ochroniarz był akurat odwrócony tyłem, przeszedł szybkim krokiem wzdłuż balustrady nad przepastną studnią rozległej klatki schodowej i już chciał zejść na parter, gdy nagle zobaczył, że u stóp schodów pojawił się niewielki orszak. Zdążył zejść zaledwie trzy stopnie, gdy wśród wygarniturowanych mężczyzn rozpoznał Dermota – osobistego przyjaciela Johanna i swojego wspólnika. Zatrzymał się gwałtownie, czując, że wpada w panikę. Wraz z Pauliną wręcz obsesyjnie bali się tego, że zostaną zdekonspirowani jako udziałowcy Sedinum Exploration. W zasadzie ich niepokój był głównie podszyty obawą, że wyjdzie na jaw ich udział w awanturze sprzed dwóch lat. Wtedy wywinęli się od konsekwencji swoich podziemnych eskapad tylko dzięki zeznaniom Doroty. Teraz nie bez znaczenia były także obawy, że gdyby sprawa Sedinum Exploration się wydała, nie mieliby chwili wytchnienia. Gwen oczywiście skwitowała te wątpliwości stwierdzeniem, że zwyczajnie cierpią na syndrom prowincjuszy, ale i Paulina, i on woleli mieć święty spokój.

Igor zamarł na czwartym wyślizganym granitowym schodku niczym żona Lota, gorączkowo zastanawiając się, co robić, gdy tymczasem czterej mężczyźni – odziani w garnitury, których zsumowana cena umożliwiłaby zapewne ostateczne dokończenie prac konserwatorskich w tym budynku – powoli, ale nieuchronnie się zbliżali. Igor obrócił się na pięcie, rejestrując, że Bolo właśnie także robi zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, gdy jeden

z mężczyzn podniósł wzrok, żeby obejrzeć anielsko błękitne płyciny schodów. Jego spojrzenie trafiło prosto w Igora i przez ułamek sekundy obaj – Dermot z wyrazem zaskoczenia, a Igor ogłupienia – wpatrywali się w siebie z konsternacją.

Dermot, jak rasowy prawnik, pamiętając zapewne obawy Igora, zachował kamienną twarz i spokojnie odwrócił wzrok, udając, że go nie poznał. Natomiast Igor, który dysponował o wiele skromniejszym arsenałem środków aktorskich, z szeroko otwartymi oczami zawrócił wreszcie i chyłkiem wbiegł na górę. Chowając twarz przed ochroniarzem, gwałtownie skręcił w lewo, prosto na korytarz, z którego prowadziły wejścia do gabinetu i sekretariatu wojewody. I w tym momencie na drugim jego końcu zauważył pogrążonych w rozmowie Borolę i Dorotę. Zatrzymał się gwałtownie i spuścił głowę. Od tyłu dochodziły głosy zbliżających się prawników. Kierując się impulsem i, jak za moment stwierdził, czystą głupotą, odwrócił się w stronę pierwszych drzwi, jakie miał w zasięgu, szarpnął za klamkę i wpadł do środka.

*

Paulina oderwała wzrok od monitora i spojrzała na wyświetlacz komórki. Marta.

– Mam nadzieję, że nie dzwonisz z czymś stresującym, bo mam dziś kiepski dzień – rzuciła do słuchawki, gdy już się przywitały i wymieniły kilka grzecznościowych żartów.

– Wprost przeciwnie. – Marta miała łagodny ciepły głos, któremu łatwo było zaufać, ale którym potrafiła też zwieść przed sądem niedoceniających ją przeciwników.

– Co za ulga.

– Ten cały Koszut, zrobiłam mały research na jego temat, ma już kilka podobnych spraw na koncie. Parę razy został zatrzymany i spisany za udział w różnych awanturach. Raz w nielegalnej manifestacji pod ratuszem, a dwa razy w ustawkach.

– Ustawkach?

– Tak, to były kibol Pogoni. Zanim trafił do organizacji, był zwyczajnym

chuliganem. Wcześniej brał natomiast udział we włamaniu do jakiegoś biura. Został co prawda zwolniony, ponieważ jego prawnik zdołał udowodnić, że był tam tylko dlatego, iż wmanewrowali go koledzy, niemniej sprawa jest w jego aktach.

– Czy to coś zmienia?

– Oczywiście. Zwłaszcza z uwagi na to, co mówił twój szef, notabene słusznie, że będą chcieli cię zdyskredytować. W takim kontekście jesteśmy w o wiele lepszej sytuacji.

Paulina przez chwilę zastanawiała się nad słowami koleżanki i z opóźnieniem zwróciła uwagę na drobny, ale istotny szczegół.

– Powiedziałaś jego prawnik?

– No właśnie. – Marta westchnęła. – Nie bronił go obrońca z urzędu. Chłopak jest z zamożnej rodziny. Jego ojciec to właściciel sporego warsztatu samochodowego i też prawicowy aktywista.

– Właściwie tym lepiej.

– No nie powiedziałabym. Dlaczego, na miłość boską?

Paulina w zamyśleniu spojrzała w okno. Mimo że cały czas miała przed oczami wykrzywioną nienawiścią i pogardą twarz chłopaka, to zaraz po wydarzeniach na tarasie Muzeum Przełomów zaczęła myśleć, że gdyby był z jakiejś patologicznej rodziny, bez pieniędzy i żadnych perspektyw, to chyba byłoby jej przykro dodatkowo go kopać. Teraz się okazało, że nie dość, że jest chroniony przez prawników organizacji, to w dodatku ma bogatego ojca z tych samych kręgów. To zmieniało postać rzeczy. Zamożny chłystek, któremu życie oferowało wiele możliwości, a on wybrał akurat taką, nie zasługiwał na to, żeby się nad nim użalać.

– Niezależnie od tego, kim jest, pobił cię. – Marta miała lekko zniecierpliwiony głos po tym, jak wysłuchała wątpliwości Pauliny. – Żadne rodzinne kłopoty czy brak pieniędzy i tak by tego nie usprawiedliwiły.

– Wiem, wiem. – Paulina westchnęła. Czuła, że gniew już się w niej wypalił. Powoli znikał wraz z bólem uda, który dokuczał jej już coraz rzadziej i coraz delikatniej. Może to dobrze. Zemsta najlepiej smakuje na zimno.

– Będziemy musiały się z nimi spotkać. Rozmawiałam już telefonicznie

z Dulębą. Poza tym trochę go znam. Cwaniak, ale przewidywalny.

– Trudno. – Paulina znowu westchnęła. – Umów nas zatem. Potraktuję to jako doświadczenie zawodowe. Nigdy nie byłam na spotkaniu stron jako ofiara pobicia.

– I lepiej, żeby to było po raz ostatni. Nie obraź się, ale wolę, żebyś więcej nie musiała korzystać z moich usług.

Porozmawiały jeszcze przez chwilę o innych sprawach, obiecały sobie wybrać się w końcu do kina, po czym Paulina odłożyła telefon na biurko i ze zniechęceniem spojrzała w monitor.

Po chwili przypomniała sobie, że przecież dzisiaj idzie na kolację z Mateuszem i poczuła się troszkę lepiej. Ale tylko troszkę.

*

Dorota słuchała Boroli jednym uchem. Opowiadał coś bez ładu i składu na temat funduszy unijnych. Była skupiona na obserwowaniu korytarza. Właśnie minęła dwunasta i zaraz powinni pojawić się prawnicy z Londynu. W zasadzie miała nadzieję, że po prostu będzie z nimi Johann, co byłoby ostatecznym dowodem, że cała ta sprawa jest związana z poszukiwaniami sprzed dwóch lat. Nie wiedziała jeszcze wprawdzie, co z tą wiedzą zrobi, ale postanowiła stosować politykę małych kroków. Najpierw się dowie, czy to rzeczywiście znajomi Johanna. Może to wszystko jakieś wielkie nieporozumienie?

Zza rogu na końcu korytarza wyszedł facet w czarnej kurtce i czarnej, naciśniętej na głowę czapeczce. Wyglądał jak jakiś terrorysta. Przystanął, spojrzał w bok i wszedł do któregoś z pokojów. Przez chwilę miała wrażenie, że wyglądał znajomo. Nie miała możliwości, żeby się nad tym zastanowić, bo Borola ciągle ględził – o funduszach unijnych, że się kończą i o inwestycjach – że nastąpi zastój. Gdy byli w połowie korytarza, zza rogu wyszła grupa mężczyzn w garniturach. Dorota od razu poznała Dermota Carmondeleya. Facet rzucał się w oczy. Miał chyba z metr dziewięćdziesiąt wzrostu i szerokie jak zapaśnik ramiona. Starszy pan z siwymi gładko zaczesanymi włosami to zapewne sir William. Mężczyźni zapukali do drzwi sekretariatu wojewody i po chwili zniknęli w środku.

Borola, który nagle jakoś umilkł, przy schodach szybko się pożegnał, stwierdził, że musi iść do biur nadzoru budowlanego i ruszył schodami na drugie piętro.

Dorota rzuciła ostatnie spojrzenie w kierunku gabinetu wojewody i skierowała się na parter. A więc to jednak oni. Jaką sprawę mogli mieć do wojewody? Jakimi sprawami w ogóle zajmuje się wojewoda? I po co był tutaj z nimi prezydent? Może chodzi o zakup jakiejś nieruchomości na Pomorzu? Przecież chyba właśnie tymi sprawami zajmuje się administracja wojewódzka. Sylwia! Na pewno zna w urzędzie wojewódzkim kogoś, kto zna sekretarkę wojewody. Może uda jej się tym sposobem czegoś dowiedzieć.

Czując, że coraz bardziej rośnie w niej ciekawość, ruszyła w kierunku schodów i dla odmiany skierowała się na parter.

Igor stał na środku pokoju biurowego i zdezorientowanym wzrokiem wpatrywał się w młodą dziewczynę w zielonym sweterku z upiętymi wysoko jasnymi włosami.

– Przepraszam, chyba zabłądziłem. – Uśmiechnął się i by zyskać na czasie, sięgnął do teczki, którą cały czas ściskał w rękach, i zaczął markować jej przeszukiwanie. – Nie wie pani, gdzie ja jestem, to znaczy…

Dziewczyna spojrzała na niego jak na wariata.

– Ja wiem, gdzie pan jest. W przeciwieństwie do pana, jak widzę.

– Szukam wydziału…

– To sekretariat wojewody. – Dziewczyna spojrzała na niego z chłodnym uśmiechem. – Informacja jest na dole.

Igor dopiero teraz zorientował się, gdzie jest, i spojrzał ze strachem na boczne drzwi, które prowadziły do gabinetu wojewody. Chyba zdecydowanie poprawił dziś swój wynik w kategorii najbardziej kretyńskich sytuacji, w jakie wpakował się na własne życzenie.

– Szukam oddziału infrastruktury – rzucił pierwsze, co przyszło mu do głowy.

– Wydział Infrastruktury, Rolnictwa i Rozwoju Regionalnego. –

Dziewczyna pokiwała głową. – Trzecie piętro. Oddział infrastruktury to chyba pokój dwieście siedemnaście.

– Tak, dziękuję bardzo. – Igor uśmiechnął się z markowaną wdzięcznością.

Zastanawiał się, czy tyle czasu, ile tu zmarnował, wystarczyło na to, żeby Borola i Dorota znaleźli się w bezpiecznej odległości.

– Czy coś jeszcze? – Dziewczyna patrzyła na Igora ze zniecierpliwieniem. – Bardzo przepraszam, ale musi pan stąd wyjść. Za chwilę jest spotkanie u pana wojewody.

Igor przytaknął i odwrócił się do drzwi.

W tym samym momencie rozległo się pukanie i do pokoju wszedł siwy elegancki mężczyzna, a zaraz za nim trzej pozostali prawnicy.

Rozdział 14

Borola zaczął podejrzewać, że Cezary mógł go nieźle ograć, po pamiętnej wizycie w jego domu w Lubinie. Nigdy się nie dowiedział, czy Kłosowski po prostu wygadał się niechcący, czy też wyłożył karty na stół, dając do zrozumienia, że go przelicytował. Do tamtego dnia myślał, że Cezary i ów antykwariusz, od którego kupił portrety Rabenerów, się nie znają. Dopiero potem zaczął podejrzewać, że to nie mógł być zbieg okoliczności. Przypomniał sobie jakieś uwagi Kłosowskiego, jakieś rady, i doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej sam Cezary nakierował go na antykwariusza. Co to oznaczało?

Ekscentryczny murarz kolekcjoner z Gumieniec był rzekomo latami okradany. Borola zdał sobie sprawę, że do tej pory nie zwrócił uwagi, że historia z odkupieniem obrazów od jakiegoś sekretarza, którą opowiedział mu Cezary, jest bardzo podobna do tej przedstawionej prasie przez syna murarza z Gumieniec. Czy to przypadek? A może Cezary i ten cały legendarny kolekcjoner się znali? Może to jedna i ta sama historia? Weszli w posiadanie dzieł sztuki, wśród których były portrety Rabenerów. Kłosowski w pewnym momencie zorientował się, jaką mają naprawdę wartość, ale w tym czasie ktoś je odkupił za grosze albo ukradł, jak z frontu walki o schedę rodzinną donosiły spadkobierczynie. Kłosowski nie chciał się zdradzić, że się nimi interesuje, bo pewnie ten cholerny antykwariusz wywindowałby ich cenę w kosmos, więc posłał tam właśnie jego. A on nawet się nie zorientował, że jest manipulowany. Czy to możliwe, że były wspólnik wykorzystał go do zdobycia cennych obrazów tak perfidnie i perfekcyjnie?

Borola nie wiedział, ile właściwie stracił na tej transakcji. Początkowo wolał o tym nie myśleć. Nie chodziło oczywiście o pieniądze. Żeby odczuć to finansowo, musiałby chyba stracić co najmniej Van Gogha, a nie jakieś portrety trumienne czy czym one tam były. Tak naprawdę bolała go przegrana i to, że dał się wyprowadzić w pole. Ale dopiero jakiś czas później

wpadł na trop tego, czym naprawdę owe tajemnicze portrety mogły być. Zachował fotografie, więc któregoś dnia postanowił zlecić ich ekspertyzę. Oczywiście ekspertyza nie mogła być precyzyjna, a dotyczyła właściwie wyłącznie datowania. O stwierdzeniu autorstwa czy chociażby szkoły malarskiej nie było mowy, mimo że zdjęcia zazwyczaj umożliwiają rozpoznanie śladów indywidualnego stylu konkretnego malarza. Tyle że w wypadku artystów mniej znanych po prostu nie ma materiału porównawczego. A autor portretów Rabenerów w ogóle nie był znany. Od razu wyszło jednak na jaw, że obrazy są starsze i pochodzą najprawdopodobniej z siedemnastego wieku. Borola, coraz bardziej zainteresowany tematem, przypomniał sobie, że Cezarego łączyły jakieś nieokreślone związki biznesowe z ówczesnym właścicielem dworu pod Troszynem. I tak, nitka po nitce, toczył ten swój dziwny kłębek podejrzeń, domysłów i spiskowych hipotez, a któregoś dnia przeczytał artykuł na temat zaginionego skarbu kamieńskiego.

Potem zaczął sobie przypominać różne sytuacje, które dawniej nie wydawały mu się w żaden sposób podejrzane, i łączyć rozmaite fakty.

*

Paulina spojrzała na zegarek. Dochodziła szesnasta. Czas najwyższy zbierać się do domu. Pomyślała, że przed wieczorem musi coś ze sobą zrobić. Na ósmą umówili się na tajne spotkanie Sedinum Exploration, tym razem także z udziałem Dermota. Miał im przekazać najświeższe doniesienia z frontu negocjacji z władzami Szczecina. Znalezienie miejsca, które zapewniałoby im anonimowość i pozwoliło uniknąć spotkania jakichś wspólnych znajomych, kogoś z kręgu Boroli albo prezydenta, okazało się nadspodziewanie trudne. Właściwie żadna knajpa w granicach Szczecina nie dawała takich gwarancji, w drodze eliminacji wybrali więc restaurację położoną na obrzeżach miasta, gdzie mogli się w miarę dyskretnie dostać taksówką. Wprawdzie Gwen twierdziła, że to straszliwa dziecinada i że powinni się w końcu pozbyć tych drobnomieszczańskich, prowincjonalnych lęków, ale zarówno Paulina, jak i Igor woleli dmuchać na zimne.

Paulinie na samą myśl o tym, że musiałaby się tłumaczyć Pawłowi z udziałów w Sedinum Exploration, robiło się słabo. Dochodził do tego

oczywiście konflikt interesów. Trudno było także przewidzieć reakcję szczecińskich władz. Nawet wuj Dermota się zgadzał, że jeśli chodzi o negocjacje z miastem, to taka wolta mogłaby zaszkodzić.

Pozbierała swoje rzeczy i, unikając patrzenia w stronę przeszklonej ściany, za którą wciąż jeszcze siedział Paweł, skierowała się do wyjścia. Chciała się szybko wymknąć, ale po drodze zobaczyła, że Piotr, siedzący w kącie redakcji, jak zahipnotyzowany wpatruje się w monitor. Podeszła do niego i zaciekawiona pochyliła się nad jego ekranem.

– Myślałem, że to będzie trudniejsze – mruknął, nie odwracając głowy. – Nigdy się tym nie interesowałem, a tymczasem okazuje się, że są strony z nazwiskami zaginionych osób. Ba, na portalu policji jest stale aktualizowana baza.

– To pewnie wszyscy o tym napiszą. – Paulina skrzywiła się. Jej pomysł nie okazał się zbyt odkrywczy.

– Od listopada do początku stycznia są tylko trzy zaginione kobiety. Więc rzeczniczka nie zdradziła żadnej tajemnicy. Jedna z nich, młoda dziewczyna, najprawdopodobniej wyjechała do pracy na Zachód, nie informując o tym rodziny. Dwie pozostałe rzeczywiście są poszukiwane.

– Ze Szczecina?

– No właśnie nie. – Piotr podniósł wzrok. – Myślałem, że tych osób w ogóle będzie więcej. Na terenie województwa zachodniopomorskiego w ciągu ostatnich kilku lat zaginęły trzydzieści trzy osoby. W bardzo różnym wieku, od młodych chłopców i dziewczyn po siedemdziesięcioletnie kobiety.

– Niektóre z tych osób są pewnie ofiarami alzheimera.

– O tym nie piszą, ale z pewnością masz rację.

– A te dwie zaginione od listopada do stycznia?

– Jedna to młoda dziewczyna, druga kobieta w średnim wieku.

– A w ogóle podali domniemany wiek ofiary z wyspy Robiena?

Piotr pokręcił głową. Przez chwilę w milczeniu przyglądali się zdjęciu kobiety w średnim wieku, w nasuniętej na głowę ciemnej czapce, spod której wypadały kosmyki ufarbowanych na miedzianobrązowy kolor włosów.

– Zastanawiam się, czy podawanie takich informacji publicznie, no wiesz,

że to może być któraś z tych kobiet, w kontekście tych koszmarnie okaleczonych zwłok, nie jest zbyt brutalne.

Paulina wzruszyła ramionami. Faktycznie, nie chciałaby być na miejscu rodzin, które pewnie wciąż żyją nadzieją na odnalezienie zaginionych.

– Sama nie wiem. Ot, i masz właśnie. Typowe dziennikarskie rozterki dotyczące etyki zawodowej. Ale nie miej złudzeń, że nikt o tym nie napisze. Możesz po prostu zrobić to lepiej.

Piotr podniósł głowę i spojrzał na Paulinę.

– To znaczy?

– Może nie podawaj ich nazwisk, wymień tylko, skąd pochodziły, kiedy zaginęły i koniecznie napisz, że to tylko domniemanie na podstawie informacji prokuratury. Kto będzie chciał, zajrzy na stronę policji, a nas nikt nie będzie mógł oskarżyć, że jesteśmy hienami.

– Spoko, chyba masz rację. Dam Baśce całość z takim komentarzem.

– Okay, uciekam. Miłej pracy.

Pokiwała Piotrowi ręką i ruszyła w kierunku wyjścia na schody. Po drodze przypomniała sobie, że przecież miała na dzisiaj zaplanowaną romantyczną kolację z Mateuszem. W pierwszej chwili jęknęła w duchu, że koliduje to z kolacją z chłopakami i Gwen, a zaraz potem uświadomiła sobie, że Mateusz nawet jeszcze nie zadzwonił.

*

Kłosowski kupił ten swój dom na klifie jakoś pod koniec lat osiemdziesiątych. Od Funduszu Wczasów Pracowniczych. Prawie w tym samym momencie został sprzedany dwór pod Troszynem. Borola wiedział, że Cezary znał nabywcę. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy jeździł na Wolin na wakacje ze swoją rodziną, często się tam zatrzymywał. Wówczas była tam bardzo popularna elegancka restauracja i hotel. Już wtedy miała opinię jednego z najlepszych miejsc na zorganizowanie wesela. Nagle właściciel zniknął. Oficjalnie zamknął działalność, która nie przynosiła dochodu pozwalającego utrzymać taką nieruchomość. Ale Borola doskonale wiedział, że coś tam było nie tak. Facet zaczął przecież budować drugi budynek niedaleko dworu, musiał więc mieć jakiś, oparty na prognozie

zysków i strat, biznesplan. A tymczasem, zamiast kontynuować działalność, nawet nie skończył wyposażać nowego budynku. Tak jakby z dnia na dzień podjął jakąś decyzję, a to miejsce kompletnie przestało go interesować.

A zaraz potem Kłosowski zaczął prowadzić u siebie prace budowlane. Nawet sporo o tym mówił, ale wówczas Borolę niespecjalnie to interesowało. Urządzał ogród, robił jakieś nawierzchnie, oddzielał się od części, którą zamierzał użytkować komercyjnie. Coś tam wymyślił z punktem widokowym. W każdym razie wydał na to ogromne pieniądze, a o ile Borola pamiętał, początek dwudziestego pierwszego wieku nie był dla niego aż tak korzystny finansowo.

No i zaraz potem ten cały policjant czy strażak ze Świnoujścia zaczął szukać Bursztynowej Komnaty na jakimś polu na Wolinie. Pozornie kretyństwo, ale pojawiły się plotki, ludzie zaczęli się tym interesować. No i jeszcze obrazy…

Kłosowski musiał wiedzieć, że znajdują się w posiadaniu antykwariusza Markiewicza, ale, w przeciwieństwie do niego, orientował się także w ich pochodzeniu. Jak to możliwe? Czyżby się dowiedział, w jaki sposób wpadły w ręce politruka, sekretarza czy kogoś tam, od kogo rzekomo odkupił je kolekcjoner z Gumieniec?

Po lekturze rewelacji, opisanych w zeszłoroczne wakacje przez „Kurier Szczeciński”, Borola z osłupieniem przypomniał sobie, że kserokopię listu polskiego woźnicy hrabiego Flemminga pokazywał mu kiedyś Cezary. Miał to w swoich szpargałach i przy jakiejś rozmowie wyciągnął i rzucił kilka zdań na temat regionalnych legend oraz ludzkiej głupoty.

Borola dopiero potem zaczął łączyć ze sobą te wszystkie rozmowy z Kłosowskim, których dotąd nie traktował poważnie. A na koniec przypomniał sobie jeszcze o czymś, do czego poprzednio nie przywiązywał wagi. Tym razem z powodu demencji starczej, którą samodzielnie i, jak stwierdził później, najprawdopodobniej błędnie zdiagnozował u Cezarego. Kłosowski na kilka tygodni przez śmiercią powiedział mu przez telefon, że się boi o swoje życie. Wplótł to w jakąś rozmowę na temat interesów oraz rozmaitych zezwoleń i dokumentów w taki sposób, że Boroli jakoś nie utkwiło to w pamięci. Wziął to za przyciężki żart dotyczący ogromu problemów spadających im na głowę. Dopiero potem zaczął myśleć, że może

jednak było w tym coś poważniejszego.

A potem Kłosowski umarł. Zwyczajnie. Na wylew.

*

Paulina zaparkowała przed domem, trzasnęła drzwiami i ruszyła w kierunku furtki. Jej uczucia można było z powodzeniem określić jako ambiwalentne. Z jednej strony cieszyła się zarówno na spotkanie z Johannem i Gwen, jak i na romantyczną kolację z Mateuszem, z drugiej zaś czuła, jak rośnie w niej gniew, że Mateusz nie raczył się nawet odezwać. Wprawdzie nie wiedziała, jak mogłaby pogodzić oba spotkania, ale tym martwiłaby się wtedy, gdyby miała jasną sytuację. Tymczasem telefon milczał, a dochodziła już siedemnasta. Powiedziała sobie, że nie będzie do niego dzwonić. Jeśli miałby po drodze jakieś kłopoty z samochodem, to pewnie by się odezwał. Obstawiała raczej, że bawił się z rodziną tak dobrze, iż pewnie dopiero co wyjechał i teraz, lekceważąc wszelkie ograniczenia prędkości, gna jak idiota krajową dziesiątką.

Weszła do domu, zamknęła za sobą drzwi i jej wzrok zatrzymał się na opakowanej w szary papier paczce, która leżała na stoliku pod lustrem. Zupełnie o niej zapomniała. Zamówiona w księgarni internetowej książka o czarownicach.

Położyła torbę na krześle w kuchni i, opędzając się od ocierającego się o jej nogi szarego kocura, rozerwała papier. *Czarownice z Pomorza i Kujaw*, uszeregowany według alfabetu spis co ciekawszych opowieści o kobietach oskarżonych o czary. Od piętnastego aż do dziewiętnastego wieku, od Szczecina po Elbląg. Przekartkowała książkę i westchnęła. Będzie musiała przebrnąć przez tę lekturę, żeby napisać kolejne części swojego cyklu, tym razem zawężając je do konkretnych opowieści z Pomorza. Miała już naprawdę dość tego tematu. Na szczęście, teraz, gdy zbierze kilka co bardziej spektakularnych przypadków i opisze w dwóch, trzech odsłonach, nie powinno być awantur. Paweł raczej już nie będzie miał się do czego przyczepić.

Zabrała torbę i ruszyła na górę. Do dwudziestej zostało jej niewiele czasu, musi przecież zrobić coś z włosami i wybrać jakieś ciuchy. W dodatku tak, żeby wszystko pasowało do każdego z obu spotkań.

*

Śmierć Cezarego zaskoczyła Borolę, jak zresztą wielu innych jego wspólników i kontrahentów. Kłosowski był wprawdzie w takim wieku, kiedy śmierć, oczywiście zawsze będąca tragedią, nie powinna nikogo jakoś specjalnie dziwić. Jednak cieszył się doskonałym zdrowiem i na nic się nigdy nie uskarżał.

Borola, który prowadził z Kłosowskim kilka wspólnych inwestycji, początkowo miał sporo kłopotów z wybrnięciem ze spraw notarialnych i spadkowych, zapomniał więc o swoich spiskowych teoriach, skupiając się na porządkowaniu bałaganu finansowo-administracyjnego. Tak się złożyło, że nigdy nie miał okazji poznać córki Kłosowskiego. Aleksandra jako młoda dziewczyna wyjechała do Gdańska na studia medyczne, których notabene, o ile wiedział, nigdy nie skończyła, a potem przez pewien czas mieszkała w Szwecji czy Norwegii, gdzie pracowała jako pielęgniarka. Do kraju wróciła dopiero na początku dwudziestego pierwszego wieku i wraz z poznanym na emigracji mężczyzną osiadła w Gdańsku. Jako osoba pozbawiona jakichkolwiek talentów do interesów dążyła do jak najszybszego pozamykania spraw ojca i pozbycia się jego udziałów w rozmaitych inwestycjach, co oczywiście Boroli było bardzo na rękę. Szybko się zorientował, że jest dość zamożna. Podejrzewał, że sprawiło to dobre zamążpójście. Hubert Kupiec prowadził jakieś interesy. Borola poznał go na pogrzebie i od razu wiedział, że nigdy nie będą przyjaciółmi. Kupiec był zimnym, zamkniętym człowiekiem i emanował jakąś złą energią. Ale sprawami ojca zajmowała się Aleksandra, a jej mąż trzymał się od tego z daleka, więc nie było powodów do obaw.

Gdy zatem wszystkie oficjalne sprawy mieli już za sobą, postanowił jakoś dyskretnie wypytać o zbiory sztuki należące ojca, których, jako jedyna spadkobierczyni, wraz z wartym majątek domem na Wolinie, stała się obecnie właścicielką.

Borola oczywiście nie mógł się przyznać do swoich podejrzeń dotyczących portretów Rabenerów, musiał więc po prostu udawać zainteresowanie ich ewentualnym zakupem. Niestety, Aleksandra, niemająca ani wiedzy, ani żadnych inklinacji do sztuki, poinformowała go beztrosko, że zamierza pozbyć się większości obrazów poprzez profesjonalny dom

aukcyjny. Początkowo chciała szybko sprzedać także i dom na Wolinie, ale mąż natchnął ją pomysłem uruchomienia tam pensjonatu. Boroli jednak udało się obejrzeć zbiory. Kłosowska, obecnie Kłosowska-Kupiec, nie miała nic przeciwko temu, żeby mu je zaprezentować. W kolekcji, obok Rabenerów, było kilka cennych płócien holenderskich, niewielki zbiór Juliusza i Wojciecha Kossaków, parę ładnych dziewiętnastowiecznych portretów szkoły włoskiej i jeden duży obraz Józefa Brandta, który, jak Borola szybko się zorientował, mógł być wart nawet i pół miliona. Ale nic ponadto. O ile w odniesieniu do szkoły włoskiej i malarstwa holenderskiego można było podejrzewać, że obrazy pochodziły z owej pomorskiej stodoły, do której trafiły z niemieckich majątków, może i z Benic, o tyle Kossakowie i Brandt byli zdecydowanie poza wszelkimi podejrzeniami.

Borola, już całkowicie przekonany, że Cezary musiał coś ukrywać, zaczął się obawiać, że jego wspólnik zabrał tę tajemnicę do grobu.

*

Igor wkładał właśnie czarne dżinsy i ugrzązł nogą w nogawce, gdy zadzwonił telefon. Podziękował w duchu bogom technologii, że połączenia wideo nie są jednak powszechne, i sięgnął po komórkę.

– Dzień dobry. Aleksandra Kupiec.

Igor przywitał się i podtrzymując telefon ramieniem, zaczął wciągać drugą nogawkę dżinsów.

– Panie Igorze, dzwonię, bo jutro rano przyjeżdżamy z mężem do Lubina. Zostaniemy do niedzieli. Zamierzamy zrobić w końcu dokładny przegląd wszystkich rzeczy w domu i zdecydować, co wyrzucić, a co zostawić. Więc gdyby pan zaplanował swoje pomiary w tym tygodniu, to byłoby chyba najzgrabniej.

Igor powoli wciągnął powietrze. Po zakładaniu wąskich dżinsów czuł się, jakby przebiegł z kilkadziesiąt metrów. Poczekał, aż wyrówna mu się oddech, i dopiero wtedy się odezwał. Ciekawe, co jego rozmówczyni mogłaby sobie pomyśleć, gdyby dyszał w słuchawkę.

– Doskonale. Możemy przyjechać nawet jutro.

– Super. Jakbyście chcieli zostać na noc, to mamy nad garażem pokoje dla

gości. Jest tam wprawdzie zimno, bo chyba szwankuje ogrzewanie, ale da się wytrzymać.

– Sądzę, że poradzimy sobie bez noclegu. To raptem niecała godzina drogi ze Szczecina.

Aleksandra Kupiec ostrzegła go jeszcze przed chłodem i silnym wiatrem, które meteorolodzy zapowiadali od paru dni, i pożegnała się, życząc miłego wieczoru.

Igor spojrzał na zegarek. Dziewiętnasta. A jeszcze musi złapać taryfę.

Chwycił kurtkę i zbiegł po schodach do drzwi wyjściowych.

*

Paulina spojrzała na zegar na ścianie. Dochodziła dziewiętnasta. Siedziała ubrana w niebieskie dżinsy i luźny zielony top. Płaszcz leżał na fotelu obok. Mateusz jeszcze nie zadzwonił i czuła, jak powoli zaczyna ogarniać ją złość, ale i strach. A jeśli miał jakiś wypadek? Co chwila łapała się na tym, że stuka wysokimi obcasami szpilek w drewnianą podłogę. Podświadomie była jednak przekonana, że jest jak zawsze. Wsiadł za kierownicę, słucha głośnej muzyki, całkowicie przekonany, że nie ma żadnego problemu. Teoretycznie nie umówili się na konkretną godzinę, tylko na wieczór, ale przyzwoitość nakazywałaby chociaż zadzwonić. Sięgnęła ponownie po opuszczoną na kolana książkę o czarownicach. Zaczęła ją kartkować, rejestrując nazwy miejscowości. Opisy były w formie krótkich, raczej literackich opowieści, nie zaś suchych informacji i danych, czego się początkowo spodziewała. Książka podzielona była na rozdziały według stuleci, a każda z historii opatrzona była imieniem i nazwiskiem kobiety, miejscem jej urodzenia lub miejscem, gdzie odbywał się proces oraz datą wydarzenia. Wszystkie były podobne. Oskarżenia motywowane głupotą, zabobonami lub podłością. Tortury. Sądy i władze kościelne głuche na argumenty, niecofające się przed wyrokami nawet w wypadku ciężarnych. Paulina poczuła mdłości, gdy przeczytała o kobiecie, która w trakcie tortur urodziła martwe dziecko. O to także oczywiście ją oskarżono. Była również historia młodej dziewczyny, gwałconej w trakcie procesu przez katów, czego ślady sąd uznał później za dowód spółkowania z szatanem. Prawdziwa cywilizacja życia, nie ma co.

Zamknęła książkę z trzaskiem i rzuciła ją na fotel.

Była dziewiętnasta dwadzieścia. Wstała i sięgnęła do torebki po telefon. Taksówka będzie za dziesięć minut, droga, biorąc pod uwagę roboty na Gdańskiej, potrwa z pół godziny.

Właśnie czekała na połączenie, gdy usłyszała, że pod domem zatrzymuje się samochód.

*

Rozmowa telefoniczna, którą Borola przeprowadził z Cezarym tuż przed jego odejściem, długo go potem dręczyła. Analizował każde słowo i zastanawiał się, czy przypadkiem czegoś źle nie zrozumiał. To był początek czerwca, o ile pamiętał. Kłosowski zadzwonił jakoś rano, chyba około dziesiątej; o tej porze Borola z reguły omawiał sprawy bieżące ze swoimi kierownikami. A więc musiał to być poniedziałek, bo zebrania odbywały się właśnie w poniedziałki. Po krótkiej rozmowie na temat kolejnej transzy kredytu, którą bank miał przelać na ich konto, ale się wstrzymał, bo w dokumentach zabrakło jakiegoś świstka, Kłosowski coś napomknął, że ma kłopoty z rodziną i że będzie musiał jakoś pomóc córce. Borola, znając już dobrze Cezarego, przez delikatność o nic nie dopytywał; wiedział, że Kłosowski, jeśli będzie chciał, sam powie więcej. A potem wspomniał coś, że ta kanalia Budny zaczyna mu robić problemy. W ciągu ostatnich dwóch lat sytuacja zmieniła się o tyle, że partia Budnego zyskała realny wpływ na rzeczywistość, niestety, nie tylko parlamentarną. Ponoć Budny zaczął tu i ówdzie przebąkiwać, że należy się przyjrzeć prowadzonym przez Kłosowskiego interesom i temu, w jaki sposób wszedł on w posiadanie niektórych nieruchomości, że niby zostały nabyte za bezcen od upadających państwowych firm. Wiadomo było, że może chodzić o dom na Wolinie.

„Nie wiem, czemu ten dupek tak się tym interesuje. Nigdy się nie zdradził, że aż tak go podniecają starocie”, tak jakoś brzmiały słowa wypowiedziane przez Kłosowskiego. Oprócz jeszcze kilku mocno niecenzuralnych, jak pamiętał Borola. A potem powiedział, że Budny go o coś wypytywał i nie uwierzył, że on, Kłosowski, nie ma z tym czymś nic wspólnego.

„I dobrze zrobiłem, że to ukryłem, bo ta kanalia nie daje za wygraną”. To kolejne zdanie, które Borola, choć z trudem, przywołał w pamięci.

A kilka tygodni później Kłosowski dostał wylewu. Akurat odwiedzał go

sąsiad, który natychmiast zawiadomił pogotowie, ale niestety było już za późno. Wakacje zaczęły się zatem od smutnych powinności, które spadły na córkę Kłosowskiego oraz Borolę.

Wkrótce jednak Borola znowu zaczął drążyć temat. Tak się jakoś złożyło, że niedługo później pojawił się w gazecie cykl artykułów na temat kamieńskiego skarbu, a we wrześniu ogłoszono termin aukcji, na której Aleksandra Kupiec wystawiła Rabenerów. Borola, odsuwając od siebie poczucie winy, nie zdradził się ze swoją wiedzą o obrazach, a gdy usłyszał, jak niska jest cena wywoławcza, od razu postanowił je kupić.

Dwór pod Troszynem to było coś innego. Borola rzeczywiście postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Miejsce było idealne na hotel z restauracją, a dodatkowa reklama na pewno by nie zaszkodziła. Dworem interesował się zresztą od dawna. Pod kątem biznesowym oczywiście. Gdy załatwiał interesy na Wolinie, bardzo często zajeżdżał, żeby po raz kolejny rzucić okiem na niszczejącą rezydencję. W październiku natomiast gruchnęła wieść o tajnych negocjacjach miasta z tajemniczą angielską firmą poszukiwawczą.

Boroli jakoś od razu skojarzyło się to z Budnym. Wszak to z jego partią prezydent utrzymywał dobre stosunki koalicyjne. A Budny kręcił się przecież wokół Kłosowskiego. I rzekomo czegoś szukał.

*

Budynek, w którym znajdowały się restauracja i hotel, mógł wzbudzać uzasadnione podejrzenia już przy pierwszym rzucie okiem na elewację frontową. Nie był to nowy gmach i nie przypominał typowego budynku hotelowego. Nie był to też żaden zaadaptowany na pokoje gościnne pałacyk, budynek usługowy ani też stara fabryka. Stał w samym centrum małego miasteczka, które po wojnie włączone zostało w granice administracyjne miasta. W dodatku na podjeździe było bardzo podejrzanie wyglądające, wyniesione ponad teren murowane ceglane ogrodzenie, zza którego dochodził całkiem głośny szum wody.

– Elektrownia? – Dermot ze zdziwieniem rozejrzał się wokół siebie. – W takim razie ten wystrój to chyba jest wtórny.

– No raczej. – Igor parsknął śmiechem.

Dekoracja dużej sali z oknami wychodzącymi na podjazd nawiązywała do sal balowych dziewiętnastowiecznych pałaców. Ściany obiegały niskie, bejcowane na ciemny brąz boazerie, nad którymi w biało-złotych płycinach wisiały obrazy oraz lampy udające pałacowe kandelabry.

– W tym miejscu od średniowiecza stał młyn wodny. Pod koniec dziewiętnastego wieku młyn zburzono i zbudowano elektrownię wodną, która przetrwała do końca drugiej wojny. Po wojnie władza zdemontowała wyposażenie techniczne i załadowała je na wagony, które pojechały do naszych przyjaciół ze wschodu.

– Bardziej chyba pasowałby tu wystrój przemysłowy. – Gwen rozejrzała się dyskretnie po sali restauracyjnej. – Według mnie oczywiście.

Johann powiódł wzrokiem za spojrzeniem Gwen i zgodnie pokiwał głową, po czym odwrócił się do Igora.

– Zamiast opowiadać nam tutaj o jakichś młynach i elektrowniach, powiedz lepiej, coś ty robił w urzędzie wojewódzkim?

– Co tam robiłem? Ja tam jestem średnio raz w tygodniu. A Dermot ze stryjem przecież mieli być u prezydenta.

– Mówiłem wam, że mamy spotkanie z wojewodą. – Dermot popatrzył na Johanna z wyrzutem.

– Mnie już nikt nie raczył tego powtórzyć. – Igor sięgnął po szklankę z sokiem i spojrzał w kierunku drzwi wejściowych. Paulina spóźniała się już dwadzieścia minut, a oni wciąż czekali z zamówieniem.

– Przez tę waszą konspirację tylko się człowiek dodatkowo stresuje. – Dermot westchnął. – Jakby rozmowy z tymi urzędasami były nie dość denerwujące. A wuj odruchowo się z tobą przywitał, zupełnie zapomniał o tych waszych tajemnicach.

– Dobrze, że przynajmniej nie było żadnych świadków. Że też Borola musiał się tam napatoczyć. Jeszcze w dodatku z Dorotą.

– No wiesz… – Dermot wydął usta. – Spraw rozwodowych prowadzę w sumie niewiele, ale jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś w takiej panice uciekał przed byłą żoną…

Gwen i Johann zachichotali.

– Bardzo zabawne. – Igor wypił łyk soku grejpfrutowego i odstawił

szklankę. Był głodny jak wilk i sam już nie wiedział, czy czeka na Paulinę bardziej z tego powodu, czy z jakiegoś zupełnie innego.

Gwen uśmiechnęła się, widząc, że po raz kolejny spogląda ku drzwiom.

– No co? Jestem głodny – mruknął, widząc jej ironiczne spojrzenie.

Przytaknęła z udawaną powagą.

– Nie wydaje ci się to trochę podejrzane?

Igor spojrzał na nią zdezorientowany.

– Co takiego?

– Dorota. Pamiętasz, co mówiła Paulina? O tym, że oni z Borolą mogą razem coś knuć?

Pokręcił głową. Jakoś nie pasowało to do Doroty. Gdyby się dowiedziała o ich udziale w szczecińskiej kampanii Sedinum Exploration, to pewnie najpierw usiłowałaby wysondować jego. Miał właśnie odpowiedzieć Gwen, gdy w drzwiach pojawiła się Paulina. A tuż za nią uśmiechający się niepewnie brodaty brunet.

Paulina weszła do sali i omiotła spojrzeniem wnętrze, rejestrując podświadomie wystrój, który wydał jej się zbyt ostentacyjny. Zobaczyła ich od razu. Siedzieli w narożniku, pod dużym obrazem. Mateusz musnął jej bok ręką i ruszyli w kierunku stolika. Tak jak się spodziewała, cztery spojrzenia, niczym promienie lasera, od razu skoncentrowały się na jej partnerze, który bez żadnego skrępowania uśmiechnął się szeroko. Po chwili swoją nienaganną angielszczyzną przywitał się ze wszystkimi, z każdym zamieniając kilka słów. Oczywiście. Pamiętała, że jeśli tylko chciał, potrafił być prawdziwym lwem salonowym. Poza tym, że był niereformowalnym osłem. Wciąż była na niego wściekła. Oczywiście, że zatrzymała go rodzina, że po drodze były jakieś korki no i że przecież umówili się na wieczór. Po krótkiej kłótni, co wynikało wyłącznie z braku czasu, stanęło na tym, że odwiezie ją na spotkanie, a potem spędzą miły późny wieczór.

– Nie przeszkadzajcie sobie. – Mateusz, wciąż uśmiechnięty jak chłopak z jakiegoś katalogu, odsunął Paulinie krzesło, a sam stanął za nim. – Przywiozłem tylko Paulinkę i już znikam. Będziecie mogli poplotkować sobie bez świadków.

Naprawdę nazwał ją „Paulinka”. Podniosła wzrok i dyskretnie popatrzyła na przyjaciół. Wszyscy uśmiechali się koncyliacyjnie. Nie wyłączając Igora.

Gdy Igor zobaczył Paulinę, a za nią kroczącego z przylepionym uśmiechem Mateusza, w pierwszej chwili poczuł, jak gwałtownie skoczyło mu ciśnienie i zaczęło walić serce. Uciekł spojrzeniem w bok, żeby zyskać czas na zebranie myśli i żeby ten fiut zbyt łatwo nie odczytał z jego wzroku zbyt wiele. Przez moment, czekając, aż przywitają się z wszystkimi po kolei, analizował swój stan i nieoczekiwanie poczuł złość. Dosyć tego! Czy on jest, kurwa, jakimś chłopcem z liceum, żeby wpadać w taki popłoch na widok dziewczyny! Przemknęło mu przez myśl, czy nie jest to przypadkiem mała zemsta za zaproszenie na kolację Doroty. Ale przecież to nie on ją tam zaprosił i Paulina dobrze o tym wiedziała.

Zacisnął zęby. Jeśli rzeczywiście chciała się odegrać w ten sposób, to tym gorzej dla niej! Poza tym, jakie odegrać, jakie gorzej? Luz. Luz i już!

Gdy Mateusz w końcu, po jakimś bredzeniu do Dermota, że też pracował w City i miło wspomina Londyn, wyciągnął wreszcie do niego rękę, odwzajemnił jego uśmiech ze spokojem i na pytanie, jak kłopoty w pracy, odpowiedział, że dziękuje, pod kontrolą.

Mimochodem zauważył, że na wspomnienie o kłopotach Paulina nagle zrobiła się czerwona. Papla!

Wyszczerzył zęby w uśmiechu i gdy Mateusz zaczął się żegnać, życzył mu szerokiej drogi.

*

Kościół stał na wysokim wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na leżące u jego stóp domy, a dalej na pogrążone w mroku zapadającego właśnie zmierzchu klifowe brzegi wyspy i ciągnące się po horyzont rozlewiska. Nad głównym wejściem, które wplecione było w ostrołukowy, zwieńczony strzelistą wimpergą portal, wznosiła się wysoka ceglana wieża. Na jej szczycie, tuż nad dwoma wysokimi oknami, znajdował się zegar, który wiele lat temu zatrzymał się na godzinie dziewiątej trzydzieści.

Kościół pogrążony był w kompletnej ciemności. Zgodnie z zapowiedziami

meteorologów, właśnie zaczynał się sztorm. Wysokie konary rosnących wokół świątyni świerków i sosen gięły się pod podmuchami wyjącego północnego wiatru, a bezlistne gałęzie stojących u stóp wzgórza lip i dębów wyginały się na tle jaśniejącego jeszcze na zachodzie nieba.

Gdyby ktoś znajdował się w tej chwili przed samym frontem budynku, usłyszałby odgłos kroków na kamiennej posadzce, a po chwili jęk otwieranych drewnianych drzwi. W mroku, w którym skrywało się wnętrze kościoła, a który wydawał się czarniejszy niż ciemności na zewnątrz, pojawiła się jakaś okutana postać, schodząca po trzech granitowych stopniach na chodnik przed budynkiem. Wiatr szarpnął połami materiału i oplótł go wokół nóg mężczyzny.

W dni powszednie w kościele odprawiano jedną mszę, o osiemnastej. Skończyła się pół godziny temu. Ksiądz Jakub Merin odesłał do domu chłopaka od Konopczaków, który służył dzisiaj do mszy, po czym sam wygasił wszystkie światła, posprawdzał i zabezpieczył okna przed nadchodzącym sztormem i zamknął kościół na wielki staroświecki żelazny klucz.

Wsunął ręce do kieszeni czarnej kurtki i, z pochyloną głową, ruszył wzdłuż wzgórza do zaparkowanego samochodu. W ciepłe letnie dni bywało, że przychodził tutaj z parafii w Wapnicy piechotą, chociaż był to kawałek drogi. Spacer wąskimi przecinkami wokół Jeziora Turkusowego, a potem przez stoki Piaskowej Góry i Zielonki aż do starego cmentarza za kościołem sprawiał mu wielką przyjemność i zapewniał dobrą kondycję. Dzisiaj o tej porze las wokół tych pogańskich wzgórz, pamiętających jeszcze świętego Ottona z Bambergu, wydawał się bardziej przerażający niż wędrówka Drużyny Pierścienia przez Mordor.

Jego imię, Jakub, oznacza po hebrajsku „tego, którego Bóg ochrania”, ale od jakiegoś czasu władał nim szatan. I to niepodzielnie.

*

– Dopiero w czwartek? – Johann patrzył na Dermota z konsternacją. – Myślałem, że to pójdzie szybciej. To znaczy, nie, że cokolwiek załatwicie, ale że po prostu szybciej was spławią.

– Dziękuję za wiarę w nasze kompetencje. – Dermot westchnął z udawaną

udręką i sięgnął po kieliszek z winem. – Przynajmniej dzisiaj mogę się napić, skoro jutro mam dzień wolny.

– Ale kto to wymyślił? – Igor odłożył kartę na stół.

Właśnie złożyli zamówienie, kiedy zaczął mieć wątpliwości, czy nie jest za późno na stek.

– Jak to kto? – Dermot wzruszył ramionami. – A z kim myśmy dzisiaj obradowali? Dwie godziny gadania, a jedyne, do czego doszliśmy, to decyzja o omówieniu tego tematu na komisji Rady Miasta.

– To i tak poszli wam na rękę. Tak z marszu na komisję? Normalnie temat musiałby czekać pewnie z miesiąc, aż radni zapoznają się z materiałami.

– Na szczęście nie mamy żadnych materiałów.

– No tak. – Igor parsknął. – To na pewno wszystko uprościło.

– A na jakiej komisji? – spytała Paulina, podnosząc wzrok znad karty, w którą się wpatrywała, zastanawiając się, czy wino o tej porze to dobry pomysł.

– Gospodarki komunalnej, chyba. – Dermot wzruszył ramionami.

– Gospodarki komunalnej? Prowadzenie poszukiwań w podziemiach?

– W kanałach. To jakiej, jak nie komunalnej – mruknął Igor, nie podnosząc wzroku.

– Tak czy siak, musimy tu ze stryjem siedzieć do czwartku.

– To jutro, oczywiście, jemy obiad razem. – Gwen uśmiechnęła się do Pauliny i Igora.

Igor chrząknął i zakrył usta dłonią.

– Ja, niestety, jutro mam zaplanowany wyjazd. Wątpię, czy wrócę przed wieczorem.

– Jaki wyjazd? – Johann podniósł wzrok i spojrzał na niego podejrzliwie.

– No, wyjazd. Praca.

– Dokąd?

– A co to za przesłuchanie?

Przez chwilę patrzyli na siebie i Johann w końcu parsknął.

– No nie! Już się umówiłeś na pomiary? I myślisz, że uda ci się wymknąć

bez nas?

– Nie gadaj głupot.

– Jakie pomiary? – spytał Dermot, sięgając po kieliszek.

– Naprawdę? Umówiłeś się na jutro? – Paulina wbiła wzrok w Igora, który wciągnął głośno powietrze.

– Jezu! Ta baba dzwoniła do mnie dzisiaj. Jutro przyjeżdżają z mężem na Wolin i mają zostać do niedzieli. Pomyślałem, że załatwię to szybko i będzie z głowy.

– Przecież o tej pomocy myśmy mówili poważnie. – Johann, niezadowolony, patrzył na Igora.

– Jakie pomiary? – dopytywał się Dermot. Odstawił kieliszek i spoglądał to na jednego, to na drugiego.

Igor ze złością pokręcił głową.

– Poważnie to ja muszę myśleć o tej robocie. Dla was to rozrywka, a dla mnie kwestia przetrwania firmy.

– Przecież oferowałem ci bezinteresowną pomoc! Gdybyś był naprawdę zdesperowany, to byś ją przyjął!

– Jakie pomiary, do diabła?!

– Przestańcie się na siebie wydzierać, bo nas wyrzucą z tej elektrowni! – Gwen pochyliła się nad stołem.

Igor westchnął.

– Umówiłem się z babką, że przyjadę jutro koło dziesiątej. Miałem cichą nadzieję, że jutro uda mi się przynajmniej wszystko narysować i pomierzyć parter i piętro. Wy sobie w ogóle nie zdajecie sprawy, jak wygląda inwentaryzacja budowlana. Będziecie musieli…

– Boże! To ja będę musiała jeszcze dzisiaj coś wymyślić, żeby jutro wyrwać się z pracy. – Paulina zagryzła wargi.

– My nie mamy żadnych ubrań do takich zajęć! – Gwen popatrzyła na Johanna. – Przed dziesiątą coś tutaj kupimy?

Johann spojrzał na nią zdezorientowany.

– Galerie są otwarte od dziewiątej, ale jakieś buty i dresy kupicie nawet

w Lidlu. – Paulina odpowiedziała mimochodem, nie przestając myśleć, w jaki sposób urwać się z redakcji.

Igor ciężko westchnął, oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach.

Dermot pochylił się w kierunku Johanna i wysyczał:

– Czy ja się w końcu dowiem, o czym wy mówicie?

Paulina sięgnęła do swojej torebki i wyjęła tablet. Położyła go na stole i przesunęła palcem po ekranie…

– O tym.

Dermot pokręcił głową.

– To przecież jest po polsku.

Paulina przekrzywiła głowę i zaglądając w rozjaśniony niebieską poświatą ekran urządzenia, przetłumaczyła treść listu.

Znam informacje co do ukrycia i dwa miejsca bardzo cennych skarbów.

Ukrycie znajduje się na terenie Polski na Wolinie. Osobiście byłem świadkiem, jak te przedmioty z rozkazu władz niemieckich ukrywano w 1945 roku koło pałacu i blisko morza.

Przedmioty ukryto blisko lasu i wiem, że obywatel Niemiec, który ukrywał, też próbował je wykopać. Ale las urósł i trzeba dużo kopać, żeby to odszukać, a to nie jest proste.

Wskażę miejsce, ale chcę, żeby władze dały mi za to pieniądze na życie, gdyż jestem ciężko schorowany. Mimo że byłem niewolnikiem niemieckim w czasie wojny, jestem biedny i na utrzymaniu rodziny.

Szybko proszę o informację, co dalej, list i jaka nagroda, bo sprawa jest ważna, pilna, a Niemcy mogą skarb wykopać i przepadnie.

Jest bardzo cenne, ważne i mogą tam być też ważne dokumenty.

S. Kuchta[21]

Rozdział 15

Wtorek, 14 marca

Piękna od kilku dni pogoda tego poranka zmieniła się radykalnie. Już poprzedniego wieczoru zaczęło mocno wiać i przez całą noc zacinał deszcz.

Około godziny ósmej rano, kiedy Igor szykował się do wyjazdu, przez krótką chwilę, może zaledwie kilkanaście minut, świeciło słońce, a potem pogoda szybko zaczęła się pogarszać. Na niebie skołtuniły się ciemne, miejscami wręcz czarne chmury, a wiatr wył i targał stojące nieopodal Teatru Polskiego drzewa, które cudem ocalały przed bojówkami Wydziału Zieleni Miejskiej.

O dziewiątej sprzed hotelu na Wałach Chrobrego Igor odebrał Johanna i Gwen, zaopatrzonych w elegancką, dopiero co zakupioną w Lidlu odzież wierzchnią, potem Dermota spod Radissona, a dwadzieścia minut później, kiedy już przedarł się przez korki w centrum miasta i dotarł na Pogodno, Paulinę. Siedział teraz za kierownicą i z rosnącą irytacją słuchał rozmowy prowadzonej w samochodzie…

– Nie mogę uwierzyć, że jesteście tutaj od czwartku i nikt mi o tym wszystkim nic nie powiedział. – Dermot wpatrywał się w zdjęcia artefaktów z katedry kamieńskiej, które na swoim tablecie pokazała mu Paulina.

– Nie chcieliśmy ci zawracać głowy przed twoimi negocjacjami z miastem. – Gwen pochyliła się nad tabletem i pokazała Dermotowi palcem drewniany kuferek na jednym ze zdjęć. – To jest relikwiarz Korduli.

– I nawet pojechaliście sobie na wycieczkę, żeby oglądać wzgórza jakichś wisielców – narzekał Dermot.

– Boże! Jak z dzieckiem. – Johann, który siedział na przednim fotelu obok Igora, parsknął śmiechem.

– Żadnej czarownicy ani żadnego wisielca w końcu nie zobaczyliśmy. –

Gwen pokręciła głową i chichocząc, zasłoniła usta ręką.

– Nie można było zadzwonić?

– Zawsze się wściekasz, jak ktoś niepotrzebnie zawraca ci głowę przed ważną rozprawą.

– Te rozmowy to nie była żadna rozprawa, tylko cyrk.

– Cyrk to dopiero zobaczycie w czwartek – mruknęła Paulina. Wpatrywała się w okno, w zamyśleniu wspominając wczorajszy wieczór.

Wróciła do domu dopiero po dziesiątej. Mateusz oczywiście był obrażony i stwierdził, że w ten sposób chciała się na nim odegrać za jego spóźnienie. Zapowiadał się cichy koniec dnia, ale jakoś im się udało zakopać topór wojenny, który każde z nich trzymało w pogotowiu za plecami, i spędzić całkiem miły bardzo późny wieczór. I noc. Skoro świt Mateusz wymknął się na jakieś ważne spotkanie.

– Wasza Rada Miasta nie może być chyba pod tym względem lepsza od naszej Izby Lordów? – dodała.

– O, zdziwisz się! – odezwał się Igor, rzucając Dermotowi spojrzenie w lusterku wstecznym. – Wasza Izba Lordów w tej konkurencji to zgraja amatorów.

Przez chwilę panowała cisza. Słychać było tylko jednostajny pomruk silnika toyoty.

– A wracając do tego listu… – Dermot przesunął palcem kilka zdjęć i otworzył artykuł z „Kuriera Szczecińskiego”. – Mówiliście, że tutaj są wymienione konkretne miejsca, w których skarb mógł zostać ukryty. A poza tym, nie mogę się w tym wszystkim połapać. Czy skarb został w końcu w wozie przewróconym na drodze, czy jednak go wywieźli?

– Według oficjalnej wersji został na drodze. – Paulina oderwała wzrok od szyby i spojrzała na leżący na kolanach Dermota tablet. – Radzieckie czołgi rozjechały wóz, a to, co zostało, rozkradli okoliczni mieszkańcy.

– A to, co zostało w kościele w Benicach, rozkradli po wojnie okoliczni mieszkańcy – dodał Igor.

– Nieoficjalnie jest kilka relacji różnych osób, które brały udział w ucieczce tym taborem. Ktoś widział, jak owej nocy Flemming pędzi konno do dworu pod Troszynem, jakaś baba zapamiętała z kolei, że na kilka dni

przed wyjazdem rzekomo jeździł na Wolin z tajemniczymi pakunkami.

– Woźniak, przesłuchiwany po wojnie, zeznał natomiast, że rozmawiał z pewnym Serbem Kostką, który traktorem wywoził „świętości" na posterunek w Wolinie i miał wrócić po resztę z kościoła w Benicach. – Igor spojrzał w lusterko i napotkał wzrok Pauliny. Była dzisiaj jakaś markotna.

– Jego córka Martha Woźniakówna Krause, którą Borola rzekomo odnalazł w Hamburgu, jakoby widziała, jak Flemming odwoził do dworu te skrzynie z wozów. Nawet zapamiętała herb Flemmingów.

– Przy założeniu, że list jest autentyczny, wychodzi na to, że wersja z wywiezieniem skarbu jednak jest prawdziwa. – Dermot podniósł wzrok i z namysłem spojrzał na drogę przed samochodem.

– Przy założeniu, że skarb, o którym pisze Kuchta, to skarb kamieński. – Igor wzruszył ramionami. – Przecież równie dobrze mogły to być jakieś drogocenne rzeczy z majątku Flemmingów.

– Ależ on osobiście brał udział w ukrywaniu tych rzeczy w lochach pałacu. Zresztą, zostały one już dawno rozkradzione. – Paulina spojrzała na tył głowy Igora. Przemknęło jej przez myśl, że krótko ścięte włosy ładnie układają mu się na karku. – Więc to musiało być coś innego.

– Powiedziałaś, że w liście jest mowa o dwóch miejscach ukrycia. – Dermot podrapał się po brodzie. Dzisiaj rano stwierdził, że skoro jedzie w charakterze siły fizycznej do pomocy przy inwentaryzacji budowlanej, to dwudniowy zarost jest jak najbardziej na miejscu.

– Ten list jest, niestety, napisany tak niejasno, że można go rozmaicie interpretować. – Igor zjechał na lewy pas i wyprzedził białego vana. – Koło pałacu, blisko lasu i jednocześnie blisko morza. Nie wiadomo, czy blisko oznacza nad samym morzem, czy jest to odległość kilkudziesięciu kilometrów.

– Kuchta napisał coś o ważnych dokumentach – wtrącił Johann. – Przecież w skarbcu kamieńskim nie było chyba żadnych ważnych dokumentów?

Igor spojrzał na niego z namysłem. Istotnie.

– Reasumując – odezwała się Gwen, która do tej pory tylko w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie – w nocy z czwartego na piątego marca karawana wozów wyrusza z pałacu w Benicach na Wolin. Jeden z wozów, na

którym według zeznań samego hrabiego Flemminga znajdowały się kufry ze skarbca, wywraca się pod ostrzałem Rosjan i zostaje na drodze. Według zeznań tego całego Woźniaka skarb wywożą jednak wcześniej traktorem. Traktor przewija się w opowieściach wszystkich osób. Czy nie wydaje wam się, że informacja o wywożeniu na wozie to mogła być zaplanowana akcja dla zmylenia przeciwnika?

– Też o tym pomyślałem. – Igor pokiwał głową. – Aż nie chce się wierzyć, że Flemming tak po prostu zabrał bezcenne tysiącletnie artefakty wozem razem z wieśniakami. Na jego miejscu wywiózłbym wszystko na Wolin wcześniej. Czekali niby na zgodę na ewakuację, ale nikt mu przecież nie zabraniał jeździć w tamtym kierunku.

– I możliwe, że tak właśnie się stało. – Paulina w zamyśleniu spojrzała w okno. Ta historia z bezcennymi skarbami wywracającymi się na drodze i rozjeżdżanymi przez wozy pancerne była tak przerażająca, że aż trudno było w nią uwierzyć.

– Atak Rosjan na Wolin został odparty w marcu i Niemcy mieli dwa miesiące na to, żeby wszystko poukrywać lub wywieźć dalej na zachód. – Igor spojrzał w lusterko.

– No i ten cały Kuchta pisze właśnie, że był świadkiem tego ukrywania. Wraz z jakimś obywatelem Niemiec.

– A miejsca opisywane w artykule? – Dermot podniósł głowę znad tabletu. – Byliście tam?

– W dworze pod Troszynem. – Gwen pokiwała głową. – I to jest miejsce, do którego Flemming, według Marthy Krause, odwiózł skrzynie.

– Można powiedzieć, że to pałac i że jest blisko lasu. – Igor zabrał się za wyprzedzanie kolejnej ciężarówki z naczepą. – Tylko morze jest raczej daleko. – Spojrzał w lusterko na Paulinę. No właśnie. Kwestia interpretacji odległości. – Druga domniemana lokalizacja według autorów artykułu to Łunowo koło Świnoujścia. Tam był punkt ewakuacji Wolina i wyspy Uznam. Tysiące ludzi przewożono motorówkami na pokłady stojących na redzie okrętów. Pewnie większości uciekinierów kazano pozbyć się bagażu, żeby nie zabierać miejsca. Kto mógł, zakopywał wszystko na okolicznych wydmach, mając nadzieję, że kiedyś po to wróci.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby człowiek tak ustosunkowany jak

Flemming musiał w ostatniej chwili zakopywać na plaży wyjątkowo cenne dla Niemców skarby – wtrąciła Paulina. – Poza tym, tam akurat nie ma żadnego pałacu.

Igor przytaknął.

– I trzecia lokalizacja. Wzgórze zamkowe w Dargobądziu. Zamek, czyli, powiedzmy, pałac, las dokoła i widok na rozlewiska Dziwny.

– I znowu żadnego morza.

Igor zmarszczył brwi.

– Masz dzisiaj zły nastrój?

– Nie mam żadnego złego nastroju. – Paulina spojrzała na jego odbicie w lusterku wstecznym. – Po prostu wszystkie trzy warianty opisane w artykule są, według mnie, do chrzanu. Dargobądź leży w południowo-wschodniej części wyspy. Prawie cały Wolin jest bliżej morza niż ta wiocha. W Łunowie nie ma ani pałacu, ani lasu, nie wspominając o morzu. A dwór pod Troszynem ewidentnie stoi w lesie nad jeziorem, a nie nad żadnym morzem.

Igor miał podobne zdanie na ten temat.

– Kuchta, o ile pamiętam, przyjechał do Benic z okolic Brodnicy. To był chyba prosty chłop, który przed wojną pewnie nie ruszał się ze swojej wiochy. W jego pojęciu morzem mogły być już rozlewiska Zalewu Szczecińskiego albo Dziwny.

Paulina wzruszyła ramionami. W zasadzie Igor miał rację. Każdy w Szczecinie zna miejską opowieść o przyjeżdżających z głębi Polski turystach, którzy po wyjściu z dworca, widząc płynącą Odrę i las dźwigów stoczniowych na horyzoncie, pytają, którędy mogą dojść na plażę.

Na moment w samochodzie zapadła cisza. Igor, który właśnie kończył wyprzedzać kolejnego TIR-a, a widząc przed sobą trzy następne, zdecydował się zostać na lewym pasie, wcisnął pedał gazu.

– A co z Marthą Krause? – odezwał się Johann. – Rzekomo widziała, jak Flemming wiózł skrzynie do dworu pod Troszynem.

Paulina westchnęła.

– No właśnie. A skąd właściwie pewność, że Borola powiedział Igorowi

prawdę?

*

Dorota siedziała przy stoliku w hotelowej restauracji i popijając kawę, wpatrywała się w przejeżdżające ulicą samochody. Przez wielkie okna widziała, majaczącą na narożniku Bramy Portowej, fasadę przedwojennego domu towarowego UFA-Palast, w którym całe lata mieścił się pedet. Z nostalgią przypomniała sobie zakupy, na które w dzieciństwie zabierała ją matka, i zabawki, na których kupno nigdy nie było ich stać.

Westchnęła i od niechcenia sięgnęła po malutką kanapkę. Wczorajszy wieczór spędziła u rodziców. Matka była bez pracy, prowadziła dom. Ojciec nadal był zatrudniony w Zarządzie Portu Szczecin-Świnoujście, ale nie przelewało im się. Zresztą nigdy im się nie przelewało, a teraz, gdy jej bratu urodziło się drugie dziecko, ledwo wiązali koniec z końcem. Pomagała im, chociaż matka bardzo się przed tym wzbraniała. Jednak Dorota wiedziała, że w rzeczywistości jest jej wdzięczna. Brat znowu stracił pracę, a bratowa zarabiała grosze w jakimś biurze. Spłacali kredyt mieszkaniowy i Dorota wiedziała, że jej pomoc idzie głównie na ich potrzeby.

Czasem się zastanawiała, że może przez marne warunki w dzieciństwie została wyposażona w determinację, która kazała jej ciągle walczyć o więcej. No i to właśnie zawsze denerwowało ją u Igora. Że on był tej chęci walki pozbawiony. Wychowany w zamożnej rodzinie, nigdy niczego mu nie brakowało. Zawsze wszystko dostawał pod nos.

Ze złością odpędziła od siebie melancholijne myśli. To właśnie dlatego nie przepadała za wizytami w Szczecinie. Dopadały ją wspomnienia.

*

Po pytaniu, które zadała Paulina, w samochodzie znowu zapadła cisza. Igor zjechał w końcu na prawy pas i zwolnił do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przednią szybę co chwilę zraszał siąpiący deszcz. Niezawodne wycieraczki, cicho szumiąc, przesuwały się tam i z powrotem.

– A po co Martha Krause miałby kłamać akurat w tej sprawie? – odezwał się w końcu Johann.

Paulina wbiła wzrok w przednią szybę i przez chwilę się zastanawiała.

– Mogła na przykład widzieć coś zupełnie innego. Borola sprzedał Igorowi taką historyjkę, bo pasowała do jego śmiałej koncepcji reklamowania dworu za pomocą legendy o zaginionym kamieńskim skarbie.

Igor westchnął.

– Borola koniecznie chce zapoznać się z dokładnym planem domu na klifie. Woźniakówna rzekomo mieszkała tam dwa miesiące, właśnie wtedy, gdy niemiecka obrona powstrzymywała Rosjan.

– To też może być nieprawda. – Paulina pokręciła głową. – Borola powiedział ci cokolwiek, żeby jakoś uzasadnić swoje zainteresowanie tym domem.

Igor spojrzał w lusterko. Od kiedy ona się zrobiła taka zasadnicza i racjonalna? Czyżby przez ten rok pracy na pełnym etacie w gazecie?

– Też uważam, że jego zainteresowanie spowodowane jest głównie osobą byłego właściciela. Jeśli to rzeczywiście jego córka wystawiła portrety Rabenerów – stwierdził Johann.

Paulina spojrzała w okno. Deszcz wciąż zacinał.

– Tego raczej nie da się sprawdzić. Domy aukcyjne nie udostępniają informacji na temat swoich klientów. Ale to logiczne. Borola chyba naprawdę liczy na to, że Martha Krause jest teraz w posiadaniu innych cennych rzeczy, o których wartości nie ma pojęcia, i że zdjęcia z inwentaryzacji pomogą mu się w tym zorientować.

– Ile było tych portretów Rabenerów? Pięć chyba, nie? – Johann spojrzał na Igora, który przytaknął.

– No więc, trzy pozostałe wciąż mogą tam wisieć na ścianach. A córka Kłosowskiego może nadal uważać, że to dziewiętnastowieczne portrety nikłej wartości.

Dermot parsknął.

– Nie wiem, dlaczego zakładacie, że ta kobieta to idiotka. Skoro odziedziczyła dom po ojcu, nawet jeśli nie byli w dobrych stosunkach, to pewnie wiedziała, że jej ojciec był kolekcjonerem, i raczej mogła się spodziewać, że miał kilka cennych rzeczy.

Igor pokręcił głową.

– Nie zakładamy, że jest idiotką. Portrety Rabenerów nie pochodziły z legalnego źródła. Ujawnienie ich pochodzenia od razu sprowadziłoby Kłosowskiemu na głowę policję. Jeśli miał więcej takich rzeczy, to raczej je ukrywał.

– No i wtopa na aukcji w Warszawie właśnie na coś takiego by wskazywała – dodała Paulina.

– Tyle, że jeszcze nie wyszło na jaw, co to za obrazy. Na razie mamy tylko podejrzenia, że zostały skradzione z kolekcji…

Igor przerwał i wbił wzrok w drogę. W oddali widać było kolejną garbatą sylwetkę wielkiej naczepy.

– Co się stało? – Paulina pochyliła się nad przednim fotelem. – Tak nagle przerwałeś.

– Przypomniała mi się historia z Rafaelem, „Gdzie jest Rafael?”, ten artykuł w ogólnopolskiej prasie, dzięki któremu wszyscy usłyszeli o słynnym szczecińskim budowlańcu, który w bunkrze za domem przechowywał bezcenne płótna. Według jego syna większość najcenniejszych zbiorów ojciec odkupił od jakiegoś sekretarza partii. W latach siedemdziesiątych chyba.

– No i co z tego?

– Podobne plotki krążyły o Kłosowskim. Kiedyś byłem na jakimś spotkaniu z Borolą, wtedy o tym usłyszałem. Zastanawiam się, czy to nie jest jedna i ta sama historia.

Paulina zapatrzyła się w monotonny krajobraz za oknem.

– No jasne. Kuchta wysyła list z informacją o skarbie do władz. Władze pozornie się tym nie interesują, ale list zostaje gdzieś w archiwum. Potem trafia do niemieckiej ambasady i wreszcie w ręce Georga Steina, ale przecież po drodze mógł się nim zainteresować jakiś komunistyczny aparatczyk.

– W tym artykule pisali nawet, że po wojnie KBW prowadziło poszukiwania na Wolinie. Może coś znaleźli?

– Może nie zorientowali się w wartości znaleziska. Obrazy, w dodatku bez ram. Jakieś stare drewniane pudła. Uznali to za badziewie, a w końcu wszystko przywłaszczył sobie jakiś wpływowy komuch, który potem został

sekretarzem.

– Tych sekretarzy nie było znowu aż tak wielu. – Igor spojrzał w lusterko. – Możemy spróbować go namierzyć.

Toyota minęła wiadukt i pustą szosą potoczyła się w kierunku dużego węzła drogowego. Do zjazdu na Wolin zostało jakieś dziesięć minut.

*

Dorota właśnie chciała wstać od stolika, gdy zadzwonił telefon. Po tej nawałnicy czarnych myśli odebrała prawie z ulgą.

Sylwia.

– Słuchaj, dzwonię à propos tej sprawy, o której ostatnio rozmawiałyśmy. – Sylwia ściszyła głos. – Nie powinnam ci tego mówić, ale skoro rozmawiałyśmy, pomyślałam…

Dorota westchnęła. Sylwia oczywiście nie mogła jej przekazać najnowszych plotek bez oficjalnego wstępu.

– Ty nie znasz tej Ewki, takiej brunetki, co pracuje jako sekretarka u wojewody?

Dorota popatrzyła na przyjaciółkę. Sekretarka wojewody? Miała przecież sama dzwonić do Sylwii w tej sprawie. Czy to możliwe, że się czegoś dowie bez specjalnych zabiegów?

– Skąd miałabym znać? A co się z nią stało?

– Nic się nie stało. Dzwonię à propos tej londyńskiej kancelarii, co była wczoraj u wojewody. Ewka właśnie dopiero co do mnie zadzwoniła… Ja nie wiem, może jednak nie powinnam tego mówić…

– Sylwia, na miłość boską…

– No dobra. Wyobraź sobie, że tuż przed przyjściem tych prawników do sekretariatu wpadł nagle jakiś facet. Ewka się przestraszyła, bo te plotki o terrorystach chodzą. Wiesz, że ta wizyta to niby z tym związana…

Dorota pokręciła głową. Nie miała pojęcia, jak ludzie mogli powiązać angielskich prawników z terrorystami. Kto to wymyślił?!

– A tu nagle wpada facet. Wysoki, czarny, z brodą. Brązowe oczy. W dodatku jakiś rozgorączkowany i przestraszony. Ewka ponoć na moment

wpadła w panikę, że to bomba i w ogóle. Przestała logicznie myśleć i mówiła, że przez chwilę jej się wydawało, że chcą wysadzić w powietrze gabinet wojewody.

Dorota przypomniała sobie, że gdy stała z Borolą na końcu korytarza, to rzeczywiście przed drzwiami do sekretariatu pojawił się jakiś typ. Co nie zmienia faktu, że ta Ewka to chyba kretynka.

– Potraktowała go jak natręta. Mówiła, że nie wiedziała, jak się zachować, a w tym momencie weszli ci prawnicy…

– No i co? – Dorota nie wytrzymała, bo po ostatnich słowach Sylwia oczywiście zrobiła dość długą pauzę.

– I wyobraź sobie, ten facet się odwraca, a ci prawnicy stoją naprzeciwko niego. Jacyś zaskoczeni podobno. Ewka myślała, że zaraz będzie jatka jak z filmu, a tymczasem nagle…

– Sylwia! Jak jeszcze raz przerwiesz…

– Dobra, już mówię. I nagle jeden z tych prawników przywitał się z tym facetem!

– Przywitał?!

– No. I wymienili kilka słów. Ewka była tak zaskoczona, że nic nie zrozumiała.

– I co dalej?

– Wyszedł szybko, a oni weszli do wojewody. Ewka teraz się zastanawia, czy nie potraktowała go jakoś zbyt obcesowo. Bo może to był ich znajomy albo współpracownik. Jakiś tłumacz albo coś…

– Czarny, wysoki? Z brodą?

– No. Aha, i miał w dodatku czarną czapkę. Taką, wiesz… gangsterską…

– Kominiarkę?! Zwariowałaś?!

– Nie kominiarkę! No, taką czarną czapkę. Obcisłą.

Dorota spojrzała w okno. Pamiętała, że ten facet w urzędzie wydawał jej się znajomy.

*

Samochód zjechał z drogi krajowej numer trzy i mijając małe miejscowości rozlokowane wzdłuż jeziora Wicko Wielkie, wjechał na ostatni odcinek ulicy Nadbrzeżnej, który prosto jak strzelił prowadził na drewnianą tablicę informacyjną. Po lewej stronie, na rogu, stał długi, topornie wyglądający budynek, nakryty niskim dwuspadowym dachem. Do jego elewacji szczytowej, zwróconej do drogi, przyczepione były stalowe schody, które prowadziły do drzwi na piętrze.

– To kościół – mruknął Igor.

Skręcił na skrzyżowaniu w prawo i ruszył w kierunku znanego już żelbetowego wiaduktu z napisem „Witamy w Lubinie”.

– Kościół? – Gwen odwróciła się, usiłując dojrzeć w tylnej szybie dziwaczny budynek. – W takim baraku?

– Kościół filialny i parafia tego ceglanego w Lubinie. Ten tutaj został zaadaptowany ze zwykłego domu mieszkalnego.

– Chyba się trochę rozpogodziło. – Paulina uchyliła okno.

Do wnętrza wpadło chłodne i rześkie powietrze. Gruba warstwa chmur jakby się trochę przerzedziła i miejscami nawet widać było jasne przebłyski słońca.

Toyota przemknęła przez wąskie uliczki miejscowości i skręciła na drogę wzdłuż ażurowego ogrodzenia, za którym rozciągał się szmaragdowy, nawet o tej porze roku, trawnik.

Brama prowadząca na dziedziniec, przy którym oprócz domu stał garaż ze służbówką, była otwarta na oścież. W głębi, przed ostatnimi wrotami garażowymi, stał czarny samochód terenowy. Igor wjechał w bramę i zatrzymał się obok niego.

– Bardzo ładnie utrzymany ogród. – Gwen wyjrzała przez okno.

– Któreś będzie musiało rysować. – Igor spojrzał na Johanna i obejrzał się na tylne siedzenie. – Musimy jakoś uzasadnić, że przyjechaliśmy tutaj taką kupą ludzi.

– Ja nie mam pojęcia o rysowaniu. – Dermot pokręcił głową.

– Ja też.

Igor spojrzał na Johanna z irytacją.

– To przynajmniej musicie udawać.

– Ja mogę spróbować. – Paulina westchnęła, otworzyła drzwi i wysiadła. – Miałam na studiach rysunek techniczny.

Igor był zniechęcony. Wysiadł i otworzył tylną klapę samochodu.

– A po co ten statyw? – Johann pochylił się nad plastikowym pudłem, z którego wystawały nogi urządzenia.

– To poziomica. – Igor szarpnął za pudło i wyciągnął je na kraniec bagażnika. – Ale raczej się nie przyda.

– Ale po co ona jest?

Igor westchnął.

– No i tak to właśnie wygląda. Mówiłem, że wy nie macie pojęcia o robieniu inwentaryzacji. To wszystko będzie trwało przez tydzień.

– Ustawia się dzięki niej poziom, wobec którego określa się wysokości różnych rzeczy. – Paulina zapięła kurtkę pod brodę. Rzadko, bo rzadko, ale jej techniczne wykształcenie czasem się przydawało.

– Laserem?

– Tak.

– A nie masz takiego urządzenia, które samo skanuje cały budynek? – Dermot popisał się wiedzą. – Jak ono się nazywa?

– Jak mi kupisz, to będę miał – warknął Igor. – Cena skanera 3D do pomiarów architektury zaczyna się od trzydziestu tysięcy euro. Poza tym, ono samo niczego nie robi.

– Ale przecież to by wam bardzo ułatwiło pracę. – Johann wyciągnął z pudła małe urządzenie i zaczął je oglądać ze wszystkich stron. – Jaka oszczędność czasu. A co to jest?

– Dalmierz.

– Laserowy?

– Laserowy.

– A do czego on jest?

Igor wyprostował się i spojrzał na Johanna wzrokiem, którego od biedy można się nawet było przestraszyć.

– Tylko pytam. – Johann wzruszył ramionami. – A ten skaner to przecież pewnie można na jakieś raty albo w leasing wziąć.

– Dopiero co zdradziłem ci, że grozi nam niewypłacalność, a ty mi tu z leasingiem skanera 3D wyjeżdżasz?

Dalszą interesująco zapowiadającą się wymianę zdań, zwłaszcza dla postronnych, przerwało pojawienie się właścicielki posiadłości. Boczne drzwi wejściowe otworzyły się szeroko i stanęła w nich wysoka szczupła kobieta z długimi, związanymi w supeł blond włosami.

– Dzień dobry państwu. Miło mi państwa poznać. Zapraszam do środka. Jest dość zimno. Może najpierw napijecie się kawy? – Przyjrzała się im badawczo. – Pan Igor?

– Dzień dobry. – Igor uśmiechnął się i podszedł do kobiety. – Igor Fleming. A to są moi… – przerwał na chwilę – współpracownicy.

Aleksandra Kupiec przywitała się z Pauliną, a później po kolei z wszystkimi pozostałymi, którzy zgodnie kiwali głowami i uprzejmie się uśmiechali.

Ponieważ nie udało się wymyślić wiarygodnego wytłumaczenia, dlaczego szczecińska firma architektoniczna zatrudnia troje angielskich uchodźców, cała trójka miała nie otwierać ust.

– Dom jest zagracony. – Kobieta weszła do środka i zaczęła otwierać po kolei drzwi do poszczególnych pomieszczeń. – Ale mam nadzieję, że to nie będzie przeszkadzało w pomiarach.

– Poradzimy sobie. – Igor odwzajemnił jej uśmiech i z zaciekawieniem rozejrzał się po wnętrzu. Drzwi, którymi weszli, były wejściem bocznym, zlokalizowanym obok kuchni i jadalni. Główne prowadziło od strony elewacji frontowej i poprzedzone było niewielkim gankiem ze schodami. W holu znajdowały się reprezentacyjne drewniane schody prowadzące na piętro oraz jeszcze jedne, oddzielone balustradą, do piwnicy. Przez całą długość domu biegł korytarz, którego ściany zawieszone były różnej wielkości obrazami.

– Bardzo piękny dom. – Igor się zająknął, bo już miał zacząć zdanie po angielsku. Odkaszlnął i kontynuował po polsku. – Będziemy potrzebować dostępu do wszystkich pomieszczeń.

– Wszystko jest pootwierane. – Kobieta wskazała ręką drzwi do kuchni. – Przygotowałam dla państwa kawę i herbatę oraz jakieś ciasteczka i kanapki. Proszę się nie krępować, gdyby państwo zgłodnieli w trakcie pracy.

– Bardzo dziękujemy, ale będziemy się śpieszyć, żeby jak najwięcej dzisiaj zrobić.

– Oczywiście.

Po chwili wszyscy skupili się w jadalni, a kobieta nalała kawę do kilku filiżanek.

– My z mężem zatrzymaliśmy się w Międzyzdrojach. Mamy tam mieszkanie, ale gdyby coś było potrzeba, to tutaj na miejscu będzie pan Andrzej, który pootwiera wszystko na zewnątrz. Garaż i takie tam.

Igor spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie obawia się pani zostawić domu bez opieki?

– Pan Andrzej mieszka po sąsiedzku. A państwo raczej nie wyglądają na gangsterów. Poza tym, prawda jest taka, że poza meblami i tymi obrazami nie ma tutaj nic wartościowego. Naprawdę cenne przedmioty mój ojciec trzymał zupełnie gdzie indziej.

Igor zatopił zęby w miękkim miąższu drożdżowego ciasteczka i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Pauliną.

*

Ksiądz Merin obudził się bardzo późno. Dochodziła dziewiąta, gdy pojawił się w kuchni i bez słowa usiadł przy sosnowym stole. Nalał sobie kawy z białego dzbanka i wypił całą filiżankę prawie duszkiem. Trzeciakowa uwijała się już od siódmej. Przychodziła każdego ranka, żeby przygotować śniadanie, sprzątnąć i zrobić obiad, który później ksiądz sam sobie odgrzewał. Zdążyła już zrobić porządki, odkurzyć i właśnie zabrała się za gotowanie rosołu z indyka, gdy stanął w drzwiach. Krzątając się po kuchni, dyskretnie go obserwowała. Wyglądał fatalnie. Jakby całą noc nie zmrużył oka. Martwiła się, ale wolała o nic nie pytać, a właściwie prawda była taka, że wolała niczego nie wiedzieć. Ludzie we wsi od jakiegoś czasu patrzyli na księdza podejrzliwie i słyszała już różne komentarze. Wiele osób rzekomo widziało go pijanego. Podobno wieczorami często chodził przez las do

kościoła w Lubinie i mamrotał do siebie. A ostatnio oczy miał takie podkrążone, jakby w ogóle nie sypiał.

Ale co oni tam wiedzą. Ksiądz to też człowiek. Może ma jakie kłopoty? Może jakieś złe wiadomości z domu, od rodziny?

Właśnie! Przecież list przyszedł. Sięgnęła do fartucha i wyjęła kopertę, którą odebrała dzisiaj rano. Ksiądz jeszcze spał, gdy przyszedł listonosz. Dziwna jakaś ta koperta, szara i bez nadawcy.

– Pismo przyszło do księdza. – Położyła kopertę na stole. – Polecony, ale dziś chodził Staszek, więc podpisałam za księdza.

Gdy podniosła wzrok i spojrzała na twarz proboszcza, aż się przestraszyła.

– Niech Trzeciakowa nigdy nie odbiera listów do mnie!

Jakub Merin był zły. Patrzył na nią z wściekłością przekrwionymi oczami. Ale szybko się opanował i zdobył się na uśmiech.

– Przepraszam, pani Janino! To nerwy. Ostatnio mam na głowie sporo różnych spraw. Następnym razem odbiorę sam na poczcie. Nie trzeba fałszować podpisów.

– Dobrze, księże proboszczu. – Trzeciakowa wzruszyła ramionami.

Ksiądz sięgnął po kopertę, złożył ją na pół i włożył do kieszeni spodni.

Trzeciakowa, urażona, odwróciła się tyłem i zajęła się krojeniem marchewki. Na kuchence stał już wielki emaliowany garnek. Pomyślała, że rosołu wystarczy na dwa dni, ksiądz nigdy nie jadł dużo, a dzisiaj, poza kawą, w ogóle nawet nie tknął śniadania.

Merin dopił drugą kawę, odstawił filiżankę na spodeczek i wstał od stołu. Wsunął dłonie do kieszeni spodni i wyszedł z kuchni.

Trzeciakowa dałaby sobie głowę uciąć, że widziała, jak drżały mu ręce.

*

Aleksandra Kupiec przeszła z Igorem cały dom, otwierając wszystkie drzwi na oścież i pokazując rozmaite zakamarki, do których dostęp był utrudniony. Na poddaszu, pod skosami, były ścianki kolankowe, w których umieszczono schowki, otwierane pojedynczymi drzwiczkami w narożnikach pomieszczeń. Igor od razu pomyślał, że bardzo utrudni to pomiary, gdyż nie

było dostępu do oparć krokwi na ścianach zewnętrznych. W dodatku strych również był w całości obudowany i wyglądało na to, że nie da się w ogóle pomierzyć więźby dachowej. Pokoje były urządzone w bardzo konserwatywnym stylu. Stały w nich ciężkie ciemne meble, lub przynajmniej w kolorze drewna, na sofach i łóżkach były wzorzyste kapy, a po bokach okien wisiały zasłony poupinane dekoracyjnymi pasami. Nad niektórymi oknami były ciężkie lambrekiny, a ściany wyłożone były drogimi tapetami z materiału. Całość sprawiała wrażenie, jakby czas zatrzymał się tutaj po pierwszej wojnie światowej i nie ruszył do przodu ani na jotę.

– Moja matka miała bardzo tradycyjny gust, a po jej śmierci ojciec niczego nie zmienił. – Aleksandra Kupiec zatrzymała się przy oknie wychodzącym na ulicę i odsunęła firankę. – Pamiętam z czasów studiów, jak przyglądałam się stąd ludziom idącym do kościoła. Nad wejściem, pod wieżą, paliła się wówczas latarnia. Najpiękniej wyglądało to w zimie. Często spędzaliśmy tutaj Gwiazdkę.

Po przeciwległej stronie drogi wznosiła się porośnięta drzewami skarpa, na której szczycie stała ceglana neogotycka świątynia.

– Musicie tam wejść i obejrzeć wnętrze. – Właścicielka domu uśmiechnęła się do Igora. – Jest piękne. Zachowały się nawet protestanckie boczne empory. W ogóle cała ta mieścina jest jakby zawieszona w czasie. Pomiędzy dziewiętnastym wiekiem a współczesnością.

Igor pomyślał, że Aleksandra Kupiec jest bardzo sympatyczną kobietą. Spodziewał się raczej osoby oschłej i pewnej siebie. W takich sytuacjach ludzie często snuli podobne wspomnienia w sposób egzaltowany, dyskretnie dając do zrozumienia, że wychowali się w bezpiecznym bogatym domu i w zawoalowany sposób okazywali tym swoją wyższość. Ale w tej kobiecie nie czuło się fałszu. Rzeczywiście ciepło wspominała to miejsce.

– Mój ojciec w ostatnich latach chyba przyjaźnił się z tutejszym księdzem.

– Chyba? – Igor pomyślał, że dziwnie to zabrzmiało.

– No właśnie nie wiem, jaka była ta relacja. Jak tu przyjeżdżałam, bardzo często się odwiedzali, ale jakoś nie było między nimi pozytywnych fluidów. Zresztą, ojciec całe życie był niewierzący, deklarował się jako agnostyk. Może łączyły ich interesy? Wyczuwałam w tym jakiś mrok.

Igor popatrzył na wysoką ceglaną wieżę kościoła.

– Boże! – Kobieta westchnęła i zdecydowanym ruchem zasłoniła firankę. – Zawracam panu głowę jakimiś wspomnieniami, a wy przecież macie pracę.

– Nic nie szkodzi.

– Mój ojciec umarł niecały rok temu. Jeszcze chyba się z tym do końca nie oswoiłam.

Igor przepuścił kobietę przed sobą i ruszyli w kierunku schodów.

– Zostawiam państwa. Za chwilę przyjdzie tutaj pan Andrzej. W razie gdyby coś było potrzeba, proszę do mnie dzwonić. Aha…

Zatrzymała się w połowie schodów i odwróciła się do Igora.

– Jeśli jednak chcielibyście zostać na noc, to mieszkanie nad garażem jest przygotowane. Są tam trzy pokoje, łazienka i mała kuchenka.

Kilka minut później stali na podjeździe, gdy czarny jeep grand cherokee wyjeżdżał właśnie przez bramę. Prawie równocześnie na drodze pojawił się starszy jegomość w czarnym berecie. Pan Andrzej, jak się okazało, był emerytowanym kierownikiem budowy, co od razu wyjaśniło tajemnicę zaufania, którym darzyła go właścicielka domu. Jego błyskawiczne nadejście kazało też podejrzewać, że od dłuższego czasu tkwił w oknie za firanką, uważnie obserwując, co się dzieje.

Gwen naciągnęła głęboko na czoło czapkę z daszkiem i ukryła się za podkładką z papierem, markując rysowanie elewacji budynku, a Johann i Dermot rzucili się do wyciągania z bagażnika toyoty sprzętów pomiarowych.

– Zaczniemy od piwnicy. – Igor sięgnął do ich pudła po szkicownik i ołówki. – Muszę zrobić szkice.

– Za moich czasów to się używało szlauchwagi[22] i zwyczajnej taśmy mierniczej. – Pan Andrzej z zainteresowaniem obejrzał laserową poziomicę, którą Johann i Dermot z rozpędu zabrali z samochodu.

– Widziałem szlauchwagę na studiach. – Igor się uśmiechnął. – Mieli ją w Zakładzie Geologii.

– Dawne czasy. – Starszy pan się odwrócił i wskazał ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Pracowałem jako kierownik budowy

w Międzyzdrojach i Świnoujściu. Budowaliśmy kilka domów wypoczynkowych z płyt. To wówczas była nowa technologia, prefabrykaty.

Igorowi stanęły przed oczami znajdujące się w wielu nadmorskich miejscowościach bloki wypoczynkowe z wielkiej płyty, obecnie pomalowane na ciepłe róże i fiolety, i stwierdził, że bezpieczniej będzie powstrzymać się przed komentarzem.

– A teraz to odpoczywam na emeryturze. – Pan Andrzej wszedł na pierwszy stopień schodów. – Czasem pomagam tylko, jak ktoś coś tutaj buduje albo remontuje.

Igor dźwignął z ziemi pudło ze sprzętem i ruszył po schodkach do domu, wymijając po drodze starego majstra.

Za jego plecami przemknęli chyłkiem Johann i Dermot, którzy zniknęli we wnętrzu. Igor miał właśnie wejść za nimi, gdy poczuł, jak stary majster łapie go za ramię. Odwrócił się zdziwiony.

Pan Andrzej patrzył na niego dziwnie podejrzliwym wzrokiem.

– Panie, przyznaj się pan – rzucił przyciszonym głosem.

Igor zmartwiał. „Na złodzieju czapka gore”, pomyślał. Ale przecież nikt nie zrobił niczego złego.

– Przyznaj się pan. – Pan Andrzej wskazał ruchem głowy drzwi budynku. – To Ukraińcy?

Igor szeroko otworzył oczy.

– Co takiego?

– No, przecież widzę. Panie, mnie pan nie oszukasz. Nie mówią nic. Nie patrzą w oczy. Ubrani w dresy z Biedronki. Zatrudniasz pan Ukraińców, bo pewnie są dużo tańsi.

Igorowi na moment odjęło mowę. W końcu westchnął i przytaknął.

– Wiedziałem! – Uśmiechnął się protekcjonalnie. – Tylu młodych chłopaków kończy u nas budowlankę, technikum, a pan Ukraińców zatrudniasz.

– Takie życie – mruknął Igor z rezygnacją.

– Mój wnuk w zeszłym roku skończył technikum i co? Pracuje na promie w Świnoujściu.

– Ale oni właściwie nie pracują u mnie.

– A co? – Pan Andrzej się zachmurzył. – ZUS i te sprawy?

– Ano. – Igor stwierdził, że surrealizm sytuacji powoli zaczyna go przerastać. – Nie stać mnie na zatrudnianie ludzi.

– Ech!… – Pan Andrzej machnął ręką. – Co za czasy. Dobra, panie, bo ja pana zatrzymuję, a wy robotę macie. Ja się tu pokręcę, a potem będę w kuchni siedział. Jakby co, to wołać.

Igor wszedł do jadalni i widząc wpatrzone w niego trzy pary oczu, westchnął.

– Mam już dość tej inwentaryzacji.

– Przecież jeszcze nie zaczęliśmy – mruknął Johann.

– Tym bardziej.

– A gdzie Gwen? – Paulina spojrzała w kierunku drzwi.

– Pewnie nadal udaje rysowanie elewacji. Boże, mam nadzieję, że nie natknie się tam na tego staruszka.

– Czemu? Coś się stało?

– Nie chcę teraz o tym mówić. Potem wam powiem. – Igor spojrzał na zegarek. – Wpół do dwunastej! A myśmy nawet palcem nie ruszyli. Pójdę przez was z torbami.

– No to co my mamy w końcu robić? – Dermot rozłożył ręce.

Igor wskazał stojące na środku pomieszczenia pudło.

– Niech któryś weźmie aparat i robi zdjęcia. Każdej ściany i wszystkiego. Nie mebli! Tylko elementów architektonicznych!

– Aż tacy tępi nie jesteśmy – mruknął urażony Johann i pochylił się nad pudłem.

Igor sięgnął po blok i ołówki i zaczął rysować rzut pomieszczenia.

Paulina ruszyła za Johannem i przystąpiła do robienia zdjęć komórką.

– Mieliśmy się tutaj rozglądnąć – wyszeptał Johann.

– Nie bardzo wiem, na czym miałoby to polegać.

– Jakbyśmy mieli skaner 3D, to można by nim namierzyć ukryte pomieszczenia albo jakieś podziemia – syknął Dermot.

– Skaner 3D nie robi takich rzeczy.

– Jak nie? Przecież tak się właśnie poszukuje różnych dziur i lochów.

– Masz na myśli georadar.

Przez chwilę panowała cisza. Słychać było jedynie dźwięk migawki w lustrzance Igora.

– Ale georadaru pewnie też nie masz. – Dermot spojrzał na Igora z nadzieją.

Igor parsknął, nie odrywając oczu od kartki, na której pracowicie rysował rzut kuchni, gdzie akurat się znajdowali.

– Rozejrzałam się trochę po parterze. – Paulina zatrzymała się obok Igora i zajrzała mu przez ramię. – Jeśli ten Kłosowski trzymał cenne rzeczy gdzieś indziej, to chyba nic tu nie zobaczymy.

– Nieukrytego się nie szuka.

Paulina spojrzała na niego zdezorientowana.

– To znaczy?

– Gdybym chciał coś ukryć, w sensie jakieś dzieło sztuki, to umieściłbym to w widocznym miejscu.

– To takie bardzo literackie.

– Dlaczego?

– Brzmi jak z jakiegoś opowiadania Archera[23]. W tym domu pewnie przewijało się sporo znawców. Z łatwością by poznali, gdyby jakiś wartościowy przedmiot znajdował się na widoku.

– Naprawdę pomyślałabyś, że obraz, który wisi na ścianie, to oryginał van Gogha?

– Który?

Nad kuchennym stołem wisiały słynne *Słoneczniki*. Płótno, rozpięte na samym blejtramie, gładko wtapiało się w pomalowaną na piaskowy kolor ścianę.

– Zwariowałeś? Nawet ja wiem, że oryginał wisi w Monachium.

– Van Gogh namalował w sumie jedenaście obrazów ze słonecznikami. Cztery w Paryżu i osiem w słynnym Żółtym Domu w Prowansji. Najsłynniejsza wersja wisi akurat w Monachium. A jeśli były jakieś inne?

Paulina pochyliła się nad stołem i uważnie oglądała świetliście żółty obraz.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– W końcu portrety Rabenerów Kłosowski też musiał gdzieś trzymać.

Paulina ponownie spojrzała na Igora i jeszcze raz na obraz nad kuchennym stołem.

– E tam. – Pokręciła w końcu głową. – Wkręcasz mnie. Bardziej mnie przekonuje koncepcja chłopaków, z jakimś ukrytym tutaj pomieszczeniem.

– No to rzeczywiście musielibyśmy skombinować georadar.

– A poznałbyś, gdyby tu gdzieś wisiały te trzy brakujące portrety Rabenerów?

– Jak? – Igor wzruszył ramionami. – Przecież mówiłem, że nigdzie nie ma ich zdjęć. Były owalne, wiadomo jedynie tyle.

– Skoro Borola rozpoznał je na aukcji w Warszawie, to znaczy, że widział je wcześniej. Musiał je po prostu znać.

Igor pokręcił głową.

– On nie jest ekspertem. Może na przykład widział je kiedyś u Kłosowskiego, ale nie miał pojęcia, skąd pochodzą. Dopiero później jakoś to odkrył i stąd jego zainteresowanie domem na klifie.

Igor skończył rysować rzut. Obrzucił spojrzeniem wszystkie ściany i zaznaczył miejsca, w których umieszczone były instalacje i kratki wentylacyjne.

– Idziemy do następnego pokoju. – Spojrzał na Paulinę. Stała oparta o stół i przeglądała coś w swoim telefonie. – To chyba gabinet.

Narożny pokój miał kształt kwadratu i dwa okna, wychodzące na południe i na zachód. Widok, który się stąd rozciągał, zapierał dech w piersiach. Bezmiar szmaragdowego trawnika, zamknięty kolekcją dekoracyjnej zieleni, która nie zasłaniała widoku na zalew, ale wzbogacała go efektownymi

kształtami drzew i krzewów. Nawet o tej porze roku i w taką pogodę widok poplątanych kanałów i zatok meandrujących wśród dzikich wysp oraz ciągnących się po horyzont ostrowów był urzekający.

– Za ile ten dom jest wystawiony? – Gwen odsunęła firankę. – Milion euro? Trochę drogo, mimo wszystko. Ceny nieruchomości nad Bałtykiem są w Polsce krańcowo wyśrubowane. Za milion euro można kupić willę na południu Francji.

Paulina wpatrywała się w widok za oknem i myślała, że chyba nie można być nieszczęśliwym, mieszkając w takim miejscu, mogąc codziennie chodzić na brzeg klifu i patrzeć na morze. A po drugiej stronie jeszcze ten kościół na wzniesieniu, jak z obrazów Caspara Friedricha.

– Nie gadajcie tak głośno – szepnął Igor. – Ten facet siedzi w kuchni. Chyba że któreś mówi po ukraińsku.

– Po ukraińsku? – Gwen spojrzała na niego zaskoczona. – Dlaczego?

– Potem wam to wyjaśnię. Teraz musimy wreszcie zacząć coś robić. Skończyłem szkice.

– Mieliśmy rozpocząć od piwnicy – odezwał się Johann. – Przy okazji rozejrzymy się tam dokładnie.

– W ogóle żadnego planu nie macie. – Dermot po cichu przymknął drzwi. – Przyjechaliście tutaj całkiem nieprzygotowani.

– Ja mam bardzo konkretny plan. – Igor potrząsnął trzymaną w ręku plastikową teczką. – Muszę zrobić inwentaryzację.

– A my? – Paulina oderwała się od widoku za oknem i wyszła na środek pokoju.

– Mierzymy każdą ścianę w ciągu…

– W czym? – Johann spojrzał na Igora zdezorientowany

– Ciąg? Masz na myśl ciąg arytmetyczny? – Paulina podniosła brwi.

– Ciąg wymiarów. Przykładasz taśmę do ściany i po kolei podajesz wszystkie wymiary przy oknach, drzwiach i tak dalej…

– Przecież nie mamy taśmy.

– Chryste! – Igor opuścił ręce i spojrzał w sufit. – Od tego są dalmierze.

– Ale mieliśmy zacząć od piwnicy. – Johann spojrzał w kierunku drzwi.

– Nie będziemy się pętać wte i wewte po domu. Równie dobrze możemy zacząć tu, gdzie jesteśmy.

Paulina westchnęła głośno

– To co ja mam w końcu robić?! Przydziel nam jakieś zadania.

– Myślałem, że na tym materiałoznawstwie mieliście elementy budowlanki.

– Wy też pewnie mieliście geodezję. Potrafisz obsługiwać teodolit?

Igor ze zniecierpliwieniem pokręcił głową i sięgnął do pudła, które chwilę wcześniej Johann i Dermot przyciągnęli z kuchni. Wyjął dwa dalmierze. Jeden podał Johannowi, a drugi wyciągnął w kierunku Pauliny.

– Dobra! Jesteś zerem.

– Co takiego?!

Igor, który ruszył w kierunku okna, zatrzymał się i obejrzał, zdziwiony.

Paulina, urażona, patrzyła na niego ze złością.

– Nie przesadzasz trochę?! Ja ci nie ubliżam!

– Co takiego?

– Teraz udajesz głupiego?

Przez moment stali w milczeniu i patrzyli na siebie. Dopiero po dłuższej chwili Igor jęknął.

– Jezu! Wiedziałem, że to wszystko tak właśnie będzie wyglądało.

– Jeszcze masz pretensje?!

Igor westchnął zniechęcony.

– Tradycyjne pomiary z taśmą robią trzy osoby. Jedna notuje, a dwie mierzą. Jedna trzyma koniec taśmy, a druga po kolei odczytuje wyniki. O tym, który trzyma koniec taśmy, mówi się, że jest zerem.

Paulina patrzyła z niedowierzaniem.

– Nie wymyśliłeś tego na poczekaniu przypadkiem?

Igor parsknął.

– Jasne.

– To jakaś budowlana grypsera.

– To najgorsza inwentaryzacja, jaką robiłem w życiu. – Igor pochylił się nad dalmierzem Pauliny. – Klikasz w to, kierujesz laser na ścianę i odczytujesz wynik w tym okienku.

– Co ja mam z tym robić? – spytał Johann.

Igor w tym momencie sobie uświadomił, że od jakiegoś czasu rozmawiają z Pauliną po polsku. Jęknął i powtórzył instrukcję obsługi dalmierza po angielsku.

– Będziesz mi podawał wysokości. O tak. – Kucnął i przyłożył dalmierz do ziemi, kierując czerwoną plamkę lasera na sufit.

– I ty chciałeś to skończyć w dwa dni? – odezwał się Dermot, który cały czas stał przy drzwiach i pilnował, czy przypadkiem nudzący się w kuchni pan Andrzej nie zechce przyjść popatrzeć.

Igor rzucił mu spojrzenie bazyliszka i podszedł do okna.

– Metr dwadzieścia trzy. – Paulina odczytała pierwszy wymiar. Igor pochylił się nad swoim szkicem.

Johann spojrzał na wyświetlacz dalmierza.

– Pokój ma wysokość trzy dwadzieścia.

Chciał się właśnie wyprostować, gdy zainteresowały go zdobienia ogromnego neorenesansowego biurka, które, niczym wielki brunatny niedźwiedź, stało na rzeźbionych pazurach w narożniku gabinetu.

– Piękne. – Dotknął drewnianej kariatydy na narożniku mebla podtrzymującej profilowany gzyms, nad którym umieszczona była szuflada. Biurko składało się z ogromnej politurowanej płaszczyzny blatu wspierającego się na dwu szafkach, w których mieściły się rzeźbione drzwiczki.

Johann sięgnął po tkwiący w zamku kluczyk z wielkim mosiężnym kółkiem i pociągnął. Szafka otworzyła się, ukazując wnętrze z posegregowanymi równiutko papierami.

– Zostaw to! – syknęła Gwen. – Ten pan w każdej chwili może tutaj wejść.

– Dermot przecież pilnuje. – Johann sięgnął po plik dokumentów.

– Wy zamierzacie w ogóle mi pomagać? – Igor ze zniecierpliwieniem

odwrócił się do klęczącego przy biurku Johanna i stojącej mu nad głową Gwen.

– Pięć pięćdziesiąt dwa! Lepiej zapisuj, bo potem będziesz pytał. – Paulina odczytała kolejny wynik i przeszła na drugi koniec pokoju. – Następna ściana. W drzwiach podać ci też te dekoracyjne drewniane listwy?

– Opaski? Nie. Światło!

Dermot przekręcił mały pstryczek przy drzwiach i wisząca na środku sufitu lampa rozjarzyła się kryształowym blaskiem.

– Światło dawaj! – Igor patrzył na Paulinę.

– No przecież Dermot zapalił. Po co ci światło? Jest jasno.

– Ja tu zwariuję prędzej, niż to skończymy. – Igor oparł się o ścianę. – Światło to wymiar otworu w drzwiach. Bez uwzględniania framug i listew.

– Skąd miałabym to wiedzieć?

– Będziemy robić te pomiary do Wielkanocy.

– Popatrz na te rzeźbienia. – Johann dotknął brązowo-złotych, wyrzeźbionych w drewnie szat, w które ubrana była nimfa podtrzymująca nad głową drewniany gzymsik.

– Takie same kariatydy są po bokach. – Gwen kucnęła obok niego. – To jest renesans?

– Chyba neorenesans. Nie wiem…

Johann przerzucał papiery, nie zatrzymując się na żadnym z nich.

– Zostawcie to, bo ten dziadek zaraz wejdzie i wylądujemy w więzieniu! – Paulina przyłożyła dalmierz do framugi drzwi i spojrzała z irytacją na Johanna i Gwen grzebiących przy zabytkowym biurku.

Dermot oderwał się od drzwi i pochylił się nad Johannem.

– Coś ciekawego tu jest?

– Tylko jakieś stare rachunki.

Paulina wyjrzała na korytarz.

– Ja mówię poważnie. To są jakieś prywatne rzeczy – syknęła do Johanna, który cały czas przeglądał papiery.

– No już dobra, dobra – szepnął i włożył wszystko z powrotem do biurka.

Gdy zamykał drzwiczki szafki, coś zwróciło jego uwagę.

– Trzysta sześćdziesiąt trzy i pół. – Paulina podała Igorowi kolejny odczyt dalmierza.

– Bez pół podawaj.

– A skąd mam wiedzieć, w którą stronę zaokrąglać.

– W tę większą.

– Jest równo pół.

– Notuję trzysta sześćdziesiąt trzy.

– Ja nie wiem, po co ci ten laser. Taką dokładność to można osiągnąć i centymetrem krawieckim.

– Coś tutaj jest. – Johann klęknął przy bocznej ścianie i zaczął oglądać narożnikową kariatydę.

– Dajcie już z tym spokój, do diabła! – Igor stanął nad głową Johanna.

– Ale tu coś jest…

Johann wsadził paznokieć w szparę pomiędzy płaszczyznę bocznej ściany a kariatydę i zaczął podważać.

– Przydałby się jakiś śrubokręt.

Odwrócił się i przerzucił kilka leżących na wierzchu pudła narzędzi. Śrubokręt był na samym dnie. Długi z płaską końcówką.

– Jasne! Jeszcze rozwalcie to biurko. To jest jakaś cholerna gdańska robota. Pewnie warta tyle, co dwa skanery 3D.

Mimo prób podważania śrubokrętem płaskorzeźba ani drgnęła.

– A to? – Gwen dotknęła owalnej, wyrzeźbionej w formę płatków kwiatu gałki nad kariatydą.

– Chyba słyszę kroki. – Paulina spojrzała w kierunku drzwi.

– To chyba się rusza. – Gwen ze zdziwieniem złapała za gałkę i przekręciła.

Rozległ się cichutki zgrzyt i kariatyda lekko się odchyliła.

W pokoju zapanowała kompletna cisza.

Wszyscy na moment zamarli, z niedowierzaniem patrząc na zabytkowy

mebel.

Dopiero po chwili Johann podniósł rękę i dotknął płaskorzeźby. Odchyliła się cichutko jeszcze dalej, ukazując wąski schowek, w którym tkwił jakiś niewielki pakunek.

– Co to jest? – Dermot odzyskał mowę i pochylił się nad głową Johanna.

– Nie mam pojęcia.

– To wyjmij i zobacz – odezwał się Igor.

– Dopiero jęczałeś, żeby to zostawić.

– Wyjmij, do diabła! – warknął Dermot.

Kroki za drzwiami rozległy się tym razem całkiem wyraźnie.

Johann sięgnął do skrytki i po chwili trzymał w rękach zakurzony notes z wetkniętymi pomiędzy kartki papierami.

– Zamknijcie to! – syknęła Paulina. – Dziadek tu idzie!

Johann podniósł wzrok i w panice rozejrzał się wokół siebie.

Kroki słychać było już tuż za drzwiami.

Igor pochylił się nad Johannem, wyszarpnął z jego rąk notes i włożył go pomiędzy szpargały w pudle. Prawie jednocześnie Gwen pchnęła kariatydę, która zamknęła się z cichutkim trzaskiem.

Johann podniósł się w pośpiechu, po drodze zabierając z podłogi dalmierz.

Mała czerwona laserowa plamka przemknęła po ścianie i drzwiach i zatrzymała się centralnie na czole pana Andrzeja, który właśnie stanął w progu.

Rozdział 16

Przez dłuższą chwilę pomieszczenie wyglądało jak gabinet figur woskowych. Pan Andrzej, który był chyba zaskoczony nie mniej niż pozostali, wpatrywał się, przestraszony, w całą piątkę. W końcu Igor drgnął, sięgnął do tkwiącego w ręku Johanna dalmierza, który nadal wskazywał laserowym celownikiem okolice czoła emeryta, i wyłączył go.

– A co państwa tak zamurowało? – Starszy pan spojrzał na Igora.

Paulina, która po uchyleniu drzwi jako jedyna została poza polem widzenia pana Andrzeja, zachowała także w związku z tym najwięcej trzeźwości umysłu.

– Korniki.

– Że co?

– Korniki. – Wyjrzała za drzwi. – Wydawało nam się, że słyszymy ten szmer. Taki, jak to one wydają.

Pan Andrzej przez chwilę patrzył na Paulinę zdezorientowany, po czym jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– A, to może być. – Energicznie pokiwał głową. – Rzeczywiście. Tyle tu tych starych mebli. To biurko to podobno z jakiegoś nawiedzonego dworu czy domu z okolicy pochodzi.

Paulina spojrzała na Igora porozumiewawczo.

Igor w końcu odetchnął. Mimochodem rzucił okiem w kierunku pudła z narzędziami. Zakurzona okładka starego notatnika wystawała spomiędzy maneli.

– Nawiedzonego dworu?

– Tak ludzie gadają. Ono tu stało, jeszcze jak Ośrodek Wczasów Pracowniczych tu był. Tyle że zniszczone było jak piorun i dopiero pan Kłosowski tak je obstalował, że jak antyk wygląda.

– O co drugim dworze chyba się mówi, że w nim straszy. Wiadomo, o jaki dwór chodziło?

– Ja tam nie wiem, ale o tym dworze to jeszcze Niemcy ponoć tak gadali. Musielibyście porozmawiać z księdzem. On u nas jest ekspertem od starych czasów. Pan Kłosowski także interesował się historią. Pewnie dlatego tak dobrze się dogadywali.

Igor spojrzał na Paulinę, która uniosła brwi. Niestety, raczej lekceważąco. Opowieści o domach, w których straszy i o domach Goeringa pokutowały prawie w każdej większej wsi na Pomorzu. Przypomniał sobie, że ma przecież kolegę, który urodził się w Wapnicy. To chyba on mu opowiadał, że jako dziecko bał się chodzić do jakiegoś zrujnowanego domu, którzy miejscowi nazywali Złotym Dworem. Ponoć stoi jeszcze pod lasem, gdzieś między Lubinem a Wapnicą. Zawsze się zastanawiał, skąd mogła się wziąć ta nazwa. Kolega nie wiedział, ale może właśnie teraz usłyszeli odpowiedź. Stary dom, w którym straszyło, a z którego rzekomo pochodziło stare biurko. Złoty Dwór, czyli świetne miejsce na świetny szaber.

– Jeśli chcecie mierzyć piwnicę, to muszę wam otworzyć. – Pan Andrzej podniósł pęk różnej wielkości stalowych kluczy.

– Jeszcze nie skończyliśmy parteru. – Igor rozejrzał się niezdecydowanie.

– To parter potem skończycie. Ja o pierwszej muszę na dwadzieścia minut skoczyć do domu, bo mam wziąć leki. To teraz was wpuszczę. Pani Aleksandra kazała piwnicę zamykać, bo tam jest bardzo drogie wino.

Igor się uśmiechnął. No tak, brali ich za typowych budowlańców. Co tam biurko gdańskie, którego zresztą nie zdołaliby wynieść stąd nawet we trójkę, gdy w piwnicy leżakowało cenne wino.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do pierwszej. Zmarnowali mnóstwo czasu, a nawet jednej kondygnacji nie pomierzyli. A co dopiero przekroje, więźba…

No i ten zakurzony notatnik, do którego jeszcze nie zdążyli zajrzeć. Rzucił okiem w kierunku pudła z narzędziami. Nie uszło to uwadze starszego pana.

– Niech to tutaj stoi. Nic nie zginie. – Kiwnął ręką. – A wy chodźcie ze mną.

Igor obejrzał się do Johanna i Gwen, żeby przetłumaczyć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Pokazał palcem drzwi.

– Do piwnicy idziemy! – powiedział głośno. Widząc przestraszone spojrzenia, wskazał palcem na podłogę. To też niewiele pomogło, więc skinął ręką, żeby szli za nim.

– Chyba nie rozumią. – Pan Andrzej zarechotał i wyszedł z gabinetu. – A z Polakami po technikum albo budowlance nie miałbyś pan takich kłopotów. No, ale jak pan chcesz zarobić, to musisz się pan męczyć.

Paulina otworzyła szeroko oczy i spojrzała na Igora pytająco.

Skierował wzrok do nieba i pokręcił głową.

*

Do piwnicy prowadziły wąskie jednobiegowe schody. Wyłożone nowymi brązowymi kaflami ceramicznymi, raczej nie dawały złudzeń na istnienie jakichś tajemnych lochów z ukrytymi dziełami sztuki. Na dole był korytarz, także odnowiony i pomalowany na biało. Z korytarza było wejście do kilku pomieszczeń gospodarczych oraz jednego technicznego, w którym znajdowała się kotłownia. Igorowi wystarczył jeden rzut oka przez otwarte drzwi, żeby stwierdzić, że dom jest ogrzewany gruntową pompą ciepła. W czystym jak laboratorium pomieszczeniu, na tle białych ścian, stały wielkie stalowe kotły i wymienniki ciepła. Instalacja wyglądała na całkiem niedawno oddaną do użytku.

Pan Andrzej po kolei otwierał wszystkie drzwi. Za jednymi z nich, w sporym kwadratowym pomieszczeniu, stały pod ścianą drewniane rusztowania, na których leżały całe sterty butelek, jedna obok drugiej.

– Pan Cezary był miłośnikiem dobrego wina – zakomunikował starszy pan. – Część z tych zbiorów sprowadził z Francji. Ale sam też robił wino.

To mówiąc, wskazał ręką na szafę, na której leżała kolekcja zielonych butelek z naklejkami z napisem Lubin.

Igor rozejrzał się po pomieszczeniu. Tak jak i kotłownia, było odnowione, z nowymi tynkami i piękną posadzką z postarzanych kafli udających antyczną mozaikę.

– Długo wam to zajmie? – Pan Andrzej zabrzęczał kółkiem z kolekcją kluczy.

Igor wzruszył ramionami. Pomieszczenia były proste, nakryte wprawdzie

odcinkowymi sklepieniami, ale one nie sprawiały trudności przy pomiarach. Tyle że zostawały okienka, drzwi prowadzące na zewnątrz, schodki do nich i widoczne gdzieniegdzie przemykające tranzytem instalacje. Dwie godziny jak obszył.

– Nie zdążymy do pierwszej. – Pokręcił głową. – Zaczniemy teraz, a skończymy, jak pan wróci.

– No, jak chcecie, Ja tu sobie posiedzę i poczekam. – Wskazał ręką drewnianą ławkę stojącą pod jedną ze ścian, niedaleko wyjścia prowadzącego, jak Igorowi się wydawało, do ogrodu.

Wszyscy popatrzyli po sobie i radzi nieradzi weszli do winiarni, która była akurat najbliżej.

*

Ksiądz Merin starannie zamknął drzwi kancelarii i usiadł przy biurku. Czuł, jak wali mu serce. Od jakiegoś miesiąca spodziewał się, że to się znowu stanie. Ciemność, która ponownie go dopadnie, a on będzie, jak zawsze, zupełnie bezsilny.

To się działo regularnie co trzy, cztery miesiące. Diabeł bawił się nim.

Zacisnął pięści na kolanach. Dłonie drżały mu tak, że gdyby wziął do ręki kubek z kawą, to część zawartości pewnie by wylał.

Wyjął z kieszeni szarą kopertę i położył ją na biurku.

Nie miał siły do niej zajrzeć. Chciał ten moment odciągnąć w czasie tak długo, jak się da.

Dawało mu to złudzenie panowania nad wydarzeniami. Tylko tyle mógł. Otworzyć kopertę teraz albo poczekać z tym do wieczora.

Na nic innego nie miał wpływu.

Sięgnął do szafki w biurku i wyciągnął butelkę. I jeszcze to zostało. Szklaneczka whisky. Po jej wypiciu czuł, jak rozlewa się w nim ciepło i na krótki, króciutki moment roztapia lód.

*

Pomiary piwnicy skończyły się raptem na dwóch pomieszczeniach. Reszty

nie udało się nawet zacząć, gdy starszy pan podniósł się i stwierdził zdecydowanie, że już absolutnie musi wyjść. Przedsionek, z którego dostępna była kuchnia, oddzielony był od reszty domu przeszklonymi drzwiami. Pan Andrzej zamknął je na klucz, zaprosił wszystkich do kuchni, powiedział, że wróci za dwadzieścia minut, po czym wyszedł.

– Jak tak dalej pójdzie, to i tygodnia będzie mało, żeby skończyć tę cholerną inwentaryzację. – Igor sięgnął po dzbanek i nalał sobie gorącej herbaty.

– A notes został w gabinecie – grobowym głosem mruknął Dermot. – Nawet nie możemy do niego zajrzeć, korzystając z chwili spokoju.

– Będziemy musieli jakoś podrzucić go z powrotem. – Gwen obiema rękami podniosła do ust filiżankę. – Nie sądzicie, że tu jest zimno?

– Ogrzewanie jest pewnie ustawione na jakąś dyżurną temperaturę, skoro właścicielka zatrzymała się w Międzyzdrojach. – Igor rozejrzał się po kuchni.

Była urządzona w stylu prowansalskim. Szafki w jasnym kremowym kolorze, kafle ceramiczne na posadzce i wielki historyczny kredens z orzechowego drewna. Nad stołem, przy którym siedzieli, wisiały *Słoneczniki*, o których dopiero co rozmawiał z Pauliną.

– Nie obejrzeliśmy tego biurka dokładnie. – Johann spojrzał w kierunku wyjścia. – Nie wiadomo, czy będziemy mieć jeszcze okazję, a tam mogły być jakieś inne skrytki. Takie meble z reguły mają ich kilka.

– Sądzisz, że on miał na myśli dwór Boroli? – Paulina spojrzała na Igora. – Ten niesamowity, z którego pochodzi biurko?

– Jaki niesamowity dwór? – Dermot spojrzał na Paulinę, a zaraz potem na Igora.

– Nawiedzony, nie niesamowity. – Igor odstawił kubek na stół.

– Jaki nawiedzony?

Igor streścił angielskojęzycznej trójce swoją krótką rozmowę z panem Andrzejem, a następnie opowiedział historię o Złotym Dworze.

– Ale dowodów na to, że biurko jest z tego Złotego Dworu, nie ma. – Johann z namysłem popatrzył w okno. Zagryzł wargi.

– Jest to zdecydowanie bardziej prawdopodobne, niż że pochodzi z dworu

pod Troszynem.

– Notes wyglądał na stary. – Paulina sięgnęła po czekoladowe ciasteczko.

– Dobra! – Johann nagle wstał. – Mamy jeszcze z piętnaście minut! Tylko tracimy czas.

– O czym ty mówisz? – Igor spojrzał na niego podejrzliwie.

Johann sięgnął do kieszeni i wyciągnął cieniutki śrubokręt.

– Zwinąłem go z twojego pudła. Miałem przeczucie, że jeszcze może się przydać. Niech ktoś stanie przy drzwiach i pilnuje.

– Co ty robisz? – Gwen szeroko otworzyła oczy.

Johann wyszedł na korytarz i pochylił się przy drzwiach prowadzących do wnętrza domu.

– Zwariowałeś? – Igor wyszedł za nim i stanął za jego plecami.

Johann wsadził cieniutki śrubokręt do dziurki od klucza i po chwili drzwi stanęły przed nimi otworem.

– Chryste! – Paulina wyszła na korytarz. – Przez te twoje arystokratyczno-patologiczne zdolności z internatu spędzimy kilka nocy w wiejskim więzieniu.

– Tu nie ma żadnego wiejskiego więzienia – zaprzeczył Igor machinalnie. – To nie amerykański serial. Najbliższe więzienie jest pewnie w Międzyzdrojach.

– Sądzisz, że to w jakiś znaczący sposób zmienia naszą sytuację?

Johann zniknął w pogrążonym w półmroku korytarzu. Igor spojrzał na Paulinę. Westchnął ciężko i ruszył za nim.

– Gwen, stań przy drzwiach! – Paulina wskazała ręką wyjście. – Jak tylko facet pojawi się na drodze, wrzeszcz!

– Po angielsku czy po ukraińsku? – zakpiła Gwen. Ze zdenerwowania poczuła, że zrobiło jej się gorąco.

Paulina z Dermotem wbiegli za Igorem i po chwili stali na progu gabinetu. Rzucili się do biurka.

Johann na kolanach oglądał mebel, wsadzając śrubokręt w każdą szparę. Igor usiłował pokręcić wszystkimi pozostałymi gałkami po kolei.

Paulina stwierdziła, że wyglądają jak dwaj szaleńcy. Spojrzała w kierunku pudła z narzędziami, ale ubiegł ją Dermot. Podszedł do kontenera i sięgnął do wnętrza.

Notatnik miał brązową skórzaną okładkę, a w środku pomiędzy niektórymi stronami poupychane były luźne kartki, koperty i zdjęcia.

– Wygląda jak typowy notes. – Paulina zajrzała przez ramię Dermota. – Otwórz, zobaczymy, co jest w środku.

– Po co my to robimy? – Igor obmacywał po kolei każdy gzyms. – Przecież i tak będziemy kończyć pomiary na parterze.

– Nie wiadomo. Ten pan Andrzej może za nami wszędzie łazić.

– A jak zamkniesz drzwi z powrotem?

– Nie zamknę. Wytrychem się nie da.

– Jezu! Przecież on nabierze podejrzeń.

– Wmówimy mu, że po prostu się śpieszył i nie zamknął. Rusza się tam coś?

– Nic. – Igor kucnął i wsadził rękę pod blat. Przejechał nią po całej powierzchni starego drewna, ale nie natknął się na żadną nierówność.

Paulina umierała z ciekawości, gdy Dermot otwierał okładkę. Miała wrażenie, że on strasznie się grzebie

– Tylko jakieś notatki. – Dermot, rozczarowany, pokręcił głową.

– Pokaż! – Paulina wydarła mu notatnik i otworzyła na przypadkowej stronie.

Na pożółkłym papierze było kilka numerów telefonów z nazwiskami i komentarzami.

Przerzuciła parę stron. Jakieś uwagi na temat remontu garażu. Zapisane oferty z cenami. Nic ciekawego. Kilka stron dalej było wetknięte zdjęcie. Jakaś kobieta. Ubrana w prostą spódnicę i koszulę w kwiatki. Włosy farbowane na zjadliwie rudy kolor, upięte wysoko na głowie. Na odwrotnej stronie imię i nazwisko. Małgorzata Howińska.

– Nic. Żadnej skrytki. – Johann, zniechęcony, spojrzał na Igora.

– Tę pierwszą, zakładając w ogóle, że są inne, znaleźliśmy przez czysty przypadek. To głupota spodziewać się, że błyskawicznie znajdziemy

następne.

– Pod spodem patrzyłeś? – Johann sięgnął ręką pod biurko i z głową prawie na podłodze zaczął sprawdzać dno.

– Nic – powiedział rozczarowany.

– Tu też nic nie ma. – Paulina westchnęła. – Zwykły notes z jakimiś zapiskami plus rodzinne zdjęcia. Trzeba to odłożyć z powrotem do skrytki.

W tym momencie z głębi domu rozległ się sceniczny szept Gwen.

Cała czwórka popatrzyła na siebie, po czym wszyscy rzucili się w kierunku drzwi. Paulina zatrzymała się zdezorientowana i spojrzała na trzymany w ręku notes. Cofnęła się i wsadziła go z powrotem do pudła. Rzuciła się do drzwi i zatrzymała znowu z ręką na klamce. Odwróciła się, dopadła do kartonu, wyjęła notes i wsadziła go sobie pod bluzę. Wypadła w końcu na korytarz, prosto na Johanna, który najwyraźniej cofnął się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Przebiegli przez korytarz i wypadli do przedsionka, gdzie blada jak płótno Gwen przez szparę w drzwiach wyglądała na podjazd. Paulina wybiegła z korytarza ostatnia i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy pan Andrzej stanął w progu, wszyscy siedzieli już przy stole w kuchni.

*

Borola wszedł do swojego gabinetu i starannie zamknął drzwi. Prawdę powiedziawszy, biuro w tak drogim nowym biurowcu właściwie nie było mu potrzebne. Spotkania z klientami i kontrahentami organizował w swoim hotelu lub w którejś z licznych restauracji. Poniedziałkowe zebrania całego zarządu oraz kierowników wszystkich lokali i firm także odbywały się w sali konferencyjnej hotelu. Jedyne, co uzasadniało kupienie biura w tak prestiżowym miejscu, to właśnie prestiż. No i oczywiście lokata kapitału. Na nieruchomościach w takiej lokalizacji nie można było stracić. Poza tym w biurowcu znajdowała się także kancelaria prawna, z której usług korzystał, oraz biuro rachunkowe, które prowadziło księgi wszystkich jego przedsiębiorstw. Miał więc pod ręką całe zaplecze logistyczne. W swoim nowoczesnym gabinecie, którego jedna ściana była całkowicie przeszklona,

czasami spotykał się ze wspólnikami i najbliższymi pracownikami. Dzisiaj także był umówiony na pewne spotkanie, którego cel wymagał zachowania pełnej dyskrecji. Od czasów słynnych obiadów w restauracji Sowa i Przyjaciele nie ufał knajpom. Nawet własnym.

*

Międzyzdroje przed sezonem przypominały starzejącą się, przyłapaną jeszcze bez makijażu i w samej bieliźnie kurtyzanę. Igorowi zawsze kojarzyły się z obrazami Henri de Toulouse-Lautreca, na których smutne, trochę groteskowe tancerki kabaretowe, metresy i aktorki z tanich teatrzyków, siedząc w niedbałych pozach, zgarbione lub rozwalone na otomanach, bezmyślnie wpatrywały się w przestrzeń. Malarz uchwycił je w momencie, gdy niczego nie udawały. Za kulisami lub w tanich knajpach, w oczekiwaniu na występ czy klienta lub pogrążone w apatii. Podobnie Międzyzdroje. Na głównych ulicach prezentowały się całkiem elegancko, ale wystarczyło wjechać pomiędzy wąskie uliczki prowadzące do promenady, by dostrzec całą nieukrywaną, sezonową tymczasowość. Stare wille, pooblepiane markizami, zadaszeniami i ogródkami letnimi, pozasłanianymi teraz folią, ze wstydem starały się ukryć łuszczące się tynki. Pawilony, w lecie poobwieszane tanią biżuterią, kapeluszami, nadmuchiwanymi kaczkami i girlandami byle czego, o tej porze roku były dokładnie tym, czym były w rzeczywistości – skleconymi z desek budami.

Igor oderwał wzrok od okna, za którym wiatr szarpał bezlistne gałęzie drzew i porozwieszane na ogrodzeniach reklamy, i spojrzał na stół, gdzie kelner właśnie położył kilka kart dań.

Wykończone drewnem wnętrze i porozwieszane wszędzie jaśniejące żółtym światłem latarnie dawały poczucie złudnego bezpieczeństwa i ciepła.

– Ten dziadek coś podejrzewał – powtórzył Dermot po raz drugi. – Obserwowałem go, jak podszedł do drzwi i zorientował się, że nie są zamknięte. Zrobił taką minę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Oczywiście, że się zastanawiał – przytaknął Johann. – Zamykałem te cholerne drzwi czy nie zamykałem?

– A jeśli powie o tym właścicielce?

– Powie, że nie pamięta, czy zamykał drzwi, czy nie?

– Jakie to ma znaczenie? – Gwen z trzaskiem zamknęła oprawioną w drewniane okładki kartę dań. – Przecież nie zrobiliśmy nic złego. W zasadzie. To znaczy, poza włamaniem się do biurka i wnętrza domu.

Paulina parsknęła śmiechem.

– No, to faktycznie nic złego.

– Chodzi mi o to, że niczego nie ukradliśmy ani nic. – Gwen się zaplątała. – To znaczy nic wartościowego. Poza tym notesem.

Johann spojrzał na nią ze złośliwym uśmieszkiem.

– Gwendolyn Annabel Victoria Crichton-Stuart, która się tłumaczy, że jest okay, bo niczego nie ukradła.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, oprócz Gwen, która spojrzała na Johanna z politowaniem.

– Przypominam ci, że to ty włamałeś się i do biurka, i do domu. Twoja babcia padłaby trupem, gdyby się o tym dowiedziała.

– Gdyby się dowiedziała, to raczej ja bym padł trupem, a nie ona.

– A wracając do tematu… – Dermot postanowił przerwać tę wymianę zdań. – Musimy chyba powiedzieć właścicielce, co znaleźliśmy.

– To musielibyśmy przyznać się do włamania – mruknął Igor.

– Może lepiej po prostu jakoś podrzucić go z powrotem? – Gwen westchnęła. – I nic nie mówić.

– Jak? Jak mierzyliśmy parter, to dziadek nas nie odstępował. Właśnie dlatego pomyślałem, że przy tych drzwiach zaczął coś podejrzewać.

– Podrzucimy notes gdziekolwiek. – Igor oparł łokcie na stole. – Kobieta pewnie się nie zorientuje. Powiemy, że musimy zrobić jeszcze jakieś pomiary czy zdjęcia i po prostu położymy go na którejś szafie.

Johann spojrzał na Igora z powątpiewaniem.

– Dużo jeszcze w ogóle zostało?

– Czy dużo? – Igor westchnął. – Całe piętro, strych, więźba, elewacje.

– Ech. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie takie pomiary.

– Pewnie jak przygody Indiany Jonesa w Świątyni Zagłady.

– No, może nie aż tak, ale miałem nadzieję na jakiś nagły zwrot akcji.

Igor parsknął i z ubolewaniem pokręcił głową.

– No to po co temu twojemu Boroli plany domu? Do czego mogą mu się przydać?

– Może on, tak samo jak my, liczy nie wiadomo na co, a tymczasem to zwykła, wypełniona starymi meblami chałupa.

– Za milion euro – wtrąciła Paulina, nie podnosząc głowy znad notesu, który od dłuższego czasu przeglądała od niechcenia.

– Żadnych śladów zamurowanych lochów czy ukrytych w boazeriach schodów do podziemi.

– Ślady mogą być zatynkowane i niewidoczne.

– No to raczej nie skujemy tynków, żeby to sprawdzić.

Johann westchnął ciężko i wyciągnął ręce za oparcie.

– Został jeszcze strych – westchnął.

– Niczego tam nie ma. – Igor pokręcił głową. – Pusta otwarta przestrzeń. Poza jakimiś manelami i pudłami znaczy.

– Może w nich coś jest?

– Przecież nie będziemy rozpakowywać starych pudeł. Na to zresztą potrzebowalibyśmy całego tygodnia, żeby wszystko ogarnąć i jeszcze posprzątać z powrotem.

Spojrzał na siedzącego z niezadowoloną miną Johanna, po czym odwrócił się do pogrążonej w wertowaniu notesu Pauliny.

– A etyka dziennikarska? Można tak przeglądać czyjeś prywatne notatki? Może tam są jakieś osobiste, intymne rzeczy?

Paulina podniosła wzrok.

– Właściciel przecież nie żyje. – Wzruszyła ramionami i odwróciła kolejną stronę.

Między kartki wetknięty był jakiś złożony na pół dokument.

– A te wszystkie obrazy i meble, które stoją w pokojach? – Dermot podniósł głowę znad menu. Nie mógł się zdecydować, czy zamówić zupę rybną, czy rybę pieczoną.

– Raczej nie będziemy mieli okazji, żeby przetrząsnąć każdy zabytkowy zydel, tak jak to zrobiliśmy z biurkiem. Poza tym i tak już prawie wkroczyliśmy na drogę przestępstwa, a przypominam wam, że ja tutaj usiłuję zarobić kasę, żeby ratować płynność swojej firmy.

Johann spojrzał na Igora z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

– Jutro wypłacę tę kasę w banku i przyniosę ci w reklamówce. Skoro nie chcesz przelewu jak człowiek.

– Niech pan przestanie gadać głupoty, milordzie!

– A co ci to, do diabła, szkodzi? Przecież Sedinum Exploration przyniesie nam w końcu spory dochód. No, może w Szczecinie akurat nieprędko, za to w Danii na pewno.

– Ale, jak na razie, to mrzonki.

Paulina powoli rozprostowała kartkę i położyła ją na stole.

– Uparłeś się jak osioł! – Johann patrzył na Igora ze złością.

– Bo ja żyję jak normalny człowiek, a nie w jakimś arystokratycznym matrixie!

– Z tym normalnym to bym polemizowała. – Paulina pochyliła się nad kartką i zaczęła czytać.

– O czym oni mówią? – Dermot odwrócił się do Gwen.

– Lepiej nie wiedzieć za dużo.

– O, cholera!

Przy stole zapadła cisza.

Igor popatrzył na Paulinę z niepokojem pomieszanym z irytacją.

– Co się stało?

Paulina podniosła wzrok znad pożółkłej kartki. Przesunęła ją w kierunku Igora.

– Ktoś tu mówił o jakimś nagłym zwrocie akcji.

Igor przez chwilę patrzył na Paulinę, po czym spojrzał podejrzliwie na stary kawałek papieru. Przypominał jakiś druczek, oficjalny formularz, który ktoś zapełnił równym kaligraficznym pismem.

W temacie działań operacyjnych KBW na Wolinie w tak zwanej sprawie komnaty wiem niewiele. W tamtym okresie pełniłem funkcję Pełnomocnika Generalnego na Ziemie Odzyskane. W czasie operacji bojowej KBW na Wolinie przeciwko reakcjonistom i niemieckim bandytom zostałem wezwany na Wolin dwukrotnie.

Było tam wówczas prowadzone śledztwo w sprawie ukrycia przez bandy Werwolfu cennych przedmiotów kultury w zrujnowanym pałacu. Do tego zadania został przydzielony oddział z 12 Pułku KBW ze Szczecina.

Przesłuchano wtedy kilku obywateli narodowości polskiej i kilku Niemców.

Obywatel Polak, nazwiska nie pamiętam, zeznał, że w czasie działań wojennych w czterdziestym piątym roku widział, jak Niemcy przywozili jakieś przedmioty do pałacu.

Obywatel ten brał także udział w zakopywaniu jakichś cennych przedmiotów i dokumentów, ale nie pamiętał, gdzie to było dokładnie.

Przesłuchano także obywatelkę Niemiec, która pracowała w pałacu przed wojną. Obywatelka zeznała, że w pałacu było składowane wiele różnych skrzyń, które potem Niemcy wywozili i gdzieś ukrywali. Według obywatelki była tam także jakaś szczególnie cenna kolekcja starodruków czy dokumentów, którymi interesowała się jakaś jednostka specjalna SS. Ta kolekcja została złożona w jednej skrzyni i ukryta gdzieś niedaleko pałacu, na wzgórzu. Obywatelka zeznała, że kolekcję zakopano na jakimś czarcim czy świętym wzgórzu. Zeznania obywatelki były tłumaczone przez jednego z robotników przymusowych i on nie wiedział dokładnie, jak to przetłumaczyć. A o tej jednostce to słyszałem potem, że to było Ahnenerbe.

Ktoś inny zeznał, że widział, jak oddział Wehrmachtu zakopywał coś na polach niedaleko wsi.

Przeszukano wtedy ruiny, ale znaleziono tylko przedmioty o niewielkiej wartości, których nie zabrano. Nie wiem, co się potem z nimi stało. Możliwe, że zostały zabezpieczone przez sojusznicze jednostki Armii Czerwonej.

Rozdział 17

Wciśnięty w narożnik lokalu stół, od którego od dłuższego czasu dobiegały przyciszone lub całkiem głośne, prowadzone to po angielsku, to po polsku rozmowy, mógł zwrócić na siebie uwagę. Zapadła przy nim bowiem niepokojąca cisza. Kelner, który stał przy barze i rozmawiał z barmanem, spojrzał zniecierpliwiony w tamtym kierunku. Towarzystwo siedziało już dobre dwadzieścia minut, a jeszcze nic nie zamówiło.

Rzucił porozumiewawcze spojrzenie koledze, wyjął z kieszeni smartfona i ruszył w stronę narożnej loży.

Igor skończył czytać i podniósł wzrok.

– No to mamy tego całego legendarnego sekretarza. – Paulina wskazała wzrokiem kartkę. – Prawie dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy.

– Skąd wiadomo, że to sekretarz? Podpis jest zamazany. Chyba celowo nawet.

– Wikipedia. – Paulina przesunęła tablet w jego kierunku. – Pierwszych sekretarzy, jak sam powiedziałeś, nie było znowu tak wielu. Raptem siedmiu. Myślę, że to ten. – Wskazała palcem jedną z fotografii. – Po wojnie był szefem Urzędu Pełnomocnika Generalnego dla Ziem Odzyskanych.

Igor, wciąż jeszcze zszokowany po przeczytaniu dziwnego dokumentu, przysunął tablet i szybko przemknął wzrokiem przez kilka akapitów krótkiej notki biograficznej.

– Ten urząd był całkowicie fasadowy. – Paulina pochyliła się nad stołem i wskazała palcem link na dole przeglądarki.

– A może nam w końcu powiecie, o co chodzi?! – zirytował się Johann, do tej pory przysłuchujący się w milczeniu. – I co to za list?

– Uważajcie, kelner idzie! – odezwała się Gwen i uśmiechnęła się do

zmierzającego w ich kierunku chłopaka.

Składanie zamówienia zajęło tylko pięć minut. Następne piętnaście trzeba było przeznaczyć na tłumaczenie tajemniczego zeznania komunistycznego urzędnika.

– Dlaczego fasadowy? – Igor w końcu spojrzał na Paulinę. – Zaczęłaś coś mówić…

– Zdążyłam o tym wszystkim poczytać już wcześniej, jak tylko wspomniałeś o domniemanym sekretarzu, od którego Kłosowski odkupił kolekcję. – Paulina otworzyła kolejny link i podsunęła Igorowi tablet.

– Ten urząd teoretycznie miał za zadanie tworzenie struktur administracyjnych na tych terenach, ale realia były takie, że nikt nie znał swoich kompetencji, a tak naprawdę władzę jeszcze długo sprawowały oddziały radzieckie. Na Wolinie przede wszystkim brygady demontażowe.

– Brygady demontażowe? – Dermot zmarszczył czoło.

Igor parsknął śmiechem.

– Niezły eufemizm.

Paulina spojrzała na niego z irytacją.

– To wymyśl coś lepszego. Jak miałam przetłumaczyć brygady trofiejne?

– Bandy sowieckich szabrowników na przykład.

– To sugeruje, że były nielegalne.

– Nikt ich w Polsce ani w Niemczech nie legalizował.

– W takim sensie, że były to jednostki ustawowo powołane przez ZSRR, a nie bandy maruderów.

– Znowu rozmawiacie po polsku. – Johann westchnął. – Czy to jakaś cenzura polityczna?

– Żadna cenzura. Igor zrobił mi właśnie wykład z semantyki języka angielskiego.

– No to co to były te brygady demontażowe? – Dermot nie ustępował. – Jakieś oddziały techniczne? Inżynieryjne?

– Jednostki powołane pod koniec wojny w ZSRR przez tak zwaną Komisję do spraw Odszkodowań – wyjaśniła Paulina, posiłkując się

Wikipedią. – Zajmowały się zdobyczami wojennymi.

– Czyli zalegalizowane bandy szabrowników i złodziei – dodał Igor.

– Niech ci będzie. – Paulina wzruszyła ramionami. – Skupiłam się na dosłownym tłumaczeniu. Nie żebym ich broniła.

– Niemcy robili to samo. – Dermot rozłożył serwetkę na kolanach. – Jeszcze przed wojną mieli przygotowane dokładne spisy najcenniejszych w Europie dzieł sztuki, które chcieli przejąć. Oddziały Einsatzgruppen wywoziły z muzeów, bibliotek, zamków i pałaców całe ciężarówki skarbów. – Spojrzał na Johanna. – Bez urazy.

Johann postukał się palcem w czoło.

– Jestem londyńczykiem.

Igor uśmiechnął się pod nosem. Pomyślał, że to dziwnie krzepiące, że dzielące ich różnice klasowe i narodowościowe, jeżeli już się pomiędzy nimi pojawiały, to najwyżej jako temat do żartów.

– Różnica polegała na standardach. Niemcy, jeśli niszczyli dzieła sztuki, to z powodów ideologicznych. Rosjanie z czystego barbarzyństwa. Niemieckie portrety na przykład, często renesansowe czy barokowe, traktowali jako podpałkę, a w szufladach komódek z okresu Ludwika IV dawali żreć psom.

– My po wojnie wcale nie byliśmy lepsi. – Paulina westchnęła. – Zły to ptak, który ple, ple, ale taka jest prawda. Czytałam o kulisach produkcji najsłynniejszego polskiego serialu wszech czasów *Czterej pancerni i pies*. Sceny strzelania z dział i moździerzy do poniemieckich pałaców i pożary w zamkach były, niestety, autentyczne. Nikt nie przejmował się tym, że na potrzeby filmu niszczy się jakąś palladiańską wiejską rezydencję czy średniowieczny zamek.

Igor pokiwał głową

– Też mną wstrząsnęło, gdy się o tym dowiedziałem, a przez całe dzieciństwo oglądałem powtórki. A magazyny zboża i chlewy urządzane w dworach, na intarsjowanych posadzkach?

– Oczywiście, trzeba wziąć pod uwagę powojenny klimat. Ludzką pamięć o obozach, mordach i tak dalej. W tym kontekście niszczenie poniemieckich domostw i pozostałości też było ideologiczne. Zemsta.

– Rosjanie, o ile wiem – wtrącił Dermot – byli zainteresowani przede wszystkim przejęciem technologii, linii produkcyjnych. Stalin wolał maszyny, fabryki, tory, wyposażenie stoczni i browarów. To była dla nich szansa na beznakładowy skok technologiczny.

Igor westchnął.

– No i tak to jest właśnie. Jak się odrzuci wszelkie ideologie, patriotyzm i całą tę bogoojczyźnianą semantykę, to zawsze zostaje wyłącznie czyjaś chłodna kalkulacja, partykularyzm, konformizm. Zawsze znajdzie się grupa trzymająca władzę, która dla własnych interesów jest w stanie za pomocą wyświechtanych frazesów skłonić ciemne masy, by mordowały się nawzajem. A te ciemne masy upajają się potem całymi latami swoim bohaterstwem i oddawaniem krwi za ojczyznę.

– Albo za Boga. – Paulina przypomniała sobie wykrzywioną nienawiścią twarz chłopaka z tłumu i kobiety wrzeszczące do niej „czarownica”. Poczuła, że wszystkie mniejsze i większe problemy, z którymi musi się użerać, nagle znowu się na nią zwaliły. Ten zwariowany wyjazd na pomiary spowodował, że zapomniała o codzienności, a teraz na nowo miała w głowie zbliżające się terminy, spotkanie z prawnikami Koszuta, które pewnie właśnie organizuje Marta, kłótnie z Pawłem na temat palenia ludzi na stosach i Mateusza, który nie dzwoni…

Spojrzała w okno. W zasadzie to chyba ona powinna zadzwonić. Przyjechał tu tylko na parę dni, a ona zabrała się i wyjechała na wieś. Ale przecież on prawie całe dwa dni spędził u rodziny. To nie powinno tak wyglądać.

Spojrzała na leżący na stole obok tabletu telefon.

Tymczasem do stolika podszedł kelner z kilkoma talerzami i zaczął rozstawiać je na blacie. Ciszę, wypełnioną tylko brzękiem porcelany i szkła, przerwała w końcu Gwen.

– Chciałabym wam przypomnieć, że dopiero co znaleźliśmy zabytkowy notes z jakimiś zeznaniami w sprawie zaginionych dzieł sztuki i cholera wie czym jeszcze, a wy sobie strzeliliście pogawędkę o dupie Maryny.

*

Borola z niedowierzaniem wpatrywał się w siedzącego przed nim mężczyznę. Przed momentem jego gość napisał cztery słowa i przesunął kartkę w jego kierunku.

– To jest… – Borola wskazał brodą papier – ich partner?

Mężczyzna pokiwał głową i odruchowo poprawił krawat.

– Warszawska kancelaria, która reprezentuje w Polsce londyńską kancelarię Carmondeley and Chatfield. Kwestia znajomości lokalnych przepisów, rozmaitych wybiegów i tak dalej. Poza tym to nazwisko gwarantuje, powiedziałbym…

– Stupor gwarantuje!

– Miałem na myśli raczej ochronę interesów i dyskrecję.

– Dyskrecję? To chyba ostatnia rzecz, jakiej bym się po nich spodziewał.

– A jednak. – Mężczyzna ponownie poprawił krawat i sięgnął po swoją teczkę. – Tak znana warszawska kancelaria nie może sobie pozwolić na błędy.

Borola z namysłem pokiwał głową i spojrzał w ogromne okno. Za pancerną szybą widać było rozświetlone parkowymi latarniami gałęzie drzew. Zrobiło się już ciemno, a silny wiatr szarpał bezlistne konary.

– Dzięki temu, że oni poczynili pewne, powiedziałbym, ruchy – mężczyzna wyjął jakiś dokument i położył go na stole – mogliśmy zdobyć pewne informacje. Otóż…

– A powiedział pan, że ta kancelaria zapewnia dyskrecję.

– Te informacje nie są niejawne. Można było je zdobyć całkowicie legalną drogą, korzystając z dostępu do urzędów administracji publicznej. Nie wiem, czy w ogóle na coś się przydadzą.

– Borola pochylił się nad biurkiem i sięgnął po dwie zszyte kartki.

– Co to jest?

– Odpis wystąpienia o interpretację prawną w dziedzinie obrotu kopalinami i innymi materiałami pochodzenia organicznego na terenie Rzeczpospolitej.

Borola oderwał wzrok od dokumentu i spojrzał na mężczyznę, zaskoczony.

– Obrotu czym?

– Materiałami pochodzenia organicznego. Tutaj chodziło konkretnie o surowce szlachetne, jak na przykład korale naturalne, perły albo bursztyn.

*

Dermot przysunął do siebie tablet Pauliny i podejrzliwie patrzył na widniejącą na ekranie czarno-białą fotografię przedstawiającą twarz byłego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

– Chronologicznie rzeczywiście pasuje. Akurat w czterdziestym piątym mógł być na Wolinie. Ale zastanawiam się, z którego roku może być ten protokół.

– Po pięćdziesiątym szóstym pewnie. – Igor przesunął palcem po ekranie komórki. – Wtedy była u nas polityczna odwilż. Po śmierci Stalina zaczęli wypuszczać więźniów politycznych. Liberalizacja życia i tak dalej.

Paulina spojrzała na Igora z powątpiewaniem.

– Według autorów tego śledztwa z „Kuriera” KBW prowadziło poszukiwania na Wolinie niecałe pięć lat po wojnie, więc to mógł być co najwyżej rok pięćdziesiąty.

– On jeszcze wówczas nie był sekretarzem.

– To niczego nie zmienia. Mógł zrobić karierę w partii dopiero po tych wydarzeniach.

– Nie ma żadnych dat – mruknął Dermot. – List Kuchty też nie wiadomo, z którego jest roku.

– Jestem przekonana, że i protokół, i list są pokłosiem tej samej sprawy – zdecydowanie stwierdziła Paulina. – Oczywiście KBW prowadziło śledztwo w sprawie Bursztynowej Komnaty, bo to był wówczas najgorętszy temat, a przy okazji wyszło na jaw kilka innych tajemnic.

– I żadna nie została zweryfikowana. – Igor wydął wargi.

– Tego nie wiemy. Dokumenty ewentualnych poszukiwań, prowadzonych wykopów, do tej pory mogą być tajne.

– Ciekawe, jak to się w ogóle dostało w ręce Kłosowskiego – mruknął Dermot, z namysłem wpatrując się w kartkę.

– Tak samo, jak list Kuchty trafił w ręce ludzi z Muzeum Obrony Wybrzeża. – Igor wzruszył ramionami. – Możliwe, że przekazano to sojusznikom w ramach jakiejś wymiany kulturalnej. Albo ktoś go wywiózł. Zeznania sekretarza tą samą drogą mogły dostać się także w ręce tego poszukiwacza skarbów z Hamburga. Jak mu tam było?

– Georg Stein – podpowiedział Johann.

– Właśnie! A potem pewnie w ręce hrabiego von Falz-Feina i wreszcie tego Rosjanina z Kaliningradu Awenira Owsjanowa. Kłosowski w sumie mógł to dostać nawet od niego.

Paulina się zasępiła.

– To czemu nie zdobyła tego delegacja Muzeum Obrony Wybrzeża?

– W artykułach z „Kuriera Szczecińskiego” nawet o tym pisali. – Igor ponownie wzruszył ramionami. – Owsjanow niechętnie przekazywał im rzeczy z archiwum Steina. Może Kłosowski, który na przykład robił tam jakieś interesy, coś sprowadzał czy eksportował, miał silniejsze argumenty.

– Porównajmy ten protokół z listem Kuchty. – Paulina sięgnęła po kartkę i położyła ją obok tabletu, na którym otworzyła tekst pisma stangreta hrabiego Flemminga.

– Kuchta pisze, że był świadkiem ukrywania jakichś przedmiotów koło pałacu, blisko lasu i morza. Sekretarz zeznaje o jakimś obywatelu Polaku, który brał udział w zakopywaniu cennych przedmiotów, ale nie pamięta, gdzie to było. Czy to mógł być Kuchta?

– Prędzej Woźniak. – Igor podrapał się po brodzie. – To on przecież rzekomo widział, jak skrzynie przewożone były traktorem na posterunek w Wolinie.

– No właśnie. Obywatel Polak rzekomo widział także, jak Niemcy przywozili jakieś przedmioty do pałacu. I to samo powiedziała Martha Krause.

Igor popatrzył na nią. Coś się tutaj nie zgadzało.

– Martha Krause widziała, jak Niemcy każą przewieźć Flemmingowi skrzynie do dworu z herbem jego rodziny.

– No właśnie. – Paulina pokiwała głową. – Czy pałac z listu Kuchty, dwór z opowiadań Marthy Krause i pałac z protokołu przesłuchania sekretarza to

ten sam obiekt?

Igor w pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, ale nagle przypomniała mu się historia dworu pod Troszynem. Richard von Flemming, kuzyn hrabiego Hasso z Benic, wykończył swoją rezydencję w stylu nawiązującym do nazistowskiego klasycyzmu Alberta Speera. Czy ma to jakieś znaczenie? I skąd mu to przyszło do głowy?

Dermot sięgnął po tablet i przez chwilę czegoś szukał. W końcu powiększył obraz i przesunął tablet tak, żeby wszyscy go widzieli.

– Mapa Wolina – powiedział i postukał palcem w ekran. – Przecież to chyba oczywiste, że dwór Boroli w ogóle nie wchodzi w rachubę.

– Dlaczego? – Johann przekrzywił głowę, wpatrując się w tablet i usiłując zrozumieć, o co Dermotowi chodzi.

– Jesteście ślepi? – Dermot jeszcze raz postukał palcem w monitor. – Ofensywa Sowietów na Wolin została odparta na początku marca. Zatrzymała się na tej rzece. – Wskazał palcem niebieską linię, meandrującą pomiędzy lasami.

– Na Dziwnie… – Paulina odsunęła włosy z czoła i oparła łokieć na stole.

– No, oczywiście! – jęknął nagle Igor.

– Dwór, jak tutaj doskonale widać, stoi w lesie, kilka kilometrów od przeprawy. Niemcy nie mogli w tym dworze niczego ukryć, bo po drugiej stronie rzeki stały wojska Armii Czerwonej. Chyba że Flemming zrobił to dużo wcześniej, a cała operacja z przewożeniem skarbu tak naprawdę była tylko mistyfikacją.

Przez moment wszyscy w milczeniu wpatrywali się w mapę.

Gwen poczuła się zniecierpliwiona.

– Już mi się mylą te wszystkie dwory i lasy. Poza tym zaraz wszystko będzie zimne.

*

Ksiądz Merin chodził niespokojnie po swoim gabinecie w tę i z powrotem jak zaszczute zwierzę. Co chwila patrzył na wiszący na ścianie zegar. Dochodziła szesnasta. Miał niecałe dwie godziny. Słońce zachodziło

dokładnie o siedemnastej czterdzieści cztery. Jeszcze prawie dwie godziny kompletnej bezsilności, świadomości, że cokolwiek zrobi, i tak niczego to nie zmieni. Bestia atakowała średnio co dwa, trzy miesiące.

Na biurku leżała otwarta szara koperta, z której wystawał mały biały kartonik. Zwykła odbitka, na której czarny symbol wyglądał jak plątanina kresek i zawijasów. Kolejny, siódmy symbol do kolekcji. Siódmy w jego ukrytej zamkniętej na klucz szufladzie kolekcji.

Merin chwycił stojącą na szafce pod ścianą butelkę i wypił z niej duszkiem potężny łyk. Czuł, jak mąci mu się umysł, jak rozlewający się w krwiobiegu alkohol powoli znieczula go i uspokaja.

Za oknem wył wiatr. Zapowiadali dzisiaj sztorm.

Merin podszedł do okna i wbił wzrok w ciemność. Już teraz strach było wyjść, a wieczorem pogoda miała się jeszcze pogorszyć.

Pomyślał ponuro, że trudno sobie wyobrazić lepszy moment na spacer. Podszedł do szafy, wyjął czarną kurtkę z kapturem i naciągnął ją na ramiona.

Chciał wyjść, ale po namyśle wrócił. Sięgnął po opróżnioną do połowy butelkę whisky i wsadził ją do kieszeni. Po chwili drzwi kancelarii z trzaskiem się zamknęły.

*

Minęła szesnasta, gdy wyszli z restauracji. Igor wygrzebał z kieszeni kluczyki i wycelował pilota w kierunku pogrążonej w ciemności toyoty, która radośnie zaświergotała.

– Zaraz będzie zupełnie ciemno. – Westchnął. – Nie zdążymy pomierzyć elewacji.

– Ciemnością raczej bym się nie martwiła, tam na pewno są jakieś lampy. – Gwen podniosła kołnierz kurtki i ruszyła w kierunku samochodu. – Bardziej niepokoi mnie pogoda. Zobaczcie, co się dzieje.

Pomiędzy porastającymi wydmy sosnami widać było morze. Huczało groźnie, a fale, pokryte białymi brudnymi czapami piany, przewalały się przez plażę, wydzierając z niej łachy piasku. Daleko na horyzoncie morze zlewało się ze stalowym ciemniejącym niebem, tworząc jedną ścianę ciemnoszarej grozy.

– Zapowiadali sztorm na noc. – Paulina szarpnęła za klamkę i wskoczyła do samochodu. Zaraz za nią wsiadła Gwen. Na asfalt obok auta spadły połamane sosnowe gałązki.

Igor podniósł głowę. Rozczapierzone gałęzie sosen szarpały się bezlitośnie jak sfora psów, wyrywając sobie nawzajem iglastą sierść.

Dermot zatrzasnął drzwi jako ostatni.

– W nocy ma wiać nawet ósemka. – Paulina położyła obok siebie torbę i przeczesała palcami mokre włosy.

– Już jest chyba siódemka. – Igor zapalił silnik. Toyota zamruczała i powoli wytoczyła się na drogę dojazdową.

– Ty naprawdę chcesz dalej mierzyć ten dom? – Johann spojrzał na Igora.

– Milordzie! – Igor rzucił mu poirytowane spojrzenie. – Dla pana to zabawa, a dla mnie robota. To wy się uparliście, żeby mi pomagać.

– W sensie, że dzisiaj i tak nie skończymy.

– Chciałem pomierzyć przynajmniej piętro. – Igor wrzucił trójkę i wyjechał na główną ulicę miejscowości. Po obu stronach drogi stały przedwojenne wille, które wyglądały jak opatulone szalami starsze panie. Tu i ówdzie wyrastał pomiędzy nimi jakaś nowy pensjonat.

– Zobaczymy na miejscu. – Johann koncyliacyjnie pokiwał głową. – W końcu we wnętrzu domu sztorm nie będzie nam przeszkadzał.

– Będziemy wracać po ciemku – mruknęła Paulina.

– O tej porze roku z reguły wraca się po ciemku. – Igor spojrzał w lusterko. – Dokądkolwiek by się pojechało.

– Dlaczego wy Polacy malujecie domy na takie koszmarne kolory? – Johann odprowadził wzrokiem gromadkę budynków w jaskrawych pomarańczowych i seledynowych barwach i odwrócił się do Igora. – Czy Polacy jako populacja wykazują zwiększoną procentową podatność na daltonizm?

– Daltonizm jest genetyczny – mruknął Dermot.

– No właśnie. – Johann pokiwał głową.

– Ja osobiście nie znam żadnych badań w tym kierunku. – Igor wrzucił czwórkę i przyśpieszył. – Ale to by wiele tłumaczyło.

Toyota przejechała pod żółtym banerem z napisem „Do zobaczenia w Międzyzdrojach” i pomknęła w kierunku biegnącego nad drogą wiaduktu.

– Na rondzie w lewo. – Paulina sięgnęła do torebki i wyjęła tablet.

– Na rondzie skręca się w prawo. Nawet dla was nie pojadę pod prąd.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Przecież ja jeździłem tędy jakieś trzy miliony razy.

Paulina wzniosła oczy do nieba i pochyliła się nad ekranem tabletu.

Przez dłuższą chwilę w samochodzie panowała cisza. Z zewnątrz dobiegał jedynie ryk wiatru.

– W protokole zeznań sekretarza jest jeszcze jakaś Niemka. – Paulina podniosła wzrok i spojrzała w lusterko. – Obywatelka Niemka, która widziała jakąś cenną kolekcję starodruków czy dokumentów. To raczej nie ma żadnego związku ze skarbem Korduli.

– Raczej nie. – Igor wzruszył ramionami. – Ale Kuchta też coś wspominał o ukrywanych dokumentach.

– I tę kolekcję ukryto rzekomo na jakimś świętym wzgórzu, niedaleko pałacu. Znowu pałac.

– Na Wolinie nie było zbyt wiele pałaców. Właściwie na to miano zasługuje jeszcze Unin no i, oczywiście, zamek w Dargobądziu. Ale tam nie ma żadnych wzgórz.

– Ale przecież zamek w Dargobądziu sam leży na wzgórzu.

– Ale nie słyszałem, żeby nazywano je świętym czy czarcim.

– To może tam pojedziemy? – Johann spojrzał na Igora.

– Teraz!? – Gwen popatrzyła na tył głowy Johanna z niedowierzaniem. – Zwariowałeś?

– No, nie teraz, ale na przykład jak będziemy wracać.

– Sztorm ma się zacząć pod wieczór, a jak będziemy wracać, będzie całkiem ciemno.

– To nie jest najlepszy pomysł. – Igor pokręcił głową. – Wzgórze zamkowe jest kompletnie zarośnięte, a po zamku zostały jedynie niezabezpieczone resztki ścian piwnic.

– Jest jeszcze to Wzgórze Wisielców koło Wolina. – Paulina wpatrywała się w ekran tabletu, na którym otworzyła mapę wyspy. – Tam, gdzie jest ten starożytny przedchrześcijański cmentarz.

– Po co Niemcy mieliby wlec kufry z jakimś cennym dobytkiem aż tam? – Igor spojrzał w lusterko. – Cmentarz leży na samym brzegu Dziwny. Ten teren był chyba nawet w zasięgu ostrzału ruskich dział.

– Sam mówiłeś, że najciemniej jest pod latarnią. A Unin? Czy to wiocha po drodze do Międzywodzia? Nad samym brzegiem Dziwny? Tam stoi jakiś pałac?

– Tak – potwierdził Igor. – Nawet go ostatnio odnowili. Cały folwark zresztą. Właściwie to spory dwór, a nie pałac. Jakoś z początku dziewiętnastego wieku.

– Hmm… – Paulina spojrzała w okno. – Nad samą Dziwną. Ona się tam rozlewa szeroko. Las też jest…

– Nikt nie brał go pod uwagę. – Igor dojechał do rozjazdu dróg i skręcił w prawo. – Jakoś intuicyjnie nie pasują mi miejsca na wschodzie Wolina. Zaraz za rzeką stali przecież Sowieci. Na miejscu Niemców ukrywałbym wszystko na zachodnich brzegach wyspy.

– Więc dwór pod Troszynem jest poza wszelkimi podejrzeniami.

– Jeśli wszystkie zeznania dotyczą tego samego, to muszą być jakoś ze sobą spójne. Kuchta napisał o dwóch miejscach zakopania skarbów. Obok pałacu, niedaleko morza i lasu. Niemka też zeznała o jakiejś kolekcji dokumentów zakopanych niedaleko pałacu, na Czarcim Wzgórzu.

– W pobliżu Wzgórza Wisielców nie było przed wojną żadnego pałacu?

Igor spojrzał w lusterko i pokręcił głową.

– To wszystko brzmi jak jakaś nierozwiązywalna zagadka logiczna – mruknął Dermot. – Żadne z miejsc z artykułu, które wymieniliście, w zasadzie nie pasuje. Zamek nie leży nad morzem, dwór Boroli nie leży na Wolinie. Ta wiocha, z której ewakuowano ludność…

– Łunowo – podpowiedział Igor.

– Łunowo – wydukał Dermot, łamiąc sobie język. – Ani pałacu, ani morza. A teraz jeszcze jakieś Czarcie Wzgórze.

– Ja uważam, że kolekcja Niemki to zupełnie co innego. W skarbie kamieńskim nie było przecież żadnych starodruków. – Johann spojrzał na Igora. – Były?

Igor zaprzeczył ruchem głowy.

Samochód przejechał pod kolejnym wiaduktem, minął stojący po lewej stronie stary budynek z czerwonej cegły i wjechał pomiędzy drzewa drogi, która ciągnęła się wzdłuż jeziora Wicko Małe.

– „Kolekcją interesowała się jednostka specjalna SS” – przeczytała Paulina i ponownie podniosła wzrok. – Ahnenerbe? Co właściwie mogło ich obchodzić? W skarbcu kamieńskim nie było chyba niczego, czym oni mogliby się jakoś specjalnie przejmować.

– A ta jednostka czym właściwie się zajmowała? – spytała Gwen.

– Nie słyszałaś o Ahnenerbe? – Dermot odwrócił się od okna i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– No, wyobraź sobie, że nie.

– Ahnenerbe. – Igor uśmiechnął się do Johanna. – Właśnie niedawno wspominaliśmy Indianę Jonesa.

Wąska droga wiła się pomiędzy drzewami, po prawej stronie połyskiwały w ciemności wody jeziora. Wiatr wiał coraz mocniej. Nawet w kabinie samochodu czuło się jego wzrastającą siłę, a przednią szybę co chwila zasypywały uschnięte zeszłoroczne liście i sypiące się z drzew gałązki.

– Oglądałaś *Poszukiwaczy zaginionej Arki*? – Igor na moment oderwał wzrok od drogi i spojrzał z uśmiechem na Gwen.

– Uważaj! – krzyknęła nagle Paulina.

Igor odwrócił się gwałtownie, ale było już za późno.

Na drogę przed samochodem runęło drzewo, chłoszcząc asfalt długimi mackami gałęzi. Gruby pień z trzaskiem złamał się na wysokości jakichś dwóch metrów i z łoskotem grzmotnął o jezdnię. Igor gwałtownie wcisnął hamulec. Samochód wpadł w poślizg. Rozległ się protestacyjny warkot ABS-u. W ułamku sekundy widać było, jak za przednią szybą nieubłaganie rośnie ogromna masa zmierzwionych gałęzi.

Toyota obróciła się w prawo, uderzyła przednim kołem w pień drzewa,

wypadła z drogi na pobocze i znalazła się w rowie.

Rozdział 18

Droga byłaby pogrążona w kompletnej ciemności, gdyby nie reflektory samochodu, które wbijały się w rosnące na poboczu chaszcze. Z mroku, jak wierzchołek liściastej góry lodowej, wyłaniała się plątanina gałęzi i połamanych konarów.

W huku wyjącego wściekle wiatru słychać było warkot silnika.

Pierwsze otworzyły się przednie drzwi od strony pasażera i z samochodu wysiadł Johann. Wspiął się na niskie pobocze i stanął przed zwalonym drzewem.

– Boże! – jęknął. – O mały włos.

Po nim powoli wysiadła Paulina i przeczesała ręką rozpuszczone włosy.

– Uderzyłaś się? – Gwen wygramoliła się za nią i stanęła obok.

– Chyba tak, ale to nic groźnego.

Johann obszedł samochód dokoła, ponownie zszedł do rowu i zatrzymał się obok przedniego nadkola. Wyjął z kieszeni telefon, wyszukał aplikację latarki i po chwili wąski snop światła omiótł przód toyoty.

Przednia szyba opuściła się na dół.

– Poszła opona. – Johann spojrzał na Igora. – I chyba felga jest skrzywiona. No i wgniecione nadkole. – Przesunął światłem po karoserii. – I drzwi też.

Igor westchnął.

– Spróbuję wyjechać. Popatrz, co tam się będzie działo.

Johann kiwnął głową i zrobił krok do tyłu, pomiędzy pokiereszowane gałęzie topoli.

Samochód mruknął głośniej i drgnął. Powoli zaczął się wspinać tyłem na drogę.

– Czekaj! Stój! – krzyknął nagle Johann. – W ogóle się nie kręci!

– Co się nie kręci? – Igor wyjrzał przez okno.

– Koło. Felga jest pogięta. Chyba śruby pokrzywione. Żebyś nie rozwalił osi.

– Kurwa!

– Co się dzieje? – Paulina zeszła do rowu.

– Potrzebna jest pomoc drogowa.

– Boże! Aż tak?

Igor wyłączył silnik i westchnął.

– No to koniec.

– Straż pożarną trzeba wezwać do tego drzewa. – Paulina sięgnęła do swojej torby i wyciągnęła telefon.

Igor otworzył drzwi, które uchyliły się do połowy, po czym rozległ się jazgot metalu.

– Czekaj! – Johann machnął ręką. – Nie otworzysz ich. Pogniesz tę blachę jeszcze bardziej.

Igor zatrzasnął drzwi z powrotem, przerzucił nogi na fotel pasażera i zaczął się przeciskać na drugą stronę.

– Zostaw tę straż pożarną. – Wyminął przeszukującą internet Paulinę i wyszedł na drogę. – Dzwoń po pomoc drogową.

– Szukam właśnie i jednego, i drugiego. Chyba w Międzyzdrojach jest jakaś jednostka ochotniczej straży pożarnej?

– To jedyna droga do tej wsi?

Paulina wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Dermot wyjął z samochodu kurtkę, nałożył ją na ramiona i naciągnął na głowę kaptur.

– Może po prostu zadzwoń do tej babki. Pewnie wie, gdzie w Międzyzdrojach jest jakiś warsztat.

Igor pokiwał głową i pomacał kieszenie dżinsów. No tak, portfel i telefon zostały w schowku. Ruszył w kierunku samochodu. Pomysł Dermota był

chyba dobry. Zwłaszcza że i tak musiał zadzwonić do właścicielki domu na klifie. Na parterze została cała kupa rzeczy do pomiarów i narzędzi. Nie mówiąc o tym, że mieli tam wrócić i jeszcze popracować.

– I co my tutaj zrobimy? – Gwen opatuliła się kurtką i naciągnęła czapkę głęboko na uszy. – Zaraz pewnie spadnie deszcz.

Korony drzew nad ich głowami szarpały się z trzaskiem, a od strony jeziora dobiegał głuchy ryk wiatru.

– Halo! Straż?! – Paulina usiłowała przekrzyczeć hałas. – Na drogę zwaliło się drzewo! Nie mamy przejazdu! Gdzie? Co gdzie? Ulica? Nie wiem. – Rozejrzała się dokoła. – To droga do…! Halo! Halo!

– Cholera! Coś przerwało! – Spojrzała na Johanna.

– Spróbuj jeszcze raz.

Paulina pokręciła głową.

– Teraz cały czas zajęte.

– Pewnie mają więcej takich zgłoszeń. Wiatr jest coraz silniejszy.

Igor usiadł na tylnym siedzeniu i korzystając z osłony przed wiatrem, wybrał numer Aleksandry Kupiec.

*

Ksiądz Merin, z rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni kurtki, szedł ulicą Turkusową w kierunku Lubina. Właśnie minął długi budynek z płaskimi dachem, który stał kilka metrów poniżej drogi. Prowadził do niego wyłożony ośmiokątnymi betonowymi płytami dojazd, który odłączał się od głównej drogi i spływał ze wzgórza w kierunku blaszanych poustawianych bez ładu i składu garaży. Mrok rozpraszały jedynie światła w oknach, które rzucały na ulicę bladą poświatę. Na jej obrzeżach ukrywały się groźne mroczne cienie. Wiatr szarpał kapturem kurtki, usiłując zerwać go i zepchnąć Merina z drogi, prosto w porastające pobocza krzaki. Za zakrętem widać już było zieloną tablicę z przekreślonym napisem Wapnica, a nieco dalej drugą z napisem Lubin.

Jeszcze parę kroków i po lewej stronie wyrosły przeraźliwie trzeszczące teraz topole, a pod nimi pojawił się ciągnący się wzdłuż drogi zdewastowany

betonowy mur, upstrzony kolorową kolekcją bluźnierstw. Droga pogrążona była w kompletnych ciemnościach. Stojące latarnie włączały się pół godziny po zmroku.

Ale ksiądz Merin znał tutaj każdy kamień. Przeszedł pod betonową bramą z napisem „Witamy w Lubinie” i ruszył dalej wzdłuż pokancerowanego muru, zza którego wystawały dachy zniszczonych budynków dawnej cementowni. Za kilkanaście metrów w murze otworzy się wielka wyszarpana dziura, a za nią kręta przecinka przez zdziczałą zieleń w kierunku przystani – upiornego małego portu z wysokimi betonowymi nabrzeżami, nad którymi stały kościotrupy dawnych budynków fabrycznych.

*

Czarny jeep grand cherokee zatrzymał się kilka metrów od zwalonego drzewa. W samym centrum wydarzeń stał żółty renault z lawetą, na którego szoferce pulsowały czerwone światła. Z rowu za poboczem na stalowe prowadnice powoli wjeżdżała toyota Igora. Na drodze przed kłębowiskiem gałęzi stała cała piątka niedawnych pasażerów opatulonych kurtkami i trzęsących się na wietrze.

Z czarnej terenówki wysiedli właścicielka domu na klifie oraz szczupły szpakowaty mężczyzna. Aleksandra Kupiec wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

– Zabieramy was do domu. Tu nie jest bezpiecznie. Samochodem zajmą się jutro rano. Boże! Co za koszmar! Dobrze, że nic się państwu nie stało.

Igor przytaknął. Pomyślał, że chyba rzeczywiście nie będą mieli innego wyjścia, jak zostać na noc.

– Jest jakaś inna droga do wsi?

– Tak, naokoło. Gorsza, miejscami gruntowa, ale przejezdna. Strażacy mają sporo roboty, więc pewnie ściągną to drzewo dopiero jutro. To jest mój mąż, przepraszam.

Mężczyzna uśmiechnął się chłodno i wyciągnął do Igora dłoń.

– Hubert Kupiec.

Igor odwzajemnił uśmiech i uścisnął podaną rękę.

– Nad garażem są trzy pokoje z wszystkimi wygodami, chyba że prąd pójdzie na tym wietrze.

– Jest nas trochę za dużo do pana auta. – Igor obejrzał się na stojących koło lawety przyjaciół.

– Zmieścimy się. – Mężczyzna lekceważąco machnął ręką. – To tylko dwa kilometry i nikt nie będzie sprawdzał. Tyle że dwie osoby będą musiały jechać w bagażniku.

– Nie ma problemu. – Igor się odwrócił i skinął do Pauliny i Gwen.

Johann i Dermot wskoczyli na tył samochodu i rozsiedli się na podłodze. Hubert Kupiec obrzucił ich rozbawionym spojrzeniem, gdy podciągając nogi pod brodę usadawiali się we wnętrzu. Zatrzasnął klapę bagażnika.

Kilka minut później renault z lawetą odjechało w kierunku Międzyzdrojów, a czarny jeep z przyciemnianymi szybami zjechał na gruntową drogę w Wicku Wielkim i przez pola, wokół żwirowni, dojechał do centrum Wapnicy, skąd było już niedaleko do rozjazdu na Lubin.

Siedzący na tylnej kanapie obok Pauliny i Gwen Igor patrzył na ciemną drogę, oświetloną jedynie światłami padającymi z okien domostw. Po prawej stronie ciągnął się betonowy mur dawnej cementowni, a po lewej gęsta zieleń porastająca wzgórze, na którego szczycie, o ile pamiętał, były pozostałości jakiegoś parku.

– Strasznie się to wszystko marnuje. – Aleksandra Kupiec odwróciła się i skinęła głową w kierunku wzgórza. – Jakiś czas temu kupił to facet ze Szczecina, ale nawet palcem nie kiwnął, żeby odremontować ten pałacyk i park. A to było kiedyś takie piękne miejsce.

– Pałacyk? – Igor spojrzał z zainteresowaniem na przesuwający się w ciemności gąszcz.

– Pałac dawnego właściciela cementowni. Na szczycie wzgórza jest nadal niewielki staw i ruiny jakiejś parkowej zabudowy. Pałac działał jeszcze w latach osiemdziesiątych.

– Jako burdel – mruknął siedzący za kierownicą mąż kobiety.

– Niestety. – Aleksandra Kupiec westchnęła. – A za komuny mieli tutaj jakiś ośrodek wczasowy. Był stamtąd piękny widok na jezioro i zalew.

Igor przypomniał sobie o opowieściach kolegi z Wapnicy.

– Czy to nie był przypadkiem Złoty Dwór?

– Tak. – Kobieta przytaknęła. – Ośrodek miał kiedyś taką nazwę i została ona na tablicy nad wejściem. Zresztą, cementownia też jest z roku na rok w coraz gorszym stanie. Te dawne budynki toną w samosiewach. Przystanią także specjalnie nikt się nie zajmuje.

– A przystań również należy do tego samego właściciela? – spytała Paulina.

– To własność państwowa. Gospodarzem jest Urząd Morski ze Szczecina. Przystań w Witnicy wyremontowali, a ta się marnuje.

Igor ponownie spojrzał w okno. Mało znał historię tego miejsca, jakoś nigdy nie było okazji przyjrzeć mu się bliżej. Wiedział tylko, że założycielem cementowni był Johannes Quistorp, wielki przemysłowiec niemiecki, któremu Szczecin zawdzięcza park Kasprowicza, Pogodno, Westend. A więc Złoty Dwór był po prostu jego tutejszą siedzibą. Piękne miejsce. Na wzgórzu, dokoła park, las nieopodal. I ten widok nad portem. Na jezioro i cały zalew…

– A ten co tu robi? – Hubert Kupiec mruknął pod nosem, po czym spojrzał na żonę porozumiewawczo.

W światłach samochodu widać było okutaną w czarną kurtkę postać. Szła wzdłuż ulicy, a po chwili skręciła w wielką wyrwę w murze, która wyglądała jak wyszczerbione zęby, i zniknęła między drzewami.

– Kto to był? – nie wytrzymała Paulina.

Mężczyzna ponownie spojrzał na żonę.

– Ksiądz. – Aleksandra Kupiec westchnęła. – Od jakiegoś czasu dziwnie się zachowuje. Ludzie gadają na jego temat niestworzone historie. Ponoć zaczął pić.

Igor słuchał jednym uchem. Cały czas miał w głowie pałac Quistorpa. Niedaleko lasu, z widokiem na zalew…

*

Ksiądz Merin minął zrujnowany budynek dawnej hali fabrycznej i zatrzymał się nad kanałem portowym. Sztorm wpychał do jego basenu rozjuszone fale, które jak wściekłe bestie miotały przytulonymi do

betonowych ścian nabrzeża krypami. Prawie nad samym kanałem stał ogromny gmach z zamurowanymi otworami okiennymi, który w ciemności, rozjaśnionej dochodzącym od strony wsi światłem oraz jasnym jeszcze odrobinę na zachodzie niebem, wyglądał jak wielka kanciasta góra.

Kilka hektarów terenu dawnej cementowni porastał teraz las zdziczałej zieleni, wśród której kryły się ogromne betonowe bunkry starych hal fabrycznych i żelbetowe zęby falochronów. Mówiło się, że na dnie jeziora Wicko kryją się zatopione resztki stoczni, w której budowano barki do transportu surowców.

Tyle zostało z największej fabryki cementu portlandzkiego w Niemczech, a może i w całej ówczesnej Europie, pod koniec wojny rozszabrowanej przez Sowietów, a później stopniowo niszczonej przez okoliczną ludność. „Marność nad marnościami”, pomyślał Merin i podniósł do ust butelkę. Czuł, jak miesza mu się w głowie i jak jego wzrok traci ostrość. Whisky pozbawiła go jasności myślenia i o to właśnie chodziło. Znieczulenie.

Mimo panującego mroku zauważył, że w kanale portowym nie ma jednej motorówki. Dużej szarej krypy, którą trzymał tutaj właściciel Złotego Dworu. Przystań nie była przystosowana do jachtów, miała za wysokie nabrzeża. Nie pozwalano tutaj cumować, ale gość miał dobre układy z władzami portu i w bosmanacie w Wicku.

Ksiądz Merin sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął telefon. Dochodziła siedemnasta trzydzieści. Za piętnaście minut miało zajść słońce.

*

Krótka podróż przebiegła bez większych niespodzianek. Jedynym zgrzytem był moment, gdy Aleksandra Kupiec zatroszczyła się niespodziewanie o wygodę siedzących z tyłu chłopaków. Na szczęście Paulina wykazała się refleksem. Pytaniem o wystrój domu odciągnęła jej uwagę od tego zagadnienia. Narodowość Anglików nadal pozostała więc tajemnicą.

Nad garażem przy domu na klifie było spore poddasze z kilkoma łóżkami, a na parterze mieściło się duże pomieszczenie pełniące funkcję pokoju dziennego z kuchnią. Było więc całkiem wygodnie, jedyną niedogodność stanowiły minorowe nastroje. Gospodarze musieli wracać do

Międzyzdrojów, a pan Andrzej miał popołudniowy dyżur przy wnuku, więc kontynuowanie pomiarów nie wchodziło w rachubę.

Igor, nie dość, że musiał pogodzić się z tym, że nie dokończą zaplanowanej na dzisiaj roboty, to w myślach obliczał już koszty remontu samochodu i doprowadzało go to do rozpaczy.

Paulina martwiła się pracą i tym, że będzie się musiała jakoś wytłumaczyć przed Pawłem ze swojej absencji. Zdała sobie sprawę, że Mateusz nadal nie dzwoni, i doprowadzało ją to do pasji.

Trójka Anglików miała nastroje względnie neutralne, a nawet, w wypadku Johanna, całkiem dobre. Dermot myślał wprawdzie o czwartkowej sesji Rady Miasta w Szczecinie, ale że nie musiał się do niej jakoś specjalnie przygotowywać, generalnie go to nie martwiło.

– Co my będziemy tutaj robić? – jęknęła Gwen i usiadła na jednym z foteli. – Jest dopiero osiemnasta.

– A nawet nie – westchnął Igor. – Miałem nadzieję, że będziemy mogli dokończyć pomiary.

– Też żałuję – parsknęła Paulina.

– Tylko bez kłótni. – Johann uprzedził Igora, który ze zmarszczonym czołem już się szykował, by odpowiedzieć Paulinie. – Mamy na to za mało miejsca.

– Możemy potem iść na spacer. – Dermot podszedł do okna i wyjrzał na podjazd.

– Chyba zwariowałeś – zaprotestowała Gwen. – Pogoda wciąż się pogarsza.

Wiatr z hukiem napierał na ściany budynku. Słychać było głośny ryk, a o szyby uderzały kaskady deszczu, który w końcu się rozpadał.

– Może do wieczora się rozpogodzi.

– Prawdziwy sztorm zapowiadali właśnie dopiero na wieczór. – Paulina wyjęła tablet i położyła go na stole obok fotela pod oknem.

– Nie kracz.

Igor podszedł do torby, którą po przyjeździe położył na krześle pod ścianą. Przez chwilę w niej grzebał i w końcu wyciągnął gruby plik kartek

z bloku technicznego z pomiarami. Usiadł przy stole i rozłożył wszystkie przed sobą. Pomierzyli całą piwnicę, cały parter i zaczęli poddasze. Został strych i elewacje. No i trzeba jeszcze mniej więcej zidentyfikować otoczenie. Wprawdzie na mapie geodezyjnej naniesione były wszystkie elementy zagospodarowania terenu, ale ich dokładność zawsze pozostawiała wiele do życzenia.

Johann usiadł naprzeciwko niego.

– Już się tak nie martw. Jutro wstaniemy rano i pomierzymy wszystko do końca, skoro tu jesteśmy.

Igor podniósł wzrok i spojrzał na przyjaciela. W zasadzie było to zabawne, że pomagał mu syn angielskiego lorda. W inwentaryzacji budowlanej, czyli pracy, którą za nędzne grosze często wykonywali studenci architektury lub technicy budowlani.

– Czy na podstawie tego – Johann wskazał głową kartony ze szkicami i dziesiątkami naniesionych wymiarów – można już coś powiedzieć?

– O tajemnych zamurowanych lochach i przejściach?

– No przecież można coś stwierdzić chociażby na podstawie grubości ścian. Jeśli są z cegły, to mają konkretne wymiary, będące wielokrotnością liczby dwanaście.

Igor się uśmiechnął.

– Tylko że najpierw trzeba to narysować w skali. Wtedy ewentualnie będzie widać jakieś podejrzane elementy. Ale podczas pomiarów zwracałem na to uwagę i, niestety, nie przypominam sobie, żeby coś specjalnie mnie zastanowiło.

Johann westchnął.

Gwen wstała z fotela przed telewizorem i podeszła do stołu.

– Zanim wylądowaliśmy w rowie, coś mówiliście o jakiejś nazistowskiej organizacji. Jak ona się nazywała…

– Właśnie. – Dermot podszedł do kuchenki i zaczął szperać w szafkach. – Czy ktoś chce herbaty albo kawy? I mi zrobi?

Paulina wstała.

– Ja zrobię. Chętnie się napiję.

– Pozwalasz, żeby wyręczała się tobą angielska arystokracja – mruknął Igor

– Pomagamy ci w ciężkiej fizycznej robocie. – Dermot usiadł obok Gwen. – To daje nam pewne prawa socjalne.

– To co to jest ta Ahnenerbe? – Gwen przekrzywiła głowę, patrząc na rysunki na stole. – Te elewacje całkiem dobrze mi wyszły.

– No właśnie, też tak uważam – zgodził się Igor. – Myślałem, że będę musiał rysować od nowa.

– Nie wierzę, że nie wiesz, co to była Ahnenerbe. – Dermot spojrzał na Gwen z dezaprobatą.

– Dalej nie będę wiedziała, jak będziesz się nad tym zastanawiał, zamiast mnie oświecić.

– Boże! Setki gier komputerowych…

– Nie gram w gry komputerowe.

– …filmów, książek. Igor wspomniał Indianę Jonesa. Zbrodnicza formacja SS, która zajmowała się okultyzmem, magią i wszelkimi badaniami paranaukowymi.

Gwen podniosła brwi.

– Naprawdę istniała taka jednostka? Myślałam, że to wszystko fikcja.

Igor sięgnął do torby wiszącej na oparciu i wyjął tablet. Przez chwilę przesuwał palcem po ekranie, po czym w końcu położył urządzenie na stole.

– Miała nawet godło nawiązujące do pisma runicznego, które rzekomo miało pochodzić od starożytnej kultury aryjskiej.

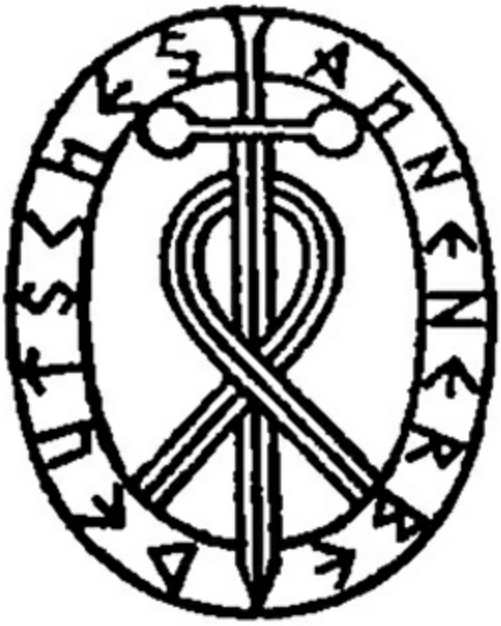

Z inicjatywy rosnącej w siłę NSDAP, a przede wszystkim Heinricha Himmlera, późniejszego szefa SS, oraz Hermana Wirtha, podejrzanego holenderskiego naukowca, autora prac o wyższości rasy niemieckiej, pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku powstało Towarzystwo Badań nad Pradziejami Spuścizny Duchowej[24], nazywane później w skrócie Ahnenerbe, czyli w tłumaczeniu „dziedzictwo przodków". Początkowo organizacja zajmowała się prowadzeniem badań archeologicznych, antropologią i starożytną historią niemieckiego dziedzictwa, później została zaprzęgnięta do prac mających dowieść, że Niemcy pochodzą od starożytnej rasy półbogów Arian. W trzydziestym dziewiątym roku towarzystwo stało się częścią SS, a ekspedycje naukowe pod jego auspicjami objęły najdalsze zakątki świata, takie jak Antarktyda czy Tybet. Z czasem, głównie z uwagi na okultystyczne zainteresowania Himmlera, organizacja zaczęła się zajmować coraz bardziej tajemniczymi dziedzinami, coraz dalszymi od konwencjonalnej nauki. Prowadzono poszukiwania legendarnych artefaktów, takich jak Święty Graal czy Włócznia Przeznaczenia, a także znanych ze starożytnych opisów i legend miejsc, takich jak Atlantyda czy tybetańskie miasto bogów Shambala.

Podczas wojny organizacja prowadziła planowe grabieże dzieł sztuki, zbiorów naukowych, manuskryptów i starożytnych artefaktów z muzeów,

kościołów i bibliotek całej Europy.

*

Igor chciał jeszcze przeczytać o eksperymentach medycznych, które pseudonaukowcy z Ahnenerbe prowadzili na więźniach obozów koncentracyjnych, ale przypomniał sobie nagle, że całkiem niedawno rozmawiał z Borolą na ten temat. Borola był prawdziwym maniakiem wszelkich spraw związanych z drugą wojną światową. O słynnych kampaniach wojskowych czy projektach niemieckiej broni mógł rozmawiać w nieskończoność. Czy on wiedział coś na temat protokołu przesłuchania tego sekretarza? A może Kłosowski mu go pokazywał? Przecież prowadzili wspólne interesy, a może nawet się i przyjaźnili.

– Czemu w takim razie Ahnenerbe miałaby się interesować skarbem kamieńskim? – Gwen patrzyła na godło organizacji z powątpiewaniem.

– Niemka z protokołu sekretarza mówiła coś o jakiejś cennej kolekcji, ale przecież to nie musiało mieć związku z kuframi Flemminga z Benic. To mogły być w ogóle jakieś inne zbiory. Tak samo jak dwa skarby, o których wspomina Kuchta. – Dermot uśmiechnął się do Pauliny, która postawiła przed nim kubek z herbatą.

– Czy gdzieś na Wolinie mogło znajdować się coś, czym mogłaby się interesować Ahnenerbe? – Johann popatrzył na Igora.

Igor wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Jutro, wracając do Szczecina, możemy zajechać na Wzgórze Wisielców i na zamek w Dar…

– Dargobądziu – dokończył Igor, śmiejąc się.

– Przypominam wam, że jesteśmy tutaj, bo liczyliśmy na to, że w tym domu znajdziemy odpowiedź na pytanie, czemu tak interesuje się nim Borola. – Gwen sięgnęła po kubek Dermota i wypiła łyk.

Dermot odwrócił się do niej.

– Oddawaj! Mogłaś też poprosić Paulinę.

– Zaraz ci zrobię. – Paulina podniosła się z fotela pod oknem.

– Nie trzeba. – Gwen pokręciła głową. – Chciałam tylko łyk.

– To żaden problem.

– No i niestety dalej nie wiemy, czego tu szuka Borola. – Igor spojrzał na leżące na stole szkice. – Przypatrywałem się wszystkim obrazom i meblom, ale trzech pozostałych portretów Rabenerów na pewno tutaj nie ma. Musielibyśmy przetrząsnąć wszystkie meble, a w zasadzie to wątpliwe, że coś jeszcze byśmy znaleźli. Skrytek raczej nie robiło się w łóżkach czy szafach na ubrania.

Paulina podeszła do stołu i postawiła przed Gwen kubek z herbatą.

– Przecież w szafach na ubrania były tajemne przejścia.

– Do Narnii chyba.

– Czytałam, że w pałacach były tajne komnaty, do których się wchodziło przez ukryte drzwi w boazerii.

– Ale nie przez szafę. To wymysł scenarzystów filmowych. – Igor parsknął i nagle coś sobie przypomniał. Pałac…

– Słuchałaś tego, co mówiła ta babka w samochodzie? – Spojrzał na Paulinę, która usiadła w swoim fotelu i sięgnęła po kubek z herbatą.

– O czym?

– O tym Złotym Dworze. Ostatnio ktoś podobno go kupił. To przecież pałac Quistorpa, założyciela tej wielkiej cementowni. Ogromny park, który swobodnie łączy się z lasem, a u stóp był port…

Paulina patrzyła na niego, przez chwilę nie rozumiejąc, i nagle otworzyła oczy.

– Boże! Rzeczywiście!

– Co rzeczywiście? – Johann spojrzał na Igora podejrzliwie

– Przedmioty ukryte koło pałacu i blisko morza – zacytował Igor. – I blisko lasu. Przecież pałac Quistorpa pasuje do opisu Kuchty bardziej niż którakolwiek z lokalizacji opisanych w „Kurierze”.

Paulina przytaknęła.

– W dodatku leżał nad portem, z którego Flemming mógł swobodnie

odpłynąć jakąś wojskową jednostką.

– I po wojnie dawny park krajobrazowy, pozbawiony opieki, zarósł. Dokładnie tak, jak napisał Kuchta.

Przez moment nikt nic nie mówił. Słychać było tylko ryk wiatru za oknami.

– Musimy tam pójść – odezwał się w końcu Johann.

– Po co? – Gwen wzruszyła ramionami. – Nawet jeśli pałac Quistorpa naprawdę jest miejscem z listu stangreta, to co z tego? Nie weźmiemy przecież łopat i nie zaczniemy rozkopywać trawników.

– Tym bardziej że miejscowi pewnie wszystko już tam przekopali z dziesięć razy. – Paulina odstawiła kubek i sięgnęła do swojej torby. Wyjęła notes Kłosowskiego, położyła na kolanach i przez chwilę mu się przypatrywała.

– Skoro tutaj jesteśmy, to co szkodzi wszystko obejrzeć? – nie poddawał się Johann.

– Chociażby to, że, jak słyszeliście, to własność prywatna. Znowu traficie do więzienia, jak w zeszłym roku w Darłowie.

– Ja nie trafiłem.

– To była wina Ruperta. – Dermot wypił resztę herbaty i postawił kubek na stole. – Zachciało mu się kręcenia filmów dronem.

Paulina uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że przekomarzanie się mogło trochę potrwać. Zwłaszcza że nic lepszego nie mieli tutaj do roboty. Otworzyła okładkę notesu i przekartkowała kilka stron, zapisanych wyłącznie numerami telefonów i jakimiś datami.

Ponownie zatrzymała się na fotografii kobiety, którą widziała już wcześniej. Małgorzata Howińska. Zaczęła się zastanawiać, czy to może nie była jakaś dawna przyjaciółka albo kochanka, gdy zadzwoniła jej komórka.

Marta. Westchnęła i wiedząc, czego będzie dotyczył telefon, odebrała.

– Umówiłam nas na spotkanie w czwartek. – Po kilku pytaniach o to, jak się czuje i co słychać, koleżanka przeszła do rzeczy. – Rozmawiałam z Rozwarskim. Wprawdzie tę sprawę prowadzi Dulęba, ale zadzwonił sam Rozwarski. Chciał nas zaprosić do siebie, ale to postawiłoby nas w roli

petentów, więc się nie zgodziłam.

Paulina odkryła kolejną stronę. Jedno pod drugim, wypisane tu były imiona i nazwiska. Dwie z tych osób od razu poznała.

– Będą chcieli pójść na ugodę i będziemy musiały się nad tym zastanowić. Mamy wprawdzie absolutnie niepodważalne dowody i obdukcję, ale, jak już mówiłam, Dulęba będzie chciał cię zdyskredytować.

– Czy to w jakiś sposób wpłynie na werdykt?

– Sędzia może to wziąć pod uwagę. Według Kodeksu karnego za pobicie w tej sytuacji grozi od trzech miesięcy do pięciu lat. To są dość szerokie ramy.

Paulina przewróciła następną kartkę. Kolejny krótki spis osób. Tym razem trzech kobiet, w tym ponownie Małgorzaty Howińskiej. Obok każdego nazwiska był znak zapytania.

– Dobrze by było, gdybyś wpadła do mnie tak z godzinę wcześniej, to się przygotujemy. Nic nie będziesz mówić, chyba że Dulęba cię zapyta, ale wtedy też tylko, jak ci pozwolę.

Na kolejnej kartce po raz trzeci było nazwisko Howińskiej, ale tym razem obok naszkicowany był dziwaczny znak.

Paulina potarła czoło. Dziwna plątanina kółek i kresek, która z niczym jej się nie kojarzyła.

Pomyślała, że może jednak to rzeczywiście jakaś dawna kochanka Kłosowskiego. Kłosowski trzymał ten notes w ukryciu. Może przed żoną?

Przypomniała sobie, że żona Kłosowskiego od dobrych kilku lat nie żyła. Może więc chował go z przyzwyczajenia?

A te dziwaczne znaki? Mogły to być takie esy-floresy, które w zamyśleniu rysuje się na kartce. Pamiętała, że czytała coś o tym, że takie rysunki są emanacją podświadomości i psycholog może z nich wiele wyczytać.

Przekrzywiła głowę. Nie było w nich żadnego sensu. Według autora tamtego artykułu zazwyczaj od razu coś się rzuca w oczy. Symbole seksualne, części ciała albo ubioru.

Przewróciła kartkę. Kolejne nazwisko kobiety z listy dwie strony wcześniej i kolejny rysunek. Szybko odwróciła następną stronę i, zgodnie

z oczekiwaniami, znalazła trzecie nazwisko i trzeci, naszkicowany wprawną ręką symbol.

– Halo! Paulina! Czy ty mnie słuchasz?

Paulina oderwała wzrok od notatnika i przycisnęła telefon do ucha.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Mówiłam, żebyś wpadła w czwartek około jedenastej. Spotkanie jest w południe.

– Mam się jakoś przygotować?

– Nie musisz. Wszystko ci powiem.

Pożegnały się i Paulina odłożyła telefon na stolik. Wiatr gwałtownie naparł na okno. Z dworu dochodził szum szarpanych przez wicher gałęzi. Co jakiś czas rozlegała się kanonada uderzających o szyby kropel deszczu.

– Pierwsza ekspedycja Ahnenerbe odbyła się do południowo-zachodniej Szwecji. Jej celem było właśnie zbadanie zachowanych tam najstarszych kamieni z wyrytymi napisami runicznymi. Niemcy chcieli udowodnić, że staroniemiecki pochodzi od run, a runy są pozostałością po starożytnej kulturze Aryjczyków.

Paulina podniosła wzrok. Dyskusja przy stole znów najwyraźniej dotyczyła Ahnenerbe. Runy? Pochyliła głowę i ponownie obejrzała tajemnicze znaki z notesu Kłosowskiego. Pamiętała mniej więcej kształty run z alfabetu futhark, ale te znaki zupełnie ich nie przypominały.

– Skąd właściwie wzięli się ci Aryjczycy? – Gwen oparła łokcie na stole i pochyliła się nad ekranem tabletu, na którym wciąż widniało godło Ahnenerbe. – Możliwe, że ktoś już mi to tłumaczył, tylko zapomniałam.

– Przynamniej jesteś szczera, kochanie. – Johann się uśmiechnął.

– Ty powinieneś wiedzieć najlepiej. – Dermot wyszczerzył do niego zęby. – Klasyczny typ nordycki.

– Klasyczny typ idioty.

– „Ariowie – ludy indoeuropejskie, które w trzecim tysiącleciu przed naszą erą zamieszkiwały Azję Środkową”. – Igor przeczytał informację z Wikipedii i podniósł wzrok.

Dermot przestał się śmiać.

– Pamiętam, że nazwa Aryjczycy pochodzi z sanskrytu i oznacza „szlachetny”.

– Tutaj też jest tak napisane. – Igor postukał palcem w ekran.

– Jeżeli chciałabyś, to mogę ci zrobić krótki wykład z historii doktryn politycznych. – Dermot uśmiechnął się protekcjonalnie do Gwen.

Gwen pokręciła głową.

– Proszę o wersję skróconą.

– No więc tak, nazizm ze swoim mitem rasy aryjskiej opierał się teoretycznie na doktrynach, które już w połowie dziewiętnastego wieku głosił francuski filozof Arthur de Gobineau.

– Dermot. – Gwen spojrzała z rezygnacją. – I tak nikt tego nie zapamięta.

– Spytałaś, to teraz nie jęcz. No więc, to właśnie ten koleś stworzył teorię ras. Pomijając czynniki geograficzne jako kształtujące ludzi, twierdził, że główny wpływ na społeczeństwa mają czynniki antropologiczne. Za najwyższą rasę ludzi uznał rasę nordycką, a więc ludy północy, Skandynawów.

– Nie Niemców?

– No właśnie dlatego Ahnenerbe w pierwszych latach istnienia starała się dowieść związków języka staroniemieckiego z runami. De Gobineau twierdził, że mieszanie się ras doprowadza do upadku społeczności, ponieważ tylko czysta rasa nordycka, jako rasa urodzonych władców, jest w stanie zbudować dobrze funkcjonujące państwo. Powodem zatracania wartości jest według niego także demokracja, która dopuszcza do rządów ludzi klas niższych, degenerując z czasem społeczeństwo.

– Jemu podobni do dzisiaj tak twierdzą.

– Dzisiaj twierdzą tak troglodyci, wówczas było to całkowicie zgodne z interesami klasy rządzącej.

– Arystokracji?

– Oczywiście. De Gobineau był francuskim hrabią, a jego rodzina miała wielkie włości w koloniach. Tego typu teorie były podbudową ładu społecznego i pozwalały utrzymać istniejący stan rzeczy.

– A wracając do nazistów…

– No właśnie. Nazizm, paradoksalnie, odwoływał się głównie do bardziej ludycznych i popularnych idei. Doktryna de Gobineau była jednak zbyt cywilizowana dla ciemnych mas. Naziści opierali się na teoriach będących mieszaniną doktryn politycznych, okultyzmu i pretensjonalnego mistycyzmu, które na przełomie wieków pokutowały w salonach burżuazji. Seanse spirytystyczne, lewitacja i tym podobne brednie.

Igor pokiwał głową.

– Na przykład Helena Bławatska.

Czytał kiedyś o tej słynnej okultystce, która jako medium brylowała w całej Europie. Uznawana wręcz za proroka, rozpowszechniała wierzenia o Aryjczykach, którzy uratowali się z Atlantydy i zamieszkiwali niedostępne tereny w Himalajach oraz w dziesiątkach miast, które rzekomo zbudowali pod Antarktydą. Mieli się posługiwać hinduistycznym symbolem szczęścia – swastyką.

– Dobry przykład. – Dermot odwrócił się do Igora. – A trochę wcześniej popularny angielski pisarz, autor *Ostatnich dni Pompei*, które notabene niedawno po raz któryś z kolei sfilmowano, napisał powieść *Nadchodząca rasa*[25] i opisał w niej fantastyczne plemię nadludzi, zwanych Vril-Ya, żyjących we wnętrzu Ziemi i posługujących się tajemną siłą psychiczną, której używali także do napędzania latających pojazdów. Na pewno kojarzycie tę nazwę.

Dermot sięgnął po kubek z herbatą, ale okazał się pusty.

– No i z takiej to właśnie pierwotnej zupy wylęgły się teorie o rasie panów.

Paulina w zamyśleniu patrzyła w przestrzeń. Nigdy nie myślała o kulisach drugiej wojny w takim kontekście. Pochyliła głowę i ponownie spojrzała na dziwaczny symbol.

Po zastanowieniu stwierdziła, że Małgorzata Howińska nie wyglądała jednak na niczyją kochankę. Raczej na zwykłą, prostą kobietę, domatorkę.

Ahnenerbe. Runy…

– Na początku zaczęliście rozmawiać o runach – odezwała się w końcu.

Cztery pary oczu spojrzały w jej kierunku.

– Czemu w ogóle ty siedzisz tam z boku? – Gwen kiwnęła do niej

i wskazała głową krzesło obok siebie.

– Przeglądałam jeszcze raz notes. – Paulina podniosła do góry notatnik Kłosowskiego. – Znalazłam tutaj coś ciekawego. Zastawiam się, czy któreś z was nie wie, co to może być.

Wstała i podeszła do stołu. Położyła zeszyt na środku i otworzyła go na stronie, na której naszkicowany był mazakiem pierwszy znak.

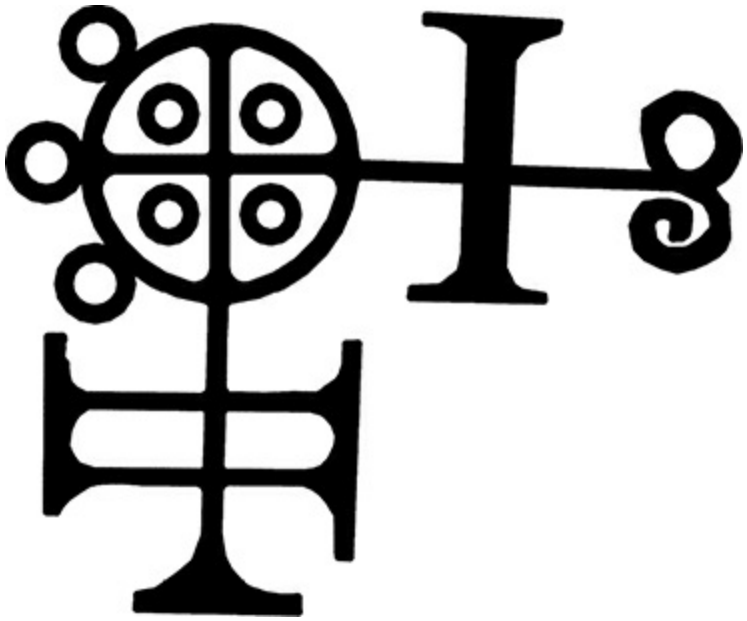

Rozdział 19

Przez wychodzące na podjazd okna widać było oświetlony stylizowaną latarnią dom i szarą płaszczyznę mokrej kostki granitowej. Lampy uliczne jeszcze się nie paliły, najbliższe otoczenie obu budynków wyglądało więc jak oświetlona reflektorami scena, na którą ukrywająca się na zapleczu obsługa techniczna lała ze szlauchów strugi sztucznego deszczu. Wiatr wciąż szarpał gałęzie stojących przy ogrodzeniu świerków i starej lipy, na którą z płotu wspinały się bezlistne szuwary wisterii.

W pokoju na parterze panowała chwilowa cisza, a wszyscy, skupieni wokół stołu, wpatrywali się w leżący na blacie notes.

– Co to jest? – spytał Igor bez zastanowienia.

Paulina spojrzała na niego z lekką irytacją.

– Czy jakbym wiedziała, co to jest, to pytałabym o to?

– Nie wiem, może robisz jakiś quiz albo test.

– Tak. – Paulina pokiwała głową. – Na inteligencję. Niestety, nie zaliczyłeś.

Gwen patrzyła to na jedno, to na drugie z sarkastycznym uśmiechem.

– Czy wy nie możecie wytrzymać pięciu minut bez dogryzania sobie?

– To chyba ta baba ze zdjęcia? – Dermot, ignorując pytanie Gwen, które słusznie uznał za retoryczne, spojrzał na Paulinę. – Oglądaliśmy je wtedy nad biurkiem.

Paulina pokiwała głową.

– Małgorzata Howińska. Naprawdę z niczym wam się nie kojarzy ten rysunek?

Johann przekrzywił głowę, wpatrując się w czarną plątaninę kółek i kresek.

– Wygląda jak jakaś antena.

Paulina pochyliła się nad stołem i przewróciła stronę.

– Są jeszcze dwie takie anteny.

Całą kartkę notatnika wypełniał skomplikowany rysunek. Na dole strony umieszczone było imię i nazwisko kolejnej kobiety.

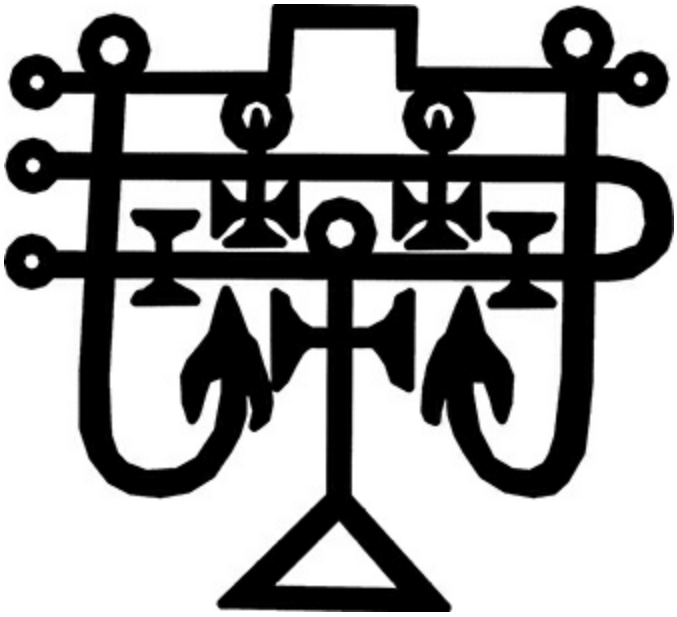

– Marlena Ćwiek – przeczytał Igor.

– Nazwiska są pod tymi rysunkami, więc w jakiś sposób muszą się do nich odnosić. – Johann sięgnął po jedną z kartek leżących na stercie przed Igorem i zaczął przerysowywać skomplikowany schemat.

– Nie na tym! – Igor wyszarpnął mu papier. – Przecież tutaj są pomiary!

– Przecież ich nie zamaluję.

– Tak, a ja się potem będę zastanawiał, czy aby przypadkiem twój bohomaz to nie jest część szkicu przebiegu instalacji kanalizacyjnej.

Wyciągnął z bloku czystą kartkę i położył przed Johannem.

– Tu możesz sobie rysować.

Johann ponownie zaczął kreślić tajemniczy kształt.

– Nie mam pojęcia, co to może być. – Dermot, który do tej pory w milczeniu przypatrywał się rysunkom, podniósł wzrok.

– Początkowo myślałam, że to takie bazgroły, które robi się bezwiednie, na przykład rozmawiając z kimś przez telefon. Ale są chyba zbyt regularne.

– To wcale nie jest taka głupia teoria. – Igor wzruszył ramionami. – Pamiętam, że kiedyś podczas długiej, strasznie irytującej rozmowy z inwestorem narysowałem na kartce cały zamek. Z basztami, wieżami i krenelażem.

– Ale ty jesteś architektem. Bazgrolenie masz we krwi. Kłosowski… – Paulina się skrzywiła. – Właściwie jakie on miał wykształcenie?

– Nie mam pojęcia. Zajmował się tak zwanymi interesami. Mógł nawet mieć jakieś średnie.

Johann odwrócił kartkę i pochylił się nad trzecim, ostatnim rysunkiem.

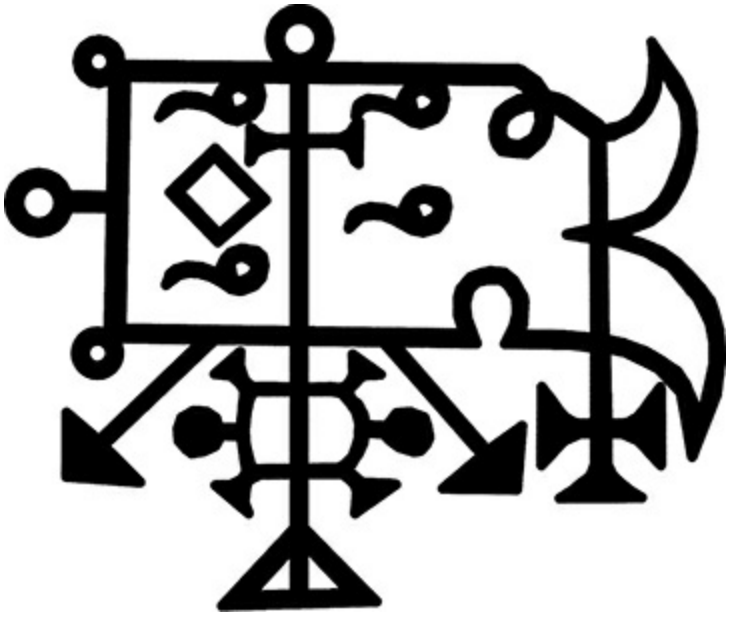

– Bugdejna Ga…rszcz…

Igor parsknął śmiechem

– Bogdana Gancarczyk – przeczytał i nagle zamarł ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

– Co jest? – spytała Paulina, która zauważyła jego reakcję.

– To nazwisko jakoś mi się kojarzy.

– Z czym?

– No, jakbym wiedział, to…

Nagle przerwał i sięgnął po tablet. Wpisał coś w wyszukiwarkę i po chwili szeroko otworzył oczy.

– Kurczę! To nie może być przypadek.

– Co się dzieje? – Johann spojrzał na niego podejrzliwie.

Igor podniósł rękę, uciszając go, i zwrócił się do Pauliny po polsku.

– Nie pamiętasz? Wy przecież też o tym pisaliście. W zeszłym roku. W czerwcu albo w lipcu.

– O czym?

– Z Dziwny, niedaleko Wolina, wyłowiono zwłoki kobiety. W foliowym worku. Ze skręconym karkiem. Jakaś aktywistka ekologiczna, o ile pamiętam.

Paulina zamarła. Faktycznie! Oczywiście, że pamiętała tamtą sprawę. Całe wakacje o tym pisali. Kobieta prowadziła jakąś wojnę z lokalnym hodowcą zwierząt futerkowych i radnym z Wolina, który go wspierał. Jak on się nazywał? Niczego mu nie udowodnili, ale w internecie jeszcze długo pisali o jego powiązaniach ze światkiem przestępczym, o nielegalnych ubojniach i tak dalej.

– Recław! – Igor podniósł tablet i pokazał jej mapę. – Ta kobieta była z tej wsi i to tam miała powstać jakaś ubojnia czy farma.

Paulina przypomniała sobie. Bogdana Gancarczyk usiłowała powstrzymać tę inwestycję, pisała odwołania, zleciła nawet ekspertyzę ekologiczną na własny koszt i rozpowszechniła ją w mediach. Recław. Mała wieś nad samym brzegiem Dziwny. Dokładnie naprzeciwko Wolina.

– Dokładnie naprzeciwko Wolina. – Igor jakby czytał w jej myślach. – A konkretnie południowego krańca Wolina. I wiesz, czego jeszcze?

– O czym wy mówicie? – zniecierpliwił się w końcu Johann.

– Czego?

– Wzgórza Wisielców.

*

Grafitowa panamera płynęła bezszelestnie zatłoczonymi ulicami Szczecina. Po lewej stronie kończył się właśnie, rozświetlony tu i ówdzie parkowymi latarniami, park Żeromskiego, a po prawej ciągnęły się odnowione przedwojenne kamienice. Borola zamierzał skręcić w Matejki,

a potem w Gontyny, w Emilii Sczanieckiej i Wilczą wydostać się z centrum, Przyjaciół Żołnierza dojechać do Krasińskiego i stamtąd już prosto na Warszewo. Niestety, Matejki była zatłoczona, a samochody poruszały się w żółwim tempie jeden za drugim.

Borola zaklął pod nosem. Zapomniał o robotach drogowych, które dwa dni temu zaczęły się na wysokości ulicy Emilii Plater.

Wślizgnął się pomiędzy wlokące się samochody i przygotował się na długi wyjazd z miasta.

Westchnął i spojrzał na leżący na siedzeniu obok plik dokumentów, który pół godziny temu zostawił mu prawnik. Skoro angielska kancelaria Carmondeley & Chatfield Ltd. uderzyła do tak znanej ustosunkowanej wśród polityków warszawskiej firmy, oznaczało to, że jej przedstawiciele zamierzali zdobyć jakieś pozwolenia, których wydanie wykraczało poza kompetencje prezydenta Szczecina. A co w takim razie oznaczały ich podchody do interpretacji przepisów dotyczących surowców szlachetnych? W jaki sposób obrót kopalinami mógł się wiązać z angielską firmą, której jednym z udziałowców był jakiś Flemming? Co oni mogli mieć wspólnego z taką działalnością? Korale naturalne? Perły? Bursztyn?

Borola sięgnął po butelkę z wodą mineralną. Wyjął ją z objęć eleganckiego niemieckiego uchwytu i podniósł do ust. Wziął łyk i nagle do niego dotarło. Bursztyn!

Szeroko otworzył oczy i zaraz potem się zakrztusił.

*

Paulina patrzyła w okno. Zupełnie bezwiednie rejestrowała wciąż wyjący groźnie wiatr i bijące o szyby krople deszczu, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. W tle Igor tłumaczył właśnie angielskojęzycznej części towarzystwa historię zamordowanej w niewyjaśnionych okolicznościach aktywistki ekologicznej, a ona miała przed oczami koszmarny film, który obejrzała kilka dni temu na ekranie komputera Piotrusia. Upiorne zwłoki kobiety, wyłowione z wody niedaleko Wyspy Robiena. Nie miała wątpliwości, że to przypadek i że te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego, ale i tak była wstrząśnięta. Dwa zawinięte w worki trupy, o których dowiedziała się w odstępie raptem kilku dni, to trochę za dużo

nawet dla dziennikarki zajmującej się ostatnio wyrafinowanym średniowiecznym ludobójstwem.

– …porachunki mafijne. – Dotarły do niej słowa Johanna, który najwyraźniej rozważał jakąś teorię spiskową. – Może wpadła na trop większej afery i rzeczywiście ją uciszyli.

– Nie zdołano w żaden sposób powiązać jej śmierci ani z tym wolińskim radnym, ani z tym szemranym hodowcą. – Igor pokręcił głową. – Pamiętam wrzawę w mediach. Pisano o tej sprawie prawie codziennie.

– Załóżmy, że rzeczywiście wpadliśmy właśnie na jakiś trop z nią związany – odezwał się Dermot.

Gwen westchnęła

– Nie przesadzacie trochę?

– Załóżmy, powiedziałem. – Dermot spojrzał na nią surowo. – W takim razie jednak zrobiliśmy najgorszą rzecz, jaką można sobie wyobrazić.

– Jaką? – Gwen wytrzeszczyła oczy.

– Ukradliśmy dowód.

Na moment zapadła cisza.

– Nie możemy z tym iść na policję – mruknął Igor. – Nie macie nic wspólnego z moją firmą, a inwestorka myśli, że jesteście Ukraińcami. A jak jeszcze gdzieś podłożymy ten notes, to już w ogóle wyjdziemy na przestępców pierwszej wody.

– Cudownie – parsknął Dermot. – Nie wspominając już nawet o twoim układzie z Borolą.

– I twoich podejrzanych negocjacjach z władzami Szczecina.

– Akurat w tej sprawie nas to nie obciąża, ale, fakt, bylibyśmy skompromitowani.

– Przecież opowiadacie głupoty. – Gwen parsknęła i przysunęła do siebie notes. Odwróciła jedną kartkę i podniosła wzrok. – Tu nie ma żadnych dat. Tak naprawdę nie wiadomo, kiedy Kłosowski wpisał nazwiska tych kobiet, w tym tej całej Bugdejny.

– Bogdany – odruchowo poprawił Igor.

– To mogło być równie dobrze kilka lat temu. Na wcześniejszej stronie

obok tych trzech nazwisk są znaki zapytania. Może na przykład były to po prostu kandydatki na pomoc domową albo kucharkę?

– Aktywistka ekologiczna kandydatką na kucharkę? – Johann spojrzał na Gwen z powątpiewaniem

– A kucharka to nie może być aktywistką ekologiczną? Ja też w zasadzie jestem, jak wiecie, aktywistką ekologiczną, a zajmuję się handlem nieruchomościami.

– Ty jesteś twarzą rozmaitych kampanii z uwagi na nazwisko i pieniądze rodziny.

– A to coś zmienia? Skoro nie przywiązuję się łańcuchem do drzew, to jestem gorsza?

– Nic takiego nie powiedziałem.

– A co ze Wzgórzem Wisielców? – Paulina postanowiła stłumić ciekawą skądinąd dyskusję w zarodku. Anglicy mieli ogromny talent do dygresji i jeśli nie narzucało im się żadnych ram, to ani się człowiek obejrzał, a już rozmawiał na przykład o Szkocji.

Igor odwrócił się i spojrzał na Paulinę rozkojarzonym wzrokiem.

– W pierwszej chwili wydało mi się to zaskakujące. Rozmawiamy o diabelskich wzgórzach, na których SS Ahnenerbe ukryło jakąś kolekcję, a tu nagle nazwisko kobiety, której zwłoki zostały wyłowione u stóp Wzgórza Wisielców. – Wzruszył ramionami. – Ale to nonsens, oczywiście. Przypadek.

– Nie wiemy, jak wyglądała ta Bogdana, ale Małgorzata Howińska to chyba zwykła prosta kobieta ze wsi. – Gwen podniosła zdjęcie, które było wetknięte między kartki notesu. – À propos teorii Pauliny, że te kobiety to kochanki Kłosowskiego. To był bogaty biznesmen i kolekcjoner, stać by go było na jakąś efektowniejszą przyjaciółkę.

– Jak słusznie zauważyłaś – Dermot odchylił się na krześle i spojrzał na fotografię – nie ma tu żadnych dat. Może jakieś dwadzieścia lat temu była z niej superlaska.

Igor pokiwał głową.

– W latach dziewięćdziesiątych Kłosowski przyjeżdżał tu na wakacje z rodziną. Może rzeczywiście miał jakieś przygody?

– Z tymi czterema facetami także? – Gwen odwróciła kolejną kartkę. – To znaczy nie żebym miała coś przeciwko temu.

Igor wzruszył ramionami.

– Cztery nazwiska, z których jedno już znam. Hubert Kupiec. A dalej Jakub Merin, Baltazar Radwaniuk i Marian Wróbel.

– Dwa wydawały mi się jakoś znajome. – Paulina podniosła się z fotela i podeszła do Gwen.

Pochyliła się nad stołem.

– Jakub Merin nic mi nie mówi, tak samo jak Baltazar Radwaniuk. Natomiast Wróbel, Wróbel…

Igor nagle pochylił się gwałtownie nad swoim tabletem i wpisał coś w przeglądarkę.

– Tak myślałem. – Podniósł głowę i spojrzał na Paulinę. – Marian Wróbel to właśnie ten przedsiębiorca, z którym prowadziła wojnę Bogdana Gancarczyk.

– Naprawdę? – Paulina popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Igor potwierdził.

– Niezależnie od tego, czy Kłosowski wpisał nazwisko Gancarczyk przed jej śmiercią, czy po niej, to wszystko i tak jest jakieś cholernie podejrzane.

– A kto to jest „ktoś inny”? – spytała nagle Gwen.

– Ktoś inny? – Johann odwrócił się i zajrzał do notesu.

– Pod czterema nazwiskami jest jeszcze jeden dopisek – Gwen postukała palcem w kartkę – „lub ktoś inny”.

Johann podniósł wzrok znad notesu.

– A skąd ty wiesz, co tu jest napisane?

Gwen wskazała oczami swoją komórkę i otwartą aplikację Translate.

– „Lub ktoś inny…” – Paulina przeczytała dopisek i wzruszyła ramionami. – W zasadzie to wszystko może mieć bardzo przyziemne i racjonalne wytłumaczenie. Wróbel prowadził interesy, Kłosowski także. Tak samo zresztą jak jego zięć. Może po prostu rozważał wciągnięcie kogoś do jakiejś spółki?

– No i najprawdopodobniej tak jest, a my robimy z tego spiskową teorię dziejów. – Dermot wstał od stołu i ruszył w kierunku aneksu kuchennego.

– No proszę, tu jest ekspres do kawy. Jeszcze kawa by się przydała.

– Jest w drugiej szafce, nad zlewem – rzuciła przez ramię Paulina i spojrzała w okno.

Teraz dopiero zauważyła, że deszcz przestał padać, a wiatr stracił chyba na sile, bo od kilku minut nie było słychać dzikiego huku szarpanych gałęzi.

*

Borola odstawił butelkę wody mineralnej z powrotem w elegancki niemiecki uchwyt i sięgnął po chusteczkę higieniczną. Samochód wlókł się za innymi pojazdami, których sznur ciągnął się aż do białych apartamentowców Nautica.

Bursztyn! Borola starał się uspokoić galopadę myśli, które bez ładu i składu tłukły się w jego głowie. Co to znaczy? Nagle przypomniał sobie opowieści Cezarego o poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty, które kilka lat temu podjął mieszkaniec Świnoujścia. Cezary natrząsał się z tego, twierdził, że to bzdury. Czy to możliwe, że jego tajemnice mają z tym jednak coś wspólnego?

Borola znał oczywiście historię poszukiwań legendarnej komnaty z Pałacu Zimowego i wiedział, że po wojnie KBW prowadziło rozpoznania na Wolinie. Nic wówczas nie znaleźli, bo byłoby o tym głośno, ale może to całe Sedinum Exploration tym właśnie się zajmuje?

Z jednej strony byłoby to dość absurdalne i stawiałoby ich raczej w niekorzystnym świetle. W końcu Bursztynowej Komnaty szukano w tylu miejscach na świecie i zajmowało się tym tyle osób, ba, zespołów; dlaczego teraz jakaś angielska firma miałaby akurat coś zdziałać?

Tylko że nazwisko Flemminga wciąż niepokoiło.

Ten ród nawet pod koniec wojny, gdy wszystko w Niemczech zmierzało ku nieodwracalnej katastrofie, wciąż miał wiele do powiedzenia. Wolin naprawdę stał się wówczas wyspą skarbów. Przez dwa miesiące, od marca do maja, uciekający tędy ludzie i wycofujące się oddziały Wehrmachtu chowali wszystko, co się dało, przed nadciągającymi Sowietami.

I jeszcze obawy Cezarego. Dlaczego nagle zaczął się bać o swoje życie? Jeśli w grę wchodziła Bursztynowa Komnata, to rzeczywiście mogli stać za tym ludzie, którzy nie zawahaliby się przed niczym.

Borola wrzucił luz. Samochód powoli podpłynął do rufy wielkiej brudnej ciężarówki i stanął.

Borola westchnął. Czy to możliwe, że tkwi teraz tutaj w korku i rozmyśla nad poszukiwaniami Bursztynowej Komnaty? Przecież to kompletne szaleństwo.

*

Wiatr, co prawda z mniejszą siłą niż jeszcze kilkanaście minut temu, nadal szarpał rozpostartymi nad drogą drzewami, a wybujałe kolumnowe żywotniki, które wystawały zza gęstych żywopłotów i drewnianych ogrodzeń, zachowywały się pod jego naporem jak rosyjskie wańki-wstańki. Jakieś pół godziny temu zapaliły się latarnie, jednak główna ulica miejscowości, nazywająca się nomen omen Główna, miejscami nadal tonęła w mroku; oświetlały ją teraz ustawione z rzadka przymocowane do betonowych słupów stare blaszane lampy.

– Tam chyba jest zejście nad wodę. – Gwen wskazała ręką niknącą w ciemności, opadającą w dół uliczkę. Po kolejnej godzinie spędzonej w pokoju na parterze oficyny domu na klifie nawet ona dała się namówić na spacer.

– Na dole jest pomost dla łódek i wiata dla rybaków. – Igor zasłonił się ręką od wiatru i spojrzał w kierunku wąskiej dróżki. – Byłem tam kiedyś z Dorotą.

– Z Dorotą? – Dermot uśmiechnął się kpiąco.

– W jakimś poprzednim życiu.

– Idziemy tam. – Johann wskazał ręką główną ulicę, patrząc jednocześnie na ekran smartfona. – Tam jest ta dawna cementownia.

– To cały czas prosto tą drogą. – Paulina naciągnęła na głowę kaptur. – Po co ci ta mapa?

– Z góry to raczej nie wygląda na prosto. Droga wije się jak serpentyna.

– Dzwonili z warsztatu? – Gwen się odwróciła, jedną ręką trzymając kaptur.

Igor pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że jutro samochód jednak będzie gotowy – westchnął i ruszył za Johannem.

– Jak nie, to wracamy taksówką.

– Taksówką? To będzie kosztowało majątek.

– Jestem ubrana w dresy i kurtkę z Lidla. To wystarczy. Nie zamierzam w takim stanie wsiadać do pociągu. – Gwen przytrzymała kaptur, który wiatr chciał zerwać jej z głowy.

– Do pociągu to stąd są całe kilometry. A pięcioosobowych taksówek w Międzyzdrojach chyba nie ma.

– To wezwiemy ze Szczecina.

– Snobka.

– Co będzie ci przeszkadzać w skorzystaniu z tego udogodnienia? Jakaś polska martyrologia? Wy zawsze musicie mieć pod górę?

– Pieniądze, milady. A konkretnie ich brak.

– A kto ci każe płacić, kochanie. Będziesz moim gościem.

– Słuchajcie! A jeżeli to wszystko się ze sobą wiąże? – Johann odwrócił się i przez chwilę szedł tyłem, patrząc na pozostałą czwórkę.

– Wszystko, czyli co? – spytał Igor

– Bursztynowa Komnata i kucharka z Recławia – mruknął Dermot, wzbudzając głośny śmiech Gwen i Pauliny.

– W jaki sposób to mogłoby się wiązać? – Igor kiwnął w stronę Johanna. – Uważaj na krawężnik.

Droga się zwężała i biegła dalej wzdłuż ogrodzenia z siatki, zza którego wylewały się poplątane gałęzie zaniedbanych krzewów. Nieco dalej, za zakrętem, widać było wielki opustoszały budynek, na którego froncie znajdował się ganek z zachowaną kutą balustradą.

– Kłosowski i jego tajemnicze notatki, Borola, który najwyraźniej o coś go podejrzewał i jakaś tajemnica z przeszłości. Może na przykład te skarby,

o których pisali Kuchta i ten politruk, tutejsi mieszkańcy już dawno znaleźli i Kłosowski zrobił listę podejrzanych, o których wiedział, że w przeszłości ich dziadek albo ojciec, albo oni sami, coś tu wykopali. Może chciał ich po cichu wysondować i za bezcen kupić od nich coś bardzo ciekawego.

– Hmm… – Igor skierował latarkę z telefonu na jezdnię, która w tym miejscu była nierówna i pełna dziur. – Do tej teorii nie pasuje jego zięć. Jest przecież z Gdańska.

– Jesteście pewni, że dobrze idziemy? – Gwen wskazała ręką na rozwidlenie dróg.

– Tak, w dół. – Johann machnął ręką w kierunku kolejnego zwężenia, za którym widać było oświetloną jezdnię.

– Ten protokół z przesłuchania sekretarza jest na tyle sensacyjny, że to już i tak wystarczy. Nie trzeba do tego mieszać jakichś kandydatek na kucharki. – Paulina po raz kolejny podciągnęła kaptur, który uparcie ściągał jej wiatr. Odkąd przeczytała dokument znaleziony w biurku Kłosowskiego, myślała o tym, jakim ciekawym nawiązaniem do serii artykułów „Kuriera” sprzed roku byłby teraz sensacyjny tekst o odnalezionym protokole. Można by do tego dołączyć teorię o kolejnym domniemanym miejscu ukrycia skarbów, którego nie wzięli pod uwagę autorzy tamtych artykułów – parku przy pałacu Quistorpa.

– Ja także uważam, że to kompletnie inne sprawy – powiedział Igor. – Chociaż te dziwne symbole są bardzo zastanawiające.

– E tam, nie nazywaj tego symbolami. Najpewniej to jednak zwykłe, ot tak sobie rysuneczki. Nie ma w nich żadnego sensu. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem tego pewna – stwierdziła Paulina.

– No dobra. – Johann włączył aplikację latarki i skierował ją pod nogi. – To inaczej. Kłosowski razem z kilkoma wspólnikami chcieli uruchomić ten jakiś wielki interes hodowlany. Może hodowla pod Wolinem to był tylko czubek góry lodowej. Ta aktywistka ekologiczna wpadła na ich trop i któryś z nich ją uciszył. Stąd spis nazwisk umoczonych w tym facetów. Może tamte dwie pozostałe baby to też jakieś aktywistki?

– Byłoby to jakoś strasznie spolaryzowane płciowo – zakpił Dermot. – Przestępcy i mordercy to sami faceci, a przeciwko nim trzy bohaterskie kucharki, które po wsiach tropią złoczyńców. To nawet lepsze niż

Morderstwa w Midsomer[26].

– To czemu w tym zestawieniu nie ma Boroli? – spytała Paulina, gdy wszyscy przestali się śmiać.

– Pewnie jest w punkcie „lub ktoś inny…” – mruknął Igor, modulując głos w najniższych możliwych oktawach i wywołując ponowny wybuch śmiechu.

Droga cały czas opadała w dół zbocza, na którym ulokowana była najstarsza część mieściny. Prowadziła wśród zaniedbanych pałacyków z okresu międzywojennego, topornych willi z siermiężnych czasów komuny i nowych domów, wytatuowanych ceramicznymi płytkami elewacyjnymi, z wyłożonymi polbrukiem podwórzami, szczelnie ogrodzonych płotami z betonowych paneli, przed którymi wszędzie stały lub wisiały tablice informujące o wolnych pokojach.

Meandrując pomiędzy ogrodzeniami domostw i pensjonatów, omijając stare drzewa i słupy trakcji elektrycznej, droga docierała w końcu do niewielkiego skrzyżowania. Po lewej stronie, na rogu, stał podejrzanie wielki jak na malutką miejscowość gmach Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, a po prawej kończyło się kamienne ogrodzenie jakiejś posiadłości. Trochę dalej pięła się do góry wyłożona ośmiobocznymi betonowymi płytami droga, wokół której groźnie huczał ciemny masyw starych drzew. Za gmachem ZUS-u droga spadała w dół, w kierunku przystani, a za nią rozciągał się mroczny cmentarz starych zrujnowanych budynków dawnej cementowni.

– Nie chcecie chyba tam iść? – spytała Gwen, wskazując głową upiornie wyglądającą zdewastowaną bramę wjazdową, niegdyś prowadzącą do największej fabryki cementu portlandzkiego w Europie.

– Pałac zdaje się był tam. – Igor machnął ręką w kierunku ściany drzew.

– To jest teren prywatny, przypominam wam.

– Ale to jest zwykła publiczna droga. Co szkodzi, jak pójdziemy na górę i się rozejrzymy? – Johann wzruszył ramionami.

Droga na początku oświetlona była latarniami. Na zakręcie, dokładnie na jej osi, widać było jakąś masywną wieżę. Dalej wszystko spowijała ciemność.

– Tam stoi jakaś baszta. – Johann wskazał ręką i ruszył przed siebie. Pozostała czwórka po chwili wahania poszła w jego ślady.

– To nie jest żadna baszta, tylko zwykły transformator – stwierdził Igor, gdy dotarli na górę. Odwrócił się. Zostawili za sobą kilkadziesiąt metrów betonowej drogi. Na jej zamknięciu stała wieża transformatora. Droga omijała go z lewej strony i wspinała się pod górę wzdłuż ściany starych drzew. Jeszcze kilkadziesiąt metrów dalej widać było palące się światła jakiegoś niewielkiego domu. Na skraju zdziczałego parku była brama, a za nią krótki podjazd prowadzący pod schody budynku z czerwonej cegły z gankiem, na którym paliło się teraz światło.

– Tam ktoś stoi – powiedziała cicho Paulina, wskazując głową bramę.

W miejscu, w którym się zatrzymali, było zupełnie ciemno. Ostatnia latarnia uliczna została obok transformatora, a światło z podjazdu posiadłości tutaj nie docierało. Obok jednego z filarów stała jakaś okutana w czarną kurtkę postać. Po chwili od strony domu ukazał się snop światła i pod bramę podeszła korpulentna kobieta, trzymająca w ręku potężną latarkę.

Igor znieruchomiał, tak jak i pozostała czwórka. Nie było to za mądre, ale nie wiedzieli, jak się zachować. Czy mieli, jak gdyby nigdy nic, iść dalej? Nie wydawało się to znowu takie oczywiste. Byli tutaj obcy, trwał właśnie sztorm, słabszy chyba tylko przez chwilę i spacer był ostatnią rzeczą, o jakiej można by pomyśleć w taką aurę. Zresztą gwałtowny odwrót też wyglądałby podejrzanie. W rezultacie zostali w miejscu, mając nadzieję, że dwie postaci pod bramą ich nie zauważą.

– Czego ksiądz tutaj chce o tej porze? – Głos kobiety był na tyle donośny, że usłyszeli, co mówi.

Ksiądz musiał coś odpowiedzieć, bo kobieta poinformowała go głośno, że kogoś nie ma w domu.

– Proszę przyjść pojutrze! Pojutrze będzie.

– Kogo nie ma w domu? – syknął Igor do Pauliny. – Słyszałaś? Chyba powiedziała.

– Ciszej bądź. Nie słyszałam.

– Ale on jest w niebezpieczeństwie! Muszę z nim porozmawiać! Wiem, kim on jest! – krzyczał ksiądz nieskładnie w ślad za odchodzącą w głąb posesji kobietą.

– Niech ksiądz idzie do domu! – Wróciła do furtki i machnęła ręką

w kierunku drogi.

– Wiem, kim on jest! To się musi skończyć!

– Ja też wiem, kim on jest! Ale muszę mieć co do garnka włożyć! – warknęła kobieta przyciszonym głosem. – Jak księdzu nie wstyd chodzić w takim stanie po nocach! Pogoda taka, że psa z domu nie wygna, a ten łazi po tej ciemnicy!

– Nie jestem pijany!

– A ja jestem szczupła. Szczęść Boże!

Kobieta odwróciła się i poszła w kierunku domu. Ksiądz jeszcze przez chwilę patrzył za nią, po czym naciągnął głęboko kaptur i ruszył wzdłuż ogrodzenia.

Igor pomyślał, że jak ksiądz, nawet pijany, zobaczy pięcioro stojących nieruchomo podejrzanych obcych ludzi, kryjących się w mroku, to chyba padnie na zawał. Na szczęście duchowny skręcił w las i poszedł jakąś sobie tylko znaną przecinką w kierunku głównej drogi.

– O czym oni mówili? – Johann odetchnął głęboko, tak jakby przez całą scenę z księdzem wstrzymywał powietrze.

– Pytał o kogoś, ale nie było go w domu. – Paulina także naciągnęła kaptur. – Chodźmy stąd, na miłość boską!

– A pałac? Mieliśmy iść obejrzeć pałac.

– Zwariowałeś? Mam w dupie ten pałac! Zaraz znowu będzie lało. Wieje coraz mocniej.

– Szliśmy tu prawie kilometr.

– No i jak zaraz znowu rozpęta się huragan, to będziemy kilometr wracać.

– Paulina ma rację. – Gwen wsadziła ręce do kieszeni. – Poza tym zrobiło się przeraźliwie zimno. Wracajmy.

– Pałac jest gdzieś w środku tego gąszczu. – Igor skinął głową w stronę lasu. – Tam są dziury po jakichś parkowych budowlach, gruz, a my nawet latarek nie mamy.

Wiatr, jakby przychodząc w sukurs Paulinie, nagle znowu zaczął głośno wyć. Wznoszące się nad ich głowami drzewa zatrzeszczały gwałtownie, a na drogę spadł deszcz uschniętych gałązek i liści.

– Siła złego na jednego – burknął niezadowolony Johann.

Zawrócili i po kilkudziesięciu metrach znowu znaleźli się pod latarnią przy wieży transformatora. Droga opadała w dół, w kierunku majaczącej w jej perspektywie oświetlonej ulicznymi latarniami bramy cementowni. Po lewej stronie ciągnęły się ogrodzenia domów, a po prawej szumiał masyw zdziczałego parku. Paulina nagle przystanęła.

– Widzieliście to?

– Co takiego? – Johann odwrócił się i rozejrzał się dokoła.

– Tam. – Paulina wskazała głową mrok pomiędzy gąszczem pni. – Ktoś tam chyba szedł.

– No przecież tamtędy poszedł ten ksiądz.

– Ksiądz odbił bardziej w stronę drogi.

– Wydawało ci się. – Johann wzruszył ramionami i podążył za Gwen i Dermotem.

Paulina przez moment stała i wpatrywała się w ciemność pomiędzy drzewami. Od strony ogrodu najbliższego domu na drogę przedzierała się mleczna poświata, a z wnętrza dochodziła cicha muzyka. Trochę dalej stała latarnia, w wielkiej plamie światła na betonowej nawierzchni tańczyły poskręcane cienie gałęzi.

Paulina jeszcze przez chwilę patrzyła w gąszcz za drogą i już miała ruszyć, gdy zauważyła rosnące pomiędzy drzewami niedaleko drogi smukłe młode iglaki, chyba żywotniki. Wyglądały jak wysokie ciemne sylwetki w kapturach. Wiatr poruszał nimi, a one co chwila gięły się łagodnie pod jego naporem. Westchnęła. To pewnie któreś z tych drzewek zauważyła kątem oka i wzięła je za jakąś postać.

Odwróciła się i zrobiła kilka kroków za przyjaciółmi, ale znowu wydało jej się, że pomiędzy krzakami zauważyła jakiś ruch. Spojrzała w tamtym kierunku. Za jednym z żywotników majaczyła sylwetka. Wysoki ciemny kształt. Zmrużyła oczy, intensywnie wpatrując się w mrok. Ciemny kształt nagle drgnął, a ona, ku swojemu przerażeniu, którego jeszcze nie była w pełni świadoma, ale już czuła, że rozlewa się w niej lodowatą falą, zauważyła wpatrujące się w nią oczy.

Ciemny spiczasty kształt, który brała za wierzchołek młodego żywotnika,

okazał się, choć bardzo tego nie chciała, czarnym kapturem.

I ktoś spod niego na nią patrzył.

Wyraźnie dostrzegła fragment bladej skóry i wpatrujące się w nią oczy. Poczuła, jak po jej plecach maszerują lodowato zimne mrówki, i stanęła sparaliżowana strachem.

I wtedy nagle zgasły wszystkie światła.

Rozdział 20

Igor przepuścił przed sobą Johanna i obejrzał się. Paulina została z tyłu. Dotarli już praktycznie do skrzyżowania. Tu na każdym rogu była latarnia, która zalewała drogę i chodniki żółtym światłem. Paulina stała jeszcze na granicy cienia. Coś musiało ją zainteresować na skraju pałacowego parku, bo wpatrywała się w mrok pomiędzy drzewami. Co tam mogło być ciekawego? – zastanawiał się.

Powiódł wzrokiem po ciemnych pniach i rozrośniętych zdziczałych pióropuszach gałęzi jakichś krzaków. Wiatr znowu się wzmógł i ryczał wściekle, szarpiąc i mierzwiąc bezlistne korony drzew. Przedtem obcasy Pauliny stukały głośno po betonowej nawierzchni, gdy więc odgłos jej kroków umilkł, Igor się odwrócił. On sam stał pod latarnią, której światło, rozlewające się na żwirowym poboczu drogi, jeszcze bardziej podkreślało ciemność parku.

I w tym momencie to światło zgasło. Jak zdmuchnięty płomień świecy. Nagle w całej wsi zapadła kompletna ciemność.

Zaskoczony stanął w miejscu. Usłyszał głośne przekleństwo Dermota i okrzyk Gwen. Sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. Przesunął palcem po ekranie, szukając aplikacji latarki, gdy nagle od strony, gdzie została Paulina, rozległ się głośny, mrożący krew w żyłach krzyk.

*

Ewelina Kaczmarek spojrzała na zegar po raz chyba dziesiąty w ciągu ostatniej godziny. Osiemnasta zbliżała się niemiłosiernie powoli, a ona miała jeszcze tyle spraw do załatwienia i, jakby tego było mało, wywiadówkę u syna o dziewiętnastej. Dzisiejszy dzień miał wyglądać zupełnie inaczej. Miała wcześniej wyjść do domu, co już w piątek ustaliła z szefową, i wszystkie sprawy załatwić bez pośpiechu. Zawieźć matkę na badania do

szpitala na Pomorzanach, zdążyć z synem do dentysty, a potem zrobić zakupy. No i na dziewiętnastą pójść na tę cholerną wywiadówkę.

Tymczasem szefowa nie pojawiła się w pracy. Ani wczoraj, ani dzisiaj. Ewelina była przyzwyczajona, że przełożona wpadała o różnych porach. Wszyscy wiedzieli, że prowadziła kilka interesów i każdego doglądała osobiście, ale zawsze była też bardzo słowna. A wczoraj rano w dodatku miały w aptece kontrolę z inspektoratu wojewódzkiego. Na szczęście zdołały wszystko ogarnąć i zrobić porządki w czasie weekendu, więc nie było żadnych niespodzianek, ale fakt, że Dobrosielska nie pojawiła się osobiście, mimo że całą sobotę i niedzielę poświęciła na inwentaryzację i sprawdzanie dokumentów, był czymś naprawdę dziwnym. Inspektorzy nie mieli się do czego przyczepić, zresztą apteka od dawna miała bardzo dobrą opinię, tylko teraz wyskoczyła ta sprawa z Agnieszką. No właśnie, jeszcze Agnieszka. Po wpadce z kobietą w ciąży szefowa kazała jej pilnować i nie zostawiać samej z klientami. Z tego powodu Ewelina miała dzisiaj więcej zajęć niż zazwyczaj, bo musiała patrzeć koleżance na ręce. W zasadzie wszystkie, z szefową włącznie, wiedziały, że to był tylko wypadek przy pracy. Babka wpadła przed osiemnastą, od progu mówiąc, że się bardzo śpieszy, rzuciła receptę na ladę i od razu zapowiedziała, że zdaje sobie sprawę, że lek jest bardzo drogi, nawet mimo refundacji, i jeśli mamy tańszy zamiennik, to poprosi. Każdemu mogło się zdarzyć.

Ewelina westchnęła. Zdołała przesunąć wizytę u dentysty o pół godziny i uprosić męża, żeby zawiózł matkę do szpitala, a w drodze powrotnej odebrał syna, dzięki czemu miała szansę zdążyć na wywiadówkę.

Dziwne było także i to, że Dobrosielska nie odbierała telefonu. Dzwoniła do niej i wczoraj, i dzisiaj, ale jej aparat był wyłączony. Czy to możliwe, że wyjechała, nikomu nic nie mówiąc? To kompletnie do niej niepodobne. Ewelina sięgnęła po telefon i zaczęła szukać numeru, z którego bardzo rzadko korzystała. Po chwili, patrząc z rezygnacją na zegar na ścianie, podniosła komórkę do ucha. Po trzech sygnałach usłyszała w końcu męski głos.

– Dobry wieczór, panie Michale – przywitała się. – Chciałabym porozmawiać z panią Beatą, ale nie mogę się do niej dodzwonić. Pomyślałam, że może wyjechała z miasta.

– Dobry wieczór. – Męski głos odpowiedział po chwili przerwy. – Żony tutaj nie ma. Nie widziałem jej od zeszłej środy. Hmm…

Mężczyzna zaklął i słyszała, jak westchnął ciężko.

– Miała zadzwonić wczoraj i powiedzieć, jak wypadła kontrola, ale ja sam byłem potwornie zajęty i zapomniałem, że miała się odezwać.

– Kontrola wypadła pomyślnie. Wszystko w porządku. Tylko że pani Beaty nie było w pracy. Nie ma jej od wczoraj i nie mogę się z nią skontaktować.

– Dzwoniła pani do klubu?

Ewelina oczywiście wiedziała, że chodzi o należący do Dobrosielskich Lemon Fitness Club, i dzwoniła tam już kilkakrotnie, tak jak i do sklepu z ekożywnością. Bez sukcesów.

– Pani Ewelino, żona miała dzisiaj wieczorem przyjechać do Szczecinka. Może akurat jest w drodze. Jak dojedzie na miejsce, to od razu dam pani znać.

– Oczywiście, panie Michale.

Ewelina się pożegnała. Wyszła zza lady i ruszyła do drzwi, żeby zamknąć aptekę.

Właśnie minęła osiemnasta.

*

Gdy komórka Igora strzeliła w końcu snopem światła, wydobywając z mroku sześcioboczne betonowe bloczki trylinki i żwirową nawierzchnię pobocza, zdążyli dobiec do niego Dermot i Johann. Igor ruszył pod górę i wycelował światło w miejsce, gdzie została Paulina. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że nadal tam jest. Stała nieruchomo, jak zahipnotyzowana, ze wzrokiem wbitym w ciemność.

– Co się stało? – krzyknął Dermot za jego plecami.

– Boże! – Johann podszedł do Pauliny. – Myślałem, że się przewróciłaś albo wpadłaś w jakąś dziurę.

Paulina oderwała w końcu wzrok od drzew i sięgnęła do kieszeni kurtki po własną komórkę.

– Co się stało?! – Igor patrzył na nią z niepokojem.

– Tam ktoś był. – Paulina wycelowała komórkę między drzewa. – Patrzył na mnie.

– Kto?

– Skąd mam wiedzieć kto?! W czarnej bluzie albo kurtce z kapturem. Stał i patrzył.

– A to czasem nie był ksiądz? – Igor odwrócił się i z powątpiewaniem spojrzał za jej wzrokiem.

– Nie. – Paulina pokręciła głową. – Chyba nie…

– Miał na sobie czarną kurtkę.

– Może jednak nas zauważył i zatrzymał się, żeby zobaczyć, kto oprócz niego włóczy się po wsi w czasie sztormu. – Johann podszedł do granicy parku i wycelował komórkę w ciemność. Długi promień światła wydobył z mroku pnie drzew i mokre błyszczące gałęzie krzaków.

– Może… – Paulina odetchnęła.

Przyświecając sobie swoim telefonem, pojawiła się Gwen.

– Zostawiliście mnie tam samą. – Spojrzała z wyrzutem na Dermota i Johanna.

– Odruchowo. – Johann cofnął się na drogę. – Paulina tak krzyknęła, jakby ktoś chciał ją zamordować.

– Myślałam, że dostanę zawału, jak zobaczyłam te oczy pod kapturem wlepione we mnie i jak nagle zgasły wszystkie światła.

– A co się właściwie stało? Dlaczego zgasły latarnie? – Dermot popatrzył w kierunku Igora. W promieniach telefonów było widać tylko jego nogi i dół kurtki.

– Pewnie wiatr pozrywał kable. – Igor wzruszył ramionami.

– Boże! Wracajmy. – Gwen szczelniej owinęła się kurtką. – Po ciemku będziemy iść dwa razy dłużej, a za chwilę pewnie będzie ulewa.

Dermot wszedł pomiędzy drzewa parku i omiótł światłem teren.

– Nie łaź tam! – krzyknęła za nim Paulina. – On może tam gdzieś być.

– Ksiądz nie ksiądz… – mruknął groźnie Dermot.

– Kto może być? – Gwen spojrzała na Paulinę ze strachem. – Jakieś zwierzę?

– Jezu! – Igor w końcu poczuł irytację. – Pewnie ten pijak gdzieś się schował i trzęsie się teraz ze strachu, że dostanie w zęby od jakichś nietutejszych bandziorów, którzy łażą po nocach po wsi, przyświecając sobie latarkami z komórek.

– Ciekawe, do kogo należy ten dom, do którego ksiądz się dobijał. – Johann odwrócił się w tę stronę, gdzie jakieś dwieście metrów dalej w kompletnej ciemności znajdowała się posiadłość, pod której bramą niedawno rozegrała się ta niemiła scena.

– Podpytamy jutro naszego nadzorcę pana Andrzeja. Wracamy!

Igor ruszył pierwszy, a zaraz za nim Paulina i Gwen.

Wiatr huczał coraz głośniej. Sztorm, który na chwilę oddalił się od brzegów wyspy, ponownie wracał na ląd.

*

Michał Dobrosielski stał przed panoramicznym oknem i wpatrywał się w pogrążony w marcowej zadumie ogród, nad którym górowały wysoko sklepione sosny. Całe to miasteczko przykryte było zimozielonymi parasolami sosen. Zakochali się w tym miejscu od razu, jak tylko tu przyjechali, żeby obejrzeć wystawiony na sprzedaż dom. Stał przy asfaltowej uliczce, która, meandrując pomiędzy drzewami, spływała nad brzeg jeziora Pile. Dom był zwykłym wybudowanym z pustaków dwukondygnacyjnym barakiem z ostatniego okresu funkcjonowania tutaj garnizonu wojskowego Armii Czerwonej. Żeby zmienić go w piękną willę z ogromnymi oknami, otwartymi na prześwitujące w oddali jezioro, potrzebowali kilku lat pracy. Przyjeżdżali tutaj na weekendy i sylwestra, czasem urządzali imprezy dla przyjaciół. Michał marzył, że kiedyś tu zamieszkają, ale Beata nie mogła się rozstać ze Szczecinem. Wszystko się zmieniło, gdy dostał propozycję objęcia posady zastępcy burmistrza w Szczecinku. Zmieniło się, ale jeszcze nie wiedzieli, czy na lepsze. Jako że do Szczecinka było stąd dwadzieścia minut drogi, Michał zamieszkał tu praktycznie na stałe. Beata, jak do tej pory, przyjeżdżała na weekendy. Praca w rodzinnym mieście była dla niego wybawieniem. Po ostatnim rozdaniu politycznym urząd wojewódzki

w Szczecinie oraz podległe mu wydziały i przedsiębiorstwa stały się polem minowym. Odpieranie ataków, lawirowanie pomiędzy urzędnikami, układy – wszystko to było dla niego coraz bardziej męczące, gdy więc padła propozycja objęcia urzędu w Szczecinku, przyjął ją bez wahania.

Jedynie wymuszona separacja z żoną stanowiła nierozwiązywalny problem.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza, a Beaty wciąż nie było. Ech, te jej ostatnie problemy z apteką. Cały weekend poświęciła na inwentaryzację i porządkowanie papierów. Po poniedziałkowej kontroli miała przyjechać i zostać do piątku, a w piątek rano wybrać się do Szczecina, pozałatwiać różne sprawy i wrócić na sobotę i niedzielę. Tak sobie zaplanowali.

Jeszcze się nie martwił, ale telefon Eweliny go zaniepokoił. Beata czasami potrafiła zmienić plany w ostatniej chwili, to prawda. Gdy na przykład pojawiał się jakiś dobry interes, kontrahent czy firma, która chciała na przykład wykupić całoroczne karnety do siłowni. W takich sytuacjach bywało, że rzucała się w wir różnych formalności i zapominała o codziennych sprawach.

Ale teraz było jakoś inaczej. Jej telefon cały czas był wyłączony.

Nikt jej nie widział od poniedziałku.

*

Gdzieś pod koniec piętnastego wieku na ziemię pomorską, nie wiadomo skąd, ściągnęła diabelska sekta, która zaczęła zatruwać umysły całej rzeszy nieszczęśników. Od kilku dziesięcioleci trwała wojna trzydziestoletnia. Kraj był zniszczony przez paradujące tędy bez oporów i wykorzystujące słabość Gryfitów wojska brandenburskie, a głód i epidemie chorób targały wsiami i miasteczkami od Stralsundu po Słupsk. W takiej scenerii wśród miejscowej szlachty zaczęły pojawiać się nihilistyczne, heretyckie idee i przekonania, a popularność zyskiwały rozmaite gnostyckie wierzenia. Pierwsze wzmianki o straszliwej, pustoszącej dusze Pomorzan sekcie pojawiły się na ziemi bardzkiej[27] i na Rugii, a z czasem zaczęły się rozprzestrzeniać na całe księstwo. Sekta nazywana była Putzkellerami, a wśród najbardziej przerażających opowieści jej dotyczących na plan pierwszy wysuwała się ta

o głoszonym przez nich rychłym końcu świata i upadku królestwa niebieskiego, z którego diabeł wygna Chrystusa i rządzić będzie po wieczność. Putzkellerowie mieli spotykać się na diabelskich ceremoniach, na których uprawiali orgie oraz odprawiali satanistyczne msze i rytuały z wykorzystaniem zmienionych chrześcijańskich modlitw. „Ojcze nasz, słodkie łono, do tej pory nad nami, teraz jesteś pod nami”. Sekta miała także porywać panny z dobrych domów, które następnie znikały gdzieś bez wieści, gwałcone, mordowane albo wywożone jako niewolnice do domów publicznych.

Paulina wpatrywała się w świece palące się na stole. Pastelowe światło rzucało złocisty blask na twarze siedzących dokoła osób, cienie łagodnie kołysały się na ścianach, a zza okien dochodził ryk wiatru. Przez chwilę poczuła się tak, jakby była na jednym z wyjazdów licealnych albo studenckich, na których wszyscy długo siedzieli po nocach i wiedli niekończące się dysputy albo snuli rozmaite opowieści, wspominając rodzinne i miejskie legendy. Godzinę temu wrócili do domu na klifie, przyświecając sobie latarkami z komórek. Przeszukali całą oficynę i znaleźli w końcu komplet świec, które teraz, upchnięte w szklankach, paliły się na kuchennym stole. Historia, którą opowiedział właśnie Igor, posiłkując się pomorską kroniką Kantzowa[28], wyewoluowała oczywiście z tematu trzech kobiet, czterech mężczyzn i tajemniczych znaków z notesu Kłosowskiego. Przypadkowo sama też akurat ją znała. Dotarła do tej opowieści, poszukując informacji na temat pomorskich czarownic, ale dotarła także do opisów, które rzucały na tę historię zupełnie inne światło.

– To tak zwana oficjalna wersja tamtych wydarzeń – odezwała się, nadal w zamyśleniu patrząc w płomienie świec.

– Oczywiście. – Igor wzruszył ramionami. – Kantzow opisał ją sto lat później i przytoczył dosłownie za pomorskimi bajdami, powtarzanymi od lat po tutejszych kruchtach.

– A nieoficjalnie było to prawdopodobnie dość hermetyczne stowarzyszenie czy bractwo, które odwoływało się do jakichś gnostyckich ruchów religijnych. To dlatego wśród jego członków była głównie szlachta. Pewnie zaniepokojone bogobojne rodziny, lud i pospólstwo zaczęli szerzyć

coraz bardziej absurdalne brednie, a z czasem przypisano temu stowarzyszeniu cechy satanistycznej sekty.

Igor pokiwał głową.

– Sam Kantzow nawet przytacza pewne fakty, po których można domyślić się przebiegu wydarzeń. Rzekomo szatan porwał pannę z wielkiego rodu Dotenbergów, ale modlitwy, które zaczęła wznosić ta bardzo zamożna i ustosunkowana rodzina, sprawiły podobno, że diabelskie praktyki ustały.

– Skandal spłoszył pewnie większość arystokratycznych wyznawców, którzy karnie pochowali się po swoich dworach.

– Określenie gnostycyzm pochodzi od greckiego słowa *gnosis*, które oznacza wiedzę – odezwał się Dermot. – Wiedza zawsze była problemem dla Kościoła i rządzących z jego namaszczenia władców.

– Ale dla porządku trzeba dodać, że ta tak zwana zakazana wiedza miała różną wartość. – Igor westchnął. – Niekiedy były to całkowite bzdury głoszone przez rozmaitych okultystów, jak chociażby te o legendarnych Aryjczykach.

– Gnostycyzm był ruchem religijnym opierającym się na ideologii i założeniach sprzecznych z doktrynalnym chrześcijaństwem. Adamici na przykład odwoływali się do nagości Adama jako symbolu człowieka przed grzechem pierworodnym, w związku z czym głosili wolną miłość i nie nosili ubrań podczas swoich obrzędów. Można to oczywiście krytykować jako brednie jakichś sekciarzy, ale najczęściej robią to ci, którzy wierzą, że Chrystus zamienił wodę w wino i chodził po wodzie. Dla mnie zarówno jedno, jak i drugie to obrażające umysł bzdury.

– Moja babcia padłaby trupem, gdybyś powiedział to przy niej głośno – parsknął Johann.

– Jak znam twoją babcię, to prędzej ja bym padł trupem, a nie ona.

– Ale wróćmy do głównego wątku. – Gwen spojrzała na Igora. – Historię o tej sekcie przytoczyłeś w kontekście czego? Że niby Kłosowski i czterej faceci uprawiali jakieś obrzędy? Orgie?

– To jedna z tych bardziej ryzykownych hipotez. – Igor się uśmiechnął.

– Spis czterech facetów z dopiskiem „lub ktoś inny”. W takim razie Kłosowski musiał dopiero planować te orgie i rozważać kandydatury

uczestników. – Paulina westchnęła. – Ale pamiętajcie, że jedna z kobiet została zamordowana.

– Może to dwie zupełnie różne sprawy?

– Nie wiadomo, kiedy Kłosowski robił te notatki. – Dermot sięgnął do świecy, która niebezpiecznie się przechyliła, i ponownie umieścił ją w środku szklanki. – To by mogło wiele wyjaśnić.

Gwen się wzdrygnęła.

– Wciąż myślę o tym facecie, który stał w krzakach i ci się przyglądał. – Spojrzała na Paulinę.

– Kto powiedział, że to facet?

– To nie sala sądowa, Dermot. – Gwen pokręciła głową. – Zakapturzona kobieta w ciemnym parku?

– To seksistowskie, co mówisz.

– Ale rachunek prawdopodobieństwa stoi zdecydowanie po mojej stronie, panie mecenasie.

Rozmowę nagle przerwał głośny dźwięk alarmu, który spowodował, że wszyscy odruchowo drgnęli. Paulina gwałtownie odwróciła się w kierunku okna, chcąc zobaczyć, czy ktoś się nie włamał na teren posesji, ale przypomniała sobie, że przecież nie ma prądu, i zatrzymała się w połowie ruchu. Spojrzała na Igora z wyrzutem.

– Chryste! Zmień w końcu ten dzwonek, bo ktoś cię kiedyś zabije.

Igor, wyciągnięty na krześle, usiłował właśnie wydobyć telefon z kieszeni dżinsów. Gdy mu się to w końcu udało, wstał, uśmiechnął się przepraszająco i ruszył w kierunku wyjścia.

Wiatr na dworze huczał groźnie, a szerokie korony świerków trzęsły się nad dachem domu na klifie jak wielkie pióropusze. Igor zamknął za sobą drzwi wejściowe i chowając się pod daszkiem przy wejściu, odebrał telefon.

– Igor? – Głos w słuchawce był wyraźnie niespokojny.

Może normalnie Igor nie dostrzegłby różnicy w tonie głosu, ale jeśli chodziło o matkę, doskonale wiedział, że jest zdenerwowana. I to, niestety, nie wróżyło nic dobrego.

– Mamo, to niezbyt dobra pora na rozmowę. – Naciągnął na głowę kaptur bluzy od dresu i odwrócił się plecami do wiatru.

– Dla ciebie żadna pora nie jest dobra, żeby porozmawiać z ojcem!

Igor znieruchomiał. Przez chwilę myślał, że coś się może stało, ale intuicja szybko mu podpowiedziała, że matka chyba właśnie stosuje jakąś nową technikę wywoływania wyrzutów sumienia.

– Co z ojcem?

– Co z ojcem, co z ojcem! Jakbyś częściej dzwonił i przyjeżdżał, to nie musiałbyś pytać.

– Mamo…

– Ze mną wszystko w porządku! – odezwał się gdzieś w tle donośny męski głos. – Nie mieszajcie mnie do tego!

Po chwili rozległ się jakiś trzask. Igor domyślił się, że matka zamknęła drzwi i odizolowała ojca od rozmowy.

– Igor! Rozmawiałam wczoraj z Dorotką.

Choć rozmowy z matką prawie zawsze stanowiły wyzwanie, to jednak nie spodziewał się, że teraz będzie aż tak ciężko.

– Po co? O czym?

– Dorotka jest w Szczecinie. Przyjechała do rodziców. – Pani Anna Fleming ostatnie zdanie wypowiedziała z naciskiem.

– Wiem, widziałem się z nią.

– No właśnie. Mówiła mi. I mówiła mi też, że Johann i Gwen także są w Szczecinie!

Tym razem zabrzmiało to oskarżycielsko.

– Wpadli załatwić pewne sprawy.

– Jakie oni mogą mieć sprawy w Szczecinie? I dlaczego mi nic nie powiedziałeś? Przecież moglibyście wszyscy przyjechać do nas. Zrobiłabym przyjęcie. Kolację. Mogliby wpaść sąsiedzi. Może burmistrz…

– Mamo. To wizyta w interesach.

– Jakich interesach? Przecież Johann nie prowadzi żadnych interesów w Szczecinie.

– Oj, mamo…

– No nie mamo, tylko absolutnie musicie przyjechać. To jedynie godzina drogi. Niecała w dodatku. Ale ja dzwonię akurat w innej sprawie…

Igor, który właśnie miał zamiar tłumaczyć, że przyjazd do Dalewa w ogóle nie wchodzi w rachubę, zaniemówił. Jeśli jakaś sprawa była ważniejsza niż wizyta syna lorda Charlesa Francisa Williama, hrabiego Carley, dwieście siedemdziesiątego trzeciego pretendenta w kolejce do angielskiego tronu, to bał się nawet pomyśleć, z czym matka dzwoni.

– Dorota mi opowiedziała o pogłoskach, które chodzą już po Szczecinie…

– Jakich pogłoskach? – Igor był naprawdę ciekaw.

– O zagrożeniu terrorystycznym! – wypaliła pani Anna i na moment zapadła cisza.

Igor zamknął oczy i zaczął liczyć do dziesięciu.

– Podobno przyjechała tutaj nawet jakaś tajna agenda, jacyś wysoko postawieni prawnicy z unijnej kancelarii. Czyli zagrożenie jest poważne.

– Mamo…

– Dlaczego ty takich rzeczy mi nie mówisz? A pewnie wiesz o wszystkim, bo ciągle utrzymujesz jakieś kontakty z ludźmi z ratusza.

– Nie ma żadnego zagrożenia terrorystycznego! To bzdury!

– Zaraz potem zaczęłam czytać różne portale i na forach ludzie piszą, że była już nawet jakaś ofiara. Kobieta zamordowana maczetą!

– Boże…

– Ja nie mam nic przeciwko uchodźcom, nawet sama rozmawiałam z burmistrzem na temat przyjęcia kobiet i dzieci z Syrii czy skądś, wprawdzie mnie oczywiście zagadali, ale to jest zupełnie inna sprawa.

– Mamo! Nie ma żadnych terrorystów!

– Igor, nie możesz teraz absolutnie niczego załatwiać w urzędzie miejskim! Wiadomo, że gdzie jak gdzie, ale najpierw tam na pewno podłożą bombę.

– Akurat do tego nie trzeba terrorystów. Znajdą się chętni na miejscu.

– Znowu te głupie żarty. Ile ty masz lat?!

– Mamo, nie mogę dłużej rozmawiać…

Wiatr szarpnął nagle z taką siłą, że kaptur i bluza wydęły się jak spinaker, a Igor poleciał z impetem na ścianę budynku. Komórka wypadła mu z ręki i spadła na ziemię obok podestu schodów.

Igor zaklął głośno, opatulił się bluzą i podniósł telefon.

– Mamo?

– Halo! Co się tam dzieje? Co ty wyprawiasz?

– Wiatr nad morzem jest bardzo silny.

– Nad morzem? W Szczecinie?

– Nad morzem! Nie w żadnym Szczecinie! Jestem w pracy. Muszę kończyć. – Igor złapał za klamkę. Wiatr szarpnął i wyrwał mu ją z ręki, łomocząc drewnianym skrzydłem o ścianę budynku.

Igor zaklął głośno.

– Co tam się dzieje? Jest dziewiąta wieczorem! Co ty robisz w pracy? W dodatku nad morzem?

– Inwentaryzacja. Mamo, muszę kończyć. Tu jest sztorm.

Pomyślał, że chyba nie był to najmądrzejszy pomysł, żeby mówić o sztormie na koniec rozmowy. Matka obdzwoni teraz bosmanaty na całym wybrzeżu. Schował telefon do kieszeni, wskoczył do przedsionka i zatrzasnął za sobą drzwi.

Rozmowa przy stole nadal toczyła się wokół tematu niefortunnej ekspedycji do pałacu Quistorpa i tego, że nie udało się osiągnąć celu. Ponownie wróciła jednak do tematu księdza, o którym rozmawiali, jeszcze będąc w drodze powrotnej.

– Wyraźnie słyszałam, że mówił tej kobiecie, że ktoś tam jest w niebezpieczeństwie. – Paulina zwróciła się do Dermota, który z powątpiewającą miną siedział na końcu stołu.

– No to kogo mógł mieć na myśli? Właściciela tego domu?

Paulina wzruszyła ramionami.

– Niebezpieczeństwa mogą być różne. Może ten ksiądz, jak sobie popije,

zaczyna walczyć o dusze niewierzących i lewaków.

– A może oni rzeczywiście urządzali jakieś orgie i ksiądz tego właśnie nie mógł znieść. Igor wspominał, że według Kłosowskiej ksiądz bywał także u jej ojca.

– Mówiła, że chyba się przyjaźnili, bo często wpadał do ich domu, ale nie wyczuwała pozytywnych fluidów i był w tym jakiś mrok. – Igor usiadł obok Johanna. – Cokolwiek to znaczy.

– To może trzeba uprościć? – Dermot zagryzł wargi.

– To znaczy?

– Może Kłosowski z jakimiś kumplami chcieli przejąć kontrolę nad tutejszym rynkiem prostytutek. Mówiliście coś, że szosa Szczecin–Świnoujście to zagłębie tych usług. Nie udało się, a jedna z babek została zamordowana dla przykładu.

– Hmm. – Paulina wyciągnęła ramiona do góry, a następnie oplotła je wokół oparcia krzesła. – Ta kobieta, gdy została zamordowana, miała około pięćdziesiątki. Wprawdzie te roczniki także świadczą takie usługi, ale to wąski rynek.

Igor potwierdził.

– No i ksiądz miałby kogoś ostrzegać przed mafią?

– Boże! – Gwen parsknęła. – Pijany ksiądz gadał z gospodynią. Przecież początkowo według was ta babka miała być zwyczajną kucharką, a teraz zrobiliście z niej emerytowaną prostytutkę, z księdza członka mafii, a z ojca naszej gospodyni gangstera i niedoszłego sutenera.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Jeszcze nie przerabialiśmy tylko handlu żywym towarem. – Paulina splotła ręce na piersi. Drewniane krzesło nie było zbyt wygodne.

– Chyba jesteśmy zmęczeni i gadamy coraz większe głupoty. – Johann wstał i przeciągnął się. – Ciekawe, czy włączą dzisiaj prąd. Nawet herbaty nie można się napić.

Gwen podeszła do okna.

– Wiatr jest coraz silniejszy. Pewnie zbliża się ta dziewiątka, o której wspominaliście. Mało prawdopodobne, że w takich warunkach ktoś będzie

naprawiał trakcję elektryczną na słupach.

– No to super – mruknął Dermot, po raz kolejny poprawiając świeczkę. – Mamy warunki prawie jak pomorska ludność w czasach wojny trzydziestoletniej.

– To jeszcze wody powinno zabraknąć. – Johann otworzył lodówkę i wyjął karton soku pomarańczowego. Sięgnął do jednej z szafek i wyciągnął kilka wysokich szklanek.

– O kanalizacji nie wspominając. – Gwen stała odwrócona plecami i wpatrywała się w kompletną ciemność za oknem. – Ale ten pijany ksiądz, pętający się nocą po wsi, to wypisz wymaluj jak z obrazu Caspara Friedricha. Wyjątkowo klimatyczny widok.

– Powinniśmy wziąć reflektory i pójść na spacer do tej starej cementowni. To dopiero byłoby klimatyczne.

– Musielibyście mnie chyba związać i zanieść – powiedziała Gwen.

– To dałoby się zrobić – parsknął śmiechem Dermot.

– Reflektory zostały, niestety, w kuchni w domu. – Igor sięgnął po karton i nalał sobie soku do jednej ze szklanek, które postawił na stole Johann.

– Rozumiem, że brak reflektorów to jedyna przeszkoda w podjęciu wyprawy do zrujnowanej fabryki, po której krążą po nocach jacyś mordercy.

– Dopiero co wyśmiałaś nasze odważne teorie o gangu sutenerów i morderców.

– Uległam nastrojowi.

Paulina siedziała z założonymi rękami i zamyślona wpatrywała się w przestrzeń. Miała wrażenie, że zrobiło się jakoś chłodniej. Gospodyni wspominała coś o szwankującym ogrzewaniu. Czyli do elektryczności, wody i kanalizacji należałoby dodać jeszcze centralne.

– À propos morderców i wojny trzydziestoletniej…

Igor odstawił pustą szklankę na stół.

Paulina dyskretnie spojrzała w jego kierunku. Świece łagodnie migotały na stole, podkreślając ciemne oczy mężczyzny i wydobywając rysy ostrymi cięciami światła. Pomyślała, że gdyby zmrużyć oczy, to wyglądałby jak bohater komiksu.

– W kronice Kantzowa znajduje się chyba jeden z pierwszych opisów seryjnego mordercy w dziejach. To tak nawiązując do tego nastroju. – Uśmiechnął się do opartej o parapet Gwen. – Nazywał się Markward von Behr i rzekomo uprowadzał młode dziewczęta, po których potem wszelki ślad ginął. Jeśli wierzyć pomorskim podaniom, jeździł zakrytym czarnym powozem, zaprzężonym w cztery olbrzymie czarne konie.

Paulina patrzyła w płomyki świec. Atawistyczna potrzeba. Ogień, który zawsze przyciągał wzrok. Niezależnie od tego, czy historia opisana przez Kantzowa była prawdziwa, czy nie, była to taka ówczesna legenda o czarnej wołdze. Ludzie byli, są i będą zawsze tacy sami. Zmieniają się wyłącznie dekoracje.

*

Grzegorz Krygier po godzinie osiemnastej starał się nie być prokuratorem. Jego dwie córeczki potrzebowały go do układania klocków Duplo, wspinania się na jego kolana, gdy siedział na sofie lub przy stole, i nakłaniania go do rysowania różnych śmiesznych rysuneczków lub kolorowania którejś z zalegających w rozmaitych zakamarkach mieszkania książeczek. Kilkanaście minut temu minęła dwudziesta druga, córeczki spały od półtorej godziny, więc Grzegorz Krygier mógł teraz z kolei starać się nie być prokuratorem dla swojej żony, sympatycznej blondynki z lekką nadwagą, która właśnie, wtulona w jego bok, przysypiała na kanapie, budząc się co chwila i pytając, co się stało w kolejnym odcinku serialu, który zazwyczaj oglądali we wtorkowe wieczory.

Czasem, niestety, nie udawało się nie być prokuratorem nawet o tej porze i Krygier, gdy tylko spojrzał na ekran swojego telefonu, stwierdził, że to jest akurat ten dzień. Jeśli lekarz sądowy dzwonił jednak do niego o tak późnej godzinie, to widać rzeczywiście miał do przekazania coś ciekawego. Ostrożnie wyswobodził się z objęć żony i na palcach wyszedł do kuchni.

– Mamy wyniki badania DNA. – Usłyszał w telefonie ściszony głos lekarza. – Przesłali nam dzisiaj po południu.

– Wiadomo, kto to? – Krygier był pewien, że lekarz na pewno już się tego dowiedział.

– Ustalenie tożsamości podobno okazało się proste. Rozmawiałem

z policją. Andżelika Kurska. Kobieta jest w aktach. Dwa lata temu była oskarżona o współudział w zamordowaniu dziecka, ale nie zdołano jej tego udowodnić. Jej przyrodni brat dostał pięć lat. Była prostytutką. Przez jakiś czas stała przy szosie do Świnoujścia. Zaginęła w grudniu. Wszystko to jest dostępne w necie.

Krygier spojrzał na drzwi pokoju, w którym spały dziewczynki, i przyszło mu do głowy, że żyje w tym samym świecie, w którym żyją mordercy własnych dzieci.

– I tylko z tym dzwonisz?

Mimo całej grozy przekazanej wiadomości nie było to jednak nic wyjątkowego.

– Nie tylko. Ustaliliśmy przyczynę śmierci. We wstępnych oględzinach jednak się myliłem.

– No i?

– Zgon w wyniku utonięcia.

– Utonięcia? – Krygier usiadł przy stole kuchennym i wbił wzrok w drzwi lodówki, na których wesoło połyskiwała ławica kolorowych przycisków.

– Łatwo było to przegapić. Zresztą w tym stanie, w jakim były zwłoki, trudno ustalić takie rzeczy od razu…

– Utonęła w jeziorze? Czyli ktoś wyłowił zwłoki i rozczłonkował? Odciął głowę? – Krygier wstał i zamknął drzwi od kuchni. Bał się, że nawet jeśli będzie mówił szeptem, dziewczynki mogą coś usłyszeć, gdy na przykład na chwilę się obudzą. Trauma na całe życie.

– No właśnie nie. – Lekarz westchnął. – Nie było typowych objawów. Brak płynu topielnego w jelicie cienkim, w żołądku i zatoce klinowej. Ze względu na brak głowy nie można było ustalić zmian krwotocznych w uchu środkowym, ale jestem pewien, że też byśmy ich nie znaleźli.

– Po trzech miesiącach przebywania zwłok w wodzie chyba nie można ustalić zawartości płynu topielnego w jelicie?

– Masz rację. Ale nie było także rozedmy wodnej. Więc albo utonęła w wodzie słonej…

– Dlaczego?

– Woda słona jest hipersomatyczna, ma większe stężenie jonów niż krew, dlatego przenika nie tylko do krwi, ale także do płuc. Ale mogło być inaczej…

– No mów! – Krygier tęsknie spojrzał na drzwi na korytarz. Odcinek ulubionego serialu był właśnie na półmetku.

– Rozedma nie pojawia się także, gdy utonięcie nastąpi w płytkim zbiorniku. Zmiany krwotoczne w uchu środkowym też wówczas nie występują.

– Czyli co? Utonęła najpierw, a potem trafiła do jeziora?

– Według mnie najpierw ją pobito, ślady na ciele są wcześniejsze. Potem została utopiona w jakimś płytkim zbiorniku, na przykład w wannie. Później morderca odciął głowę i dłonie, zerwał fragmenty skóry z tatuażami, wpakował trupa do worka i dopiero wtedy utopił w jeziorze.

Rozdział 21

Środa,15 marca

Pan Andrzej pojawił się pod bramą zaraz po ósmej. Zapukał w okno oficyny i głośno zaprosił wszystkich do kuchni na śniadanie. Jedynie Johann jeszcze był pod prysznicem, wszyscy pozostali kręcili się już na dole i zaglądali do szafek kuchennych. Na szczęście od rana był prąd, więc można było liczyć na gorącą kawę.

– Dużo wam jeszcze zostało pracy? – Pan Andrzej nalał sobie do kubka herbaty i usiadł przy stole naprzeciw Igora. Trójka angielskojęzyczna na wszelki wypadek skupiła się na drugim końcu stołu.

– Strych, elewacje i teren wokół. – Igor spojrzał pytająco na Paulinę, która wzruszyła ramionami. Skoro i tak muszą czekać na jakąś wiadomość z warsztatu, to równie dobrze mogą w tym czasie kończyć pomiary.

– Mocno wiało dzisiaj, co? – Pan Andrzej upił łyk herbaty. – A kable to już trzeci raz tej zimy wiatr niszczy. Słyszałem o waszym samochodzie. Duże straty?

Igor westchnął.

– Nie wiemy jeszcze. Mam nadzieję, że będziemy mieli czym wracać do domu.

Przez chwilę wszyscy w milczeniu pałaszowali świeżutki wiejski chleb. Pan Andrzej pokiwał głową.

– Wczoraj wieczorem byliśmy na spacerze. Po drodze chyba widzieliśmy księdza. – Paulina spojrzała na niego z namysłem.

– A tak. Rozpił się biedaczyna. – Pan Andrzej westchnął. – To dobry ksiądz, nie powiem. Na mszę z reguły pijany nie przychodzi, chociaż raz czy dwa było od niego czuć alkoholem. Ma chłop pewnie kłopoty. Od roku mniej więcej.

– Ksiądz ma na imię Baltazar? Rzadkie imię.

– Ksiądz? Skądże. Merin się nazywa. Jakub Merin. A skąd to pani wymyśliła? Tego Baltazara?

Paulina sięgnęła po dzbanek z kawą, rzucając po drodze znaczące spojrzenie Igorowi.

– Wczoraj w nocy chyba słyszałam to imię. Ktoś do kogoś mówił. Myślałam, że to właśnie ksiądz – skłamała gładko.

– To Radwaniuk ma na imię Baltazar. – Pan Andrzej wypowiedział nazwisko z ledwo wyczuwalną niechęcią. – Ukrainiec chyba jakiś. I co to za dziwaczne imię?

Spojrzał nagle w bok, na jedzących w milczeniu Johanna, Gwen i Dermota.

– To znaczy nie, że coś mam do Ukraińców. – Ściszył głos, patrząc porozumiewawczo na Igora. – Ale ten to taki jakiś… Dla Budnego pracuje. Typ spod ciemnej gwiazdy. Radwaniuk znaczy, chociaż ten Budny to też…

Niepewny skłonności politycznych swoich współbiesiadników, rozejrzał się z ostrożnością, nie kończąc zdania.

– Dla tego Budnego? – Igor spojrzał zaskoczony. – Tego partyjniaka? To co on tutaj robi?

– Ano, zgadza się. – Pokiwał głową. – Jeremiasz Budny kilka lat temu kupił Złoty Dwór i dawny park. Postawił tam na obrzeżu dom, taki z czerwonej cegły, a w dawnej przystani trzyma motorówkę. Zapowiadał remont i dworu, i parku, ale na gadaniu się skończyło.

Paulina, która pisała właśnie wiadomość do Pawła, że nie pojawi się dziś w redakcji, i usiłowała wymyślić sensowny powód, podniosła wzrok. Poznała Budnego jakiś czas temu chyba na koncercie czy czymś takim. Był, jak się okazało, miłośnikiem jej artykułów na temat loży masońskiej i innych, poświęconych tajemnicom drugiej wojny, które wlepiał jej Paweł. Wymienili wtedy z Budnym i jego żoną, cichą wycofaną blondynką, kilka uwag na temat koncertu. Wiedziała, że po nominacji na któregoś z kolei wiceprzewodniczącego swojej partii większość czasu spędzał w Warszawie.

Proszę. Taki bohater mediów, zapalczywie wojujący z nielegalnymi majątkami postkomunistów, a jakoś nie widział niczego złego w odkupieniu

dawnych państwowych włości od poprzedniego właściciela, który kupił je za bezcen.

Czyli to do jego domu dobijał się nocą ksiądz Merin? Co on tam krzyczał? Że coś tam musi się skończyć? I że ktoś jest w niebezpieczeństwie…

Jej rozmyślania przerwał Igor, podnosząc się i mówiąc, że idzie przejrzeć szkice i przygotować narzędzia do pomiarów.

Przy stole na moment zapanowało poruszenie. Angielskojęzyczni Ukraińcy z ulgą kończyli śniadanie, które z przymusu musieli spożywać w całkowitym milczeniu.

*

Krygier wyjął zdjęcia z grubej szarej koperty i rozłożył je przed sobą na biurku. Komplet koszmarnych ujęć sinych zwłok, pozbawionych dłoni i głowy. W mediach od tygodnia krążyły już teorie spiskowe. Ludzie wypisywali nieprawdopodobne brednie na forach internetowych. Zresztą początkowo kierunek śledztwa także zakładał porachunki mafijne, ale po rewelacjach z prosektorium prokurator czuł, że chyba trzeba będzie nieco to zmodyfikować. Podniósł wzrok i spojrzał w okno.

Jeśli dodatkowe badania potwierdzą, że Andżelika Kurska została utopiona, to cóż to zmieni? Wątek gangsterskich rozliczeń oczywiście nadal jest całkowicie możliwy. Dziewczyna była prostytutką. Może naraziła się swoim mocodawcom? Nie od dziś wiadomo, że cały ten biznes ze stojącymi przy szosie do Świnoujścia dziewczynami jest kontrolowany przez mafię. Ale są też i inne możliwości.

Krygier przesunął kilka zdjęć i wydobył na wierzch jedno, na którym widać było pokancerowane sine ciało, z którego zerwano skórę. Ktoś bardzo się starał usunąć wszelkie ślady, po których można by było rozpoznać, kto to. Tyle tylko, że zrobił to niewprawnie. Mafia potrafiła tak spreparować zwłoki, że nigdy nie udawało się poznać tożsamości ofiary. Niekiedy po latach, gdy pojawił się jakiś nowy wątek, czasem zupełnie przypadkowo i w związku z całkiem innym śledztwem, do gry wchodziło tak zwane Archiwum X, czyli policyjny zespół do spraw niewykrytych zabójstw. Kilka spektakularnych historii zostało w ten sposób zamkniętych. Z reguły jednak takie przestępstwa na zawsze pozostawały niewyjaśnione.

Krygier pochylił się nad fotografią. Na karku ofiary morderca zostawił jeden tatuaż. Niewielki, jakieś dziwne słowo. Jeśli go przegapił, to tylko potwierdzało hipotezę, że nie musiała to być robota mafii. Dziewczyna mogła mieć długie włosy i morderca nie zauważył tatuażu.

Powiedzmy, że ktoś zabrał ją z szosy. Może chciał się zabawić w trochę nietypowy sposób? Dominacja, sadomasochizm. W trakcie zabawy trochę przeholował i dziewczyna kopnęła w kalendarz. Wpadł w panikę i postanowił ukryć zwłoki.

Tylko że Kurska najpierw została pobita. Czy to możliwe, że zgodziła się na taki scenariusz? Bicie, podtopienia? Musiała być w desperacji. Może gwałtownie potrzebowała pieniędzy, a może po prostu takie zabawy nie były dla niej niczym szokującym. Wszystko jest możliwe. Jeżeli facet w dodatku zaoferował sporą sumę. Mógł to być na przykład jakiś ustawiony gość. Z kasą. A może było to kilku facetów?

Krygier westchnął. Pomyślał, że wątek zwyczajnej egzekucji, wykonanej przez „opiekunów”, mimo wszystko był chyba najbardziej prawdopodobny.

*

Ogród za domem zamknięty był ścianą krzewów i drzew, która oddzielała punkt widokowy, udostępniany przez właścicieli turystom, od prywatnej części domostwa. Po lewej stronie na wzniesienie nad zalewem wiodła wygrodzona płotem droga, a po prawej rozciągał się właściwy kilkuhektarowy ogród. Jego punktem centralnym było wzgórze, na którego szczycie rosło stare samotne drzewo. W głębi, wzdłuż sztucznej skarpy, utworzonej przez podcięcie wzniesienia, biegła w dół zbocza wybrukowana aleja, która na końcu ogrodu zamieniała się w wąską ścieżkę, prowadzącą stromym zejściem na dziką plażę u stóp klifu.

Cała piątka stała właśnie przed fontanną na tyłach domu i ciekawie rozglądała się dokoła. Pomiary poddasza przebiegły bez większych problemów. Strych nie był zagracony, nie było więc kłopotów z dostaniem się do każdej belki i każdego kąta. Szperanie w starych pudłach z książkami i odzieżą od razu uznali za bezcelowe w kontekście ewentualnego miejsca ukrycia czegokolwiek, zatem także i to nie odciągnęło nikogo od pracy. Niestety, plan odłożenia na miejsce notatnika znowu się nie powiódł

z powodu braku dostępu do pokojów na parterze. Pan Andrzej, poproszony o ponowne otwarcie gabinetu pod pozorem uzupełnienia jakichś wymiarów, nie odstępował Igora na krok. Pozorując więc sprawdzenie wysokości i szerokości okna, po pięciu minutach opuścili gabinet, godząc się z fiaskiem operacji.

Koniec końców, nie wybiło nawet jeszcze południe, jak udało się skończyć także pomiary elewacji, co napełniło Igora niewypowiedzianym szczęściem. Na koniec została więc tylko inwentaryzacja zagospodarowania terenu, naniesienie na mapę lokalizacji schodów, typów nawierzchni i tym podobnych elementów.

Właśnie spacerowali po rozległym jak olimpijskie boisko do piłki nożnej trawniku, gdy odezwał się telefon Igora. Aleksandra Kupiec była właśnie w drodze z dobrą wiadomością, że samochód jest do odbioru i że podrzuci Igora do Międzyzdrojów.

Dziesięć minut później na podjazd przed domem wjechał czarny jeep i zaparkował na parkingu przy oficynie.

– Dzień dobry – przywitała się gospodyni. – Dobre wieści i niedobre jednocześnie. Mechanik zrobił, co się dało, i może pan wracać do Szczecina, ale samochód musi pan znowu oddać do warsztatu. Do zrobienia jest blacharka i jeszcze parę rzeczy trzeba będzie wymienić.

Igor westchnął. Te nieplanowane wydatki dodatkowo komplikowały jego sytuację finansową. Może rzeczywiście będzie musiał przyjąć ofertę Johanna.

– I jak pomiary?

– Prawie skończone. – Kiwnął głową w kierunku skarpy za domem. – Jeszcze tylko uzupełniamy zagospodarowanie. Wszystko jest tu bardzo pięknie urządzone.

– To dzieło mojego ojca. Jeszcze żyła mama, gdy robił te wszystkie ścieżki, alejki i pergole. Tej skarpy niegdyś tu nie było. Wzniesienie wspinało się łagodnie. To mój ojciec trochę je podciął i zrobił jakieś wzmocnienia. Mieliśmy trochę kłopotów z archeologami. Grzebali tutaj w sumie kilka lat. To dlatego ojciec wydzielił część wzgórza, żeby zapewnić trochę intymności.

Skarpa wspinała się stromym zboczem kilka metrów w górę. Porośnięta

była dekoracyjnymi krzewami i zamknięta na szczycie balustradą.

– Mam pytanie. – Igor zrobił kilka kroków w stronę wzniesienia i przystanął przy wystającym ze zbocza niewielkim kamionkowym kominku. – Do czego to służy?

– O ile pamiętam, to była jakaś stara lodownia. To jest kanał wentylacyjny. Ojciec mówił, że jest zagrzybiona, strasznie wilgotna i nic z niej nie będzie. Jak przyjeżdżałam tutaj w latach dziewięćdziesiątych na wakacje, mama jeszcze jej używała. Trzymała tu słoiki i przetwory. Ojciec kazał ją zasypać, jak robił tę alejkę. – Gospodyni wskazała ręką brukowany dukt, opadający w dół zbocza w kierunku klifu.

Igor pokiwał głową. Mała tajemnica i miała całkiem proste wytłumaczenie.

– Mam prośbę. – Kobieta odsunęła z twarzy pukiel włosów. – Czy moglibyśmy teraz pojechać po pański samochód, a państwo skończą te pomiary potem? Bardzo przepraszam, ale mam jeszcze pilną sprawę do załatwienia.

– Oczywiście. – Igor skinął głową. – Nie ma problemu. Proszę poczekać, powiem tylko kolegom, że jedziemy.

– A nie mogłaby podrzucić nas do tej cementowni? – spytał Johann, gdy Igor powtórzył wszystkim prośbę gospodyni. – Wy z Pauliną pojedziecie po samochód, a my sobie w końcu obejrzymy przystań i te ruiny.

– Jest nas za dużo.

– To tylko kilkaset metrów.

Igor westchnął i ruszył z powrotem do właścicielki domu na klifie. Okazało się, że nie miała nic przeciwko temu i po chwili czarny jeep wyjechał na ulicę i skręcił w kierunku starej cementowni.

*

Ewelina spojrzała na wyświetlacz komórki i od razu poczuła niepokój. Intuicja podpowiadała jej, że to nie będzie dobra wiadomość. Z reguły nie odbierała telefonów, gdy stała za kontuarem. Wystarczyło, że klienci dzwonili bez przerwy na numer apteki. A to czy jest taki lek, a to śmaki. Albo czy będzie czynne w sobotę o siedemnastej, chociaż na stronie

internetowej jak wół podano godziny otwarcia.

W aptece była niewielka kolejka. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby przez nerwy sama źle odczytała jakąś receptę. Uśmiechnęła się blado do kobiety, która czekała na efekt wyszukiwania w komputerze konkretnej maści na odciski, i odebrała połączenie.

– Dzień dobry, pani Ewelino. – Poznała od razu zdenerwowany głos Dobrosielskiego. – Przyjechałem właśnie do Szczecina. Czy moja żona przypadkiem jest w aptece?

– Nie, panie Michale, nie było jej od rana.

– Samochód stoi pod domem. Nie wiem już, co o tym myśleć.

Ewelina też nie wiedziała. Przemknęło jej przez głowę, czy szefowa po prostu nie zrobiła sobie desperackiego, radykalnego urlopu od wszystkiego. Widziała niedawno taki film, chyba francuski. Bohaterka zamyka drzwi biura, wychodzi i przestaje istnieć dla świata na całe dwa tygodnie. Może ta sprawa z ciężarną i proces na horyzoncie tak podłamały szefową, że nie wytrzymała.

– Proszę do mnie natychmiast zadzwonić, jakby się pojawiła. Może ją okradli, dlatego nie ma telefonu.

Prędzej porwali, pomyślała Ewelina.

– Oczywiście, natychmiast pana powiadomię.

Schowała telefon do kieszeni i uśmiechnęła się do lekko już poirytowanej klientki.

*

Na skrzyżowaniu dróg, tuż przed wjazdem do starej cementowni, już z oddali widać było jakieś niewielkie zbiegowisko. Przed samą bramą stała niebieska policyjna skoda, wokół której zgromadził się tłum obserwatorów.

– A co tu się dzieje? Jakiś wypadek? – Aleksandra zwolniła. Jeep powoli stoczył się na pobocze i zatrzymał się przy wiacie przystanku.

– Dzień dobry, pani Haniu. Co tam się dzieje? – krzyknęła do jakieś kobiety, która stała pod drugiej stronie ulicy i rozmawiała ze starszym mężczyzną.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry, pani Olu. Był jakiś wypadek. Nie wpuszczają tam ludzi. Ktoś się ponoć utopił. Ludzie mówią, że w nocy słychać było jakieś krzyki.

Aleksandra Kupiec wysiadła i zatrzasnęła drzwi.

Igor rzucił Paulinie porozumiewawcze spojrzenie.

– Co tam się stało? – Johann wysiadł z samochodu i rozejrzał się dokoła. – Jakiś wypadek?

Po chwili wszyscy wysiedli za nim i ruszyli w kierunku bramy.

– Sąsiedzi tutaj słyszeli straszne krzyki. – Kobieta nazwana Hanią wskazała ręką stojący nieopodal dom. – Jakaś kobieta ponoć wrzeszczała okropnie.

– Siedemdziesiąt lat po wojnie i nie mogą nic z tym zrobić! – grzmiał starszy mężczyzna. – Ruiny i wszystko się marnuje, a ci tylko pieniądze na jakieś aleje gwiazd, kurka wodna, wydają!

– Co się dzieje? – Gwen spojrzała na Igora.

– Ktoś się podobno utopił.

Od strony przystani rozległy się jakieś krzyki i po chwili wyjechała stamtąd karetka pogotowia. Kilka osób ruszyło nagle w kierunku wychodzącej przez bramę kobiety, obok której szli dwaj zaaferowani chłopcy.

– To właśnie jej synowie znaleźli zwłoki godzinę temu. – Mężczyzna wskazał ręką grupę ludzi, którzy zatrzymali kobietę na drodze.

Aleksandra także ruszyła w tamtym kierunku.

– Ludzie tutaj gadają, że jakieś podejrzane typy wydzierały się po nocy. – Paulina pochyliła się do Gwen i Johanna.

– A to nie o nas przypadkiem? – spytała Gwen szeptem.

– No, tego się właśnie obawiam.

– Jeszcze zaraz będzie, że to ukraińscy przestępcy – mruknął Igor.

– Może powinniśmy tam iść i się przyznać, że tutaj byliśmy? Boże! – Gwen nagle spojrzała na Paulinę ze strachem. – Ten typ w krzakach!

– Na razie przecież nic nie wiemy – syknął Igor. – Mógł się ktoś utopić

w czasie sztormu. Może jakąś łódź rybacką wywróciło. Nad ranem wciąż jeszcze nieźle wiało.

Od grupy ludzi, która obstąpiła kobietę i jej dwóch synów, oderwała się gospodyni domu na klifie i szybkim krokiem wróciła do samochodu.

– To się musiało tak skończyć. – Pokręciła głową. – Ludzie już tam gadają niestworzone rzeczy. Musiałam odejść, bo zaraz by mnie szlag trafił.

Paulina spojrzała w kierunku coraz głośnej debatującej grupy wokół kobiety.

– Ktoś się naprawdę utopił?

– Ksiądz Jakub.

– Co takiego? – Igor, wstrząśnięty, spojrzał na kobietę. – Kiedy?

– Synowie Kołodziejczykowej znaleźli go dzisiaj rano. Pękają wprost z dumy.

– Ale jak? – Paulina patrzyła na Aleksandrę z autentycznym przerażeniem.

– Wpadł do basenu portowego. Szkoda człowieka, ale można było się spodziewać, że kiedyś zrobi sobie krzywdę. Nie było tygodnia, żeby nie włóczył się tutaj pijany. Wszyscy go widzieli, a teraz już gadają o jakichś satanistach. Cholerna ciemnota!

*

Do Międzyzdrojów jechali w milczeniu. Wszyscy troje byli w szoku po śmierci księdza. Aleksandra Kupiec ze wzburzeniem powtórzyła Igorowi i Paulinie plotki, jakie już od kilku godzin krążyły po okolicy. Rzekomo ksiądz był w domu Budnego i ostrzegał przed jakimś niebezpieczeństwem, rzekomo działała tu jakaś sekta, ludzie słyszeli krzyki. Podobno sataniści urządzali sobie czarne msze na jednym ze wzgórz w lasach koło wsi. Ktoś sobie przypomniał, że w ruinach Złotego Dworu też podobno straszy i że teraz pewnie tam odprawiają te satanistyczne msze.

– Cieszę się, że mieszkam w dużym mieście, chociaż Bogiem a prawdą, głupców i tutaj nie brakuje – powiedziała Aleksandra Kupiec. – Atmosfera takich małych zamkniętych społeczności jest straszna. Pamiętam, jakie plotki

krążyły po śmierci mojego ojca. Na co dzień oczywiście każdy się uśmiecha i powie dzień dobry. A wtedy jeszcze kondolencje składali, a za plecami gadali, co tylko ślina na język przyniesie.

Igor siedział obok ze wzrokiem wbitym w przednią szybę i co chwila łapał spojrzenie Pauliny w lusterku wstecznym. Wiedział, o czym myślała, bo zdążyli zamienić parę słów na boku, zanim wyjechali z Lubina. Czy jechać na policję, czy nie?

Policja będzie musiała sprawdzić opowieści o jakiejś bandzie wydzierającej się po nocach koło cementowni. Lepiej chyba iść na komendę od razu, niż ryzykować, że dotrą do nich sami za miesiąc.

Warsztat samochodowy znajdował się na obrzeżach Międzyzdrojów. Prowadził go zażywny sympatyczny mężczyzna z dwoma synami. Aleksandra Kupiec wysadziła Paulinę i Igora przed wielką otwartą na oścież bramą, nie wychodząc z samochodu, przywitała się z mechanikiem, zawołała, że bardzo się śpieszy, i odjechała.

– Oś jest cała. – Mechanik kopnął butem przednie koło toyoty. – Geometria jest minimalnie nie w porządku. Musi pan to sprawdzić dokładnie, bo ja tu nie miałem nawet kiedy. Gdyby nie to, że pani Kupiec to stara znajoma, tobym czasu dla pana nie znalazł, wie pan.

Igor nie był zachwycony. Zamiast fabrycznej alufelgi z przodu toyoty pyszniła się teraz pordzewiała, stalowa. Blachy nadkola i drzwi były tylko prowizorycznie naprostowane, zaledwie na tyle, żeby można było otworzyć samochód.

– Jadąc do tego Szczecina, niech pan się lepiej nie śpieszy. – Mechanik wytarł ręce w szmatę i rzucił ją na zagracony stół pod ścianą. – Alufelgę może i da się naprawić, ale lepiej kupić nową. Wrzuciłem ją panu na tył.

Igor z ciężkim sercem wyjął z portfela kartę i podał mechanikowi.

*

Johann i Gwen wpatrywali się w ogromne zrujnowane hale fabryczne. Częściowo zamurowane, a częściowo wybite oczodoły okien otwierały się na ponury betonowy basen portowy niewielkiej przystani. Przy wysokim nabrzeżu stały trzy rybackie krypy i dwie niewielkie drewniane łodzie

pomalowane na zielono. Na przeciwległym brzegu kanału, oparte o drewniane rusztowania, suszyły się na zimnym wietrze stare poplątane sieci. W gąszczu badylastej, dzikiej zieleni za basenem widać było betonowe wraki kolejnych zrujnowanych budynków.

– Bardzo wysokie nabrzeże. – Dermot skinął brodą w kierunku kanału. – Żadnych odbijaczy, nic. Pewnie ze dwa metry głębokości.

– Wczoraj podczas sztormu musiało się tu nieźle kotłować – stwierdził Johann ponuro. – Jeśli wpadł, to obijało go o ten beton jak szmacianą lalkę. Stracił przytomność i koniec.

Na prowadzącej do przystani alejce widać było odchodzących już do domów ludzi. Kilkanaście minut temu odjechała policja, a ciało w czarnym foliowym worku zabrała furgonetka zakładu pogrzebowego. Widowisko dobiegło końca.

– A jeśli ktoś go wepchnął? – mruknął Dermot.

– Paulina nie jest pewna, czy to księdza widziała w tych krzakach – dodał Johann.

– Przestańcie – przywołała ich do porządku Gwen. – Zachowujecie się tak samo, jak ci, którzy bredzą o satanistach.

– Widziałaś listę nazwisk w notesie Kłosowskiego? W dalszym ciągu nie wydaje ci się to podejrzane? – Dermot spojrzał na Gwen pytająco. – Niniejszym już oficjalnie utrudniamy policji śledztwo.

– Na tej liście jest mąż naszej gospodyni – przypomniał Johann. – Bardzo mroczny typ.

Na drodze od strony kanału pojawiały się ostatnie małe grupki ludzi. Dwie starsze kobiety, przechodząc obok, rzuciły im zaciekawione spojrzenia.

– *Zdrastwujtie* – pozdrowiła ich jedna.

Gwen spojrzała na Johanna z przerażeniem.

– Co ona powiedziała?

– Nie mam pojęcia. – Johann pokręcił głową. – Ale to chyba było po rosyjsku.

– Chodźmy stąd lepiej, bo zaraz nas zlinczują.

*

Komisariat policji w Międzyzdrojach mieści się w czterokondygnacyjnym budynku, który nawet jak na standardy zabudowy polskich kurortów nadbałtyckich mógł wywołać lekki wstrząs estetyczny. Ta budowla to właściwie sześcian. Jego frontowa ściana od strony ulicy jest pochylona w ten sposób, że kolejne, wyższe kondygnacje leżą coraz dalej od pionu. Charakterystyczna dla lat powojennych śmiała myśl architektoniczna, której przyświecało humanitarne, lepsze doświetlenie pomieszczeń, w tym akurat wypadku budzi uczucia, które można by najdelikatniej określić jako ambiwalentne. W dodatku na każdym piętrze do elewacji frontowej doczepiony jest taras. Całość przykryta jest płaskim dachem i oczywiście pomalowana na kolor żółty. Budynek, bez żadnych kompleksów wobec dziewiętnastowiecznej architektury, usytuowany został przy wąskiej obsadzonej szpalerami drzew uliczce, przy której zachowały się koronkowe secesyjne i eklektyczne wille i pałacyki.

Z poziomu wyłożonego czerwonym polbrukiem chodnika na teren przed budowlą prowadzą schodki z zieloną stalową balustradką.

Toyota Igora zatrzymała się przy krawężniku i po chwili oboje z Pauliną znaleźli się we wnętrzu komisariatu. Niepewnie rozejrzeli się dokoła. Dyżurny policjant, niechętnie wyglądając zza szklanej szybki, najpierw gdzieś zadzwonił, przez chwilę z kimś rozmawiał, a potem wychylił się ze swojej retorty i kazał im iść na drugie piętro do pokoju numer dwanaście.

Dzielnicowy, w granatowej koszuli z zawiniętymi do łokci rękawami, na widok przekraczającej próg Pauliny podniósł się zza biurka i wskazał ręką dwa krzesła.

– Dzień dobry. Czym mogę państwu służyć? – spytał, gdy już oboje usiedli.

Paulina spojrzała na Igora, westchnęła i zaczęła mówić.

Gdy wreszcie skończyła, policjant popatrzył najpierw na nią, a potem na Igora.

– Więc to byli państwo?

Oboje spojrzeli na siebie niepewnie.

– Kilka osób z domów niedaleko cementowni opowiadało nam, że jakieś głośne towarzystwo chodziło tam po zmroku.

– Poszliśmy na wieczorny spacer. Wie pan, taka przechadzka z dreszczykiem. – Igor się uśmiechnął.

– Do cementowni nie wolno wchodzić. To własność prywatna, a poza tym, jak sam pan widzi, jest tam niebezpiecznie.

– Nawet tam nie weszliśmy. – Paulina pokręciła głową. – Właściwie to chcieliśmy obejrzeć park wokół ruin Złotego Dworu, ale zawróciliśmy. No i wyłączyli prąd.

– Jesteście pewni, że to był ksiądz? Ten ktoś w krzakach?

Paulina pokręciła głową.

– W tym rzecz, że nie do końca.

Policjant przez chwilę patrzył na nią, po czym wyjął plik jakichś formularzy i położył go przed sobą na biurku.

– Pani Walendziak opowiedziała nam o wizycie księdza. Walendziakowa to gospodyni pana Budnego – dodał wyjaśniająco, widząc pytające spojrzenie Pauliny. – Kilka osób z czworaków przy przystani w Wapnicy też widziało księdza, jak szedł w tamtym kierunku. Tę sprawę przejmie wprawdzie Komenda Powiatowa w Kamieniu Pomorskim, ale wszystko wskazuje na wypadek. Jakub Merin miał półtora promila alkoholu we krwi. Ale oczywiście weźmiemy pod uwagę państwa zeznanie o tym domniemanym mężczyźnie.

– Widzieliśmy księdza także trochę wcześniej. Tuż przed zmrokiem. Jechaliśmy wtedy samochodem z panią Aleksandrą i jej mężem. Wchodził przez dziurę w ogrodzeniu na teren cementowni.

Policjant pokiwał głową i zaczął wypełniać jedną z rubryk w formularzu.

– Co państwo robią dla Kupców?

– Pomiary. – Igor zmarszczył brwi. Obawiał się komplikacji przy wyjaśnianiu, co w ich grupie robi dziennikarka i troje Anglików. – Jestem architektem.

– A, no tak. – Policjant się uśmiechnął. – Rozmawiałem jakiś czas temu

z Hubertem Kupcem. Mówił, że będą chcieli przebudować dom na pensjonat.

Przez dłuższy czas wypełniał jeden formularz, a potem zaczął drugi. Następnie poprosił o dokumenty i starannie spisał dane obojga.

– Spisuję państwa zeznania. – Podniósł wzrok. – To formalność. Bardzo dobrze, że państwo tu przyjechali. To zaoszczędziło nam trudu ustalania, kim było głośne towarzystwo spacerujące po nocy. – Spojrzał na oboje z uśmiechem.

Przez chwilę znowu siedział pochylony nad formularzem. Nie podnosząc głowy, spytał.

– A ci pozostali państwo? Wszyscy jesteście budowlańcami?

Igor rzucił Paulinie spłoszone spojrzenie.

– Nie, do pomocy przy inwentaryzacji nie trzeba mieć żadnych uprawnień ani kwalifikacji – odpowiedział dyplomatycznie.

– Ja też nie jestem architektem, tylko dziennikarką – dodała Paulina. – Praca była pilna i kolega nie miał czasu skompletować grupy do pomocy. Jesteśmy przyjaciółmi.

Policjant pokiwał głową

– Ci troje, których z wami nie ma, to także znajomi?

– Tak. – Paulina kiwnęła głową. – Anglicy

– Anglicy? – Dzielnicowy spojrzał zdziwiony. – Budowlanka chyba rzeczywiście cierpi na brak rąk do pracy – zażartował. – Proszę mi podać dane tych państwa.

Igor uśmiechnął się nerwowo i po kolei wymienił nazwiska Anglików.

– Tak więc, niestety, to najpewniej zwyczajna tragedia. – Dzielnicowy skończył pisać i podniósł wzrok. – Już pewnie zdążyliście usłyszeć, że ksiądz był dziwakiem, mówiąc kolokwialnie, a mówiąc wprost, pijakiem.

Paulina uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Spuściła wzrok i wtedy zauważyła na biurku dzielnicowego coś, co wydało jej się znajome. Plik białych kartoników. Leżały niedbale przykryte jakimiś dokumentami. Przekrzywiła dyskretnie głowę, usiłując dojrzeć więcej szczegółów, gdy policjant spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Wie pani, co to jest? – spytał, odsuwając na bok dokumenty.

Paulina, zdezorientowana, pokręciła bez przekonania głową.

Policjant sięgnął po stertę dziwnych kartoników i zaczął powoli, tak jakby układał pasjansa, rozkładać je przed sobą na biurku.

– Znaleźliśmy to na plebanii. Leżały na stole w kancelarii księdza.

Paulina poczuła lodowaty strach. Siedziała przez dłuższą chwilę ze wzrokiem wlepionym w blat, na którym leżał dziwny pasjans. Bała się spojrzeć na policjanta, żeby nie zobaczył, że jest wstrząśnięta. Czuła, że Igor siedzący obok niej także zamarł.

Jeden przy drugim, na stole leżało siedem kartoników, a na każdym z nich była namalowana czarnym pisakiem plątanina kresek i kropek. Trzy pierwsze były dokładnie takie same jak te w notesie Kłosowskiego.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka zajrzał policjant.

– Szefie, proszę na moment. Musi pan coś zobaczyć.

Przesłuchujący Paulinę i Igora dzielnicowy ze zniecierpliwieniem spojrzał na podwładnego, po czym westchnął, podniósł się od biurka i wyszedł na korytarz. Drzwi pozostały otwarte, a z zewnątrz dochodziły jakieś hałasy i przekleństwa.

Paulina, zanim zdążyła pomyśleć, wyjęła z kieszeni telefon i błyskawicznie zrobiła zdjęcie.

– Co ty robisz? – Igor patrzył na nią z przerażeniem. – Zwariowałaś?

Paulina trzęsącymi się rękami schowała telefon do kieszeni i głośno odetchnęła. Akurat w tym samym momencie w drzwiach pojawił się dzielnicowy.

– Przepraszam państwa. – Obszedł biurko i stanął nad blatem, wpatrując się w siedem wizerunków. – O co to ja pytałem?… Czy domyślacie się, co to może być?

Paulina wolno pokręciła głową. Pomyślała, iż utrzymując, że nie ma pojęcia, co znaczą tajemnicze symbole, zeznaje przecież samą prawdę i tylko prawdę.

Policjant pochylił się i przewrócił każdy z kartoników do góry nogami. Na każdym z nich była data.

– Czy to mogą być jakieś materiały pomocnicze do egzorcyzmów? –

Spojrzał na Paulinę, a potem powoli przeniósł wzrok na Igora.

– Boże. – Paulina drgnęła. Na taki pomysł jakoś nie udało im się wczoraj wpaść. Pomyślała, że jej nerwowa reakcja jest jednak całkowicie uzasadniona sytuacją.

– Przepraszam. – Przełknęła ślinę. – Ta sprawa z księdzem trochę mnie przerosła. Możliwe, że w tym samym czasie, kiedy, śmiejąc się, wracaliśmy do domu, on właśnie zginął. A teraz jeszcze egzorcyzmy.

– O Merinie krążyło wiele plotek. – Policjant pokiwał głową. – Ponoć był opętany. Ludzie opowiadają różne bzdury…

Westchnął, po czym usiadł, dokończył spisywanie protokołów, a następnie odwrócił je w kierunku Pauliny i Igora.

– Proszę przeczytać i podpisać. Proszę zostawić także kontakt do siebie, na wypadek, gdybyśmy chcieli jeszcze z państwem porozmawiać.

Igor głośno odetchnął. Przed chwilą wyszli z budynku komisariatu i zatrzymali się na chodniku koło schodków na ulicę. Przez krótką chwilę żadne się nie odzywało.

– Boże! – przerwała w końcu ciszę Paulina. – Kompletnie się nie spodziewałam tych obrazków, po prostu mnie zatkało.

– To może nie mieć żadnego znaczenia. Kłosowski przyjaźnił się przecież z księdzem. Może to jakaś cholerna gra planszowa albo inne gówno, a my się tutaj dopatrujemy Bóg wie czego.

– Egzorcyzmy. – Paulina była pod wrażeniem tej informacji.

– Po co ty to zdjęcie zrobiłaś? A jak tam są kamery?

– Nie ma. – Paulina sięgnęła po telefon. – Chyba… Nie no, nie ma żadnych kamer! Nie denerwuj mnie.

– Mógł pomyśleć, że coś ukrywamy.

– No, a nie ukrywamy? Ten cholerny notes Kłosowskiego przecież. Bałam się o nim wspomnieć. Raz, że go ukradliśmy, dwa, przez tę cholerną akcję z domem i Borolą.

– Przez to wszystko napytamy sobie tylko jakiejś biedy. – Igor pomyślał, że użył jednego z ulubionych zwrotów swojej matki i jeszcze bardziej go to

zdenerwowało.

– Jeśli to jakiś dowód w sprawie, to nie wiem…

– Nie ma żadnej sprawy! Ksiądz się utopił!

– Że też się nie dało tego upiornego notatnika podrzucić z powrotem. – Paulina była zła. – To jakiś cholerny pech.

– Nie pech, a pan Andrzej. – Igor sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki. – Pozostaje nam chyba jeszcze tylko jedno. Włamać się tam jakoś po kryjomu.

– Rychło w czas. W nocy trzeba było podrzucić ten pomysł, zamiast opowiadać klechdy o seryjnych mordercach z czasów wojny trzydziestoletniej.

– A jakbyśmy podrzucili, to co? – Igor puścił mimo uszu złośliwości Pauliny. – W zasadzie też przecież nie moglibyśmy się przyznać, że go znaleźliśmy.

– Mogliśmy znaleźć, obejrzeć i wsadzić z powrotem.

– Nie mówiąc o niczym właścicielce?

– No właśnie. Z którejkolwiek strony patrzeć, wyglądamy nieszczególnie.

Toyota pisnęła radośnie i w tym samym momencie zadzwoniła komórka Pauliny.

Igor obszedł samochód i stanął na chodniku. Odwrócił się tyłem i zaczął kontemplować architekturę jakieś starej willi, która stała po drugiej stronie uliczki.

Paulina spojrzała na wyświetlacz. W końcu…

– Co się z tobą dzieje?

A skąd on może widzieć, czy coś się z nią w ogóle dzieje, skoro nie dzwonił.

– Jestem jeszcze na Wolinie. – Odwróciła się tyłem do samochodu i odeszła kilka kroków dalej. – Igor miał wczoraj stłuczkę i musieliśmy tutaj zostać.

– A gdzie nocowaliście?

No tak, to najważniejsze.

– No jak gdzie? W tym domu, który pojechaliśmy mierzyć.

– Wszyscy? Ci Anglicy także?

– Nie, Anglicy nocowali na trawniku obok.

– Po co się wściekasz? Niepokoję się, tak? Mogłaś zadzwonić wczoraj, że nie wracasz.

Paulina chciała przypomnieć o jego dwudniowej wyprawie do rodziny, ale pomyślała, że skończy się to tylko eskalacją przemocy.

– Tak, przepraszam. – Westchnęła. – Tu był wczoraj straszny sztorm. Prądu nie było.

– Komórka nie jest przecież na prąd.

W pierwszej chwili znowu się zirytowała, ale nagle dostrzegła szansę na szybkie zakończenie tematu.

– No jak nie na prąd, głuptasie? Rozładowała się. Właśnie dopiero co ją włączyłam i najpierw musiałam napisać do Pawła, że raczej nie będzie mnie dzisiaj w pracy.

Zauważyła kątem oka, że Igor wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

Drobne kłamstewko w innej sytuacji raczej nie miałoby znaczenia. Czemu akurat teraz czuje się z tego powodu winna?

Mateusz, wyraźnie udobruchany, przez chwilę opowiadał o konferencji w swojej firmie. Już miała mu przerwać, gdy sam skończył, mówiąc, że ma tylko chwilkę i musi wracać na salę.

– Spotkamy się wieczorem.

Paulina włożyła telefon do kieszeni i ruszyła do samochodu. Zanim złapała za klamkę, toyota warknęła i zaświeciła światłami.

*

Niewielka pękata motorówka z białą nadbudówką z cichym warkotem płynęła wąskim przesmykiem pomiędzy wyleniałymi o tej porze roku brzegami dwu sąsiadujących wysp. Niebo było szare i smętne, ale miejscami w brudnej pierzynie chmur jaśniały niewielkie plamy błękitu. Motorówka należała do Referatu Wodnego szczecińskiej policji i wykonywała typowy patrol po tak zwanych wodach przybrzeżnych i terenach przywodnych,

poplątanych jak labirynt przekopach, nurtach i dopływach Odry oraz jeziora Dąbie. Dwaj policjanci, opatuleni w grube kurtki i żółte sztormiaki, siedzieli w nadbudówce i w minorowych nastrojach wpatrywali się w smutne brzegi porośnięte bezlistnymi szuwarami i czającymi się nad wodą drzewami o gałęziach rozczapierzonych niczym szpony. Motorówka z terkotem wypłynęła w szeroki kanał, noszący mało romantyczną nazwę Przekopu Mieleńskiego, przepłynęła go w poprzek i wpłynęła w kolejny wąski przesmyk Duńczycy. Po obu stronach ciągnęły się brzegi kolejnych wielkich wysp – Ostrowu Grabowskiego od północy i Mieleńskiego od południa.

– Jezu, jak ja bym chciał być już w domu – jęknął jeden z policjantów, zwalisty blondyn z dwudniowym rudawym zarostem. Przesunął ręką czarną czapkę i podrapał się w głowę nad uchem.

– Jest dopiero dwunasta – mruknął niechętnie jego towarzysz, młodszy, szczupły brunet. – Jeszcze mamy do opłynięcia całe kurewskie Międzyodrze.

– Moja mała ma jutro urodziny, a ja nawet jeszcze nie mam żadnego prezentu.

– Żartujesz?

– Powiedziałem wczoraj Zośce, że już kupiłem, bo chyba by mnie zabiła. Dzisiaj po robocie będę musiał skoczyć do Kaskady i kupić gdzieś te cholerne kolczyki.

– A ja mam święty spokój. Jutro randka, seks jak się poszczęści, luzackie życie singla.

– Spierdalaj! Długo tak nie pociągniesz. W końcu jakaś cię zawlecze do ołtarza.

– Do urzędu stanu cywilnego, jeśli już.

– Ty, a co to jest?

– Nie wiesz, co to jest urząd stanu cywilnego?

– Nie, głąbie! Tam co jest. – Zwalisty policjant dźwignął się z ławeczki i wyjrzał za burtę.

Przy brzegu Ostrowu Grabowskiego kołysała się na wodzie jakaś paczka.

– Śmieci dranie wyrzucają.

– Wiesz, że mamy sprawdzać wszystkie takie gówna. – Blondyn

westchnął i szarpnął dźwignią.

Motorówka zwolniła i zawróciła w kierunku brzegu.

*

Chociaż Gwen była w czapce i rękawiczkach, trzęsła się z zimna. Z niedowierzaniem patrzyła na Paulinę. Pół godziny wcześniej zakończyli pomiary i pakowali właśnie wszystkie bambetle do samochodu.

– Jesteście pewni, że to były te same rysunki?

– Dokładnie te same – potwierdziła Paulina. – I dodatkowo jeszcze cztery inne.

– Pokaż to zdjęcie – zniecierpliwił się Johann i stanął za jej plecami.

– Czekałam, aż pan Andrzej wreszcie sobie pójdzie. – Paulina spojrzała w ślad za oddalającym się mężczyzną. Sięgnęła po telefon i zaczęła przeszukiwać jego zawartość.

Po chwili wszyscy stali tuż obok siebie, wpatrując się w malutki ekran komórki.

– Trzy osoby związane z tymi upiornymi grafikami nie żyją – mruknął cicho Dermot. – Pytanie brzmi, czy to przypadek.

– Nie gadaj głupot. – Gwen się zniecierpliwiła. – Poza tym, jakie trzy? Kucharka i teraz ksiądz. To dwie.

– Kłosowski też nie żyje.

– Boże, nie dorabiajcie do tego jakiejś spiskowej teorii dziejów. Kłosowski umarł na zwyczajny wylew.

– Mnie teraz, po tym wszystkim, bardziej zaczęło zastanawiać, co wspólnego ma z tym Borola. – Igor wsadził ręce do kieszeni i skulił się przed zimnym wiatrem.

Po chwilowym porannym rozpogodzeniu po południu zrobiło się strasznie zimno, a wiatr ranił twarze lodowatymi igłami wilgoci.

– W końcu to przez niego tu jesteśmy – dokończył. – I przez jego obsesję na temat tej chałupy. – Machnął ręką w kierunku imponującej elewacji ogrodowej domu na klifie.

– Ksiądz po pijaku wpadł do kanału i się utopił, Kłosowski miał wylew. Jedynie Bogdana Gancarczyk zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. – Paulina cały czas wpatrywała się w ekran komórki.

– No właśnie – powiedział Igor. – Jeśli już stawiać takie pytania, to najbardziej zastanawiające jest to, co wspólnego z tym zabójstwem miał Kłosowski. I, przede wszystkim, w tym kontekście, po cholerę Boroli plany tego domu?

– Dlaczego w tym kontekście? Jedno z drugim nie ma nic wspólnego – zdziwiła się Gwen. – Wszystko ma pewnie jakieś konkretne i bardzo racjonalne wytłumaczenie i niepotrzebnie dorabiacie do tego kryminalne teorie.

– Konkretne racjonalne wytłumaczenie zazwyczaj ma także każda zbrodnia. – Dermot wziął pudło z ich rzeczami i kiwnął głową do Igora.

Po chwili klapa toyoty płynnie uniosła się do góry.

– Jezu, już zbrodnia. Zaraz będzie ludobójstwo. – Gwen zaczęła przytupywać. – Boże! Jak zimno!

– A pamiętacie, co mówił ksiądz? – Paulina podniosła wzrok znad telefonu. – Do baby za płotem. Że ktoś jest w niebezpieczeństwie. I że to ma się skończyć. I zaraz potem zginął.

– Widzieliście, jak wyglądała przystań? – Gwen naciągnęła kaptur na głowę, usiłując schować się przed wiatrem. – Ruiny, beton ze sterczącymi prętami zbrojeniowymi. Jak w jakimś horrorze. I w dzień można by się tam zabić. A ten pomylony ksiądz łaził tam po pijaku i w dodatku po nocy. Nikt mu nie musiał pomagać.

– Dobra, wszystko zabraliśmy. – Igor zatrzasnął klapę i rozejrzał się dokoła. – Możemy ruszać. Przez tę oś będę jechał powoli, więc do Szczecina mamy ze dwie godziny.

– Ważne, że ogrzewanie działa. – Gwen wskoczyła na tylne siedzenie samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Po chwili toyota wyjechała na drogę.

Automatyczna brama powoli się za nią zamknęła.

*

Przy brzegu wyspy, częściowo zatopione w wodzie, leżały konary zwalonej wierzby. Jej sterczące z ziemi korzenie wyglądały jak ogromna martwa ośmiornica. Wzdłuż wody ciągnęły się suche żółte szuwary, z których gdzieniegdzie wystawały cienkie pniaki młodych samosiewów. Tuż obok zwalonego drzewa, zaplątana w gałęzie, unosiła się na wodzie wielka, opleciona grubą taśmą izolacyjną paka. Worki foliowe, którymi była opakowana, miejscami były pozrywane i przetarte.

– Za duże jak na głowę. – Zwalisty policjant oparł się o burtę motorówki i patrzył z powątpiewaniem na unoszący się na wodzie tobół.

– Nikt tej głowy tutaj nie znajdzie. – Drugi z policjantów pochylił się i sięgnął po długi drewniany bosak. – Facet nie po to ją odciął, żeby wrzucać w tym samym miejscu do jeziora. Pewnie spalił albo zakopał gdzieś w jakimś mrowisku.

– Nie wiadomo czy to facet.

– Nieważne. – Policjant westchnął i wepchnął kij do wody. – Musimy sprawdzić, co to jest.

– Wygląda jak kupa śmieci wyrzucona z jakiegoś jachtu.

– Prędzej w ujściu Płoni w Dąbiu. Ludzie tam wyrzucają nawet stare wanny i muszle klozetowe z remontów. Powinno się takie kanalie wsadzać do paki na lata.

Policjant ze złością szarpnął bosakiem, przyciągając brudny tobół do burty.

*

Krajowa trójka od zjazdu na Międzyzdroje w kierunku Wolina przebiega właściwie środkiem Wolińskiego Parku Narodowego. Po obu stronach wydzielona płotami z siatki, chroniącymi nieszczęsną zwierzynę przed bezwzględnymi, drapieżnymi i z reguły całkowicie zdziczałymi turystami, ciągnie się przez zieloną przestrzeń dawnej dziewiczej puszczy. Lasy kończą się gdzieś w połowie drogi do Wolina i to tam nowa obwodnica okala łagodnym łukiem małą wioseczkę, przez którą niegdyś z hukiem przetaczały się całe tabuny niebezpiecznych wakacyjnych uchodźców z Polski centralnej.

– Tu jest zjazd na Dargobądź. – Igor popatrzył w stronę zaczynającego się

właśnie pasa dla zjeżdżających z głównej trasy. – To tam są ruiny tego zamku od sekretarza i Bursztynowej Komnaty.

– Skręcaj! – krzyknął nagle Johann, wychylając się zza fotela Igora.

– Co? Po co?

– Skręcaj! Teraz!

Igor zjechał na sam koniec prawego pasa i gwałtownie zwolnił, skręcając w boczną leśną drogę.

– Czy ci całkiem odbiło? – Spojrzał w lusterko na Johanna.

– No przecież mieliśmy zobaczyć zamek. Gdybym nie krzyknął, to byś pojechał dalej.

– Ale mogłem spowodować wypadek!

– Przecież droga jest prawie pusta. Nie przesadzaj.

Igor z rezygnacją pokręcił głową. Kątem oka zauważył, że Paulina krztusi się ze śmiechu.

– I co w tym śmiesznego?

– Trzeba było widzieć swoją minę, jak Johann wrzasnął.

Rzucił jej urażone spojrzenie i zwolnił przed opłotkami wsi.

Toyota przejechała między stalowymi i drewnianymi ogrodzeniami starych i nowych domów i mniej więcej w centrum wsi skręciła w kierunku północnym. Następnie przejechała pod wiaduktem nowej obwodnicy i znalazła się na drodze wiodącej wprost w kierunku porośniętego gęstym lasem wzniesienia.

Zostawili samochód na wąskim poboczu, przy którym stała tablica informacyjna leśników, i ruszyli ledwie widoczną przecinką ku wierzchołkowi wzgórza.

– Po tym zamku chyba już nic nie zostało? – Gwen rozejrzała się dokoła. – A gdzie jest jakieś podzamcze? Zabudowa gospodarcza? Nic?

– Zamek był niezamieszkały już przed wojną. Właściciele mieli tylko dzierżawców, którzy mieszkali we dworze na jednym z folwarków. Niedaleko, w Mokrzycy Wielkiej. – Igor wskazał ręką w bok, mniej więcej tam, gdzie, jak mu się wydawało, znajdowała się wieś.

Po chwili las się nieco przerzedził, a pomiędzy młodymi bukami i sosnami pojawiły się potężne pnie drzew dawnego parku zamkowego. W głębi widać już było wzniesienie, na którym wystawały z ziemi mizerne resztki ścian, a wokół walały się sterty gruzu.

– Przygnębiające – stwierdziła Paulina. – Ten zamek stał tutaj od czternastego wieku i to wszystko, co po nim zostało.

Igor smętnie przytaknął.

– Mało, że zamek stał. Praktycznie od tamtego czasu należał niezmiennie do jednej i tej samej rodziny. I tylko burze dziejowe przewalały się nad ich głowami.

– Druga wojna była prawdziwym końcem świata. – Dermot kopnął niewielką stertę kamieni, która z cichym rumorem potoczyła się w głąb zapadliska po dawnych piwnicach.

– To tutaj niby miałby być ukryty skarb, od którego zaczęliśmy? – Gwen ruszyła wolno wzdłuż obrysu dawnych murów. – Tyle że morza to tutaj raczej nie ma.

– Zamek miał dziedziniec otwarty na wschód. – Igor wskazał ręką na przeświecającą między drzewami w oddali rzekę. – Rozpościerał się z niego widok na pola i Dziwnę.

– To mało przekonujące. – Paulina wzruszyła ramionami i sięgnęła po komórkę. – Ktoś, kto pisze, że miejsce ukrycia skarbów znajduje się na *Wolinie* – zaakcentowała – nie mógł mieć na myśli miejsca, które jest tak daleko od morza. Osiemdziesiąt procent wyspy jest bliżej morza niż ten zamek.

– Kuchta pisał do polskich władz. Mógł założyć, że nie orientują się zbyt dobrze, gdzie jest Wolin, a gdzie morze.

– Tym bardziej – powiedziała Paulina z przekonaniem. – To tak, jakbyś pisał do kogoś, że Kraków leży w Polsce, nad morzem, bo Polska leży przecież nad Bałtykiem.

– A jak się nazywała ta rodzina? – zainteresował się nagle Johann.

– Von Apenburg. – Igor włożył ręce do kieszeni kurtki. – Pod koniec osiemnastego wieku zamek odziedziczyli siostrzeńcy ostatniego właściciela, bracia von Hiller, Fryderyk i Bernard.

– Naprawdę to pamiętasz? – Paulina popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Czytałem o tym po rozmowach z Borolą.

Dermot się nachmurzył.

– No właśnie… – mruknął pod nosem:

– Co no właśnie?

– Cały ten skarb wziął się od twojego Boroli…

– No i?

– Albo on coś sobie ubzdurał, albo zdecydowanie nie powiedział ci wszystkiego.

– To, że nie powiedział mi wszystkiego, jest dla mnie oczywiste. – Igor nie miał żadnych wątpliwości.

– A co to jest? – krzyknęła nagle Gwen, która oddaliła się w głąb parku. – Krater?

Na południe od dawnego zamku znajdowało się ogromne, głębokie na siedem, osiem metrów zagłębienie w kształcie koła. Mogło mieć jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów średnicy.

– Wszędzie piszą, że to lej po bombie. – Paulina popatrzyła na ekran komórki.

– Nie wiem, co to musiałaby być za bomba, żeby powstał taki krater. – Dermot powoli ruszył brzegiem zapadliska.

– Ten krater jest już na mapach z dziewiętnastego wieku. – Igor stanął na krawędzi rowu. – Więc to nie jest oczywiście żaden lej po bombie.

Kilka starych drzew, które pierwotnie otaczały kołem dziwne zagłębienie, runęło do środka i z brzegów krateru wystawały teraz ich poplątane korzenie.

– Może to jakieś stare wyrobisko? – Paulina popatrzyła pytająco na Igora. – Może torf tutaj kopali? Właściwie jest w obrębie dawnego parku zamkowego. Może to była część jakiegoś romantycznego programu krajobrazowego? Coś jak Arkadia?

Igor przytaknął.

– Przypomniało mi się coś. – Obszedł dokoła konar starego drzewa

i odwrócił się w kierunku miejsca po rezydencji. – Przed wojną zamek stał pusty. Właściciele pewnie pojawiali się tutaj od wielkiego dzwonu. Zamknięte sale, skrzypiące drzwi, stare meble nakryte pokrowcami, centymetry kurzu…

– Bardzo klimatyczne. I co z tego?

– Okoliczna ludność nazywała to miejsce Zamkiem Duchów.

Rozdział 22

Czwartek, 16 marca

Igor przeczytał ostatnie zdanie listu poleconego, który pół godziny temu trafił na jego biurko, i poczuł, jak krew się w nim gotuje. Zadziwiające, jak wiernie oddają rzeczywistość takie literackie określenia. Pomyślał, że łomot jego serca słychać chyba na korytarzu, a gwałtownie wydzielająca się adrenalina i kortyzol zaraz oderwą mu głowę, jak kapsel od butelki z napojem gazowanym.

Była to odpowiedź od firmy Practica Investment, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, która od dobrych kilkunastu lat zajmowała się rozmaitymi inwestycjami na terenie Szczecina i okolic. Postawiła dwa albo trzy biurowce w centrum miasta, wielki bazar handlowy pod Goleniowem, osiedle domków jednorodzinnych na odrolnionych terenach podmiejskich i generalnie, dzięki tym zauważalnym inwestycjom, pozornie wydawała się uczciwą firmą. Gdy pół roku temu ich zarząd zwrócił się do Igora ze zleceniem zaprojektowania zespołu trzech nowych budynków mieszkalno-usługowych na Niebuszewie, nic nie zapowiadało kłopotów. Niestety, szybko okazało się, że ich model działalności oparty był na kreatywnych manipulacjach prawnych, za pomocą których, całkowicie legalnie, opóźniali płatności lub wymuszali korzystne dla siebie rozwiązania biznesowe.

Konkretna, merytoryczna odpowiedź Igora na zarzut braku odrębnego projektu zagospodarowania terenu w dokumentacji, podważanie zasadności użycia nawierzchni utwardzonej biologicznie czynnej, czyli betonowych krat, które po wypełnieniu ziemią zarastają trawą, oraz kilka innych punktów spornych spotkała się z ponownym mechanicznym powtórzeniem tych samych zarzutów i przypomnieniem, że termin na oddanie kompletnej (co podkreślono kursywą) dokumentacji minął trzy miesiące temu.

Na koniec padła propozycja spotkania w celu ustalenia „kompromisowego

rozwiązania, korzystnego dla obu stron”.

Wszystko szło więc przewidzianym już przez Igora trybem. Faktury nie zapłacą, po rokowaniach zgodzą się na zapłacenie dwudziestu procent należności w zamian za dalszą współpracę i obsługę inwestycji, czyli nadzór autorski nad budową. Tym samym płatność może się odciągnąć nawet o rok.

Po drugiej stronie biurka, rozparty w fotelu, siedział jasnowłosy mężczyzna. Mecenas Bartosz Lorenc, znajomy Igora, z którym dawno temu zawarli pakt o wzajemnej pomocy. Igor w razie potrzeby dostarczał koledze interpretacje prawa budowlanego i dziedzin pokrewnych, a Lorenc za to pomagał mu w takich właśnie jak ta sytuacjach.

– O co chodzi z tą nawierzchnią biologicznie czynną? – Prawnik wskazał wzrokiem list, który Igor przed chwilą z wściekłością rzucił na biurko.

– Plan zagospodarowania przestrzennego określa dopuszczalną powierzchnię zabudowy oraz powierzchnię utwardzoną dla każdej działki. Reszta to musi być trawa. Nie dało rady zrobić tutaj parkingów z polbruku, bo zwyczajnie nie było już na nie miejsca. Można było zrobić tylko tak zwaną utwardzoną nawierzchnię biologicznie czynną, czyli właśnie te płyty. Zresztą to zarzut z dupy, ponieważ było to z nimi ustalane na spotkaniach.

– Tylko że nie na piśmie. – Prawnik parsknął. – A zawsze ci to powtarzam, wszystko ma być na piśmie.

Igor westchnął i wstał. Podszedł do okna i wyjrzał. Na dole przed budynkiem jakaś honda civic parkowała właśnie w poprzek dwóch miejsc postojowych.

– Wiesz, że to wszystko jest blef? – Lorenc sięgnął po pismo i rozprostował je na kolanach. – W rzeczywistości nie mogą sobie pozwolić na opóźnienie, bo urząd marszałkowski cofnie im fundusz wsparcia. Wystarczyłoby, żebym napisał, że nie zgadzamy się z zarzutami i kierujemy sprawę na drogę sądową.

– Oczywiście, że wiem. – Igor odwrócił się. Włożył ręce w kieszenie spodni i ponownie obszedł biurko dokoła. – Tylko że oni z kolei wiedzą, że ja nie mam siedemdziesięciu tysięcy na zapłacenie podatku do poniedziałku. Poza tym to wielka firma, mają, nie obraź się – skinął głową w kierunku kolegi – całą sforę prawników na smyczy. Sprawa sądowa niekoniecznie jest do wygrania. Mimo że, oczywiście, mamy rację.

Prawnik pokiwał głową.

– List to oczywiście formalność. To tylko makulatura dla sądu. Wczoraj rozmawiałem z ich pełnomocnikiem. Chcą się spotkać. Zapewne jeśli przystaniemy na ich warunki, to w poniedziałek kasa wpłynie na konto.

– Nie wiem, czy nie rzucę się na któregoś z tych sukinsynów z pięściami.

– W razie czego mam twoje pełnomocnictwo. Nie musisz się odzywać.

Bartosz Lorenc wstał i sięgnął po swoją torbę.

– Musisz podjąć jakąś decyzję. Daj mi odpowiedź do jutra.

*

Paulina oderwała wzrok od monitora i spojrzała na zegar. Dochodziła ósma. Ze zgrozą stwierdziła, że od pół godziny patrzy całkowicie bezproduktywnie na ten sam akapit swojego własnego tekstu. Miała go już po dziurki w nosie. Nie tylko nie zamierzała wprowadzać w nim żadnych zmian. Nie chciała już w ogóle zajmować się tym tematem. Przeczytała dziesiątki stron opisów nieprawdopodobnych okrucieństw, w porównaniu z którymi eksperymenty doktora Mengele były niewinnymi zabiegami. Szlag ją trafiał na myśl o tym, że Paweł nadal chce z tego cyklu zrobić sympatyczny, rozrywkowy przerywnik dla gospodyń domowych, które przeczytają go sobie pomiędzy herbatką a odebraniem dziecka z przedszkola. Ze złością przesunęła na bok wydruki artykułu, na których porobiła kilka skreśleń i poprawek, i sięgnęła po kubek z kawą.

Oczywiście nie musiała dokonywać psychoanalizy, żeby zdawać sobie sprawę, że to nie przykra konieczność poprawienia tekstu sprawia, że nie może się skupić i czuje się wyprowadzona z równowagi. Myślała przede wszystkim o dzisiejszym spotkaniu z prawnikami Koszuta i głównie to powodowało, że zbierało jej się na wymioty. Jak przed jakimś cholernym egzaminem.

Była na siebie zła, że całkowicie weszła w rolę ofiary, nie dość, że pobitej przez jakiegoś gówniarza, to jeszcze przerażonej, że musi się z nim skonfrontować. Odstawiła kubek i pochyliła się nad monitorem.

Po kolejnych dziesięciu minutach stwierdziła, że jednak z tego nic nie będzie i jeśli nie oderwie się od myśli o spotkaniu z prawnikami, to nie

napisze dzisiaj ani słowa.

Rozejrzała się po biurze i jej wzrok mimochodem zatrzymał się na torebce. Notes Kłosowskiego.

Sięgnęła na oparcie krzesła i po chwili leżał już przed nią, otwarty na stronie, na której znajdował się pierwszy z trzech tajemniczych symboli.

Małgorzata Howińska i dziwaczny rysunek przecinających się kresek oraz nanizanych na nie tu i ówdzie kółek. A dalej Marlena Ćwiek i Bogdana Gancarczyk. Trzy kobiety i trzy bohomazy.

Zamyślona, nie zauważyła, że stanął nad nią Piotr.

– No proszę – mruknął, patrząc z zaciekawieniem na czarne esy-floresy. – Widzę, że postanowiłaś zgłębić tematykę. Czyżby Paweł zlecił ci kontynuację cyklu o czarownicach?

– Słucham? – Paulina, zdezorientowana, podniosła wzrok i odruchowo zasłoniła ręką notes. – O czym ty mówisz?

– No o tym, co masz przed sobą. – Wskazał brodą jej biurko.

Paulina stwierdziła, że nadal nie wie, o co mu chodzi.

Piotruś zabawnie uniósł brwi, udając, że się przestraszył.

– Piotr. Przecież mam do napisania trzy, cztery artykuły. Jaką kontynuację?

– O tym mówię. – Chłopak pochylił się i postukał palcem w widoczny fragment notesu. – Zainteresowałaś się demonologią?

Paulina odsunęła rękę, spojrzała na stronę, z której wyzierał czarny namalowany mazakiem kształt i podniosła wzrok na Piotra. Co on plecie?

– Czym?

– Demonologią. – Piotruś spojrzał na nią z rozbawieniem. – No przecież chyba wiesz, co to jest, nie?

Paulina pochyliła się i, kompletnie zbita z tropu, wbiła wzrok w rysunek, który nagle stał się jeszcze bardziej tajemniczy. Demonologią? Jaką demonologią?

– Ty wiesz, co to jest? – spytała w końcu wciąż rozbawionego kolegę.

– A ty nie wiesz? To co to za notes? – przekrzywił głowę.

– Oj, nieważne. Mów!.

– Goecja. Pierwsza część *Lemegetonu*, najsłynniejszej księgi czarów. – Piotr przerwał i spojrzał na Paulinę podejrzliwie.

– Siedzisz nad tym rysunkiem i naprawdę nie wiesz, o co chodzi?

Paulina, nie starając się nawet ukryć zaskoczenia, otworzyła szeroko oczy.

– Księgi czarów!? To jest rysunek z jakiejś księgi czarów!?

Piotr potwierdził.

– Oczywiście. To symbol demona.

*

Rafał Borola wysiadł z windy i ruszył szerokim korytarzem do swojego biura. Miał w planach dwa ważne spotkania. Liczył, że na to ważniejsze jego asystentka zdołała go już umówić. Kazał jej dzwonić od samego rana, jak tylko pojawi się w pracy. Niestety, z tym cholernym dupkiem nie można było, jak z człowiekiem, po prostu zadzwonić i umówić się na obiad. Odkąd pan poseł został panem wiceprzewodniczącym, umawianie się z nim stało się rytuałem, prawie jak audiencja u jakiejś koronowanej głowy.

Drugie spotkanie, które miał w planach, dotyczyło Fleminga. Wprawdzie Fleming jeszcze o tym nic nie wiedział, ale Borola nie sądził, że będą jakiekolwiek problemy z ustaleniem godziny.

– Dzień dobry, panie Rafale. – Blondynka siedząca za wielkim biurkiem w holu jego biura uśmiechnęła się promiennie.

– Umówiłaś spotkanie z Budnym?

– Tak, jutro na jedenastą.

– Nie dało rady na dzisiaj?

– Niestety. – Blondynka zrobiła boleściwą minę. – Poza tym dzwonili do pana z nadzoru budowlanego w sprawie ogrodzenia terenu tego…

– Tak, tak. – Borola lekceważąco machnął ręką i otworzył drzwi swojego gabinetu. – Zadzwonię do nich potem. Zrób mi, kochanie, kawę.

*

W otwartej sali redakcji panował gwar. Jak prawie zawsze. Zewsząd słychać było rozmowy i przeciągające się debaty telefoniczne, cicho grało radio. Nad biurkiem Pauliny, która z reguły miała spory wkład w ogólny harmider panujący w redakcji, dla odmiany zapanowała cisza. Piotr stał oparty o blat i z uśmiechem, który prawie nigdy nie schodził mu z twarzy, wpatrywał się w osłupiałą Paulinę.

– Jeśli to są jakieś twoje żarty, to w ogóle nie są zabawne.

– Ja nie żartuję. – Piotruś się roześmiał i złapał za oparcie krzesła. Usiadł obok Pauliny i ciekawie zajrzał jej przez ramię. – To naprawdę jest symbol demona. Jest kilka starych grymuarów, w których znajdują się opisy demonów, a wśród nich najsłynniejszy jest właśnie *Lemegeton*, o którym ci wspomniałem. To co to jest za notes? Jakiś ciekawy temat znalazłaś?

– Grymuary?

– Tak, czyli starożytne księgi wiedzy tajemnej, księgi czarów.

– Boże. – Paulina z niedowierzaniem pokręciła głową, cały czas wpatrując się w symbol w notesie Kłosowskiego.

– A skąd ty właściwie tyle wiesz na ten temat? – Spojrzała podejrzliwie na Piotrusia.

– Mój były chłopak się tym pasjonował. Był strasznie pretensjonalny. – Piotr wzruszył ramionami. – Nawet nie wiesz, co ja z nim przeszedłem.

Wygiął usta w podkówkę i położył głowę na blacie w udawanej rozpaczy.

Paulina spojrzała na niego niecierpliwie, ale nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Piotr podniósł głowę i ponownie zajrzał jej przez ramię.

– To co to jest za notes w końcu?

– Ale nikomu masz nic nie mówić. – Paulina pomyślała, że postępuje właśnie jak licealistka.

– Rozpowiem wszystkim!

– Znaleźliśmy go w pewnym miejscu…

– Znaleźliśmy? Twoja wczorajsza tajemnicza noc…

– Albo słuchasz, albo nie mówię. – Paulina spojrzała groźnie na uśmiechającego się chłopaka. – Pewnie wszystko ma bardzo racjonalne

i przyziemne wytłumaczenie, ale tutaj są takie trzy znaki.

– Trzy?

– Tak, popatrz. – Przewróciła kartki, prezentując dwa kolejne symbole.

– Czekaj! – Piotr nagle spoważniał. – Gancarczyk? A czy to nie jest ta kobieta, o której w zeszłym roku pisali przez całe wakacje?

Paulina przytaknęła.

– Trzy kobiety i trzy symbole. Myślałam, że te rysunki nic nie znaczą, a teraz się okazuje, że to są symbole demonów i już w ogóle nie wiem, co o tym myśleć.

– Może ten ktoś, do kogo to należało… – Piotr popatrzył na Paulinę – interesował się okultyzmem? Duch zamordowanej kobiety i takie sprawy. Może odprawiali jakieś seanse spirytystyczne. Przywoływali jej ducha, żeby się dowiedzieć, kto ją zamordował. O ile wiem, to policja nie wyjaśniła tego do tej pory.

– Hmm… To brzmi w sumie całkiem logicznie.

Paulina zawiesiła wzrok w przestrzeni. Kłosowski, który mieszkał sam, na skraju wsi. Może rzeczywiście na starość zaczął się interesować takimi głupotami? No i walczący z tym bohatersko ksiądz też by tutaj pasował. Złe moce, mrok i chrześcijańska walka o duszę. To by się zgadzało. Tylko jak to się ma do tego, od czego wszystko się zaczęło? Do skarbu z Kamienia Pomorskiego, obrazów Rabenerów, protokołu przesłuchania sekretarza i tego dziwacznego zainteresowania Boroli domem na klifie?

Może w ogóle nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu wdepnęli w to coś niechcący.

– Jak się nazywała ta księga czarów?

– *Lemegeton*. Właśnie! – Piotr pokiwał głową. – Może demony przypisane do tych kobiet coś wyjaśnią? Każdy z siedemdziesięciu dwóch demonów miał inną moc i w inny sposób mógł służyć temu, kto go przywołał.

– A skąd mogę się dowiedzieć, które to demony?

– *Lemegeton* był tłumaczony na polski. Można go ściągnąć z netu. Tam są dokładne opisy każdego ducha i przy każdym jest jego pieczęć, czyli ten symbol. Chcąc przywołać konkretnego demona, o ile pamiętam, trzeba

odprawić bardzo skomplikowany rytuał, a ten symbol mieć przy sobie dla ochrony. W postaci pieczęci. Ze złota, srebra albo czegoś innego, w zależności od demona…

– Piotr! – Nad biurkiem Pauliny niespodziewanie stanęła Baśka. – A co wy tu knujecie? Ty wiesz, że masz dzisiaj skończyć tekst na nasz portal? O kursach walut.

– Wiem, wiem, nuda – jęknął Piotr zniechęcony. – Skończę dziś na pewno.

– No to już! – Baśka machnęła ręką w kierunku jego biurka. – Chodź, bo muszę jeszcze z tobą omówić zdjęcia, które tam damy.

Piotr wzniósł oczy do nieba i spojrzał na Paulinę porozumiewawczo.

Podniósł się z krzesła i słuchając z rezygnacją Baśki, poszedł za nią do swojego kąta. Paulina odprowadziła ich wzrokiem, po czym nachyliła się nad klawiaturą i wpisała w wyszukiwarkę tytuł księgi czarów.

*

Dorota właśnie mijała kolejne pokoje wydziału nieruchomości w urzędzie miejskim, gdy zadzwonił telefon. Szukała inspektorki, z którą dzień wcześniej rozmawiała na temat wypisów z rejestru gruntów, ale niestety nie zapisała sobie numeru pokoju. Zaczynała właśnie żałować, że sprawy formalne oraz różne dokumenty, które trzeba było załatwić, aby wystąpić o kolejne cholerne dokumenty i załatwić kolejne sprawy formalne, wzięła na siebie. Mogła powierzyć wszystko Igorowi. Zamiast latać po szczecińskich urzędach, mogłaby już dawno wrócić do Berlina. Poza tym Igor nie dał znaku życia, a miał jej zrobić jakąś wycenę.

Spojrzała na wyświetlacz. Sylwia.

– Pamiętasz takiego faceta, męża Beaty Dobrosielskiej, tej od Lemon Fitness Club?

Dorota podeszła do kolejnych drzwi i przeczytała nazwiska inspektorek. Nie było wśród nich tej wczorajszej Zarzyckiej czy Zarzeckiej.

– Pamiętam. I co z nim albo z nią?

– No właśnie, nie wiadomo. Dobrosielski był, wiesz, doradcą wojewody

do spraw infrastruktury, pamiętasz, nie?

– Tak, tak. – Dorota ruszyła dalej, ale następny pokój należał już do innego wydziału. Albo przegapiła, albo inspektorka rezydowała piętro wyżej lub piętro niżej. Cholera! Mogła zapytać na dole w informacji. Myślała, że jakoś sobie poradzi.

– On jest teraz wiceburmistrzem Szczecinka.

– Szczecinka?

– No, odszedł pół roku temu. Ale właśnie wczoraj był z wizytą u wojewody. Ewka mi powiedziała. Powiedziała też, że ludzie plotkują, że ta Dobrosielska uciekła.

– Uciekła?

– Nie ma jej już prawie od tygodnia. A ona miała jakieś kłopoty. Sprawa sądowa, kontrole. Ponoć mąż już zgłosił jej zaginięcie na policję.

Dorota pomyślała, że sprawa może i jest ciekawa, ale w żaden sposób nie mogła się domyślić, po co Sylwia jej o tym mówi.

– Ale ja nie z tym dzwonię. – Sylwia jakby czytała w jej myślach. – Mam dla ciebie dokumenty do złożenia wniosku o dofinansowanie. Mam też biznesplan porównywalnej inwestycji. Musisz to wszystko przejrzeć, a Igor niech się zdeklaruje, czy zdąży do czerwca z pozwoleniem na budowę. Przynajmniej z wystąpieniem, bo sprawdziłam i to wystarczy.

Dorota podziękowała koleżance i przeprosiła, że musi kończyć.

Stanęła właśnie przed właściwym pokojem.

*

Nazwa starożytnej sztuki magii – goecja według najwcześniejszych znanych grymuarów, czyli ksiąg magicznych, pochodzi od greckiego słowa *goeteia*, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy wycie, ale co należy rozumieć jako zawodzenie lub przywoływanie. Goecja miała być zatem znaną od czasów króla Salomona starożytną sztuką przywoływania demonów i czynienia ich sobie posłusznymi, chociaż najstarsze księgi czarów, w których została opisana, pochodzą dopiero z szesnastego wieku.

Sztuka goecji, *Ars Goetia*, znana jest przede wszystkim z najsłynniejszej

księgi magicznej, prawdziwej biblii wszelkich kabalistów i okultystów, mianowicie napisanego rzekomo przez samego Salomona sławnego dzieła *Clavicula Salomonis Regis*, czyli *Mniejszy Klucz Salomona*, w literaturze przedmiotu oraz potocznie nazywanego *Lemegeton*. Właśnie w pierwszej części tej księgi są imiona siedemdziesięciu dwóch demonów oraz opis dokładnych rytuałów ich przywoływania.

Paulina wpatrywała się w ogromną liczbę linków, pod którymi można było znaleźć opisy, cytaty lub całe fragmenty księgi *Lemegeton*. W polskim tłumaczeniu można ją było ściągnąć w całości, tak samo zresztą jak wiele innych grymuarów.

Oderwała wzrok od monitora i spojrzała w okno. Nigdy nie interesowała się okultyzmem, zawsze uważała, że to nudne i pretensjonalne. Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak wielką rzeszę entuzjastów mają te, wydawałoby się, zapomniane od stu lat zagadnienia. Księgi czarów w dalszym ciągu miały wielu wydawców i całe zastępy czytelników.

Lemegeton można było ściągnąć z jednego z pirackich serwerów, co w redakcji generalnie było oczywiście zabronione, ale Paulina usprawiedliwiła się tym, że praktycznie przecież zdobywa materiały do artykułu, a księgę usunie natychmiast, jak tylko ją przejrzy.

Po chwili na dolnej belce migotała już radośnie malutka ikonka, a kilobajty danych nieśpiesznie przelewały się ze wszechświata internetu na twardy dysk jej komputera.

Paulina oparła łokcie na blacie i, wpatrzona w symbol obok nazwiska Bogdany Gancarczyk, myślała o teorii Piotrusia.

Może Kłosowski z jakimiś sąsiadami czy znajomymi z nudów odprawiali seanse spirytystyczne i wywoływali duchy. Śmierć tej kobiety faktycznie była zagadkowa i pewnie cały Wolin żył tym wydarzeniem przez długie miesiące. Może rzeczywiście tą drogą szukali odpowiedzi na pytanie, kto ją zabił. Jeśli tak, to w kontekście rysunków Kłosowskiego pojawiają się wreszcie konkretne daty. Gancarczyk zaginęła jakoś pod koniec maja, a w czerwcu została znaleziona martwa. Ten ostatni rysunek w notatniku musiał więc powstać na miesiąc przed śmiercią Kłosowskiego. No i możliwe, że wyjaśnia to także plotki, które od razu rozeszły się po wsi po śmierci

księdza: o satanistach, uprawianiu czarów i tak dalej. Ktoś tam może coś wiedział, może któraś z kobiet pracujących dla Kłosowskiego albo gospodyni księdza coś podpatrzyły i rozniosły po wsi. Ale czy ksiądz brałby udział w seansach spirytystycznych?

No i pozostawała jeszcze jedna kwestia. Jeśli wywoływali ducha zamordowanej Bogdany Gancarczyk, to co z dwiema pozostałymi kobietami?

Czy one także nie żyły?

Ikona na dolnej belce zamrugała, informując o ściągnięciu całego pliku.

Paulina poruszyła myszką i po chwili na ekranie otworzyła się pierwsza strona księgi czarów.

Oto jest Pierwsza Księga Króla Salomona,

znana także jako Goetia

Opisane w księdze tej są wszystkie imiona, urzędy i rodzaje duchów, z którymi kiedykolwiek rozmawiał król Salomon. Znaleźć tu można także szczegółowe charaktery i pieczęci owych duchów oraz sposoby przywoływania ich do widzialnej postaci i pętania ich tak, aby były one posłuszne[29].

Paulina przesunęła kursorem pierwsze strony, zatrzymując się tylko na chwilę na definicji magii. Jako że była, bądź co bądź, racjonalną absolwentką uczelni technicznej, cudownie bezprzedmiotowa i niejednoznaczna definicja ujęła ją swoją absurdalnością. Pomyślała, że jeśli wierzyć Igorowi, to podobnie niejednoznaczne są pewnie tylko niektóre przepisy prawa budowlanego.

Magia to najwyższa, ostateczna i najbardziej święta wiedza o filozofii natury, poparta w swych dziełach i cudownych operacjach właściwym rozumieniem wewnętrznych i ukrytych właściwości rzeczy.

Dalej były opisy wstępnych rytuałów, jakie trzeba odprawić przed przywołaniem ducha, inwokacje do bogów i rozmaitych władców zaświatów i wreszcie, na kolejnej stronie, zaczynał się *Lemegeton* – pierwsza część „Księga złych duchów”.

Siedemdziesiąt dwa imiona demonów, upadłych aniołów i zjaw przywołanych wprost z piekieł. Obok imienia każdego z nich była okrągła pieczęć, wewnątrz której był symbol konkretnego demona. Pierwsze znaki były podobne do tych, które znalazły się w notesie Kłosowskiego, ale jednak inne. Paulina ominęła pierwsze imiona i nagle znalazła dokładnie taki sam znak jak jeden z tych w notesie. Siedziała przez chwilę wstrząśnięta i uważnie wpatrywała się w owalną pieczęć.

A więc to prawda! Złapała się na tym, że do ostatniej chwili jakimś fragmentem swojego racjonalnego umysłu wierzyła, że to wszystko okaże się jednak nieporozumieniem. Ale wychodziło na to, że rysunki w notesie Kłosowskiego i te znalezione u księdza to naprawdę symbole demonów.

Ten pierwszy był dziesiątym duchem goecji i nosił imię Buer.

*

Doktor nauk medycznych Jarema Nawrot, psychiatra i psychoterapeuta, za swoje główne miejsce pracy wciąż uważał Katedrę Psychiatrii na Pomorskim Uniwersytecie Medycznym, co nie przeszkadzało mu jednak w prowadzeniu prywatnej praktyki w swoim gabinecie, wygodnie zorganizowanym przy własnym domu na Pogodnie. Od dwóch lat pracował także w Zachodniopomorskim Instytucie Psychoterapii, skuszony oczywiście dodatkowymi zarobkami, ale także możliwością obserwacji określonego typu pacjentów, na których, jeśli można tak powiedzieć, nie mógł liczyć ani w szpitalu, ani tym bardziej w swoim gabinecie. Inną sprawą była skuteczność leczenia. Instytut działał w ramach NFZ i często trafiali tu pacjenci, którzy oczekiwali cudu, skutecznych pigułek, a przede wszystkim recept na leki antydepresyjne. Psychoterapię uważali za zbędną.

Pacjent, który właśnie siedział przed nim w fotelu, z nasuniętym na głowę kapturem dresowej bluzy, po raz pierwszy pojawił się u niego jakieś półtora roku temu. Twierdził, że ma depresje i stany lękowe, które dopadały go raz na kilka miesięcy, kiedy to stawał się niezdolny do jakiejkolwiek interakcji z otoczeniem i wyłączony z życia. Wiek mężczyzny, objawy i brak egzogennych przyczyn obniżenia nastroju, a zwłaszcza nawroty tego stanu, kazały się domyślać jakiejś formy zaburzeń depresyjnych. Gdyby można było skierować takiego pacjenta na psychoterapię albo przynajmniej

wymusić na nim regularne wizyty, obraz zaburzeń oczywiście byłby pełniejszy. Po półtoragodzinnej rozmowie Nawrot mógł jedynie podejrzewać u pacjenta zaburzenia afektywne jednobiegunowe lub tak zwaną osobowość z pogranicza zaburzeń schizofrenicznych i neurotycznych, czyli borderline. Wiedząc, że nie zdoła namówić pacjenta na psychoterapię, także z uwagi na jego rzekome częste wyjazdy i koczowniczy styl życia, zalecił mu kurację farmakologiczną za pomocą popularnych leków o charakterze inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny, czyli tak zwanych stabilizatorów nastroju.

Mężczyzna zgłosił się do niego ponownie po trzech miesiącach, bezpośrednio po głębokim epizodzie depresyjnym, w którym pojawiły się myśli samobójcze. Tym razem odsłonił się trochę bardziej. Niska samoocena, brak tożsamości, niezdefiniowane preferencje seksualne oraz podkreślane przez pacjenta uczucie nieopuszczającej go pustki emocjonalnej mogły świadczyć o poważniejszych, dwubiegunowych zaburzeniach psychicznych. Nawrot dodał do „stabilizatorów nastroju” małe dawki litu oraz działającą przeciwpsychotycznie olanzapinę.

Upłynęło znowu parę miesięcy i oto pacjent ponownie zjawił się w gabinecie.

Nawrot podniósł wzrok znad swoich notatek i spojrzał na mężczyznę. Pod kapturem widać było tylko jego błyszczące ciemne oczy, reszta twarzy kryła się w cieniu. Był bardzo szczupły, co przy jego wzroście, przekraczającym metr dziewięćdziesiąt, potęgowało efekt wymizerowania. Ale problemem było co innego.

Mężczyzna nie pamiętał wydarzeń prawie całego poprzedniego dnia i nocy.

*

Żeby przywołać demona, który zwał się Buer, należało przygotować jego pieczęć i mieć ją ze sobą podczas całego rytuału. Pieczęć winna być zrobiona z rtęci, a demona można było wzywać wyłącznie do zmroku. Duch pojawiał się w postaci strzelca na koniu, ale tylko wtedy, gdy Słońce znajdowało się w znaku Strzelca. Poza tym terminem ukazywał się jako przerażająca bestia z głową lwa i pięcioma koźlimi nogami.

Paulina wpatrywała się w skan starej księgi czarów i nie mogła uwierzyć,

że oto zajmuje się takimi bzdurami. Rozejrzała się dokoła. Ktoś rozmawiał właśnie przez telefon, ktoś nerwowo szukał czegoś na ekranie laptopa, ktoś wpatrywał się w tablet, inni pogrążeni w pracy usiłowali najwyraźniej pisać jakieś teksty do kolejnego numeru gazety.

Tymczasem ona czytała właśnie, jak wezwać demona. Do czego mógłby okazać się przydatny?

No właśnie…

Pochyliła się nad monitorem i ponownie zaczęła czytać.

Demon Buer potrafił pomagać w zagadnieniach dotyczących filozofii natury i moralności, ale tym, co pewnie wzbudzało największe pożądanie, była jego wiedza dotycząca właściwości ziół i roślin oraz moc przywracania zdrowia. Potrafił też zsyłać dobre duchy opiekuńcze. Dla tych jednak, którzy byli za słabi, by nad nim zapanować, lub nie stosowali się do zaleceń księgi czarów, mógł stać się niebezpieczny.

Paulina oderwała wzrok od monitora i sięgnęła po czystą kartkę.

Wyjęła z torby tablet, odszukała zdjęcie, które zrobiła na komisariacie w Międzyzdrojach, i położyła je obok siebie. Na kartce zapisała imię i nazwisko pierwszej kobiety z notatnika, a obok nazwę demona, którego wybrał dla niej Kłosowski.

Pochyliła się nad biurkiem i patrząc co chwila na następny rysunek w notesie, zaczęła przewijać ekran, na którym przesuwały się kolejne symbole demonów.

Pierwszym, który znalazła, był rysunek przypisany Bogdanie Gancarczyk. Demon nazywał się Caim i był pięćdziesiątym trzecim demonem w spisie *Lemegetonu*. Dziesięć pozycji dalej znalazł się także ostatni demon – Andras. Paulina zapisała na kartce nazwiska dwu kolejnych kobiet w spisie Kłosowskiego i spojrzała na swoje dzieło.

1. Małgorzata Howińska – Buer

2. Marlena Ćwiek – Andras

3. Bogdana Gancarczyk – Caim

Demon Andras pojawiał się wyłącznie w nocy, do świtu. Ukazywał się

w postaci anioła z głową puchacza, dosiadającego czarnego wilka. Jego zadaniem było wzniecanie kłótni i sprowadzanie nieszczęść na wrogów. Niewprawny adept sztuki goecji mógł jednak łatwo ściągnąć śmierć na siebie i swoich bliskich. Do rytuału niezbędna była zapewniająca bezpieczeństwo pieczęć, którą należało odlać ze srebra.

Demon Caim nigdy nie pojawiał się po zmroku. Przywołany przybierał postać czarnego ptaka lub człowieka w masce ptaka. Szukali u niego pomocy ci, którzy chcieli porozumieć się ze zwierzętami. Znał mowę ptaków, bydła i wszelkich innych stworzeń. Pieczęć zabezpieczającą należało wykonać z rtęci.

Paulina skończyła czytać i westchnęła. Czy to możliwe, że Kłosowski, biznesmen, kolekcjoner dzieł sztuki, facet mocno stąpający po ziemi, zajmował się takimi bredniami? Demony? Pojawiające się po zmroku? W postaci lwa z pięcioma koźlimi nogami?

Czyżby na starość aż tak zdziwaczał? Samotność? Może ktoś go w to wciągnął?

Zostawał jednak ksiądz. I kolejne cztery demony.

O tym nie pomyślała. Jeżeli rzeczywiście Kłosowski wywoływał z kimś duchy i urządzał seanse spirytystyczne w czerwcu, czyli tuż przed śmiercią, to kto się tym zajmował po nim? Może dopóki Kłosowski żył, spotykali się u niego, a potem przenieśli się gdzie indziej? Budny?

Przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń. Polityk wydawał się jeszcze bardziej racjonalny i jeszcze mocniej stojący na ziemi niż Kłosowski. Poza tym był którymś tam wiceprzewodniczącym tej swojej partii. Partii, której członkowie mocno wycierali sobie gęby wartościami chrześcijańskimi. Nie obawiałby się kompromitacji? Może to przed tym chciał go ostrzec ksiądz? Po pijaku bardzo mu się wszystko wyostrzyło. Chociaż, w świetle komentarzy, które Budny zamieszczał na Twitterze, jakakolwiek obawa o kompromitację chyba jednak była mu obca.

Ponownie spojrzała na ekran i przedzierając się przez tłum siedemdziesięciu dwóch demonów, znalazła symbole czterech pozostałych. Wyszła z założenia, że skoro policjant ułożył je na biurku w określonym porządku, to należało tę kolejność zachować. Chciała właśnie zanotować wszystkie, gdy jej wzrok ponownie zawisł w przestrzeni.

Tam były jeszcze daty!

Zapamiętała je przecież. Był jakiś prosty trick, który bardzo to ułatwił.

Zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć.

Czternasty! Oczywiście! Wszystkie daty to był czternasty dzień miesiąca. Wystarczyło zapamiętać miesiące. Po kolei – luty, kwiecień, czerwiec, sierpień, październik, grudzień i marzec. Marzec już tego roku. Pochyliła się nad kartką i spisała po kolei wszystkie zebrane do tej pory informacje.

Przez chwilę przyglądała się swojemu dziełu, a następnie dopisała jeszcze cztery znaki zapytania.

1. Buer (14 – luty) – Małgorzata Howińska

2. Andras (14 – kwiecień) – Marlena Ćwiek

3. Caim (14 – czerwiec) – Bogdana Gancarczyk

4. Bael (14 – sierpień) – ?

5. Berith (14 – październik) – ?

6. Sitri (14 – grudzień) – ?

7. Marbas (14 – marzec b.r.) – ?

Podniosła wzrok i spojrzała w kierunku biurka Pawła. Zajmuje się właśnie czarami, a artykuł, nomen omen, o cholernych czarownicach, leży odłogiem i potem będzie musiała go pisać w weekend. Koniec z tym!

Sięgnęła po tablet i zamknęła cały czas widoczne na ekranie zdjęcie siedmiu diabelskich pieczęci, a potem zatrzasnęła notes Kłosowskiego i wrzuciła go do swojej torby.

Przyczajony na ekranie komputera *Lemegeton* wrzuciła do katalogu podręcznego, a następnie spojrzała na zegar. Było piętnaście po dziesiątej. Na jedenastą miała być u Marty. Nie ma nawet mowy, żeby się teraz na czymś skupiła.

I nagle zamarła.

Czternasty był przecież przedwczoraj. We wtorek. Czternasty marca.

Czternastego zginął ksiądz Jakub.

Rozdział 23

Igor zasunął drzwi od swojego aneksu i przez chwilę obserwował kilka osób, które w głównym pomieszczeniu pracowni siedziały przy komputerach lub rozmawiały ze sobą, pochylone nad wydrukami projektów. Obawiał się, że w tym miesiącu nikt nie dostanie pensji. No, chyba że nastąpi jakiś cud. Przystanie na gangsterskie warunki szefostwa Practica Investment rozwiązałoby zaledwie problem podatku. Natomiast płatność całego honorarium, które najzwyczajniej w świecie po prostu im się należało, oddalała się w kompletnie nieokreśloną przyszłość.

Zacisnął pięści i podszedł do swojego biurka. Na monitorze smętnie prezentował się narysowany dzisiaj rano układ ścian parteru domu na klifie. Jeśli Borola dotrzyma ich półprzestępczej umowy i dzisiaj wpłaci mu z góry pieniądze za przekazanie inwentaryzacji, to i tak będzie to zaledwie jedna trzecia tego, co jest potrzebne. Swoich własnych pieniędzy miał kolejną jedną trzecią, a na koncie pracowni były raptem trzy lub cztery tysiące.

Mógłby jeszcze wybłagać u Boroli zaliczkę na projekt remontu dworu pod Troszynem, ale to byłoby możliwe, jeśli przekazałby pomiary domu na klifie, a co do tego wciąż miał wątpliwości i najchętniej by się z tego wycofał.

Był jeszcze remont willi Doroty, ale nie zdążył opracować projektu ani wysłać żadnej oferty. Dorota prawdopodobnie zgodziłaby się także na zaliczkę, ale na samą myśl o tym, że miałby prosić o coś takiego byłą żonę, robiło mu się niedobrze. Pozostawał Johann, choć perspektywa pożyczania od niego pieniędzy także była przykra.

Usiadł przed monitorem i odepchnął fotel od biurka. Pięć małych kółeczek potoczyło się cichutko po drewnianych panelach i wraz z osiemdziesięcioma kilogramami Igora z jazgotem zatrzymało się pod ścianą.

Borola, Dorota, Johann. Od nikogo nie chce brać pieniędzy, a ci, którzy powinni mu zapłacić, czyli przestępcy z Practica Investment, nic sobie z niego nie robią.

Westchnął i żeby oderwać myśli od ciągłego przeliczania w pamięci zasobów, których wcale od tego nie przybywało, spojrzał na drugi monitor. W równiutkich rządkach prezentowała się na nim galeria fotografii domu na klifie. Na samym końcu były natomiast zdjęcia, które zrobił w Dargobądziu, na górze zamkowej.

Godzinę temu umówił się z Borolą na obiad. Miał więc jeszcze trochę czasu na opracowanie jakiejś strategii. Zastanawiał się, czy zdoła wyciągnąć coś z Boroli. Po dwóch dniach spędzonych w domu na klifie był pewien, że Borola sporo przed nim ukrył.

Na przykład ta cała historia z Marthą Woźniakówną Krause, która rzekomo widziała, jak Niemcy przewożą skrzynie Hasso von Flemminga do dworu jego kuzyna. Jeżeli jej rodzina zatrzymała się w Lubinie, to przecież do dworu był kawał drogi. Jak mała dziewczynka miałaby potem odwiedzić ten dwór ponownie? Zaraz…

Igor poczuł, jak nurt jego myśli wpadł na jakąś rafę. Co dokładnie powiedział Borola?

…Jako malutka dziewczynka jechała z ojcem tą kawalkadą wozów z Benic… Po wydarzeniach na moście w Troszynie widziała, jak żołnierze z posterunku kazali Flemmingowi odtransportować dwa wozy do dworu. Zaklinała się, że widziała ten dwór potem. Rosjanie wywozili z niego ciężarówkami zachowane wyposażenie. Zapamiętała kartusz herbowy ze stojącym na tylnych łapach wilkiem.…

Igor miał wrażenie, że coś mu tutaj nie gra, coś mu umyka. To coś było tuż na granicy świadomości.

Dlaczego akurat teraz zaczął o tym myśleć? Idzie na obiad z Borolą?

Zagryzł wargi i z niechęcią spojrzał w kierunku szklanej ściany, zza której dobiegał hałas codziennej krzątaniny w pracowni. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na monitorze…

Igor znieruchomiał. Po plecach przebiegły mu ciarki.

Zamek Duchów!

*

Paulina, która od dłuższej chwili nieruchomo wpatrywała się w przestrzeń, nie od razu zauważyła, że Piotr daje jej jakieś znaki ze swojego kąta. Spojrzała w jego kierunku. Wzniósł oczy do nieba i bezgłośnie samymi wargami powiedział „nareszcie”. Wysłała mu pytające spojrzenie, a żeby jeszcze podkreślić jego wymowę, kiwnęła głową.

Wskazał oczami swój monitor i skinął na nią ręką.

Paulina westchnęła, podniosła się i ruszyła przez salę do najmniejszego, przeznaczonego dla stażystów biurka, które jakiś czas temu upchnięto w kącie redakcji.

– Co jest? Nie możesz do mnie podejść jak człowiek?

– Baśka mnie pilnuje to raz, a dwa, musisz coś zobaczyć. – Wskazał brodą swój monitor.

– Co to jest?

Na ekranie widać było mniej lub bardziej niewyraźnie zdjęcia jakichś ludzi i krótkie notki na ich temat.

– Pamiętasz, jak mi poradziłaś, żebym przejrzał spisy osób zaginionych na Pomorzu w ostatnich miesiącach? Przy okazji tych zwłok z jeziora?

Paulina przytaknęła i zaczęła czytać jedną z notek.

– Jak mi pokazałaś te nazwiska ze swojego tajemniczego notesu, to coś mnie tknęło. I zobacz. – Przesunął kursorem listę na ekranie.

Na nieostrym zdjęciu widać było kobietę ubraną w żółtą bluzkę. Farbowane na zjadliwie rudy kolor włosy miała upięte w kok. Podpis pod dostarczoną prawdopodobnie z domowego archiwum fotografią głosił, że jest to Małgorzata Howińska, chociaż Paulina od razu ją poznała.

– Zaginęła w lutym zeszłego roku. Pięćdziesiąt osiem lat. Pielęgniarka i położna, pracowała w jakimś gminnym ośrodku zdrowia. Piątego lutego wyszła z domu i od tej pory ślad po niej zaginął. – Piotr przeczytał krótką notatkę i przewinął kursorem ekran niżej.

Tym razem lepsza jakościowo fotografia ukazywała kolejną kobietę. Tlenioną blondynkę z ogromnym, wypełniającym prawie cały dół zdjęcia biustem i zaczerwienioną czerstwą twarzą.

– Marlena Ćwiek, pięćdziesiąt cztery lata. Z Trzebiatowa. Zaginęła

dokładnie ósmego kwietnia.

Piotr odwrócił się i spojrzał na Paulinę.

– Nieźle, co?

Paulina wpatrywała się w ekran. Miała mętlik w głowie. Dwie kobiety, które do tej pory były tylko nazwiskami w notesie, postaciami wręcz symbolicznymi, teraz zmaterializowały się do postaci konkretnych zaginionych kobiet, po których od roku zapewne rozpaczały rodziny.

– Co to jest za notes? Skąd ty go wzięłaś? – Piotr patrzył na nią z nieukrywaną ciekawością.

Na dobrą sprawę wszystko potwierdzało ostatnią teorię na temat Kłosowskiego i seansów spirytystycznych. Możliwe, że te kobiety były w jakiś sposób związane z samym Kłosowskim albo z innym uczestnikiem domniemanych sabatów. Być może w ten sposób szukali odpowiedzi na pytanie, co się z nimi stało. Albo – jak w przypadku Gancarczyk – kto jest odpowiedzialny za ich śmierć.

– Halo! – Piotr pomachał ręką przed twarzą Pauliny.

– Tych rysunków było w sumie siedem – powiedziała do siebie, odrywając się od swoich myśli.

– Siedem? Pokazałaś mi tylko trzy.

Paulina sięgnęła po telefon, odszukała galerię i pokazała Piotrowi zdjęcie z komisariatu w Międzyzdrojach.

– Wow, nieźle. – Piotr przekrzywił głowę. – Czekaj, a to nie jest jakiś komisariat?

– A skąd ci to przyszło do głowy?

– Jestem spostrzegawczy. – Piotr uśmiechnął się i wskazał palcem fragment granatowej koszuli dzielnicowego.

– Czekaj. – Paulina szybko podeszła do swojego biurka i wyciągnęła z torby kartkę, na której zapisała efekt swoich poszukiwań.

– Popatrz. – Położyła ją przed Piotrem. – Tak to się układa.

Spojrzała na zegar na monitorze. Dochodziła jedenasta.

– Cholera! Spóźnię się! – Odwróciła się gwałtownie.

– Jakieś drobniutkie wyjaśnienie? Drobniuteńkie?

– Jak wrócę, to obiecuję, że pogadamy.

– Zostaw mi tę kartkę. Pogrzebię trochę w necie.

Paulina kiwnęła głową.

Rzuciła się do swojego biurka, chwyciła torbę, tablet i biegiem wypadła z redakcji.

*

Zaburzenia dysocjacyjne oznaczają rozdzielenie pewnych, na pozór nierozłącznych, funkcji, a więc pamięci i świadomości. Dotknięta nimi osoba nie potrafi sobie przypomnieć zdarzeń, które rozegrały się w ostatnim czasie, doznaje swoistego rodzaju amnezji lub amnezji połączonej z ucieczką. Wsiada do samochodu czy pociągu i udaje się w bardzo niekiedy odległe miejsca, kompletnie tego nie pamiętając. Zaburzenie to dotyka przede wszystkim osób, które mają za sobą jakieś gwałtowne traumatyczne przeżycie, katastrofę, kataklizm. Wyszły cało z tragedii, ale nie zapisały w pamięci ani jednego kadru. Bywa, że dysocjacja jest odpowiedzialna za rozszczepienie osobowości, kreując tak zwaną osobowość mnogą, której najlepszy obraz stworzył Alfred Hitchcock w *Psychozie*.

Zaburzeniami dysocjacyjnymi psychiatria tłumaczy także wszelkie przypadki opętań.

*

Nawrot myślał o tym wszystkim, słuchając niskiego zachrypniętego głosu ukrywającego się pod kapturem mężczyzny. Rzekomo obudził się wczoraj około południa i nie pamiętał niczego, co działo się w ciągu ostatniej doby.

Nawrota zastanawiało pewne przypuszczenie. Istnieje coś, co niektórzy pacjenci nazywają „małym samobójstwem”. Pokruszone tabletki zdobywanego często na czarnym rynku zolpidemu, silnego, ale krótko działającego leku nasennego, wciągane jak kokaina, wywołują podobne efekty. Narkotyczne wizje, utratę świadomości i bardzo często czarne dziury w pamięci.

*

Kancelaria znajdowała się w starym monumentalnym budynku ze ścianami z czerwonej cegły licowej i kunsztownym detalem z ceramicznych kształtek. Budynek niedawno został pieczołowicie odnowiony i był częścią zespołu gmachów Technoparku Pomerania, obiektów zarządzanych przez spółkę zajmującą się wynajmem biur, konsultingiem oraz programami wsparcia i rozwoju przedsiębiorstw i projektów współfinansowanych przez Unię Europejską. Gmach leżał przy szerokiej ulicy, zacienionej latem przez wysoko sklepione buki. Po jej drugiej stronie ciągnął się Ogród Dendrologiczny imienia Stefana Kownasa, dawny Cmentarz Niemierzyński, który w latach siedemdziesiątych wyrównano spychaczami, a nagrobki Niemców oraz pierwszych polskich osadników wywieziono na gruz lub zamieniono w płyty chodnikowe.

Od blisko czterdziestu minut Paulina słuchała instrukcji i porad Marty, przerywanych plotkami ze świata ich wspólnych znajomych. To ostatnie miało ją oczywiście odstresować i Paulina musiała przyznać, że technika była dość skuteczna. Do przyjścia pełnomocników Koszuta zostało jeszcze piętnaście minut, a ona, dzięki Marcie, zdołała nabrać pewności siebie. Korzystając z chwili, gdy koleżanka wypełniała jakieś wnioski i formularze, spojrzała w okno i pozwoliła sobie na chwilę luzu. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to że przecież Mateusz powinien być z nią tutaj. Strofując się w myślach za użalanie się nad sobą, westchnęła, poprosiła Martę o klucz i ruszyła do łazienki, żeby poprawić włosy i makijaż.

Korytarze budynku przywodziły na myśl klasztor. Wysokie, nakryte sklepieniami krzyżowymi i beczkowymi, poprzecinane oszklonymi ściankami, wydzielającymi poszczególne części budynku. Przy wysokich wychodzących na ulicę oknach stał oparty o parapet, mocno zbudowany i przysadzisty, ogolony na łyso mężczyzna. Spod czarnej marynarki wystawała mu koszulka z wielkim barwnym nadrukiem. Gdy na końcu korytarza otworzyły się drzwi, drgnął i wyjrzał.

– To ona? – spytał stojącego obok chłopaka, młodszej wersji siebie sprzed dwudziestu lat. Chłopak kiwnął głową.

Towarzyszyli im trzej młodzi mężczyźni w ciemnych marynarkach.

– Muszę się odpryskać. Póki nie ma Dulęby. – Łysy mężczyzna drgnął i oderwał się od kamiennego parapetu. – Idziesz ze mną? – Skinął w stronę jednego z mężczyzn.

– Potrzebujesz towarzystwa, Marian? – Młodzieniec w okularach nerwowo parsknął śmiechem.

– Nie pierdol; chodź ze mną.

– Tylko nie narób kłopotów, ojciec – syknął za nim Szymon Koszut i spojrzał w głąb korytarza.

– Ja mam nie narobić kłopotów? Ty już lepiej nie otwieraj pyska, młody.

Dwaj mężczyźni ruszyli korytarzem w stronę znajdujących się na końcu schodów.

Paulina położyła torebkę na szerokiej kamiennej obudowie umywalki i spojrzała w lustro. Generalnie wszystko było w porządku, nic nie trzeba było poprawiać. Po prostu chciała się przejść i rozprostować nogi. Potarła policzki opuszkami palców. Niewielkie cienie pod oczami, efekt częstej pracy do północy i porannych kaw, zamaskowała fluidem. Kiedy ostatnio miała czas na to, żeby pójść do kosmetyczki? Jakiś peeling albo mikrodermabrazja zdecydowanie by się przydały. Ciekawe, jak często Gwen korzysta z takich usług. Jej cera jest perfekcyjna.

Na korytarzu usłyszała kroki i po chwili ktoś szarpnął za klamkę. Pomyślała, że zostawiła tam kluczyk. Łazienka była dla najemców. Miała nadzieję, że nie będzie musiała teraz czekać, aż ktoś stąd wyjdzie, żeby móc zamknąć.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł ubrany w czarną marynarkę mężczyzna.

– To damska toaleta. – Paulina uśmiechnęła się do niego. – Męska jest piętro wyżej.

– Wiem, gdzie jest męska toaleta. – Facet stanął w przejściu pomiędzy łazienką a przedsionkiem i spojrzał na nią bez sympatii.

– Obraziłaś naszego kapelana. Obraziłaś także mojego syna, a jak cię syn

upomniał, to nagle dostałaś bólu dupy, co?

Paulina poczuła, że uśmiech na jej twarzy tężeje w jakimś grymasie. Teraz dopiero zauważyła, że facet kogoś jej przypomina.

– Dawniej wiedziano, co robić z takimi zdzirami jak ty, co nie szanują narodu! Wydaje wam się, że wszystko wam wolno. Te bezkarne bluzgi, nawoływanie do zabijania dzieci nienarodzonych, te marsze lesb, prostytutek i szmat. A jak ktoś powie, co o tym myśli, to darcie mordy i sądy!

– Proszę mnie przepuścić! – Paulina odzyskała głos.

– Powinno ci się wsadzić łeb pod kran i spłukać zimną wodą. – Mężczyzna zarechotał. – Może byś otrzeźwiała z tej lewackiej propagandy.

– Odsuń się! – syknęła przez zaciśnięte zęby Paulina i zrobiła krok w stronę przejścia.

Mężczyzna zatarasował jej drogę i uśmiechnął się mściwie.

– Kobietom należy się szacunek, ale nie takim, co maszerują pod cudzymi domami, wrzeszcząc o swoich cipach i macicach.

Paulina, wyprowadzona z równowagi, z całej siły spoliczkowała mężczyznę.

Nie czekając na jego reakcję, ruszyła i chciała przejść obok, ale ku jej zdziwieniu facet odwrócił się gwałtownie i złapał ją za ramię.

Nawet nie miała kiedy się przestraszyć. Ani jeszcze bardziej wkurzyć. Była po prostu zdziwiona. Że znalazła się w takiej sytuacji i że to w ogóle możliwe.

Marian Koszut wykręcił jej rękę i przycisnął ją do ściany.

– Posłuchaj – syknął, nachylając się do jej ucha. – Moi prawnicy dadzą ci propozycję nie do odrzucenia. Lepiej bierz, co ci dają, i odpieprz się od mojego syna, bo cię zniszczę!

Przez chwilę czuła, jak miażdży jej ramię, po czym ucisk zelżał. Mężczyzna odepchnął ją. Miała zamknięte oczy, więc usłyszała tylko, że wychodzi na korytarz.

Z trzaskiem zamknęły się za nim drzwi.

*

Igor odsunął na bok plik wydruków, umożliwiając kelnerowi postawienie na stole talerza z gorącą pizzą. Mimo utyskiwania Boroli, że mają tyle świetnych dań w karcie, a on zamawia jakąś pizzę, to było właśnie to, na co miał ochotę. Wegetariańska, na cienkim kruchym spodzie. Chodziła za nim od kilku dni.

Zatopił zęby w aromatycznym cieście i rzucił dyskretne spojrzenie w kierunku Boroli. Czekając na obiad, wymienili kilka grzecznościowych zdań: co słychać, jak idzie praca i tak dalej. Rozmowę na temat pomiarów domu na klifie zostawili sobie na deser. Igorowi to pasowało, bo zyskał jeszcze trochę czasu na zastanowienie się. Do tej pory nie podjął ostatecznej decyzji, co robić, chociaż po wstępnej analizie pomiarów miał już raczej pewność, że nigdzie w budynku nie ma żadnych zamurowanych przestrzeni. A przynajmniej takich, które można by rozpoznać na tym etapie. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że jak zacznie konstruować przekroje, to wyjdzie na jaw, że na przykład jakiś strop jest podejrzanie gruby. Tradycyjny drewniany strop zwykle ma jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu centymetrów grubości. Wszelkie odstępstwa od tych ram budziły podejrzenia. Najczęściej chodziło o jakieś naprawy i dodatkowe podbitki, ale czasem w stropach znajdowano ukryte między belkami pudła, kufry czy zawinięte w rulony stare gazety lub mapy. Czy naprawdę Borola liczył na to, że Kłosowski ukrył gdzieś w ten sposób jakieś cenne, pozyskane nie do końca legalnie dzieła sztuki, o których nie wiedziała jego córka?

Wydawało mu się to jakieś naiwne.

No i była jeszcze kwestia Marthy Krause. Po co Borola wcisnął mu bajeczkę o tym, że Martha mieszkała w domu na klifie? Żeby co? Żeby ukryć prawdziwe powody zainteresowania tym domem, a więc te rzekomo ukryte przez Kłosowskiego fanty? W ogóle trzeba zacząć od tego, że Borola nie zdradził mu nawet, że dom należał do Kłosowskiego – jego osobistego znajomego i jednocześnie znanego kolekcjonera.

Czy Borola robił coś całkiem po omacku i na oślep, czy realizował jakiś przemyślany plan? Najgorsze było to, że akurat w jego przypadku zarówno jedno, jak i drugie było równie prawdopodobne.

Przypomniało mu się nagle, że opowiadając o Marysi Woźniakównie alias pani Krause i jej ojcu, użył słów „Trwało to prawie cztery miesiące, ale udało

nam się namierzyć tego Woźniaka”.

Nam? Czyli komu? Czy Borola z kimś współpracował?

Jeśli poszukiwania kamieńskiego skarbu są tylko zasłoną dymną dla jakichś machlojek, to przekazanie Boroli planów domu na klifie oznaczałoby współudział.

*

Paulina miała wrażenie, że wszystko dociera do niej jak zza szklanej przegrody. Marta i dwaj pełnomocnicy Koszuta wymieniali się formułkami prawnymi i numerami paragrafów, cytowali coś i czasem podnosili głos. Koszut junior siedział z arogancką miną, uśmiechał się ironicznie i rzucał jej szydercze spojrzenia. Właściwie cały czas patrzyła w blat biurka lub w papiery, które leżały przed nią i Martą. Wstydziła się podnosić wzrok, żeby nie zobaczyć twarzy ojca Koszuta, który wraz z dwoma młodymi mężczyznami w garniturach siedział przy drugim końcu długiego stołu. Za szklaną ścianą co chwila ktoś przechodził, rzucając zaciekawione spojrzenie do wnętrza. Marta wynajmowała biuro wraz z trzema innymi prawnikami, a jego częścią była wspólna salka konferencyjna.

Nie czuła się jakoś zastraszona, może na razie, ani specjalnie przerażona. Pewnie jeszcze to do niej nie dotarło. Ale było jej wstyd. To ją najbardziej zdziwiło. Czy tak właśnie czują się ofiary przemocy? Skąd miała to wiedzieć, nigdy nie była w takiej sytuacji.

– Naderwanie mięśnia gruszkowatego w stawie biodrowym i uszkodzenie nerwu kulszowego to według pana drobne urazy?

– Czy mi się wydaje, pani mecenas, czy ekspertyzy nie robił przypadkiem osobisty przyjaciel ojca pani Weber? – Dulęba patrzył na Martę z grzecznym uśmiechem.

– Czy to przypadkiem nie panów kancelaria prowadziła sprawę włamania do sklepu na Pogodnie, w którą był osobiście zaangażowany pan Koszut?

– Panu Koszutowi nie postawiono wtedy żadnych zarzutów. Rozumiem, że nie będzie pani miała nic przeciwko powtórzeniu obdukcji?

– Oczywiście, że będę. Jak pan zauważył, minął tydzień od tej bohaterskiej walki wręcz, w której pan Koszut ryzykował życiem i honorem.

– To zupełnie zbyteczna złośliwość.

Paulina ponownie przestała słuchać. Wpatrywała się w stół z taką intensywnością, że zaczęły jej się zacierać przed oczami rzeczywiste zarysy przedmiotów. Niczego bardziej nie chciała, jak wyjść stąd i wrócić do swojego życia. Miała wrażenie, że to spotkanie wyrwało ją z bezpiecznych ram codzienności. Nie chciała z nikim walczyć. Marzyła tylko o jednym: żeby nigdy w życiu nie oglądać już twarzy Szymona Koszuta ani jego ojca.

– My absolutnie nie popieramy przemocy wobec kobiet. Kobieta ma do spełnienia świętą rolę matki i szacunek do niej to obowiązek każdego…

Paulina kątem zauważyła, że przemawiał właśnie jeden z wygarniturowanych towarzyszy Koszuta.

– Bardzo przepraszam. – Marta przerwała i uśmiechnęła się. – „Płonie ognisko i szumią knieje” będziecie panowie śpiewać sobie później…

Paulina po raz pierwszy od początku spotkania uśmiechnęła się w duchu. Marta miała nad innymi naturalną przewagę. Wygląd przeuroczej, przesłodkiej młodej mamy. Z leciutką nadwagą i łagodnym uśmiechem. Łatwo było jej nie docenić. Nie dawała się zapędzać w kozi róg nie dlatego, że wbrew pozorom była taka drapieżna czy bezwzględna. Po prostu starała się jak najlepiej wykonywać swoją robotę. I nie peszyli jej faceci w garniturach. W żadnej liczbie. Miała czterech starszych braci.

– Bardzo przepraszam, pani mecenas, ale takie żarty z naszych klientów…

– Bardzo przepraszam, panie mecenasie, ale ja naprawdę nie mam czasu. – Marta spojrzała na zegarek. – To spotkanie zostało zaaranżowane przez panów, jeśli więc mają panowie jakąś konkretną propozycję, to słucham.

*

Borola wytarł usta serwetką i z pieczołowitością odłożył ją na brzeg talerza. Bacznie obserwujący ich stolik kelner natychmiast znalazł się za jego plecami i zaczął zbierać ze stołu puste naczynia.

– Czy podać coś jeszcze? – Chłopak uśmiechnął się usłużnie.

– Masz na coś ochotę? – Borola zrobił zachęcający gest ręką, wskazując kartę.

Igor grzecznie podziękował. Cała pizza to było i tak za dużo.

– Dobra! – Borola sięgnął po tablet i spojrzał na Igora zachęcająco. – To mów! Jak ci poszły pomiary?

Igor wziął głęboki oddech.

– Marysia Woźniakówna, która rzekomo miała tam mieszkać, to oczywiście kłamstwo, nie?

Borola zrobił minę, jakby się przez chwilę zastanawiał, co ma powiedzieć.

– Zaraz kłamstwo – mruknął. – Taki tam skrót myślowy.

– Skrót myślowy. – Igor parsknął.

– Mieszkała na Wolinie. Powiedziałem, że w tym domu, żeby nadmiernie nie komplikować.

Igor sięgnął po szklankę z sokiem grejpfrutowym i schował się za nią na moment. Przez chwilę się wahał, czy powiedzieć Boroli o swoim odkryciu. Chociaż w tym kontekście słowo odkrycie raczej nie było szczególnie fortunne. Aż dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślał. Przecież to było takie oczywiste. No ale właśnie rzeczy oczywiste bardzo często ukrywają się przed wzrokiem postronnych.

– Zamek Duchów – powiedział, odstawiając szklankę na stół.

– Co takiego? – Borola spojrzał na niego zdezorientowany – Jaki zamek duchów?

– Tak przedwojenni mieszkańcy Wolina nazywali zamek w Dargobądziu. Właściciele, rodzina von Hiller, nie mieszkali tam już od końca pierwszej wojny. Zamek stał zamknięty na cztery spusty, a w okolicy krążyły o nim rozmaite legendy.

– A co to ma wspólnego z Marysią Woźniak?

– Gdzie ona tak naprawdę mieszkała?

Borola spojrzał na Igora bykiem.

– Hmm. W Dargobądziu właśnie. Nawet podała numer domu. Zaraz za skrzyżowaniem, na drodze w kierunku Mokrzycy Wielkiej.

– No właśnie! – Igor pokiwał głową. – Powiedziała, że widziała, jak Niemcy kazali Flemmingowi odtransportować wozy do dworu. A potem widziała, jak rosyjskie ciężarówki wywożą z niego całe wyposażenie.

Podobno na froncie budynku był herb Flemmingów. Wilk.

– No tak! – Borola wzruszył ramionami. – Dokładnie taki herb jest nad drzwiami dworu pod Troszynem.

– Otóż nie taki. Od razu wszystko byłoby jasne, gdybym to sprawdził. – Igor sięgnął po tablet i po chwili położył go na stole i odwrócił w kierunku Boroli.

– To jest herb Flemmingów!

– No zgadza się. – Borola przytaknął. – Martha Krause dokładnie go opisała. Herb z wilkiem stojącym na tylnych łapach.

– Wilk stojący na tylnych łapach, w przednich łapach trzymający klejnot. – Igor sięgnął po tablet i wydobył z galerii kolejną grafikę.

– W Dargobądziu stał średniowieczny zamek. W czasie tych dwóch miesięcy roku czterdziestego piątego, kiedy Wolin bronił się przed stojącymi za Dziwną Rosjanami, był tu sztab Drugiego Fortecznego Pułku Alarmowego Artylerii Przeciwlotniczej Marynarki Wojennej w Międzyzdrojach. We wsi,

niedaleko zamku, znajdował się punkt opatrunkowy, przez który przewijały się setki uchodźców z całego Pomorza. Dargobądź leżał dokładnie na drodze ich przemarszu.

Borola słuchał Igora w milczeniu, ale dopiero gdy spojrzał na grafikę, którą Igor właśnie podetknął mu pod nos, szeroko otworzył oczy.

– Do tego zamku Niemcy zwozili dzieła sztuki z całej wyspy. Z rozmaitych muzeów i prywatnych galerii. Zamek miał podobno rozległe głębokie podziemia, gdzie już wcześniej ukryto mnóstwo zbiorów przed nalotami. Zwożono tam także dobra ze zbombardowanych na drodze wozów.

– To herb właścicieli? – Borola podniósł wzrok na Igora.

– Nie inaczej. Znajdował się na froncie zamku, w kartuszu. Wilk stojący na tylnych łapach.

– Herb rodu von Apenburg. Zamek należał do nich od średniowiecza. I to ten herb widziała Marysia Woźniakówna.

Borola w milczeniu wpatrywał się w czarno-białą grafikę.

– To w tym zamku po wojnie KGB szukało Bursztynowej Komnaty – powiedział cicho, nie podnosząc głowy.

– Wszyscy szukali tam już wszystkiego. Niemcy przed opuszczeniem wyspy wysadzili zamek w powietrze. Po wojnie rzesze ludzi przekopywały park i grzebały w gruzach. Tam już nic nie ma. Sama Woźniakówna opowiedziała przecież, że widziała, jak Rosjanie wywożą wyposażenie ciężarówkami. Pewnie po wysadzeniu jeszcze sporo można było tam odnaleźć.

– A obrazy Rabenerów? Przecież skądś się wzięły.

– Obrazy Rabenerów najprawdopodobniej były wśród rzeczy, które zostały w kościele w Benicach. Tych, których nie zdążył zabrać ten cały Serb Kostka. Dwa kufry z zabytkowym wyposażeniem katedry, po które nikt nie wrócił…

– To fantastyczna historia! – Borola podniósł wzrok i Igor zobaczył, że świecą mu się oczy.

Pomyślał, że jego klient jest jednak całkowicie nieprzewidywalny. Właśnie zrujnował jego koncepcję poszukiwania skarbów w dopiero co kupionym dworze, a on wpada w zachwyt.

– Fantastyczna? Myślałem, że będziesz rozczarowany.

– W kontekście knajpy i szlaku poszukiwania skarbu z Kamienia Pomorskiego to świetna sprawa. Nawiążemy współpracę z gminą, wytyczymy jakiś szlak turystyczny, gdzieś się zrobi punkt gastronomiczny. Ognisko i tak dalej. No i do tego chciałem jeszcze mieć ten dom na klifie. Dawniej myślałem, że uda mi się wciągnąć w to Kłosowskiego, ale jego córka sama nie wie, czego chce.

– Przecież dom na klifie nie ma nic wspólnego z tym całym skarbem!

– Poszukiwania skarbu poszukiwaniami skarbu, a interesy to interesy. – Borola wzruszył ramionami.

Igor w ostatniej chwili złapał wysoką szklankę z sokiem, którą bawił się od niechcenia i którą właśnie o mały włos przewróciłby na stół. Pomyślał, że odciąganie uwagi Boroli od inwentaryzacji domu na klifie nie mogło trwać wiecznie.

– Wracając do domu w Lubinie…

– No właśnie… Jak ci w końcu poszły te pomiary?

Borola spojrzał na Igora nieodgadnionym wzrokiem. Zresztą możliwe, że Igorowi tak się tylko wydawało.

– W porządku – stwierdził ostrożnie. – Skończyliśmy. Teraz muszę to wszystko narysować.

– Umowa to umowa. Pieniądze mogę dać ci nawet dzisiaj. Jak poczekasz chwilę, to ktoś skoczy po kasę…

– Nie możesz po prostu przelać?

Borola postukał się palcem w czoło.

– Zwariowałeś?

Igorowi w tym momencie przypomniały się wszystkie plotki, które krążyły o jego kliencie. W ich świetle słowa „umowa to umowa” zabrzmiały jakoś złowrogo.

– Przyjrzę się temu przez weekend i dam ci znać. Do poniedziałku, powiedzmy.

– Okay, jak chcesz.

Rozdział 24

Krygier stał nad stołem i wpatrywał się w to, co na nim leżało. Był tutaj już tak wiele razy i tak wiele razy oglądał rzeczy, od których widoku wywracały się wnętrzności, że już mało co było w stanie nim wstrząsnąć. Rany zadane nożem, siekierą, młotem. Pogruchotane kości twarzy, ciała otwarte jak puszki sardynek, gnijące. W zasadzie widział chyba już wszystko. Korpus, który leżał na stole, odwinięty z brezentowych worków, rozplątany z łańcuchów i sznurów, nie przypomniał nawet ciała. Wyglądał bardziej jak pozostałości jakiejś dziwnej formy życia, znalezione w kosmosie lub zamrożone w lodzie. Zupełnie jak te zmutowane resztki nie wiadomo czego w słynnym horrorze *Coś*[30].

– Wszelkie możliwe uszkodzenia. – Lekarz w zielonym fartuchu i białej maseczce na twarzy odwrócił się i spojrzał na Krygiera. – Podobnie jak w przypadku tej prostytutki.

– Tamto ciało nie było spalone.

Lekarz pokiwał głową.

– To jest dużo starsze. Bardzo długo leżało w wodzie. Rok na pewno. Wiele rozmaitych uszkodzeń mechanicznych, obtarć, uderzeń. Będzie ciężko…

Krygier wiedział, że identyfikacja może w ogóle nie będzie możliwa. Pod wpływem ognia wszelkie blizny, tatuaże, brodawki stają się niewidoczne. Ciało ulega zmniejszeniu, traci proporcje. W najgorszym wypadku trudno określić nawet płeć. Udaje się to zrobić tylko podczas sekcji. W takich sytuacjach najwięcej mówi uzębienie – braki, plomby, mosty. Nawet spalone dostarcza wiele informacji. Plomby z amalgamatu znikają bez śladu z powodu wyparowania rtęci, szkliwo oddziela się od zębów, a potem ulega spopieleniu, staje się szare i kruche. Mosty i plomby wykonane ze złota, cementu czy porcelany pozostają jednak nietknięte.

Problem w tym, że zwłoki nie miały głowy.

*

Paulina stanęła przed szklanymi drzwiami redakcji i stwierdziła, że chyba nie jest w stanie wejść między ludzi. Patrzyła, jak w głównej sali jej koledzy i koleżanki uwijają się przy swoich monitorach, rozmawiają, śmieją się i wszystko to nagle wydało jej się strasznie odległe. Tak jakby ktoś siłą zepchnął ją z głównego nurtu życia na jakieś bagniste nabrzeże, na mieliznę. Stałaby tak pewnie jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem by zawróciła, wsiadła do samochodu i uciekła do domu, gdyby nie Piotr.

Wstał właśnie od biurka i ruszył w kierunku socjalnego kąta, chyba żeby sobie zrobić herbatę. Zauważył ją. Uśmiechnął się i zaczął do niej gwałtownie machać, wskazując ruchem głowy swój monitor.

Głęboko odetchnęła, szybko policzyła do dziesięciu, pchnęła drzwi i weszła.

Piotr rozłożył przed nią plik wydruków oraz kartkę papieru, na której zrobił jakiś spis osób i dat. Patrzyła na to wszystko, usiłując wykrzesać z siebie jakiekolwiek zainteresowanie.

– Kojarzysz te zadania takie… – Piotr spojrzał na nią zaaferowanym wzrokiem.

– Jakie? – spytała odruchowo, nie czekając, aż skończy.

– Takie z testów na inteligencję. Wiesz – pomachał ręką – masz trójkąt, koło, kwadrat; trójkąt, koło, co następne? Albo jeden, dwa, pięć, trzy, cztery; jaka będzie kolejna cyfra…

Paulina pokiwała głową.

– Jeśli podejść do tego twojego spisu siedmiu symboli w ten sposób, to jest najbardziej prawdopodobne, że cztery pozostałe demony także dotyczą zaginionych kobiet. Proste.

– Teoretycznie…

– Jako że znamy daty, można spróbować dopasować do tego schematu inne zaginione kobiety.

– Ale Gancarczyk została znaleziona. Zamordowano ją. Możliwe więc, że te kobiety, jeśli w ogóle chodzi o kobiety, też już nie figurują w spisach osób zaginionych.

– Dlatego przejrzałem również stare numery gazet i portali, szukając wszystkich zamordowanych mniej więcej w tym czasie kobiet.

Paulina pochyliła się nad kartką, na której Piotr wypisał listę nazwisk.

Siedem nazwisk. Siedem kobiet. Możliwe, że także pobitych i zamordowanych, jak Gancarczyk. Wzdrygnęła się. Przypomniały jej się słowa z jakiegoś filmu, a może była to książka. W relacjach seksualnych mężczyźni najbardziej boją się tego, że zostaną ośmieszeni, a kobiety tego, że zginą. Kto to powiedział?

– Słuchasz? – Piotr odwrócił się i spojrzał na nią z urazą.

– Słucham.

– Trzy pierwsze pieczęcie demonów to luty, kwiecień i czerwiec. Zawsze czternasty dzień miesiąca. Zobacz, że daty zaginięcia każdej z tych trzech kobiet za każdym razem są o tydzień, dwa wcześniejsze.

Paulina spojrzała na zestawienie Piotra.

– Małgorzata Howińska zaginęła piątego lutego, Ćwiek ósmego kwietnia. Gancarczyk zniknęła trzydziestego pierwszego maja, a znaleziono ją dwudziestego czerwca.

Paulina odgarnęła włosy z twarzy.

– Co zatem oznacza czternasty?

– Według zasad sztuki goecji – Piotr sięgnął po mysz i otworzył skan księgi czarów – demony można przywoływać tylko w określone dni miesiąca, tylko w dni parzyste do czternastego. Czternasty dzień miesiąca jest ostatnim możliwym terminem.

– A potem co?

– Potem staje się to niebezpieczne. Demon może ci się nie podporządkować i przejąć nad tobą kontrolę.

Piotr przerwał i spojrzał na Paulinę

– Jeśli zatem twoi znajomi wywoływali ducha Gancarczyk czternastego…

– To nie moi znajomi.

– Ktokolwiek. W każdym razie, nie mogli wiedzieć, że została zamordowana.

– To niewiele zmienia. Wzywali przecież demony, żeby się dowiedzieć, co się z nią stało.

– No właśnie, to nie jest takie oczywiste…

Paulina się zamyśliła.

– Co nie jest oczywiste?

– Wzywanie demonów w tym kontekście. Boże, nie wiedziałem, że ta wiedza kiedykolwiek mi się do czegoś przyda. – Piotr pokręcił głową. – Jeśli chcieliby się dowiedzieć, co się stało z tymi kobietami, to przecież wystarczyłby tylko jeden demon, najlepiej zorientowany w tych zagadnieniach. Po co do każdej baby wzywaliby innego?

Paulina zmyśliła się. Faktycznie, po co!

Zdała sobie sprawę, że dzięki tej rozmowie poczuła się lepiej.

– Wracając do tych pozostałych demonów… – Piotr przesunął w kierunku Pauliny leżącą przed nim kartkę. – To są nazwiska kobiet, które mniej więcej pasują czasowo do tych kolejnych czternastek.

Wskazał palcem pierwsze dwa nazwiska na liście.

– Czternasty sierpnia, demon Bael. Sprawdziłem wszystkie przypadki zaginięć i morderstw w ciągu miesiąca przed tą datą. Dwie kobiety. Pierwsza to staruszka ze Stargardu, która wyszła z domu na mszę szóstego sierpnia. Ją akurat odnaleziono prawie dwa miesiące później. W bardzo złym stanie trafiła do szpitala. Ofiara alzheimera. Druga to Monika Frątczak ze Słupska. Zaginęła piątego sierpnia. Do tej pory nie została odnaleziona.

– Jest jeszcze kwestia odległości. – Paulina otworzyła w przeglądarce mapę Pomorza. – Pierwsze trzy kobiety pochodzą z okolic Wolina…

– Ci twoi znajomi są z Wolina?

– To nie są moi znajomi, mówiłam ci już. Tak. Więc teoretycznie mogli znać te kobiety. Słupsk to już trochę za daleko.

– Kimkolwiek są dla ciebie, ty jesteś ze Szczecina. Też daleko – stwierdził Piotr.

Paulina wzruszyła ramionami.

– Dobra, dalej. – Piotr wskazał ręką następne nazwisko. – Kolejny demon Berith i październik. Wytypowałem trzy osoby. Pierwsza to Eliza Kot zamordowana dwudziestego września koło Wałcza. Sporo o tym pisali. Zabił ją jej chłopak i ukrył zwłoki. Znaleziono ją dopiero w listopadzie. Druga to Weronika Król, samotna wróżbiarka i żebraczka z Marianowa. Zaginęła drugiego października. Trzecia to kobieta aż ze Skwierzyny za Gorzowem. Beata Lipińska. Wyszła z domu pierwszego października.

– Tę Kot możemy chyba skreślić. – Paulina postukała palcem w kartkę. – Pamiętam, że chłopak był podejrzany właściwie od pierwszej chwili. Codziennie coś o nim pisali w prasie. Nikt nie musiał wywoływać duchów, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Okay. – Piotr wziął mazak i skreślił jedno z nazwisk. – Zostaje grudzień. Demon Sitri. I dwie kobiety. Już o nich mówiliśmy przy okazji sprawy ze zwłokami z Dąbia. Andżelika Kurska, która zaginęła pod koniec grudnia. Dokładnie nie wiadomo kiedy. Często nie wracała na noc. Dorabiała jako prostytutka przy szosie do Świnoujścia. Rodzina zaalarmowała policję dopiero po kilku dniach, gdy nie pojawiła się w domu. Czwartego stycznia. A druga zaginiona to Hanna Kruk, staruszka z Łobza. Wyszła z domu przed sylwestrem. Do tej pory nieodnaleziona.

Paulina podniosła wzrok.

– A marzec? Jeszcze jeden demon. Marbas.

– No właśnie. – Piotr pokiwał głową.

Paulina spojrzała na niego, nie rozumiejąc. I nagle uświadomiła sobie, co miał na myśli.

– Nie ma nikogo zaginionego ani w marcu, ani w lutym.

*

Dywersyfikacja to rzekomo podstawa prowadzenia interesów. W założeniu oczywiście. Z definicji jest to różnicowanie źródeł dochodu w celu zmniejszenia ryzyka w prowadzeniu działalności gospodarczej. Dla Boroli od wielu lat było to wręcz motto życiowe, dlatego też swoje zainteresowanie tajemniczymi, niewyjaśnionymi sprawami Cezarego także oparł na tej strategii. Gdy rzucone przez Kłosowskiego w rozmowie

telefonicznej zdanie „I dobrze zrobiłem, że to ukryłem, bo ta kanalia nie daje za wygraną” już na dobre zagościło w jego głowie, siłą rzeczy zainteresował się tym, kogo dotyczyło. Budnego znał z dawnych czasów. Z okresu, kiedy wiceprzewodniczący był jeszcze nikim. W zasadzie, według Boroli, w każdym znaczeniu tego słowa. I mimo że kariera polityczna w jego partii wyniosła go dość wysoko, generalnie Borola nadal miał o nim takie samo zdanie. Niemniej Budny, wbrew swoim dyżurnym poglądom na temat wyprzedaży majątku narodowego byłej nomenklaturze, sam, w mgliście nieokreślony sposób, stał się posiadaczem wielkiego kawałka terenu w Lubinie. Z dawnym parkiem i ruinami pałacu. A tuż obok rozciągał się przecież, należący obecnie do jakiejś tam firmy czy syndyka, teren dawnej cementowni. Ogromne morze ruin wprawdzie, ale za to położonych w przepięknym, doskonale skomunikowanym miejscu, z zaciszną, potencjalnie urokliwą mariną.

*

Igor postawił na środku stołu naczynie żaroodporne i zapalił pod nim świeczki. Otworzył czerwone wino i zaczął je powoli rozlewać do wielkich pękatych kieliszków.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego powiedziałeś to Boroli. – Johann, z założonymi na piersiach rękami, patrzył na Igora naburmuszony.

– A co to zmienia? – Igor odstawił butelkę na stół i usiadł w fotelu.

– Jak to co zmienia? Z tego, co mówiłeś, rozumiem, że on ma środki, żeby uruchomić tam jakieś poszukiwania.

– I co mu z tego przyjdzie? W tym zamku od końca wojny szukano już wszystkiego, z Bursztynową Komnatą włącznie. Nie wiadomo wprawdzie, czy przypadkiem KBW rzeczywiście czegoś nie znalazło, ale tego już się nie dowiemy.

– Pauliny nie będzie? – Gwen sięgnęła po kieliszek z winem i rzuciła Igorowi pytające spojrzenie.

– Kolacja z Mateuszem. Wysłała mi wiadomość.

Igor podniósł kieliszek do oczu, poruszał nim i popatrzył na stół przez pryzmat w kolorze burgunda.

Gwen i Johann wymienili się spojrzeniami.

– Czyli to znaczy, że co? – Dermot spojrzał na Igora. – Że ta cała Krause widziała, jak hrabia von Flemming i jego towarzysze odprowadzają wozy do tego właśnie zamku? Więc z tych trzech domniemanych lokalizacji, które pokutują we wszystkich artykułach, jednak to ten zamek jest najbardziej podejrzany.

– Podejrzany o co? – Igor oparł się wygodnie i wypił łyk wina. – O to, że tam ukryto skarbiec z katedry kamieńskiej?

Dermot przytaknął.

– No przecież od początku o to chodziło.

– Jak już mówiłem, uważam, że prawdziwe, najcenniejsze skarby z katedry kamieńskiej wyjechały z Pomorza wcześniej. Na Wolinie zostało ewentualnie tylko to, co wlókł ze sobą Flemming. Po wojnie znalazły się zaledwie resztki, które zostały w kościele w Benicach. W tym obrazy Rabenerów. Żadnego skarbu już nie ma.

– A list Kuchty? A ta relacja świadków z protokołu przesłuchania sekretarza?

– Przesłuchanie było w kontekście poszukiwań Bursztynowej Komnaty. – Igor odstawił kieliszek i spojrzał na przyjaciół. – Popatrzcie, teraz wszystko ułożyło się w całość.

Przez chwilę patrzył w przestrzeń nad stołem.

– Piątego marca nocą kawalkada wozów wyjeżdża z pałacu w Benicach. Hasso von Flemming jedzie konno, kilku świadków potwierdza, że widzieli, jak przed Wolinem, niedaleko Troszyna, odłącza się i jedzie rzekomo na posterunek policji, żeby załatwić zgodę na przejazd. Woźniak, woźnica jednego z wozów, zeznaje potem, że spotykają po drodze pewnego pracownika z majątku Flemmingów, Serba, który traktorem wiezie tak zwane świętości do Wolina. O wymijającym kawalkadę wozów traktorze opowiada, niezależnie od siebie, kilku innych świadków. Według Woźniaka, traktor wracał potem do Benic po resztę skarbów.

Igor rozejrzał się po twarzach przyjaciół. Słuchali w skupieniu.

– Córka Woźniaka Martha Krause widzi później, że wozy są odprowadzane do jakiegoś dworu. Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż wiele

innych źródeł podaje, że dobra ze zniszczonych zaprzęgów były zwożone przez Niemców do zamku w Dargobądziu, który leżał na drodze przemarszu uciekinierów. Zamek zostaje wysadzony w powietrze przez niemiecką załogę, ale przedtem Niemcy wywożą wszystko, co dało się zabrać. Nie wierzę, że nie zabrano albo że gdzieś nie zakopano przedmiotów tak cennych jak te, które eskortował Flemming.

Johann kiwał głową, jakby porządkował w myślach fakty.

– To co w końcu widziała ta Martha Krause po zajęciu Wolina przez Sowietów?

Igor się zamyślił.

– Może widziała, jak wywożą mniej cenne rzeczy. Pewnie jakieś dobra zwiezione do zamku z okolicznych majątków. Obrazy, srebrne zastawy stołowe, kolekcje broni i tak dalej. To wszystko zostało przecież także w Benicach. Ludzie latami znajdowali zakopane w okolicznych lasach przedmioty z pałacu Flemmingów.

– Jest jeszcze była pracownica z zamku. Twierdziła, że była tam szczególnie cenna kolekcja dokumentów, którą ukryto na jakimś świętym wzgórzu.

Igor przytaknął.

– To mogło być to samo, o czym pisał Kuchta. On też uważał, że mogły tam być jakieś ważne dokumenty. Ale to tylko potwierdza, że nie chodziło o skarb kamieński. W nim nie było żadnych archiwaliów, starodruków ani innych tego typu rzeczy.

– I czegoś takiego szukałby ten twój Borola? – Johann uśmiechnął się z politowaniem.

– Boroli nie mogę rozgryźć. Nie wiem, o co chodzi z tym domem.

– À propos. – Johann spojrzał na Igora oskarżycielsko. – Przyjąłeś od niego pieniądze?

Igor westchnął.

– Jeszcze nie. Odłożyłem to do poniedziałku.

*

Zrujnowana przystań w Lubinie, z pokancerowanymi betonowymi nabrzeżami i wrakami starych budynków przemysłowych stojących nad basenem jak nad grobem upadłej infrastruktury, paradoksalnie ma status portu morskiego. Port jest administrowany przez Urząd Morski w Szczecinie, który, jako terenowy organ administracji, podlega z kolei Ministrowi Gospodarski Morskiej i Żeglugi Śródlądowej.

Gdy po pamiętnej wizycie u Cezarego Borola zainteresował się Budnym, szybko zdał sobie sprawę, że ten ostatni ma jakieś swoje plany, o których realizację bardzo zabiega. Poszukiwanie danych wśród zaprzyjaźnionych urzędników oraz zakulisowe informacje dały mu w końcu pełny obraz tego, co zamierzał Budny. Który, notabene, w rzeczonym ministerstwie miał obecnie ogromne wpływy.

Interes był bardzo przyszłościowy. Zanim jednak zacząłby przynosić jakiekolwiek dochody, trzeba było włożyć w niego mnóstwo pracy, starań, a przede wszystkim pieniędzy. Ale Borola zawsze miał instynkt i potrafił z ogromnym wyprzedzeniem wyczuć koniunkturę. Doskonale wiedział, że Budny nie ma nawet tyle, żeby rozpocząć tę inwestycję, więc od razu stało się jasne, że jako miejscowy polityk szykuje komuś grunt. Oczywiście dla niego także miało to być intratne. Co stało na przeszkodzie, żeby wykroić kawałek tortu również dla siebie? Albo wręcz zgarnąć cały tort. Nic nie stało na przeszkodzie. Bardzo szybko zdobył komplet niezbędnych informacji o obecnych właścicielach cementowni i przyległych terenów, błyskawicznie zrobił wstępne analizy finansowe i wypunktował wszystkie problemy i trudności, jakie ktoś ewentualnie mógłby im stwarzać.

I złożył Budnemu ofertę. Wraz ze swoją wizją. I listą ewentualnych wspólników.

Wśród których było kilku znanych w regionie deweloperów.

Jako wspólnika Borola widział także Cezarego, chociaż to, jak się szybko okazało, nie była łatwa sprawa. Kłosowski wcale nie musiał zapalić się do tej koncepcji. Poza tym Cezary i Budny byli jak woda i ogień. Współpraca z nimi jednocześnie, o czym Borola wiedział od początku, byłaby stąpaniem po kruchym lodzie. Dopóki więc temat nie wyszedł poza sferę planowania, i z jednym, i z drugim rozmawiał oddzielnie. O tym, że Budny kopie jakieś dołki pod Kłosowskim, dowiedział się dość szybko. Jeszcze przed pamiętną

wizytą u Cezarego, kiedy usłyszał, że Budny czegoś szuka. Budny, podpytywany o to, stwierdził, że stary ma jakieś obsesje i zaczyna wpadać w paranoję.

Borola długo się nad tym zastanawiał. Czy to możliwe, że zainteresowanie domem Kłosowskiego, które wykazywał Budny, rzeczywiście mogło mieć inny, o wiele bardziej przyziemny, podtekst? Współpracę z Budnym Borola tymczasowo trzymał więc przed Kłosowskim w tajemnicy, mając nadzieję, że później jakoś się wszystko ułoży.

Tylko że tymczasem Cezary umarł.

*

Paulina wyszła z redakcji około szesnastej. Miała po drodze kilka spraw do załatwienia, a na dwudziestą umówiła się na kolację z Mateuszem. Gdy około osiemnastej dotarła do domu, czuła, jak w głowie huczy jej wodospad, a serce w dalszym ciągu wali, jakby przed chwilą ktoś ją śmiertelnie przestraszył. Wtuliła twarz w miękkie futro beztrosko zadowolonego z jej powrotu Maksa i usiadła przy stole w kuchni. Za oknem właśnie zapaliły się latarnie i zaciszna uliczka na Pogodnie z mokrej marcowej sceny z dramatu zamieniła się w kadr z filmu Disneya. I zadzwonił telefon.

– Kochanie, czy możemy przełożyć nasze spotkanie o godzinę? Jeszcze nie wyszedłem z pracy. Przeglądanie dokumentów i ta cała papierologia to koszmar.

Paulina sama chętnie przełożyłaby ich spotkanie nawet o dwie godziny. Mimo to i tak oczywiście poczuła się urażona. Wiedziała, że to absolutnie irracjonalne i nie chciała dać tego po sobie poznać.

– Ja też jestem strasznie zmęczona. Miałam sporo spraw do załatwienia. Jeżeli masz tak dużo pracy, to, wiesz, możemy w ogóle przełożyć kolację. Na przykład na jutro.

Jak tylko to powiedziała, od razu uprzytomniła sobie, że popełniła błąd. Zapomniała, że jutro rano Mateusz musi wyjechać.

– O co chodzi? Jesteś zła?

Ton jego głosu nie wróżył nic dobrego.

– Nie jestem. – Westchnęła do słuchawki. – Przepraszam, zapomniałam,

że jutro wyjeżdżasz. Miałam dzisiaj bardzo zły dzień.

– Nie chcesz mnie widzieć?

– Oczywiście, że chcę. Mówię tylko, że miałam zły dzień. W ogóle to muszę ci opowiedzieć…

– Wiesz, że przyjechałem tutaj raptem na kilka dni, tak? W przyszłym tygodniu wyjeżdżam, a ty sprawiasz wrażenie, jakbyś miała mnie w dupie.

– Mateusz. Wczoraj spędziliśmy przecież fajny wieczór.

To też nie było za mądre. Naprawdę była zmęczona.

– I co? Uważasz, że powinienem być szczęśliwy? Bo udzieliłaś mi audiencji?

– Nie to miałam na myśli.

– Słuchaj. Powinniśmy chyba porozmawiać…

Słowa, które, niezależnie od okoliczności, wywołują atak paniki, mdłości i głośne walenie serca.

– Mateusz – rzekła dobitnie. – Zanim powiesz coś głupiego… Jestem w domu. Zaraz wezmę kąpiel i przygotuję kolację. Czekam na ciebie.

– Myślałem, że wpadniesz do mnie. Skoczylibyśmy na Stare Miasto.

Chryste…

Chwila ciszy.

– Dobra, to ja skończę tę robotę i odezwę się do ciebie, jak już będę wolny, okay? I wtedy pomyślimy, co robimy.

– Super. Czekam.

– Pa pa, kochanie.

– Do zobaczenia.

*

Dermot zjadł ostatnie kawałki grillowanych warzyw i odsunął talerz.

– Bardzo smaczne. – Spojrzał na Igora z uznaniem.

– Dermot, ja wiem, do czego ty zmierzasz. – Gwen uśmiechnęła się ironicznie. – Czekasz, aż cię specjalnie poprosimy o relację z tego

dzisiejszego spotkania

– A, właśnie! Skoro koniecznie chcecie wiedzieć, to opowiem.

– Nie jestem pewien, czy rzeczywiście chcę wiedzieć, jak się to odbyło. – Igor westchnął i rozlał wszystkim ostatnie krople czerwonego wina.

– Ja nie wiem, po co w ogóle było to wszystko!? – Dermot pokręcił głową. – Ten tłumacz z Warszawy, z kancelarii, która reprezentuje nas w Polsce, to chyba nawet połowy nam nie przetłumaczył.

– Ze wstydu pewnie – mruknął Igor.

– W każdym razie, zaczęło się obiecująco. Jeden z radnych omówił prawie całą powojenną historię stoczni, rozwodząc się na temat dawnych sukcesów oraz heroizmu obecnej władzy, która chce przywrócić jej świetność. Potem jakaś radna zaczęła wrzeszczeć na temat wyprzedaży majątku narodowego i tego, że wasz prezydent to przestępca i że to się nadaje do prokuratury.

– Niech zgadnę. – Igor westchnął ciężko, przypominając sobie motto wyborcze radnej. – Wściekła na bezprawie i niesprawiedliwość?

– Co? – Dermot spojrzał na niego zdezorientowany.

– Nic. Wyprzedaży? Jakiej wyprzedaży? Przecież niczego nie chcemy kupować.

– Nie mam pojęcia, o co jej chodziło. – Dermot sięgnął po kieliszek z winem. – Godzina bezsensownego gadania, która do niczego nas nie zbliżyła ani o centymetr.

– A dlaczego właściwie nasza sprawa tam trafiła? – spytał Johann. – Wojewoda ani prezydent nie mogli podjąć sami jakiejś decyzji?

– Większość tamtych terenów to własność albo skarbu państwa, albo gminy, a obecnie, z tego, co zrozumiałem, to jest jakaś tragedia i spory kompetencyjne. Wojewoda jest z jednej partii, a prezydent z innej.

– No i co teraz?

– Nic. – Dermot wzruszył ramionami. – W poniedziałek wraca stryj i będziemy rozmawiać dalej.

– Sądzę, że on ma rację. – Johann wskazał głową Igora. – Nic z tego nie będzie.

– Nie kracz!

– Powinniście mieć jakiś plan B.

– Uwielbiam, jak dyrektorzy kreatywni do spraw reklamy udzielają mi porad prawnych.

– W takim razie udzielę wam darmowej porady jako architekt. – Igor podniósł kieliszek do góry. – Lepiej zostawmy ten temat do poniedziałku.

*

Paulina wypiła do końca kieliszek wina i sięgnęła po butelkę. Drugi kieliszek to jeszcze nie alkoholizm. Czuła wręcz fizyczną ulgę. Ciepło, które rozlewało się we wnętrzu, rozszerzając naczynia krwionośne i powodując, że krew przepływa szybciej, już jej lekko zakręciło w głowie. Stres, który jeszcze chwilę wcześniej ściskał czaszkę i klatkę piersiową żelazną obręczą, właśnie powoli luzował swoje narzędzia tortur. Zawsze uważała się za dość odporną psychicznie, ale, jak widać, jej ciało miało na ten temat własne zdanie. Uświadomiła sobie, że podczas rozmowy z Mateuszem, jeszcze zanim wykonała woltę i wpadła w stare koleiny wyrzutów i wzajemnych oskarżeń, podświadomie dążyła do tego, żeby się z nim dzisiaj nie spotykać. Oczywiście mógł mieć o to pretensję. W końcu w przyszłym tygodniu rzeczywiście już wyjeżdżał, a spędzali ze sobą tak niewiele czasu, no i weekend także musiał odpaść, bo Mateusz w sobotę rano jechał do tej jakiejś cholernej fabryki pod Poznań. Powinna mu powiedzieć o tym wydarzeniu w kiblu u Marty. Komukolwiek zresztą, a przede wszystkim właśnie Marcie, swojej prawniczce. Ale czuła się tak upokorzona, że nie miała na to siły. A może powinna powiedzieć przede wszystkim Mateuszowi? Co by zrobił? Co w ogóle można zrobić w takim przypadku? Przez moment nawet przemknęło jej to przez głowę, ale powstrzymała się, uznała bowiem, że powiedziałaby mu to po tym, jak się znowu pokłócili. Chodziło nawet nie o to, że jego łatwa do przewidzenia reakcja i wściekłość na Koszuta pchnęłaby tę rozmowę w jakimś nieobliczalnym kierunku. W kłótni, w której padały zawsze te same argumenty i te same oskarżenia wisiały w powietrzu, użyłaby tego, co się stało, jako jakiegoś emocjonalnego szantażu. Pewnie wyskoczyłby z pracy i zaraz przyjechał, byłby uprzedzająco miły, pytałby ją dziesiątki razy – co w końcu doprowadziłoby ją do pasji – czy nic jej nie jest i starałby się być najlepszym partnerem pod słońcem.

Tymczasem stare nieporozumienia znowu pochowałyby się w ciemnych kątach, by wyskoczyć znienacka w zupełnie niespodziewanym momencie. Właściwie te dwie lampki wina to doskonały sposób, żeby dzisiejszy wieczór nie okazał się katastrofą.

Odstawiła kieliszek i sięgnęła po laptopa. Czas pozamykać mroczne myśli w klatkach i zająć się tym cholernym artykułem o czarownicach.

*

Borolę nadal zajmowały poszukiwania skarbów, na których ślad, jak sądził, natknął się u Cezarego. Zawsze pasjonował się okresem drugiej wojny światowej, a teraz w dodatku mógł to płynnie połączyć z interesami. Kampania reklamowa dla dworu w Troszynie, koncentrująca się wokół skarbu kamieńskiego, z każdym dniem wydawała mu się coraz lepszym pomysłem. Generalnie mogła świetnie zadziałać także przy projekcie w Lubinie.

Ale nagle pojawiło się Sedinum Exploration, tajemniczy Anglicy chcący prowadzić jakieś poszukiwania, i to zdecydowanie zmieniło postać rzeczy. Zwłaszcza że jeden z poszukiwaczy miał takie samo nazwisko jak Hasso von Flemming, ojciec legendy o zaginionym skarbie kamieńskim. W dodatku firma analizowała polskie przepisy dotyczące obrotu bursztynem, co już w ogóle było podejrzane. Ich związki z Budnym były niejasne. Wiedział, że wojewoda co najmniej raz rozmawiał z nim osobiście na temat Sedinum Exploration. Był też raz czy dwa u Budnego w Lubinie. Jednak Boroli nie udało się od nikogo niczego więcej dowiedzieć. Sprawa była objęta tajemnicą i Borola nic nie mógł na to poradzić.

Ale poszukiwania skarbów poszukiwaniami, a projekt związany z Lubinem, którego przepychaniem przez lokalne struktury zajmował się Budny, to było zupełnie co innego.

I w pewnym momencie Borola zaczął podejrzewać, czy przypadkiem cała ta historia nie jest przykrywką dla ściągnięcia do Lubina zachodnich inwestorów, którzy zgarnęliby mu interes sprzed nosa.

*

Paulina otworzyła katalog ze spisem linków do rozmaitych stron, na których znalazła historie pomorskich czarownic. Trochę tego było. Cały materiał przeczytała już parokrotnie, teraz jednak musiała w końcu jakoś go zsyntetyzować, wybrać najciekawsze opowieści i napisać te dwa, trzy artykuły. I wreszcie będzie koniec. Na biurku przed nią leżały jeszcze dwie książki, z których także zamierzała coś zacytować.

Większość historii pochodziła z akt książęcego Sądu Nadwornego w Szczecinie i Archiwum Książąt Szczecińskich. Akta można było obejrzeć w oryginale na mikrofilmach, ale, po pierwsze, dostępne były tylko w pracowni naukowej Archiwum Państwowego, gdzie musiałaby się specjalnie wybrać, tłumaczyć, robić notatki albo zdjęcia – mnóstwo zachodu, a po drugie, nie pisała przecież pracy doktorskiej, tylko artykuł w „nieprzesadnie poważnym tonie”.

Spojrzała na telefon. Oczywiście czekała na jakąś wiadomość od Mateusza. Tonizującą ostatnią rozmowę. Komórka leżała jednak na stole i nie wydawała z siebie żadnego dźwięku.

Paulina była zła… Technologia. Telefon stał się demiurgiem. Od niego zależy spokój ducha lub huśtawka emocjonalna, bo bez przerwy wypatruje się nowej wiadomości albo nasłuchuje dzwonka.

Przekartkowała jedną z książek, omijając opisy kontekstu społecznego, sytuacji geopolitycznej oraz roli Kościoła i otworzyła w końcu rozdział z listą i opisem prześladowanych za czary kobiet. Pomyślała, że powinna skupić się przede wszystkim na Szczecinie, w końcu tutaj wychodzi „Dziennik”. Do tego trzeba dołożyć ewentualnie najbardziej spektakularne przypadki z całego Pomorza. Spojrzała w monitor i otworzyła jeden z linków.

W dniu 15 sierpnia roku 1473 pod murami miejskimi została spalona na stosie szczecinianka, nazywana w dokumentach ladacznicą. W aktach zachowało się jedynie jej imię Yolanthe. Oskarżona o czary, została pojmana i osadzona w celi, a następnie przez kilka dni torturowana, aż przyznała się do rzucania uroków i uprawiania nierządu z diabłem. O tym, jakie mogły być kulisy tego dramatu, być może mówił fakt, że to mąż Yolanthe doniósł na nią do sądu ławniczego w Szczecinie.

Paulina oderwała wzrok od monitora. Jak z całego morza nieszczęścia wybrać zaledwie kilka przykładów? Każdy z nich to był czyjś dramat, czyjeś życie. I to nie tylko w samym kontekście tortur, przemocy, śmierci. Jak strasznie musiała boleć bezsilność, brak możliwości jakiejkolwiek obrony w przegranej z założenia sprawie. I jak musiało boleć, gdy najbliżsi wierzyli w te koszmarne zarzuty, modlili się o twoją śmierć i łaskę dla ciebie.

Westchnęła i odwróciła kartkę. Najbardziej znaną czarownicą ze Szczecina była oczywiście Sydonia von Borck. Ale o niej pisali już wszyscy. Paulina przypomniała sobie Londyn, mieszkanie Johanna, zamek jego ojca i galerię obrazów, gdzie dwa lata temu odnaleźli zaginione płótno Cranacha. I przypomniała sobie Igora.

Nie! O Sydonii zdecydowanie nie będzie pisać.

W dniu 29 sierpnia roku 1591 Elsa von Dobbersitz, żona książęcego łowczego ze Szczecinka i zaufana dama dworu księżnej Erdmuty, żony księcia Jana Fryderyka została pojmana i osadzona w areszcie w Szczecinku. Oskarżono ją w wyniku tak zwanej nominacji. Podczas tortur jako czarownicę wskazała ją, oskarżona wcześniej, Barbara Kerstebone. Elsa von Dobbersitz rzekomo posiadała diabelską obręcz od kościelnego dzwonu oraz księgę czarów, których to przedmiotów używała do magicznych rytuałów. Podobno kazała służącym przeprowadzać przez ową obręcz krowy, jednocześnie wypowiadając magiczne zaklęcia, które miały dać im więcej mleka. Księgi czarów używała natomiast do wzywania demonów, które były do jej dyspozycji i dzięki którym warzyła trucizny i magiczne eliksiry. Obciążające było także i to, że widziano ją w domu samotnego Hansa Maurera, którego matka i siostra zostały wcześniej spalone na stosie.

Paulina doczytała do końca notkę o Elsie, żonie książęcego łowczego, i podniosła wzrok. Przez chwilę zastanawiała się nad imieniem Erdmuta i dopiero po chwili do niej dotarło, że całkiem niedawno księżna stała się w Szczecinie sławna. Na aukcji w paryskim antykwariacie zakupiono wisior w formie krucyfiksu, który do niej należał. Trafił do zbiorów szczecińskiego Muzeum Narodowego. Przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie złotego krzyżyka. Pomyślała, że ta mała błyskotka to materialny świadek historii,

która wydarzyła się naprawdę. Suche zapisy, fakty i daty, dzięki którym poznajemy historię, nie mówią nic o kulisach mrocznych wydarzeń z tamtych czasów. Dla ówczesnych na pewno były one ważniejsze niż ślub czy podpisanie jakichś akt przez tego czy tamtego księcia.

Śmierć Elsy von Dobbersitz miała bowiem mroczne tło. Kobieta została uwikłana w intrygę polityczną, którą chciano uderzyć w jej męża, ustosunkowanego i cieszącego się dużym zaufaniem Gryfitów Melchiora von Dobbersitz. Stali za tym dwaj książęcy doradcy, Peter Kamecke i Jakub Kleist, którzy zdołali przekonać księżnę Erdmutę, że to Elsa, podając jej ziołowy napar, wywołała u niej bezpłodność. Wystarczyły wymuszone zeznania służby, by żona zaufanego urzędnika zagrażającego doradcom trafiła do celi, rujnując jego pozycję na dworze. Notabene Erdmuta prawdopodobnie rzeczywiście była bezpłodna, nie doczekała się bowiem potomstwa z Fryderykiem. On sam miał natomiast dziecko, którego matką była nieznana z imienia i nazwiska dwórka, córkę adoptowaną cichcem przez książęcego kamerdynera Hansa Rambowa.

Ta poruszająca historia była wręcz idealna do artykułu. Paulina wynotowała sobie na kartce kilka faktów i ponownie sięgnęła po książkę. Z przedpokoju dobiegł nagle jakiś hałas. Pomyślała, że to pewnie pies dobija się do drzwi. Głodny. Podniosła się z krzesła, dopiła resztkę wina i ruszyła w kierunku drzwi wejściowych. Wychodząc z kuchni, rzuciła okiem na zegar. Minęła dwudziesta pierwsza. Dziesięć minut temu.

Mateusz powinien już być.

Rozdział 25

Piątek, 17 marca

Paweł zamknął za Pauliną drzwi i wskazał jej ręką fotel przy swoim biurku. Bez słowa usiadła i wbiła wzrok w blat. Zdała sobie sprawę, że od czasu kłótni w poniedziałek rano prawie nie rozmawiali ze sobą. Postanowiła w duchu, że nie da się wciągnąć w żadne ideologiczno-polityczne spory. Przypomniał jej się obraz z kołobrzeskiej katedry *Cnotliwa niewiasta*. Albo będziesz robiła to, co ci każemy, albo wykłujemy ci oczy, połamiemy ręce i nogi i spalimy cię żywcem na stosie.

Dlaczego przypomniało jej się to akurat teraz? Pawła, nawet przy maksymalnie złej woli, trudno było zaliczyć do tej kategorii mężczyzn. Nie! Ludzi. Ludzi, nie mężczyzn. Czy to wina tego, co się wydarzyło w kancelarii Marty? O czym nikomu nie powiedziała.

– Nie rozmawiamy o czarownicach. – Paweł podniósł dłoń, jakby się asekurował. – Przypominam ci, że druga część ma iść w poniedziałek, a na ostateczną wersję czekam do końca dnia. Jeśli jej nie zrobisz, to w poniedziałek pójdzie coś innego.

Przez chwilę milczał, jakby się spodziewał, że Paulina, swoim zwyczajem, zacznie się awanturować.

– Chodzi o inny temat. – Westchnął. – Dostałem właśnie cynk, że dzisiaj o dwunastej będzie konferencja prasowa prokuratury. Jeszcze nawet tego nie ogłosili, mają podać do wiadomości za pół godziny. Nie wiem, o co chodzi, ale chyba szykuje się coś większego.

Paulina podniosła wzrok.

– Tym zajmowali się przecież Baśka z Piotrem.

– Baśki nie ma – poinformował Paweł. – Od rana jest w Berlinie. Przejmujesz ten temat. Możesz razem z Piotrem, jeśli ci się przyda.

– To ma iść jako news?

– Tak, dziś na portalu. Jak najszybciej. Puścimy, jak tylko wrócisz i coś sklecisz. Jutro damy więcej w magazynie.

– Wiesz coś jeszcze?

Paulina pamiętała, że Paweł miał jakieś swoje dojścia w prokuraturze. Rodzinne chyba.

– Nic nie wiem. Ale fakt, że robią to w ostatniej chwili i uprzedzają tak późno, znaczy, że nie chcą robić zamieszania. Pojedzie z tobą kamera.

– Kamera!?

– Damy wideorelację. Dorobisz do tego komentarz.

– Przecież nigdy tego nie robiłam.

– Zawsze jest ten pierwszy raz.

*

Igor postawił kołnierz płaszcza i rozejrzał się. Stał na chodniku pod swoim biurem i marzł. Samochód od wczoraj tkwił w zaprzyjaźnionym warsztacie, a on lada chwila spodziewał się hiobowych wieści. Czekał na Borolę, który miał go zabrać do potencjalnego wspólnika. Tego wspólnika Borola chyba właśnie usiłował wkręcić w jakiś interes. Czy coś tam. Przez telefon nie chciał powiedzieć, dokąd jadą ani do kogo i Igor był całą tą sytuacją poirytowany. Zwłaszcza że na górze, w pracowni, czekały rozgrzebane rysunki inwentaryzacji domu na klifie, które chciał skończyć w ten weekend. Jeżeli tajne negocjacje zakończyłyby się sukcesem, to, według Boroli, miałby szansę na zlecenie życia.

Kroił się kolejny intratny projekt dotyczący przyszłości, tymczasem kasa potrzebna była już teraz. Inaczej firma upadnie i intratne projekty z przyszłości będzie realizował ktoś inny.

Na końcu ulicy pojawiła się wielka błyszcząca limuzyna i po chwili cywilny model legendarnej niemieckiej marki sportowych samochodów, do których od lat modliła się znakomita większość mężczyzn, łagodnie podpłynął do krawężnika i bezgłośnie zatrzymał się tuż obok Igora.

Igor wskoczył do środka, zsunął rękawiczki i przyłożył ręce do kratki

nagrzewnicy.

– Jezu, jak zimno – jęknął. – W marcu jak w garncu.

– Nie narzekaj. – Borola uśmiechnął się szeroko. – Jeszcze tydzień, dwa i będzie ładnie. Prognoza długoterminowa jest bardzo dobra.

– Dokąd jedziemy? Teraz już chyba możesz powiedzieć?

– Kojarzysz Budnego?

– Budnego? – Igor szeroko otworzył oczy i zaskoczony spojrzał na Borolę. – To jest ten twój tajemniczy wspólnik? Mówimy o Jeremiaszu Budnym?

– O tym samym.

– A co to za interes? Boże, nie wiem, czy ja w ogóle chcę gadać z tym typem.

– *Pecunia non olet.*

– Pecunia może i nie, ale opinia też się liczy.

– Nie przesadzaj z tą opinią. – Borola roześmiał się rubasznie.

Igor w osłupieniu wpatrywał się w deskę rozdzielczą. Fakt, że to Budny był właścicielem ruin pałacu Quistorpa i parku w Lubinie, oczywiście nie mógł być przypadkiem. Czy to z Budnym Borola prowadził poszukiwania kamieńskiego skarbu?

– Muszę cię w to i owo wtajemniczyć, ale lepiej trzymaj język za zębami. – Borola rzucił Igorowi spojrzenie, które mogło mieć wiele znaczeń.

Igor mruknął coś pod nosem.

– Budny prowadzi obecnie działania we władzach w Międzyzdrojach na rzecz, powiedzmy, pozyskania pewnych terenów na cele budowlane. To polityk, jego udział w tym wszystkim musi pozostać absolutną tajemnicą. Poza tym, wszelkie plotki mogłyby momentalnie wywołać protesty różnych środowisk i bardzo utrudnić realizację tych planów, jeśli w ogóle na długo ich nie udaremnić.

– I to ma coś wspólnego z twoim dworem pod Troszynem?

– Z dworem nie. – Borola pokręcił głową. – Ale możliwe, że z domem Kłosowskiego. Przede wszystkim jednak ma dużo wspólnego z terenami położonymi w Lubinie. Od przystani w Wapnicy po sam cypel właściwie.

– I co dalej?

– Lubin jest prawdziwą oazą. Można tam zarobić wielkie pieniądze.

– Co takiego?

– Międzyzdroje w sezonie za chwilę będą przypominać połączenie centrum Warszawy z wyleniałym wesołym miasteczkiem. Ciągle jeszcze są bardzo popularne, budują tam te bloczydła i przyjeżdża cała Warszawka, ale za kilka lat ludzie zaczną stamtąd odpływać. Nawet jeśli założymy, że władze chętnie się zgodzą wyciąć w pień cały park narodowy, a klify wyrównać i wylać betonem, żeby jakaś gwiazda przypadkiem nie zjechała na dupie po korzeniach i piasku, to i tak widać już granice. A Lubin to przyszłość. Ceny nieruchomości będą tam stale rosnąć.

Igor z przerażeniem przypomniał sobie dziewicze, ciągnące się wzdłuż brzegów jeziora Wicko łąki i klify z widokiem na czterdzieści cztery wyspy Zalewu Szczecińskiego. I budzący grozę, ale piękny teren dawnej cementowni, z utopionymi wśród rozrośniętej zieleni ruinami budynków, doków i nabrzeży portowych.

Deweloperka!?

– Wyobrażasz sobie apartamentowce w miejscu cementowni? W takim przemysłowym stylu, same lofty. Betonowe ściany, ogromne okna z widokiem na zalew. Część tych pofabrycznych ruin można by nawet wykorzystać. Nabrzeża zrobić z oświetleniem i ławkami, a do tego dwie działające mariny. Trzeba by tylko wymusić na władzach pozwolenie na budowę co najmniej sześciu pięter, żeby widok był sensowny. Za loft w takim miejscu ludzie dadzą z kilka baniek. Budowa takiego apartamentowca, nawet z wykorzystaniem starych murów cementowni, to koszt siedmiu, ośmiu milionów. Do tego drogi, infrastruktura. Powiedzmy, kolejne trzy. A jeden loft spokojnie pójdzie za pięć baniek.

Igor kompletnie zdębiał.

– Ale przecież ty chciałeś prowadzić poszukiwania skarbu kamieńskiego w swoim dworze pod Troszynem – jęknął słabym głosem.

– No przecież ci mówiłem, że to ma być kampania reklamowa! – Borola parsknął. – Z tobą jak z dzieckiem. Na te poszukiwania w jeziorze już się zresztą cieszę. Poza tym poszukiwanie skarbów może być niezłą reklamą

także i dla tej inwestycji.

Igor patrzył, jak mijają samochody i przechodniów, jak zostają w tyle kamienice śródmieścia.

Borola skręcił w Wojska Polskiego i przyśpieszył. Jechali w kierunku Jeziora Głębokiego.

No oczywiście. Igor przypomniał sobie, że Budny miał tam przecież dom.

*

– To super! – Piotr uśmiechnął się i rozłożył ręce, jakby chciał objąć stojącą nad nim Paulinę. – Zrobimy świetną relację!

– Wyślij mi… – Paulina uciszyła go gestem dłoni – to, co pisaliście do tej pory na temat zwłok z Dąbia. Teraz!

– Z deszczu pod rynnę żem się dostał, widzę.

– Nie wygłupiaj się. Muszę to przeczytać, żeby mieć jakiś kontekst. Nie wiem, czy Baśka poszła w suchą relację, czy dorzuciła jakieś swoje interpretacje.

– Nudna relacja. Nie czytałaś?

Paulina pokręciła głową. Sprawą znalezionego w Dąbiu trupa przestała się interesować zaraz po tym, jak obejrzała kilka relacji w „Kronice” i coś gdzieś przeczytała. Wstyd się przyznać, ale relacji koleżanki we własnej gazecie akurat nie czytała. Zaraz…

– Słuchaj…

Piotr podniósł głowę.

– Masz jeszcze ten film? Ten z Wyspy Robiena, który nakręcił jakiś szczeniak i wrzucił na YouTube’a?

Piotr potwierdził i uśmiechnął się diabolicznie.

– Oczywiście.

– Przeczytaj wszystko na temat tego, co możemy z nim zrobić. Dać jakiś fragment? Wrzutkę? Może tylko fotkę? Spytaj o to Pawła. Jak się zgodzi, to może to jakoś wykorzystamy.

– Jasne!

Piotr zgodził się entuzjastycznie i odwrócił się do swojego monitora.

*

Dom Budnego stał niedaleko jeziora, zaraz za skrzyżowaniem, na którego rogu znajdowało się wejście na miejską plażę. Trochę dalej wąska uliczka skręcała pod wysokimi sosnami w głąb lasu. Stały tutaj spore wille, w latach siedemdziesiątych wmontowane w przedwojenną luksusową dzielnicę. Lokalizacja była jedną z najdroższych w mieście. Wystarczyło otworzyć furtkę, żeby się znaleźć w starym sosnowym lesie i zejść wąską ścieżką nad brzeg wielkiego jeziora, nad którym w nocy jasno świecił księżyc i błyszczały gwiazdy. Do centrum miasta było stąd dziesięć minut samochodem.

Igor dyskretnie rozejrzał się po gabinecie, w którym przyjął ich Budny. Duży kwadratowy pokój z panoramicznym oknem, z widokiem na kłębiącą się gęstwinę iglaków. Pod jedną ze ścian stały regały, od podłogi do sufitu wypełnione książkami. Sam Budny był wysoki, zwalisty, łysawy. Igor do tej pory widział go jedynie w telewizji, na zdjęciach w gazetach lub, dwa czy trzy razy, na korytarzu urzędu wojewódzkiego.

Słuchał tego, co mówił polityk, i jednocześnie myślał, że zawsze jest tak samo. Przed nim na ławie leżała narysowana przez jakiegoś tumana mapka z naniesionym blokowiskiem. Od przystani w Wapnicy prawie do stóp klifu, tuż pod domem Kłosowskiego.

– Niech pan, oczywiście, nie bierze tego dosłownie. – Budny poprawił okulary. – To jedynie szkic tego, co można by tutaj zrobić. Ja rozumiem, że pan jest sceptyczny, widzę po pana minie. Ale, wie pan, elitarność musi jednak ustąpić pewnym oczekiwaniom społecznym. Miejscowi, którzy mają w Lubinie wytworne domy, chcieliby oczywiście, żeby doprowadzić im lepszą drogę, założyć oświetlenie, wyremontować nawierzchnię i marinę, a przecież na to potrzebne są środki.

Oczywiście. Wystarczyło postawić kilka betonowych wieżowców, tak jak w Międzyzdrojach, gdzie stoją już praktycznie w parku narodowym, pod Kawczą Górą, i sprzedać je landlordom z Warszawy, by w lecie były wypełnione po brzegi, a zimą zamieniały się w betonowe „zamki duchów”. Argumenty zawsze były takie same. Rozwój i że żyć trzeba.

– Lubin nie ma planu zagospodarowania przestrzennego. – Budny wyjął z segregatora plik jakichś dokumentów i położył je na ławie przed Igorem. – Jedynie studium. Wyłożone do konsultacji społecznych w zeszłym roku, prawie wywołało zamieszki, a przecież studium, jak pan wie, to tylko dokument koncepcyjny, wizjonerski, bez wartości urzędowej. Nasze starania idą obecnie w kierunku opracowania koncepcji, która mogłaby posłużyć stworzeniu miejscowego planu zagospodarowania. Potrzebujemy bardzo wysokiej jakości wizualizacji, które pokażą ludziom, że nie chcemy niszczyć, tylko wzbogacać…

A konkretnie, wzbogacić się… pomyślał Igor.

Przestał słuchać i zaczął myśleć z przerażeniem, w jaki sposób się z tego wywinąć. Oczywiście, na zleceniach od gmin można nieźle zarobić, ale ten temat budził jego obrzydzenie.

– Panie Igorze, proszę w spokoju obejrzeć te dokumenty. – Budny wstał i skinął głową do Boroli. – My mamy do omówienia parę innych spraw. Za chwilę wrócimy.

Borola uśmiechnął się do Igora porozumiewawczo i poszedł za Budnym.

*

Przed gmachem przy Potulickiej, w podcieniu wspartym na czterech toskańskich kolumnach, zgromadził się już niewielki tłumek ludzi. Pięć minut wcześniej zaczął mżyć deszcz ze śniegiem i zrobiło się przeraźliwie zimno. Tak zimno, jak tylko może być na wilgotnym zimnym wietrze, który przedziera się przez każdą warstwę odzieży.

Paulina wysiadła z samochodu i sięgnęła na tylne siedzenie po swoją torbę. Zajrzała do niej i upewniła się, że mikrofon jest na swoim miejscu.

Młody mężczyzna z długimi włosami i gęstą czarną brodą wygramolił się z jej micry i zaczął wyciągać kamerę.

– Jak kręcimy? – spytał. – Mam robić wszystko jak leci? Jak tylko pokaże się rzeczniczka?

– Jeszcze jest pięć minut. – Paulina założyła torbę na ramię i widząc, że kolega wszystko już zabrał z kabiny, zamknęła samochód.

– Zrobimy *found footage*[31]. Kręć, jak leci, zza moich pleców. Od teraz.

Wszystko.

– *Stettin Witch Project*. Super! Zwykłej relacji na newsa to jeszcze tak nie robiłem.

– Zawsze jest ten pierwszy raz.

*

Piotr, z brodą opartą na splecionych dłoniach, wpatrywał się w film, który po raz kolejny przesuwał się przed jego oczami. Zwłoki obwiązane łańcuchem. Obojczyk, ciągnąca się wzdłuż boku nienaturalnie wykrzywiona, pozbawiona dłoni ręka i kark kończący się strzępami skóry. Kamera się oddaliła, a potem przepłynęła wzdłuż zmasakrowanego ciała. Jeszcze kilka ujęć i ekran ponownie zrobił się czarny.

Usiłował przypomnieć sobie coś, na co zwrócił uwagę tydzień temu, oglądając go po raz pierwszy. Zresztą pamiętał, że nie tylko on. Chyba nawet Baśka to skomentowała. Co to było? Po kilku sekundach odtwarzanie rozpoczęło się ponownie. W tle słychać było jakieś głosy, płacz kobiety, nawoływanie policjantów na motorówkach i szmer suchych liści pod nogami chłopaka, który, dyskretnie chowając kamerkę przed rodzicami, nagrywał film.

Kamera ponownie przesunęła się po brunatnym kadłubie trupa. Boki, ręka, obojczyk, kark…

Piotr drgnął. Sięgnął do klawiatury i zatrzymał film. Przesunął kilka klatek do tyłu i pochylił się nad monitorem.

Tatuaż!

To tatuaż skomentowała Baśka. Oczywiście. Powiedziała coś, że dziewczyna musiała być wydziarana. Pewnie prostytutka, która podpadła swoim szefom.

Piotr powiększył obraz i wbił wzrok w monitor, usiłując dostrzec litery, które kobieta miała wytatuowane na karku, tuż za obojczykiem. Były tam dwa słowa. Wyraźnie widać było przerwę pomiędzy dwoma wyrazami. Pierwszy był krótszy, drugi nieco dłuższy.

Może da się jakoś polepszyć jakość, wyostrzyć?

Wyciął fragment filmu i otworzył program graficzny. Postanowił spróbować poradzić sobie samemu. Jak się nie uda, pójdzie do jakiegoś grafika w redakcji.

Litery były bardzo niewyraźne, w dodatku po zwiększeniu kontrastu okazało się, że napisane chyba gotykiem.

W zasadzie bardzo możliwe, pomyślał. Pewnie jakaś durna mądrość. Albo cytat, biorąc pod uwagę gotyk, może z jakiegoś niemieckiego metalowego utworu.

Wyostrzył jeszcze trochę i zwiększył jaskrawość. Funkcja wykrywania krawędzi rozlała obraz, jeszcze bardziej pogarszając jakość. Cofnął efekt i zaczął po kolei stosować wszystkie pozostałe funkcje.

Kilka minut później, po zastosowaniu i cofnięciu większości filtrów programu graficznego, spojrzał na efekt końcowy.

Litery od biedy można było odczytać, ale ich jakość w dalszym ciągu pozostawiała wiele do życzenia. Układały się w słowa, które nic mu nie mówiły. Natomiast wydawały się jakoś znajome.

Piotr stwierdził, że na pewno nie wie, co znaczą, ale chyba niedawno już gdzieś je widział. Może rzeczywiście był to jakiś znany cytat. Po łacinie? Może utwór muzyczny? Czy zespół heavy metal? Jakaś Metallica albo Iron Maiden, albo inny. Tytuł, który utkwił mu w głowie.

Co miałoby to znaczyć? Czy to możliwe, że umknęło mu jakieś aktualne modne hasło? Jakaś popularna sentencja, którą obecnie ludzie sobie tatuują?

*

Paulina, wraz z nieodstępującym jej brodatym kamerzystą, weszła do hallu siedziby prokuratury okręgowej i przepychając się pomiędzy tłumem dziennikarzy, z których wielu wypowiadało się właśnie do towarzyszących im kamer, odwróciła się i zaczęła relacjonować.

– Jesteśmy w gmachu prokuratury okręgowej. – Przepchnęła się pomiędzy dwoma młodymi dziennikarzami. – Dwie godziny temu pojawiła się informacja o bardzo ważnej konferencji prasowej, na której rzeczniczka złoży oświadczenie dotyczące zwłok wyłowionych tydzień temu z jeziora Dąbie.

– Idzie. – Kamerzysta skinął głową w kierunku schodów.

Na ich szczycie pojawiły się czarne szpilki, a po chwili cała postać znajomej kobiety, ubranej tym razem w szare spodnie i beżowy sweterek. Rzeczniczka zatrzymała się w połowie szerokiego biegu schodów i spojrzała na zgromadzony w hallu tłum. Czekała, aż powoli ucichną rozmowy.

Paulina wycelowała mikrofon w kierunku kobiety.

– Dzień dobry państwu. Jak państwo wiedzą, od tygodnia prowadzimy postępowanie w sprawie zamordowanej kobiety, której zwłoki wyłowiono z jeziora Dąbie na wysokości Wyspy Robiena. Udało nam się ustalić tożsamość ofiary. Jest nią Andżelika Kurska, zameldowana w miejscowości Moracz w gminie Przybiernów. Kobieta figuruje w aktach policji. Kilka lat temu postawiono jej zarzuty w głośnej sprawie zamordowania noworodka, którego zwłoki odnaleziono w ogrodzie jednego z domów we wsi. Nie została oskarżona, zarzutów nie zdołano potwierdzić. Kobieta zaginęła w grudniu ubiegłego roku. Jak ustalono, trudniła się prostytucją. Prowadzimy obecnie postępowanie w kierunku odnalezienia jej tak zwanych opiekunów. Motywem morderstwa były najprawdopodobniej porachunki mafijne.

Kobieta przerwała i spojrzała na trzymaną w ręku kartkę.

– Czy odnaleziono głowę?

Paulina spojrzała w kierunku, z którego dobiegło pytanie. Młody dziennikarz z jednego ze szczecińskich portali informacyjnych trzymał uniesiony wysoko dyktafon.

– Cały czas prowadzone są poszukiwania na terenie całego jeziora Dąbie i Międzyodrza. Niestety, jak do tej pory bez efektów.

Kobieta rozejrzała się po sali i zaczęła mówić dalej.

– Z racji bardzo wielu zupełnie nieuzasadnionych teorii oraz zwyczajnych plotek, które od tygodnia ukazują się na forach i w mediach społecznościowych, by zapobiec ich eskalacji, zdecydowaliśmy się przekazać informacje dotyczące innej sprawy, która obecnie także jest przedmiotem prowadzonego przez nas postępowania. Nie ma jak na razie żadnych dowodów na to, że obie sprawy coś ze sobą łączy, ale z racji podobieństwa stanu wyjściowego może to prowadzić do takich domysłów.

Kobieta odchrząknęła i nerwowo przetarła palcami usta.

– Dwa dni temu patrol referatu wodnego szczecińskiej policji wyłowił

z Duńczycy przy brzegu Ostrowu Grabowskiego kolejne zwłoki…

W hallu, tak jakby ktoś nagle włączył nagłośnienie, rozległy się głośne pytania i krzyki.

– Bardzo proszę o uwagę! Jeszcze nie skończyłam!

– Dwa dni temu? Dlaczego dopiero teraz podajecie to do wiadomości?!

– Czy to także jest kobieta!?

– Proszę państwa, proszę o ciszę! – Rzeczniczka prokuratury podniosła głos. – Nie zdołano jeszcze ustalić tożsamości ofiary ani jej płci. Zwłoki są w bardzo złym stanie. Najprawdopodobniej znajdowały się w wodzie od roku.

– Nie wiecie, jakiej są płci!?

– Znowu? Poprzednio też tak było!

– Ciało jest spalone. W takim stanie przed sekcją zwłok bardzo trudno jest ustalić nawet to, czy ofiara była kobietą czy mężczyzną.

Paulina podniosła mikrofon do góry

– Ostrów Grabowski? To przecież niedaleko Wyspy Robiena. Dlaczego zakładacie, że te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego?

– Nie ma żadnych dowodów na poparcie takiej tezy. Na tym etapie śledztwa nie mamy żadnych danych, żeby stwierdzić…

– Czy zwłoki mają głowę?

Po drugim pytaniu Pauliny w hallu na króciutki moment zapadła cisza.

Rzeczniczka nerwowo odchrząknęła.

– Zwłoki są pozbawione głowy oraz dłoni.

W hallu wybuchła wrzawa.

– Proszę państwa, nic więcej nie jestem w stanie państwu powiedzieć na tym etapie postępowania! – Rzeczniczka usiłowała przekrzyczeć tłum dziennikarzy. – Obie sprawy prowadzi prokurator Grzegorz Krygier i jeśli tylko będziemy mieli informacje, które będziemy mogli przekazać bez szkody dla prowadzonego śledztwa, to wydamy stosowny komunikat.

Tłum zafalował i zbliżył się do schodów. Z wielu miejsc jednocześnie zaczęły padać pytania.

– Kiedy będzie sekcja?

– Czy to ofiary handlu żywym towarem?

Rzeczniczka podniosła dłoń, usiłując zapanować nad sforą dziennikarzy.

– Jest za wcześnie na jakiekolwiek tezy. Sekcja odbyła się w dniu wczorajszym, ale nie mamy jeszcze żadnych informacji.

– Dwa dni temu zaginęła Beata Dobrosielska, właścicielka Lemon Fitness Club.

Donośny męski głos dobiegł gdzieś z prawej strony. Paulina spojrzała w kierunku mężczyzny z mikrofonem z logo Radia Szczecin. Kojarzyła nazwisko kobiety. Bywała nawet we wspomnianym klubie. Rok temu chodziły tam z Martą.

– Mąż Dobrosielskiej zgłosił jej zaginięcie w środę wieczorem.

– Proszę państwa! – Rzeczniczka usiłowała przekrzyczeć harmider, który wybuchł po słowach dziennikarza. – Proszę państwa! Bardzo proszę nie tworzyć teorii spiskowych! W Szczecinie w ciągu ostatnich dni prawdopodobnie zgłoszono zaginięcie jeszcze kilku innych osób. Nie ma absolutnie żadnych podstaw, żeby twierdzić, że ma to cokolwiek wspólnego ze zwłokami z Międzyodrza!

Beata Dobrosielska. Jej mąż był zdaje się doradcą wojewody do spraw społecznych czy czegoś tam. A teraz jest chyba…

Paulina nagle zamarła.

Wokół wciąż panował gwar. Dziennikarze zarzucili rzeczniczkę kolejnymi pytaniami.

Michał Dobrosielski obecnie był wiceburmistrzem Szczecinka…

Paulina odwróciła się w kierunku kolegi, który momentalnie skierował kamerę w jej stronę.

– Co się dzieje? – spytał, widząc, że Paulina milczy, wpatrując się w przestrzeń. – Coś ty tak zbladła?

– Bardzo państwu dziękuję! – Rzeczniczka, przekrzykując gwar, wspięła się do góry na dwa stopnie. – To wszystko! O przebiegu śledztwa będziemy państwa informować na bieżąco. Do widzenia państwu!

Kobieta podniosła rękę i ruszyła w górę schodów.

– Coś się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Będziesz musiał to wyciąć. Miało lecieć non stop.

– Jak zostanie, będzie ciekawiej.

– Wracamy! – Paulina, nie czekając na kolegę, zaczęła się przepychać w kierunku wyjścia.

– Ale co ty się tak śpieszysz? – Mężczyzna odgarnął z czoła długie włosy i ruszył za nią. – Chciałem jeszcze zrobić jakiś plan ogólny. Miało być jak paradokument.

*

Igor przekartkował pozostawione dokumenty, z nie mniejszym niż za pierwszym razem obrzydzeniem obejrzał szkic blokowiska na brzegu zalewu i westchnął. Żeby zapoznać się ze studium zagospodarowania terenu, potrzeba więcej czasu niż kilka minut. W myśl jego zapisów na miejscu dawnej cementowni dopuszczano apartamentową zabudowę wielorodzinną, a jej maksymalną wysokość określano na szesnaście metrów. Zdaniem Igora już samo to było koszmarem, bo pozwalało na budowę pięciopiętrowych budynków w miejscowości, w której stały domy jednorodzinne i stare, nie więcej niż dwukondygnacyjne pensjonaty.

Ponownie rozejrzał się po gabinecie. W rogu znajdowało się wielkie ciemno politurowane biurko, na którym było kilka zdjęć w ramkach, laptop i sterty jakichś dokumentów. Podszedł i pochylił się.

Na jednym zdjęciu dwie uśmiechające się dziewczyny, na oko w wieku licealnym. Przypomniało mu się, że Budny ma dwie córki. Na innym Budny, tylko młodszy o kilka lat, w towarzystwie jakiejś kobiety, prawdopodobnie żony. Oboje uśmiechnięci i szczęśliwi. I jeszcze jedno, które zaciekawiło go szczególnie, bo było dużo starsze od pozostałych i czarno-białe. Dwoje stojących obok siebie dzieciaków, chłopiec i dziewczynka, zetkniętych głowami na tle murowanej rzeźbionej bramy. W tle majaczyły jakieś zabudowania. Pewnie Budny w dzieciństwie.

Oderwał wzrok od starej fotografii i podszedł do biblioteczki. Na jednej z półek pyszniła się Encyklopedia Britannica. Całe czterdzieści dziewięć tomów, wydane w polskiej wersji językowej na początku lat

dziewięćdziesiątych. Jego ojciec miał to samo wydanie. Miał też starsze, angielskojęzyczne, do którego Igor uwielbiał zaglądać jako dziecko i podziwiać tajemnicze obrazki oraz zdjęcia.

Zrobił kilka kroków wzdłuż szafy i zatrzymał się przy ostatniej, na której widać było kilka bardzo elegancko oprawionych w skórę tomów z tytułami, które nic mu nie mówiły – *Picatrix*, *Lemegeton*, *Pseudomonarchia Daemonum*. Poniżej stało kilka ksiąg o tematyce religijnej. Igor przejechał wzrokiem po paru tytułach – *Spór o Pawła, spór o człowieka czy spór o Boga*, *Święty Augustyn*, *Grzech pierworodny*, *Człowiek i jego zbawienie.*

Racja! Budny przecież na każdym kroku podkreślał swoje przywiązanie do tradycji i wartości chrześcijańskich.

Drgnął. Usłyszał w głębi domu jakiś hałas, a po chwili kroki na korytarzu.

Wrócił szybko do ławy, usiadł w fotelu i sięgnął po filiżankę z herbatą.

Będzie musiał jakoś się z tego wykaraskać. I potem niech go Borola nawet zastrzeli. Chociaż, jeśli do wtorku nie wpłaci kasy do urzędu skarbowego, jedynym, co mu pozostanie, będzie zrobić to samemu.

*

Paulina rzuciła torbę na krzesło i stanęła nad swoim biurkiem, usiłując uporządkować galopujące w głowie myśli. Przez całą drogę powrotną przed oczami przesuwały się jej daty i nazwiska. Po pierwszym szoku, gdy wpadła jej do głowy ta szalona myśl, przyszła chwila otrzeźwienia. Przecież to absurdalne! Czy to w ogóle możliwe? Czy to nie jest przypadkiem zwyczajna sugestia? Zasugerowała się po prostu tematem i teraz wszędzie widzi jakieś powiązania.

Nawet nie zauważyła, że obok jej biurka stanął Piotr.

– Znalazłem coś dziwnego – pochylony wyszeptał konspiracyjnie.

– Piotr… – Paulina pokręciła głową. – Muszę ochłonąć.

– A co się stało? Coś na tej konferencji? Co w ogóle powiedzieli?

– Znaleźli drugiego trupa.

– Żartujesz? – Piotr szeroko otworzył oczy.

– Z uciętą głową i dłońmi. W worku. W jeziorze.

– Ja pierdolę…

– Piotr. – Paulina oparła ręce na blacie i pochyliła się w kierunku kolegi. – Coś mi przyszło do głowy w trakcie tej konferencji. Słyszałeś, że mąż Dobrosielskiej, właścicielki Lemon Fitness Club, zgłosił jej zaginięcie?

Piotr pokręcił głową.

– Rzeczniczka prokuratury o tym mówiła? – spytał z malującym się na twarzy niedowierzaniem.

– Nie. Ktoś z sali spytał. Prokuratura się zarzeka, że to nie ma nic wspólnego z trupami, ale…

– I co z nagraniem? – Za plecami Piotra wyrósł Paweł. – Dasz radę coś złożyć na dzisiaj? Co tam w ogóle powiedzieli?

– Tak. – Paulina spojrzała na niego rozkojarzonym wzrokiem. – Zaraz napiszę jakiś komentarz.

– Możesz sobie napisać, ale twój komentarz dokręcimy do wideorelacji.

– Dokręcimy?

– Tak. – Paweł skinął głową. – Maciej mi powiedział, że wymyśliłaś, żeby to szło jednym ciągiem, cała relacja, jak film grozy.

– Coś ty? – Piotr spojrzał na Paulinę. – Zajebiste! Do tego można dorzucić link do filmu tego szczeniaka. Baśka padnie, jak zobaczy, co zrobiłaś z jej tematem.

– Możemy?

– Nie ma już kanału. Jego starzy pewnie mu go skasowali po tej awanturze.

– To jak chcesz wstawić link?

– Niedziałający. – Piotr uśmiechnął się łobuzersko. – I tak wszyscy będą wiedzieli, o co chodzi.

– No, nie wiem… – Paweł się skrzywił. – Zaraz podzwonię i popytam, czy rzeczywiście możemy to zrobić.

Paulina poczekała, aż Paweł się oddali, i pochyliła się w kierunku Piotra.

– Znajdź wszystkie informacje na temat zaginionych kobiet, o których gadaliśmy. Czym się zajmowały, co robiły. Jakieś skandale, nie wiem, afery,

sprawy sądowe. Wszystko!

Uśmiech na twarzy Piotra momentalnie zmienił się w jeden wielki znak zapytania.

– A co? Dlaczego?

– Po prostu znajdź wszystko! Ja teraz zajmę się tym komentarzem, a ty rób, co mówię.

– Nie powiedziałem ci w końcu, co znalazłem.

– Nie teraz! – Paulina usiadła przed monitorem i odpędziła Piotra dłonią. – Ten wideokomentarz przecież będę jeszcze musiała nakręcić, a jest już po pierwszej.

*

Często myślał, że źródłem jego problemów jest imię, które matka dała mu w hołdzie jakiemuś francuskiemu gwiazdorowi czy bohaterowi powieści, dokładnie już nie pamiętał. Okres szkoły podstawowej, z bezwzględnymi, okrutnie wytykającymi wszelką inność dzieciakami, z tego powodu był dla niego traumą. Potem było trochę lepiej. Gdy przekroczył metr osiemdziesiąt i dalej rósł, a regularne rysy ładnie mu się wyostrzyły, zaczęły się za nim oglądać dziewczęta. Wtedy imię nieoczekiwanie stało się także atutem. Ale to był krótki okres. Zaraz potem pojawiły się problemy.

Pierwszy raz, gdy dostał tej psychicznej zapaści, pamięta do dzisiaj. Obudził się i nie miał siły wstać z łóżka. Matka, przekonana, że to zwykła próba wymigania się od szkoły, wyciągnęła go z niego siłą, dała śniadanie i wyrzuciła z domu. Był tak przerażony, że gdy otworzył wrota bramy i znalazł się na ulicy, bał się oderwać plecy od ściany budynku. Jak mały kot, który po raz pierwszy wydostał się na dwór przez piwniczne okienko. Nie był wtedy w szkole. Cały dzień, trzęsąc się, przesiedział na ławce w pobliskim parku. W ustronnym zacienionym miejscu, modląc się, żeby nikt się do niego nie odezwał.

Potem te stany pojawiały się mniej lub bardziej regularnie. Czasem co pół roku, a czasem co dwa, trzy miesiące. Im był starszy, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że nie zdoła prowadzić zwyczajnego życia studenta, że nie da rady wytrzymać w akademiku, coraz bardziej bał się o swoją przyszłość.

A stany lękowe pojawiały się częściej.

Były przerwy, kiedy wydawało mu się, że wszystko jeszcze może się ułożyć. Tak jak wtedy, kiedy poznał Monikę i byli ze sobą kilka miesięcy. Ale jego napady gniewu, zrywanie z najmniejszego powodu, zazdrość i strach, że ona odejdzie pierwsza, spowodowały, że ten okres życia zakończył się całkowitym fiaskiem.

Potem praca jedna, druga. Gdy przychodziła depresja, brał wolne dni, chorobowe, potem tłumaczył nieobecności i wylatywał. I wszystko kręciło się w zamkniętym kręgu niemocy i bezsilności.

Pewnego dnia, jakieś dwa lata temu, gdy znowu znalazł się bez pracy, postanowił odpowiedzieć na pewne ogłoszenie. Zajęcie miało polegać na opiece nad łodzią i domem na wsi oraz sprzątaniu ogrodu. Czasem również na drobnych naprawach i pomocy przy domu w mieście. Początkowo uważał, że to poniżej jego oczekiwań. Był pełen obaw, czy sam nie strąca się na jeszcze niższy szczebel społeczny, ale ku własnemu zdumieniu odkrył, że praca w małej nadmorskiej miejscowości, szczególnie poza sezonem, okazała się działać na niego wręcz terapeutycznie.

Ale epizody depresyjne, jak nazywał te stany lekarz, pojawiały się nadal. Zaczęło mu się jednak wydawać, że ma je już pod kontrolą. Że wystarczy na dzień lub dwa zamknąć się gdzieś lub posiedzieć na brzegu klifu i popatrzeć w szare niebo łączące się z równie szarymi wodami, by odzyskać spokój.

I wtedy pojawiły się zaniki pamięci. Czarne dziury, z których nie był w stanie wygrzebać ani jednego wspomnienia.

Rozdział 26

Gdy Paulina skończyła nagrywać komentarz do konferencji prasowej prokuratury, była godzina druga. Maciej kazał jej wszystko powtarzać trzy razy. Żeby relacja miała właściwe tempo i dynamikę, a przede wszystkim oczywiście, żeby się wszystkim wydawało, że nagranie było zrobione z marszu. Na koniec czuła się już jak gwiazdka z jakiegoś reality show, w którym tak zwany realizm sytuacyjny osiągany jest przez cięcia, montaż i sztuczne podkręcanie atmosfery. Akurat nie to miała na myśli, rzucając pomysł relacji *found footage*, ale nie chciało jej się wykłócać, a poza tym nie mogła się doczekać, aż te manewry wreszcie się skończą i będzie mogła dopaść Piotra, żeby zobaczyć, co wygrzebał.

Jak tylko znalazła się przy swoim biurku, związała włosy na karku – Maciej kazał je rozpuścić, żeby wyglądały dynamiczniej – i skinęła na Piotra. Czym prędzej zgarnął ze swojego biurka jakieś notatki i usiadł naprzeciwko.

– I jak? – nie wytrzymała.

– Nie wiem, po co ci to potrzebne. Masz mi zaraz powiedzieć. Aż tak dużo tego nie ma. Zwykłe sprawy. Problemy w pracy, w domu, mężowie, jakieś skandale. Niektóre z tych kobiet z kimś tam się procesowały…

– Pokaż! – Paulina sięgnęła po kartki, które Piotr położył przed sobą na stole.

– Tutaj tylko wypunktowałem różne fakty. – Piotr przesunął monitor i wstukał w klawiaturę kilka słów. – Wszystko zapisałem w chmurze. Wysłałem ci przed chwilą.

– Dobra. Od początku. Lecimy chronologicznie, według dat i według tych demonów.

– Ale powiesz w końcu, o co chodzi? I skąd się wzięły rysunki demonów? Co to za sprawa?

– Przede wszystkim – Paulina kiwnęła ręką, jakby odpędzała muchę – zwłoki znalezione w Jeziorze Dąbskim to rzeczywiście jedna z tych dwu zaginionych kobiet, Andżelika Kurska.

– A jednak?

– Ta, która pasuje do szóstego według kolejności demona. Demona Sitri. I teraz posłuchaj. Poczytałam sobie o demonach i wychodzi na to, że każdy z nich rzeczywiście jakoś wiązał się z jedną z tych kobiet. To znaczy, do konkretnej kobiety był przypisany tylko jeden.

– No to w takim razie jest jakaś reguła. Przywoływali te demony, które najbardziej pasowały.

– Pewność mamy w wypadku trzech pierwszych, bo one są czarno na białym, w notesie, obok nazwisk trzech pierwszych kobiet. Ale jak usłyszałam na konferencji nazwisko Kurskiej i, co ważniejsze, Dobrosielskiej, to zdałam sobie sprawę, że one pasują do demonów z kolejnych kart.

– Dobrosielskiej? – Piotr spojrzał z niedowierzaniem. – To dlatego pytałaś, czy ją znam. Chryste! Racja! Marzec!

– No właśnie. Dobrosielska pasuje do ostatniej, siódmej karty i do ostatniego demona.

– Ale jej zaginięcie mąż zgłosił kiedy? – Piotr podrapał się po brodzie, patrząc z powątpiewaniem. – Przedwczoraj? To jeszcze może się okazać, że to jakieś nieporozumienie.

– Możliwe. Ale jeśli nie, to mamy siedem kobiet i siedem demonów. I siedem czarownic.

Piotr przez chwilę patrzył na Paulinę, nic nie mówiąc.

– Siedem czego? – spytał w końcu z niedowierzaniem.

– Ja też zaczynam myśleć, że wszystko sobie ubzdurałam, ale to się układa w logiczną całość. Jeżeli pozostałe kobiety także pasują do tego schematu, to naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

– Ale skąd ci się nagle wzięły jakieś czarownice? Zwariowałaś?

– Wczoraj do późnej nocy robiłam konspekt moich artykułów i przejrzałam wszystkie możliwe źródła na temat procesów o czary na

Pomorzu. I znalazłam bardzo dziwną prawidłowość.

– Jezu, zaczynam się bać…

– Musimy to wszystko przejrzeć razem. – Paulina wskazała głową notatki i ekran komputera.

– No to jedziemy chronologicznie. – Piotr otworzył katalog i na monitorze ukazał się plik skopiowanych wiadomości i kilka linków. – Pierwsza jest Małgorzata Howińska z Radawki. Położna, pielęgniarka, pracowała w przychodni w Dziwnowie. Zaginęła piątego lutego zeszłego roku. Dwa lata wcześniej miała problemy w sądzie. Dwie kobiety oskarżyły ją o zaniedbania przy opiece okołoporodowej i stosowanie niewłaściwych terapii.

– Dlaczego niewłaściwych?

– Była zwolenniczką metod naturalnych. Zalecała rozmaite specyfiki ziołowe podczas ciąży i porodu. Masz tu linki, poczytaj sobie. Na przykład napar z malin na wzmocnienie macicy i łagodzenie skurczów. Może niedługo też ci się przyda.

– Piotr…

– Jedno z dzieci po porodzie trafiło do szpitala z bardzo małą wagą i uszkodzeniem mózgu. Położnej nie udowodniono zaniedbań. Powodem mogła być toksoplazmoza.

Paulina sięgnęła po tablet i otworzyła swoje notatki z księgi czarów.

– Pierwsza karta i pierwszy rysunek w notesie – powiedziała dobitnie i spojrzała na Piotra znacząco.

– Demon Buer naucza filozofii natury, filozofii moralnej, własności ziół i roślin. Przywraca zdrowie tym, którzy chorują… – przeczytała.

Wpatrywała się w Piotra, jakby czekając, aż przyswoi wszystkie informacje, i dopiero po chwili ponownie zaczęła czytać.

Pod koniec zimy 1693 roku została uwięziona i oskarżona o czary matka Jurgena Moldenhowera, akuszerka i zielarka z Radawki. Obwiniono ją o uśmiercanie noworodków i branie udziału w sabatach na Łysej Górze, gdzie miała przyrządzać wywary z dzieci i pić je razem z diabłami. Została spalona na stosie na Wzgórzu Wisielców koło Wrzosowa.

Piotr bez przekonania kiwał głową.

– Niby się zgadza. Położna z Radawki, akuszerka z Radawki. Oskarżona o zaniedbania, oskarżona o mordowanie noworodków. Nawet czas podobny: koniec zimy, luty.

– Hmm… – Spojrzał w monitor. – Następna jest Marlena Ćwiek. Prowadziła niewielki sklep w Trzebiatowie. Zaginęła ósmego kwietnia. Rok wcześniej wyprawiała wesele córki. W październiku konkretnie. Zakończyło się dość szeroko opisywanym w Trzebiatowie skandalem. Ćwiek wytoczyła proces właścicielom restauracji. Oskarżyła ich o nieświeże jedzenie, nieprzyjemną obsługę i takie rzeczy. Do tego stopnia, że po jej zaginięciu podejrzewano nawet, że to oni ją stuknęli.

– Demon Andras zajmuje się wzniecaniem kłótni… – przeczytała Paulina. – I kolejna kobieta oskarżona o czary.

Wiosną, roku 1679 aresztowana i uwięziona została krewka mieszkanka Modlimowa Dorothe Schwarz. Znana była ze swojego temperamentu i tego, że nikomu nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Często wszczynała spory z sąsiadkami, a to o włażenie bydła w szkodę, a to o wodę w studni, a to o miedzę na polu. I być może to któraś z nich wniosła oskarżenie. Obwiniono Dorothe o rzucanie uroków i odbieranie krowom mleka i zamknięto w celi przy trzebiatowskim sądzie. Nawet tam po wstępnych przesłuchaniach kobieta nie dawała się tak łatwo zaszczuć. „Niech ci, którzy mnie fałszywie oskarżyli, przed sądem staną! Ja jestem niewinna i moja niewinność świadczyć za mną będzie!” – takie słowa miała wypowiedzieć pod adresem sędziów, którzy byli jednak niewzruszeni i nakazali przeprowadzenie „badań”. Dorothe nie wytrzymała ich długo. Gdy kat zaczął miażdżyć jej stopy, polewać rozgrzaną smołą i przypiekać rozżarzonym do czerwoności żelazem, złamała się i przyznała do wszystkich zarzucanych jej czynów. Pytana o udział w sabatach, prawdopodobnie z zemsty podała nazwiska swoich sąsiadów. Z detalami opisała diabelską biesiadę, na której kucharzem miał być sąsiad z Gocławic Piotr Notwyg, a Adam Shueknecht z Moiszewa miał pomagać mu warzyć jadło w wielkim czarnym garze. Karczmarza z sąsiedniej wsi oskarżyła zaś o dostarczenie czterech beczek piwa.

Rada miasta Trzebiatowa wydała na Dorothe Schwarz wyrok śmierci. W kilka dni później kobieta została żywcem spalona na stosie na wzgórzach

niedaleko miasta.

Piotr patrzył w zamyśleniu w ekran komputera.

– Dwie awanturnice – powiedział w końcu. – Jedna z siedemnastego wieku, druga z dwudziestego pierwszego. Opisywane w prasie wesele i opis diabelskiej biesiady.

– Tylko Trzebiatów i Modlimowo trochę się rozjeżdżają – stwierdziła Paulina. – Przez takie właśnie drobiazgi zastanawiam się, czy po prostu nie zasugerowałam się swoim tematem…

– Zgadza się – mruknął Piotr, cały czas patrząc w monitor.

– Co? – Paulina spojrzała na niego zbita z tropu. – Co się zgadza?

– Marlena Ćwiek mieszkała z mężem w Trzebiatowie, ale pochodziła z Modlimowa. Do dziś mieszkają tam jej rodzice.

– No to coraz lepiej.

Piotr odwrócił wzrok od ekranu i spojrzał na Paulinę z namysłem.

– Następna kobieta, trzecia w kolejności, to Bogdana Gancarczyk. I trzeci demon, Caim. O niej było w mediach najwięcej. – Przewinął myszką stronę. – Miała dom w Recławiu. Lokalna działaczka ekologiczna, propagatorka ochrony przyrody, prowadziła kółko przyrodnicze w szkole podstawowej w Wolinie. Całe wakacje w zeszłym roku pisali o jej batalii przeciwko budowie fermy norek w Recławiu. Zaginęła trzydziestego pierwszego maja. Znaleziono ją ze złamanym karkiem dwudziestego czerwca.

– Demon Caim naucza śpiewu ptaków, ryku bydła, szczekania psów i dźwięków innych stworzeń… – przeczytała Paulina.

– A czarownica?

– Żona Petra Bugdahna. Z Recławia.

W roku 1618 przed sąd w Wolinie trafiła mieszkanka Recławia, żona Petra Bugdahna. Oskarżona została o to, że rzekomo wygubiła czarami trzodę miejscowego dziedzica z rodu von Zastrow. Jej winę potwierdziła także inna, wcześniej spalona na Wzgórzu Wisielców za Wolinem czarownica z niedalekiej wsi. Oskarżona kobieta nie przyznała się do winy ani podczas wstępnego przesłuchania przed sądem ławniczym z Wolina, ani

podczas tortur, na które ów sąd ją skazał. Wyczerpaną niewiastę wrzucono do lochu, gdzie zmarła w nocy od zadanych ran. Werdykt sądu mógł być tylko jeden – to szatan pozwolił jej umrzeć, żeby uniknęła odpowiedzialności. Mąż, który zażądał wydania zwłok i wglądu do protokołu przesłuchania, natrafił na tępy opór urzędników wolińskiego sądu, którymi zakulisowo sterował von Zastrow. Ale Peter Bugdahn nie zamierzał rezygnować. Wniósł skargę do samego księcia Franciszka, a sąd ławniczy ze Szczecina przyznał mu rację i zalecił wypłacić odszkodowanie w wysokości stu talarów. Von Zastrow nie zamierzał jednak zapłacić ani jednego talara. Oskarżył samego Bugdahna o konszachty z diabłem i o to, że wspólnie z żoną uprawiali czary i szkodzili sąsiadom, niszcząc ich plony i zabijając bydło i trzodę.

Sąd szczeciński oddalił to oskarżenie, utrzymując w mocy poprzedni werdykt. Przy okazji uzyskano jednak wgląd w akta postępowania sądu wolińskiego. Wynikało z nich, że znaleziona w celi martwa Bugdahnowa miała złamany kark.

– Gancarczyk prowadziła batalię przeciwko miejscowemu hodowcy, a jej poprzedniczka sprzed czterystu lat naraziła się czymś dziedzicowi. – Piotr zagryzł wargi. – Jak się nazywał ten facet? Pamiętasz?

Paulina od razu domyśliła się, o kogo chodzi.

– Marian Wróbel. Ustosunkowany lokalny bogacz.

– Ale z tego, co pamiętam, ferma w końcu nie powstała.

– Wokół tej sprawy zrobiło się za dużo hałasu. Zainteresowała się nią prasa ogólnokrajowa i gmina wycofała się z popierania projektu.

– Te dwie kobiety dzieli czterysta lat. Co one mogą mieć ze sobą wspólnego?

– Zwróć uwagę na tło tej historii. – Paulina zniżyła głos, uśmiechając się jednocześnie do mijającego jej biurko kolegi. – Z akt procesu Bugdahnowej wynika, że za bredniami o czary, w które pewnie sam von Zastrow nie wierzył, mogło stać coś więcej. Może chciał przejąć ich ziemie, może coś budował i potrzebne mu były jakieś tereny, cokolwiek. W każdym razie prawdopodobnie chciał się pozbyć Bugdahnów. Gdy lokalne władze przekroczyły swoje kompetencje, w sprawę wdał się sąd książęcy ze Szczecina. Zastrow się przestraszył, że coś wyjdzie na jaw, jakieś jego

ciemne sprawki, i ktoś po prostu skręcił Bugdahnowej kark.

– Ten Wróbel też był podejrzewany. – Piotr pokiwał głową, śledząc tymczasem otwarty tekst starego artykułu. – Prasa pisała o jakichś jego spekulacjach podatkowych. Radni z Wolina przestraszyli się i wycofali poparcie dla inwestycji. No dobra, ale co? Sugerujesz, że to jednak Wróbel zabił Gancarczyk? Zaczynam się domyślać, co ci chodzi po głowie…

– Wróbel lub ktoś inny…

– Dobra! A teraz powiesz mi, co to była za sprawa w Międzyzdrojach! – Piotr pochylił się w kierunku Pauliny. – Przejrzałem miejscowe portale. Od trzynastego do czternastego, czyli wtedy, kiedy byłaś w jakichś tajemniczych sprawach na Wolinie, pisali jedynie o włamaniu do lokalu w Międzyzdrojach i o tym, że utopił się jakiś klecha. Domyślam się, że to nie ty włamałaś się do knajpy?

Paulina westchnęła i ściszyła głos.

– Nie wolno ci nic nikomu powiedzieć! – wyszeptała.

– Zaczynasz mnie przerażać.

– We wtorek byłam z przyjaciółmi w pewnym miejscu i znaleźliśmy tam ten oto notes. W nocy był sztorm i miejscowy ksiądz, który znany był z tego, że łaził po pijaku po lesie, wpadł do kanału portowego i się utopił. To u niego policja znalazła siedem kartoników z rysunkami demonów…

– Ja… – Piotr otworzył szeroko oczy. – A dlaczego was przesłuchiwali? Bo przesłuchiwali, skoro zrobiłaś zdjęcie na policyjnym biurku, prawda?

Paulina skinęła głową.

– Tej nocy wybraliśmy się po prostu na spacer i ludzie ze wsi zapamiętali, że jakieś głośne towarzystwo łaziło po wsi w czasie sztormu. Wolałam sama pojechać na posterunek, niż czekać, aż mnie stąd wywloką siłą. – Machnęła ręką w kierunku przeszklonego wyjścia z redakcji.

– A ten notes znaleźliście gdzie? W lesie? Ksiądz go zgubił?

– O Jezu! Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć.

– Przecież powinniście go oddać policji! – Piotr patrzył na Paulinę z przerażeniem. – To chyba dowód w śledztwie?

– Nie mogliśmy, bo, powiedzmy, że weszliśmy w jego posiadanie

w sposób nie do końca legalny.

Piotr otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko westchnął i patrzył na Paulinę z malującym się na twarzy niedowierzaniem.

*

Psychotropy zaczął brać bardzo wcześnie. Jak tylko się zorientował, że dzięki nim można łatwiej zasnąć. Bywało, że po kilka dni z rzędu strach nie pozwalał mu zmrużyć oka. Może na godzinę zapadał w nerwowy letarg, a na drugi dzień w szkole lub w pracy był jak zombie. Po trzech takich nocach był kompletnie wyczerpany. Z pigułami początkowo był problem. Lekarze bardzo niechętnie od razu dawali mu receptę na oxazepam lub jakieś inne benzodiazepiny. Lekarz rodzinny wypisywał mu skierowanie do specjalisty, specjalista mógł go przyjąć dopiero za miesiąc i wszystko przeciągało się w nieskończoność.

Ale równie wcześnie co psychotropy odkrył, że dzięki swojej powierzchowności jest w stanie załatwić wiele rzeczy inną drogą. Wystarczyło znaleźć przez Tinder lub Grindr jakąś niedopieszczoną babkę lub napalonego faceta, nawet niekoniecznie lekarza, wystarczył technik farmacji, żeby mógł dostać to, czego chciał.

Ale był rozsądny. Unikał barbituranów, których wprawdzie już prawie nikt nie stosował, ale które można było nielegalnie ściągnąć z netu, z jakiegoś rosyjskiego czy tureckiego źródła. Wprowadzały w przyjemny stan relaksu i spokoju, wywoływały narkotyczne sny, ale były bardzo toksyczne, uzależniające, a przedawkowanie mogło grozić śmiercią.

Generalnie wystarczały benzodiazepiny, które były bezpieczniejsze. I zolpidem, który pozwalał na zdrowy i spokojny sen.

Chyba że używało się go w inny sposób niż podany na opakowaniu.

*

Paulina zamknęła notes Kłosowskiego i odsunęła go od siebie. O tym, że nie oddali go policji, myślała już wielokrotnie. Zamartwiała się tym i bez wyrzutów Piotrusia. Zwłaszcza teraz, gdy wyszły na jaw takie dziwne sprawy, które w jakiś sposób mogły łączyć Kłosowskiego z morderstwami.

– Na Gancarczyk kończą się kobiety i demony z notesu. – Wskazała go oczami. – Pozostałe cztery demony znamy dzięki księdzu Merinowi.

– Który zginął czternastego marca – powiedział Piotr grobowym głosem.

– W wyniku wypadku. – Paulina zniżyła głos, rzucając uspokajający uśmiech Pawłowi, który od jakiegoś czasu, co zauważyła z niepokojem, zaczął ich obserwować.

– Potem sierpień. Czternasty sierpnia na kartoniku z wizerunkiem demona Baela. Mamy dwie zaginione w tym okresie kobiety. Staruszkę ze Stargardu, która się w końcu znalazła, niejaką…

– Ją możemy pominąć.

– Okay. W takim razie zostaje tylko Monika Frątczak. Ze Słupska. Zaginęła piątego sierpnia. Mężatka. Jej mąż prowadzi przetwórnię ryb w Słupskiej Strefie Ekonomicznej. Była znana z feministycznych artykułów w miejscowej prasie i kilku opracowań naukowych. Wykładała w Gdańskiej Wyższej Szkole Humanistycznej. Robiła doktorat na kierunku humanistyczno-społecznym – wyliczał Piotr.

– Demon Bael. – Paulina przesunęła palcem po ekranie tabletu, na którym po chwili ukazał się rysunek.

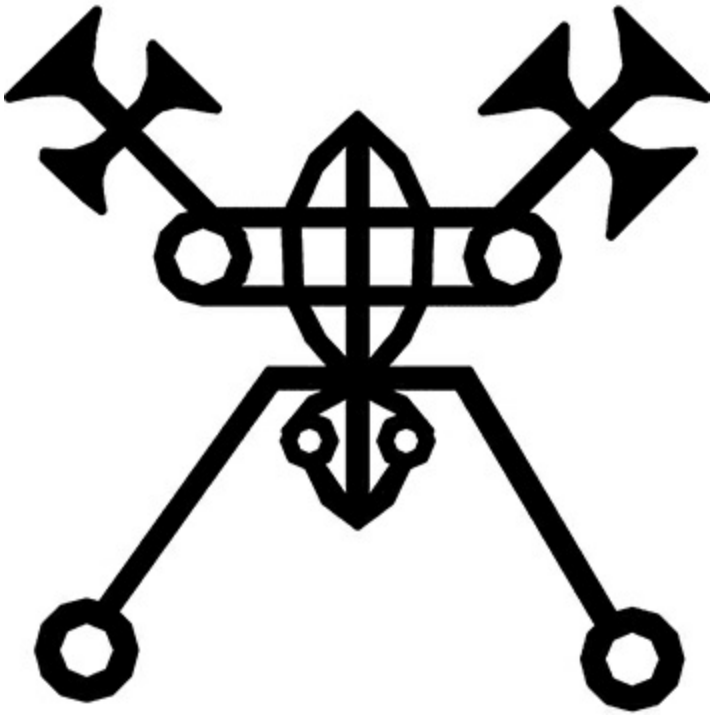

– Demon Bael potrafi obdarzyć człowieka mądrością… – przeczytała opis widniejący pod symbolem.

Piotr przez chwilę przyglądał się grafice, po czym przeniósł wzrok z powrotem na monitor. Odwrócił go lekko w stronę Pauliny, pokazując zdjęcie uśmiechniętej młodej kobiety z wielkimi zielonymi oczami. Miała wściekle rude włosy związane apaszką.

– Mam rodzinę w Słupsku. Może chodzić chyba tylko o jedną czarownicę.

Paulina pokiwała głową.

Kathrin Zimmermann do Słupska przybyła z Postomina. Urodziła się w północno-wschodnich Niemczech, w niewielkim miasteczku w Westfalii. Tam poznała swojego pierwszego męża Martina Nipkowa, który przywiózł ją na Pomorze. Do Słupska przenieśli się, skuszeni obietnicą objęcia przez Martina miejskiej kuźni. Gdy jednak niedługo potem Martin zmarł, nad głową Kathrin zaczęły się zbierać ciemne chmury. Wkrótce ponownie wyszła za mąż za rzeźnika Andreasa Zimmermanna, a jego sklep, dzięki jej handlowym talentom, zaczął wyśmienicie prosperować. Wszystkie źródła zgodnie twierdzą, że Kathrin doskonale znała się na medycynie ludowej, a jej

ziołowe specyfiki cieszyły się popularnością wśród miejscowej ludności. Ale wokół niej już powoli zaciskała się stalowa obręcz pomówień, plotek, zazdrości i uprzedzeń. Z początkiem maja 1701 roku została oskarżona przez miejscowego aptekarza Zieneckera o uprawianie czarnej magii i obcowanie z diabłem. Miała rzekomo zapisać swoją duszę szatanowi i brać udział w sabatach. To przez nią na miasto spadały plagi, a ludziom padały zwierzęta i niszczały plony. Kathrin pierwszą partię tortur przetrzymała, nadal twierdząc, że jest niewinna. Gdy jednak ledwie żywą wleczono ją do celi, zdała sobie sprawę, że długo nie wytrzyma. Zdołała się wyrwać strażnikom i rzuciła się do Słupi. Gdy ją pochwycono i zamknięto, poczęła walić głową o kamień, ale i to nic nie dało. Spętano ją łańcuchem i przykuto do ściany. Po kolejnej turze tortur przyznała się do wszystkich zarzutów i mimo że odwołała je na drugi dzień, wydano na nią wyrok. Jedyny wówczas, jaki był udziałem kobiet oskarżonych o czary. Spłonęła 30 sierpnia 1701 roku nieopodal murów miejskich, tuż obok baszty, którą do dzisiaj mieszkańcy nazywają Basztą Czarownic.

– Nazywano ją Trina Papisten. – Piotr ponownie spojrzał na monitor, na którym wciąż uśmiechała się ruda doktorantka. – I była ruda. Jak ta Frątczak. Podobno była Polką.

– Wątpię. – Paulina wzruszyła ramionami. Zdała sobie sprawę, że w ciągu ostatniego tygodnia na temat stosów, inkwizycji i czarów znalazła tyle informacji, ilu w innych okolicznościach nie zdobyłaby pewnie przez całe życie. – Podobno rzeczywiście w niektórych źródłach nazywana była „Trine – Polish, Katolish”, czyli „Kaśka – Polka, katolka”, ale to o niczym nie świadczy. Według źródeł urodziła się przecież w Westfalii. Jej pierwszy mąż, sądząc z nazwiska, mógł być Kaszubem, ale to nie czyni z niej ani Kaszubki, ani tym bardziej Polki. Równie dobrze ja mogłabym być Niemką, bo nazywam się Weber.

– Monika Frątczak była dość znaną miejscową feministką. – Piotr oderwał wzrok od zdjęcia kobiety i spojrzał na Paulinę. – W Słupsku od kilku lat działa Stowarzyszenie Triny Papisten, walczące o równouprawnienie, prawa kobiet i tolerancję. Trina ma nawet rondo swojego imienia.

Paulina się zamyśliła. Zaraz po nadaniu tej nazwy na prawicowych forach i w prasie wybuchła awantura – prezydenta, który podjął tę decyzję,

odsądzano od czci i wiary. Wszędzie przypominano też o tym, że to niemieccy protestanci spalili na stosie Polkę katoliczkę. Festiwal obłudy. Kathrin została spalona, bo była obca, bo była ruda i dlatego, że jako kobieta miała czelność być bardziej przedsiębiorcza niż wielu mężczyzn, a nie dlatego, że była Polką. Pomijając już w ogóle to, że najprawdopodobniej żadną Polką nie była.

– Wiedziałeś o tym, że *Młot na czarownice* uznaje rude kobiety za szczególnie podatne na czarną magię, za wyjątkowo lubieżne i zepsute moralnie? A o tym, że prezydent Słupska uczcił Trinę pod wpływem niemieckiego pastora Hartmuta Hegelera, który od wielu lat działa na rzecz rehabilitacji zamordowanych w Niemczech kobiet?

– Czytałem o tym. Czy mi się wydaje, czy ten temat jakoś cię irytuje?

Paulina przez chwilę patrzyła w przestrzeń, analizując swoje uczucia. Pomyślała, że chyba przeciwnie. Zaczęła właśnie emocjonalnie zapominać o tym, co się stało w kancelarii Marty.

Teraz zaprzeczyła. Komuś jednak będzie musiała o tym powiedzieć.

– Dobra. – Piotr sięgnął po swoje notatki. – Wiemy, za co zginęła Trina. A za co Monika Frątczak?

– Nie wiemy na pewno, czy zginęła.

– Zaginęła w sierpniu zeszłego roku. Mało prawdopodobne, że żyje.

– Są jeszcze trzy daty i trzy demony.

Piotr kiwnął głową.

– Następny w kolejności demon to Berith. I według naszej teorii przypadał na październik.

Paulina otworzyła kolejną grafikę i pochyliła się nad swoim tabletem.

– Demon Berith mówi prawdę o przeszłości i teraźniejszości i przepowiada przyszłość. Umie też obdarzyć zaszczytami. Jest wielkim kłamcą i nie należy ufać jego radom… – przeczytała i podniosła wzrok na Piotra. – Czy któraś z zaginionych kobiet pasuje do tego opisu? Pamiętam, że tak.

– W październiku były trzy kobiety. Młoda zamordowana dziewczyna, licealistka. Eliza Kot…

– Ją skreślamy. – Paulina pokręciła głową.

– Zostaje Beata Lipińska ze Skwierzyny. Samotna emerytka, korzystająca z pomocy opieki społecznej. I, no właśnie… – Piotr zagryzł wargi. – Weronika Król. Wróżbiarka z Marianowa. Zaginęła drugiego października. Znalazłem w sieci starą wiadomość z kroniki policyjnej, że została pobita przez mężczyznę, któremu przepowiedziała szczęście w rodzinie, tymczasem miesiąc później umarła mu żona.

Paulina przesunęła palcem po swoim tablecie i po chwili zaczęła czytać.

Wolde Albrechts, samotna, według niektórych źródeł także upośledzona umysłowo wróżbiarka i żebraczka z Marianowa, została aresztowana 28 lipca 1619 roku. Obwiniono ją o uprawianie czarów i uczenie praktyk

magicznych. Jej protektorką miała być Sydonia von Borck, która w rzeczywistości opiekowała się biedną zielarką. Wolde spłonęła na stosie 19 października 1619 roku, na Diabelskiej Górze niedaleko wsi Wierzchowo.

– W rzeczywistości była to sprawa wręcz polityczna. – Paulina podniosła głowę znad tabletu. – To ona stała się narzędziem, za pomocą którego skazano Sydonię von Borck i oskarżono ją o rzucenie klątwy na dom książęcy. Zmuszono ją do zeznań, dzięki którym rodzina mogła wtrącić staruszkę Sydonię do lochu i położyć łapę na jej spadku.

– Weronika Król miała nieślubne dziecko. – Piotr zajrzał do notatek Pauliny. – Z tego, co widzę, to Wolde Albrechts także.

– Zostają dwa demony. – Paulina ponownie sięgnęła po swój tablet. – Szósty w kolejności, przypadający na grudzień, to demon Sitri.

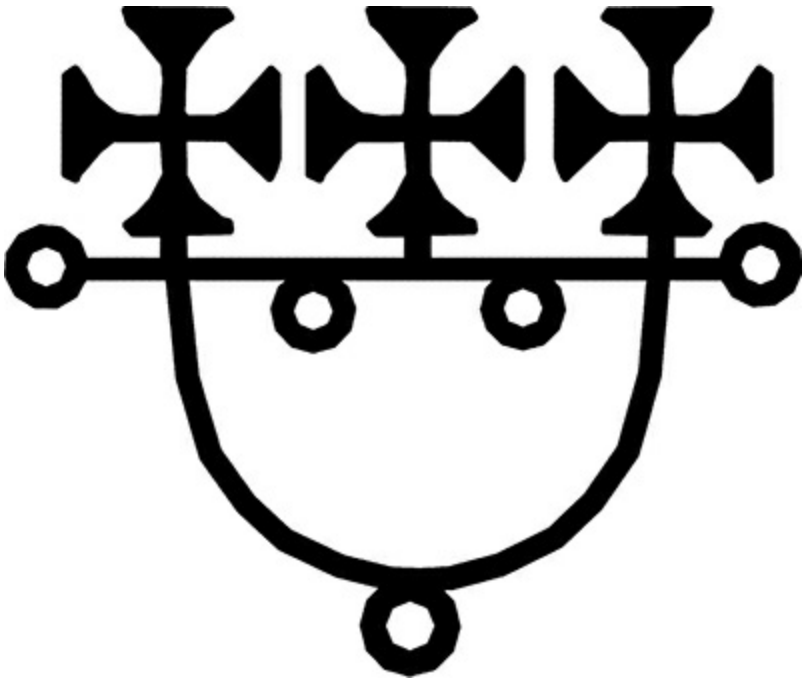

Piotr patrzył przez chwilę na czarną pieczęć symbolizującą dwunastego ducha goecji.

– Andżelika Kurska – powiedział w końcu. – Czyli trup w worku z Dąbia.

Paulina przytaknęła.

– Prostytutka. Zaginęła pod koniec grudnia. Podejrzewana o zamordowanie noworodka przy współudziale swojego przyrodniego brata.

– Przesunęła palcem po ekranie, odsłaniając opis demona. – Demon Sitri rozpala miłość kobiet do mężczyzn i mężczyzn do kobiet. Potrafi też nakłonić kobiety do rozebrania się…

Przez chwilę patrzyli na siebie, nic nie mówiąc, po czym Paulina pochyliła się nad tabletem.

Margarete Köller z Moracza aresztowano 2 września 1596 roku… Oskarżenie wniósł nazywany pogromcą czarownic przełożony kapituły katedralnej w Kamieniu Pomorskim Hans Heinrich von Flemming. Kobietę, oprócz posługiwania się czarną magią, oskarżono także o uprawianie nierządu i zamordowanie własnego dziecka. W toku procesu ustalono, że Margarete do prostytucji zmusił jej przyrodni brat Fryderyk Köller, który był także ojcem jej dziecka. To on, zaraz po urodzeniu, miał je wsadzić do worka i zakopać w polu. Mężczyznę skazano na wysoką grzywnę oraz banicję, Margarete natomiast na śmierć przez utopienie. W grudniu tego samego roku wyrok wykonano.

– Niedobrze mi się już robi, jak o tym czytam. Na szczęście to już ostatni, siódmy demon, Marbas. – Paulina otworzyła ostatni rysunek.

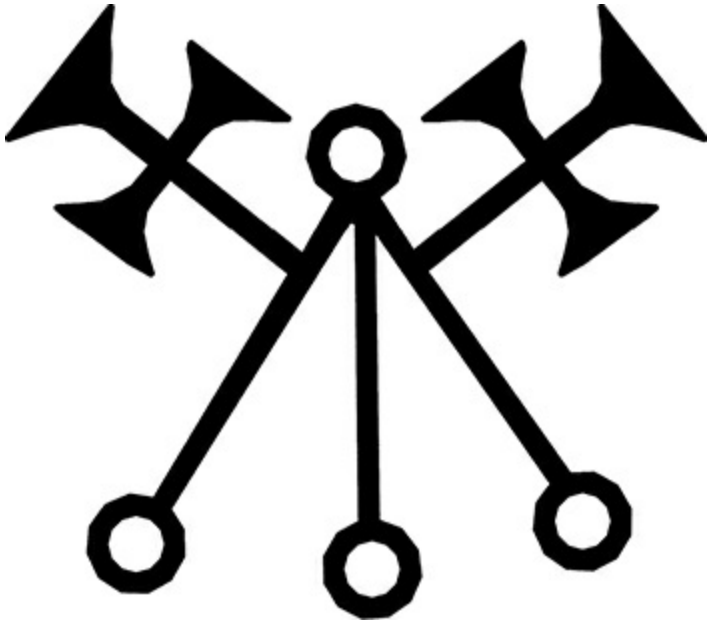

– Umie sprowadzać choroby i je leczyć. Obdarza umiejętnościami z zakresu mechaniki, wielką mądrością i wiedzą… – przeczytała.

Piotr przez chwilę przyglądał się pieczęci ostatniego demona, po czym podniósł wzrok.

– Ale w okolicach lutego i marca nie ma żadnych zaginionych ani zamordowanych w niewyjaśnionych okolicznościach kobiet. Mówiłem ci, przejrzałem wszystkie serwisy i strony policyjne.

Przez moment patrzył na Paulinę i nagle szeroko otworzył oczy.

– Kurwa! Dobrosielska! Zapomniałem!

Paulina pokiwała głową.

– Właśnie wytoczono jej sprawę o to, że w jej aptece farmaceutka sprzedała komuś niewłaściwy lek. Wczoraj jakiś dziennikarz z radia pytał o nią na konferencji w prokuraturze. Mąż w środę wieczorem zgłosił zaginięcie. A jej alter ego to Elsa von Dobbersitz.

Piotr ze wzrokiem wbitym w przestrzeń wysłuchał ostatniego opisu.

– Miała dwa fakultety. Z rehabilitacji na AWF-ie i z czegoś związanego z mechaniką gruntów. Dobrosielska znaczy.

Po chwili, jakby coś go zastanowiło, zmarszczył brwi i z niedowierzaniem spojrzał na Paulinę.

– W środę wieczorem? To był piętnasty!

– No właśnie…

– Jezu! Twoja fotka z komisariatu, na której są demony, była…

– Zrobiona piętnastego, ale kartki z symbolami policja znalazła w nocy z wtorku na środę.

Piotr patrzył na Paulinę z przerażeniem.

– Więc ten ktoś ją miał, zanim zgłoszono zaginięcie Dobrosielskiej!

– W dalszym ciągu nie mogę się pogodzić z tymi czarownicami – westchnęła Paulina. – To kompletne szaleństwo. Tak jakby ktoś specjalnie dobrał te zaginione kobiety…

– Żeby pasowały do czarownic – dokończył Piotr i złapał się za głowę, mierzwiąc sobie krótkie włosy. – Wiesz, co to może znaczyć?

– Boję się powiedzieć na głos. Poza tym, brakuje mi jeszcze jakiegoś potwierdzenia. Jednego elementu, który to uprawdopodobni…

Piotr nagle coś sobie przypomniał.

– Zaraz! Od rana o tym właśnie próbowałem ci powiedzieć!

– O czym?

– Jak kazałaś mi przejrzeć film tego szczeniaka, no ten z Wyspy Robiena, to coś tam znalazłem!

Gwałtownie wstał od biurka i pobiegł do swojego kąta.

Paulina rozejrzała się dokoła. Przez chwilę miała wrażenie, jakby się dopiero obudziła. Rozmowa z Piotrem kompletnie oderwała ją od rzeczywistości.

Spojrzała na zegar. Była trzecia. Wokół niektórzy szczęściarze powoli zbierali się do wyjścia. Piątek. Weekend.

Zapomniała o ściszonej komórce! Chryste! Mateusz!

Dziesięć nieodebranych połączeń!

Widziała, że Paweł przygląda się jej dziwnym wzrokiem ze swojego aneksu.

Piotr podbiegł do jej biurka i z rozmachem usiadł naprzeciwko.

– Popatrz! Pamiętasz, co mówiła Baśka? O tym, że ta zamordowana dziewczyna była wydziarana? Miała taki mały tatuaż na karku. Zrobiłem powiększenie i Kuba z grafiki pomógł mi to wyostrzyć.

Na powiększonym kolorowym wydruku widać było czarne litery. Układały się w dwa dziwne słowa:

massa damnata

– Co to znaczy? – Paulina przekrzywiła głowę, usiłując odczytać niewyraźny napis.

– Łacińska sentencja. Oczywiście wygrzebałem z netu, co to jest, i teraz, po tym, o czym mówiliśmy, to dopiero zaczyna pasować.

– Ale co to znaczy!?

– W tłumaczeniu, żeby zachować sens: ludzie potępieni.

– Co takiego? – Paulina spojrzała na Piotra z niedowierzaniem.

– Ludzie potępieni. Teologia według świętego Augustyna. Ale to nie

wszystko. – Piotr wyciągnął trzy kolorowe kserokopie i położył je przed Pauliną.

– Rok temu, jak pisaliśmy o Gancarczyk, prokuratura udostępniła nam kilka fotek do publikacji. Paweł załatwił. Wygrzebałem to dziś rano z archiwum. Początkowo myślałem, że to jakieś modne hasło, jakaś sentencja, którą tatuują sobie ludzie, ale Gancarczyk i Kurska różnią się wiekiem. Teraz to wszystko nabiera innego znaczenia…

Paulina z przerażeniem patrzyła na słowa wytatuowane na bladym zdeformowanym karku kobiety, którą wyłowiono z Dziwny w czerwcu zeszłego roku. Dokładnie takie same: *massa damnata*.

– Co wy właściwie robicie? Obserwuję was od godziny.

Oboje aż podskoczyli. Nawet nie zauważyli, że obok biurka stanął Paweł.

– A ty miałaś mi do trzeciej dać znać, co robimy z twoim artykułem o czarownicach.

– Paweł… – Paulina z trudem oderwała wzrok od fotografii.

– Co to w ogóle jest? – Paweł chwycił jedno ze zdjęć i zaczął mu się przyglądać.

– Paweł! – Piotr spojrzał na Paulinę. – Czy do jutrzejszego, sobotniego wydania można coś jeszcze wstawić?

– Zwariowałeś!? – W głosie Pauliny zabrzmiała autentyczna panika. – Miałeś nic nikomu nie mówić!

– O czym nie mówić? – Paweł oderwał wzrok od zdjęcia i spojrzał czujnie na Paulinę.

– To jest sensacja! Wiesz, co się będzie działo!?

– Miałeś nic nie mówić!

– Nie napiszemy o demonach! Ani nic z tych twoich rzeczy z Wolina! Tylko resztę!

– O czym wy mówicie, do diabła!? – Paweł rzucił zdjęcie na stół i oparł się dwoma rękami o blat, wbijając wzrok w Paulinę.

*

Jego obecny pracodawca nakrył go kiedyś na wciąganiu zolpidemu. Wiedział, że robiąc to, nie postępuje zbyt mądrze. Zdarzało mu się to jednak rzadko. Tylko wtedy, gdy miał pewność, że następny dzień będzie miał wolny i że będzie mógł go poświęcić na dochodzenie do siebie. Myślał, że gość od razu go wyrzuci, ale on tylko o wszystko go wypytał i kazał mu, żeby na siebie uważał.

Facet był dziwny. Oczywiście wiedział, kim jest, widział go wcześniej w telewizji i czytał jego wypowiedzi, ale zaskoczyło go, że jest tak bardzo w porządku. Może politycy trzymają przyzwoitość w szafie i zakładają ja tylko w domu, po pracy? Jak kapcie.

Widział u niego mnóstwo książek o tematyce religijnej. Kiedyś zapytał, czy może czasami wziąć sobie coś do poczytania.

I w ten sposób odkrył bezdennie mroczny świat teologii chrześcijańskiej.

Rozdział 27

Sobota, 18 marca

Kochała męża, ale to nie była łatwa miłość. Hubert ewidentnie miał problemy z okazywaniem uczuć. Od zawsze było tak, jakby nigdy do końca go nie poznała. Winiła za to jego przeszłość. Wychował się w sierocińcu. Rodzice oddali go do domu dziecka, gdy był maluchem, i nigdy nie próbowali go odnaleźć ani się z nim kontaktować. Wiedziała, że on za to próbował ich szukać. Bezskutecznie. Dzieciństwo spędzone w domu dziecka musiało jakoś się na nim odbić. Potrafiła to sobie tylko wyobrazić, podobne historie widywała jedynie w filmach. Sama była wychowana w szczęśliwym i zamożnym domu. Miała rodziców, którzy dali jej mnóstwo czułości, gdy była malutka, i sprawili, że dzieciństwo stało się wielkim skarbem, do którego zawsze mogła wracać myślami i czerpać z niego siłę.

Bywało, że znikał i wracał na drugi dzień. Bez słowa. Zawsze tłumaczył to interesami, niespodziewanym wyjazdem. Odbierał telefon i rzucał tylko, że wraca jutro i że nie będzie go na kolacji. Początkowo podejrzewała, że ma kochankę. Nawet zaczęła grzebać w jego rzeczach, sprawdzać kieszenie w płaszczu i kurtce, wąchać jego koszule, kiedy wrzucał je do kosza z rzeczami do prania. Nie odkryła niczego. Nigdy.

Nigdy się nie dowiedziała, czy to ona była taka nieudolna w swoim śledztwie, czy po prostu nie było ku niemu powodów.

*

Igor obudził się około dziesiątej. Piątkowy wieczór spędził z Johannem, Gwen i Dermotem. Drugi z kolei bez udziału Pauliny. Dzwonił do niej kilka razy, żeby wyciągnąć ją z domu, ale nawet nie odebrała telefonu. Dopiero około osiemnastej przysłała lakoniczną wiadomość, że przeprasza, ale nie może rozmawiać.

Wieczór był całkiem udany, jak zresztą zawsze w towarzystwie Anglików. Dołączyli do nich jeszcze jego miejscowi znajomi, którzy akurat się nawinęli w klubie, i było bardzo przyjemnie. Może to i lepiej, że jej nie było. Na takie spotkanie przyszłaby pewnie z tym swoim Mateuszem, psując cały nastrój. Jego nastrój na pewno.

Jak zawsze po imprezie, snuł się teraz po domu trochę śnięty, niezdarnie szykując sobie śniadanie, przeglądając gazety lub marnując czas na portale internetowe i Facebooka.

Co takiego ważnego mogła mieć na głowie, żeby olać towarzystwo Johanna i Gwen? Jutro wyjeżdżają i pewnie teraz zobaczą się dopiero za kilka miesięcy, bo było raczej mało prawdopodobne, że rozmowy w Szczecinie doprowadzą do czegoś, co skutkowałoby ich częstszymi spotkaniami.

Przełożył parówki na talerz, do tego dorzucił dwie pajdy chleba, chwycił szklankę z sokiem pomarańczowym i powlókł się w kierunku biurka. Z rezygnacją myślał o tym, że zaraz będzie się musiał zabrać za inwentaryzację domu na klifie. Mimo że w pracy poprosił o pomoc jeszcze dwie osoby, to i tak zostało mu do zrobienia całkiem sporo.

Otworzył plik z rozgrzebanymi rysunkami rzutów i przekrojów, spojrzał na nie z odrazą i ściągnął program do belki. Otworzył za to przeglądarkę i wbił zęby w kromkę chleba.

Wiadomości, jak sama nazwa wskazuje, powinny dostarczać wiadomości, ale to już historia. Obecnie wszyscy czytają wyłącznie nagłówki, a potem twórczo i kreatywnie je komentują. Zawsze sobie obiecywał, że przestanie czytać posty na portalach i komentarze pod informacjami na Facebooku, ale to było jak heroina. Uzależniało i wyniszczało nerwowo.

Pierwsze, co zobaczył, gdy otworzył Facebooka, to wklejony już przez wszystkich jego znajomych artykuł z „Dziennika Szczecińskiego”. Wielość udostępnień zbliżała się do liczby trzycyfrowej i cały czas rosła. Ściągnął całość i zaintrygowany zaczął czytać. Już po kilku zdaniach zakrztusił się. Zaczął histerycznie kasłać, chwycił szklankę soku i wypił z niej od razu połowę zawartości.

Tytuł artykułu wprost bił po oczach: ***Szczecin Floating Murderer***.

*

Borolę trochę niepokoiła reakcja Igora na projekt w Lubinie. Oczywiście, znał jego poglądy na temat ochrony krajobrazu, intensywności zabudowy i takie tam, ale przecież gdyby nie nowatorskie pomysły, to nie byłoby żadnego rozwoju. Poza tym krajobraz krajobrazem, a żyć trzeba.

Odłożył na bok serwetkę i sięgnął do nakrytej srebrną pokrywką patery, na której gosposia zostawiła dla niego śniadanie.

Nad Flemingiem trzeba będzie trochę popracować. Poza tym coś tam wiedział, że architekt ma jakieś problemy z pieniędzmi. Odpowiednia stymulacja finansowa powinna zdziałać cuda.

Fleming potrafił robić bardzo fajne rzeczy. Nie aż tak artystyczne i wydumane jak te z pretensjonalnych magazynów, które uwielbiała jego żona, ale takie zrozumiałe dla zwykłych ludzi. I o to chodziło. Żeby przemówić miejscowym do rozsądku. Rozwoju nie da się zatrzymać, a lepiej przecież, żeby zajmował się tym ktoś stąd, znający ludzi niż jakaś zachodnia korporacja.

Poza tym miał nadzieję, że Fleming w związku z tą inwentaryzacją nagle z czymś nie wyskoczy. Wyraźnie coś mu nie pasowało, a przecież się zgodził.

I tak to jest z pięknoduchami.

Pomiary domu chciał też zobaczyć Budny. I rzecz w tym, że Borola nie mógł oszacować, jak ważne to jest dla niego oraz w jaki sposób wpłynie na ich współpracę to, że Fleming nagle chciałby się wywinąć z umowy.

Niezadowolony sięgnął po leżący przed nim tablet i otworzył Facebooka.

Zamarł z podniesionym do ust widelcem.

*

Igor skończył czytać i odetchnął głęboko. W pierwszej chwili chciał od razu zadzwonić do Pauliny. Nie podobało mu się, że bez ich wiedzy wykorzystała te dziwne zapisy z notesu Kłosowskiego, ale dopiero w trakcie czytania zdał sobie sprawę, że w ani jednym miejscu nie powołała się na te zapisy.

Cała jej teoria stworzona była na podstawie szokującego podobieństwa pomiędzy współcześnie zaginionymi lub zamordowanymi kobietami a tymi, które żyły w tych samych miasteczkach i wsiach czterysta lat temu. Po kilku pierwszych akapitach miał wprawdzie wątpliwości. Całość wyglądała tak bardzo niewiarygodnie, że trudno ją było przyjąć do wiadomości. Jednak podobieństwa pomiędzy kobietami były ogromne. Miejsce zamieszkania, wiek, podobne doświadczenia życiowe, sprawy sądowe, problemy. Nawet sposób, w jaki zginęły dwie odnalezione kobiety, odpowiadał wyrokom, które zapadły kilkaset lat temu. Zidentyfikowana dopiero niedawno Andżelika Kurska zginęła na skutek utopienia. Dokładnie tak samo jak Margarete Köller, jej poprzedniczka z szesnastego wieku. Bogdanę Gancarczyk odnaleziono ze złamanym karkiem. Tak samo jak Bugdahnową. I do tego ten koszmarny tatuaż, który pojawił się na karkach obu zamordowanych kobiet.

Boże! Skąd ona to wzięła? Na zdjęciu w gazecie widać było dwa łacińskie słowa, których znaczenie wyjaśniono w dodanym do artykułu okienku.

Massa damnata – *potępiona masa ludzka – sformułowanie z teologii świętego Augustyna z Hippony, filozofa i teologa z IV wieku, ojca Kościoła katolickiego. Pochodzi z dzieła* De civitate Dei, *w którym autor opisał doktrynę na temat łaski i grzechu pierworodnego. Zdaniem teologa cała ludzkość dziedziczy grzech Adama i Ewy i stanowi w swej naturze w całości potępioną masę ludzką. Do tego, żeby zdjąć owo odium, nie wystarcza dobroć i bezgrzeszne życie, a jedyną drogą jest łaska Boga. To poglądy Augustyna właśnie, zdaniem wielu teologów, przekształciły z czasem chrześcijaństwo w religię strachu i agresji wobec grzeszników. Wielu jego następców posunęło się do jeszcze bardziej ekstremalnych poglądów. Święty Bonawentura twierdził na przykład, że sprawiedliwi nie mają prawa współczuć grzesznikom, bo współczucie jest współuczestnictwem w cierpieniu. W średniowieczu natomiast mawiano, że potępieńcy są po to, by widokiem ich mąk napawały się dusze w niebie.*

Igor wstał i żeby uspokoić galopadę myśli, zaczął spacerować po mieszkaniu. Niezależnie od tego, że Paulina nie nawiązała w artykule do znalezionego przez nich notesu, fakt pozostawał faktem. Byli w posiadaniu informacji, które, możliwe, mogłyby pomóc w śledztwie. Nawet pomijając

dementi, które już pojawiło się w internecie. Rzeczniczka prokuratury wypowiedziała się, że przedstawione w artykule tezy w najmniejszym stopniu nie odpowiadają aktualnemu stanowi śledztwa i nie ma żadnych podstaw do tego, żeby przyjąć je nawet za prawdopodobne.

Ale prokuratura nie wiedziała o notesie. Czy możliwe, że to był przypadek? Że trzy nazwiska zaginionych kobiet pojawiły się w notatkach sporządzonych przez Kłosowskiego ot tak? A jeszcze przecież były te symbole. Paulina o nich także nie wspomniała.

Przechodząc obok stołu kuchennego, zawadził wzrokiem o swój telefon.

Nie ma siły. Za chwilę pewnie zadzwoni matka.

*

Borola, z szeroko otwartymi oczami, doczytał artykuł do końca i zaklął pod nosem. Niezła afera. I to teraz, gdy powoli zbliżają się wybory samorządowe. I ten tytuł wymyślili zajebisty. *Floating Murderer*. Pewnie się tam posrają wszyscy.

A kto to napisał, zaraz? Czy to nie ta sama dziewczyna, która dwa lata temu obsmarowała jego hotel zaraz po pamiętnej katastrofie budowlanej biurowca obok? PW. No jasne. Uśmiechnął się. Ma dziewczyna nosa do dobrych tematów.

Przez chwilę zastanowiło go nazwisko Gancarczyk. Pamiętał je. W zeszłym roku wszyscy o niej pisali w związku z tą sprawą. Kogut chyba mu było, nie… Duda. Nie! Wróbel! Przedsiębiorca!

Rozmawiał o niej także z Cezarym. Wtedy zresztą wszyscy o tym rozmawiali.

A Dobrosielska? Cholera! Jego żona dobrze ją znała. Chodziła do jej klubu fitness. Wprawdzie tu piszą, że mąż na razie tylko zgłosił zaginięcie, ale to i tak afera.

Z czym jeszcze mu się to kojarzy? Czemu ciągle z Kłosowskim?

Ten miejscowy ksiądz często u niego bywał. Nawet Aleksandra mówiła, że nie wie, skąd się nagle wzięła taka ich zażyłość.

Kiedyś słyszał, gdy akurat tam przyjechał, jak rozmawiali. Gospodyni go

wpuściła i powiedziała, że pan Cezary jest w salonie i ma gościa. To wtedy usłyszał, jak mówili coś o jakimś pomagierze Budnego. Jak on się nazywał? Beniamin chyba? Jakoś tak dziwacznie. Ten ksiądz coś wspominał, że on mu się nie podoba, że to jakiś psychol.

Żeby to jeszcze ktoś inny mówił, a nie ten klecha, który sam miał we wsi opinię opętanego. Ale co prawda, to prawda. Ten pomagier na przyjemniaczka nie wyglądał. Chociaż babom to się pewnie podobał.

Borola z powrotem pochylił się nad tabletem.

*

Igor rzucił telefon na stół. Paulina nie odbierała. Domyślał się, że miała teraz prawdziwe urwanie głowy. Pewnie do redakcji dzwonią wszyscy: policja, ratusz, prokuratura. Wprawdzie pod artykułem były jedynie jej inicjały i inicjały jakiegoś tajemniczego osobnika PJ, ale skoro autorstwo było oczywiste dla niego, to pewnie dla wielu innych osób także.

Spojrzał z tęsknotą na swój komputer. Jak to możliwe, że czynność, która jeszcze rano wydawała mu się taka odpychająca, czyli zwykła praca nad inwentaryzacją, teraz jawiła się jako kwintesencja świętego spokoju? W głowie miał taki zamęt, że o żadnej robocie nie mogło być mowy. Cały czas myślał o upiornym notesie.

Były w nim jeszcze nazwiska czterech mężczyzn. A może Kłosowski prowadził śledztwo na własną rękę? Wymienił po prostu kilku swoich podejrzanych. Księdza Jakuba Merina, męża Aleksandry – Huberta Kupca, tego pomocnika pracującego u Budnego o dziwnym imieniu, jak mu było… Bartłomiej? Baltazar! Tak! Baltazar Radwaniuk. I jeszcze był Marian Wróbel, przedsiębiorca, z którym wojowała Gancarczyk.

Ksiądz wprawdzie już nie żyje, ale to u niego znalazły się kartoniki z dziwacznymi rysunkami. A ludzie gadali, że był opętany.

Jezu! A wszystko zaczęło się od poszukiwania skarbu z katedry kamieńskiej.

Jak to w ogóle możliwe? Przypadek? Żeby dwie kompletnie inne sprawy tak się ze sobą wymieszały? Wprawdzie po tym, jak poznał plany Boroli i Budnego dotyczące Lubina, zaczął myśleć, że tak naprawdę chyba nigdy

nikogo nie interesował żaden skarb. Czy więc inwentaryzacja domu na klifie była potrzebna Boroli w kontekście tych planów budowlanych? Trochę to było bez sensu. O co mu więc chodziło?

Jak należy sformułować pytanie?

Jaki mogą mieć związek morderstwa inspirowane procesami czarownic z czasów wojny trzydziestoletniej ze skarbem z katedry kamieńskiej?

Jaki mogą mieć związek morderstwa kobiet z tajemniczymi skarbami z zamku w Dargobądziu, opisanymi przez Kuchtę i Niemkę?

Jaki mogą mieć związek nazistowskie tajemnice z czarownicami z czasów wojny…

Igor nagle się zatrzymał.

*

Dorota stanęła przed lustrem i obrzuciła swoje odbicie krytycznym spojrzeniem. Bez zarzutu. Bez ostentacji i nie za skromnie. Na rozmowę w banku idealnie. Kurt wymyślił, żeby sprawdzić oferty kredytowe w Szczecinie. Jakby sprawy, które już załatwia w związku z tą cholerną ruiną na Pogodnie, nie były wystarczająco nudne.

Czas mijał, a Igor się nie odzywał. Żadnej oferty, żadnej informacji. Mógł od razu powiedzieć, że jest zawalony robotą, to odgrzebałaby jakieś stare znajomości z czasów wspólnej pracy w Szczecinie. Kto wie, może jednak warto pomyśleć o wznowieniu członkostwa w izbie architektów? Trudno. Zanim to jednak nastąpi, będzie musiała jakoś go ponaglić.

Może zrobić to od razu? Spojrzała na telefon.

I akurat w tym momencie zadzwonił.

Sylwia.

– Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy na temat angielskiej kancelarii Carmondeley and Chatfield? Nawet zapamiętałam nazwę.

Dorota poprawiła top i z niezadowoleniem spojrzała na krótką spódnicę. Może jednak włożyć spodnie?

– No i co z tą kancelarią?

– Słyszałam nowe plotki. Wiesz, kto ich reprezentuje w Polsce? Mają

umowę z pewną kancelarią prawniczą z Warszawy, która, wiesz, zna lokalne przepisy i tak dalej…

– Kto?

W tym momencie padło tak znane nazwisko, że nawet Dorota na chwilę poczuła się wstrząśnięta. Co, Bogiem a prawdą, zdarzało jej się bardzo rzadko.

– Pewnie coś ci się pomieszało.

– Nie. No, mówię ci. Szok, nie? A, i jeszcze jedno. Krążą też nowe plotki o tym, czego oni tu w ogóle szukają.

– Boję się zapytać w świetle tego, co przed chwilą usłyszałam.

– Bursztynu.

– Czego?

– Chyba Bursztynowej Komnaty.

Dorota zatrzymała się przed lustrem w połowie obrotu i podniosła wzrok z poziomu swojego tyłka na oczy.

– Czy ty w ogóle jakoś weryfikujesz te plotki? Czy przekazujesz jak leci?

– One nie chodzą po ludziach. To znaczy, po ludziach, ale nie w sensie po ulicy. Wiem to od Ewki. Szefowa Wydziału Gospodarki Nieruchomościami jej to przekazała. A, jeszcze jedno! Czytałaś o tym mordercy?

– Jakim mordercy?

– *Szczecin Floating Murderer*.

– Co takiego!?

– W „Dzienniku Szczecińskim”. Masakra! Weź przeczytaj!

Dorota wzniosła oczy ku niebu i zaczęła ściągać krótką spódnicę.

*

Rozmawiali o tym na Wolinie! Przez chwilę usiłował sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach pojawił się ten temat. Co go sprowokowało?

Noc. Sztorm szalejący za oknami. Siedzieli i rozmawiali o różnych sprawach. Skąd się wziął temat Ahnenerbe?

I nagle sobie przypomniał. Oczywiście! List, a właściwie protokół z przesłuchania, który znajdował się w notesie Kłosowskiego. Złożona na pół kartka z zeznaniami pierwszego sekretarza. Niemka, która przed wojną pracowała w zamku w Dargobądziu, widziała skrzynię z jakąś kolekcją, którą szczególnie interesowała się pewna jednostka specjalna SS. Skrzynię z kolekcją zakopano rzekomo na jakimś czarcim czy świętym wzgórzu. Przesłuchiwany sekretarz słyszał potem, że ta jednostka to mogło być Ahnenerbe.

Czy to może być przypadek?

Kłosowski miał w swoim notesie trzy nazwiska kobiet, przypisane do nich trzy tajemnicze rysunki i protokół z przesłuchania, w którym pada nazwa Ahnenerbe. Czy to może być przypadek?

Igor podszedł do komputera i wpisał w przeglądarkę kilka słów.

Wiosną 1945 roku mieszkańców pewnego małego miasteczka niedaleko Wolsztyna obudził huk silników ciężarówek. Pod osłoną nocy z pobliskiego zamku ewakuowała się supertajna jednostka SS. Gdy na drugi dzień co odważniejsi udali się na zamek, zastali tam wszystkie największe sale parteru i piętra wypełnione od podłogi po sufity starymi woluminami. Prawie każda z zachowanych książek posiadała stempel H, początkowo więc, jako że w zamku mieściła się rezydencja Heinricha Himmlera, uznano, że to jego prywatne zbiory. Dopiero potem okazało się, że jest to symbol pewnej tajnej, działającej w ramach struktur Ahnenerbe jednostki, która nosiła nazwę H-Sonderkommando. Powstała ona we wrześniu 1935 roku na rozkaz Himmlera, a litera H oznaczała Hexen, czyli wiedźmy. Jej głównym zadaniem miało być gromadzenie, katalogowanie i analizowanie wszelkich dokumentów dotyczących procesów o czary. Komando Czarownic interesowało się wszelkimi dokumentami ze średniowiecznej Europy, a także historiami czarownic z Azji i Ameryki. Wszystkie zdobyte dokumenty były przywożone do Berlina. Do dzisiaj istnieje tylko kilka teorii na wyjaśnienie powodów funkcjonowania tej grupy. Początkowo zakładano, że SS szukało w ten sposób wyrafinowanych metod tortur, ale bardziej prawdopodobna jest teoria, że Himmler, owładnięty obsesją parapsychologii i okultyzmu, szukał w ten sposób starożytnej wiedzy, której strażniczkami miały rzekomo być spalone na stosach wiedźmy.

Igor oderwał wzrok od monitora. Miał wrażenie, że to, co przeczytał, zamiast rozjaśnić mu w głowie, wywołało pod czaszką jeszcze większy chaos. Co takiego mogło się znajdować w zamku w Dargobądziu, co interesowałoby H-Sonderkommando? Co to za kolekcja? W skarbcu katedry w Kamieniu Pomorskim nic takiego nie było. Czaszka świętej Korduli? Pomijając wszystko inne, podobno była fałszywa; wykonane po wojnie badania wykazały, że należała do mężczyzny. A na Wolinie? Albo w okolicach Kamienia? Czy w którymś z tamtejszych pałaców albo dworów mogła znajdować się aż tak cenna kolekcja, żeby zainteresowała Ahnenerbe? Archiwum H-Sonderkommando z Berlina pod koniec wojny trafiło do opisanego zamku w Sławie Śląskiej, a po wojnie, po chwilowym braku nadzoru, gdy zamek był plądrowany przez okoliczną ludność, zostało przewiezione do Archiwum Państwowego w Poznaniu, gdzie znajduje się do dzisiaj.

Sława Śląska?

Zamek Duchów?

Dwór Boroli pod Troszynem? Tajemnicza skromna rezydencja w stylu nazistowskiego klasycyzmu Alberta Speera? Dlaczego mu się to teraz przypomniało?

Trzy pałace.

(…) Osobiście byłem świadkiem, jak te przedmioty z rozkazu władz niemieckich ukrywano w 1945 roku koło pałacu i blisko morza. (…)

…i mogą tam być też ważne dokumenty…

…kolekcja… ukryta gdzieś niedaleko pałacu, na wzgórzu…

…na jakimś czarcim czy świętym wzgórzu…

*

Prowadziła tutaj, tonąca o tej porze roku w błocie, wąska częściowo tylko brukowana droga. Spadała ostro w dół, aż pod sam klif, na którym znajdował się punkt widokowy. Jeszcze niedawno stało tu kilka starych, pamiętających koniec dziewiętnastego wieku domów rybackich i kilka równie starych drzew, zaciekle broniących się przed sztormami. I drzewa, i domy przestały

istnieć. Zostały po nich kikuty pni i kikuty ścian fundamentowych. Tylko w jednym miejscu ze środka pobojowiska sterczał samotny ceglany komin.

A dalej u stóp klifów ciągnęły się wąskie dzikie plaże, przy których rozlatywały się stare pomosty rybackie. Niedaleko stała sklecona z desek wiata oraz takiż stół i blat do oporządzania ryb, który kołysał się na jednej grubej nodze, jak na kurzej stopce.

Blat był miejscami poczerniały od krwi i srebrzący się od resztek łusek.

Lubił tutaj przychodzić. Siadał na pomoście i godzinami wpatrywał się w wodę. Szczególnie o tej porze roku. Kikuty bezlistnych drzew, blade szare fale z brudnymi czapami piany i pozbawione koloru niebo. Wszystko to wydawało mu się jeszcze bardziej zagubione niż on sam. Może dlatego czuł się tutaj dobrze.

Nie pamiętał nocy z wtorku na środę. We wtorek wieczorem miał taki zjazd, że musiał ratować się pigułami. To, co się potem działo, tonęło w mroku. Tak jakby we mgle, z której wynurzały się tylko jakieś maski, pnie drzew i czyjeś głosy. Rano obudziły go hałasy, potem policja pytała, czy czegoś nie widział.

Nie znosił tego klechy. Tego jego łażenia po nocach, wchodzenia mu w drogę, gdy chciał być sam, nachodzenia w domu gospodyni.

Ale nic mu nie zrobił. Nie mógł.

Czarna kurtka, naciągnięty na głowę kaptur. Ledwie stał nad tym kanałem, a wiatr tak huczał. Nawalony w trzy dupy, kiwał się tylko na boki.

Wystarczyło podejść i lekko pchnąć.

*

Na studia wyjechała prawie w tym samym czasie, kiedy rodzice kupili dom na Wolinie. Ojciec bardzo się z niego cieszył, wkładał mnóstwo pieniędzy, a także starań i czasu. O matce wiedziała, że przejawia w tej sprawie mniej optymizmu, ale ona prawie nigdy nie sprzeciwiała się ojcu. Wolała chyba zostać w Szczecinie. Mieli wygodny dom w Dąbiu, niedaleko był las, a nad jezioro pięć minut drogi.

Studia na wydziale lekarskim od zawsze były jej marzeniem. Wybrała Gdańsk z bardzo konkretnego powodu. Tam chciał studiować jej ówczesny

chłopak. Rodzice tym wyjazdem byli oczywiście trochę zasmuceni, zwłaszcza ojciec, któremu trudno było się z nią rozstać. Ale wynajęli dla niej mieszkanie w Gdańsku i zadbali, żeby niczego jej nie brakowało.

Chłopak ją rzucił, gdy była na drugim roku. Studia okazały się trudniejsze, niż przypuszczała. Nie spodziewała się aż tak dużej ilości nauki, tylu wyrzeczeń, a po tym, jak została sama, zaczęła mieć coraz większe zaległości. Przez pierwsze miesiące nie była w stanie zmusić się do niczego. Klasycznie złamane serce i klasycznie zawalony rok. Ze studiami potem było coraz gorzej, z życiem różnie. Gdy stwierdziła, że nie poradzi sobie z zaległościami, gdy coraz bardziej odstawała poziomem od swoich kolegów, zdecydowała się wprowadzić w życie plan B. Rodzice bardzo ją od tego odwodzili, proponowali, żeby wzięła urlop dziekański, odczekała rok. Ale po tym, jak zawaliła już jeden, ten byłby kolejny. Na sześcioletnim kierunku. Nie miała na to siły. Przeniosła się na wydział pielęgniarski, który skończyła po dwóch kolejnych latach.

Wyjazd do Szwecji był spontaniczny. Namówiła ją koleżanka. Wylądowały w małej miejscowości, w domu opieki. I to właśnie tam poznała Huberta. Początkowo widywali się tylko raz na jakiś czas. Hubert jeździł w tę i z powrotem, do Polski i do Szwecji. Pracował jako przedstawiciel handlowy jakiegoś koncernu medycznego. Na stałe mieszkał w Gdańsku. Była wtedy szczęśliwa. Chyba zresztą później też.

Ojciec prowadził jakieś wielkie prace budowlane. Zawsze bardzo utyskiwał przez telefon, bo we wszystko zamieszany był nadzór archeologiczny. Wzgórze, na którym stał dom, miało jakiś średniowieczny rodowód. Nigdy się tym nie interesowała.

Pamiętała tylko jakieś wielkie paki, które przez krótki czas stały w piwnicach. To było już po śmierci matki. Bez uprzedzenia przyjechała do ojca na weekend, z czego, ku jej zdziwieniu, nie był jakoś specjalnie zadowolony. W ogrodzie trwały wówczas prace budowlane. Pamiętała, że to chyba wtedy ojciec podjął decyzję o zasypaniu starej lodowni.

*

Słońce zaszło jakąś godzinę temu, chociaż mrok podkradał się podstępnie już od południa. Przez cały dzień było dżdżysto i szaro, a ciemne chmury

starały się szczelnie zasłonić każdy skrawek nieba. Zmierzch przybył tak, jakby wszyscy go oczekiwali. Rozlał się ciemniejącym z każdą godziną mrokiem. Zapalone na ulicach latarnie obudziły cienie, które powyłaziły z kątów i skradały się za przemykającymi przechodniami albo wyglądały zza rogów domów i pni drzew.

Ale tutaj dokoła było całkiem ciemno. Droga prowadząca od strony szosy pogrążona była w całkowitej czerni. Dopiero kilka kilometrów dalej widać było światła pojedynczych domów.

Kochał to miejsce. Zapewniało spokój, odosobnienie i anonimowość. Uwielbiał patrzeć na pogrążony w kompletnej ciemności brzeg. W lecie cały wręcz huczał głosami ptaków, owadów i rozmaitych innych stworzeń. W zimie pogrążał się w surowym milczeniu. O tej porze roku zaś zawieszony był pomiędzy jednym stanem a drugim. Uwielbiał odbijać od nabrzeża łodzią, słyszeć, jak wiosła pogrążają się w wodzie, patrzeć na oddalający się pomost. Nim włączył silnik motorówki, zawsze czekał, aż unosząca się nad wodą cisza trochę go pokołysze.

To był zawsze ostatni etap. Wcale nie mniej satysfakcjonujący niż wszystkie poprzednie. Koniec jednej drogi otwierał widok na nowe. Wracając, zawsze wiedział, że czeka go następna misja. Dawało mu to poczucie siły. No i był to przecież tylko plan. Nie jego. On był jedynie skutecznym mechanizmem. Pionkiem.

Ale teraz rozpoczynał się etap szczególnie podniecający. Najważniejszy. Kolejny.

Początek nowej misji.

Otworzył wielką księgę oprawioną w skórzane okładki i zaczął ją powoli kartkować. Manuskrypt pochodził z osiemnastego wieku, był ciężki i nieporęczny. Stare karty dawno pożółkły, a tekst miejscami wyblakł. Gdzieś był nowszy egzemplarz, sprzed kilku lat, wydany w języku polskim i pewnie znacznie łatwiej byłoby się nim posługiwać, ale stara księga dodawała rytuałowi powagi.

Zatrzymał się na jednej ze stron.

Słuchaj mnie i uczyń wszystkie duchy mnie podległymi, w ten sposób, by każdy duch na nieboskłonie i w eterze, na ziemi i pod ziemią, na suchym

lądzie i pod wodą, w wirującym powietrzu i ogniu gwałtownym oraz każde zaklęcie i bicz boży były mnie posłuszne[32].

Oczywiście nie wierzył w moc tych demonów. Wierzył przecież w Boga, a on był silniejszy. To on kierował jego ścieżkami, rozkazywał mu i wybaczał. Ale wierzył w rytuał. To rytuał wzbogacał każdą misję, dodawał jej smaku, energii, pobudzał wydzielanie endorfin. Przynajmniej dopóki scenariusz nie przestawał go kręcić. Ale wiedział, że potem będzie następny, jakiś inny. I kolejny.

Tymczasem jednak musiał zamknąć ten cykl. Pojawiło się już zbyt dużo śladów. Zbyt wiele osób o tym myślało. Poza tym po śmierci księdza zabrakło jednego z pionków na szachownicy.

I już wiedział, jak to zrobi. Wszystko zostało ułożone. Jeszcze tylko jedna misja na koniec. Nie mógł sobie tego darować. Jeszcze tylko jedna aktorka zagra rolę życia. Taką, na jaką pewnie nigdy w swojej żałosnej, codziennej egzystencji nie miałaby szans.

Przerzucił jeszcze kilka kart. Wiedział, którego ducha szuka.

Czterdziestego piątego demona goecji.

Nazywał się Vine.

Potrafił wskazać czarownice i czarowników, odnaleźć ukryte skarby.

Znał czas, który minął, który teraz się dzieje i rzeczy, które nadejdą…

Rozdział 28

Autobus niemiłosiernie wolno wlókł się po wąskiej drodze. Chyba nie było bardziej depresyjnej trasy ani w Szczecinie, ani okolicach. Najpierw dworzec, gdzie długo czekał na połączenie, potem ulica Kolumba ze zrujnowanymi ceglanymi budynkami, która już za chwilę, już zaraz miała się zamienić w tętniące życiem centrum z pięknymi loftami, w prawdziwą szczecińską Wenecję. Potem gazownia i dalej, ciągnące się w nieskończoność morze baraków, magazynów, strupieszałej zieleni. Jeszcze wiadukt na Sczanieckiej, Krygiera, Ustowska i dalej całkowita ciemność.

*

Dochodziła osiemnasta. Wszyscy wprosili się do Igora na kolację. Najpierw się przeraził, bo nie miał w domu nic nadającego się do jedzenia, ale Gwen od razu go uspokoiła, że może być pizza. Paulina nie chciała spotykać się w knajpie, zwłaszcza teraz, po tym artykule. Podobno miała wrażenie, że wszyscy ją śledzą. Stwierdziła także, że z jej strony należą im się wyjaśnienia.

Igor spędził zatem całe pół godziny z odkurzaczem i pomarańczowym ręcznikiem, który przeżywał obecnie swoje drugie życie jako ścierka do kurzu, co, biorąc pod uwagę zasady reinkarnacji, nie świadczyło dobrze o poprzednim. Właśnie kończył, gdy przypomniał sobie, że miał się odezwać do Lorenca w sprawie spotkania ze złodziejską firmą Practica Investment. Czując od razu, jak potencjometr nastroju wskazuje spadek o kilka kresek, sięgnął po telefon. Na chwilę nad nim zamarł. Złapał się na tym, że mimo wszystko zaczął rozważać ofertę Johanna i stwierdził, że dzisiaj chyba odciągnie go gdzieś na bok i w końcu wydusi z siebie, że jednak nie da rady inaczej. Westchnął i zaczął pisać do swojego prawnika, żeby przełożył spotkanie na inny termin, najbliższy. W poniedziałek nie da rady.

Kończył pisać, gdy komórka zaczęła jazgotać.

– Mamo? – jęknął z rezygnacją.

– Igor, przeczytałam ten artykuł w gazecie. O seryjnym mordercy. Czy ty już kompletnie nie szanujesz rodziny? Ojca?

Igor na chwilę zaniemówił. Stwierdził, że matka, cokolwiek by o niej sądzić, jest jednak cholernie kreatywna. Wciąż potrafiła go zaskoczyć. Z jednej strony oczywiście czuł wręcz automatycznie rosnącą irytację, z drugiej jednak rozpierała go ciekawość, co wymyśliła tym razem.

– Mamo…

– Czy ty wiesz, że Marianowo jest raptem jakieś kilkanaście kilometrów od nas? Wszyscy tutaj znali Weronikę Król. A teraz patrzą na mnie, jakbym była czemuś winna.

– Ale o co chodzi?

– O co, o co? Ty myślisz, że ludzie są głupi? Przecież ta cała Weber była tutaj u nas. Ludzie pamiętają. A teraz napisała takie straszne rzeczy, że ta nieszczęsna kobieta to czarownica.

– Mamo, czytałaś ten artykuł?

– Igor, ja wiem, nie musisz mi nic mówić. Przecież to dla mnie oczywiste, co ona chciała przekazać. Że morderca posługuje się jakimś kodem. Ale ja tu żyję jednak w określonej społeczności. To, niestety, także ciemnota.

– Przed chwilą mówiłaś, że ludzie to głupi nie są.

– Nie łap mnie za słówka. W dodatku ten jej poprzedni artykuł o procesach o czary… Ponoć nawet ksiądz na ambonie pomstował. Chcesz, żeby nam tutaj okna powybijali?

– A skąd ci przyszło do głowy, że ja mam w tej sprawie coś do powiedzenia?

– Przecież wiem, że macie się ku sobie. Nawet ten twój Johann, jak go ostatnio pytałam, przyznał, że mam rację.

– Nikt się nie ma ku sobie! Nie pleć!

– Ja swoje wiem. Słuchaj! Jeszcze jedna sprawa. Postanowiliśmy z ojcem jednak przyjąć zaproszenie Swena i Nataszy i jedziemy do Szwecji.

– Kiedy?

– Na przełomie maja i czerwca, chyba. Na jakieś dwa tygodnie. Niestety,

będziesz musiał co jakiś czas wpadać do Dalewa, żeby skontrolować wszystko.

Wyprawa do mieszkającej w Szwecji siostry Igora była powtarzającym się co roku rytuałem. W ostatniej chwili rodzice oczywiście wszystko odwoływali.

– To cudownie.

– Najlepiej, jakbyś wpadł za tydzień…

– Za tydzień to wciąż jeszcze będzie marzec.

– I co z tego? Czas leci i ani się człowiek obejrzy, a będzie maj.

– Mamo, muszę kończyć, zaraz mam gości. Zadzwonię…

*

To miejsce było złe. Dom był zły. Kryła się tutaj jakaś zła energia. Wchodziła za kołnierz i obmacywała lodowatymi igłami. Raz, dwa razy w tygodniu musiał tu przyjeżdżać, żeby wszystko sprawdzić, w sezonie skosić trawę, obejść całość dokoła. Zazwyczaj też zostawał na noc. Praca jak praca. Dostał ją z polecenia. Dom był luksusowy, nowoczesny, szczelnie otoczony gęstym żywopłotem i murem. I ta rzeka. Czarna, nieśpiesznie płynąca woda, a za nią dzicz. Ani jednego światła. Tylko przesmyki, zarośnięte kanały, wystające z wody szkielety zniszczonych budowli hydrotechnicznych. W lecie było tu pięknie. Wielokrotnie po tych wodach pływał ze znajomymi kajakami. Błądzenie w słoneczny dzień pomiędzy setkami wysp i wysepek, w morzu kwitnących nenufarów, było obłędne.

Ale o tej porze roku, w nocy, majaczący w ciemności brzeg emanował grozą.

*

Igor odebrał zamówienie od sympatycznego chłopaka w czerwonej kurtce i sięgnął po kartę. Zapłacił i z górą pudeł w objęciach wbiegł na górę.

Cała czwórka siedziała już przy wysokim stole w kuchni. Postawił pizzę na blacie i sięgnął po talerze.

– Prawie cały dzień to zajęło. – Paulina odgarnęła włosy z czoła. –

Z jednej strony, prokuratura już oczywiście wszystko zdementowała, a z drugiej, pojawia się u nas CBŚ[33]. Paweł oczywiście się uparł, że w rozmowie ma brać udział nasz prawnik, więc trzeba było na niego czekać. Wszystko to wyglądało bardziej jak konferencja prasowa, a nie przesłuchanie.

– A o co pytali? – Dermot rzucił łakome spojrzenie w kierunku pudeł z pizzą.

– Przede wszystkim chcieli wiedzieć skąd ta teoria i czy mam na nią jakieś dowody. – Paulina westchnęła. – Musiałam lawirować, żeby się nie zdradzić z kartonikami u księdza i notesem Kłosowskiego.

– To bardzo źle wygląda. – Dermot pokręcił głową. – W tym momencie to już wprost ukrywanie dowodów. Musimy się poważnie zastanowić, co z tym zrobić.

– No, sama wiem to najlepiej. Nie chciałam puszczać tego tekstu, ale Paweł, jak się dowiedział, o co chodzi, nie miał zamiaru zrezygnować.

– Powiedziałaś mu?!

Paulina pokręciła głową.

– Tylko Piotrusiowi, i też nie wszystko, ale on nic nikomu nie wygada.

– A jak go zamkną i będą torturować? – Gwen odsunęła się, przepuszczając Igora z górą talerzy.

– Mam podejrzenia, że on może to lubić.

– W tym kontekście to dość makabryczny żart. – Johann uśmiechnął się cierpko.

– Wiem, przepraszam. – Paulina ugodowo pokiwała głową. – Ale to on wszystko sprokurował. Gdyby nie rzucił tego tematu Pawłowi, tekst by dzisiaj nie poszedł. Jeszcze jestem na niego zła.

Gwen wpatrywała się w leżącą na stole kserokopię zdjęcia tatuażu. W końcu podniosła wzrok i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Jak to w ogóle się stało, że od poszukiwania skarbu tej całej Hermenegildy, czy jak jej tam było…

– Korduli – mruknął Igor, krojąc gigantyczną pizzę.

– …czy Korduli – Gwen machnęła ręką – udało wam się tak płynnie

przejść do śledztwa w sprawie seryjnego mordercy? To jakaś paranoja. Jestem w Polsce drugi raz w życiu. Nawet nie chcę myśleć, co będzie, jak przyjadę po raz trzeci.

– Przestańcie gadać głupoty, tylko skupcie się na tym. – Dermot wskazał palcem na leżący na stole notes. – Za chwilę to coś może narobić nam niezłych kłopotów. Zwłaszcza tobie. – Spojrzał na Paulinę.

Johann zmierzwił swoje jasne włosy.

– A nie ma czegoś takiego jak ochrona źródeł informacji?

– Może w reklamie – zakpił Dermot. – To jest sprawa o morderstwo.

– Na razie nie ma na to żadnych dowodów, poza tym. – Johann wskazał palcem kserokopię tatuażu.

– W notesie są nazwiska trzech kobiet i czterech facetów, wśród których jest podejrzewany o zabicie jednej z nich. To jest poważna poszlaka.

– Zastanawiałaś się, co mogą znaczyć nazwiska tych mężczyzn? – Igor spojrzał na Paulinę. Usiadł przy stole. Pokrojona pizza leżała już na talerzach, a obok stały szklanki i kartony z sokiem.

Paulina wzruszyła ramionami.

– Przecież nie prowadzę żadnego śledztwa. Ja tylko zauważyłam dziwne podobieństwo procesów o czary sprzed czterystu lat z tymi zaginięciami. Przyznacie, że przypadek jest raczej wykluczony.

– Jest jednak pewien procent prawdopodobieństwa, że to naciągane. – Dermot ściągnął usta. – Przede wszystkim nie ma wszystkich zwłok. Na razie są tylko dwa trupy. Przy czym o tym drugim policja jeszcze nic nie wie. Natomiast Gancarczyk znaleziona została aż pod Wolinem. To bardzo duża odległość. W kryminalistyce bierze się pod uwagę takie kryterium jak mobilność sprawcy i stopień jego zorganizowania.

– Sam park krajobrazowy Dolina Dolnej Odry ma sześć tysięcy hektarów, do tego Kurowskie Błota, kolejne sto. Nie mówiąc o tysiącach kilometrów kwadratowych całego Międzyodrza. Pozostałych zwłok mogą nigdy nie znaleźć. – Igor w zamyśleniu spojrzał w okno.

Paulina myślała o tym samym.

– A Zalew Szczeciński? I wyspy koło Lubina?

– Są jeszcze rysunki demonów – odezwała się Gwen. – Wszystkie pasują. Do jednej kobiety przypisany był jeden demon.

– Znaleziono je u księdza, a on przecież nie mógł być mordercą. – Dermot pokręcił głową.

– Jest na liście Kłosowskiego.

– Kłosowski wtedy mógł brać go pod uwagę. Wówczas były tylko trzy zaginione kobiety. Dwie właściwie, plus zwłoki Gancarczyk.

– Więc skąd u księdza rysunki demonów?

– Pamiętacie, wtedy, w nocy? – Paulina spojrzała w przestrzeń. – Pamiętasz, co ksiądz krzyczał pod domem Budnego?

– Że wie, kim on jest, i że on jest w niebezpieczeństwie. – Igor zmarszczył brwi. – Jakoś tak.

– Wrzeszczał, że wie, kim on jest, i że to musi się skończyć.

– Że jest w niebezpieczeństwie, to chodziło mu o Budnego?

– Chyba tak, skoro chciał z nim rozmawiać. U Budnego pracował ten podejrzany typek. Bartłomiej chyba? Może jego miał na myśli?

– Boże! – Dermot pochylił głowę. – Musimy iść z tym na policję, nie ma rady. Możemy sobie teraz poteoretyzować, ale policja musi ich wszystkich przesłuchać. Stworzyć profil sprawcy, sprawdzić kto i co…

– No ale ksiądz? On rzeczywiście sprawiał wrażenie, że wie, kim jest morderca. – Johann patrzył na Dermota, jakby chciał wyciągnąć z niego, co ten ma na myśli.

– Słuchajcie. Raz w życiu broniłem faceta, który zabił trzy kobiety. – Dermot westchnął. – Jego motywy miały podłoże psychiczne, maniakalne. Tutaj może być podobnie. Mamy procesy o czary jako motyw przewodni. Do tego dochodzi teologia według świętego Augustyna. Morderca szuka z jednej strony kolejnych ofiar, które traktuje jako grzesznice, upadłą masę ludzką, niemającą szans na zbawienie, a więc i tak jest zgubiona. Z drugiej strony może to oznaczać, że szuka dla siebie usprawiedliwienia. To jest cholernie skomplikowane…

– Wczoraj czytaliśmy o tym z Piotrem. – Paulina westchnęła. – O typologii seryjnych morderców. To wizjonerzy, którzy zabijają według

jakiegoś klucza, wierząc, że wypełniają pewien plan. Maniacy władzy i kontroli, których kręci dominacja.

– Tak. – Dermot pokiwał głową. – I tacy mający misję, którzy uważają, że pozbywając się określonych osób, postępują dobrze. Na przykład mordercy prostytutek. Zawsze nakładają się na to doświadczenia z dzieciństwa, przeżyte tragedie i tak dalej, ale to ogólny podział. Mogą być tacy, którzy mają każdą z tych cech, ale po trochu.

– A jeśli morderca jest jednocześnie sadystą? – odezwał się nagle Igor. – Mógł na przykład spowiadać się z tego, co zrobił, przed naszym księdzem…

Paulina spojrzała z namysłem na Igora.

– To by tłumaczyło stan psychiczny księdza.

– A te wizerunki demonów? – spytała Gwen.

– Może przesyłał mu je przed każdym morderstwem. Taka sadystyczna gra.

– Ksiądz zaczął popadać w obłęd – podchwyciła Paulina. – Może coś tam szepnął Kłosowskiemu, licząc na to, że on się domyśli reszty. Kłosowski zaczął prowadzić jakieś swoje śledztwo…

Na moment zapadła cisza. Dermot sięgnął po kawałek pizzy.

– Dlaczego Kłosowski wpisał na listę Huberta Kupca? – spytała nagle Gwen.

*

Grafitowe audi Q7 skręciło w ulicę Kapitańską i zaczęło powoli piąć się pod górę, przeciskając się pomiędzy ciasno zaparkowanymi samochodami.

Dorota postanowiła odwiedzić Igora i wreszcie wyciągnąć z niego jakąś ofertę na remont willi na Pogodnie. Nie chce góra przyjść do Mahometa, to Mahomet musi przyjść do góry. Igor cały dzisiejszy dzień nie odbierał. Albo było zajęte, albo odrzucał połączenie. Miała już dość Szczecina i chciała wracać do domu. Wprawdzie nadal nie wiedziała, co knują ci jego londyńczycy, ale czuła, że właśnie przestaje ją to obchodzić.

Zwolniła przed placem na rogu Storrady i zaczęła się rozglądać za wolnym miejscem. Na ulicy było ciemno. Paliła się jedynie latarnia przed

samą kamienicą Igora. Dorota zjechała powoli na prawą stronę i przystanęła. Prawie przy samym wejściu stała zielona micra.

Dorota oczywiście ją kojarzyła. Paulina. Najwyraźniej była u Igora. Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie będzie im przeszkadzać, ale pomyślała, że tym lepiej. Będzie przynajmniej zabawnie. Wprawdzie skrawek jezdni, na którym stanęła, nawet przy maksimum złej woli trudno było wziąć za miejsce postojowe, ale przecież wejdzie tam tylko na chwilę. Wyłączyła silnik i sięgnęła po torebkę. Zamierzała właśnie otworzyć drzwi i wysiąść, gdy zobaczyła, jak od strony Teatru Polskiego po schodach, które pięły się tam na górę skarpy, pod kamienicę zeszli dwaj mężczyźni. Mieli naciągnięte na głowy czapki i kaptury bluz dresowych. Zachowywali się dziwnie. Zatrzymali się koło samochodu Pauliny i rozejrzeli się dokoła. Jeden nagle wyjął coś z kieszeni i podszedł do samochodu. Przykucnął i zaczął coś przy nim robić. W pierwszej chwili Dorota pomyślała, że właśnie jest świadkiem kradzieży starego grata Pauliny, ale facet stanowczo za długo przy nim klęczał. Sama chyba otworzyłaby to auto szybciej.

Drugi mężczyzna stał obok i najwyraźniej zasłaniał pierwszego.

Zaintrygowana wyjęła telefon i zaczęła nagrywać.

Koleś wstał w końcu, okrążył samochód i zaczął robić coś po drugiej stronie.

Dorota zaczęła się już domyślać, co się dzieje. Albo Paulina miała wrogów, albo po prostu miejscowa patologia właśnie urządziła sobie rozrywkę. Ciekawe, co tam nasmarują?

Przez chwilę zastanawiała się, czy ich nie spłoszyć, ale, niestety, zła część jej natury wygrała tę potyczkę. Była po prostu ciekawa efektu końcowego.

Tymczasem na placu nagle zrobiło się małe zamieszanie. Drzwi kamienicy stanęły otworem i wyszła z nich jakaś kobieta. Trzymała w ręku worek ze śmieciami. Skręciła w prawo i poszła wzdłuż budynków. Dwaj mężczyźni przyczaili się na chwilę i gdy zniknęła za rogiem, rzucili się do ucieczki. Rzecz w tym, że zamiast wbiec z powrotem na schody w kierunku teatru, z niewiadomych przyczyn skierowali się w dół ulicy Kapitańskiej. Wprost na samochód Doroty. Powód tego manewru po chwili się wyjaśnił. Na schodach pojawiła się jakaś głośno rozmawiająca para.

Dorota przez chwilę ze sobą walczyła. Nie przepadała za Pauliną.

Samochód należał do Kurta, a to jedyne, co było jakimś sensownym argumentem przeciw. W końcu mogła uszkodzić lakier. Ale zła strona jej natury znowu zwyciężyła. Nie było rady.

Gdy mężczyźni znaleźli się na wysokości maski jej samochodu, gwałtownie otworzyła drzwi.

Zauważyła w tym momencie, że obaj mieli na głowach kominiarki i przez moment przebiegło jej przez myśl, że może pakuje się w coś poważniejszego, niż początkowo oceniła, ale było już za późno.

Jeden wpadł z impetem na drzwi i przewracając się, zaklął głośno. Drugi, który biegł po zewnętrznej, zawadził tylko biodrem, lekko go odbiło i uskoczył w bok.

Dorota wysiadła gwałtownie i stanęła nad gramolącym się właśnie z chodnika facetem. Był przysadzisty, ale dobrze zbudowany.

– Ty pieprzona suko! Ślepa jesteś!? – Mężczyzna stanął w końcu na nogi i odwrócił się do Doroty.

– Marian! Zjeżdżamy stąd! – krzyknął drugi i skoczył do przodu. Widząc, że jego kumpel nadal stoi w miejscu, zatrzymał się zdezorientowany.

– Ty to nagrywasz, suko!?

Dorota widziała tylko jego oczy i wykrzywione ze złości usta.

– Dawaj to! – Mężczyzna sięgnął po telefon i chciał ją odepchnąć.

Kiedy cztery lata temu, po jakiejś przykrej przygodzie w Berlinie Wschodnim, gdy ukradziono jej torebkę, Kurt rzucił od niechcenia, że może zapisałaby się do ich grupy na karate, wyśmiała go. Ale, ku jej zdziwieniu, okazało się, że sporty walki bardzo jej odpowiadały. No i przydały się.

Teraz zrobiła lekki krok w tył, podniosła pięści, a następnie z całej siły, wyprowadziła proste uderzenie. Mężczyzna poleciał do tyłu. Utrzymał się jednak na nogach i nagle pojawiła się furia, która jakby rozświetliła go od środka. Rzucił się na Dorotę. Jedno jej kopnięcie posłało go z powrotem na ziemię.

Jego towarzysz zaklął i rzucił się do ucieczki.

Dorota pomyślała, że skoro sprawy zaszły tak daleko, to nie ma mowy o żadnych kompromisach. Gwałtownie pochyliła się nad mężczyzną

i szybkim ruchem zerwała mu z głowy kominiarkę. Błysnął flesz w komórce.

W tym momencie pod kamienicą pojawiła się jakaś kobieta, a od strony teatru dobiegł głośny śmiech. Mężczyzna rzucił Dorocie wściekłe spojrzenie, dźwignął się i kuśtykając, pobiegł w dół Kapitańskiej.

*

W ciszy, która zapadła po słowach Gwen, słychać było tylko, jak Dermot pochłania kawałek hawajskiej pizzy.

– Nie wszystko znalazło się w tym artykule – odezwała się nagle Paulina. – Siedzieliśmy wczoraj z Piotrem prawie do wieczora, przeszukując internet i sprawdzając wszystko, co dotyczyło tych zaginionych kobiet. Nie chcieliśmy przepuścić ewentualnych przekłamań albo bzdur, które napisał jakiś portal czy tabloid.

– No i? – nie wytrzymała Gwen.

– Seryjni mordercy często działają cyklicznie. A gdy na danym terenie zaczyna być zbyt niebezpiecznie, policja za dużo wie, na jakiś czas się wycofują.

– I wracają. – Dermot pokiwał głową. – Zawsze wracają.

– Albo przenoszą się gdzie indziej – powiedziała Paulina i sięgnęła po kawałek pizzy. Wbiła zęby w miękki miąższ.

– Ale co z Kupcem?

– Właśnie do tego zmierzam. Hubert Kupiec jest z Gdańska. Znaleźliśmy w necie opisy pewnych morderstw z tamtych stron. Sprzed paru lat. Nie wykryto sprawców. Te sprawy są w tak zwanym policyjnym Archiwum X. Niektóre z nich są podobne do tych tutaj. – Wskazała głową na stół i zdjęcia.

Odłożyła pizzę na talerz i sięgnęła po kartkę z wynotowanymi datami.

– W dziewięćdziesiątym czwartym, w lipcu, niedaleko wsi Kamień, znaleziono zakneblowane zwłoki kobiety. W dziewięćdziesiątym piątym, w maju i sierpniu, w Sierakowicach i pod Gdynią, odkryto w lesie kolejne zwłoki. W marcu dziewięćdziesiątego szóstego natrafiono na następne zwłoki, tym razem zmasakrowanego i torturowanego przed śmiercią chłopaka.

I dalej. W kwietniu dwa tysiące dziewiątego zwłoki kobiety zawinięte w worek, bez dłoni i głowy. Znalezione w jeziorze, w miejscowości Drzewina pod Gdańskiem. I w tym samym roku kolejne zwłoki kobiety, także w worku, zmasakrowane, w Odrze tym razem, niedaleko Gubina.

Paulina podniosła wzrok znad kartki.

– Odechciało mi się jeść. – Gwen odłożyła pizzę na talerzyk.

– Kłosowska wyszła za Kupca chyba w dwa tysiące trzecim czy czwartym jakoś. – Igor siedział ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. – Borola mi mówił. Dopiero po kilku latach zaczęli przyjeżdżać do Lubina. Kłosowski i Kupiec nie przepadali za sobą.

– Kupiec jest przedstawicielem handlowym jakiejś szwedzkiej firmy farmaceutycznej – przypomniała im Paulina. – Jeździ po całej północnej Polsce.

Dermot był poruszony.

– Cała nasza rozmowa zmierza do tego, o czym mówiłem na początku. Musimy iść z tym na policję. W poniedziałek rano przyjeżdżam ze stryjem do Szczecina, więc mogę pójść z wami. To już nie są żarty.

– Jeśli będziemy potrzebni, to też przylecimy – zapewnił Johann.

– Wiecie, że czytałam już na forach plotki, że ktoś widział mordercę w czarnym terenowym samochodzie? – Paulina uśmiechnęła się z przekąsem.

Igor parsknął.

– To zawsze jest coś czarnego. Czarny powóz zaprzężony w czarne konie, czarna wołga…

Generalnie nie było mu do śmiechu. Nie miał pojęcia, jak Aleksandra Kupiec zareaguje na wiadomość o notesie ojca. Spojrzał na Johanna.

– Przepraszam was. – Paulina zsunęła się z wysokiego krzesła przy stole i uśmiechnęła się przepraszająco. – Ja, niestety, muszę już lecieć. Spotkamy się w takim razie w poniedziałek. – Spojrzała na Dermota i Igora. – A z wami, mam nadzieję, jak najszybciej.

– W kontekście tego, o czym tu była mowa, to nie wiem, czy to dobra wróżba. – Gwen podeszła do niej i pocałowała ją w policzek – Ładny zapach? To Gabrielle?

Paulina się uśmiechnęła.

– Prezent. Ja sama nie przepadam za Chanel.

Pomachała wszystkim i odwróciła się do wyjścia.

Igor poszedł za nią na dół. Stał i patrzył, jak wkłada kurtkę.

– Mateusz? – spytał. Że też się nie powstrzymał.

Paulina postawiła kołnierz krótkiej kurteczki i odwróciła się. Przez chwilę patrzyła na niego uważnie.

– Naprawdę cię to interesuje?

Chwila ciszy. Odwrócił wzrok.

– Masz rację. To nie moja sprawa.

Po chwili zamknął za nią drzwi.

*

Dorota poprawiła włosy i sięgnęła po torebkę. W dalszym ciągu była bardzo ciekawa, co dwaj nieudolni gangsterzy nabazgrali na samochodzie Pauliny. Przeszło jej przez myśl, że jeśli Paulina się uprze i złoży doniesienie na policję, to ona będzie musiała tu przyjeżdżać i składać zeznania. Nie miała baba kłopotu. Tak to jest, jak się chce komuś pomóc. Powiedziane jest przecież, że każdy dobry uczynek zostanie przykładnie i należycie ukarany. Skrzywiła się i ruszyła w kierunku kamienicy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich Paulina we własnej osobie. Dorota zwolniła i zatrzymała się w cieniu. Była ciekawa jej reakcji.

Paulina podeszła do auta. Zamierzała właśnie otworzyć drzwi, ale zatrzymała się. Skamieniała. Po chwili drgnęła i szybkim krokiem, stukając wysokimi obcasami kozaczków, okrążyła samochód. Głośno zaklęła i zaczęła szperać w torebce.

Dorota mimowolnie się uśmiechnęła.

Paulina wyjęła telefon, podniosła go do ucha, przez chwilę stała i chyba czekała na połączenie, po czym spojrzała na wyświetlacz. Podniosła głowę do góry i głośno zaklęła.

Wróciła do samochodu, szarpnęła drzwi i wsiadła. Coś stuknęło o kamienną nawierzchnię ulicy.

Micra cofnęła, zawarczała i pojechała w kierunku parku Żeromskiego.

Dorota ruszyła przed siebie i po chwili zobaczyła leżący na bruku telefon. Podniosła się gwałtownie, mając nadzieję, że Paulina zobaczy ją jeszcze w lusterku wstecznym, ale było już za późno. Wsadziła komórkę do kieszeni.

– Halo! To pani postawiła tak samochód? – Usłyszała za plecami głośny krzyk.

Obok jej audi, Kurta właściwie, stał jakiś mężczyzna i patrzył w jej kierunku.

– Proszę stąd odjechać! Przecież zatarasowała pani przejazd!

Dorota zatrzymała się i spojrzała na wolne miejsce po samochodzie Pauliny. Skinęła przyjaźnie zdenerwowanemu starszemu panu i ruszyła w jego kierunku.

Wsiadła, włączyła silnik. I posłuchała intuicji.

Która kazała jej pojechać za Pauliną i złapać ją za rogiem. Na pewno wlecze się tym gratem jak sierotka. A jak za chwilę zobaczy, że zgubiła telefon, to pewnie dostanie zawału. W końcu to dziennikarka.

*

Igor wbiegł na schody i podszedł do stołu. Dermot i Johann zjadali właśnie resztki pizzy, a Gwen z zainteresowaniem przyglądała się wiszącemu na ścianie nad sofą obrazowi. Namalował go dawno temu. Jakiś widok jakiegoś miasteczka.

– Nie wspomniałem wam, że zdaniem stryja nasze rozmowy w Szczecinie do niczego nie doprowadzą. – Dermot westchnął. – Zbliżają się tu u was wybory samorządowe i nikt nie chce podejmować żadnych decyzji. Poza tym zaczęły krążyć jakieś absurdalne plotki, a ta radna niezależna rozpętała prawdziwą kampanię oszczerstw na Twitterze.

– W sumie można było się tego spodziewać. – Igor usiadł przy stole i sięgnął po szklankę z wodą.

– Co nie znaczy, że do tego nie wrócimy w odpowiednim czasie.

– Nie kraczcie. – Johann z niezadowoleniem pokręcił głową. – Jeszcze w poniedziałek wszystko może się zmienić. Czasami tak jest.

Igor odstawił szklankę i spojrzał na Johanna udręczonym wzrokiem.

– À propos tego, że wszystko może się zmienić. Na gorsze w tym wypadku. Czy twoja propozycja jest nadal aktualna?

Johann wymienił się spojrzeniami z Gwen i uśmiechnął się.

– Przelałem ci kasę wczoraj. Uznaliśmy z Gwen, że nie nadajesz się do samodzielnego podejmowania decyzji i muszę wziąć sprawy w swoje ręce.

Paulina schodziła wąską klatką schodową i miała wrażenie, że z każdym krokiem pogrąża się w coraz głębszym dole. „Masz rację. To nie moja sprawa”. Tylko tyle miał do powiedzenia?

Mateusz był na nią obrażony. Za przedwczoraj i za wczoraj. Dzisiaj musi się z nim spotkać, chociażby po to, żeby wszystko wyjaśnić.

Paweł powiedział, że po wczorajszym artykule wydrukuje każda rzecz, którą Paulina mu zaproponuje. Jakoś nie potrafiła się z tego cieszyć.

Nie teraz.

*

Dorota przejechała Małopolską, minęła filharmonię i na Matejki skręciła w kierunku placu Żołnierza Polskiego. Pauliny nigdzie nie było widać. Pomyślała, że raczej nie umknąłby jej uwadze wysmarowany sprayem zielony samochód. Obok Bramy Królewskiej skręciła w kierunku centrum, minęła cholerną aleję Kwiatową i obok Kaskady, parku Andersa dostała się na Wojska Polskiego. Pomyślała, że Paulina musiała chyba z wściekłości wyciskać z tego swojego gruchota ostatnie poty.

Zatrzymała się na światłach i stwierdziła, że skoro dojechała aż tak daleko, to pojedzie do tej idiotki i opowie jej, co widziała. Niech będzie, że to solidarność jajników.

Minęła rondo Szarych Szeregów i wjechała na Mickiewicza. Wiedziała, gdzie mieszka Paulina. Zaciszna uliczka na Pogodnie. Jeszcze parę zakrętów i wjechała pomiędzy uśpione przy krawężnikach samochody.

Zobaczyła ją od razu.

Stała na chodniku i oglądała swoją pomalowaną micrę. Chciała zdążyć podjechać do niej, zanim Paulina wejdzie do domu, ale nagle, kilka samochodów przed nią, od krawężnika oderwał się czarny SUV i potoczył się w kierunku domu Pauliny.

Zatrzymał się na moment. To, co stało się potem, kompletnie Dorotę zaskoczyło. A to nie zdarzało się zbyt często.

Kierowca, ubrany w czarną bluzę z kapturem, wyskoczył na chodnik, objął Paulinę i jednym płynnym ruchem wepchnął ją do kabiny. Nawet nie zdążyła krzyknąć.

Dorota osłupiała.

Przez moment myślała nawet, że to stało się za zgodą Pauliny. Że to jakiś jej znajomy w taki surrealistyczny sposób gdzieś ją zabrał. Jak on się nazywał, ten jej facet? Mateusz chyba. No i w sumie nie miała pewności.

Porwanie!? Kto chciałby ją porywać?

Przypomniało jej się nagle, że Sylwia coś opowiadała o jakimś seryjnym mordercy. Nie zdążyła nawet przeczytać tego artykułu dokładnie. Przeleciała tylko pobieżnie. Coś z czarownicami. Kurwa! Przecież to Paulina napisała. No, nie! To niemożliwe!

Przez chwilę siedziała jak skamieniała, po czym wrzuciła jedynkę i ruszyła za czarnym samochodem.

Rozdział 29

Dorota wjechała na rondo Hakena. Czarny SUV właśnie zjeżdżał na Rydygiera, dawną Autostradę Poznańską. Dzieliło go od niej kilka innych aut, najwyraźniej udających się w kierunku francuskiego hipermarketu, który kilka lat temu wyrósł na samym środku pola.

Pomyślała, że nie była tu od lat. Zapomniała w ogóle, jak te miejsca wyglądają. Rydygiera prowadziła na prawobrzeże, do Podjuch.

Czarny samochód dojechał do świateł i stanął przed zjazdem na Ustowo. Powoli ruszyła za nim, przepuszczając jedno auto. Ustowo, Kurów, Siadło, a dalej Moczyły, Pargowo. Wiochy, które leżały nad samą Odrą, na stokach opadających łagodnie ku brzegom rzeki. Bajkowo piękne miejsca, które teraz były poligonem doświadczalnym szczecińskich deweloperów. Dokąd on może jechać?

SUV przetoczył się przez pierwszą wieś i wyjechał ze strefy światła w mrok. Droga wzdłuż Odry była wąska, zniszczona i pozbawiona jakiegokolwiek oświetlenia.

Samochód, który Dorota wpuściła przed siebie, na szczęście dalej przed nią jechał. Pomyślała, że na tym łysym polu byłaby doskonale widoczna. Chociaż właściwie, cóż jest dziwnego w rodzinnym audi jadącym w kierunku nowych osiedli domków jednorodzinnych?

Na horyzoncie pojawiły się światła następnej wsi. Pamiętała, że na zakręcie stała tam ogromna ceglana stodoła. Pozostałość po folwarku i pałacu, którego park schodził niegdyś tarasami do samej Odry. Po pałacu nie było już śladu, a park dogorywał w formie zdziczałego lasku – wysypiska śmieci.

SUV minął Kurów i przyśpieszył. Widziała jego tylne światła, znikające za kolejnym wzgórzem. Racja! Budowało się tam po drodze osiedle, które nazwano Wichrowymi Wzgórzami. Samochód zwolnił i zakręcił w stronę

Odry.

Dorota wjechała za nim i przyśpieszyła. W oddali widziała znikające tylne światła. Wąska droga prowadziła w dół zbocza. Samochód skręcił i potoczył się w kierunku jaśniejącego jeszcze w oddali nad rzeką nieba. Przy wąskiej asfaltówce pojawiły się wielkie stare drzewa.

Dorota zwolniła. Obserwowała samochód, który znowu skręcił i zaczął się oddalać od zabudowy dawnej, usadowionej nad samą wodą wsi. Gdziekolwiek jechał, miejsce było położone bardzo na uboczu.

W oddali pokazał się jakiś masyw, ciemniejący na tle nieba i rzeki. Światła samochodu oświetliły wysoki żywopłot, ukryty za rozrośniętymi świerkami i kolumnami żywotników. Dalej ciągnęło się murowane ogrodzenie, którym najwyraźniej otoczona była cała posiadłość.

Dorota zatrzymała się na skraju grupy drzew. W murze była brama, która powoli zaczęła się odsuwać. Po chwili samochód wjechał za ogrodzenie i wszystko ponownie skryła ciemność.

Dorota po chwili namysłu stwierdziła, że nie może stać tutaj wiecznie, bo w końcu ktoś zwróci uwagę na palące się światła. Sięgnęła po telefon i uruchomiła mapę satelitarną.

Wynikało z niej, że do budynku prowadziła także druga droga, wzdłuż rzeki. Droga ta wpadała później do wsi i biegła brzegiem wśród starej zabudowy. Dom stał nad samą wodą i miał nawet własną zatoczkę dla łodzi.

Przez krótką chwilę rozważała staranowanie stalowej bramy samochodem. Audi miało wprawdzie na masce orurowanie, ale, jak w każdej typowo miejskiej terenówce, było ono wyłącznie dekoracyjne. Pomysł mógł się więc okazać chybiony.

Wycofała się i pojechała naokoło. Chciała dotrzeć do wsi, a z niej dopiero drugą drogą wrócić pod sam dom. Miała nadzieję, że ta droga nie jest wyłącznie w teorii.

Gdy była we wsi, otoczyły ją światła domów. Gdzieniegdzie paliły się latarnie w ogrodach.

Przyśpieszyła i po chwili ostatnie domy zostały z tyłu. Znalazła się na dzikim, prawie polnym dukcie, który graniczył z brzegiem rzeki. Po chwili zobaczyła w perspektywie masyw świerków i ogrodzenie. Zatrzymała się

jakieś sto metrów od budynku. Nie chciała podjeżdżać bliżej.

Wyłączyła silnik i stwierdziła, że nie ma pojęcia, co robić dalej.

*

Odleciał. Nie było go. W swojej małej kanciapie obok hangaru słyszał tylko jakieś hałasy, ale tu często słychać było takie rzeczy. Chlapanie wody przy brzegu albo, przy większej fali, odgłosy łodzi uderzającej nosem o betonowe nabrzeże. Piguły dopiero zaczynały działać. Jeszcze wszystko rejestrował, ale już wiedział, że niczego, co stanie się za moment, nie będzie pamiętał.

*

Dorota obiecała sobie, że jak wróci do Berlina, to musi to Kurtowi jakoś wynagrodzić. W bagażniku audi znalazła nie tylko latarkę, ale także grubą bluzę od dresu i swoje białe adidasy. Musiała zapomnieć wyciągnąć te rzeczy po jakiejś wycieczce. Bogu niech będą dzięki.

Szybko się przebrała, po czym sięgnęła po telefon. Chwilę czekała na połączenie.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – Znudzony głos pod numerem alarmowym policji nie wzbudzał entuzjazmu.

– Przed chwilą byłam świadkiem, jak na ulicy ktoś wciągnął moją znajomą do samochodu – powiedziała, zdając sobie sprawę, jak kiepsko to brzmi.

– Gdzie pani się znajduje?

– Pojechałam za tym samochodem. Jestem gdzieś za Kurowem, niedaleko Siadła Dolnego. Nad samą Odrą.

– Proszę podać imię i nazwisko. Czy zna pani nazwisko tej znajomej?

– Oczywiście. – Dorota podała dane dyżurnemu. – Słyszałam dzisiaj coś o seryjnym mordercy w Szczecinie. Niepokoję się o moją znajomą. To nie wyglądało, że jedzie z własnej woli.

– *Szczecin Floating Murderer*? – Policjant westchnął. – Wie pani, ile telefonów ja dzisiaj odebrałem w tej sprawie?

– Przepraszam, ale gówno mnie to obchodzi! – Dorota ściszyła głos, czując, że rośnie w niej wściekłość.

Ekran komórki jarzył się jasnym światłem na tle kompletnej ciemności.

– Proszę się nie denerwować. Czy pani znajoma jest w niebezpieczeństwie?

– Widziałam, jak samochód wjechał przez bramę do jakiegoś domu. Nie wiem, co tam się dzieje.

– Gdzie to jest dokładnie?

– Wichrowe Wzgórza, dom na uboczu, nad samą Odrą. Tam nie ma chyba ulic.

– Wichrowe Wzgórza to ulica. Zna pani numer domu?

– Niestety.

– Czy nie może pani podejść tam i zadzwonić do furtki?

– Naprawdę sugeruje pan, żebym zadzwoniła do domu mordercy i spytała, czy już się pozbył ciała mojej znajomej?

– Niech pani nie histeryzuje. Dobrze, proszę czekać. Postaram się sprawdzić, czy nie mamy tam jakiegoś patrolu.

Dorota się rozłączyła. Nagle otoczyła ją całkowita ciemność. Telefon zdawał się być jedyną nicią łączącą ją z cywilizowanym światem. Chociaż, biorąc pod uwagę, że dzwoniła na miejscową policję, nawet to było wątpliwe.

Poczekała, aż wzrok przywyknie do ciemności i rozejrzała się. Droga biegła prosto w kierunku domu. Przy niej stało na szczęście kilka rozłożystych drzew, dzięki czemu dla kogoś wypatrującego z korony murów obronnych wokół nieruchomości była raczej mało widoczna. Spojrzała w bok. Wzdłuż brzegu ciągnęły się szuwary. Kilka metrów dalej przechodziły w małą plażyczkę, przy której widać było zmurszały pomost. Na brzegu leżał jakiś wielki ciemny kształt.

Łódź.

*

Dyżurny policjant patrzył na mapę okolic Kurowa. Niedaleko

Wichrowych Wzgórz było kilka domów w budowie. Nieco dalej, nad samą wodą, rzeczywiście stał jakiś spory budynek. Usłyszał sygnał radia.

– Tak? Sprawdziłeś?

– Dorota Jansen, Polka, obywatelka Niemiec, zgadza się. A ta druga to Paulina Weber. Ze Szczecina, zameldowana na Pogodnie. Zaraz…

– Co jest?

– Ta Jansen mówiła coś o tym mordercy? Szczecin Floating Murderer?

– Tak, kolejna.

– Wiesz, kim jest ta Weber?

– Kim?

– Nie wiesz?

– No mów, nie leć sobie!

– To przecież ta dziennikarka! Od tego artykułu właśnie!

*

Dorota wyciągnęła z samochodu kij do golfa. Na szczęście Kurt należał do mężczyzn, którzy wożą w bagażniku wszystko, co może się przydać nawet w najmniej spodziewanych okolicznościach. W rękach Doroty kij do golfa z łatwością mógł się stać niemalże śmiertelną bronią, ale teraz myślała przede wszystkim o jego zastosowaniu w charakterze wiosła.

Przedarła się przez chaszcze i stanęła obok krypy. Spróbowała ją pchnąć. Łódź na szczęście drgnęła i łagodnie przesunęła się po bagnistym brzegu. Dorota, z przyzwyczajenia, intuicyjnie usiłując nie zamoczyć zanadto butów, weszła do krypy, odwróciła się w kierunku brzegu i odepchnęła kijem do golfa. Szło ciężko, ale łódź powoli spłynęła na wodę. Nie mogła sobie pozwolić na odbicie od brzegu zbyt daleko, ponieważ nurt Odry pchał ją w kierunku przeciwnym do pożądanego. Prawie trzymając się dna, zaczęła się zatem powoli przemieszczać wzdłuż brzegu. Ogrodzenie domu schodziło niemal nad samą wodę, ginąc w gęstych szuwarach odgradzających nieruchomość. Gdy była już tylko kilka metrów od płotu, zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Dobra wiadomość była taka, że nie słyszała psów. Gdyby były, pewnie by jazgotały już od kilkunastu minut. Zła wiadomość to

ta, że dostanie się na pomost lub na plażę posiadłości, z uwagi na porastające dom z tej strony chaszcze i wierzby, wiązało się z dość dużym odbiciem w głąb nurtu.

Bała się, czy zdoła utrzymać łódź na wodzie, a potem pchnąć ją z powrotem do brzegu.

Chyba nie miała innego wyjścia. Przemknęło jej przez myśl, czy aby przypadkiem po prostu się teraz nie wygłupiła. A jeśli Paulina spełnia właśnie jakieś chore fantazje erotyczne swojego przyjaciela, miejscowego Greya? I po przedarciu się na brzeg zastanie ich tam w skórzanej bieliźnie?

A mogła zadzwonić do Igora. Cholera!

Łódź zaczęła powoli dryfować, oddalając się od szuwarów. Dorota wbiła kij w wodę i odepchnęła się od dna. Na szczęście było dość płytko. Złapała się gałęzi mijanej właśnie wierzby i zaczęła przeciągać łódź wzdłuż brzegu. Jeszcze trochę i znajdzie się w przestrzeni należącej do nieruchomości. A co do diabła z prawem o dostępie do wody? W Polsce nie można przecież grodzić działek w ten sposób.

Szarpnęła za gałąź, a następnie szybko się pochyliła i wbiła kij w dno. Łódź powoli ruszyła w kierunku brzegu. Już było widać trawiastą plażę za domem i spory basen, w którym kołysała się motorówka. Na brzegu pod wiatą leżało kilka kajaków.

Płaszczyzna trawy zbliżała się niemiłosiernie powoli, a co gorsza, łódź zaczęła zwalniać. Poza tym przeciekała na potęgę. Dorota ponownie wbiła kij w wodę i prawie straciła równowagę. Tutaj było zdecydowanie głębiej. Udało jej się wyprostować i lekko odepchnąć łódkę. Pochyliła się i zaczęła energicznie wiosłować kijem do golfa. Boże! Jak to dobrze, że nikt tego nie widzi. Cała ta operacja umieszczona na YouTubie w okamgnieniu zyskałaby pewnie międzynarodową sławę.

Jeszcze tylko pół metra i łódź nagle uderzyła dnem o brzeg.

*

Wstał z łóżka. Podszedł do okna. Światło księżyca właśnie zalało podjazd. Oparł czoło o szybę i zapatrzył się w przestrzeń. Myśli przelatywały mu przez głowę jak wrzucone do metalowego kubła na śmieci. Potem wrócił na

łóżko. Usiadł i objął rękami nogi.

Wszystko znowu zaczęło się chować we mgle. Jak odwracał głowę, widział fragmenty swojego pokoju, a po chwili znikały i one.

*

Nieruchomość była wielka. Z zewnątrz na taką nie wyglądała. Po lewej, w gąszczu wysokich świerków i żywotników, stał dom, nowoczesny, z dużymi przeszkleniami, teraz ociemniały i martwy. A może tylko przyczajony i obserwujący wszystko zza grubych tafli szkła? Po prawej, na końcu wielkiego ogrodu, był hangar. Składał się z dwu części. Dolna stała nad samym kanałem i miała wrota, przez które można było wciągnąć do niego łódź. Górna, większa, miała piętro, prawdopodobnie z jakimiś pomieszczeniami magazynowymi i gospodarczymi. Nieopodal hangaru, pod samym murem, stał nieduży barak.

Dorota wyszła na brzeg najciszej, jak mogła. Musiała, niestety, kompletnie zamoczyć buty. Łódź wbiła się w dno o metr od płaszczyzny plaży i nie dało rady zrobić nic więcej.

Nigdzie nie było widać samochodu.

Wszystko było ciemne i tylko pokazujący się czasem między chmurami księżyc wysrebrzał widok na okolicę.

Ściskając w ręku kij do golfa, Dorota ruszyła ku hangarowi. Brama od strony wody była uchylona. Przez dwa wielkie uchwyty przełożony był łańcuch. Na nim swobodnie zwisała otwarta kłódka.

Dorota prześlizgnęła się przez wrota i stanęła tuż za nimi. Wnętrze było praktycznie puste, nie licząc dwóch starych kajaków, które leżały pod ścianą, i opartego o drewniany stojak roweru.

Od strony ogrodu w ścianie hangaru były małe, umieszczone wysoko nad ziemią okna, przez które wpadało nieco bladego światła księżyca.

Dorota, trzymając się bocznej ściany, ruszyła powoli w głąb pomieszczenia. W przeciwległej ścianie widać było jakieś drzwi. Wisiała na nich kłódka.

Gdy była mniej więcej na środku hali, a nad głową miała okna, które rzucały na podłogę kwadratowe szaroniebieskie majaki, wydało jej się, że

usłyszała czyjś głos.

Dochodził chyba z zamkniętego na kłódkę pomieszczenia. Rozejrzała się po hangarze, szukając jakiegoś narzędzia. Niczego, co mogłoby się przydać, nie było. Ruszyła ostrożnie i po chwili znalazła się pod drzwiami. Wyraźnie słyszała dochodzący zza nich odgłos. Jakby jęk.

Szarpnęła za kłódkę. Rozległ się głuchy metaliczny jazgot, a jęk nagle ustał.

Przez moment panowała cisza, ale po chwili jęk się nasilił. W dodatku, gdzieś z głębi posiadłości dobiegł jakiś dźwięk. Jakby gong.

Dorota przez chwilę nasłuchiwała. Zdenerwowana, zaczęła rozglądać się po hangarze. Rezygnując z zachowania ostrożności, pobiegła pod boczną ścianę, gdzie, jak zapamiętała, leżały jakieś kawałki stali. Ku jej nieopisanej uldze walał się tam na ziemi ogromny młot. Chwyciła go oburącz i wróciła pod drzwi.

Uniosła go do góry i z całej siły uderzyła w kłódkę. Dźwięk, który rozniósł się po stalowym stelażu hangaru, był tak potępieńczy, że chyba nawet umarli nie mieliby wątpliwości, czy już się obudzić, czy jeszcze trochę poczekać.

Ale kłódka się trzymała. Dorota pomyślała, że jeśli do tej pory nikt się nie pojawił, to albo musiał być głuchy jak pień, albo nikogo tutaj nie było. Poza tym, jakie miała inne wyjście? Uniosła młot i walnęła nim raz jeszcze. Tym razem kłódka puściła. Szarpnęła za stalowe drzwi i stanęła w progu.

Właściwie czegoś takiego się spodziewała, ale widok zakneblowanej i przywiązanej do pryczy Pauliny i tak nią wstrząsnął. To już przestała być zabawa, na YouTubie nie było takich filmów.

Podbiegła do niej i wyrwała jej knebel. Paulina odetchnęła głęboko, ale nic sensownego nie powiedziała. Wciąż była chyba nie do końca przytomna.

Dorota zaczęła ciągnąć sznur. Rozejrzała się po pomieszczeniu, a potem przypomniała sobie o poszarpanych stalowych kątownikach, które leżały pod ścianą hangaru. Wybiegła i po chwili wróciła z kawałem stalowego łomu.

Paulina chwiała się na nogach. Dorota podniosła ją z pryczy, ale dziewczyna leciała jej przez ręce. Boże! Przecież nie doniesie jej do samochodu.

Posadziła ją na pryczy. Paulina usiadła, a głowa opadła jej jak u szmacianej lalki.

Dorota rozejrzała się wokół. W pomieszczeniu było kilka stalowych szaf, pod ścianą stały oparte wiosła. Z boku na podłodze zobaczyła klapę z uchwytem. Tam też wisiała kłódka.

Właściwie nie wiedziała, po co to zrobiła. Intuicja. Kobieca, niech będzie. Wybiegła z pomieszczenia i wróciła z młotem. Zamierzyła się i kolejna kłódka się poddała. Stwierdziła, że idzie jej z tym coraz lepiej.

Nie miała pojęcia, co znajdzie na dole. Prowadziły tam wąskie stalowe schody, które niknęły w mroku. Na ścianie koło klapy były kontakty. Do tej pory nawet nie przyszło jej do głowy, żeby zapalić światło. Przecież ktoś mógłby je zobaczyć.

A gdzie się właściwie podział ten, który przywiózł tutaj Paulinę?

Zostawił ją i odjechał, jak ona jeździła dookoła wiochy, żeby zaskoczyć go od tyłu? Boże! Miała więcej szczęścia niż rozumu.

Przekręciła czarne pokrętło. Na dole zobaczyła betonową posadzkę, którą zalało blade światło. Zrobiła pierwszy krok. Z tyłu dobiegł ją jęk Pauliny, która chyba powoli dochodziła do siebie.

Zrobiła drugi krok, a potem kolejne.

Gdy znalazła się na dole, zobaczyła to praktycznie od razu. Sparaliżowało ją i przez moment myślała, że nie ruszy się z miejsca.

W pomieszczeniu była prawdziwa kolekcja narzędzi tortur. Krzesła ze stalowymi bolcami, klatki, pejcze. Pod ścianą stał stół ze skórzanymi pasami, a z sufitu zwisały jakieś haki.

I to nie była niewinna kolekcja Christiana Greya. I wszędzie były ślady krwi.

Nie wiedziała, czy stała w miejscu pięć sekund, czy pięć minut. Czy piętnaście.

Gdy się w końcu ruszyła, usłyszała na górze jakiś zduszony okrzyk. Rzuciła się do schodów, a gdy złapała za poręcz przy ścianie i podniosła głowę, zobaczyła na ich szczycie ciemną sylwetkę w czarnym kapturze.

*

Policjant dyżurny sięgnął po mikrofon. Przed chwilą ktoś inny złożył doniesienie, że w domu za Kurowem coś się dzieje. Nie chciał podać nazwiska i dzwonił z jakiegoś numeru w mieście.

Może ten patrol powinien się jednak pośpieszyć.

– Halo? Trójka? Co z tym Kurowem?

– Jedziemy.

– Bądźcie ostrożni. Coś tam jest nie tak. Właśnie odebrałem drugie wezwanie do tego domu.

*

Stała, wpatrując się w ciemną sylwetkę, i czuła, jak rośnie w niej panika, jakiej dawno już nie czuła. Podobna do tej, której doznawała, gdy była dziewczynką i schodziła do piwnicy po rower. Wtedy siłą zmuszała się, żeby nie biec, chociaż strach podpowiadał jej, żeby rzucić wszystko i uciekać przed siebie.

Ten strach na górze nagle się zakołysał i zrobił krok w dół.

Wtedy zobaczyła za jego plecami jakiś cień i po chwili czarna sylwetka bezwładnie poleciała w dół. Prosto na nią. Odruchowo odskoczyła w bok. Postać w kapturze uderzyła o posadzkę i znieruchomiała.

Dorota przeskoczyła przez nią i starając się nie myśleć, że on złapie ją za kostkę, rzuciła się do góry. Stała tam Paulina, oparta o ścianę i wciąż wyglądająca na pijaną.

Dorota objęła ją wpół, a drugą ręką zwaliła klapę, która z łomotem upadła, zasłaniając światło. Zataczając się, wybiegły na dwór.

Dorota rozejrzała się wokół. Brama wyjazdowa była zamknięta. Obok była furta. Nie wiedziała, co robić.

Jeśli zacznie ją otwierać i nie zdąży, potwór w kapturze może wyleźć na górę. Był bardzo wysoki. Miał na pewno ponad metr dziewięćdziesiąt. I był zdesperowany. Jej umiejętności walki, nie takie znowu perfekcyjne, tym razem mogą nie wystarczyć.

Odwróciła się w kierunku rzeki. Odra płynęła spokojnie, niewzruszona, błyskając srebrnymi refleksami.

Kajaki.

Szarpnęła Paulinę i ruszyły w kierunku brzegu. Pod wiatą przy murze leżało kilka zielonych i żółtych cielsk. A obok na szczęście wiosła. Posadziła Paulinę na trawie i rozejrzała się. Trochę dalej leżał spory kawał brezentu, który pewnie wiatr zerwał z kajaków. Pod wpływem impulsu chwyciła go, skotłowała w kłąb i wepchnęła do pełnej już wody łódki. Weszła do rzeki i popchnęła łódź. Krypa z trudem odsunęła się od brzegu, a następnie ulegając leniwemu nurtowi, popłynęła wolno w dół Odry.

Miała nadzieję, że jeśli mężczyzna z lochu będzie chciał je ścigać, to może jakimś cudem wprowadzi go w ten sposób w błąd.

Chwyciła jeden z żółtych kajaków i pociągnęła w kierunku brzegu. Wepchnęła go od razu do połowy w wodę i wróciła po wiosło.

Paulina wciąż leciała przez ręce, choć już zaczynała współpracować. Ale i tak, żeby móc usadzić ją w kajaku, Dorota musiała wejść po kolana w wodę. Odwróciła się i przy bocznych drzwiach do hangaru na króciutki moment zobaczyła postać w czarnym kapturze. Po chwili księżyc skrył się za chmurami i wszystko znowu zagarnęła ciemność. Dorocie przemknęła przez głowę myśl, że potwór dziwnie się zachowywał, jakby był po jakichś prochach. I ten bezwład, kiedy spadał ze schodów… Odpędzając od siebie niepotrzebne myśli, pchnęła kajak i wskoczyła do środka, o mało nie wywracając się do rzeki.

Dorota się rozejrzała. W takich sytuacjach podejmuje się rozmaite decyzje. Niekoniecznie słuszne. Nie pamiętała potem, dlaczego obawiała się płynąć do brzegu, do samochodu. Zapewne uznała, że potwór wybiegł z posesji i zaraz będzie na drodze. Zanim wygramoliłyby się z kajaka i zanim dowlecze Paulinę do samochodu, dopadnie je obie.

Szarpnęła wiosłami i po chwili była po drugiej stronie rzeki. Pamiętała, że gdzieś tutaj, na wysokości Siadła Dolnego, była stara śluza, którą wpływało się w labirynt kanałów, przekopów i zagubionych wśród wysp jeziorek.

Archipelag tysięcy hektarów zatopionych w wodzie nieużytków.

*

Radiowóz przejechał główną drogą przez wieś i wytoczył się na gruntowy

dukt w kierunku podzielonych na kwartały nowych terenów budowlanych, które nie wyglądały już jak malownicze pola nad rzeką, a jeszcze daleko im było do malowniczych osiedli, jak reklamowano je w folderach.

– Źle skręciłeś – mruknął ledwie mieszczący się w fotelu pasażera policjant. – Trzeba było jechać tą drogą w lewo. Po coś ty skręcił w prawo?

Kierowca parsknął niecierpliwie.

– Powiedział, że za Kurowem, dom gdzieś koło Siadła Dolnego. Numeru nie podał.

– Wichrowe Wzgórza miały być, gdzieś na uboczu.

– Wichrowe Wzgórza to kilka domów na krzyż, reszta to ugór.

– Jedź prosto wzdłuż Odry – grubas machnął ręką w kierunku gruntowej rozjeżdżonej drogi, która oświetlona reflektorami znikała w ciemności przed maską.

Samochód toczył się wolno, wpadając co chwila w koleiny i w kałuże brudnej wody. Po prawej stronie mierzwiły się zarośla nad Odrą, a po lewej wyrastały pojedyncze rachityczne krzaki lub stare przerażone i postrzępione wierzby. Kilkadziesiąt metrów dalej, z mroku wyłonił się tył szarego terenowego samochodu.

– Tu trójka. – Radiowóz zatrzymał się obok, pogrążonego w ciemności auta. – Jesteśmy na drodze do tego domu, którego dotyczyło zgłoszenie. Stoi tu w polu jakieś audi na niemieckich blachach. Możesz sprawdzić?

– No jak mam sprawdzić? Niemieckich blach ci nie sprawdzę, jak nie jest kradziony – w głośniku rozległ się poirytowany głos dyżurnego. – To pewnie tej Jansen, która dzwoniła. Nie ma jej tam?

– Nikogo nie ma. Chyba że poszła do tego domu, ale to jeszcze ze sto metrów, o ile to ten – policjant wychylił się w kierunku przedniej szyby, usiłując dostrzec coś w mroku.

Jego kolega odpiął pasy i wygramolił się na zewnątrz. Z latarką w ręku ruszył dookoła grafitowego SUV-a.

Po chwili radio zatrzeszczało.

– Mogę ci podać numer komórki, z którego dzwoniła ta Jansen.

– Dobra.

Kierowca wystukał numer na klawiaturze i podniósł telefon do ucha. Sygnał dobiegł gdzieś z boku. Jakby przytłumiony.

Policjant, który właśnie wracał do radiowozu, skierował latarkę na szare audi. Sygnał najwyraźniej dochodził z wnętrza.

– Co robimy? – zajrzał do środka.

Jego kompan popatrzył na komórkę i schował ją do kieszeni.

– Wsiadaj. Jedziemy do tego domu. Na mapie jest na końcu tej drogi. Niecały kilometr od wsi. Żadnego innego nad samą Odrą nie ma.

Drzwi radiowozu trzasnęły i po chwili samochód zaczął powoli toczyć się biegnącą wzdłuż brzegu drogą. Po chwili w jej perspektywie, przesłonięty bezlistnymi gałęziami przydrożnych drzew, pojawił się ciemny masyw domostwa.

Samochód skręcił i pojechał wzdłuż wysokiego muru, zza którego wydostawały się gałęzie świerków i żywotników. Za zakrętem droga wiodła prosto pomiędzy stare drzewa przetrzebionego lasku, którego resztki ocalały na brzegu niewielkiego stawu. W mur wpięta była, niczym wielka klamra, masywna stalowa brama. Obok niej, wykonana z takiego samego materiału, znajdowała się furta.

Siedzący na miejscu pasażera policjant sięgnął po latarkę i wysiadł z radiowozu. Podniósł ją i przejechał wąskim snopem światła po ogrodzeniu. Obok furty, wmontowana w mur, ukazała się tablica z domofonem. Policjant podszedł do niej i wcisnął guzik. Gdzieś za murem, rozległ się cichy gong. Wybrzmiał do końca i powtórzył się jeszcze dwukrotnie.

Kierowca wysiadł i podszedł do kolegi.

Po trzech próbach pochylił głowę nad schowanym pod klapą kurtki mikrofonem radia.

– Nikt nie otwiera. Dom jest całkiem ciemny.

– Czekajcie. Jadą tam z CBŚ.

– CBŚ? A co oni mają do tego?

– Prokuratura w dalszym ciągu się upiera, że za sprawą zwłok w Odrze stoi mafia. Jeśli ktoś porwał tę Weber to możliwe, że mają rację.

Nagle rozległ się głuchy odgłos. Dochodził gdzieś zza muru,

najprawdopodobniej ze sporej odległości, ale i tak w kompletnej ciemności i wśród panującej ciszy mroził krew w żyłach.

Policjanci spojrzeli po sobie. Gruby sięgnął do kabury i rozejrzał się nerwowo.

– Co robimy?

– Mamy czekać.

*

Śluza Dolnosiadelska przypomina pozostałości wymarłej cywilizacji. Dwa długie betonowe nabrzeża były zamknięte od strony Odry ogromną wznoszącą się kilka metrów ponad wodę stalową bramą, której skrzydła siedemdziesiąt lat temu ktoś otworzył i tak już zostały. Takich śluz było na Międzyodrzu kilka. Powstały jako ambitna próba wydarcia naturze kilku tysięcy hektarów moczarów i zamiany ich w pola do wypasu bydła. Próba nieudana. Jeszcze przed wojną zaniechano walki z przyrodą, a wybudowane dziesiątki kilometrów kanałów melioracyjnych i betonowych śluz i zapór pozostawiono swojemu losowi.

Dorota minęła betonową zaporę, która w świetle księżyca wyglądała jak warta milion dolarów scenografia do wysokobudżetowego filmu grozy, i wpłynęła do kanału. Pamiętała, że jakieś pół kilometra dalej kanał wpadał do Żeglicy, jednej z szerszych serpentyn w labiryncie Międzyodrza.

Boże! Jak to możliwe, że przechowywała w pamięci takie informacje. Ale jak widać, każda wiedza znajduje kiedyś zastosowanie. Tylko że przekop biegł w głąb moczarów prosto jak strzelił. Jeśli temu bandziorowi przyjdzie do głowy za nimi płynąć, to dorwie je w minutę.

Zaczęła się rozglądać na boki. Gdzieś tutaj musiała być jakaś odnoga, która przecinała poldery. Latem, gdy poziom wody opadał, te wszystkie wąskie wstążki zarastały roślinnością, ale o tej porze roku mogły być całkowicie pławne.

Siedząca z przodu Paulina poruszyła się i jęknęła. Uniosła głowę, rozejrzała się dookoła siebie, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi, i naraz gwałtownie szarpnęła się do tyłu, usiłując się odwrócić.

– Przestań, bo wywalisz kajak – warknęła cicho Dorota.

– Dorota? Gdzie my jesteśmy? Co się stało?

– Też w zasadzie chciałabym to wiedzieć. Dotyczy to obu twoich pytań.

– Boże! Zrzuciłam kogoś ze schodów.

– Bardzo możliwe, że to była najlepsza decyzja w twoim życiu.

– Ktoś mnie wepchnął do samochodu. – Paulina potarła dłońmi skronie. – Boże! Jak mnie boli głowa. A potem pamiętam jakiś huk i te schody.

Dorota szarpnęła wiosłem i skręciła kajak w prawo. W świetle księżyca pomiędzy szuwarami ukazał się wąski przesmyk.

– Jak to się stało, że ty tu… Skąd ty się w ogóle tutaj wzięłaś!?

– Pojechałam za tobą, żeby ci oddać komórkę. Bardzo możliwe, że to była najgorsza decyzja w moim życiu.

– Komórkę? – Paulina sięgnęła ręką do spodni. – Musiała mi wypaść pod domem, jak mnie ten typ wciągał do samochodu.

– Ciszej bądź. Po wodzie głos się bardzo niesie. Wypadła ci pod domem Igora. Jak podziwiałaś graffiti na swoim samochodzie.

– Co takiego?

Dorota streściła Paulinie przebieg wydarzeń ostatnich godzin.

Paulina przez chwilę siedziała oniemiała.

– Nabity, łysy, tępa gęba? – powtórzyła z namysłem określenia, jakich Dorota użyła pod adresem zamaskowanego prześladowcy jej samochodu. – Boże! To przecież ten Marian Koszut! Co za kanalia!

– Czy on może mieć coś wspólnego z tym wszystkim tutaj? – Dorota wbiła wiosła w gęstniejącą od pędów i korzeni wodę. Kajak, szurając o rośliny, powoli przesuwał się wąską strugą.

– On? – Paulina parsknęła pogardliwie. – Skądże. Wytoczyłam jego synowi proces o pobicie…

– O pobicie? Jezu! Z kim ty się zadajesz? Jakiś facet cię bije, inny porywa.

– Cii… – Paulina nagle znieruchomiała. – Słyszałaś?

Dorota odłożyła delikatnie wiosło na burty kajaka. Obie znieruchomiały.

– Wyraźnie słyszałam jakiś plusk…

– Plusk? To mogła być jakaś ryba.

Nagle rozległ się głośny wystrzał. Obie aż podskoczyły.

– Ktoś strzelał?

– Może to policja? – Dorota wbiła wzrok w ciemność.

Pomyślała, że na szczęście kanał, w który zboczyły, był za wąski i za płytki dla łodzi motorowej, gdyby bandziorowi w czarnym kapturze przyszło na myśl aż tutaj się zapuścić. Nie mówiąc o tym, że silnik momentalnie zaplątałby się w szuwary.

Obie przestały się poruszać, bez mała oddychać.

Wokół słychać było tylko odgłosy wody uderzającej o skotłowane gałęzie i wystające nad powierzchnię konary.

*

Dla dwóch policjantów z drogówki wydarzenia, które rozegrały się zaraz po tym, jak przed bramę domu na Wichrowych Wzgórzach zajechała policyjna furgonetka i wyskoczyli z niej umundurowani w zielone kubraki i czarne kamizelki policjanci Centralnego Biura Śledczego Policji, przybrały zdecydowanie za szybki obrót.

I zdecydowanie ich przerosły.

Furta poddała się bez walki. Okazało się przy tym, że alarm nie był włączony. Dwóch policjantów wbiegło do środka i po chwili wielka brama wjazdowa odjechała w bok, ukazując wnętrze ogromnego spływającego ku rzece podwórza.

Dom pogrążony był w mroku, ciemność spowijała także sąsiednie budynki, w tym ogromny hangar na łodzie. Światło dochodziło tylko gdzieś z wnętrza sąsiadującego z hangarem budynku gospodarczego. Drzwi prowadzące do niego stały otworem.

Policjanci dopadli do ścian po obu stronach i po chwili wbiegli do środka.

Od razu go zauważyli. Stał oparty o ścianę przy zejściu do piwnicy. Stalowa pokrywa leżała obok. Mężczyzna trzymał się za głowę, a czarny kaptur zwisał mu na ramionach.

Gdy policjanci wbiegli do środka pomieszczenia, podniósł głowę i rzucił się do ucieczki. Udało mu się odepchnąć jednego z zaskoczonych

funkcjonariuszy i dopadł do drzwi.

Światła zamontowanych na czapkach reflektorków biegały po ścianach, wydobywając z ciemności fragmenty łodzi, jakichś rusztowań, narzędzi.

Mężczyzna wypadł do hangaru i chciał biec w kierunku drzwi wejściowych, ale pojawili się w nich dwaj kolejni policjanci, którzy celowali do niego z pistoletów i krzyczeli, żeby się zatrzymał. Rozejrzał się w panice wokół siebie i zobaczył stalowe, oparte o ścianę kątowniki. Chwycił jeden z nich i odwrócił się.

I wtedy padł strzał.

*

Cisza, która zapanowała wokół, gdy Paulina i Dorota znieruchomiały, nasłuchując dźwięków dolatujących z drugiego brzegu Odry, była względna. Moczary pulsowały wręcz rozmaitymi piskami, chlupotami i chrobotaniem rozlicznych stworzeń, które z końcem marca budziły się już do życia, nie mogąc doczekać się wiosny.

– Jeśli to policja strzelała, to może powinnyśmy wracać?

– Nie mamy pewności – mówiła szeptem Dorota pochylona nad wiosłem. – Prokuratura przecież zdementowała twoje rewelacje o seryjnym mordercy i nadal twierdzi, że to gangsterskie porachunki.

– Zdążyłaś się przyjrzeć temu typowi?

– Kiedy? Wszystko działo się zbyt szybko. Spostrzegłam tylko, że był szczupły i bardzo wysoki. Ale na korzyść twojej teorii przemawia coś, co tam widziałam. Chociaż określenie „na korzyść” raczej średnio tutaj pasuje…

– Co widziałaś?

– W tym lochu, do którego go wepchnęłaś, była prawdziwa izba tortur. Jak w średniowieczu. Pisząc ten artykuł, zastanawiałaś się w ogóle nad tym, co on robił z tymi kobietami?

– Nie wiem czy teraz chcę o tym myśleć.

– Jeśli kopiował procesy o czary, to musiał je torturować. Powtórzyć cały ten rytuał, z żądaniem przyznania się do winy, a potem torturami z wyłamywaniem stawów, łamaniem kości, wybijaniem zębów,

wyłupywaniem oczu…

– Przestań!

– Przy czym żadna nie mogła zbyt wcześnie od tego umrzeć. Pewnie jakoś podtrzymywał je przy życiu po to, żeby zabić zgodnie z historycznymi przekazami.

– Zamknij się! Nie chcę tego słuchać. Sama mogłam trafić dzisiaj do tego lochu. Powinnyśmy się stąd zabrać.

– Ciszej!

– Co się dzieje? – Paulina zniżyła głos, rozglądając się ze strachem wokół siebie.

Od strony głównego kanału, z którego wpłynęły w wąski przesmyk, dochodził cichy, regularny odgłos. Plusk, chwila ciszy i plusk. Tak jakby ktoś najciszej, jak potrafił, zanurzał w wodę wiosła.

Paulina poczuła, że zaczyna się trząść.

Plusk, chwila ciszy i plusk.

Obie zamarły.

*

Mężczyzna leżał na ziemi obok drewnianego stelaża i jęcząc, trzymał się za bok. Dwaj policjanci podbiegli do niego, wyciągnęli kajdanki i skuli mu ręce na plecach.

Nagle hangar zalało jasne światło. Jeden z funkcjonariuszy znalazł przed chwilą tablicę z włącznikami i z triumfem w oczach odwrócił się teraz do swoich kolegów. Z pomieszczenia obok dobiegło ich jakieś pokrzykiwanie.

Schody prowadziły w dół. Dwóch policjantów z łoskotem zbiegło po stalowych stopniach i zatrzymało się na środku lochu. Stali tu już ich dwaj koledzy, wpatrując się w milczeniu w kolekcję narzędzi tortur. Spojrzeli po sobie. Każdy chyba już zdążył przeczytać dzisiaj ten artykuł.

– Sprawdźcie tutaj wszystko! – Dowodzący grupą policjant machnął ręką wokół siebie. – Każdy kąt.

– Po co? Złapaliśmy go przecież. Resztą niech się zajmuje dochodzeniówka.

– Nie gadać! Macie sprawdzić wszystko! Rękawice wkładać i uważać na ślady.

Dwóch stojących najbliżej policjantów spojrzało po sobie, po czym metodycznie zaczęli zaglądać za każde z urządzeń drewnianych, stalowych czy zbitych z belek i skórzanych pasów.

Pod jedną ze ścian stała wielka drewniana konstrukcja, ze zbitymi na krzyż belkami na froncie. Jeden z policjantów podszedł do niej.

– To się pewnie obraca – mruknął do kolegi.

– Widziałem chyba coś takiego na jakimś pornolu.

– Ty. Zobacz, za tym chyba coś jest!

Policjant chwycił za brzeg konstrukcji i zaczął ciągnąć.

Z jazgotem przesunęła się odrobinę po posadzce. Za nią ukazał się fragment stalowych drzwi.

– Kurwa! Olek miał rację! – Spojrzał na kolegę. – Dawaj! Musimy to odsunąć.

Drewniany stelaż odjechał w bok i po chwili drzwi ukazały się w całej okazałości.

– Co robimy? – Policjant odwrócił się do dowodzącego.

– Wyłamuj! Co się pytasz.

Policjant wsadził pomiędzy skrzydło a futrynę stalowy pręt i po chwili drzwi ze stalowym łomotem trzasnęły o ścianę.

Za nimi w głąb prowadził wąski i niski loch. Światło zalewało tylko jego początek, dalej wszystko niknęło w mroku.

Stojący obok radiowozu policjant otworzył drzwi i wsiadł do środka.

– Halo. Tu trójka! – rzucił do radia. – Możesz dla nas coś zrobić?

– Co takiego?

– Ci z CBŚ wyłamali wszędzie drzwi i bramy. Możesz ustalić, do kogo należy ten dom? Gdzieś chyba trzeba zadzwonić. Ci królewicze, kurwa, nie będą się pewnie tym przejmować.

– Dobra, zaraz zobaczę…

Policjant spojrzał na oświetloną przednimi światłami drogę przed samochodem. Na jej końcu widać było otwartą na oścież bramę. Wylewało się z niej na zewnątrz światło.

– Trójka! – zatrzeszczało radio. – Dom należy do niejakiej Zuzanny Poroch. Zameldowana w Sławie Śląskiej. Jest w Stanach.

– I nikt się nim nie zajmuje? Do kogo mamy dzwonić?

– No tego to już ci nie ustalę. Będziecie musieli popytać tam ludzi z wiochy. Być może ktoś stamtąd ma klucze.

– Dobra, dzięki! – Policjant wyłączył radio i spojrzał w kierunku domu.

Zastanawiał się, co się tam działo.

Snopy światła przesuwały się po ścianach, rozświetlając wąski tunel. Grupa policjantów, jeden za drugim, powoli przesuwała się w głąb lochu. Było tak wąsko, że musieli iść pojedynczo. Prowadzący nagle się zatrzymał i odwrócił do pozostałych, wskazując kolejne drzwi w bocznej ścianie. Żelbetowy tunel prowadził dalej i znikał w mroku.

– Dokąd to się, kurwa, ciągnie? – Jeden z policjantów strzelił światłem w perspektywę korytarza. – Ja pierdolę, co tu tak śmierdzi?

– Pewnie prowadzi do domu – mruknął dowódca. – Kierunek się zgadza. Ty i ty. – Wskazał palcem dwóch idących za nim. – Pójdziecie dalej. Sprawdzić tę chatę całą. Wy otwieracie te tutaj drzwi.

– Pogotowie chyba trzeba wezwać do tego na górze – odezwał się jeden z policjantów.

– Niech ci z drogówki się tym zajmą.

Po chwili kolejne stalowe skrzydło skrzecząc, grzmotnęło o ścianę.

Tego, co było we wnętrzu pomieszczenia, nikt z obecnych raczej się jednak nie spodziewał

– Ja pierdolę!

– Wzywaj tę karetkę, ale już! – krzyknął dowódca do policjanta na korytarzu. – Dobra, szefie – funkcjonariusz, który jako pierwszy wszedł do niewielkiego kwadratowego pomieszczenia, pokręcił głową. – Pogotowie tu już jest zbyteczne. Prokurator i patolog.

Pod jedną ze ścian leżał worek z grubej folii budowlanej, taki, jakiego robotnicy używają do wynoszenia gruzu po remontach, a nieco dalej skręcone pęto łańcucha.

Ale to, co istotne, znajdowało się pod przeciwległą ścianą.

Przykuta, z rękami zwisającymi z łańcuchów, leżała tam naga kobieta. Całe jej ciało pokrywały sine plamy, oparzenia i krwawe blizny. Nie żyła od dobrych kilku dni, w dolnych partiach nóg i na udach widać było fioletowe wybroczyny i obrzęki.

Obok, w wielkiej kałuży zaschniętej krwi, leżała odcięta głowa ze zmierzwionymi rozpuszczonymi włosami.

*

W ciągu dnia nie było zbyt ciepło. Marcowa pogoda była tradycyjnie kapryśna. Po kilku dniach ciepłych i słonecznych wrócił chłód. A chłód plus wilgoć nigdy nie oznaczały niczego dobrego. Paulina właśnie zaczynała się o tym przekonywać. Czapki i rękawiczek oczywiście nikt pod koniec marca zazwyczaj nie wkładał. W ciągu dnia na ulicach pojawiali się nawet czasem licealiści w T-shirtach i dziewczyny w krótkich spódniczkach. Ale wieczorem robiło się zimno jak w lutym.

Paulina czuła, że zaczynają jej grabieć palce u rąk. Od kilku chwil siedziały kompletnie nieruchomo, nasłuchując odgłosów dobiegających z głównego kanału, zaledwie kilkanaście metrów od nich.

Plusk rozlegał się co chwila, teraz nieregularnie. Nie można było mieć pewności, czy to nie jakieś zwierzę. Bóbr? Może wąż, zaskroniec. Widziała kiedyś z łódki na Odrze pokonującego rzekę wpław wielkiego żółto-czarnego zaskrońca. Odważny gad, z łebkiem wystającym nad wodę, wyglądał jak prawdziwy, chociaż miniaturowy wąż morski.

Ale mógł to być równie dobrze ktoś na łodzi. I jego zachowanie mogło dziwić.

Plusk ustał na dłuższą chwilę. Obie wstrzymały oddech, podejrzewając, że ktoś właśnie, jak one przed chwilą, nasłuchuje.

I nagle zobaczyły błysk światła. Niewielki reflektor, jak sztylet wbił się w ciemność. Widziały go pomiędzy szuwarami, jak wycina z czarnej wody

kanału jaskrawą bliznę. Po chwili przejechał snopem światła po kępach roślinności.

Paulina siedziała jak skamieniała. Nie umiałaby określić, ile czasu upłynęło. Pięć minut? Dwadzieścia?

Nagle w ciszy rozległ się pomruk. Cichy, elektryczny silnik. Światło zgasło, a odgłos powoli zaczął się oddalać.

– Popłynął w kierunku Żeglicy – szepnęła Dorota. – Możemy spróbować wydostać się do kanału i dopłynąć do śluzy. To jakieś sto metrów. Potem, jak odbijemy pod prąd, to wylądujemy w Siadle Dolnym. Nawet jak za nami popłynie, to pomiędzy domami nic nam już nie zrobi.

– A jeśli ma jakąś broń. Przecież słyszałaś strzał?

– Nie możemy siedzieć tutaj w nieskończoność. Jeśli wróci, wypatrzy ten przekop i wpłynie za nami, a wtedy to już nie będziemy miały gdzie uciekać.

– Co jest, kurwa, z tą policją? – Paulina zacisnęła pięści.

– Mogli przyjechać, pobębnić tłustymi paluszkami o bramę i pojechać do KFC.

– Dobra. – Paulina odwróciła się do Doroty. – Wszystko jest lepsze niż to siedzenie tutaj. Ja mogę teraz wiosłować.

Chwilę później kajak powoli wypłynął z szuwarów. Paulina rozejrzała się wokół, chociaż, jak przyznała w duchu, w panujących wokół ciemnościach i tak nie miało to większego sensu. Księżyc świecił blado i od niechcenia, to wypływając na niebo, to chowając się w brudną, szarą pianę chmur.

Trzymając się lewej strony kanału, popłynęły w kierunku śluzy. Po chwili dotarły pod betonową ścianę, odbiły w prawo, minęły zatopione w wodzie wrota i znalazły się wreszcie na Odrze.

*

Dwaj policjanci z drogówki stali obok radiowozu i wpatrywali się w otwartą bramę posiadłości. Przed chwilą usłyszeli, jak kręcący się przy furgonetce kierowca tych z CBŚ wzywał pogotowie. A zaraz później prokuratora chyba.

– Co się dzieje? – korpulentny funkcjonariusz podszedł do mężczyzny

i ruchem brody wskazał dom, rozświetlony od dłuższej chwil światłami w budynku mieszkalnym i przed hangarem na łodzie.

– Postrzelili jakiegoś bandziora. – Policjant wzruszył ramionami.

– Dalej twierdzicie, że to mafia?

– Ja tam nie wiem.

Dobrze zapowiadającą się rozmowę przerwały hałasy od strony bramy i po chwili na zewnątrz wyszła cała grupa policjantów.

– I co z tymi dwiema babkami? – kierowca z patrolu podszedł do zaaferowanej grupy. – Z tą Weber i tą, która dzwoniła? Znaleźliście je?

– Ani śladu – dowódca pokręcił głową. – Ale znaleźliśmy zwłoki jakiejś innej kobiety.

Policjant otworzył szeroko oczy.

Od strony rachitycznego lasku doszedł dźwięk syreny i po chwili pomiędzy drzewami zobaczyli błyskające światła karetki pogotowia.

*

Gdy kajak dobił do małej wąskiej plaży w Siadle Górnym, Paulina nie mogła uwierzyć, że jeszcze kilkanaście minut temu było jej zimno. Teraz była zgrzana i spocona jak mysz i nawet nie z powodu wyjątkowo forsownej pracy wiosłami, ale ze zdenerwowania. Cały czas panicznie się bała, że za chwilę usłyszą warkot elektrycznego silnika i zza stalowych prowadzących na mokradła wrót wypłynie łódka.

Gdy stanęła na suchym brzegu, na własnych nogach, w pozycji pionowej i zobaczyła palące się jeszcze w kilku nielicznych domach światła, poczuła ulgę nie do opisania. Tutaj już nic im nie groziło.

Zostawiły kajak na brzegu i ruszyły w kierunku drogi prowadzącej do posiadłości, z której dopiero co ewakuowały się drogą wodną. Było to nieco niepokojące, w końcu zbliżały się z powrotem do miejsca, z którego w panice uciekały, ale po drodze był samochód.

Tylko że trzeba było przejść do niego w ciemności, z przyświecającym jedynie kapryśnie księżycem,

Gdy minęły ostatni dom we wsi, zobaczyły w oddali pulsujące światła,

chyba karetki, i reflektory co najmniej kilku samochodów.

– Co tam się dzieje? – Paulina ostrożnie ominęła jakąś dziurę. Migoczące na końcu drogi światła podkreślały tylko ciemność panującą w najbliższym sąsiedztwie. Miała wrażenie, że jeszcze krok i o coś wyrżnie.

– Zaraz się okaże. – Dorota wygrzebała z kieszeni kluczyki – Zapomniałam o *Follow me home.*

– O czym?

Zamiast odpowiedzi Dorota kliknęła kluczykami i w odległości może dziesięciu metrów od nich rozjarzyły się światła samochodu.

Po chwili znalazły się w ciepłym wnętrzu. Paulina natychmiast odruchowo sięgnęła po swoją komórkę, leżąca obok komórki Doroty. Dwadzieścia nieodebranych połączeń! W tym dziesięć od Mateusza.

Silnik warknął i audi potoczyło się gruntowym duktem.

Prokurator Krygier z ulgą wyszedł z hangaru na powietrze. Ciało w lochu pod budynkiem musiało leżeć już kilka dni. Zaczął się rozkład. Cały korytarz wypełniony był koszmarnym odorem. Tożsamość kobiety była dla niego oczywista od pierwszego spojrzenia. Znał jej twarz z gazet i portali. Beata Dobrosielska.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ.

Godzinę temu wyrwał go z łóżka dyżurny z komendy. Zapytany, o co konkretnie chodzi, odpowiedział tylko *Szczecin Floating Murderer*.

Krygiera szlag trafiał na samo brzmienie tego zwrotu, który powtarzali dzisiaj chyba wszyscy. W każdej gazecie i na każdym portalu. Rzygać się chciało. I nawet nie miał jeszcze szans, żeby porozmawiać z tą całą Weber. Najpierw zajęło się nią CBŚ. Swoją drogą, ich szybka reakcja była nieco podejrzana. Zastanawiało go, co się za tym kryło.

Wyszedł na drogę akurat w momencie, gdy sanitariusze nieśli do samochodu postrzelonego chłopaka. Z tego, co od nich usłyszał, postrzał okazał się dość poważny, a koleś w dodatku był na jakichś prochach. Zanim ustalą na jakich, pewnie minie sporo czasu.

Zdążył sprawdzić tego Radwaniuka. Miał całkowicie czystą kartotekę.

Nic, nawet żadnego mandatu. Ale prawdę mówiąc, jeśli facet naprawdę okazałby się seryjnym mordercą, to wcale nie dziwiło. Nie wychylał się. Ta teoria jakoś mu jednak nie leżała. Mężczyzna był za młody. Miał tylko dwadzieścia cztery lata. Statystycznie, nie było zbyt wielu seryjnych morderców w tak młodym wieku.

Podszedł do radiowozu, żeby porozmawiać z policjantami, którzy pierwsi byli na miejscu, ale w tym momencie na drodze do wsi pojawiły się światła i po chwili na rozjeżdżony przez samochody plac przed bramą wjazdową do posiadłości wjechało terenowe audi.

– Proszę stąd odjechać! – Jeden z policjantów machnął ręką do kobiety, która siedziała za kierownicą. – Przeszkadza pani w czynnościach policji.

– Wolałabym, żebyście przystąpili do tych cholernych czynności nieco wcześniej. – Dorota zgasiła silnik i wysiadła z samochodu. – Tak, mniej więcej ze dwie godziny wcześniej.

– Proszę pani… – zaczął policjant, ale Krygier przerwał mu skinieniem dłoni. Przeszło mu przez myśl, że może kobieta reprezentuje właścicielkę.

– Dobry wieczór. Prokurator Grzegorz Krygier. Pani jest… – nie dokończył.

Z miejsca pasażera wysiadła druga kobieta. I wtedy zobaczył, że coś jest nie tak.

– Co się pani stało?

– O Boże! – Dorota dopiero teraz spojrzała na Paulinę. – Musiałaś gdzieś się skaleczyć.

Paulina miała zakrwawioną twarz. Krótka kurteczka z puchowym kołnierzem była cała upaprana krwią.

Dopiero po dłuższej chwili Krygier dowiedział się, kim są, bo najpierw Paulina wycierała twarz chusteczkami, które Dorota na szczęście miała w samochodzie.

– Były panie w środku? – spytał podejrzliwie dowódca grupy CBŚ i spojrzał z powątpiewaniem na eleganckie buty Pauliny. – I uciekłyście panie kajakiem?

– Dwie godziny tkwiłyśmy w szuwarach na Międzyodrzu. Ktoś nas tam śledził. Musicie to sprawdzić! To mógł być morderca.

– Policjant odprowadził wzrokiem odjeżdżającą spod bramy karetkę i odwrócił się do Pauliny.

– Słyszała pani o nocnym wędkowaniu? Tu jest mnóstwo entuzjastów tego sportu.

Zbita z tropu Paulina patrzyła na policjanta z malującą się na twarzy konsternacją.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, że popłynęłyście kajakiem na Kurowskie Błota. – Policjant patrzył na Paulinę z protekcjonalnym uśmiechem. – Lepiej będzie jednak, jak powiecie nam prawdę.

– Mam gdzieś pańskie kurewskie błota i to, w co pan wierzy. – Dorota spojrzała ze złością na wielkiego draba w czarnej kamizelce. – Pod hangarem jest loch, a w nim cała kolekcja narzędzi tortur. Większość z nich jest umazana krwią. Wiedziałabym o tym, gdybyśmy tam nie były?

Przez moment panowało milczenie. Zaskoczony policjant patrzył na Dorotę, jakby zastanawiał się, co powiedzieć.

– Wszystko panie widziały? – spytał w końcu. – Zwłoki też?

– Jakie zwłoki? – Paulina otworzyła szeroko oczy.

– Trupa? – Dorota spojrzała na policjanta z niedowierzaniem. – Jakiego trupa!?

I dopiero w tym momencie Krygier, przysłuchujący się w milczeniu rozmowie, skojarzył, kim jest Paulina Weber. Przez moment stał zaskoczony, po czym przeprosił wszystkich i odciągnął ją na bok.

– Wszystko, co się tutaj stało, na razie musi pozostać tajemnicą – powiedział przyciszonym głosem. Co za bałwan z tego cebeesia! Żeby tak się dać podejść!

– Ale jakiego trupa? – Paulina patrzyła na niego zszokowana.

– Zwłoki Beaty Dobrosielskiej. W poniedziałek wydamy stosowne oświadczenie. Obiecuję pani, że dostanie pani ode mnie informacje jako pierwsza, ale to, co się tutaj wydarzyło, na razie nie może trafić do gazety.

Paulina oparła się o maskę audi. Zrobiło jej się słabo. Dałaby wszystko, żeby znaleźć się w swoim łóżku na Pogodnie.

Karetka, błyskając światłami, właśnie odjeżdżała. Policjanci kręcili się

dookoła, zabezpieczając teren. Po chwili z oddali dobiegła syrena. Pogotowie właśnie wjechało na główną drogę do Szczecina. Natomiast od strony lasku pokazały się światła dwóch samochodów ekipy dochodzeniowej.

Rozdział 30

Poniedziałek, 20 marca

Igor stuknął palcami w klawiaturę po raz ostatni i z rozmachem odsunął się od biurka. Odetchnął i założył ręce za głowę.

Pół godziny wcześniej wyszła od niego księgowa, zabierając ze sobą worek pieniędzy. No dobra, woreczek. Dokładnie siedem tysięcy, dwieście pięćdziesiąt pięć złotych. Polskich oczywiście, które musiał wypłacić rano z banku, żeby nie zostawiać żadnych śladów po podejrzanych przelewach, z konta walutowego w dodatku. I tak będzie musiało się to nazywać wpłatą własną czy tam zasileniem, ale to już sprawa księgowej, żeby gdzieś odpowiednio tę wpłatę upchnąć.

Nie miał pojęcia, kiedy odda te pieniądze Johannowi i oczywiście wiedział, że za chwilę zacznie mu się to śnić po nocach, ale na razie czuł jedynie ulgę, że udało się, na jakiś czas przynajmniej, odsunąć od firmy widmo podatkowej katastrofy.

W dalszym ciągu oczywiście było kiepsko. Księgowa powiedziała wprawdzie, że z kasą za dom w Lubinie jakoś wyszarpie skądś resztę pieniędzy na pensje, ale i tak pozostawała góra niezapłaconych należności za projekt dla Practica Investment. Dla wszystkich zewnętrznych podwykonawców, technologów, instalatorów, rzeczoznawców…

Nadal więc aktualna była kwestia przystania na ich warunki, dzięki czemu dostałby kolejne ochłapy, które będzie mógł rzucić najbardziej potrzebującym lub najbardziej roszczeniowym dłużnikom. Tyle że nie jest to już aż tak pilne, jak pilne było zapłacenie podatku.

Spojrzał na monitor. Skończył właśnie podstawowe rysunki inwentaryzacji domu na klifie, nad którymi siedział cała niedzielę. Praktycznie od rana do wieczora. Ubraniem ich w wymiarówkę, opisy i adnotacje miał zająć się już ktoś inny, jemu pozostawało dokończenie opisu

technicznego. Więc może w tym tygodniu uda się jeszcze nawet wystawić fakturę Kłosowskiej? No i Borola…

Igor obawiał się, że Borola się wścieknie, jeśli powie mu teraz, że jednak przemyślał wszystko i nie da mu dokumentacji. Poza tym kasa od niego w dalszym ciągu by się przydała.

Westchnął i otworzył opis. Przeleciał wzrokiem treść technicznych szczegółów i nagle przypomniał sobie, że konstruktor miał mu przysłać dzisiaj opinię techniczną do ewentualnej rozbudowy.

Zajrzał do swojej poczty. No i była. Kilka stron technicznego bełkotu na temat domniemanego stanu fundamentów, określonego na podstawie wykonanych odkrywek i oględzin ścian piwnic, z zastrzeżeniem konieczności zrobienia badań geologicznych.

Przeleciał szybko wzrokiem cały tekst ekspertyzy, po czym ściągnął ją do folderu. Konstruktor spędził połowę soboty w Lubinie na wizji lokalnej, a opinię napisał naprawdę błyskawicznie. On też od teraz będzie czekał na swoją dolę. I tak w koło Macieju…

Westchnął ponownie i zagłębił się w tekst opisu technicznego. Sporo już właściwie zdążył zrobić, wszystkie dane wielkościowe, dane na temat stolarki okiennej i drzwiowej. Spędził nad tym wszystkim wczorajszy wieczór, odsuwając od siebie te nieprawdopodobne rzeczy dotyczące artykułu Pauliny, podejrzeń, zeznań na policji, które ich czekały i cholernych deweloperskich planów Boroli. Nie wiedział jeszcze, jak się z tego wywinąć.

Na chwilę oderwał wzrok od ekranu. Za to też mógłby właściwie wziąć zaliczkę. I to sporą…

Przez moment siedział ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, po czym pokręcił z dezaprobatą głową. Zawodowe prostytuowanie się musi mieć jednak jakieś granice.

Otworzył katalog z dokumentami, które dostał jako skany od Kłosowskiej, i zaczął po kolei je otwierać. Gdzieś musiał być opis dotyczący daty powstania i tak dalej. Trzeci z kolei dokument to był jakiś protokół. Igor szybko przebiegł po nim wzrokiem. Badania archeologiczne z dwa tysiące ósmego roku. Zajęcie terenów wzgórza za domem na potrzeby prac odkrywkowych, wytyczenie wykopów w północnej części grodziska…

Igor znieruchomiał. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

Chwilę później, nie po raz pierwszy zresztą w życiu, stwierdził, że powiedzenie „szczęka mu opadła” nie jest wyłącznie literackie i ma swoje całkowicie realne uzasadnienie.

*

Paulina, z brodą opartą na splecionych dłoniach, siedziała przy swoim biurku i wpatrywała się w monitor. Jej artykuł o czarownicach, druga część konkretnie, poszedł w końcu bez żadnych zmian. To znaczy żadnych radykalnych, bo sama, wykazując się dobrą wolą, wprowadziła pewne drobne korekty.

Gdy dzisiaj rano opowiedziała pokrótce Pawłowi o wydarzeniach z soboty na niedzielę, oczy prawie wyszły mu z orbit. Chciał od razu nagrywać materiał wideo z jej udziałem, ale niestety musiała go rozczarować. Układ, jaki zawarła z prokuratorem Krygierem, związał jej trochę ręce. I choć nie musiała go honorować, to jednak wiedziała, że na dłuższą metę taka znajomość jej się opłaci.

Przez całą niedzielę dochodziła do siebie. Musiała także odespać zarwaną noc. Przesłuchania skończyły się koło trzeciej i gdy Dorota odwiozła ją pod dom, było wpół do czwartej. Nawet z klubów nocnych, do których notabene ostatnio jakoś rzadziej chodziła, nie wracała tak późno.

Co widziała? Co słyszała? Podtykali jej pod nos zdjęcie tego Radwaniuka i pytali czy go poznaje. Nie poznała. Na tym zdjęciu widziała go po raz pierwszy w życiu. Za to opowiedziała im o wydarzeniach w Lubinie i o kartonikach księdza, które pokazał im policjant z Międzyzdrojów i które naprowadziły ją na trop czarownic. A właściwie, prawdę mówiąc, nie ją, a Piotrusia. Nareszcie wyrzuciła z siebie całą prawdę, chociaż była pewna, że jeszcze nieraz będzie w tej sprawie wzywana. Zwłaszcza że o notesie nadal nie wspomniała. Mieli przecież wszyscy razem uzgodnić, co z nim zrobić. Poza tym policja jakoś średnio przejęła się demonami. Patrzyli na siebie, jakby myśleli, że kompletnie jej odbiło.

Rzecz w tym, że przeciwko Radwaniukowi nie było żadnych twardych dowodów. Jedynie poszlaki. Pewnie teraz, gdy ona siedziała tutaj przed monitorem, policja przeczesywała jego dom, dom Budnego w Lubinie i na

Głębokim, gdzie Radwaniuk też pracował, więc niewykluczone, że coś znajdą.

Ale Paulina miała wątpliwości.

Intuicja podpowiadała jej, że ten ktoś, kto pływał łódką, gdy one siedziały z Dorotą w kajaku przemarznięte i przerażone, to nie był żaden wędkarz.

Zastanawiała się, czy jest możliwe, żeby to jakoś sprawdzić. Czy można ustalić, kto pływał w nocy łódką z silnikiem elektrycznym po Kurowskich Błotach? Pewnie nie, ale obiecała sobie, że spróbuje.

Kto by przypuszczał, że Dorota kiedyś ją uratuje? Niewiarygodne. Życie potrafi jednak zaskakiwać.

Mateusz jej za to nie zaskoczył. Wyjechał wczoraj obrażony. Nie chciał nawet, żeby go odwoziła, co zadeklarowała, chociaż jeszcze wieczorem była ledwie żywa.

Miał trochę racji. Wystawiła go kolejno w czwartek, piątek i sobotę. Nie pisała, nie dzwoniła i o niczym go nie poinformowała. Tak to wyglądało z jego punktu widzenia. Wiedziała jednak, że i piątek, i sobotę spędził bardzo rozrywkowo w jednym z dość znanych nocnych klubów.

I nie wyszedł stamtąd sam. Kochane koleżanki, które milczały miesiącami, natychmiast się odezwały i przypomniały o swoim istnieniu.

Nie była w stanie się tym teraz przejmować. Ale wiedziała, że potem będzie.

Dzisiaj rano napisał krótką wiadomość, że przyjeżdża coś załatwić w przyszłym tygodniu i będą musieli porozmawiać.

I myślała o Igorze. O tym rzuconym z chłodnym uśmiechem tekście, że to nie jego sprawa.

Dlaczego tak bardzo ją to zabolało?

*

Tajemniczych, owianych legendami wzgórz na Wolinie jest co niemiara. Wiąże się to zapewne z historią całej wyspy, tonącą w mrokach dziejów. Według legend to tutaj znajdowała się mityczna, zatopiona przez rozgniewanych bogów Wineta, gród, który jeszcze w pierwszym tysiącleciu

miał być jednym z największych europejskich miast. Otoczony murem, zamieszkany licznie przez ludność, która, skuszona jego bogactwem i wielkością, zjeżdżała tutaj z całego ówczesnego świata. Prowadzić do grodu miało dwanaście spiżowych bram, a o jego wspaniałościach pisał w dziesiątym wieku podróżnik i kronikarz z Kordoby Ibrahim Ibn Jakub; w sto lat później Winetę jako największy gród ówczesnej Europy opisał także niemiecki kronikarz Adam z Bremy.

O Wolinie opowiadały również skandynawskie sagi, według których znajdował się tutaj ogromny, zamykany żelaznymi wrotami i łańcuchem, port oraz wielkie miasto, które wikingowie nazywali Jomsborg.

Z całej tej świetności pozostało do dzisiaj malutkie miasteczko. Wielokrotnie zdobywane, niszczone, palone, grabione, ostrzeliwane ze szwedzkich armat, sowieckich dział i bombardowane przez alianckie samoloty.

To tędy, mostem na Dziwnie przeprawiał się pod sam koniec wojny Hasso von Flemming, wywożąc ciemną nocą tajemnicze skrzynie ze skarbami.

Igor oderwał wzrok od monitora. Jak to możliwe, że nie przeczytał o tym wcześniej? Za dużo się działo. Borola, te pomiary na klifie, notes z nazwiskami zaginionych kobiet, czarownice… Nic dziwnego, że takie rzeczy jak historia i dzieje domu w Lubinie spadły na plan dalszy.

Przypomniał sobie, że w Lubinie był kiedyś z Dorotą. Zatrzymali się w Wapnicy, na parkingu niedaleko wejścia na punkt widokowy nad Jeziorem Turkusowym, ową zatopioną dziurą po wyrobisku kredy Quistorpa. A potem poszli na spacer przez las. Wiodła tam stokiem nad jeziorem ścieżka, którą schodziło się w kierunku Lubina. Po drodze był jeszcze jeden punkt widokowy, z którego rozciągała się panorama na cały zalew i wystającą nad morze drzew wieżę kościoła w Lubinie. Po drodze mijało się jedno z owych tajemniczych wolińskich wzgórz – Zielonkę, nazywaną także Orlim Wzgórzem.

A na wyspie było ich jeszcze całe mnóstwo. Za Międzyzdrojami była Góra Marii, przed wojną nazywana Łysą Górą. Na północ od samego centrum Wolina były dwa prastare grodziska – Srebrna Góra, gdzie znaleziono pozostałości średniowiecznych umocnień, a kiedyś nawet dzbany

ze srebrnymi monetami, i Młynówka, gdzie odkryto pozostałości cmentarzyska z dziewiątego wieku. No i na południe od Wolina było słynne Wzgórze Wisielców z zachowanym przedchrześcijańskim cmentarzem.

Miejsca dawnej wiary, dawnych bogów, święte albo – zgodnie z jedynie słuszną ideologią – czarcie.

…kolekcja… ukryta gdzieś niedaleko pałacu, na wzgórzu…

…na jakimś czarcim czy świętym wzgórzu…

I o tym wszystkim przecież także rozmawiali. Nawet byli na jednym z nich, gdzie od średniowiecza do ostatniej wojny stało zamczysko, które okoliczna ludność nazywała Zamkiem Duchów.

Tylko że na Wolinie znajdowało się jeszcze jedno tajemnicze wzgórze. Na samym klifie, smagane tysiącami sztormów i północnych deszczy, z którego rozpościerał się, zapierający dech w piersiach, widok na archipelag czterdziestu czterech wysp Zalewu Szczecińskiego.

*

Borola stał przy panoramicznym oknie w swoim gabinecie i patrzył na bezlistne gałęzie drzew. W lecie cała ściana wyglądała jak zielona fototapeta. Park Żeromskiego pysznił się wszystkimi odcieniami zieleni, a buki dodawały do tego kroplę purpury. Jego żona nie była zadowolona z tej inwestycji. Po cholerę ci to biuro, mówiła. W dodatku, z widokiem na dom grabarza, dodawała złośliwie, pokazując palcem małą, drewnianą chatkę, wybudowaną niegdyś na potrzeby cmentarza, którym dawniej był rozciągający się za oknem park. Jak patrzył na te czarne szpony gałęzi i krople deszczu na szybie, to mu się to przypomniało. Zatruła mu myśli tym ględzeniem.

Borola nie miał dzisiaj dobrego nastroju. Z samego rana zadzwonił do niego Budny. Z dziwną sprawą. Poprosił, żeby ich rozmowy na temat inwestycji w Lubinie pozostały na razie między nimi. Wrócił wczoraj z Warszawy i rzekomo, z uwagi na pewne plany partii, nie chciał sobie popsuć wizerunku na Pomorzu, a inwestycja w Lubinie z pewnością wywoła spore kontrowersje.

Zapytany o te plany coś tam ściemnił, że to jeszcze nic pewnego.

Borola domyślał się jednak, o jakie plany chodzi. Sam miał też różne dojścia. Od kilku dni krążyły plotki, że kandydatura Budnego wysuwana jest na jakieś ministerialne stanowisko. Nie wiedział konkretnie, na jakie. Mówiło się o Ministerstwie Cyfryzacji lub Spraw Wewnętrznych i Administracji.

Poza tym, to pewnie nie było nic ważnego, ale coś Budnemu się chyba pomyliło. Twierdził, że od rana w sobotę był w Warszawie, a Borola dałby sobie głowę uciąć, że widział go na stacji benzynowej w Przecławiu.

W sobotę wieczorem.

*

Igorowi nie było dane skończyć opisu technicznego. Ledwie udało mu się uspokoić galopadę myśli po tym, co przeczytał na temat Wolina, kiedy zadzwoniła Dorota.

Nie wdając się w żadne subtelności, jak to ona, wyciągnęła go na kawę. Na łagodną sugestię, że może trochę później, bo ma teraz pilną rzecz do skończenia, powiedziała oczywiście, że nie żadne później tylko już.

A teraz Igor siedział naprzeciwko niej i po raz drugi w ciągu ostatniej godziny myślał o etymologii zwrotu „szczęka opada”.

Po opisie sobotnich wydarzeń, w których brały udział z Pauliną – swoją drogą dziennikarka mogła zadzwonić i opowiedzieć – Dorota zamilkła i czekała na jego komentarz.

Ale jemu zaschło w gardle.

– Spędziłyśmy chyba ze trzy godziny na przesłuchaniach. Było po trzeciej, jak dotarłam do hotelu.

– Siedziałyście w kajaku? – wydukał w końcu Igor. – W szuwarach?

– I to akurat najbardziej ci utkwiło w głowie?

– Jezu… Pewnie Paulina to jutro opisze.

– Nie opisze. Dostała zakaz. Dzisiaj za to ma być jakaś konferencja prasowa. Muszą chyba powiadomić, że znaleźli zwłoki Dobrosielskiej.

– Czyli kolejnej kobiety z artykułu Pauliny. – Igor pokręcił głową z niedowierzaniem. – Prawdę mówiąc, ja ciągle miałem wątpliwości. Ta

teoria Pauliny… Gangsterskie porachunki jednak wydawały się bardziej przekonującym tropem. Ale Dobrosielska…

– Chcieli nawet, żebym została jeszcze kilka dni w Szczecinie, ale na szczęście moja argumentacja, że do Berlina jeździ z dworca zwyczajny S-Bahn i że w każdej chwili mogę tu przyjechać jakoś ich przekonała.

– A ten dom? Wiadomo, do kogo należy? Ale, dobrze rozumiem, że złapali tego gościa?

– Nie mam pojęcia, do kogo należy. Twierdzą, że złapali, ale to wszystko jest rzeczywiście podejrzane.

– Przecież to on spadł ze schodów w lochu? On?

– Miał kaptur. Bardzo wysoki i szczupły. No niby on, ale…

– Ale co?

– Ktoś rzeczywiście pływał po kanale, kiedy my tam byłyśmy. To nie mógł być ten bandzior, przed którym uciekałam. Plusk wioseł słyszałyśmy praktycznie w tym samym czasie, gdy postrzeliła go policja. – Dorota sięgnęła po filiżankę. – Chociaż policja twierdzi, że to mógł być nocny wędkarz… Może mają rację.

– To wszystko naprawdę jest… – Igor nie wiedział, co właściwie ma powiedzieć.

– Gdybym nie pojechała za Pauliną na Pogodno, to na pewno byłaby kolejną ofiarą. – Dorota odstawiła filiżankę. – Swoją drogą, ciekawe, którą czarownicę by do niej przypisał?

– Maria Schweidler – mruknął Igor bez zastanowienia. – Bursztynowa Czarownica…

– Co takiego?

Igor spojrzał na Dorotę. Zaraz pewnie zapyta, co Bursztynowa Czarownica może mieć wspólnego z Pauliną.

– Bohaterka powieści Wilhelma Meinholda – zaczął powoli. – Historia dzieje się w czasach wojny trzydziestoletniej. Córka ubogiego pastora z Koserow na Rugii znajduje na plaży ogromny bursztyn, sprzedaje go i dzięki temu ratuje wieś przed głodem. Gdy odrzuca zaloty miejscowego dostojnika, ten oskarża ją o uprawianie czarów. Przed stosem ratuje

dziewczynę zakochany w niej syn miejscowego dziedzica.

– Faktycznie, większość się zgadza. – Dorota prychnęła ironicznie. – Może te plotki o bursztynie rzeczywiście mają jakiś sens…

Igor, udając, że temat go mało interesuje, spojrzał w stronę baru.

– Jakie plotki?

– Od kilku dni krążą plotki, że Sedinum Exploration zamierza poszukiwać Bursztynowej Komnaty. – Dorota zacisnęła usta i spojrzała na Igora zdecydowanie. – Słuchaj! Właśnie głównie dlatego cię tutaj zaprosiłam.

– Dlaczego? – Igor spojrzał na nią z niepokojem.

– Może rzeczywiście dwa lata temu w lochach pod Szczecinem nie zachowałam się najlepiej… – Dorota wzięła do ręki łyżeczkę i zaczęła nią stukać o brzeg talerzyka. – Chociaż nie mam sobie specjalnie nic do zarzucenia… Ale teraz, po akcji z Pauliną, chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia.

Igor pomyślał, że nie wywinie się tak łatwo. Nigdy nie potrafił jej okłamywać.

– Co chcesz wiedzieć?

– O co chodzi z tą firmą? Wiem, że stoi za tym Johann i jacyś jego londyńscy prawnicy. Jest raczej oczywiste, że ma to związek z masońskimi poszukiwaniami sprzed dwóch lat.

Igor ciężko westchnął.

– Pamiętasz tę wielką salę, do której dostaliśmy się korytarzem od strony zamku? Tę, w której nas zostawiłaś…

– Wezwałam pomoc!

– Która się do niczego nie przydała, bo korytarz był zasypany.

– Boże!

– Prowadzimy rozmowy z miastem, żeby się tam ponownie dostać.

Dorota wbiła w niego wzrok.

– Po co?

– Jak po co? Żeby dalej szukać masońskiego depozytu, a poza tym udostępnić te podziemia do zwiedzania. Oczywiście, to ma również

komercyjny aspekt. Johann zaofiarował się pokryć koszty prac budowlanych i odkrywkowych, badań archeologicznych i wszystko inne, ale użytkowanie i późniejsze zyski z udostępnienia oczywiście będą jego.

– I to wszystko?

– A co więcej? – Igor wzruszył ramionami. – Trzymaliśmy to w tajemnicy, żeby nie zrobiło się piekło w mediach. Zwłaszcza że chodzi także o dzierżawę terenów po stoczni. Wyobrażasz sobie jatkę w prawdziwych polskich gazetach? Że Szczecin oddaje tereny kolebki Solidarności faszystom i banksterom z Londynu?

Dorota przez chwilę patrzyła na Igora w milczeniu.

– Jakoś wydaje mi się to podejrzane pod względem ekonomicznym. Żadne zyski ze zwiedzania starej piwnicy nie zwrócą kosztów zrobienia tuneli, zabezpieczeń, instalacji, wentylacji… Albo rodzina Johanna ma więcej pieniędzy niż rozumu, albo czegoś mi jednak nie powiedziałeś.

Igor pokręcił głową.

– Te podziemia mogą być starsze, niż sądzimy. Zresztą to wszystko i tak bez znaczenia – machnął ręką. – Rozmowy z miastem do niczego nie doprowadziły. Dzisiaj wyjeżdżają.

Spojrzał na Dorotę niewinnie.

W zasadzie powiedział jej wyłącznie prawdę. Pominął tylko drobne detale.

Zresztą to rzeczywiście było bez znaczenia.

Miasto nigdy się nie zgodzi. Na nic.

– Możesz mi pokazać na mapie, który to dom? – zmienił temat.

– Jaki dom? – Dorota pogrążona jeszcze w myślach o szczecińskich podziemiach spojrzała na niego zdezorientowana.

– Tego mordercy. Mam w urzędzie znajomą. Może uda mi się sprawdzić, kto jest jego właścicielem.

– A po co ci to potrzebne? Nikt ci poza tym nie udostępni wypisu z rejestru gruntów, jeśli nie masz żadnych praw do nieruchomości.

– Ale mogę na przykład stanąć za plecami i spojrzeć przypadkiem na monitor. Co ty, nie wiesz, jak to się załatwia?

– Policja pewnie już do tego dotarła. – Dorota popukała się palcem w czoło. – Może wy lepiej jednak rzeczywiście zajmijcie się szukaniem skarbów. W końcu was pozabijają albo zamkną. I jeszcze jedna sprawa – popatrzyła na Igora z irytacją. – Co z twoją pieprzoną ofertą na remont mojej willi na Pogodnie?

*

Do domu dotarli przed dziewiątą wieczorem. Po kilku dniach pobytu w Lubinie z ulgą wracała do Gdańska. Cieszyła ją już sama droga powrotna, mniej więcej od Słupska.

Ze Szczecinem łączyło ją coraz mniej. Z koleżankami z liceum utrzymywała kontakty bardzo sporadycznie, najczęściej przez Facebooka. Raz na jakiś czas organizowały wspólne spotkanie, a i wówczas najczęściej było to miejsce w połowie drogi, jakiś wypad nad morze, bez mężów, dzieci. Szczecin powoli skrywał się za mgłą, która niebawem pewnie zacznie wygładzać wszystkie ostre kanty, kontury i upiększać przeszłość, zamieniając miasto jej dzieciństwa w krainę z baśni. Zresztą, kto wie, jak będzie…

Park Jaśkowej Doliny przywitał ją chłodno. Kroplami deszczu na przedniej szybie i zimnem, wdzierającym się do wnętrza auta. Ale i tak była szczęśliwa, że znowu za moment zobaczy swój dom Na Wzgórzu, jak zawsze go w myślach nazywała, parafrazując nazwę ulicy.

Pomimo tego że zamówiła i inwentaryzację domu ojca, i wstępny projekt rozbudowy, w dalszym ciągu nie miała pewności, czy chce go zatrzymać. Wiedziała, że wszystko spadnie na jej głowę. Hubert oczywiście miał rację, twierdząc, że dom w tym miejscu to jest pewna lokata kapitału na przyszłość, ale zdawała sobie sprawę, że dla niej będzie to oznaczać częste wyjazdy i formalności. Chyba że zatrudnią jakąś firmę, która będzie się zajmowała prowadzeniem hostelu. Kto wie…

Patrzyła co jakiś czas na Huberta, sprawdzając, czy nie przysypia. Sobotni wieczór spędził ze swoimi kontrahentami w Szczecinie. Jakiś raut. Wrócił bardzo późno. Koło trzeciej.

Chodziła z nim na takie przyjęcia z obowiązku, ale nie znosiła tego. Była mu naprawdę wdzięczna, gdy sam tym razem spytał, czy nie wolałaby zostać w domu. Chociaż z reguły był niezadowolony. Początkowa ulga, że ma

wieczór dla siebie i może posiedzieć z książką zamiast męczyć się rozmową z jakimiś kobietami, które zobaczy pierwszy i prawdopodobnie ostatni raz w życiu, jakoś podstępnie zamieniła się w podejrzenia.

Czemu właściwie nie powiedział jej wcześniej o tej imprezie? Rzekomo początkowo miał nie brać w niej udziału, ale skoro zdecydowali się pojechać do Lubina, to zmienił zdanie.

Może rzeczywiście nie przywiązywał do tego wagi.

I ten dziwny zapach w samochodzie. Jakby perfumy wymieszane z jakimś dezodorantem.

Gryzła się tym prawie przez całą drogę, w końcu postanowiła zapytać.

Uśmiechnął się pobłażliwie, wychylił ze swojego fotela i pocałował ją w policzek. Po czym sięgnął do schowka i wyciągnął flakonik Chanel.

Kontrahent sprawił sympatyczne prezenty dla swoich najlepszych współpracowników.

A potem czarny jeep skręcił w wąską, brukową uliczkę i po chwili byli już w domu.

*

Piotr, nieco przestraszony, przedzierał się przez tłum ludzi, by dojść jak najbliżej schodów. Gdy Paulina poprosiła go, żeby wybrał się na konferencję prasową zamiast niej, wpadł w lekką panikę. Chodziło o kamerę, bo Paweł, na początku sceptyczny do wymyślonej przez Paulinę konwencji, nagle zaczął dziko się przy niej upierać. Podobno oglądalność kilkakrotnie przewyższała wszystkie inne portale.

Paulina przykazała mu, żeby przede wszystkim nagrał wszystkie pytania, które padną. To znowu było coś nowego, żeby dziennikarz konkretnej gazety skupiał się przede wszystkim na pytaniach konkurencji. Pomyślał, że w ogóle z tego wszystkiego wychodzi już prawdziwy film grozy. Poprawił swoją czapkę z daszkiem i wraz z brodatym kamerzystą za plecami ustawili się prawie na wprost schodów.

Tradycyjnie po chwili na ich szczycie ukazały się czarne szpilki, a zaraz za nimi rzeczniczka prokuratury. Zazwyczaj opanowana i chłodna, dzisiaj była wyraźnie zdenerwowana.

Piotr podniósł mikrofon.

– Dzień dobry państwu. Na wstępie zaznaczam, że nie będziemy się wypowiadać na temat znanego wszystkim artykułu…

W hallu rozległy się hałasy. Padło kilka pytań.

– Dlaczego?

– Czy prokuratura rozważa, że to może być seryjny morderca?

– Proszę państwa, proszę o ciszę, Chciałabym skończyć to, co mam do powiedzenia – kobieta pomachała trzymaną w ręku kartką. – Aby od razu zdementować wszelkie plotki i pogłoski na ten temat, zdecydowaliśmy się poinformować państwa o wydarzeniach ostatnich dni. Otóż w nocy z soboty na niedzielę policja znalazła ciało Beaty Dobrosielskiej. Zdecydowaliśmy się ujawnić…

Raban, który zapanował w hallu, przypominał niewielką eksplozję. Do góry poszybowały mikrofony i kamery, a z wszystkich stron jednocześnie padały pytania.

Brodaty kamerzysta uniósł kamerę i zaczął nagrywać całe zgromadzenie.

– Proszę państwa! Proszę mi pozwolić mówić! Zdecydowaliśmy się ujawnić te fakty, żeby uciąć od razu wszelkie spiskowe teorie…

– Czy ciało miało głowę? – pytanie padło gdzieś z końca pomieszczenia.

– Ja jeszcze nie skończyłam…

– Miało głowę czy nie?

– Nie możemy ujawniać wszystkich faktów, ponieważ wciąż toczy się śledztwo…

– To już trzecia kobieta, a wy ciągle coś ściemniacie!

– Siódma! – sprostował młody człowiek w czapce z daszkiem przesuniętym na tył głowy.

– Czy miało głowę?

Piotr rozejrzał się dokoła. Przeszło mu przez myśl, że pytanie o głowę jest koszmarne i groteskowe zarazem.

W hallu panował hałas. Pytania zadawali prawie wszyscy naraz.

– Miało – rzeczniczka odezwała się w końcu zrezygnowanym głosem. –

Ale głowa została mechanicznie odcięta od ciała.

Kolejna eksplozja.

Kamerzysta z zapamiętaniem filmował cały hall.

– Ja jeszcze nie skończyłam! – krzyknęła wyraźnie już wkurzona rzeczniczka. – Proszę państwa o chwilę spokoju! Chciałabym podać wszystkie informacje, chyba że państwu wystarczy to, co powiedziałam!

Gwar powoli się uciszył.

– W nocy z soboty na niedzielę został zatrzymany mężczyzna, którego udział w zamordowaniu Beaty Dobrosielskiej jest niewątpliwy – kobieta podniosła rękę i kontynuowała, lekceważąc okrzyki z sali. – Policja znalazła w jego rzeczach ukryte przedmioty, które należały do zamordowanej. Mężczyzna leczył się psychiatrycznie, zgodnie z opinią lekarza cierpiał na poważne zaburzenia osobowości i brał leki psychotropowe. Obecnie prowadzimy postępowanie w celu wyjaśnienia jego związków z przestępczością zorganizowaną. Wiadomo, że kupował na czarnym rynku silne środki psychotropowe i narkotyki…

– Czy był przesłuchiwany? Czy udostępnicie jego dane?

– Mężczyzna została postrzelony w czasie akcji policyjnej. Trafił do szpitala, ale niestety, w wyniku powikłań, umarł dzisiaj nad ranem…

– Czy zdążyliście się czegoś dowiedzieć?

Pytania zaczęły ponownie padać ze wszystkich stron. Były niczym ostrzał artyleryjski.

– Czy potwierdzacie, że to on był seryjnym mordercą?

– Proszę państwa, uwzględniamy ten wątek, ale główny kierunek śledztwa to porachunki gangsterskie.

– Dobrosielska miała jakieś związki z mafią?

– Tego nie powiedziałam! Proszę…

– Czy Dobrosielska była w ciąży?

Pytanie, zadane donośnym niskim głosem, zabrzmiało jak wybuch bomby.

W hallu zapanowała nagle cisza. Rzeczniczka patrzyła na celującego w nią mikrofonem dziennikarza, a na jej twarzy widać było pierwsze oznaki popłochu.

Piotr poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

Chryste! Jaka sprawa, a dopiero zaczął tę robotę. Elsa von Dobbersitz była w ciąży. Podczas tortur urodziła martwe dziecko.

– Nie mamy jeszcze wyników sekcji – kobieta oparła dłoń na poręczy schodów. – Nie mogę udzielać państwu takich informacji ze względu na…

– Dlaczego tą sprawą zajmuje się CBŚP?

– Dosyć tego! – krzyknął nagle jakiś młody chłopak z któregoś z portali internetowych. – Siedem ofiar, a wy wszystko ukrywacie. Ile kobiet ma jeszcze zginąć?

– Proszę państwa! – Rzeczniczka podniosła do góry ręce, usiłując przekrzyczeć tłum dziennikarzy. – Proszę o ciszę! Śledztwo się wciąż toczy…

– Czy wasze postępowanie ma podteksty polityczne? Chcecie wyciszyć sprawę, żeby komuś nie zaszkodzić?

– Skąd pan to… Co to za bzdury? – Rzeczniczka gwałtownie opuściła ręce, patrząc z malującym się na twarzy osłupieniem na starszego mężczyznę z logo znanej gazety na mikrofonie.

– Wiadomo od kilku tygodni, że pewien polityk od nas może zostać ministrem spraw wewnętrznych.

– Bardzo proszę nie rozpowszechniać takich bzdur…

– Wczoraj pod jego domem na Głębokim było kilka samochodów. Jeden z nich należał do CBŚP.

– Proszę państwa! Na te pytania naprawdę nie sposób odpowiadać poważnie. Prowadzimy śledztwo i będziemy państwa informować o jego efektach, ale proszę nie rozpowszechniać kompletnie niepotwierdzonych głupot. Uprzedzam też, że prokuratura może zacząć reagować na bezpodstawne…

– Gdzie znaleźliście zwłoki? – Piotr postanowił dolać oliwy do ognia

– Nie możemy ujawniać takich rzeczy dla dobra śledztwa. – Kobieta znowu podniosła rękę, uciszając tłum. – To wszystko! Sprawę prowadzi prokurator Grzegorz Krygier i to on zadecyduje o terminie następnej konferencji prasowej. Do widzenia państwu.

Rzeczniczka odwróciła się i nie reagując na padające zewsząd pytania, wbiegła po schodach na górę.

*

Igor wpadł do pracowni, rzucił na krzesło swoją torbę i zasunął szklane drzwi. Po drodze zajechał do urzędu i w wydziale geodezji i kartografii uprosił swoją znajomą, żeby „przypadkiem” otworzyła rejestr gruntów na stronie dotyczącej posiadłości na Wichrowych Wzgórzach. Dom stał właściwie pomiędzy Kurowem a Siadłem Dolnym, osiedle na Wichrowych Wzgórzach leżało nieco z boku, ale był pewien, że jeśli gazety w końcu zwąchają tę historię, to z pewnością posłużą się tą nazwą. Tytuł artykułu Pauliny zdecydowanie postawił poprzeczkę w tej kwestii bardzo wysoko, a nazwa osiedla, odwołująca się do powieści Emily Brontë była wyjątkowo atrakcyjna.

Nazwisko właścicielki nieruchomości nic mu nie mówiło. Właściwie to poczuł ulgę. Bardzo się obawiał, że okaże się, że z domem ma coś wspólnego Borola. Byłoby prawdziwym dopustem bożym, gdyby po latach plotek na temat jego przeszłości w przestępczości zorganizowanej wszystko okazało się prawdą.

Chłopak, którego zatrzymała policja, o czym już enigmatycznie poinformowały serwisy radiowe, to był Baltazar Radwaniuk. Ten sam, który pracował w Lubinie u Budnego i o którym niezbyt przychylnie wypowiadał się pan Andrzej.

Ksiądz, który w nocy chciał rozmawiać z Budnym, krzyczał coś, że ktoś jest w niebezpieczeństwie. Czy naprawdę ten Radwaniuk spowiadał się u niego? Czy to możliwe, że to on wysyłał mu te obrazki z demonami?

A do tego zainteresowanie Boroli i Budnego domem na klifie. Tam w dwa tysiące ósmym roku prowadzono badania archeologiczne, które zaowocowały prawdziwą sensacją.

Czy te wszystkie fakty mogą być jakoś ze sobą powiązane?

Jaki może być wspólny mianownik skarbów ukrytych „koło pałacu, blisko morza i blisko lasu”, tajemnic specjalnej jednostki SS – H-Sonderkommando i morderstw inspirowanych procesami o czary?

A może nie było żadnego wspólnego mianownika?

Może to wszystko przypadek. Albo raczej kolej rzeczy.

Budny interesuje się jakąś tajemniczą kolekcją z pobudek kolekcjonerskich, w tym celu prowadzi rozmowy z Kłosowskim. Ma pecha i zatrudnia akurat Radwaniuka. Kłosowski, starszy pan, mieszkający samotnie na wsi, zaczyna go początkowo być może od niechcenia obserwować i wyciąga jakieś wnioski. Możliwe, że robią to razem z księdzem. Albo inaczej… Ksiądz, nie mogąc zdradzić tajemnicy spowiedzi, usiłuje jakoś naprowadzić Kłosowskiego na trop.

Ale było coś jeszcze…

Dlaczego to zdjęcie w domu Budnego, to, na którym mały chłopiec i dziewczynka stoją na tle jakiejś wielkiej kamiennej bramy, wydaje mu się takie znaczące… Coś było z nim nie tak. Był przekonany, że zdjęcie ma z tym wszystkim jakiś związek.

I nagle przypomniał sobie rozmowę z Kłosowską. Czemu właściwie ciągle nazywa ją Kłosowską? Ona przecież chyba przyjęła nazwisko męża. Kupiec.

Coś mówiła o jakimś zasypywaniu czegoś? Lodowni! Tak!

Jej ojciec prowadził jakieś prace budowlane w ogrodzie…

W dwa tysiące ósmym…

Powiedziała o tym, gdy zapytał ją, do czego służą kanały wentylacyjne w skarpie.

Igor powoli usiadł na krześle i przez dłuższą chwilę patrzył w przestrzeń…

Rozdział 31

Jesienią, roku Pańskiego 1648
Wolin, gdzieś pod murami miejskimi, może za Świńską Bramą

Jesień tego roku było wyjątkowa piękna. Nawet nocą nie przychodziły jeszcze chłody, a powietrze było łagodne i może tylko odrobinę wytrawne. Zapowiadało nieuniknioną zimę, która na szczęście stała jeszcze ze swoimi białymi hufcami daleko w polu, czekając na właściwy czas. Wilgoć kołysała się pomiędzy domami, wdzierając się pod skórzany kaftan i oblepiając swoimi lepkimi mackami całe ciało. Sigvard przemykał pod ścianami budynków, co chwila rozglądając się na boki i sprawdzając, czy wetknięty za pas pistolet nadal tam jest. Miasto pełne było maruderów, odzianych w łachmany biedaków i żebraków, chowających się pod ścianami i rzucających pełne strachu i rezygnacji spojrzenia.

Minęła już prawie dekada, a miasto nadal przypominało morze ruin. Sigvard był tutaj po raz pierwszy. Gdy kilka lat temu przybył na Pomorze, jego regiment lądował w Wolgast. A teraz, wraz z wycofującą się armią generała Wittenberga, dotarł tutaj. Do tego starego legendarnego grodu.

Boże, jak bardzo był rozczarowany. Pamiętał opowieści z dzieciństwa, które snuł jego dziadek. O Jomsborgu, największym na świecie porcie, okolonym pierścieniem niezdobytych murów o żelaznych bramach, gdzie na niebotycznych kamiennych wieżycach czuwały straże. Tymczasem Wolin otaczały zniszczone ceglane mury z basztami, na których szczycie tkwiły resztki spalonych drewnianych czatowni. Nad miastem górowała średniowieczna wieża, która, ze swoim poczerniałym od pożaru hełmem, przypominała wdowę w czarnym welonie, stojącą nad trumną spalonych czarnych wręgów dachu kościoła Świętego Mikołaja. A trochę dalej sterczała kolejna ruina. Spalony czerep kościoła Świętego Wojciecha. A w samym centrum wdowi zamek Gryfitów, z których ostatni umarł dekadę temu. Księstwo Pomorskie upadło. Po tych trzydziestu latach nieustających

grabieży, gwałtów i nieszczęść nie było tu już nawet czego ukraść. A przecież fronty wszystkich rozegranych bitew były daleko stąd.

Szarpnął płaszcz, nakrywając ramiona i chowając pod nim długi rulon, zawiązany w kawał płótna i przewiązany skórzanym pasem. Za to, co zrobił, groził mu stryczek. Muszkieterów nie za takie przewinienia karano strzałem w łeb. Ale już dostał od hrabiego tyle, co trzy żołdy, a jak przekaże mu to, co targał pod płaszczem, dostanie jeszcze dziesięć razy tyle.

Przy wąskiej ulicy, po której obu stronach były kamienne rynsztoki, tak śmierdzące, że nawet w chlewie u jego dzierżawców nigdy tak nie cuchnęło, stały stare domy z pruskiego muru. Zachowało się ich tu sporo, ale co jakiś czas wyrastał między nimi zmurszały czerep spalonej ściany z wykłutymi ślepiami okien.

Już było widać bramę. Nazywali ją tutaj Świńską. To za nią miał czekać posłaniec z zamku hrabiego. Sigvard, widząc jakichś włóczęgów u wrót czatowni, naciągnął głębiej kapelusz i ścisnął rękojeść pistoletu. Na szczęście na widok szwedzkiego muszkietera odwrócili się i zniknęli w ciemnym zaułku.

Za bramą dukt ciągnął się na zachód. Przedpola zdążyły zarosnąć drzewami, których korony szumiały w ciemności. Zrobił parę kroków i nagle znieruchomiał, słysząc za plecami rżenie konia. Odwrócił się gwałtownie.

Jeździec w długim czarnym płaszczu stał nieopodal murów, chowając się za narożnikiem bramy.

– Tyś Sigvard Olsson?

Sigvard dotknął szerokiego ronda kapelusza i skłonił się.

– Jam, panie.

Jeździec zeskoczył z konia i trzymając go za wodze, podszedł bliżej.

– Wiesz, co ci grozi, jeśli oszukałeś hrabiego.

– Mam to, czego chciał. – Sigvard odrzucił połę płaszcza, pokazując rulon.

Jeździec podszedł do konia i z sakwy przy siodle wyjął trzy spore worki.

– Tyle, ile się należy.

Sigvard wyciągnął rulon w kierunku posłańca.

– Mówią, że przynosi nieszczęście.

Mężczyzna przytroczył pakunek do siodła, wsunął but w strzemię i dosiadł konia. Uśmiechnął się do Sigvarda, patrząc na niego z góry.

– Nieszczęść u nas w kraju teraz dostatek, kawalerze. Jedno więcej nie zawadzi.

Po chwili kasztan z jeźdźcem w czarnym płaszczu zniknęli w mroku.

Sigvard naciągnął kapelusz na oczy i ruszył z powrotem do portu.

„Stjarnan” odpływał skoro świt.

Rozdział 32

Sobota, 25 marca

Ostatnie dni marca przyniosły piękną pogodę i temperatury w okolicach dwudziestu stopni. Po tygodniach zimnych deszczowych poranków i mroźnych wieczorów przyświecające z czystego nieba słońce było jak symbol odradzającego się życia, co w praktyce oznaczało gremialne zrzucanie ciepłych kurtek i płaszczy i wystawianie twarzy na jego ciepłe promienie. Widać stare powiedzenie, że w marcu jak w garncu, mimo zmian klimatu, braku zimy oraz mrozów w maju, nadal zachowywało swoją magiczną wartość, sięgającą setek lat w przeszłość.

W najwyższym punkcie wzgórza, nad samym klifem, znajdował się zbity z grubych desek pomost, z którego widok dosłownie zapierał dech w piersiach. Wydawało się, zwłaszcza teraz, gdy słońce rozświetliło taflę wody, że istnienie czegoś takiego, bez efektów specjalnych, nie jest możliwe. A jednak wody Zalewu Szczecińskiego ciągnęły się po horyzont, a na ich tle namalowane były dziesiątki wysp, poprzecinanych wstęgami rzek i kanałów. Na prawo mieniły się w słońcu malownicze dorzecza Świny, a najbliżej klifu złociły się wody jeziora Wicko Wielkie. Od wiosny wyspy pyszniły się dziką zielenią, nietkniętą ludzką ręką, nad nimi latały dziesiątki gatunków ptaków, a wśród nich król nieba Wolińskiego Parku Narodowego – orzeł bielik.

– Ten dom nadal jest do kupienia? – Gwen, w kapeluszu z wielkim rondem, wyglądała, jakby przybyła na Pomorze prosto z Ascot.

Paulina oderwała wzrok od tablicy informacyjnej, która stała tuż przed wejściem na wzgórze widokowe.

– W dodatku wszystko tu jest napisane – pokręciła głową i westchnęła. – Mieliśmy to pod samym nosem. Dosłownie. Zamiast tego łaziliśmy gdzieś po lesie koło cementowni. Do tego w nocy i w czasie sztormu.

Na tablicy informacyjnej, pod kilkoma zdjęciami z czasów prowadzonych

tutaj prac archeologicznych umieszczony był krótki opis niezwykłej historii wzgórza, na którym stał dom na klifie.

Według starych pomorskich kronik od IX wieku znajdował się tutaj gród, który pełnił funkcję ważnej strażnicy przy szlaku wodnym w głąb lądu. Dopiero jednak w 2008 roku, w trakcie prac archeologicznych natrafiono na wzgórzu na prawdziwą sensację – fundamenty najstarszego na Pomorzu kościoła i pozostałości baszty mieszkalnej. Z kronik Herborda i Ebona, dziejopisarzy św. Ottona z Bambergu można wnioskować, że to tutaj właśnie stał pierwszy na Pomorzu chrześcijański kościół pod wezwaniem św. Mikołaja. Gród zniszczony został w 1173 roku przez duńskiego króla Waldemara I. Kościół stał jednak aż do XVIII wieku, kiedy został rozebrany podczas budowy nowej świątyni w centrum wsi. Do dzisiaj przed jej wejściem leży romańska chrzcielnica ze starego kościoła.

Johann i Gwen, którym Paulina przetłumaczyła notkę historyczną z tablicy, rozglądali się dokoła z niedowierzaniem.

– Tydzień temu kończyłem opis techniczny do inwentaryzacji tego domu i dopiero wtedy sięgnąłem do materiałów archiwalnych. Miałem je, głupi, od początku na twardym dysku – Igor parsknął śmiechem. – Mimo że niektórzy tutaj oskarżają mnie o to, że jestem psychopatą, ponieważ znam mnóstwo historii o pomorskich zamkach i różnych takich…

Paulina spojrzała na niego ironicznie

– Niektórzy…

– …to tak się składa, że, paradoksalnie, o tym miejscu niewiele wiedziałem. Spędziliśmy tutaj prawie dwa dni i nawet się nie zorientowałem, gdzie jesteśmy.

Igor odwrócił się i spojrzał w kierunku opadającego w dół zbocza, za którym stał dom na klifie. W gęstwinie zieleniejących już z wolna konarów drzew w oddali widać było ceglaną wieżę kościoła.

– Tymczasem to miejsce, gdzie teraz stoimy, to jedno z najświętszych i najważniejszych miejsc Pomorza. Pewnie stały tutaj wieże obserwacyjne i latarnie. Na ich szczytach palono ogień, przekazując w ten sposób informacje do kolejnych punktów strażniczych, aż do Wolina i Szczecina.

A w grodzie była kącina z posągiem Trygława…

Paulina spojrzała w ślad za wzrokiem Igora…

– To tutaj powstał pierwszy na Pomorzu chrześcijański kościół. Nie w Wolinie, nie w Szczecinie, ale tutaj. W tym grodzie. Musiał więc mieć ogromne znaczenie dla ówczesnych Pomorzan. Strzegł ich kraju przed wrogiem.

– Kręciliśmy się wokół tego domu przez dwa dni. – Gwen poprawiła kapelusz, patrząc na Igora z niedowierzaniem.

– Gród został zniszczony pod koniec dwunastego wieku. Przetrwał tylko kościół… Prawdopodobnie morze zaczęło pożerać klif, jak w Trzęsaczu, i zdecydowano się przenieść świątynię w głąb lądu. Przez jakiś czas pewnie stała tutaj opuszczona kamienna ruina…

Paulina zmagała się z mieszanymi uczuciami. Słuchała tych historyczno-archeologicznych rewelacji z ciekawością, ale obserwowała jednocześnie dyskretnie Igora, a w jej głowie kotłowała się plątanina myśli. Radość z tego, że go widzi, sąsiadowała ze smutkiem. Ulga, że nadal mogą się spotykać, graniczyła z irytacją, że to wszystko układa się nie tak, jak by chciała.

Czy to wiosna tak działa?

Johann nagle drgnął.

Rozejrzał się dokoła, jakby zobaczył wszystko w innym świetle, po czym spojrzał na Igora z niedowierzaniem.

– Czyli to o tym miejscu mówiła Niemka z protokołu sekretarza?

*

Wojna trzydziestoletnia zaczęła się tam, skąd mroczny przedmiot pożądania czeskiego króla Rudolfa II, szwedzkiej królowej Krystyny i wielu innych koronowanych głów dotarł na Pomorze. Tlić zaczęła się już dużo wcześniej, oczywiście. Wtedy, gdy prześladowane przez Habsburgów protestanckie księstwa Świętego Cesarstwa Rzymskiego zawiązały Unię Protestancką, by skuteczniej bronić swoich interesów przed sejmem państw skupionych w Rzeszy. W odpowiedzi na to powstała Liga Katolicka, której przewodziła ortodoksyjnie katolicka dynastia Habsburgów. Konflikt, którego podłożem była religia, stał się także pretekstem do walki o swobody

obywatelskie i ograniczenie władzy cesarskiej. Dwudziestego trzeciego maja 1618 roku z okien paradnej jadalni w zamku na Hradczanach, w proteście przeciwko ograniczeniu wolności religijnej przez króla Macieja, ustanowionej dziesięć lat wcześniej dekretem jego poprzednika króla Rudolfa II, wyrzucono, dosłownie, trzech cesarskich namiestników Habsburgów. Urzędnikom wprawdzie nic się nie stało, ponieważ spadli na ogromną górę odpadków, którą pod oknami królewskiej rezydencji tworzyły resztki ze stołów i nieczystości wylewane tam po ucztach, niemniej wydarzenie to stało się początkiem wielkiej wojny, która rozprzestrzeniła się praktycznie na całą Europę.

*

Cała czwórka w milczeniu wpatrywała się w Igora.

Sprawa wyglądała wręcz groteskowo. Wychodziło na to, że spędzili tutaj dwa dni, spierając się i zastanawiając, o jakie święte wzgórze mogło chodzić w zeznaniach sekretarza, a to najbardziej prawdopodobne miejsce było na wyciągnięcie ręki.

I to dosłownie.

Poza tym o wszystkim mówił Borola i mówiła także Aleksandra. Wszystko mieli praktycznie pod ręką. Podane na tacy. Ale sztorm tamtej nocy, a potem te wydarzenia w lesie koło cementowni, nie mówiąc o tym, co później z tego wynikło, kompletnie im wszystko przesłoniły.

– W dwa tysiące ósmym Kłosowski zaczął tu wielki remont – powiedział Igor, wskazując ręką ogrodzenie, które wydzielało punkt widokowy z części prywatnej ogrodu. – To wtedy powstał taras na skraju klifu, ale wtedy też, podczas robót natknął się pewnie na pozostałości średniowiecznej zabudowy. Po czym we wszystko wmieszał się nadzór konserwatorski. I możliwe, że właśnie wówczas Kłosowski coś tutaj znalazł.

– To dlatego Borola interesował się zinwentaryzowaniem domu? – Gwen przechyliła się przez poręcz i zajrzała do wykopu, w którym widać było resztki ceglanych fundamentów.

– A wcześniej Budny – dodał Igor. – Możliwe zresztą, że najpierw Budny, a dopiero potem zarażony tym przez niego Borola. I to Borola narobił całego

tego zamieszania z dworami, obrazami i Marthą Krause, córką Woźniaka.

– No ale jak to się ma do tego Kuchty? – odezwał się milczący do tej pory Dermot. – Według jego opowieści skarb miał być przecież zakopany niedaleko pałacu, blisko morza i blisko lasu.

– No właśnie. – Igor się uśmiechnął.

– Czy to, o czym mówiła Niemka, i to, co napisał Kuchta, to dwie różne sprawy?

– Mówiłem wam, gdy byliśmy tutaj na pomiarach, że jeden mój kolega pochodzi z Wapnicy. Ten, któremu matka zabraniała chodzić po lesie niedaleko Złotego Dworu, bo tam ponoć straszyło. – Igor podszedł do granicy z ogrodem i oparł się o balustradę.

Pod nią, w gęstwienie drzew i krzewów, opadała w dół skarpa, poniżej której ciągnął się ogród za domem na klifie.

– Ostatnio z nim gadałem i dał mi namiar na swoich znajomych, którzy się tutaj urodzili. W Lubinie. Dziadek jednego z nich zaraz po wojnie mieszkał niedaleko tego domu. Według niego, a pamiętał to miejsce jeszcze z czasów, gdy funkcjonował tutaj ośrodek wczasowy, wszystko tu wyglądało trochę inaczej.

– Inaczej? – Paulina patrzyła na Igora z rosnącą ciekawością. – Otoczenie?

– Wszystko. Ten otwarty teren wokół domu był trochę bardziej zarośnięty. Było sporo starych drzew, które potem wycięto albo poprzewracały je sztormy. Nie było tej drogi na wzgórze widokowe. Koło domu stały jeszcze budynki gospodarcze z cegły. I przede wszystkim sam dom. Prowadziła do niego brama na kamienno-ceglanych filarach, a przed wejściem był wybrukowany dziedziniec.

– No ale co z tego?

– Dom, jak wyraził się ten człowiek, wyglądał jak typowy dziewiętnastowieczny dworek, jakich mnóstwo stoi jeszcze w pomorskich wsiach. Z parkiem, małym folwarkiem i widokiem na rozlewiska. A tam – Igor machnął ręką w kierunku drzew, które zasłaniały widok od strony wschodniej – był las ciągnący się wzdłuż brzegów wyspy.

Paulina patrzyła na Igora, jeszcze nie rozumiejąc i dopiero po chwili szeroko otworzyła oczy.

– Nie mówisz chyba, że…

– Na Wolinie, koło pałacu, blisko morza i blisko lasu. Dla Kuchty, biedaka z północno-wschodniej Polski, ten dom mógł się wydawać prawdziwym pałacem.

– Czyli to, co mówiła Niemka i pisał Kuchta, to jedno i to samo…

Igor przytaknął z uśmiechem.

– Nie mamy pewności, czy tak rzeczywiście było. Może to jednak inne miejsce. Jest jeszcze przecież pałac Quistorpa. Zresztą zaraz się przekonamy. – Wskazał ręką na nadchodzącą w ich kierunku i uśmiechającą się przyjaźnie Aleksandrę Kupiec.

*

Wojna trzydziestoletnia zakończyła się tak zwanym traktatem westfalskim, który Habsburgowie i Szwedzi podpisali w Osnabrück w Dolnej Saksonii. Zawarcie pokoju bardzo przyśpieszyło jednak szwedzkie oblężenie Pragi, które trwało od czerwca do października 1648 roku. Armia szwedzka zdobyła zamek na Hradczanach, wypierając obrońców miasta za Most Karola. Starego Miasta nie udało się jednak Szwedom zdobyć. Ich ofensywę powstrzymali mieszkańcy Pragi, zmuszając Szwedów do pozostania na prawym brzegu Wełtawy. Nie miało to większego znaczenia, zwłaszcza że symbol królestwa, zamek, znalazł się w ich rękach. To wtedy właśnie wywieziono z niego najcenniejsze, gromadzone od pokoleń pamiątki, a przede wszystkim bezcenne skarby Rudolfa II, w tym Srebrną Biblię z VI wieku, tajemniczy manuskrypt spisany na koźlej skórze prawdziwym srebrem.

W oblężeniu miasta uczestniczyły oddziały generała Arvida Wittenberga von Debern, szwedzkiego feldmarszałka, jednego z późniejszych najważniejszych dowódców potopu szwedzkiego i wojny z Rzeczpospolitą, który zakończył życie w polskiej niewoli, w zamojskiej twierdzy.

Armia szwedzka, wycofując się z Europy, zabrała ze sobą niezliczone ilości skarbów, które wleczone w wozach i na koniach, trafiły najpierw do pomorskich portów i zniknęły w ładowniach stojących w Wolgast i Wolinie galeonów.

Na jednym z nich, który pogodną jesienią 1648 roku kołysał się u brzegów wolińskiego portu, służył pewien młody szwedzki muszkieter, który na wojnę trafił z rodzinnego majątku gdzieś spod Uppsali, a może Sztokholmu.

Zanim „Stjarnan” odbił od brzegu, którejś nocy w październiku przekupiony młodzieniec postanowił spełnić życzenie pewnego szlachciury ze starego pomorskiego rodu, którego zamek stał nieopodal.

Niedaleko lasu, na wzgórzu i całkiem blisko morza…

*

Kuchnia wyglądała dokładnie tak jak poprzednio. Może tylko, dzięki wpadającemu przez okna światłu wydawała się bardziej jasna i pogodna. Nad stołem wciąż wisiała kopia *Słoneczników*, a na stole pyszniły się talerze z pączkami i ciastkami, na które Igor patrzył z przerażeniem. Zawsze był łasuchem i teraz też trudno mu było odmówić sobie świeżutkich drożdżowych bułeczek z konfiturą z róży. Na brzegu stołu leżał notes, obok tych słodkości wyglądający ponuro i mrocznie.

– Panie Igorze. – Aleksandra postawiła na blacie tacę z filiżankami. – Nasza umowa oczywiście pozostaje bez zmian. Inwentaryzacja jest bez zarzutu. Teraz czekamy na koncepcję rozbudowy domu. Już jestem jej ciekawa. A ten notes, cóż…

– Naprawdę nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. – Paulina uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Miała wrażenie, że cokolwiek powiedzą, to i tak wyszli na złodziei.

– Chcieliśmy go odłożyć w to samo miejsce, ale później nie mieliśmy już okazji. Pan Andrzej chodził za nami krok w krok – przyszedł jej w sukurs Igor.

– Bardziej zainteresowała mnie skrytka w tym starym biurku niż ten notes, szczerze mówiąc. Ojciec prowadził takie dzienniki przez całe życie. Gdy jeden się kończył, wrzucał go do kominka, a zakładał nowy.

– Powinien panią zainteresować ten protokół z lat pięćdziesiątych. Za chwilę pewnie będzie miał jakąś wartość.

– Chyba jedynie dla poszukiwaczy skarbów. – Aleksandra roześmiała się i postawiła na stole ostatnią filiżankę. Przed Dermotem.

– Wiedzą państwo, że we wsi do dzisiaj mówią, iż tutaj u mnie pracowali jacyś Ukraińcy? Nie wyprowadzam nikogo z błędu, bo to nawet zabawne. – Uśmiechnęła się do Gwen. – Jeśli natomiast chodzi o ten loch, to raczej się państwo rozczarują.

– Ja go zobaczę z ciekawości, niezależnie od tego, czy coś w nim będzie, czy nie. – Igor sięgnął po ciastko. – Strasznie jestem ciekaw, z jakiego okresu pochodzi.

– Najprawdopodobniej to jednak lodownia z czasów budowy tego domu, czyli z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Pewnie też będzie rozczarowująca. Poza tym ja nawet byłam przy jej zasypywaniu. Ojciec sam zamknął ją na łańcuch i kazał zakopać wejście. A te paki, o których opowiadałam… Przypomniałam sobie, że nawet pytałam o nie ojca. Powiedział, że to stare książki i jakieś atlasy, których się pozbywa. Przez całe życie coś gromadził, a potem sprzedawał. Zgodziłam się na jej odkopanie tylko dlatego, że przekonał mnie pan, panie Igorze, że może się przydać do ewentualnej rozbudowy albo jako atrakcja dla turystów.

W korytarzu rozległ się hałas. Zatrzeszczały otwierane drzwi i po chwili w progu stanął ubrany w żółtą kamizelkę i czapkę z daszkiem młody chłopak.

– Szefowo! – Głośno wciągnął powietrze i machnął ręką za siebie. – Odkopalim już. Można otwierać drzwi.

*

Zanim dostała się w ręce króla Rudolfa II Habsburga i trafiła do jednego z gabinetów zamku na Hradczanach, przez blisko połowę tysiąclecia tułała się od klasztoru do klasztoru, przejmowana w zapomnianych okolicznościach, oddawana w zastaw czy odkupywana. Do Pragi trafiła po ponad stu latach pobytu w benedyktyńskim klasztorze w Broumovie, przebudowanym ze średniowiecznego zamku, słynącym z warzonego od średniowiecza piwa i przechowywanego tutaj siedemnastowiecznego duplikatu całunu turyńskiego.

Jej śladem, według późniejszych legend, podążał ogień piekielny, a wszystkie miejsca, gdzie zatrzymywano ją na dłużej, trawiły pożary. Klasztor w Broumovie płonął kilkakrotnie, a odbudowano go dopiero w siedemnastym wieku, już w formie barokowej, w jakiej zachował się do

dzisiaj.

Wcześniej przechowywano ją w innym klasztorze Benedyktynów w Břevnovie, na terenie dzisiejszej Pragi, nieopodal praskiego zamku. Klasztor, założony przez świętego Wojciecha w 993 roku jako pierwszy w Czechach monastyr męski, powstał na mokradłach, by, jak głoszą podania, chronić miasto przed wydostającymi się tą drogą z samego piekła demonami.

A jeszcze wcześniej, oddana w zastaw za długi, trafiła w ręce cystersów…

*

W skarpie, wzdłuż której w dół zbocza biegła brukowana alejka, widniała teraz wielka, czarna od świeżo rozkopanej ziemi dziura. Wewnątrz widać było fragment ceglanej ściany, pośrodku której znajdowały się stalowe, zamknięte łukowo wierzeje.

– Przecinam! – Chłopak w czapce z daszkiem spojrzał na Aleksandrę, jakby chciał się ostatecznie upewnić, że dobrze robi, po czym nacisnął mocno wielkie nożyce.

Łańcuch z łoskotem spadł na kamienny próg.

Chłopak sięgnął po łom i wsadził go pomiędzy mur a stalowe skrzydło. Szarpnął.

Za drzwiami w mroku ukazały się prowadzące w dół schody.

– Zapomniałam już, że tam jest tak głęboko. – Aleksandra zajrzała do wnętrza. – Pamięć jest jednak ulotna. Dajcie tutaj ten kabel!

Jeden z pracowników rozwijał właśnie długi przewód, podłączony do gniazdka w domu. Po chwili zajaśniała przenośna latarnia.

Igor zabrał ją z rąk Aleksandry i pierwszy wszedł do środka.

– Déjà vu – powiedziała cicho Paulina, której stanęły przed oczami wydarzenia sprzed dwóch lat w podziemiach Szczecina. – Głębiej niż na pierwszy poziom tym razem nie wchodzę.

– To raczej nie jest lodownia. – Igor rozejrzał się po ścianach. – O rany!

– Co jest? – Johann, który szedł na końcu, wyglądał niecierpliwie zza pleców Gwen.

Schody skończyły się w sporym, nakrytym sklepieniem lochu. Mógł mieć

jakieś pięć na osiem metrów wielkości. Ceglane ściany błyszczały w świetle latarni ceramiczną czerwienią.

– Jezus Maria! – zawołała zduszonym głosem Aleksandra. – Jednak mieliście rację!

W lochu pod ścianami stały stalowe stoły, na których piętrzyły się jakieś wielkie, oprawione w skórę lub drewno księgi. Na środku pomieszczenia znajdował się jeden, za to wielki stół, na którym, nakryty szklaną pokrywą, leżał ogromny manuskrypt. Mógł mieć nawet metr długości i jakieś pół metra szerokości. Grube drewniane obleczone skórą okładki były ozdobione metalowymi okuciami.

*

Budząca grozę historia klasztoru Cystersów w Sedlcu zaczęła się w roku 1278, gdy ona już tutaj była. Opat klasztoru, wracając z misji w Jerozolimie, zabrał ze sobą garść ziemi z Grobu Pańskiego i rozsypał ją na przyklasztornym cmentarzu. Od tej pory zawitała tutaj śmierć.

Ziemię wokół klasztoru uznano za świętą i całe rzesze szlachetnie urodzonych Czechów, Polaków, Bawarów i Belgów starały się, by ich szczątki i szczątki ich rodzin spoczęły przy sedleckim kościele. Historia z upodobaniem dopisywała do dziejów klasztoru coraz bardziej koszmarne karty. Na początku XIV wieku pochowano tutaj przeszło trzydzieści tysięcy ofiar epidemii dżumy, a wojny husyckie dodały do tej liczby kolejne tysiące.

Ofiar było tak dużo, że w ziemi przyklasztornej nie było już możliwości pochówku. Zaczęto więc wykopywać kości i składać je w lochach pod kościołem, a gdy i tam zabrakło miejsca, układano je na stosach wokół klasztoru. Na początku XVI wieku jeden z mnichów ułożył kości w sześć wielkich piramid, które stały tam do początku wieku dziewiętnastego.

W 1870 roku na zlecenie księcia Schwarzenberga, tutejszego dziedzica, miejscowy rzeźbiarz, wykorzystując do tego celu 40000 ludzkich szczątków, skomponował z nich wystrój całego kościoła. Kaplice, ołtarz, żyrandole i elementy dekoracji skonstruowane zostały z wybielonych wapnem ludzkich czaszek i piszczeli. Dzisiaj to miejsce znane jest jako kaplica w mieście Kutná Hora.

*

W lochu na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Wszyscy zamarli bez ruchu, wpatrując się w piętrzące się na stołach woluminy.

– Co to jest? – wykrztusił Johann.

– To raczej jakaś krypta – odezwał się w końcu Igor, podnosząc głowę i podziwiając ceglane sklepienie. – Nigdy nie widziałem tak wielkiej lodowni.

– Ale to przecież nie jest tak stare jak średniowieczna wieża i kościół, które odkryli tam na górze. – Paulina podniosła telefon oświetlając okładkę jednej z książek. – Łacina.

– Może w tym miejscu stał jeszcze jakiś inny budynek. Może jakiś dworek lub dom. Ryglowy. Mógł się spalić i został po nim jedynie ten loch.

– Nie gadajcie po polsku! – mruknął Dermot scenicznym szeptem. – Też chcę wiedzieć, o czym mówicie.

– To po łacinie chyba? – Gwen pochyliła się nad jednym ze starodruków. – *Picatrix*?

– Co takiego? – Paulina odwróciła się gwałtownie do Gwen.

Podeszła do niej i pochyliła się nad starą księgą.

– To księga czarów. – Popatrzyła zaskoczona na grubą zakurzoną okładkę, dekorowaną rzeźbieniami w drewnie. – Grymuar. Jezu! Naczytałam się o tym tydzień temu tyle, że teraz mogłabym być rzeczoznawcą. To najstarsza znana księga czarów. Pochodzi z jedenastego wieku ze Wschodu. Przetłumaczona najpierw na hiszpański w trzynastym stuleciu, a potem na łacinę. Nazywana jest księgą czarów, ale bliżej jej do traktatu medycznego.

– Skąd to się tutaj wzięło? – Johann, świecąc telefonem, pochylił się nad kolejną księgą. – *Pseudomonarchia Daemonum* – przeczytał.

Paulina podniosła głowę.

– To także grymuar. – Na jej twarzy malowała się zgroza. – Fałszywe proroctwo demonów z końca szesnastego wieku. Co to jest za kolekcja?

Igor, który cały czas rozglądał się po lochu, spojrzał na Paulinę dziwnym wzrokiem.

– Kolekcja, którą interesowało się Ahnenerbe?

– Boże! Rzeczywiście! H-Sonderkommando. Ale skąd ona się tutaj wzięła? Przecież to nie jest chyba z katedry kamieńskiej?

Igor pokręcił głową, ale bez specjalnej pewności.

– A tu zobaczcie! – Aleksandra, pochylona nad jakimś wielkim starodrukiem, wyciągnęła rękę i dotknęła zwisającego z niej łańcucha.

Po chwili wszyscy stanęli za jej plecami.

– To jest tak zwana *Szósta i Siódma Księga Mojżeszowa*. – Paulina dotknęła skórzanej okładki woluminu. – Księga magii przypisywana Mojżeszowi, który zawartą w niej wiedzę miał rzekomo otrzymać od Boga na górze Synaj. Najstarszy znany egzemplarz pochodzi z początku szesnastego wieku. Przed wojną, w dwudziestym siódmym roku, została w Polsce oficjalnie zakazana rozporządzeniem wydanym przez prezydenta.

– Czytałem legendę, że w jednym z kościołów Wolina była przechowywana właśnie ta księga. Uważano ją za tak niebezpieczną, że była trzymana w lochu i przykuta łańcuchem do ściany. – Igor pogładził przymocowany do manuskryptu zardzewiały kawałek starego łańcucha.

– To mógłby napisać Terry Pratchett – skomentował Dermot.

Po jego słowach na moment zapadła cisza. W końcu Gwen westchnęła.

– Kolekcja starych ksiąg demonów i czarnej magii, którą w czasie wojny zagarnęło SS. Więc może to po prostu zbiory z jakiegoś muzeum? – Odwróciła się i podeszła do stojącej na środku lochu oszklonej gabloty.

– A to co to jest?

*

Do Sedlca trafiła z miejsca, gdzie powstała – z klasztoru w Podlažicach, nieopodal miasta Chrudim. Benedyktyńskie opactwo powstało na początku XII wieku, a w trzysta lat później, po wojnach husyckich, nie było już po nim śladu. Dzisiaj w tym miejscu, na łąkach obok późniejszego kościoła Świętego Marka, hula wiatr.

Klasztor w Podlažicach był jednym z najbiedniejszych klasztorów w Czechach. Wiele lat później w miejscu dawnego dziedzińca odkryto

zwłoki 60 kobiet i dzieci, co do dzisiaj stanowi zagadkę z uwagi na regułę zakonną benedyktynów, która zabrania chowania w obrębie klasztorów kogokolwiek poza mnichami.

Na początku XII wieku przebywał tutaj pewien zakonnik, który, zgodnie z pokutującą do dzisiaj legendą, dopuścił się złamania reguł zakonnych, za co został skazany na zamurowanie żywcem…

*

Sześć osób stało w milczeniu wokół stołu, przypatrując się zakurzonej szklanej gablocie. Igor przetarł szkło rękawem i pochylił nad nim latarnię.

Na obleczonej skórą księdze nie było żadnych napisów, tytułów ani numerów. Jedynie kunsztowne roślinne i geometryczne dekoracje. Na czterech narożnikach księga była ujęta w potężne metalowe okucia, a na jej środku znajdowała się także metalowa rzeźbiona ośmioramienna gwiazda.

– Jest bardzo cienka – odezwał się szeptem Johann.

Atmosfera lochu – a zwłaszcza to, co w nim znaleźli – wymuszała ściszony głos, jakby w obawie, że uśpione magiczne zaklęcia obudzą się do życia.

– Może to jakiś atlas? – Paulina pochyliła się nad gablotą, przypatrując się metalowym okuciom. – Jakbym to już gdzieś widziała.

– Atlas demonów – szepnęła Gwen.

Igor pochylił się i spróbował wsadzić palec pomiędzy stół a gablotę.

– Może da się to jakoś podnieść?

– A jak coś się stanie? – Paulina spojrzała na niego z niepokojem.

– To nie Świątynia Zagłady. Raczej nie wystrzelą w nas noże ze ścian.

– To może chociaż nagle wylezie mnóstwo pająków – mruknął Johann.

– Miałam na myśli, że coś uszkodzimy. – Paulina westchnęła, patrząc z politowaniem na obu przyjaciół.

– Dawajcie! Spróbujemy! – Dermot złapał za obudowę z jednej strony. Johann i Igor chwycili za gablotę z drugiej. Ku ich zdziwieniu, łatwo dała się unieść.

Ostrożnie położyli ją na podłodze obok stołu.

Igor wyprostował się i powiódł wzrokiem dokoła. Uśmiechnął się łobuzersko do Pauliny.

– Trudno. Żadnych filmowych efektów.

– Jest ogromna. Rzeczywiście wygląda jak jakiś atlas. – Gwen przekrzywiła głowę, podziwiając metalowe dekoracje.

Igor pochylił się i ostrożnie dotknął woluminu. Chwycił delikatnie za brzeg ogromnej okładki i zaczął otwierać księgę. Po chwili ukazała się pierwsza strona, a na niej charakterystyczny rysunek. Nie sposób go było pomylić z niczym innym.

*

Legenda mówi, że zakonnik z klasztoru w Podlažicach dopuścił się tak srogiego grzechu, że został nie tylko skazany na powolną śmierć w męczarniach, ale także na wymazanie swojego imienia z kart historii. Miał zostać zamurowany żywcem i zapomniany, tak aby jego imię już nigdy nie pojawiło się wśród ludzi. Nieszczęsny mnich, próbując uniknąć przerażającego losu, zaproponował zadośćuczynić klasztorowi w przedziwny sposób. Obiecał stworzyć dzieło, które po wsze czasy rozsławi bractwo. Miał w ciągu jednej nocy napisać księgę, w której zawarta będzie cała istniejąca wiedza i mądrość świata. Gdy jednak minęła północ, a końca pracy nie było widać, poprosił o pomoc szatana. Diabeł zgodził się napisać księgę do świtu, ale w zamian zażądał duszy zakonnika oraz umieszczenia na kartach księgi swojego wizerunku. I to ten właśnie wizerunek sprawił, że *Codex Gigas*, czyli *Wielka księga*, jak ją później nazwano, stała się najsłynniejszym i najbardziej tajemniczym średniowiecznym manuskryptem, który nazywano także *Biblią diabła*.

*

Po raz któryś z kolei w lochu zapadła kompletna cisza.

– To nie może być oryginał. – Dermot kucnął obok stołu i delikatnie dotknął pierwszej strony. – To skóra? Oryginał wykonany był z welinu…

– Czyli czego? – spytała Gwen.

– Czyli skór jagniąt. Najcenniejsze księgi wykonywano ze skór jagniąt nienarodzonych.

– Koszmar. – Gwen się wzdrygnęła. – Ten rysunek też jest upiorny. To diabeł?

– Najbardziej przerażający wizerunek diabła w dziejach. Podobno w ogóle ta księga jest przeklęta. Każdego, kto ośmieli się ją zatrzymać, czeka nieszczęście.

Rysunek na pierwszej stronie przedstawiał postać szatana z zakrzywionymi szponami, rogami i zieloną wykrzywioną paszczą, z której wystawały dwa czerwone jęzory.

– Co to za księga? – Aleksandra z przerażeniem patrzyła to na Igora, to na Dermota.

– To pewnie kopia. – Dermot podniósł wzrok. – Ale bardzo stara. Ma na pewno ze trzysta lat.

– Ale co to jest!?

– *Biblia diabła!* – powiedziała z namaszczeniem Paulina. – Wiedziałam, że ta okładka z czymś mi się kojarzy.

– Matko Boska! – Aleksandra zasłoniła usta ręką.

– I okładka, i strona z rysunkiem diabła są pewnie kopiami…

Igor delikatnie uniósł pierwszą stronę i odsłonił następną, która w całości zapisana była drobnym kaligraficznym pismem.

Dermot nagle spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Osiem stron z *Biblii diabła* zaginęło przecież pod koniec wojny trzydziestoletniej.

Igor podniósł kolejną kartę, a potem jeszcze jedną.

Było ich dokładnie osiem.

*

Codex Gigas to największy zachowany średniowieczny manuskrypt, a być może także największy, jaki kiedykolwiek powstał. Waży tyle, co dorosły człowiek – siedemdziesiąt pięć kilogramów. Do jego wykonania potrzeba

było skór aż stu sześćdziesięciu jagniąt. Na jego treść składa się cały Stary i Nowy Testament, Dzieje Apostolskie i Apokalipsa Świętego Jana, najstarsza kronika Czechów oraz wiele tekstów pozabiblijnych, traktatów medycznych, opisów egzorcyzmów i magicznych zaklęć. Według przeprowadzonych analiz grafologicznych charakteru pisma, manuskrypt rzeczywiście napisał jeden człowiek, który prawdopodobnie musiał nad nim pracować od dwudziestu do trzydziestu lat. Tajemnicą jest, jakim cudem cały kodeks nie zawiera ani jednej pomyłki, a styl pisma od początku do końca zachowuje tę samą dokładność i poprawność, tak jakby jego autor nie podlegał upływowi czasu, nie tracił wzroku, nie męczył się i nie chorował.

Po zakończeniu wojny trzydziestoletniej *Biblia diabła* trafiła do biblioteki na zamku w Sztokholmie i znajduje się tam do dzisiaj. Siódmego maja 1697 roku na zamku wybuchł pożar. Biblię uratował jeden ze służących, wyrzucając ją z okna pierwszego piętra na dziedziniec zamkowy. I to wtedy zauważono, że w kodeksie brakuje ośmiu kart. Kiedy zaginęły, do dzisiaj pozostaje tajemnicą, tak jak tajemnicą pozostaje i to, co zawierały. Według jednej z hipotez była tam reguła benedyktynów, a karty usunięto jeszcze w średniowieczu. Inna głosi jednak, że zaginione strony zawierały najbardziej przerażające magiczne zaklęcia, jakie kiedykolwiek powstały.

*

Igor wpatrywał się w ogromny manuskrypt. Jak to możliwe, że tych osiem zaginionych kart z *Biblii diabła* znalazło się tutaj, w tym domu? Czy H-Sonderkommando przywiozło całą tę kolekcję z jakiegoś muzeum? Ale gdyby któreś muzeum na dawnym Pomorzu miało taką kolekcję, to byłaby ona przecież na jakiejś liście strat. Gdzieś byłaby opisana. Coś byłoby na ten temat wiadomo. Może więc stanowiła wyposażenie jakiegoś pałacu, gdzie nieskatalogowana, nieopisana tkwiła w zakurzonej bibliotece od trzystu lat i dopiero w czasie drugiej wojny wygrzebało ją SS? To było bardziej prawdopodobne.

Ale w jaki sposób mogła się tam dostać?

– Po zakończeniu wojny trzydziestoletniej Szwedzi wracali z łupami. Z dziełami sztuki, srebrną zastawą, kolekcjami broni. Przez Pomorze – powiedział nagle Igor bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. –

Pomorze było przecież ich przyczółkiem w Europie.

– Ich flota stała w pomorskich portach – potwierdził Dermot.

– Może więc jakiś tutejszy ród zapragnął mieć na własność kawałek jednej z najbardziej przerażających i najsłynniejszych ksiąg w Europie? Wystarczyło przekupić jakiegoś marynarza, który następnie zakradł się do ładowni i wyrwał osiem kart z manuskryptu.

– Możliwe, że ten kolekcjoner z siedemnastego wieku znał dobrze *Biblię diabła* – dodała Paulina. – Przecież mógł ją oglądać w zamku na Hradczanach. Pewnie dobrze wiedział, które strony traktują o czarnej magii.

– Możliwe, że to był któryś z pradziadów von Apenburg z zamku w Dargobądziu. Zamek przetrwał wojnę trzydziestoletnią i stał nienaruszony na wzgórzu niedaleko Wolina. Może oficerowie szwedzcy bywali tam na przyjęciach, obiadach, balach? Szwedzi mieli dość dobre stosunki z lokalną szlachtą. O wiele lepsze niż Brandenburczycy, których Pomorzanie zapamiętali jako bandę nieokrzesanych łobuzów i złodziei. Któregoś wieczoru, po wypiciu kilku butelek wina, któryś z oficerów zdradził, co skrywa ładownia…

– Kolekcja przetrwała zakurzona w jakiejś zamkowej bibliotece i odnalazło ją dopiero H-Sonderkommando, które poszukiwało tego typu rzeczy. – Paulina uśmiechnęła się z niedowierzaniem, prawie dosłownie cytując myśl, która chwilę wcześniej pojawiła się w głowie Igora. – Pod koniec wojny, zapakowana w kufry, została ukryta na wzgórzu w Lubinie, niedaleko domu na klifie…

– Albo… – Igor, ze wzrokiem wbitym w leżącą na stole księgę, usiłował wydobyć z pamięci historię, którą poznał kiedyś podczas wykonywania pracy. – Niedaleko dworu pod Troszynem, po drugiej stronie szosy, jest inny dwór, też nad jeziorem. Wieś nazywa się Mierzęcin…

– Bardzo ładnie odrestaurowany – dodała Aleksandra.

– W miejscu tego dworu stał niegdyś zamek Flemmingów. Ich najstarsza siedziba na Pomorzu. Więc może to któryś z przodków naszego Hasso von Flemminga z Benic wykradł osiem kart ze szwedzkiego galeonu? Zamek Flemmingów spłonął zaraz potem, a podobno *Biblia diabła* przynosiła nieszczęście. Kolekcja mogła się jednak uratować. Przetrwała do wojny w którymś z majątków Flemmingów i trafiła w rezultacie do dworu pod

Troszynem. Może jego ostatni właściciel i budowniczy wybrał ten nazistowski styl architektoniczny, bo interesował się okultyzmem właśnie – zastanawiał się Igor.

– Niemka z protokołu sekretarza mogła wiedzieć mniej więcej, o co chodzi, dlatego wspomniała o kolekcji, którą opiekowało się H-Sonderkommando. – Paulina patrzyła w zamyśleniu na gigantyczny starodruk. – Kuchta coś tam tylko słyszał, dlatego napisał w liście, że mogą być zakopane jakieś cenne dokumenty…

– Boże! – Aleksandra przerwała ciszę, która na moment znowu zapadła w lochu. – I co ja mam teraz z tym wszystkim zrobić?

Johann się uśmiechnął.

– To jest raczej bardzo cenne. Chyba powinna się pani cieszyć.

– Z czego? Będą mnie ciągać na policję i po urzędach. Nie wie pan, jakie są u nas przepisy dotyczące skarbów.

Igor spojrzał z namysłem na właścicielkę domu na klifie. Miał ogromne doświadczenie w kreatywnym omijaniu upierdliwych, absurdalnych przepisów. Wprawdzie zazwyczaj było to prawo budowlane, ale przepisy to przepisy.

– Ale to właściwie nie jest żaden skarb.

– Jak to nie?

– Loch należy do pani rodziny. To pani ojciec go wyremontował, wyposażył w wentylację i umieścił tutaj swoją kolekcję. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby trafiła do muzeum, niż żeby sprzedała ją pani, bez urazy, na przykład jakiemuś rosyjskiemu milionerowi…

– Niech pan nie żartuje. Jakiemu rosyjskiemu milionerowi? Skąd ja miałabym mieć takie znajomości?

Paulina się zaśmiała.

– Ustawią się do pani w kolejce, jak tylko to wyjdzie na jaw.

– Musi pani jednak powiadomić wojewódzkiego konserwatora zabytków. – Igor westchnął. – Policja też pewnie będzie musiała uruchomić jakieś postępowanie. Jest taki jeden w Szczecinie, który się tym zajmuje. Mogę dać pani numer nawet zaraz.

– Sądzisz, że wszystko to zabierze jakieś muzeum? – Johann rozejrzał się dokoła.

– Bardzo wątpię, aby którakolwiek z tych rzeczy znajdowała się na jakiejś liście strat muzealnych. Więc, niestety, prawdopodobnie wszystko to do pani wróci. Jedynie z *Biblią diabła* może pani mieć poważne kłopoty. – Spojrzał na Aleksandrę z cierpkim uśmiechem.

– Jakie kłopoty!?

– Pewnie o te brakujące fragmenty upomną się i Szwecja, i Czechy. Stanie się pani osią międzynarodowego konfliktu. – Zaśmiał się. – Media, gazety.

Kobieta westchnęła.

– Panie Igorze. A nie mógłby pan się tym zająć? Załatwić te wszystkie formalności? Oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem.

Igor uśmiechnął się i skinął głową.

– Oczywiście. Do usług.

– Muszę powiadomić o tym wszystkim męża. – Sięgnęła do kieszeni spodni. – I chyba zadzwonię do naszego prawnika. Przepraszam państwa, zostawię was na chwilę.

To powiedziawszy, zaczęła się wspinać po wąskich schodach.

Igor podniósł wzrok. Wydawało mu się, że widział gdzieś jakiś wystający ze sklepienia hak. Był rzeczywiście, nieco z boku, ale to wystarczyło. Wyciągnął rękę i zawiesił na nim latarnię.

– Nie chciałem przy niej o tym mówić – powiedział ściszonym głosem, wskazując głową schody. – Ale w tym wszystkim jest coś niepokojącego. Teraz zacząłem o tym myśleć. Może to wina tej księgi…

– W czym wszystkim? – Gwen spojrzała z niepokojem.

– Ta kolekcja to przecież jest brakujące ogniwo. Nie wydaje wam się?

– Jakie ogniwo? – Johann podniósł wzrok. – O czym ty mówisz?

Coś w głosie Igora sprawiło, że spoważnieli.

– Nie zastanowiło was, że to dziwny przypadek? – Igor wskazał brodą manuskrypt. – Kłosowski, który ukrywa kolekcję najstarszych ksiąg czarów, z tą jedną, według legendy najbardziej przerażającą, oraz ten „pływający morderca”, który porywa kobiety, posługując się takim kodem?

– Przecież policja chyba to wyjaśniła – odezwał się Dermot. – Chłopak miał zaburzenia psychiczne i dostęp do biblioteki Budnego, w której znajdował się akurat *Lemegeton*.

– Jak byłem w domu u Budnego, to zobaczyłem coś, co dopiero potem, po tym wszystkim, zaczęło mnie zastanawiać. H-Sonderkommando pod koniec wojny zmagazynowało wszystkie zgromadzone akta i dokumenty na temat czarów i czarownic w pewnym pałacu na Śląsku. Miejscowość nazywa się Sława Śląska. Piękny barokowy zamek, z ogromnym parkiem, nad jeziorem…

– Co było u Budnego? – Paulina patrzyła na Igora z napięciem.

– Jedno zdjęcie. Rodzeństwo, chłopiec i dziewczynka na tle jakiejś bramy. Założyłem, że to rodzinna fotka. Dzieci były do siebie bardzo podobne. Potem pogrzebałem w necie…

– Jezu! Igor! Mów! – Paulina wzniosła oczy ku niebu.

– Chłopczyk to był Budny, nie mam co do tego wątpliwości. Porównałem z innymi jego zdjęciami. Ale dziewczynka? Budny nie ma przecież rodzeństwa.

– To mogła być jakaś kuzynka. – Johann spojrzał z powątpiewaniem. – Pomiędzy kuzynami czasem też jest spore podobieństwo.

– Możliwe. – Igor zgodnie pokiwał głową. – Ale brama, na której tle stali, to była brama zamku w Sławie Śląskiej. Możecie się ze mnie natrząsać, ale tego jestem akurat pewien. Charakterystyczne zdwojone lizeny z głowicami w porządku toskańskim…

W lochu na moment zapadła cisza.

– To klasyczna spiskowa teoria dziejów – odezwał się w końcu Dermot. – Czego to miałoby dowodzić?

– Udało mi się sprawdzić dane właścicieli domu w Kurowie. Należy do jakiejś kobiety, która nazywa się Zuzanna Poroch. Zameldowana w Sławie Śląskiej. Od piętnastu lat jest w Stanach.

– Sądzisz, że Budny może mieć z nią coś wspólnego? – Paulina patrzyła na niego z dziwnym błyskiem w oczach.

– Przeszłość Budnego jest bardzo niejasna. Co chwila piszą o tym przecież

jakieś portale. Oficjalnie opiekowali się nim dziadkowe, a potem trafił do szkoły z internatem w Gdańsku. Zadałem sobie trochę trudu i ustaliłem, że ta Zuzanna miała brata, który potem jakoś przepadł. Uciekł z domu. Ponoć był maltretowany przez ojca czy wykorzystywany.

Paulina przez dłuższą chwilę patrzyła na Igora, jakby chciała poukładać w głowie usłyszane informacje.

– I to całe poszukiwanie skarbu Korduli, w które wplątał nas Borola… – Igor w zamyśleniu ściągnął usta. – A jeśli morderca szukał właśnie tej kolekcji? Po wojnie, gdy zamek w Sławie Śląskiej był pusty, część kartotek H-Sonderkommando została rozkradziona przez miejscowych. Załóżmy, że trafiły na jakiś strych. A potem stały się pożywką dla czyjejś chorej wyobraźni… – Spojrzał na czwórkę przyjaciół. – Jeśli zabijał zgodnie z kluczem z ksiąg czarów, to mógł obsesyjnie pożądać czegoś takiego jak kolekcja najstarszych przeklętych manuskryptów. Dowiedział się przypadkiem o jej istnieniu, a może sam jej szukał wcześniej. Mógł psychologicznie podejść Borolę i go tym jakoś zarazić…

– Ja też miałam pewne wątpliwości – odezwała się Paulina.

– Boże! Co się z wami dzieje? – Gwen spojrzała na Paulinę i na Igora. – Umówiliście się?

– Też o czymś wam nie powiedziałam. – Paulina westchnęła. – Zaczęłam przy tym grzebać. Z myślą o artykule oczywiście. – Uśmiechnęła się nerwowo. – Rozmawiałam nawet z psychologiem. Nie wierzę, że ten chłopak był mordercą.

– Przecież mówiliście, że to był psychol. – Johann patrzył na Paulinę zszokowany. – W jego szpargałach w Lubinie znaleźli rzeczy należące do jednej z kobiet. Psycholog, u którego się leczył, stwierdził, że mógł mieć zaburzenia dysocjacyjne.

– Mógł mieć. Ten psycholog powiedział też, że niczego nie jest pewny, bo odbył z nim raptem trzy czy cztery spotkania. Takie zaburzenia mogły wywołać leki. Rzeczy tej kobiety, w świetle tego, o czym powiedział Igor, mógł podrzucić Budny. Policja jakoś wyjątkowo szybko zamknęła ten wątek. I w dalszym ciągu uparcie prowadzą dochodzenie w kierunku porachunków mafijnych. Moich zeznań na temat kart z demonami z komisariatu w Międzyzdrojach nawet nie chcieli słuchać.

– Też mnie to zastanawiało – zgodził się Igor.

– No i ciągle myślę o tym, że od razu po moim artykule, już na drugi dzień, przesłuchiwało mnie CBŚ. Oni zazwyczaj nie włączają się tak szybko. Zwłaszcza że przez cały weekend prokuratura jednocześnie wszystko dementowała.

– W dalszym ciągu to, co mówicie, brzmi jak spiskowa teoria dziejów. – Dermot patrzył w przestrzeń nad stołem. Jego prawniczy umysł sortował wszystkie fakty według przydatności dowodowej.

– I jeszcze jedna sprawa. – Paulina westchnęła. – Gdy byłyśmy już z Dorotą w kajaku i ukrywałyśmy się na bagnach, ktoś pływał naokoło, opowiadałam wam. Nie wiem jak Dorota, ale ja umierałam ze strachu. I nie jestem tego pewna. Miał bardzo cichy motor, potem go wyłączył i posługiwał się wiosłem. A potem odpłynął…

Cztery pary oczu wpatrywały się w Paulinę.

– Dorota nie była tego pewna. Mówiła, że w stanie, w którym byłyście, każdy szmer mógł wydawać się podejrzany.

– Ja też głowy bym za to nie dała. – Paulina popatrzyła na Igora z namysłem. – Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonana, że na tych moczarach ktoś był. I to nie żaden wędkarz! Wiem, że to irracjonalne i nie ma żadnych dowodów…

Przez chwilę ciszę w lochu zakłócały tylko dźwięki dochodzące z zewnątrz.

– I kto wezwał policję? Dorota mówiła, że najpierw ją zlekceważyli. Pisali, że to sąsiedzi potem dzwonili, bo słyszeli krzyki. Ale żadna z nas nie krzyczała. Myślałam o tym całymi dniami. Nawet zrobiłam wyliczenia…

– Rozmawiałaś z policją? – przerwał jej Igor.

Paulina pokręciła głową.

– Na razie to, jak twierdzi Dermot, tylko spiskowa teoria. Aha, i jeszcze jedno. Chłopak nie miał prawa jazdy. Rozmawiałam z jego matką. W ogóle nie potrafił prowadzić. W jaki sposób zorganizowałby te wszystkie porwania? Po całym województwie! Jednym z czynników klasyfikujących seryjnych morderców jest właśnie mobilność.

– Przecież ty z nim jechałaś! – Johann spojrzał na Paulinę

z niedowierzaniem.

– Nie wiem, z kim jechałam! Może jechałam z kimś innym, a ten chłopak był tam na miejscu?

– I co? Zabrałby cię, wiedząc, że tam jest ten koleś?

– Mogli być wspólnikami.

– Wśród seryjnych morderców nie zdarzają się wspólnicy. – Dermot pokręcił głową.

– To może zaplanował to jakoś? Może chłopak miał być tylko kozłem ofiarnym?

Paulina przeczesała ręką włosy.

– Załóżmy, że ten dom rzeczywiście należy do siostry Budnego. Jeśli to on jest mordercą, to może specjalnie wrobił we wszystko tego biedaka. Przywiózł mnie na miejsce, odjechał, a potem zadzwonił na policję.

Przez chwilę wszyscy milczeli. W końcu odezwał się Igor.

– Opowiadałaś o tych zwłokach spod Gdańska z policyjnego Archiwum X – powiedział ściszonym głosem. – Możliwe, że pracuje seriami.

– Gdańsk… – Paulina spojrzała w kierunku schodów. – Z Gdańska jest z kolei Hubert Kupiec.

– Budny też wychował się w Gdańsku. Obaj mieli dostęp do łodzi, obaj mają czarne samochody. Któryś z nich jest mordercą?

– Lub ktoś inny… – zacytowała Paulina grobowym głosem.

– Boże! – Gwen oparła się o stół pod ścianą. – Jeśli macie rację, to za jakiś czas wszystko zacznie się od nowa.

Zapadła cisza.

Latarnia oświetlała twarze całej piątki, rzucając długie czarne cienie na posadzkę lochu. Na środku, na drewnianym stole leżała ogromna otwarta teraz księga. Pożółkła karta z jagnięcej skóry połyskiwała zakurzonym blaskiem, a w promieniach światła tańczyły dokoła drobinki kurzu.

– Ta historia wcale się jeszcze nie zakończyła – mruknął Igor.

Dermot kiwnął głową.

– Za miesiąc, dwa, może za pół roku ktoś dostanie pocztą list

z wizerunkiem demona.

– Przestań gadać głupoty. – Gwen spojrzała na niego z wyrzutem.

– Kuchta pisał o dwóch miejscach skarbów… – Johann zamyślony wpatrywał się w manuskrypt. – Jest jeszcze pałac Quistorpa…

– Skarby skarbami… – Paulina westchnęła. – Cały czas myślę o tych kobietach… Co one musiały przejść, zanim umarły… Życzyłabym temu psycholowi, żeby się smażył w piekle. Za życia, bo nie wierzę w piekło. A tymczasem, być może nadal jest na wolności…

– Być może jest mężem naszej gospodyni…

– Johann!

– No co?

– Uważajcie lepiej, co mówicie – powiedziała Gwen, wpatrując się w ogromny wizerunek szatana. – Jesteśmy w lochu wypełnionym najstarszymi księgami czarów. I stoimy nad *Biblią diabła*.

– A co może się stać? – Johann podniósł wzrok.

Gwen spojrzała na niego, a potem na pozostałą trójkę.

– Stare powiedzenie mówi, że diabeł spełnia wszystkie życzenia…

EPILOG

Poniedziałek, 27 marca, godz. 5.25

Sympatyczna gitarowa melodyjka, którą Igor miał ustawioną w swoim telefonie jako dzwonek główny, zazwyczaj budziła przyjemne emocje. Ale gdy uparcie bębniła w środku nocy, czyli trochę po piątej, emocje były jak najgorsze.

Igor otworzył oczy i poczuł wręcz fizycznie, jak wszystkie zaplanowane na dzisiejszy dzień koszmarne obowiązki, ze spotkaniem z prawnikami spółki Practica Investment na czele, z hukiem spadają mu na głowę. Policzył do dziesięciu i obiecał sobie, że jeśli to pomyłka, to wytropi tego, kto dzwoni, i go zabije. Sięgnął po telefon.

– Igor!? – głos Johanna był podejrzanie entuzjastyczny. Zwłaszcza że u niego w Londynie była czwarta z minutami. Igor jakimś cudem, biorąc pod uwagę sprawność umysłu o tak wczesnej porze, to sobie uświadomił.

– Chryste! – Przetarł twarz ręką i usiadł.

– To nie mogło czekać, wybacz! Dermot dzwonił do mnie dziesięć minut temu.

– Jesteś na jakichś prochach? Ecstasy?

– Królowa pękła! – wypalił Johann.

– Co takiego?

– Dania zgadza się na wydobycie wraku! Jesteśmy bogaci!

Poniedziałek, 27 marca, około 12.00

Kancelaria Rozwarski & Dulęba mieściła się w szklanym biurowcu przy alei Piastów. Z salki konferencyjnej, którą Rozwarski i Dulęba użytkowali wspólnie z jeszcze dwiema innymi kancelariami, rozciągał się widok na

trzeci świat ogródków działkowych, za którym kłębiła się gęsta zieleń Cmentarza Centralnego.

Paulina siedziała przy eleganckim stole z blatem z egzotycznego drewna i wpatrywała się w swoje ręce. Mateusz wylatywał dzisiaj do Manchesteru. Jeśliby się postarała, to zdążyłaby go pożegnać na lotnisku. Albo zatrzymać.

Marta, która siedziała obok niej, mówiła coś do Rozwarskiego. Paulina na chwilę się wyłączyła.

– Rozumiem, że są panie gotowe na rozmowę o jakiejś kulturalnej ugodzie? – Rozwarski, przystojny pięćdziesięciolatek z siwymi skroniami, uśmiechał się drapieżnie jak rekin.

Paulina podniosła wzrok i spojrzała na Szymona Koszuta. Był bardzo pewny siebie i miał na ustach wciąż ten sam irytujący uśmieszek. Coś w jej wzroku kazało mu przestać się uśmiechać.

Naprzeciw niej siedział Marian Koszut.

Na twarzy mężczyzny, pod okiem, rozwijał się wielki malinowy siniak. Wchodząc do kancelarii, zauważyła, że lekko utyka.

– Czy coś się panu stało? – spytała niewinnie.

– Nie pani sprawa. – Spojrzał na nią ze złością.

Paulina nie spuściła jednak wzroku. Uśmiechnęła się chłodno.

Znowu przypomniał jej się obraz z kołobrzeskiej katedry. Albo będziesz robiła to, co ci każemy, albo…

Nie. Tak łatwo już nie będzie.

– Zdecydowałyśmy, że nie przyjmiemy panów oferty. – Marta położyła przed Rozwarskim jakiś dokument. – Spotkamy się w sądzie.

Praktycznie w tym samym czasie

Gabinet prezesa spółki Practica Investment mógł onieśmielić. Na jednej ścianie, praktycznie na całej jej powierzchni, wisiały dyplomy i podziękowania za darowizny i rozmaite charytatywne czyny, którymi szczyciła się firma. Na tle tej galerii stało duże biurko z jasnego drewna. Po drugiej stronie, pod oknami, znajdował się stół konferencyjny. Prezes oraz

kilku dyrektorów różnych szczebli z poważnymi minami przeglądali leżącą przed nimi dokumentację. Wszyscy w eleganckich garniturach, z prawnikiem Igora włącznie. Tylko on miał na sobie stary sweter.

Rzucił okiem na zegar. Po raz któryś.

Bartosz Lorenc wyjął ze swojej torby teczkę i położył ją na stole przed sobą. Spojrzał na Igora. Podniósł brwi, jakby po raz ostatni pytał, czy Igor jest pewny.

Igor był pewny.

– Panowie! – Prezes podniósł w końcu wzrok znad projektu i obrzucił spojrzeniem Igora, a potem jego prawnika. – Bardzo się cieszę, że nasza propozycja znalezienia kompromisowego rozwiązania, korzystnego dla obu stron oczywiście, spotkała się z panów przyjaznym przyjęciem. To bardzo rozsądne. Nie ukrywam, że termin nas nagli.

Igor przestał słuchać. Znał prezesa. Wiedział, co ma do powiedzenia.

W domu czekała na niego spakowana torba i bilety. Wieczorem będzie w Londynie.

Uśmiechając się do swoich myśli, słyszał, jak w tle wybucha bomba przygotowana przez Bartosza Lorenca.

Prawnik Igora nawet nie starał się ukrywać, że świetnie się bawi.

Trochę później

Paulina wpadła zdyszana do hali odlotów. Jej zielona micra, upstrzona wymyślnymi obelgami i kilkoma sugestiami, które praktycznie można by podciągnąć pod pornografię, wywołała na parkingu przed lotniskiem niewielką sensację. Kilka osób podeszło nawet, żeby na jej tle zrobić sobie zdjęcie.

Rozejrzała się dokoła. Hala była pełna ludzi, którzy z walizkami na kółkach, plecakami i torbami na ramieniu stali w kolejkach do odprawy lub bramek kontroli bezpieczeństwa.

Zobaczyła go.

W granatowym wełnianym swetrze i czarnej kurtce. Był trzeci w kolejce

do odprawy.

Nie spóźniła się.

Ruszyła w jego kierunku. Gdy była prawie na miejscu, odwrócił się, żeby rzucić okiem na halę, i zobaczył ją.

Przez chwilę wyglądał tak, jakby nie wiedział, co zrobić.

W końcu postawił torbę na ziemi i wyszedł jej naprzeciw.

Stali na środku hali lotniska, patrząc na siebie, a dokoła szumiał gwar setek głosów.

Czternastego…

Droga pogrążona była w całkowitej ciemności. Światła karetki wydobywały z mroku czerń asfaltu i białą, fluorescencyjnie jasną podwójną ciągłą linię. Światła miasta zostały z tyłu i jaśniały na horyzoncie wielobarwną feerią punkcików. Raz po raz przy drodze wyrastały pojedyncze drzewa i kępy krzaków, zza których wyglądały wielkie tablice reklamowe. Niektóre miały własne podświetlenie i jaśniały w ciemności absurdalnymi hasłami reklamowymi, zza których śnieżnobiałymi uśmiechami szczerzyły się szczęśliwe rodziny. Czerwoną łunę widać było już z daleka.

– Kurde! – Siedzący za kierownicą ratownik westchnął. – Jesteśmy pierwsi. Nie ma straży!

– Zatrzymaj się po lewej! – Lekarka wskazała brodą ścieżkę rowerową biegnącą wzdłuż szosy.

Karetka, błyskając światłami, zjechała na pas zieleni i zatrzymała się w poprzek betonowej nawierzchni ścieżki.

– Jest policja! – Młody brodaty ratownik wyskoczył z samochodu i otworzył szeroko boczne drzwi. – Nosze! Sprzęt!

– Nie dostaniemy się do środka! – Lekarka pokręciła głową. – Cały czas się pali.

Na drodze, niczym wielka czarna góra, stała ogromna ciężarówka z naczepą z zapalonymi światłami awaryjnymi. Na poboczu, obok odbijającej w bok drogi, stał terenowy samochód z roztrzaskanym przodem

i najwyraźniej złamaną przednią osią. Przez rozbite okna i spod maski wydobywały się jęzory ognia.

Po chwili rozległ się głośny dźwięk syreny i na drodze z piskiem opon zatrzymał się czerwony samochód straży pożarnej. Policjanci ustawiali barierki oraz trójkąty i wydzielali miejsce wypadku. Od strony przejścia granicznego nadjeżdżały już pierwsze samochody, zwalniając i wymijając ciężarówkę środkowym, wyłączonym z ruchu pasem. Długie białe węże potoczyły się po jezdni. Strażacy wyskoczyli z samochodu i ruszyli do płonącego auta.

– Nie będzie już kogo ratować. – Brodaty ratownik medyczny zatrzymał się kilka metrów od samochodu, powstrzymany ręką przez uwijających się wokół strażaków.

Przy drodze zatrzymał się kolejny samochód, bez oznakowania, z przyczepionym do dachu kogutem.

– Idziemy! – Lekarka ruszyła w kierunku samochodu, w którym dopalał się ogień. Jeden ze strażaków wyrwał drzwi i z kabiny wychylił się czarny kadłub, który zawisł w resztkach nadpalonych pasów. Na trawę wypadły jakieś przedmioty.

Kilka metrów dalej do stojącego na poboczu radiowozu podszedł policjant w żółtej odblaskowej kamizelce i pochylił się do otwartego okna.

– Co CBŚ tu robi? – spytał kolegę i wskazał ręką nieoznakowany samochód.

– Nie mam pojęcia. Czekam na dyspozytora. Coś tam kręcą z tą rejestracją.

Pochylona przy rozbitym samochodzie lekarka podniosła się i skinieniem dłoni odesłała drugiego z ratowników.

– Nie żyje!

– Po prostu się spalił. – Brodaty sanitariusz westchnął i pochylił się, żeby podnieść nosze.

Jego uwagę przykuł leżący na ziemi osmalony ogniem kwadratowy kartonik.

– A co to? – Przekrzywił głowę i pchnął kartonik butem.

Na białym papierze czarnym markerem namalowany był rysunek.

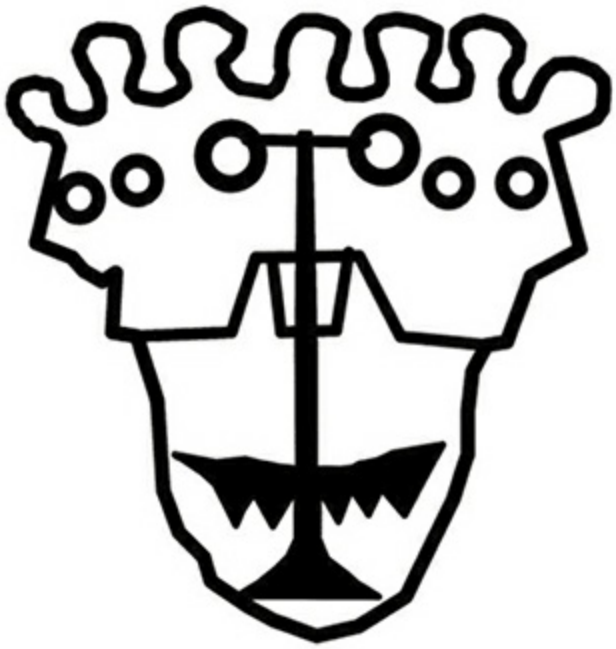

– Jakiś bohomaz. – Lekarka wzruszyła ramionami. – Z dzisiejszą datą. Nieważne. Zbieramy się, nic tu po nas. Idę do policjantów, a wy się możecie pakować.

Podziękowania

Ta historia zaczyna się na pewnym szczecińskim placu, którego otwarta przestrzeń, wznosząca się ku szklanym wieżom filharmonii, w założeniu projektantów miała integrować rozmaite środowiska, łączyć ludzi i być miejscem zderzenia nie tylko różnych sposobów spędzania wolnego czasu, lecz także różnych poglądów.

I dokładnie w tym miejscu zrodził się pomysł na tę książkę.

Któregoś dżdżystego marcowego dnia stałem tam z grupą przyjaciół, słuchając jak kobiety pod czarnymi parasolkami mniej lub bardziej dosadnie wypowiadają się na temat irytujących problemów polskiej rzeczywistości: ograniczania praw człowieka, restrykcyjnych przepisów, fundamentalizmu.

Staliśmy trochę z boku, a tuż obok na chodniku zatrzymywali się przypadkowi przechodnie. „Wiedźmy” – rzucił ktoś ze śmiechem. „Czarownice, aborterki …”

Uderzyło mnie, jak bardzo podobne do dzisiejszych były obelgi, którymi obrzucano kobiety czterysta lat temu. Te kobiety wpadały w tryby machiny ówczesnej „sprawiedliwości” i prawie dokładnie w tym samym miejscu, pod szczecińskimi murami miejskimi nieopodal Bramy Młyńskiej, wleczone w łańcuchach, trafiały prosto na stos.

Śledząc wypowiedzi upośledzonych moralnie parlamentarzystów i dziennikarzy, a także wpisy na rozmaitych forach, nabieram przekonania, że gdyby dzisiaj na miejskich rynkach zaczęto ustawiać stosy, to znalazłaby się rzesza ludzi, którzy przyglądaliby się takim widowiskom z prawdziwym upodobaniem.

Zbieranie materiałów do tej książki kosztowało mnie sporo zdrowia i wiele nerwów.

Chciałbym podziękować wszystkim moim przyjaciołom i znajomym, którzy swoimi żartami pozwolili mi zachować dystans do opisywanych historii.

Jak zawsze bratu Marcinowi, za absurdalne i często groteskowe rozmowy, które niezmiennie stanowią pożywkę dla mojej wyobraźni.

Monice, za wyjaśnienia i porady prawne.

Beniowi, za niewątpliwie kryminogenne i być może nawet nielegalne, ale za to wielce pomocne opisy działania narkotyków i leków psychotropowych.

Łukaszowi, za wstrząsające rozmowy o wywoływaniu duchów i demonach.

Szczególne podziękowania, tradycyjnie już, należą się niezastąpionej pani redaktor Małgorzacie Burakiewicz, która przy ustalaniu kolejnych terminów ukończenia i redagowania książki, przeżyła ze mną prawdziwą gehennę.

Wszystkich czytelników natomiast przepraszam za kolejne otwarte zakończenie… ☺

[1] W zależności od źródła: Galgenberg (niem.) – Wzgórze Wisielców lub Langen Berg (niem.) – Długa Góra.

[2] W konkursie na pomnik Grudnia ’70 w 1996 r. zwyciężyła praca studentów Politechniki Szczecińskiej pod kierunkiem rzeźbiarza Jerzego Lipczyńskiego. Komitet budowy pomnika, któremu przewodził ówczesny prezydent Szczecina Marian Jurczyk, odrzucił projekt i wybrał inny; jego autorzy jednak honorowo nie zgodzili się na realizację. W efekcie zaprojektowanie pomnika powierzono krakowskiemu rzeźbiarzowi Czesławowi Dźwigajowi.

[3] Paul Robien – szczeciński, chociaż urodzony w 1882 r. w Bobolicach pod Koszalinem, naukowiec samouk, ornitolog, entomolog, pionier i propagator ochrony przyrody, nazywany przez sobie współczesnych „rewolucjonistą przyrody”. W 1922 r. wybudował niewielką leśniczówkę – stację ornitologiczną na wyspie na jeziorze Dąbie, gdzie zamieszkał wraz z żoną Ewą Windhorn. W listopadzie 1945 r. oboje zostali zamordowani przez żołnierzy radzieckich. Zwłoki oraz zniszczoną leśniczówkę odkryto dopiero w 1947 r. W 1995 r. na zachowanych schodach leśniczówki ustawiono pamiątkową płytę ufundowaną przez mieszkańców Szczecina.

[4] *Ad ebolendam haeresim* (łac.) – Aby zniszczyć herezję.

[5] *Super illius specula* (łac.) – Na wysokościach tego.

[6] *Summis desiderantes affectibus* (łac.) – Pragnąć najgoręcej.

[7] *Szczecin Floating Garden 2050* – opracowana w 2007 r. strategia rozwoju miasta do roku 2050, opierająca się na koncepcji budowy nowej marki Szczecina z wykorzystaniem naturalnych atutów krajobrazowo-urbanistycznych.

[8] Trirema – rzymski okręt z trzema rzędami wioseł oraz żaglem, wzorowany na starogreckiej trierze (z gr. trójrzędowiec). Galera miała 30–40 m długości, a jej główną bronią był okuty brązem taran. Okręt zabierał na pokład 170 wioślarzy, 40 ciężkozbrojnych piechurów i łuczników oraz kilkunastu marynarzy i oficerów.

[9] Volkssturm – formacja o charakterze pospolitego ruszenia (szturm ludowy), powołana do życia 25 września 1944 r. po dotkliwych stratach Wehrmachtu na froncie wschodnim. W ostatnim okresie wojny

wcielano do niej wszystkich mężczyzn i chłopców, którzy byli w stanie utrzymać broń.

[10] Ewangelia wg św. Mateusza (Mt 18,6–7).

[11] „I do łoża, i do stoła jeden tylko raz się woła” – cytat z książki *Przepiórki w płatkach róży* autorstwa meksykańskiej pisarki Laury Esquivel.

[12] Dąbie (niem. Altdamm) – prawobrzeżna dzielnica Szczecina, do 1948 r. samodzielne miasto.

[13] KBW – Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Specjalna formacja wojskowa działająca w latach 1945–1954, powołana pod koniec wojny głównie do walki z występującym przeciwko władzy ludowej podziemiem zbrojnym.

[14] Królestwo Niemiec od wczesnego średniowiecza do 1806 r. (do klęski pod Austerlitz) było ośrodkiem Świętego Cesarstwa Rzymskiego (*Sacrum Romanum Imperium*), od 1441 r. nieformalnie nazywanego Świętym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego (*Sacrum Romanum Imperium Nationis Germanicae).*

[15] PZPR – Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, powstała z połączenia Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej. Sprawowała rządy w latach 1948–1989.

[16] Sydonia von Borck – pomorska szlachcianka, bohaterka jednej z najsłynniejszych tutejszych legend. W czasach gdy jako dwórka przebywała na zamku w Wołogoszczy, miał się jej oświadczyć syn ówcześnie panującego Filipa I, młody książę Ernest Ludwik. Pod naciskiem rodziny zaręczyny zostały zerwane, a Sydonię odprawiono z zamku. Według legendy, odchodząc, rzuciła na Gryfitów klątwę, że nie minie pół wieku, a cały ród wyginie. Po latach procesów w 1620 r. została ścięta i spalona na stosie jako czarownica. Jej klątwa jednak się spełniła. Siedemnaście lat po jej śmierci zmarł ostatni książę Bogusław XIV, a niecałe trzydzieści lat później Pomorze zostało podzielone pomiędzy Szwecję a Brandenburgię.

[17] Johannes Heinrich Quistorp – urodzony w Greifswaldzie szczeciński przedsiębiorca i filantrop. Założyciel spółki Westend i inicjator powstania nowych dzielnic Szczecina – Westendu oraz zachodnich

części Łękna i Pogodna, fundator olbrzymiego kompleksu opiekuńczego Betania (Bethanien). Po jego śmierci syn Martin na cześć ojca ufundował wieżę widokową w Lasku Arkońskim, nazwaną wieżą Quistorpa.

[18] FROM – Fundusz Rozwoju Obszarów Miejskich.

[19] „Manchester Evening News” – regionalna gazeta codzienna ukazująca się od 1868 r., wydawana obecnie przez grupę wydawniczą Trinity Mirror. Wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel.

[20] Erich Maria Remarque – cytat z książki *Łuk triumfalny*.

[21] List Kuchty po raz pierwszy opublikowany został w cyklu artykułów „Szukamy relikwiarza świętej Korduli”, autorstwa Bartosza Turlejskiego, które ukazały się w lipcu i sierpniu 2016 r. w „Kurierze Szczecińskim”.

[22] Szlauchwaga – poziomica składająca się z napełnianego wodą przewodu z tworzywa sztucznego, wyznaczająca poziom na zasadzie naczyń połączonych.

[23] Jeffrey Archer – popularny angielski pisarz, były polityk i wiceprzewodniczący Partii Konserwatywnej. Jego pierwsza książka *Co do grosza*, która opowiada o grupie przyjaciół usiłujących odzyskać przywłaszczony przez oszusta milion dolarów, stała się międzynarodowym bestsellerem.

[24] Studiengesellschaft für Geistesurgeschichte, Deutsches Ahnenerbe e.V. – Towarzystwo Badawcze nad Pradziejami Spuścizny Duchowej, Niemieckie Dziedzictwo Przodków.

[25] Edward Bulwer-Lytton (1803–1873) – brytyjski poeta, pisarz i polityk, członek Partii Konserwatywnej. Powieść *The Coming Race* napisał w 1871 r.

[26] *Morderstwa w Midsomer* (*Midsomer Murders*) – popularny w Wielkiej Brytanii, nadawany nieprzerwanie od dziewiętnastu lat serial kryminalny, którego akcja toczy się idyllicznej wiejskiej scenerii hrabstwa Midsomer.

[27] Dzisiejsze Barth – miasto w północno-wschodnich Niemczech.

[28] Tomasz Kantzow (1505–1542) – pisarz i kronikarz Gryfitów, autor

monumentalnej kroniki Pomorza *Chronik von Pommern*.

[29] Fragmenty przytoczone za: *Lemegeton, Mniejszy Klucz Salomona* w opracowaniu Jarosława Domińskiego, wydanie z 2003 r.

[30] *The Thing* – amerykański horror z 1982 r. w reżyserii Johna Carpentera.

[31] *Found footage* – technika filmowa imitująca film nakręcony amatorską kamerą z perspektywy jednego z bohaterów.

[32] Fragmenty przytoczone za: *Lemegeton, Mniejszy Klucz Salomona* w opracowaniu Jarosława Domińskiego, wydanie z 2003 r.

[33] Centralne Biuro Śledcze (CBŚ), od 2014 r. Centralne Biuro Śledcze Policji (CBŚP), potoczna nazwa CBŚ.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Sienna 73
00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

Spis treści

PROLOG
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23

Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
EPILOG
Podziękowania